

The background of the entire image is a close-up, slightly blurred photograph of the American flag, showing the stars and stripes in a draped, wavy pattern. The colors are vibrant, with the red and white stripes and the blue field with white stars.

DAVID
BALDACCI

TEN
KTÓRY
PRZEŻYŁ



Siedem sekund. Tylko tyle czasu było trzeba, żeby Web London stracił wszystko: przyjaciół, oddział, dobre imię.

Web, komandos z elitarnej jednostki FBI wyspecjalizowanej w odbijaniu zakładników, pędził wąską uliczką w stronę kryjówki narkotykowego bossa, gdzie czekała zasadzka, w której zginęli wszyscy oprócz niego...

Ten, który przeżył to trzymający w napięciu psychologiczny thriller opowiadający o człowieku, który uparcie usiłuje znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, poradzić sobie z własnymi głęboko ukrytymi lękami i dojmującym poczuciem winy. Jego walka o uratowanie siebie i tych, na których mu zależy, będzie go wiele kosztowała i zagrozi wszystkiemu, w co wierzy.

David Baldacci, stawiany na równi z J. Grishamem i R. Ludlumem, opublikował 8 powieści, które stały się międzynarodowymi bestsellerami. Przetłumaczono je na ponad 30 języków w ponad osiemdziesięciu krajach.

Na całym świecie wydrukowano 33 miliony egzemplarzy jego książek. W Polsce ukazały się: **Pełna kontrola**, **Władza absolutna**, **Wygrana**, **Dowód prawdy** oraz **Na ratunek** (REBIS 2001 r.).

Książka **Ten, który przeżył**, podobnie jak inne powieści Baldacciego, stała się bestsellerem i przez kilkanaście tygodni znajdowała się na pierwszych miejscach list przebojów książkowych, m.in. „New York Timesa” i „Publishers Weekly”.



REBIS



Cena 35,-

TEN
KTÓRY
PRZEŻYŁ

DAVID
BALDACCI

Przekład
Maciej Raginiak

TEN
KTÓRY
PRZEŻYŁ



Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2003

Tytut oryginału
Last Mun Stauling

Copyright © 2001 by David Baldacci
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2002

Redaktor
. Jfanilizka Horzowska

Projekt okładki
Maciej Rutkowski

Fotografia na okładce
Agencja Fotograficzna
BK & W

Wydanie I (dodruk)

ISBN 83-7301-205-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Zmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 867-47-08, 867-81-40; fax 867-37-74
e-mail: [rebis\(5\).rebis.com.pl](mailto:rebis(5).rebis.com.pl)
www.rebis.com.pl

Fotoskład: Z.P *Akapit*, Poznań, ul. Czernichowska 50B, rei. 87-93-888

Druk i oprawa: Zakłady Graficzne KEN S.A., Bydgoszcz

*Wszystkim wspaniałym nauczycielom
i innym ochotnikom w całym kraju,
którzy pomagają urzeczywistnić projekt
„Cała Ameryka czyta”.*

*Poświęcam tę książkę także pamięci
Yossiego Chaima Paleya
(14 kwietnia 1988 - 10 marca 2001),
najdzielniejszego młodego człowieka, jakiego poznałem.*

*Niesłusznie oskarżony człowiek jest zawsze oczerniany
przez niedoinformowane masy.
Taki człowiek powinien strzelać na oślep,
na pewno w coś trafi.*

ANONIMOWE

Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność działania.

MOTTO IIRT

1

Web London trzymał w ręku półautomatyczny karabin SR75 wykonany dla niego na zamówienie przez legendarnego rusznikarza. SR nie tylko zwyczajnie ranił ciało i kości, ale je proszkował. Web nigdy nie wychodził z domu bez tej potężnej broni, był bowiem człowiekiem żyjącym pośród przemocy. Zawsze był gotów zabijać, robić to sprawnie i bezbłędnie. Boże, gdyby choć raz odebrał komuś życie przez pomyłkę, mógłby równie dobrze sam połknąć tę kulkę, tak wielkie musiałby znosić cierpienia. Web miał po prostu taki skomplikowany sposób zarabiania na chleb powszedni. Nie mógł powiedzieć, że kocha swoją pracę, ale naprawdę się w niej wyróżniał.

Nie traktował swojej broni czule, mimo że kiedy nie spał, właściwie w każdej chwili życia trzymał w ręku różnego rodzaju sprzęt. Nigdy nie nazywał pistoletu swoim przyjacielem ani nie nadawał mu efektownego imienia, ale broń i tak była ważną częścią jego życia, chociaż, podobnie jak dzikie zwierzęta, narzędzia walki nie pozwalały się łatwo oswoić. Nawet wyszkoleni policjanci nie trafiali w cel osiem razy na dziesięć. Dla Weba nie tylko było to nie do przyjęcia, ale równało się też samobójstwu. Miał wiele osobliwych cech, lecz nie było wśród nich pragnienia śmierci. I tak istniało mnóstwo ludzi, którzy zamierzali go zabić, i raz prawie go dostali.

Mniej więcej pięć lat wcześniej tylko litr czy dwa straconej krwi dzieliły Weba od wykitowania na parkiecie szkolnej sali gimnastycznej, zasłanym ciałami innych mężczyzn, już nieżywych albo umierających. Kiedy wylizał się z ran, zdumiewając lekarzy, którzy się nim opiekowali, zaczął nosić SR zamiast półautomatu używanego przez jego towarzyszy broni. Tamten przypominał M16, mieścił w komorze dużą kulę kalibru .308 i stanowił doskonały wybór, jeśli twoim celem było zastraszenie. SR zaś sprawiał, że wszyscy chcieli być twoimi przyjaciółmi.

Web przypatrywał się przez przyciemnione szyby suburbana wszystkim rozmytym grupkom osób stojącym na rogach i garstkowi podejrzanych ludzi czającym się w mrocznych uliczkach. Gdy przesuwali się w głąb wrogiego terytorium, spojrzenie Weba powróciło na ulicę, gdzie, jak wiedział, każdy pojazd mógł być zamaskowanym wozem bojowym.

Szukał każdej pary oczu błędzących wzrokiem, skinienia głową albo palców sprytnie stukających w telefony komórkowe i próbujących poważnie zaszkodzić drogiemu staremu Webowi.

Suburban skręcił za róg ulicy i zatrzymał się. Web spojrzął na pozostałych sześciu mężczyzn, stłoczonych z nim w ciasnym wnętrzu wozu. Wiedział, że myślą o tym samym co on: wyjść stąd szybko i bez problemów, przenieść się na osłonięte stanowiska, utrzymać pola ostrzału. Strach tak naprawdę nie wchodził w grę, nerwy to jednak co innego. Adrenalina nie była jego przyjaciółką; w rzeczywistości bardzo łatwo mógł zostać przez nią zabity.

Web zaczerpnął głęboko powietrza dla uspokojenia. Musiał mieć tętno między sześćdziesiątką a siedemdziesiątką. Przy osiemdziesięciu pięciu uderzeniach karabin drżał przy tułowiu, przy dziewięćdziesięciu nie wolno było naciskać spustu, ponieważ ciśnienie krwi oraz napięte nerwy w barkach i ramionach gwarantowały, że nie uda się wystarczająco dobrze strzelić. Kiedy uderzeń było więcej niż sto na minutę, całkowicie traciło się swoje subtelne umiejętności motoryczne i nikt nie zdołałby wtedy trafić z pieprzonej armaty w odległego o metr słonia; równie dobrze można było przylepić sobie na czole kartkę z napisem ZABIJ MNIE SZYBKO, bo taki bez wątpienia czekałby wtedy człowieka los.

Web wyrzucił z siebie napięcie, wraz z powietrzem wciągnął spokój i potrafił teraz wydestylować opanowanie z rodzącego się chaosu.

Suburban ruszył, minął jeszcze jeden róg i zatrzymał się. Web wiedział, że po raz ostatni. Krótkofalówka przestała syczeć, kiedy Teddy Riner powiedział do swojego kostnego mikrofonu: „Charlie do COT, proszę o upoważnienie do kompromisowych rozwiązań i zezwolenie na przejście do żółtego”.

Web usłyszał w swoim mikrofonie zwięzłą odpowiedź COT, czyli Centrum Operacji Taktycznych: „Zrozumiałem, Charlie Jeden, czuwam”. W świecie barw Weba „żółty” oznaczał ostatnie ukryte i zabezpieczone stanowisko. „Zielony” to było miejsce krytyczne, chwila prawdy: wyłom. Podczas przebywania kawałka ziemi, który rozciągał się pomiędzy względnym bezpieczeństwem i wygodą żółtego a chwilą prawdy na zielonym, czasami sporo się działo. „Upoważnienie do kompromisowych rozwiązań”. Web wypowiedział te słowa sam do siebie. W ten sposób prosiło się po prostu o pozwolenie na likwidowanie ludzi w razie konieczności, choć celowo brzmiało to tak, jakby uzyskiwało się jedynie od szefa zgodę na obniżenie ceny używanego samochodu o parę dolców. Jednostajny szum krótkofalówki znów został przerwany, kiedy z COT odpowiedziano: „COT do wszystkich jednostek: Macie upoważnienie do kompromisowych rozwiązań i zezwolenie na przejście do żółtego”.

Wielkie dzięki, COT. Web przysunął się powoli do drzwi ładunkowych suburba. On miał iść na czele, a Roger McCallan z tyłu. Tim Davies miał zrobić wyłom, a Riner był dowódcą grupy. Wielki Cal Plummer i dwaj pozostali szturmowcy, Lou Patterson i Danny Garcia, spokojnie stali w pogotowiu z karabinami maszynowymi MP-5, granatami błyskowo-hukowymi i pistoletami kalibru .45. Zaraz po otwarciu drzwi mieli się rozbiec i obracając się w biegu dokoła, szukać zagrożeń mogących pojawić się ze wszystkich stron. Stawali wtedy najpierw na palcach, a dopiero potem opuszczali się na całe stopy, kolana mieli zgięte, żeby zamortyzować odrzut, gdyby musieli strzelać. Maski na twarzy Weba ograniczały mu pole widzenia do skromnego obszaru. W tym swego rodzaju miniaturowym broadwayowskim teatrze miał obejrzeć zbliżający się rzeczywisty zamęt, ale nie wymagano tu drogiego biletu ani eleganckiego garnituru. Od tej chwili miały im też wystarczyć sygnały dawane rękami. Kiedy leciały w twoją stronę kule, usta i tak najczęściej nie były w pełni sprawne. Web nigdy nie mówił dużo w pracy.

Jak za każdym razem, patrzył, jak Danny Garcia się żegna. I Web powiedział to, co zawsze mówił, kiedy Garcia kreślił znak krzyża, zanim nagle otwierały się drzwi chevroleta.

- Bóg jest zbyt mądry, żeby się tu zjawić, Danny, mój chłopcze. Możemy liczyć tylko na siebie. - Web zawsze mówił to kpiarskim tonem, ale nie żartował.

Pięć sekund później drzwi ładunkowe otworzyły się gwałtownie i grupa wysypała się na zewnątrz, zbyt daleko od miejsca akcji. Zwykle podjeżdżali aż pod swój ostateczny cel i wpadali tam z hukiem przy użyciu niewielkiej ilości materiału wybuchowego, jednak tutaj sytuacja logistyczna była trochę zagmatwana. Porzucone samochody, pozostawione na ulicy lodówki i inne spore przedmioty być może nie przypadkiem zagrażały drogę do obiektu.

Szmer krótkofalówki znów ucichł, kiedy zadzwonili snajperzy z Grupy Rentgen. Poinformowali, że dalej z przodu w uliczce są jacyś mężczyźni, ale że nie należą oni do ekipy, na którą poluje Web. Przynajmniej snajperzy tak uważali. Jak jeden mąż Web i jego Grupa Charlie wyprostowali się i pognali w głąb uliczki. Siedmiu ich kolegów po fachu z Grupy Hotel wysiadło z innego suburba na drugim końcu kwartału, by zaatakować cel od tyłu, od lewej strony. Plan główny przewidywał, że Charlie i Hotel spotkają się gdzieś w połowie tej strefy walki pozornie będącej zwkłą dzielnicą miasta.

Web i jego towarzysze kierowali się teraz na wschód, a zaraz za ich tyłkami nadciągała burza. Błyskawice, grzmoty, wiatr i zacinający deszcz na ogół rozpieprzały łączność naziemną, rozmieszczenie tak-

tyczne i nerwy mężczyzn, zwykle akurat w tych rozstrzygających minutach, kiedy wszyscy musieli postępować perfekcyjnie. Choć dysponowali tyloma cudami techniki, jedyną możliwą reakcją na gniew Matki Przyrody i kiepskie warunki logistyczne był po prostu szybszy bieg. Sapiąc, pędzili uliczką, wąskim pasem dziurawego, zaśmieconego asfaltu. Po obu stronach stały budynki, których ceglane mury nosiły wyraźne ślady dziesięcioleci strzelanin. Niektóre bitwy toczyły się między dobrymi a złymi, ale w większości wypadków biorący w nich udział młodzi ludzie rozwalali swoich braci z powodu sporów o narkotykowe terytoria, kobiet albo dlatego, że tak im się podobało. Tutaj pistolet czynił cię mężczyzną, chociaż tak naprawdę mogłeś być tylko dzieckiem, które wybiegło na dwór po obejrzeniu w sobotę porannych kreskówek z przekonaniem, że jeśli zrobi w kimś wielką dziurę, to i tak wstanie on z powrotem i będzie dalej się z nim bawił.

Natrafili na grupę mężczyzn, którą zauważyli wcześniej snajperzy: gromadki Murzynów, Latynosów i Azjatów w najlepsze handlujących narkotykami. Najwyraźniej potężne odloty i wielkie nadzieje związane z nieskomplikowanym gotówkowym interesem usuwały na dalszy plan wszystkie kłopotliwe kwestie dotyczące rasy, wyznania, koloru skóry czy poglądów politycznych. Webowi wydawało się, że większość tych facetów dzieli od grobu tylko jeden niuch, jedno wbicie igły w żyłę czy jedna połknięta tabletką. Był zdumiony, że to nędzne zgromadzenie weteranów grafficiarstwa w ogóle ma dość energii i jasności umysłu, by dokonać prostej transakcji, wymiany gotówki na małe torebki z piekłem dla mózgu, ledwo zamaskowanym i rekomendowanym jako środek na polepszenie samopoczucia, a i to tylko za pierwszym razem, kiedy wprowadzałeś truciznę do swojego organizmu.

W obliczu budzących strach karabinów Grupy Charlie wszystkie ćpuny, oprócz jednego, padły na kolana i błagały, żeby ich nie zabijać ani nie stawiać w stan oskarżenia. Web skupił uwagę na młodym człowieku, który nadal stał. Głowę miał owiniętą czerwoną przepaską - symbol przynależności do jakiegoś gangu. Dzieciak był wąski w pasie i miał napakowane ramiona; wytarte spodenki gimnastyczne zwiślały mu z tyłka, ukazując rowek między pośladkami, a przekrzywiony ciasny podkoszulek opinał jego umięśniony tułów. Jego mina zaś wyrażała refleksję głęboką jak studnia, znamionującą postawę, która mówiła: „Jestem bystrzejszy, twardszy i będę żył dłużej od ciebie”. Web musiał przyznać, że ten facet wygląda nieźle jak na obszarpańca.

Aż trzydzieści sekund zajęło ustalenie, że wszyscy oprócz „Bandany” są zupełnie nieprzytomni i że żaden z narkomanów nie ma przy sobie broni ani telefonu komórkowego, z którego mógłby zadzwonić do celu z ostrzeżeniem. „Bandana” miał wprawdzie nóż, ale noże na

nic by się nie zdały wobec kevlarowych osłon i półautomatów. Pozwoliłi mu go zatrzymać. Jednak gdy Grupa Charlie ruszyła dalej, Cal Plummer biegł tyłem, na wszelki wypadek celując z MP-5 do młodego „przedsiębiorcy” z bocznej uliczki.

„Bandana” krzyknął wtedy do Weba, że podziwia jego karabin i chce go kupić. Wrzeszczał za plecami Weba, że dałby mu kupę forsy, a potem powiedział, że zastrzeliliby z tej broni Weba i wszystkich innych. Cha, cha! Web spoglądał na dachy, gdzie, jak wiedział, członkowie Grup Whisky i Rentgen czuwali w przedniej pozycji strzeleckiej z nabojami wprowadzonymi do komór, mierząc ze śmiertelnością precyzją w pnie mózgow tuch zbitych w stadko nieudaczników. Snajperzy byli najlepszymi przyjaciółmi Weba. Doskonale rozumiał, jak podchodzą do swojej pracy, bo przez lata był jednym z nich.

Niegdyś całymi miesiącami Web leżał w parujących bagnach, gdzie pełzały po nim wkurzone, jadowite wodne węże. Albo tkwił w smaganych mroźnym wiatrem rozpadlinach gór, trzymając łożo SR75 z ochronną skórzaną poduszczką przy swoim policzku, i obserwował teren przez lunetę, aby zapewnić zabezpieczenie oraz informacje grupom szturmowym. Gdy był snajperem, nabył wielu ważnych umiejętności, na przykład nauczył się bardzo cicho sikać do kubka. Pośród innych lekcji było dokładne rozdzielanie różnych rodzajów jedzenia w czasie pakowania, aby móc się nasycić węglowodanami po omacku w całkowitych ciemnościach, i wyrównywanie naboarów z myślą o jak najsprawniejszym przeładunku, co ogólnie pozwoliło mu wypracować surowy wojskowy model zachowań, który wielokrotnie się sprawdził. Co nie znaczy, że łatwo by mu było przenieść którykolwiek z tych rzadkich talentów do sektora prywatnego, ale Web i tak nie przewidywał takiego kroku.

Życie snajpera polegało na przenosinach z jednych skrajnych warunków w drugie. Miał on za zadanie osiągnąć najlepszą możliwą pozycję strzelecką przy jak najmniejszym zagrożeniu dla własnej osoby, a często te cele zwyczajnie nie dawały się pogodzić. Po prostu robił to najlepiej, jak mógł. Godziny, dni, tygodnie, nawet miesiące wypełnione wyłącznie nudą, przeważnie osłabiającą morale i podstawowe umiejętności, rozrywały nagle chwile wykręcającej trzewia wściekłości, która z reguły opanowywała snajpera w gorączce strzelaniny i powszechnego zamętu. A decyzja o użyciu broni oznaczała, że ktoś umrze, i nigdy nie było wiadomo, czyjego śmierć też się nie wyświetli na tablicy wyników.

Web potrafił w każdej chwili błyskawicznie przywołać te obrazy, tak żywe były one w jego pamięci. Piątka niezawodnych naboarów z wklęsłymi czubkami, ułożonych rządkiem w sprężynowym magazynku, cze-

kała, aż będzie mogła rozpruć przeciwników z szybkością dwukrotnie przewyższającą prędkość dźwięku, kiedy palec Weba pociągnie za ozdobiony klejnotem spust, który zawsze trząsał tak słodko przy dokładnie stu pięciu dekagramach nacisku. Gdy tylko ktoś wszedł w jego strefę zabijania, Web strzelał i człowiek nagle był trupem padającym bezwładnie na ziemię. A jednak najważniejszymi strzałami Weba jako snajpera były te, z których zrezygnował. To była właśnie taka robota. Nie nadawali się do niej tchórze, głupcy, a nawet jednostki o przeciętnej inteligencji.

Web podziękował w myślach snajperom z dachów i dalej biegł uliczką.

Natknęli się na dziecko, może dziewięcioletnie, które siedziało bez koszulki na kawale betonu. W pobliżu nie było widać nikogo dorosłego. Zbliżająca się burza strząsnęła przynajmniej dziesięć stopni z termometru i rtęć nadal opadała. A jednak chłopak nie miał na sobie koszuli. „Czy w ogóle kiedykolwiek było mu dane włożyć koszulkę?” - zastanawiał się Web. Widział już wiele ubogich dzieci. Nie uważał się za cynika, był raczej realistą. Żałował ich, ale niewiele mógł zrobić, żeby im pomóc. A jednak w tych czasach zagrożenie mogło nadejść z każdej strony, więc automatycznie obrzucił chłopca wzrokiem od stóp do głów w poszukiwaniu broni. Na szczęście niczego takiego nie zobaczył; nie miał ochoty strzelać do dziecka.

Chłopak patrzył na niego. W jasnym kręgu światła rzucanym przez migoczącą latarnię uliczną, jedyną, która jakimś cudem nie została trafiona kulą, rysy dziecka były wyraźnie widoczne. Web zauważył zbyt szczupłe ciało oraz mięśnie barków, ramion i brzucha, już stwardniałe i zebrane wokół wystających żeber, podobnie jak drzewo tworzy włókna kory w uszkodzonym miejscu. Przez czoło chłopca biegła blizna po cięciu nożem. Ściągnięta dziura o nabrzmiątych brzegach w jego lewym policzku była łatwą do rozpoznania dla Weba pamiątką po kuli.

- Niech ich diabli - powiedziało dziecko znużonym głosem, a potem się zaśmiało, czy też, dokładniej mówiąc, zarechotało. Słowa chłopca i jego śmiech zadźwięczały w głowie Weba jak brzęk talerzy, nie miał pojęcia dlaczego; poczuł nawet, że ciarki chodzą mu po skórze. Już wcześniej widywał dzieci w tak beznadziejnej sytuacji, były tu wszędzie, a jednak teraz w jego głowie działo się coś, czego nie mógł do końca zrozumieć. Może robił to za długo, i czy po tak cholernie długim czasie nie można było zacząć tak myśleć?

Web przesunął palec w kierunku spustu karabinu i ruszył naprzód zwinnymi susami, próbując jednocześnie uwolnić się od obrazu chłopca. Chociaż był bardzo szczupłym mężczyzną i nie mógł się popisywać muskulaturą, mógł udźwignąć spory ciężar, miał też mocne palce i szerokie z natury barki. Był przy tym o wiele szybszy od pozostałych człon-

ków grupy i cechowała go wielka wytrzymałość. Web mógł biegać dziesięć kilometrów w sztafecie przez cały dzień. Zawsze przedkładał szybkość, refleks i odporność nad napakowane mięśnie. Kule przedzierały się przez nie z taką łatwością jak przez tłuszcz, a nie mogły zrobić ci krzywdy, jeśli cię nie trafiły.

Większość ludzi opisałyby Weba Londona - patrząc na jego potężne bary i sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu - jako wielkiego faceta. Zwykle jednak koncentrowano się na lewej stronie jego twarzy, czy też na tym, co z niej zostało. Web niechętnie przyznawał, że osiągnięcia współczesnej medycyny w dziedzinie rekonstrukcji zniszczonego ciała i kości są zadziwiające. Przy idealnym oświetleniu, to znaczy w prawie zupełnej ciemności, ledwo zauważało się stary krater, nową wypukłość policzka oraz znakomicie przeszczepioną tkankę kostną i skórę. „Naprawdę niezwykle” - mówili wszyscy. Wszyscy oprócz Weba.

Na końcu uliczki mężczyźni zatrzymali się jeszcze raz i kucnęli. Tuż przy zgiętym łokciu Weba znajdował się Teddy Riner. Przez swój bezprzewodowy mikrofon kostny Motoroli Riner skontaktował się z COT i powiedział, że Charlie jest na żółtym i prosi o zezwolenie na przejście do zielonego - „krytycznego miejsca”. To wymyślne określenie w tym wypadku oznaczało po prostu drzwi wejściowe. Web jedną ręką trzymał SR75, a na prawej nodze, w nisko opuszczonej taktycznej kaburze, wymacał również wykonany na zamówienie pistolet kalibru .45. Identyczny pistolet wisiał na ceramicznej płycie antyurazowej, która zakrywała mu klatkę piersiową, i tego też dotknął w ramach swego rytuału poprzedzającego atak.

Web zamknął oczy i wyobraził sobie, jak potoczą się wypadki w następnej minucie. Popędzą do drzwi. Davies będzie biegł w środku, nieco wysunięty do przodu, i podłoży ładunek. Szturmowcy w swoich słabszych dłoniach będą luźno trzymać granaty błyskowo-hukowe. Półautomaty będą odbezpieczone, a spokojne palce nie oprą się na spustach, dopóki nie nadejdzie czas zabijania. Davies zdejmie mechaniczne zabezpieczenia ze skrzynki kontrolnej i sprawdzi stan lontu przymocowanego do ładunku przełamującego, szukając jakichś usterek, z nadzieją, że żadnych nie znajdzie. Riner przekaże COT nieśmiertelne słowa: „Charlie na zielonym”. COT odpowie tak jak zawsze: „Czuwam, kontroluję sytuację”. Ta kwestia zawsze drażniła Weba, bo kto, do cholery, tak naprawdę kontrolował sytuację w czasie ich akcji?

W całej swojej karierze zawodowej Web nigdy nie słyszał, żeby COT doszło do końca odliczania. Po dwójce snajperzy namierzali cele i rozpoczynali ogień, a sfera ujadających jednocześnie trzysta ósemek była odrobinę hałaśliwa. Potem, zanim COT powiedziało „jeden”, wybu-

chał ładunek przełamujący i ten huragan zagłuszał nawet twoje własne myśli. W rzeczywistości gdyby ktoś kiedyś usłyszał, jak COT kończy odliczanie, miałby poważne kłopoty, bo to by oznaczało, że ładunek nie zadziałał. A to byłby naprawdę kiepski początek dnia roboczego.

Po wysadzeniu drzwi Web i reszta jego grupy mieli wpaść do celu i rzucić granaty błyskowo-hukowe. Była to trafna nazwa, ponieważ „błysk” oślepił wszystkich, a „huk” rozrywał pozbawioną ochrony błonę bębenkową. Gdyby natrafili na kolejne zamknięte na klucz drzwi, ustąpiłyby one szybko pod wpływem niegrzecznego pukania strzelby Daviesa albo przyklejanego ładunku wyglądającego jak kawałek dętki, ale zawierającego materiał wybuchowy C4, za pomocą którego można było wyważyć właściwie każde drzwi. Mieli postępować według wyuczonych schematów, skupiać uwagę na dłoniach i broni, strzelać precyzyjnie, myśleć kategoriami posunięć szachowych. Komunikacja miała sprowadzać się do rozkazów dotykowych. Mieli uderzyć w gorące punkty, zlokalizować wszelkich zakładników i wyprowadzić ich szybko, żywych. Natomiast nigdy tak naprawdę nie myślało się o umiarniu. Zabierało to za dużo czasu i energii, a liczyły się tylko szczegóły misji oraz podstawowe instynkty i umiejętności udoskonalone podczas wielu akcji, aż stawały się one częścią tego, co tworzyło ciebie.

Według godnych zaufania źródeł budynek, na który mieli uderzyć, mieścił cały finansowy aparat wielkiego interesu narkotykowego, którego główna siedziba znajdowała się w stolicy. Potencjalną zdobycz tej nocy stanowili między innymi księgowi, cenni świadkowie dla rządu, gdyby Webowi i pozostałym udało się wyciągnąć ich żywych. W ten sposób federalni mogliby dobrać się do szefów z kilku stron na podstawie prawa karnego i cywilnego. Nawet wielcy handlarze obawiali się pełnego frontального natarcia Urzędu Skarbowego, bo te szychy rzadko płaciły podatki Wujowi Samowi. To dlatego wezwano grupę Weba. Specjalizowali się w zabijaniu facetów, których trzeba było zabić, ale byli też cholernie dobrzy w utrzymywaniu ludzi przy życiu. Przynajmniej dopóki schwytni goście kładli dłonie na Biblii, składali zeznania i pakowali jakieś większe zło na bardzo długo do więzienia.

COT miało się zgłosić ponownie i zacząć odliczanie: „Pięc, cztery, trzy, dwa...”

Web otworzył oczy, skoncentrował się. Był gotowy. Tętno sześćdziesiąt cztery; Web po prostu to wiedział. W porządku, chłopcy, żyła złota jest prosto przed nami. Chodźmy i je zgarnijmy. Centrum zgłosiło się jeszcze raz w jego słuchawce i dało pozwolenie na przejście do drzwi.

I właśnie wtedy Web London zamarł. Jego grupa wyskoczyła z ukrycia i ruszyła do „zielonego”, miejsca krytycznego, a Web tego nie zrobił. Miał wrażenie, że jego ramiona i nogi nie są już częścią jego ciała,

podobnie jak człowiek, który zasnął z ręką pod brzuchem, po przebudzeniu stwierdza, że krążenie całkiem w niej ustało. Nie wydawało się, żeby przyczyną tego był strach albo nerwy; Web robił to zbyt długo. A jednak mógł tylko patrzeć, jak Grupa Charlie pędzi naprzód. Podwórko zostało uznane za ostatnią większą strefę zagrożenia przed miejscem krytycznym i grupa jeszcze przyspieszyła, szukając wszędzie najmniejszych oznak oporu. Najwyraźniej żaden z mężczyzn nie zauważył, że Weba z nimi nie ma. London oblał się potem, napiął każdy mięsień, starając się przewyciężyć to, co przygniatało go do ziemi, aż zdołał wolno wstać i zrobić parę chwiejnych kroków do przodu. Jego stopy i ramiona pokrywał niewidzialny ołów, całe ciało płonęło i pękała mu głowa, ale zataczając się, przez chwilę brnął dalej, dotarł do podwórka, a potem padł na ziemię, podczas gdy reszta grupy oddalała się od niego.

Podniósł wzrok wystarczająco szybko, by zobaczyć, jak Grupa Charlie biegnie co tchu z bronią wymierzoną w cel, który zdawał się po prostu błagać ich, żeby przyszli i uszczknęli z niego co nieco. Już za pięć sekund będą mogli przystąpić do ataku. Te kilka sekund miało zmienić życie Weba Londona na zawsze.

I

Pierwszy przewrócił się Teddy Riner. Mężczyzna upadał przez dwie sekundy, przy czym w drugiej już nie żył. Po przeciwnej stronie Cal Plummer runął na ziemię, jakby jakiś olbrzym zdzielił go toporem. Web patrzył bezsilnie, jak ciężka amunicja uderza w kevlarowe osłony jego towarzyszy, a potem w ciało. Nie wydawało się właściwe, żeby dobrzy ludzie umierali tak cicho.

Zanim karabiny zaczęły strzelać, Web upadł na swój SR75, który teraz tkwił pod nim. Ledwie mógł oddychać; kevlar i broń zdawały się miażdżyć mu przeponę. Coś leżało na jego masce. Nie mógł o tym wiedzieć, ale był to kawałek Teddy'ego Riner, wyrzucony przez potworny pocisk, który wybił dziurę o rozmiarach męskiej dłoni w pancerzu dowódcy i posłał część Riner tam, gdzie daleko za resztą Grupy Charlie leżał Web, jedyny żywy.

Web nadal czuł się sparaliżowany, żadna z jego kończyn nie reagowała na błagania płynące z mózgu i nie chciała się poruszyć. Czy przeszedł wylew w wieku trzydziestu siedmiu lat? Potem nagle zapanał nad swoim umysłem, przypuszczalnie pomogły mu w tym odgłosy strzałów, w końcu powróciło mu czucie w ramionach i nogach, więc zdołał zerwać maskę i przetoczyć się na plecy. Wypuścił z płuc strumień zepsutego powietrza i krzyknął z ulgą. Teraz wpatrywał się w niebo nad swoją głową. Widział włócznie błyskawic, ale z powodu nieprzerwanego ognia w ogóle nie słyszał grzmotów.

Czuł przemożną, szaloną chęć uniesienia głowy i zanurzenia jej w zamęcie, być może po to, by potwierdzić, że w pobliżu latają kule, jakby był dzieciakiem, któremu powiedziano, żeby nie dotykał płomienia kuchenki gazowej, i który wtedy oczywiście nie myśli o niczym innym. Zamiast tego Web sięgnął w dół do pasa, rozpiął przymocowaną z boku torbę i wyciągnął swój termolokator. W najczarniejszą noc TL ukazywał cały świat niewidoczny gołym okiem, skupiając się na gorących rdzeniach, które świeciły prawie we wszystkim.

Web z łatwością wyczuwał smugi kondensacyjne wytwarzane przez świszczące nad nim kule, chociaż nie mógł zobaczyć tego zjawiska nawet przez TL. Zauważył także, że gęsty ostrzał pochodził z dwóch

odrębnych kierunków: z kamienicy stojącej dokładnie przed nim i z wa-
lącego się budynku tuż po prawej. Popatrzył przez TL na ten drugi
dom, ale nie dostrzegł nic oprócz potłuczonych szyb. A potem coś za-
obserwował i jego ciało jeszcze bardziej się naprężyło. Płomienie wylotowe
wybuchwały w tym samym czasie w każdym oknie. Wyskakiwały
z otworów okiennych, pozostawały w powietrzu przez kilka sekund,
a potem wracały, gdy lufy karabinów, których jeszcze nie wykrył, choć
wiedział, że tam są, kończyły swój półkolisty ostrzał o ograniczonym
zasięgu.

Gdy znów rozbrzmiały strzały, Web przeturlał się na brzuch i za po-
mocą termolokatora obejrzał budynek, który pierwotnie miał być ce-
lem. Tutaj też na niższym poziomie znajdował się rząd okien. I te same
płomienie wylotowe pojawiały się w dokładnie takim samym zsynchroni-
zowanym ruchomym łuku. Webowi udało się teraz dojrzeć długie
lufy broni maszynowej. W TL karabiny miały ceglasty kolor, rozgrzany
metal niemal topił się od ilości amunicji, jaką wyrzucała z siebie broń.
Jednak przyrząd Weba nie pokazał zarysu żadnej ludzkiej postaci,
a gdyby jakikolwiek człowiek był w pobliżu, jego termolokator by go
namierzył. Bez wątplenia patrzył na jakieś zdalnie sterowane stanowi-
sko strzeleckie. Teraz wiedział, że jego grupa została wrobiona, schwy-
tana w pułapkę, a przeciwnik nie naraził życia ani jednego człowieka.

Pociski odbijały się rykoszetem od ceglanych murów, które stały za
nim i na prawo od niego, i Web czuł, że odłamki uderzają wszędzie
dookoła jak stwardniałe krople deszczu. Przynajmniej z tuzin razy prze-
ślizgnęły się po jego kevlarze, ale wtedy były już w dużym stopniu
pozbawione prędkości i śmiertelności siły. Przyciskał nie osłonięte
pancerzem nogi i ramiona do asfaltu. Jednak nawet kevlarowa osłona
nie wytrzymałaby bezpośredniego trafienia, ponieważ karabiny maszy-
nowe prawie na pewno wyrzucały z siebie pociski kalibru .50, każdy
z nich długi jak nóż kuchenny i prawdopodobnie zdolny do przebicia
pancerza. Web oceniał to wszystko na podstawie naddźwiękowego
huku karabinów i charakterystycznego płomienia wylotowego. A smu-
ga kondensacyjna pozostawiana przez pięćdziesiątkę też stanowiła nie-
zapomniane zjawisko. Właściwie czuło się strzał, zanim jeszcze się go
usłyszało. Unosiło to każdy włoszek na ciele, tak jak piorun elektryzuje
na chwilę przed zabójczym uderzeniem.

Web wykrzykiwał po kolei imiona i nazwiska swoich towarzyszy.
Nikt nie odpowiedział. Nikt się nie poruszył. Nie było żadnych jęków,
żadnych poruszeń, które świadczyłyby o tym, że gdzieś tam jeszcze tli
się życie. A jednak Web dalej wyrzaskiwał nazwiska, obłąkańczo
sprawdzał listę obecności. Wszędzie wokół niego eksplodowały kosze na
śmieci, rozpryskiwało się szkło, w murach powstawały wyrwy, jakby

napierające rzeki łąbiły kaniony. To przypominało plażę w Normandii czy też może raczej szarżę Picketta z wojny secesyjnej, a Web właśnie stracił całą swoją armię. Szkodniki nękające tę uliczkę uciekały przed rzezią. Podwórko zostało oczyszczone z takich gryzoni jak nigdy przedtem. Żaden miejski inspektor nie wykonał nigdy tak dobrej roboty, jak tej nocy miarowo siekająca amunicja kalibru .50.

Web nie chciał umrzeć, ale za każdym razem kiedy patrzył na to, co zostało z jego grupy, częściowo pragnął dołączyć do towarzyszy. Rodzina walczyła i umierała razem. Pociągało to trochę Weba. Czuł nawet, jak jego nogi napinają się do skoku w wieczność, a jednak coś silniejszego przejęło nad nim kontrolę i pozostał na ziemi, zwinięty w kłębek. Śmierć oznaczała przegraną. Gdyby się poddał, przyznałby, że wszyscy pozostali zginęli na darmo.

Gdzie, do diabła, byli Rentgen i Whisky? Dlaczego nie spuszczała się po linach, żeby przyjść im z pomocą? Snajperzy z budynków otaczających podwórko nie mogli wprawdzie zejść tak, żeby nie dać się rozerwać na kawałki, ale inni byli na dachach domów wzdłuż uliczki, którą przysłała Grupa Charlie. Oni mogli zjechać na dół. Ale czy COT dałoby im zielone światło? Może nie, gdyby nie wiedzieli, co się dzieje, a skąd mieliby to wiedzieć? Nawet Web nie wiedział, co tu się, do cholery, dzieje, a on był w samym środku tego wszystkiego. Jednak nie mógł beczynnie czekać, aż COT podejmie decyzję, bo wcześniej jakaś zabłąkana kula mogła dokończyć dzieła.

Czuł, jak warstewka panicznego strachu osiada na nim mimo wieloletniego szkolenia, które miało usunąć właśnie tę słabość z jego psychiki. Działanie, musiał coś zrobić. Zgubił mikrofon, więc wyciągnął swoją przenośną Motorolę z przypiętej rzepami kieszeni na barku. Nacisnął guzik, wrzasnął do niej: „HR czternaście do COT, HR czternaście do COT”. Brak reakcji. Przeszedł na częstotliwość zapasową, a potem na jedynekę do celów ogólnych. Nadal nic. Popatrzył na krótkofalówkę i humor mu się pogorszył. Przód był rozbity, bo wcześniej na nią upadł. Web popęzł przed siebie, aż dotarł do ciała Cala Plummera. Kiedy próbował chwycić jego dwukierunkową radiostację, coś uderzyło go w rękę i cofnął ją. Tylko rykoszet; bezpośrednie trafienie pozbawiłoby go dłoni. Web policzył, że wciąż ma pięć palców, a dotkliwy ból sprawił, że chciał walczyć, żyć, nawet gdyby dalsze życie miało na celu wyłącznie zniszczenie tego, kto to zrobił. Prawie już jednak wyczerpał dostępne środki. I po raz pierwszy w swojej karierze Web zaczął się zastanawiać, czy wróg, z którym przyszło mu się zmierzyć, nie jest lepszy od niego.

Wiedział, że gdyby przestał myśleć, może wreszcie zerwałby się i zaczął strzelać, choć nie znalazłby niczego, co można by było zabić.

A. więc skupił się na scenariuszu taktycznym. Był w dokładnie określonej strefie śmierci, z dwóch stron miał łuki automatycznie strzelających karabinów. Tworzyły one dziewięćdziesięciostopniowy kąt zagłady i nie obsługiwał ich żaden człowiek, którego można by powstrzymać. W porządku, taka była sytuacja na polu walki. Ale co, do diabła, on miał teraz zrobić? Który to był rozdział w podręczniku? Ten, w którym napisano: „Wycyckali cię”? Boże, ten huk był ogłuszający. Nie słyszał nawet łomotu własnego serca. Z trudem chwycił krótkie hausty powietrza. Gdzie, do diabła, byli Whisky i Rentgen? A Hotel? Nie mogli biec szybciej? Ale co tak naprawdę mogli zrobić? Byli wyszkoleni jedynie w likwidowaniu ludzi z daleka i z bliska.

- Nie ma do czego strzelać! - krzyknął Web.

Wcisnął mocno podbródek w pierś, a po chwili drgnął zaskoczony, zobaczywszy małego chłopca, tego bez koszuli. Dzieciak kucał, przyciskając rękami uszy, w uliczkę, którą przybiegła Grupa Charlie, tuż za rogiem. Web wiedział, że gdyby chłopiec wyszedł na podwórko, jego Ciało trafiłoby do worka na zwłoki - prawdopodobnie do dwóch worków, bo pociski kalibru .50 mogłyby z łatwością przeciąć chude ciało dzieciaka na pół.

Chłopiec zrobił krok do przodu, zbliżając się do końca muru, i znalazł się już prawie na podwórku. Może pragnął przyjść im z pomocą. A może czekał, aż kanonada ustanie, żeby móc obedrzeć ciała z cennych przedmiotów i zgarnąć broń, by później sprzedać ją na ulicy. Może był zwyczajnie ciekawy. Web nie wiedział tego ani go to nie interesowało.

Karabiny przestały strzelać i nagle zapadła cisza. Chłopiec zrobił kolejny krok naprzód. Web krzyknął do niego i dzieciak zastygł w bezruchu. Najwyraźniej nie przypuszczał, że umarli mogą się wydzierać. Web bardzo powoli uniósł dłoń i zawołał do niego, żeby się cofnął, ale wznowiony ogień zagłuszył końcowe słowa jego przestrogi. Web czołgał się na brzuchu pod gradem kul, wrzeszcząc do chłopca przy każdym skręcie i przeciągnięciu miednicy.

- Nie podchodź! Cofnij się!

Dzieciak nie uskoczył w tył. Web nie spuszczał z niego wzroku, co jest trudne, kiedy przesuwasz się na brzuchu, bojąc się, że jeśli podniesiesz głowę jeszcze o centymetr, to zostaniesz jej pozbawiony. Chłopiec w końcu zrobił to, czego oczekiwał Web: zaczął się wycofywać. Web poczołgał się szybciej. Dzieciak odwrócił się, chcąc uciec, i Web wrzasnął do niego, żeby się zatrzymał. Był bardzo zaskoczony, kiedy chłopak go posłuchał.

Web był już prawie u wylotu uliczki. Zamierzał się przygotować, bo istniało teraz nowe niebezpieczeństwo dla dziecka. Podczas ostat-

niej przerwy w ostrzale Web usłyszał dobiegający z daleka odgłos równych kroków i krzyki. Nadchodzili. Web pomyślał, że muszą tam być wszyscy: Hotel i snajperzy, i rezerwowa jednostka, którą COT zawsze zachowywał na sytuacje kryzysowe. Cóż, jeśli tego nie nazwano by sytuacją kryzysową, to co zasługiwałoby na takie określenie? Z pewnością pędzili na ratunek, a przynajmniej tak im się wydawało. W rzeczywistości jednak biegli na oślep, nie mając żadnych wiarygodnych informacji.

Problem polegał na tym, że dzieciak też słyszał, jak się zbliżają. Web widział, że chłopiec zdaje sobie sprawę, kim oni są, jak zwiadowca obwąchujący ziemię i ustalający na podstawie zapachów położenie wielkich stad bizonów. Chłopak czuł, że jest w potrzasku, i miał słuszną rację. Web wiedział, że gdyby dzieciaka z uliczki zobaczono w pobliżu ludzi takich jak Web, równałoby się to wyrokowi śmierci. Odpowiednie „władze” po prostu założyłyby, że jest zdrajcą, i jego ciało pozostawiono by w lasach.

Dzieciak zatrząsł się nerwowo i popatrzył za siebie, a Web zaczął szybciej się czołgać. Zgubił połowę swojego sprzętu, gdy tak pełzał pospiesznie po szorstkim asfalcie jak dwustufuntowy rozpędzony wąż. Czuł, jak krew sączy się z tuzina zadraśnięć na jego nogach, rękach i twarzy. Lewa dłoń piekła go tak, jakby kilka tysięcy os urządziło sobie tam przyjęcie. Pancierz był teraz cholernie ciężki, wszystko bolało go, kiedy przesuwiał ramiona i nogi. Mógł odłożyć karabin, ale wciąż znajdował dla niego zastosowanie. Nie, nigdy nie porzuci cholernego SR75.

Web wiedział, co zrobi dzieciak. Ponieważ miał odcięty odwrót, zdecydował się przebiec przez podwórko, by potem zniknąć w jednym z budynków po drugiej stronie. Chłopiec słyszał kule podobnie jak Web, ale nie mógł zobaczyć linii strzału. Nie mógł ich ominąć. A jednak Web wiedział, że chłopiec zaraz spróbuje się przedrzeć.

Dzieciak wyskoczył, Web odbił się od ziemi w ostatniej możliwej sekundzie, tak że zderzyli się akurat na skraju bezpiecznego obszaru, i w tym starciu Weba nie można było pokonać. Dzieciak kopał go, kościste pięści tłukły Londona po twarzy i piersi, kiedy otoczył ryzykanta swymi długimi ramionami. Wycofał się dalej w głąb uliczki, niosąc chłopca. Kevlar nie był przyjemny w dotyku dla młócących rąk, więc dzieciak w końcu przestał zadawać ciosy i popatrzył na Weba.

- Nic nie zrobiłem. Puść mnie!

- Jak tam pobiegiesz, to zginiesz! - wyjaśnił Web, przekrzykując strzały. Uniósł zakrwawioną dłoń. - Ja mam pancierz i nie mógłbym tam przeżyć. Te kule przecięłyby cię na pół.

Dzieciak uspokoił się po obejrzeniu rany. Web zaniósł go jeszcze dalej od podwórka i jazgoczących karabinów. Teraz przynajmniej mogli

rozmawiać, nie wrzeszcząc. Pod wpływem jakiegoś dziwnego impulsu Web dotknął blizny od postrzału na policzku chłopca.

- Przedtem miałeś szczęście - zauważył. Chłopiec warknął i szarpnięciem wyrwał się z jego uścisku. Stał na nogach, jak fretka, zanim Web zdążył mrugnąć, i odwrócił się, żeby pobiec z powrotem uliczką. - Jeśli wpadniesz na nich po ciemku - powiedział Web - szczęście cię opuści. Rozwał cię.

Dzieciak przystanął i odwrócił się. Po raz pierwszy zdawał się naprawdę przyglądać Webowi. Potem wyjrzał zza niego i popatrzył w stronę podwórka.

- Oni umarli? - zapytał.

W odpowiedzi Web zsunął wielki karabin z ramienia. Chłopiec zrobił krok do tyłu na widok budzącej lęk broni.

- Cholera, proszę pana, co pan chce zrobić?

- Zostań tu i kucnij - nakazał Web. Obrócił się w stronę podwórka. Teraz wszędzie słychać było syreny. Nadjeżdżała kawaleria, jak zwykle za późno. Najmądrzej byłoby nic nie robić. A jednak po prostu wymagano od niego więcej. Web musiał dokończyć robotę. Wyrwał kartkę z notatnika przyzcpionego do paska i nabazgrał szybko wiadomość. Potem ściągnął czapkę, którą nosił pod hełmem.

- Masz to - powiedział do dzieciaka. - Idź z powrotem uliczką, ale nie biegnij. Trzymaj w górze czapkę i daj kartkę ludziom, którzy idą w tę stronę. - Chłopiec wziął to od niego, jego długie palce zacisnęły się na czapce i złożonej kartce. Web wyciągnął raketnicę z kieszeni i umieścił w niej racę. - Kiedy strzelę, ruszaj. Idź, nie biegnij - przypomniał Web.

Chłopiec popatrzył na notatkę. Web nie miał pojęcia, czy w ogóle potrafił czytać. W tej okolicy nie należało zakładać, że dzieci zdobywają podstawy wykształcenia, które gdzie indziej uznawano za oczywistość.

- Jak masz na imię? - zapytał Web. Chłopiec powinien być teraz spokojny. Zdenerwowani ludzie popełniają błędy. A Web wiedział, że nadchodzący mężczyźni spaliliby na popiół każdego, kto gwałtownie rzuciłby się ku nim z naprzeciwka.

- Kevin - odpowiedział chłopiec. Gdy wymówił swoje imię, nagle zaczął wyglądać jak przestraszony mały dzieciak, którym był w istocie, i Web poczuł się jeszcze bardziej winny z powodu tego, o co prosił chłopca.

- W porządku, Kevin, ja jestem Web. Zrób, co mówię, to nic ci się nie stanie. Możesz mi zaufać - powiedział, jego poczucie winy znów wzrosło. Wycelował z raketnicy w niebo, popatrzył na Kevina, skinął głową, żeby dodać mu odwagi, a potem wystrzelił. Raca miała być dla

nich pierwszym ostrzeżeniem, a notatka zaniesiona przez Kevina drugim. Chłopiec oddał się. Szedł, ale zbyt szybko. - Nie biegnij! - wrzasnął Web. Odwrócił się w stronę podwórka, a potem nasunął termolokator na szynę Picatinny karabinu i zamocował go.

Czerwona rakietka zakręciła niebo i w wyobraźni Web zobaczył, jak szturmowcy i snajperzy zatrzymują się i zastanawiają nad tym. To dałoby chłopcu czas, żeby do nich dotrzeć. Kevin nie powinien umrzeć, przynajmniej nie tego wieczoru. Kiedy nastąpiła kolejna przerwa w ostrzale, Web wypadł z uliczki, rzucił się na ziemię, przetoczył na plecach, uniósł karabin, przyjmując pozycję strzelecką na brzuchu, i rozstawił dwójnog broni, po czym starannie przycisnął kolbę do barku. Trzy okna znajdujące się na wprost niego stanowiły jego pierwsze cele. Bez większego trudu dostrzegał gołym okiem płomienie wylotowe, ale termolokator pozwolił mu namierzyć rozgrzane karabiny maszynowe. To w nie chciał trafić. SR75 zagrzmiał i gniazda ogniowe eksplodowały jedno po drugim. Web załadował następny magazynek z dwudziestoma nabojami, wycelował, nacisnął spust i jeszcze cztery karabiny zostały wreszcie uciszone. Ostatnie gniazdo wciąż strzelało, Web poczołgał się do przodu i rzucił w nie granat wstrząsowy. I wtedy zapanowała cisza, dopóki Web nie zaczął wystrzeliwać całej amunicji ze swoich czterdziestek piątek w ciche teraz otwory okienne. Odrzucone łuski wysypywały się z pistoletów jak spadochroniarze z wnętrza samolotu. Po ostatnim strzale Web zgiął się wpół i wciągał cenne powietrze. Było mu tak gorąco, że aż obawiał się samozapłonu. Wtedy chmury się rozwarły i spadł ulewny deszcz. Spojrzał za siebie i zobaczył okrytego pancerzem szturmowca, który ostrożnie wkraczał na podwórko. Web spróbował pomachać do niego, ale ręka odmówiła mu posłuszeństwa; zwiślała bezwładnie wzdłuż tułowia.

Obejrzał poszarpane ciała członków swojej grupy, swoich przyjaciół, które zasłały lśniąco wilgocią asfalt. Potem opadł na kolana. Żył, ale tak naprawdę wolałby umrzeć. Ostatnią rzeczą, jaką Web London zapamiętał z tamtej nocy, był widok kropli własnego potu wpadających do kałuż zabarwionych krwią.

3

Randall Cove był wielkim, ogromnie silnym facetem obdarzonym nadzwyczajnymi ulicznymi instynktami, które jeszcze wyostrzyły lata posługiwania się nimi. Pracował jako tajny agent FBI od prawie siedemnastu lat. Infiltrował już latynoskie gangi narkotykowe w Los Angeles, meksykańskie grupy na granicy w Teksasie i Europejczyków z pierwszej ligi w południowej Florydzie. Jego misje były w większości zadziwiająco udane, choć czasami pełne napięcia. Obecnie podstawę uzbrojenia Cove'a stanowił półautomat kalibru .40 załadowany nabojami z wklęsłymi czubkami, które zapadały się i zmieniały w małe naleśniki po wbiciu się w ludzkie ciało, siejąc spustoszenie w narządach wewnętrznych i z reguły powodując śmierć. Miał jeszcze w pochwie nóż z ząbkowanym ostrzem i potrafił nim w mgnieniu oka przecinać najważniejsze tętnice. Zawsze szczyił się swoim profesjonalizmem i wiarygodnością. Teraz jednak pewni niedoinformowani ludzie byli gotowi potępić go jako podłego kryminalistę, który powinien zostać skazany na dożywotnie więzienie albo jeszcze lepiej stracony za swoje straszliwe grzechy. Cove wiedział, że ma poważne kłopoty, i rozumiał też, że tylko on sam może się z nich wyplątać.

Kulił się w samochodzie i patrzył, jak grupa mężczyzn wsiada do swoich wozów i odjeżdża. Gdy tylko go minęli, wyprostował się, poczekał trochę, a potem ruszył za nimi. Naciągnął mocniej narciarską czapkę na świeżo ostrzyżoną głowę. Pozbył się dredów, stwierdziwszy, że i tak są już w beznadziejnym stanie. Samochody zatrzymały się i Cove też to zrobił. Kiedy zobaczył, że mężczyźni wysiadają, wyciągnął z plecaka aparat i napstrykał zdjęć. Odłożył Nikona, wyjął lornetkę noktowizyjną i nastawił ją na odpowiednią odległość. Kiwał głową, rozpoznając kolejnych mężczyzn.

Odetchnął głęboko i przypomniał sobie swoje dotychczasowe życie, gdy obserwowana przez niego grupa zniknęła w budynku. Jako student college'u w Oklahomie był większą, szybszą wersją Waltera Paytona, powszechnie uważano go za najlepszego zawodnika w Stanach. Wszystkie kluby z NFL zarzucały go propozycjami obejmującymi góry pieniędzy i różne dodatkowe korzyści. To znaczy działało się tak, dopóki

nie zerwał przednich wiązań krzyżowych w obu kolanach na skutek nieszczęśliwego upadku podczas obozu dla młodych talentów, co zmieniło go z nadczłowieka z gwarantowaną błyskotliwą karierą w męczyzną o całkiem przeciętnych umiejętnościach, który już nie wzbudzał zainteresowania trenerów z NFL. Potencjalne miliony dolarów natychmiast przepadły, a wraz z nimi jedyny sposób życia, jaki znał. Dryfował ponuro parę lat, próbując się usprawiedliwiać i szukając współczucia, i staczał się coraz niżej, aż nic mu nie zostało, i wtedy ją znalazł. Zawsze uważał swoją żonę za znak boskiej interwencji, skoro ocalała przed zapomnieniem takiego żalnego, rozczulającego się nad sobą żywego trupa. Z jej pomocą wziął się w garść i spełnił ukryte marzenie o zostaniu prawdziwym federalnym.

Robił rozmaite rzeczy w Biurze. Były to czasy, kiedy możliwości dostępne dla czarnoskórych mężczyzn wciąż jeszcze były poważnie ograniczone. Zaczęto go nakłaniać do pracy w charakterze tajniaka do spraw narkotykowych. Przełożeni bez ogródek poinformowali Cove'a, że większość „złych facetów” to ludzie o takim samym jak jego kolorze skóry. Mówili: „Umiesz chodzić jak trzeba i mówić jak trzeba, twój wygląd też pasuje do tej roli”. I tak naprawdę nie mógł temu zaprzeczyć. Praca była na tyle niebezpieczna, że nigdy się nie nudził. A Randall Cove nie potrafił znieść uczucia nudy. I posyłał do więzienia więcej typków w ciągu miesiąca niż przeciętny agent przez całe swoje życie zawodowe, i były to grube ryby, organizatorzy, ci, co naprawdę robili forszę, nie jacyś drobni handlarze z ulicy, których jeden niefortunny niuch dzielił od grobu dla nędzarzy. Mieli z żoną dwoje pięknych dzieci i Cove powoli zaczynał myśleć o emeryturze i zakończeniu kariery, kiedy nagle jego świat się rozpadł i nie miał już żony ani dzieci.

Ocknął się z zamyślenia, kiedy mężczyźni wyszli, wsiedli do samochodów i odjechali. Cove znów podążył za nimi. Stracił jeszcze coś, czego już nigdy nie odzyska. Sześciu ludzi zginęło dlatego, że spał robotę, że dał się wykiwać jak zupełny żółtodziób. Urażono jego dumę i wrzał gniewem. A siódmy członek tej rozbitej drużyny mocno intrygował Cove'a. Mężczyzna przeżył, choć też powinien być martwy, i najwyraźniej nikt nie wiedział, dlaczego tak się stało, ale gra dopiero się rozpoczynała. Cove chciał popatrzeć temu mężczyźnie w oczy i zapytać: „Dlaczego jeszcze oddychasz?” Nie dysponował teczką Weba Londona i nie wyglądało na to, żeby miał ją wkrótce dostać. Taak, Cove był w FBI, ale taak, bez wątpienia wszyscy myśleli, że zdradził. Tajni agenci musieli balansować na tej granicy, prawda? Podobno wszyscy byli stuknięci, zgadza się? Taką niewdzięczną pracę wykonywał już przez tyle lat. Nie przeszkadzało mu to jednak, bo wykonywał ją dla siebie i dla nikogo innego.

Samochody wróciły na długi podjazd, Cove zatrzymał się, zrobił jeszcze trochę zdjęć, a potem zawrócił. Najwidoczniej to było wszystko na ten wieczór. Ruszył z powrotem do jedyne miejsce, w którym mógł się teraz czuć bezpiecznie, i nie był to jego dom. Na jednym z zakrętów, gdy przyspieszał, nie wiadomo skąd pojawiły się z tyłu dwa reflektory i już go nie odstępowały. To nie było dobre, nie na takiej drodze. Zainteresowanie ze strony bliźnich nie było czymś, czego Cove kiedykolwiek pragnął i do czego by zachęcał. Skręcił, to samo zrobił tamten samochód. W porządku, to była poważna sprawa. Znow przyspieszył. To samo zrobił jego ogon. Cove sięgnął do kabury przy pasie, wyjął pistolet i uważnie go odbezpieczył.

Spojrzał we wsteczne lusterko, żeby sprawdzić, czy uda mu się odcenić, z iloma facetami ma do czynienia. Było jednak za ciemno, tego odcinka drogi nie oświetlały żadne latarnie. Pierwsza kula przebiła prawą tylną oponę jego wozu, a druga lewą. Gdy walczył o zachowanie panowania nad kierownicą, jakaś ciężarówka wyjechała z bocznej drogi i uderzyła w bok jego samochodu. Gdyby okno po lewej stronie było zamknięte, głowa Cove'a przebiłaby szybę. Chociaż to nie była zima, ciężarówka miała z przodu zamontowany pług śnieżny. Zwiększyła prędkość i popchnęła samochód Cove'a. Czuł, że wóz zaraz przewróci się na dach, i wtedy ciężarówka wyrzuciła jego dwudrzwiowego sedana za barierę przy drodze, która została tam umieszczona głównie po to, żeby chronić pojazdy przed runięciem ze stromej skarpy, którą droga okrążała łukiem. Samochód trzasnął bokiem w ziemię, a potem się poturlał, drzwi z obu stron otworzyły się szeroko. Sedan dalej koziołkował, aż w końcu poobijana kupa żelastwa opadła na skały u podnóża zbocza i zapaliła się.

Samochód, który śledził Cove'a, zatrzymał się. Wysiadł z niego mężczyzna. Podbiegł do wygiętej bariery i popatrzył w dół. Zobaczył ogień, przyglądał się wybuchowi, który nastąpił, kiedy opary paliwa zetknęły się z płomieniami, a potem popędził z powrotem do swojego wozu. Odjeżdżając, dwa pojazdy wzbily ziarenka żwiru.

Randall Cove odczekał chwilę i wstał wolno w miejscu, gdzie został wyrzucony, kiedy drzwi od strony kierowcy prawie odbiły się o maskę na skutek pierwszego uderzenia o ziemię. Stracił pistolet i miał uczucie, że połamał kilka żeber, ale żył. Popatrzył w dół na to, co zostało z jego samochodu, a potem znow w górę, ale mężczyźni, którzy próbowali go zabić, byli już daleko. Cove stanął chwiejnie na nogach i powoli zaczął się wspinać po skarpie.

Web zdrową ręką ścisnął zranioną dłoń, głowa mu pękała, jakby szybko wypił trzy szklanki czystej tequili i miał ją zaraz zwymiotować. Sala

szpitalna była pusta. Na zewnątrz stał uzbrojony człowiek, który miał pilnować, żeby nic nie przydarzyło się Webowi - w każdym razie nic innego.

Web leżał tutaj cały dzień i przez część wieczoru, myśląc o tym, co się stało, i wcale nie był bliżej jakichkolwiek odpowiedzi niż wtedy, gdy go tu przywieźli. Odwiedził go już dowódca razem z kilkoma członkami Grupy Hotel i paroma snajperami z Whisky i Rentgena. Mówili niewiele, bo wszyscy byli wstrząśnięci i pogrążeni w bólu. Nie wierzyli, że coś takiego mogło im się przytrafić. W ich oczach Web widział podejrzenia dotyczące tego, co się z nim tam stało.

- Przykro mi, Debbie - powiedział Web do powstałego w jego umyśle obrazu wdowy po Teddym Rinerze. Powiedział to samo do Cynde Plummer, żony Cala, teraz także wdowy. Jechał dalej w dół listy: razem sześć kobiet, i wszystkie były jego przyjaciółkami. Ich mężowie byli jego partnerami, towarzyszami; Web odczuwał ich brak tak samo boleśnie jak ich żony.

Puścił zranioną rękę i dotknął nią metalowej ramy łóżka. Co za przykrą ranę stamtąd wyniósł. Nie trafił go bezpośrednio ani jeden nabój.

- Nawet raz nie strzeliłem, kiedy było trzeba, do cholery - powiedział do ściany. - Nawet raz! Czy zdajesz sobie sprawę, jakie to niewiarogodne? - zawołał do kroplówki, po czym zamilkł.

- Dostaniemy ich, Web.

Ten głos przestraszył Weba, bo nie słyszał, żeby ktoś wchodził do pokoju. Uniósł się z trudem na łóżku, aż zobaczył zarys ludzkiej postaci. Percy Bates usiadł na krześle obok Weba. Mężczyzna przyglądał się badawczo linoleum, jakby to była mapa, która miała zaprowadzić go do miejsca, w którym znajdowały się wszystkie odpowiedzi.

Mówiono, że Percy Bates ani trochę się nie zmienił przez dwadzieścia pięć lat. Waga tego szczupłego mężczyzny o stu siedemdziesięciu ośmiu centymetrach wzrostu nie zwiększyła się ani nie zmalała nawet o pół kilograma. Miał ciemne włosy bez najmniejszego śladu siwizny, zaczesane w taki sam sposób jak wtedy, gdy pierwszy raz wszedł do FBI wkrótce po ukończeniu Akademii. Wydawał się zahibernowany, było to niezwykle w branży, w której ludzie zwykle przedwcześnie się starzeli. Stał się swego rodzaju legendą w Biurze. Siał zniszczenie wśród handlarzy narkotyków na granicy Teksasu z Meksykiem, a później w Biurze Regionalnym w Los Angeles stworzył piekło na ziemi kryminalistom z Zachodniego Wybrzeża. Szybko awansował i był obecnie jednym z najwyższymi postawionych ludzi w Biurze Regionalnym w Waszyngtonie, zwanym „WFO”*. Miał doświadczenie we wszystkich

* z ang. Washington Field Office

głównych dziedzinach działalności Biura i był człowiekiem, który wiedział, jak dopasować do siebie wszystkie fragmenty układanki.

Bates, do którego zwracano się Perce, zwykle mówił łagodnym głosem. Jednak potrafił spojrzeć podwładnego spojrzeniem, po którym ten czuł, że nie zasługuje na zajmowanie choćby dziesiątej części metra kwadratowego przestrzeni. Potrafił być najlepszym sprzymierzeńcem albo najgorszym wrogiem. Może tak się kończyło dla człowieka dorastanie z imieniem typu Percy.

Web był przedmiotem niektórych klasycznych tyrad Batesa, kiedy jeszcze pracował pod jego bezpośrednimi rozkazami na wcześniejszym etapie swojej kariery zawodowej w Biurze. Zasłużył na sporo z tych zniewag, bo popełniał błędy, gdy uczył się, jak być dobrym agentem. Bates wybierał sobie od czasu do czasu ulubieńców i podobnie jak wszyscy, niekiedy szukał kozłów ofiarnych, na których mógł zwalić winę, kiedy wszystko się popieprzyło. Web nie przyjął więc teraz jego wypowiedzi bezkrytycznie. Nie uznał też przyciszonego tonu za oznakę pokojowych zamiarów i dobrej woli. A jednak tej nocy, kiedy Web stracił połowę twarzy w wirze walki, Bates jako jeden z pierwszych pojawił się przy jego łóżku i Web nigdy o tym nie zapomniał. Nie, Percy Bates nie był prostym przypadkiem, jak resztą żaden z nich. On i Bates nigdy nie zostali serdecznymi przyjaciółmi, ale Web nie uważał, że trzeba pić drinki z facetem, żeby go szanować.

- Wiem, że podałeś nam wstępne informacje, ale będziemy potrzebować twojego szczegółowego raportu, gdy tylko będziesz mógł go złożyć - powiedział Bates. - Ale nie spiesz się. Poleż spokojnie, odzyskaj siły.

Przesłanie było jasne. To, co się zdarzyło, zdruzgotało ich wszystkich. Nie będzie żadnych wybuchów Batesa. Przynajmniej nie teraz.

- Więcej zadraśnięć niż czegoś poważniejszego - wymamrotał w odpowiedzi Web.

- Mówili o ranie od kuli na twojej dłoni. Skaleczenia i siniaki na całym ciele. Lekarze powiedzieli, że wygląda to tak, jakby ktoś obił cię kijem baseballowym.

- Nic wielkiego - zapewnił Web i poczuł, że ta wypowiedź skrajnie go wyczerpała.

- I tak musisz odpocząć. A potem przyjmimy twój raport. - Bates wstał. - I jeśli dasz radę, a wiem, że to będzie trudne, pomógłbyś nam, gdybyś zechciał tam wrócić i wyjaśnić nam, co dokładnie się zdarzyło.

I jak zdołałem przeżyć? Web skinął głową.

- Będę gotowy już niedługo.

- Nie spiesz się - powtórzył Bates. - To na pewno nie będzie łatwe. Ale zrobimy to. - Klepnął go po ramieniu i odwrócił się w stronę drzwi.

Web poruszył się, próbując usiąść.

- Perce? - W ciemnościach widać było tylko białka oczu Batesa. Webowi wydawało się, że to dwie wiszące w powietrzu kości do gry jakimś sposobem ukazujące dwójki. - Wszyscy zginęli, prawda?

- Wszyscy - potwierdził Bates. - Tylko ty zostałeś, Web.

- Zrobiłem, co mogłem.

Drzwi się otworzyły, a potem zamknęły, i Web został sam.

Po wyjściu na korytarz Bates naradzał się z grupą mężczyzn ubranych dokładnie tak jak on: nie rzucające się w oczy niebieskie garnitury, koszule, stonowane krawaty, czarne buty na gumowej podeszwie, a u pasa wielkie pistolety w małych kaburach.

- To będzie medialny koszmar, wiesz o tym - powiedział jeden z nich. - Właściwie już się zaczęło.

Bates włożył do ust listek gumy, namiastkę winstonów, które rzucił już po raz piąty, ale zapewne nie ostatni.

- Potrzeby zafajdanych dziennikarzy nie znajdują się wysoko na mojej liście priorytetów - stwierdził.

- Musisz ich stale informować, Perce. Jeśli tego nie zrobisz, przyjmą najgorszą wersję i zaczną coś z niej pichcić. Nie uwierzysz, jakie materiały pojawiły się już w Internecie, że ta masakra jest powiązana z apokaliptycznym powrotem Jezusa albo że ma coś wspólnego ze spiskiem chińskich handlarzy. Skąd oni biorą to gówno? Ludzie od kontaktów z mediami dostają szału.

- Nie wierzę, że ktoś miałby dość odwagi, żeby nam to zrobić - odezwał się inny mężczyzna, siwy i pulchny po długiej służbie dla swojego kraju. Bates wiedział, że akurat ten agent nie widział nic poza blatem swojego biurka od ponad dziesięciu lat, ale lubił zachowywać się tak, jakby było inaczej. - Ani Kolumbijczycy, ani Chińczycy, ani nawet Rosjanie nie mieliby dość odwagi, żeby zaatakować nas w ten sposób.

Bates spojrzał na niego.

- To jest walka „nas” z „nimi”. Pamiętasz? Próbujemy dobrać im się do tyłków przez cały czas. Myślisz, że oni nie chcą się nam odwzajemnić?

- Ale, mój Boże, Perce, pomyśl o tym. Właśnie wymordowali oddział naszych ludzi. Na naszym terenie - oburzał się starszy facet.

Perce popatrzył na niego i zobaczył słonia bez kłów, który już wkrótce upadnie, umrze i stanie się obiadem dla mięsożerców z dżungli.

- Nie miałem pojęcia, że rościmy sobie prawo do tamtej części Dystryktu Columbia - odparł. Po raz ostatni spał dwa dni wcześniej i zaczynał teraz naprawdę to odczuwać. - Właściwie miałem wrażenie, że to oni są tam gospodarzami, a my przyjeżdżną ekipą.

- Wiesz, o co mi chodzi. Co mogło spowodować tego rodzaju atak?

- Kurczę, nie wiem, może zrobili to dlatego, że z takim cholernym uporem próbujemy wyciągnąć wtyczkę ich rurociągu z narkotykami przynoszącego miliard dolarów dziennie i zaczyna ich to naprawdę wkurzać, ty idioto! - Mówiąc to, zmusił mężczyznę do wycofania się w kąć korytarza, a potem uznał, że agent jest niezbyt szkodliwy i nie warto go zawieszać.

- Jak on się czuje? - zapytał inny mężczyzna, zagrypony blondyn z czerwonym nosem.

Bates oparł się o ścianę, pożuł gumę, a potem wzruszył ramionami.

- Myślę, że najgorzej jest z jego głową. Ale tego można się było spodziewać.

- Szczęściarz, tyle tylko mogę powiedzieć - skomentował czerwono-nosy. - Można tylko zgadywać, jak przeżył.

Nie trzeba było długo czekać, żeby Bates wydarł się na faceta. Najwyraźniej tego wieczoru nie brał jeńców.

- Nazywasz to szczęściem, kiedy ktoś patrzy, jak sześciu ludzi z jego grupy zmienia się na jego oczach w krwawą miazgę? Czy to chcesz powiedzieć, do diabła, ty tępą sukinyńcu?

- Jezus, nie o to mi chodziło, Perce. Wiesz, że nie o to. - Czerwono-nosy kaszlnął donośnie, jakby chciał pokazać Batesowi, że jest chory i nie ma ochoty się spierać.

Bates odsunął się od blondyna, całkowicie zniechęcony do nich wszystkich.

- Na razie nic nie wiem. Nie, cofam to. Wiem, że Web sam jeden zlikwidował osiem gniazd karabinów maszynowych, a także uratował następną oddział i jakiegoś dzieciaka z getta. To już wiem.

- Według wstępnego raportu Web stanął w miejscu. - Te słowa wypowiedział mężczyzna, który właśnie przyłączył się do dyskutantów; wyraźnie był ważniejszy od nich wszystkich. Dwóch dzentelmenów z kamiennymi twarzami szło za nim gęsiego. - I tak naprawdę, Perce, wiemy tylko to, co powiedział nam Web - dodał. Chociaż niewątpliwie był wyższy rangą od Percy'ego Batesa, widać było, że Bates chętnie by odszczeknął, a jednak zabrakło mu śmiałości.

- London będzie musiał cholernie dużo wyjaśnić - ciągnął mężczyzna. - I zaczynamy to dochodzenie, mając szeroko otwarte oczy, o wiele szerzej niż dzisiaj w nocy. Dzisiejsza noc była hańbą. Dzisiejsza noc nigdy, ale to nigdy się nie powtórzy. Nie pod moim nadzorem. - Popatrzył surowo na Batesa, a potem dodał sarkastycznie: - Przekaż Londonowi najlepsze pozdrowienia ode mnie.

Po chwili Buck Winters, szef Biura Regionalnego FBI w Waszyngtonie, odszedł dumnym krokiem, a za nim podążyli jego dwaj ochroniarze podobni do robotów.

Bates spoglądał z odrazą na plecy mężczyzny. Buck Winters był jednym z głównych dowódców akcji na linii frontu w Waco i zdaniem Batesa przyczynił się do końcowej rzezi z powodu swej nieudolności. Potem w zabawny sposób, typowy dla wielkich organizacji, Winters otrzymywał awans po awansie za swoją niekompetencję, aż dotarł na szczyt WFO. Może Biuro po prostu nie chciało przyznać, że spartaczyło sprawę, i uważało awansowanie ludzi, którzy należeli do dowództwa podczas fiaska w Waco, za skuteczny sposób pokazania światu, że Biuro w ogóle nie poczuwa się do winy. Wprawdzie wiele głów poleciało z powodu spłonięcia Davida Koresha w Teksasie, ale głowa Bucka Wintersa wciąż mocno trzymała się jego karku. W oczach Percy'ego Batesa Buck Winters uosabiał sporą część ciemnych stron FBI.

Bates znów oparł się o ścianę, skrzyżował ramiona na piersiach i żuł swoją gumę wrigley's tak intensywnie, że bolały go zęby. Był pewien, że kochany Buck popędzi na naradę z dyrektorem FBI, prokuratorem generalnym, a prawdopodobnie nawet z prezydentem. Cóż, niech sobie rozmawia, dopóki wszyscy oni nie będą wchodzić w drogę Percy'emu Batesowi.

Mężczyźni rozeszli się bezszelestnie, pojedynczo bądź w parach, aż pozostali tylko Bates i umundurowany strażnik. W końcu Bates też ruszył do wyjścia, z rękami w kieszeniach, wbijając wzrok w jakiś nieokreślony punkt. Po drodze wypluł gumę do kosza na śmieci.

- Dupki i idioci - powiedział. - Dupki i idioci.

4

Web, ubrany w niebieską szpitalną piżamę, niósł torbę ze swoimi rzeczami osobistymi i wpatrywał się w rozświetlone słońcem niebo, które wypełniało okno jego sali. Drażniły go warstwy gazy, którymi owinięto mu zranioną dłoń; czuł się tak, jakby nosił rękawicę bokserską.

Miał już otworzyć drzwi, żeby wyjść, kiedy same się uchyliły. Przy najmniej tak mu się wydawało, dopóki nie pokazał się w nich mężczyzna.

- Co tutaj robisz, Romano? - zapytał Web ze zdziwieniem.

Mężczyzna nie zareagował od razu. Miał trochę ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, ważył około osiemdziesięciu kilo, a stalowe mięśnie nadawały mu bardzo potężny wygląd. Miał ciemne faliste włosy, włożył starą skórzaną kurtkę, czapkę baseballową Jankesów i dżinsy. Jego odznaka FBI była przypięta do paska, podobnie jak kabura, z której wystawała rękojeść pistoletu.

Romano obejrzał Weba od stóp do głów, aż wreszcie jego spojrzenie zatrzymało się na obandażowanej dłoni Londona. Wskazał ją.

- Czy to jest to? Czy to jest twoja cholerna rana?

Web popatrzył na swoją dłoń, a potem na Romano.

- Byłbyś szczęśliwszy, gdybym miał dziurę w głowie?

Paul Romano, szturmowiec przydzielony do Grupy Hotel, budził jeszcze większy strach niż podobni faceci z jego otoczenia, poza tym zawsze wiedział, co o tobie myśli. Zwykle nic dobrego. Web nigdy nie nawiązał z nim bliższych stosunków głównie dlatego, jak sądził, że został postrzelony więcej razy niż tamten, a Romano nie mógł ścierpieć, że Web może wydawać się bardziej bohaterski czy twardy.

- Zapytam cię o to tylko raz, Web, i chcę jasnej odpowiedzi, człowieku. Jak będziesz mi wciskał kit, to sam cię wykończę.

Web popatrzył na niego z góry i podszedł trochę bliżej, tak że zdawał się jeszcze bardziej górować nad nim wzrostem. Wiedział, że to też wkurzało Romano.

- Jezu, Paulie, przyniosłeś mi też jakieś słodycze i kwiaty?

- Po prostu powiedz mi to otwarcie, Web... - przerwał Romano, a potem zapytał: - Stchórzyłeś?

- Taak, Paulie, te karabiny jakimś sposobem porozwalały się nawzajem.

- Wiem o tym. Ale co się stało wcześniej? Kiedy wszystkich z Grupy Charlie wybito. Nie było cię z nimi. Dlaczego?

Web poczuł, że oblewa go fala gorąca, i nienawidził siebie za to. Przytyki Romano zwykle go nie wzruszały. A jednak prawda była taka, że nie umiał mu odpowiedzieć.

- Coś się stało, Paulie, w mojej głowie. Nie wiem dokładnie co. Ale nie miałem nic wspólnego z zasadzką, gdybyś nagle stracił rozum i pomyślał coś takiego.

Romano pokręcił głową.

- Nie myślałem, że zdradziłeś, Web, tylko że stałeś się mięczakiem.

- Jeśli to wszystko, co chciałeś mi powiedzieć, to możesz iść stąd w cholere.

Romano znów zmierzył go wzrokiem i po każdym takim piorunującym spojrzeniu Web w coraz mniejszym stopniu czuł się mężczyzną. Romano odwrócił się bez słowa i wyszedł. Web wolałby, żeby odwrócić się na pięcie po kolejnej zniewadze, a nie w ciszy.

Odczekał kilka minut, a potem otworzył drzwi.

- Dlaczego pan wstał? - zapytał zdziwiony wartownik.

- Lekarze mnie wypisali, nie powiedzieli panu?

- Nikt mi nic takiego nie mówił.

Web podniósł obandażowaną dłoń.

- Rząd nie zapłaci za następną noc z powodu zadraśniętej dłoni. A ja ani myślę dokładać różnicę z mojej wypłaty. - Web nie znał tego ochroniarza, ale wyglądał on na człowieka gotowego wykazać zrozumienie dla takich zdroworozsądkowych argumentów. Web nie czekał na odpowiedź, tylko po prostu odszedł. Wiedział, że nie można go na żadnej podstawie zatrzymać. Wartownik musiał tylko powiadomić o tym wydarzeniu swoich przełożonych i z pewnością właśnie to robił.

Web wyszedł chyłkiem bocznymi drzwiami, znalazł telefon, zadzwonił do kumpla i po godzinie był już w swoim dwupoziomowym trzydziestoletnim domu farmerskim na cichym przedmieściu Woodbridge w Wirginii. Przebrał się w dżinsy, mokasyny i granatową bawełnianą bluzę, zerwał gazę i zastąpił ją pojedynczym plastrem, co miało jaskrawą wymowę symboliczną. Nie chciał od nikogo współczucia, nie teraz, kiedy sześciu jego najbliższych przyjaciół leżało w kostnicy.

Sprawdził wiadomości na sekretarce. Nie było niczego ważnego, wiedział jednak, że to się zmieni. Otworzył kluczem jedną ze skrzynek na broń, wyjął z niej swojego zapasowego dziewięćmilimetrowca i wepchnął go do kabury przy pasie. Chociaż nikogo nie zastrzelił, i tak całą sprawę badała teraz SRB* - Komisja Nadzoru nad Używaniem Broni Palnej - ponieważ Web zdecydowanie użył swojego sprzętu. Skon-

* z ang. Shooting Review Board

fiskowali jego karabin i pistolety, miał wrażenie, że pozbawili go rąk. Potem poinformowali go o jego prawach i złożył im raport. Wszystko to było standardową procedurą regulowaną przepisami, a jednak i tak poczuł się jak przestępca. Cóż, nie miał zamiaru chodzić bez giwery. Był z natury paranoikiem, a masakra jego grupy zrobiła z niego chodzącego samopas psychotyka, zdolnego do traktowania niemowląt i króliczków jako prawdziwych zagrożeń.

Poszedł do garażu, zapalił swojego czarnego jak węgiel forda mach jeden z 1978 roku i wyjechał na ulicę.

Web miał dwa pojazdy: macha oraz stareńkiego suburbana, który woził jego i resztę Grupy Charlie na wiele meczów futbolowych Czerwonoskórych, na plaże Wirginii i Marylandu, na wycieczki, podczas których głównie pito piwo, i na rozmaite inne męskie wyprawy wzdłuż całego Wschodniego Wybrzeża. Każdy z kumpli Weba miał w suburbanie własne miejsce, wyznaczone na podstawie stażu i umiejętności, bo w taki sposób rozdzielano wszystko tam, gdzie pracował Web. Jakie wspaniałe chwile przeżyli w tej wielkiej maszynie! Teraz Web się zastanawiał, ile uda mu się dostać za suburbana, bo nie widział już siebie za kierownicą tej bestii.

Wskoczył na Międzystanową 95, obrał kierunek na północ i przebrnął przez tor przeszkód, jakim był Węzeł Springfield, najwyraźniej zaprojektowany przez inżyniera uzależnionego od kokainy. Teraz przeprowadzano tam generalny remont, który miał trwać przynajmniej dziesięć lat, więc kierowca, który przebywał to skrzyżowanie codziennie, mógł tylko śmiać się albo płakać, gdy uciekały mu miesiące życia, a samochody przesuwały się co pewien czas o parę centymetrów. Web przemknął po moście na Czternastej Ulicy, przeciął północno-zachodnią część miasta, gdzie znajdowały się wszystkie najważniejsze zabytki wraz z dolarami turystów i szybko zagłębił się w mniej przyjemne dzielnice Waszyngtonu.

Web był specjalnym agentem FBI, ale wcale tak o sobie nie myślał. Przede wszystkim był członkiem HRT*, oddziału wyszkolonego w odbijaniu zakładników, elitarnej grupy szybkiego reagowania Biura. Nie nosił garniturów. Nie spędzał zbyt wiele czasu z agentami spoza HRT. Nie przybywał na miejsce przestępstwa dopiero wtedy, gdy kule przestały już latać. Zwykle był tam od pierwszego momentu, aby biec, uchylać się, strzelać, ranić, a czasami zabijać. W grupie działało tylko pięćdziesięciu ludzi, ponieważ selekcja była bardzo ostra. Przeciętnie pracowało się w HRT pięć lat. Web przełamał ten zwyczaj i kończył już ósmy rok służby. Wydawało się, że są obecnie wzywani znacznie częściej i to do punktów zapalnych na całym świecie, a niepisane regu-

* z ang. Hostage Rescue Team

ły HRT mówiły, że trzeba oderwać samolot od ziemi w bazie sił lotniczych Andrews po najwyżej czterech godzinach od wezwania. Cóż, on już odegrał swoją rolę w tym przedstawieniu. Został bez grupy.

Nigdy nie przyszło mu do głowy, że jako jedyny przeżyje akcję. Po prostu nie pasowało to do jego natury. Wszyscy żartowali na ten temat, zawierali nawet zakłady przewidujące, który z nich umrze w pewną bezkسیężycową noc. Web z reguły był pierwszy na liście, bo wydawało się, że zawsze jest pierwszy na linii ognia. Teraz jednak dręczyło go to, że nie wiedział, co stało się między nim a siódmą trumną. A jedynym uczuciem gorszym od poczucia winy był wstyd.

Gdy zobaczył policyjną barierkę, zatrzymał macha przy krawężniku i wysiadł. Pokazał identyfikator facetom z posterunku, wszyscy byli zdumieni jego widokiem. Przemknął uliczką, zanim armia dziennikarzy zdołała się na niego rzucić. Od czasu masakry nadawali stąd na żywo ze swoich satelitarnych wozów transmisyjnych z wysokimi masztami. Złapał trochę wiadomości w szpitalu. Karmili społeczeństwo ciągle tym samym, używając swoich tabletek i zdjęć, stroili ponure minki i mówili coś w rodzaju: „Na razie wiemy tylko tyle. Ale zostańcie z nami, jestem pewien, że później uzyskamy więcej informacji, nawet jeśli będziemy musieli zmyślić jakieś gówno. Oddaję ci mikrofon, Sue”. Web potruchtał alejką.

Burza szalejąca ostatniej nocy już dawno wpadła do Atlantyku. Wyparło ją najchłodniejsze powietrze, jakie pojawiło się w mieście od wielu tygodni. Waszyngton, zbudowany na bagnach, lepiej radził sobie z upałem i wilgocią niż z zimnem i śniegiem. Kiedy spadał śnieg, jedyna oczyszczona z niego ulica biegła w twoich marzeniach.

W połowie zaułka natknął się na Batesa.

- Co ty tu, do cholery, robisz? - zapytał Bates.

- Powiedziałeś, że chcesz usłyszeć moją relację na miejscu, więc jestem tutaj, żeby ci wszystko opowiedzieć. - Bates spojrział na dłoń Weba. - Biermy się do tego, Perce. Każda minuta się liczy.

Web powtórzył drogę swojego oddziału dokładnie od miejsca, w którym wyrzucił ich Chevrolet. Z każdym krokiem, który robił w kierunku celu, narastał w nim gniew i strach. Ciało już nie było, ale krew została. Najwyraźniej nawet rzęsisty deszcz nie zdołał jej zmyć. Web błyskawicznie powtórzył w myśli każdy ruch, jaki wtedy wykonał, przypominał sobie każde uczucie, jakiego wtedy doświadczał.

Zniszczone gniazda karabinów maszynowych były demontowane i badane przez ludzi, którzy regularnie doprowadzali do wyroków sądowych na podstawie mikroskopijnych skrawków. Inni chodzili po kwadratowym podwórku, klękali, pochylali się, oznaczali różne rzeczy etykietami i wszystko gruntownie badali, krótko mówiąc: szukali od-

powiedzi w przedmiotach, które raczej nie były skłonne ich udzielić. Web obserwował ich bez wiary, że to coś da. Było mało prawdopodobne, że wyraźne ślady czekają tylko na karabinach, żeby je pobrali technicy od odcisków palców. Ten, kto zaplanował tę wymyślną zasadzkę, nie byłby tak niedbały. Web stąpał między plamami krwi, jakby chodził na palcach wokół grobu; czy nie było tak naprawdę?

- Okna zostały pomalowane na czarno, żeby broni nie można było zauważyć, dopóki nie zacznie strzelać. Nie pojawiały się więc żadne rozkłyski światła na lufach, nic takiego - wyjaśnił Bates.

- Miło wiedzieć, że załatwili nas zawodowcy - odpowiedział gorzko Web.

- Całkowicie skasowałeś te pięćdziesiątki. - Bates wskazał jeden ze zniszczonych karabinów.

- SR75 potrafi to dla ciebie zrobić.

- To minidziałka, konstrukcja wojskowa. Sześciolufowe, podobne do Gatlingów, ustawione na trójnogach, które przyśrubowano do podłogi, żeby pozycja strzelecka się nie zmieniała. Każdy był wyposażony w podajnik, taśmy i cztery tysiące połączonych naboju. Wybrana szybkostrzelność wynosiła czterysta na minutę, chociaż maksymalne ustawienie to osiem tysięcy.

- Czterysta to bardzo dużo. I było osiem karabinów. To trzy tysiące dwieście kul lecących na ciebie w ciągu sześćdziesięciu sekund. Wiem to, bo wszystkie oprócz jednego rykoszetu minęły mnie o kilka cali.

- Przy tak wolnym tempie te karabiny mogły strzelać długo.

- I strzelały.

- Napęd był elektryczny, a naboje mogły przebić pancierz.

Web tylko pokręcił głową.

- Dowiedzieliście się, co je uruchomiło?

Bates poprowadził go do muru po stronie podwórka najbardziej oddalonej od uliczki, którą przyszedł. Była to część budynku stojącego prostopadle do innej opuszczonej kamienicy, celu niedoszłej akcji. Zlekceważony obiekt stanowił źródło jednej drugiej strzelającego półkola, które sprzątnęło Grupę Charlie. To, co było niedostrzegalne w ciemnościach, tylko trochę wyraźniej ukazało się w świetle dziennym.

Web ukląkł i rozpoznał urządzenie laserowe. W ceglach wybito małą dziurę i wetknięto tam czubek lasera z zasilaczem. Dziura była dłuższa niż zasilacz, tak że kiedy umieszczono go w środku, był prawie niewidoczny. Snajperzy nie mogli go zauważyć ze swoich stanowisk, nawet gdyby szukali czegoś takiego, ale ich wywiad nie dostarczył żadnych wskazówek co do podejrzanych przedmiotów, o ile Web się orientował. Ścieżka lasera biegła na wysokości kolan i kiedy niewidoczny strumień światła został włączony, bez wątplenia przeciął podwórko.

- Wiązka zostaje przerwana, karabiny zaczynają strzelać i zatrzymują się tylko na kilka sekund po każdym cyklu, dopóki nie skończy się amunicja. - Web rozejrzył się w oszołomieniu. - A gdyby pies albo kot, albo ktoś, kto po prostu tutaj przechodził, przerwał promień, zanim my tam dotarliśmy?

Z wyrazu twarzy Batesa wynikało jasno, że już rozważył taką możliwość.

- Myślę, że ludzie zostali dyskretnie ostrzeżeni i trzymali się z daleka. Zwierzęta to inna sprawa. A więc uważam, że laser został włączony za pomocą pilota.

Web wstał.

- A więc czekali, aż będziemy prawie na podwórku, zanim uruchomili laser. To znaczy, że ta osoba musiała być dosyć blisko.

- Cóż, słyszała, jak się zbliżacie, albo dostała informację. Być może czekała, aż wyjdziecie zza rogu, nacisnęła przycisk pilota i uciekła.

- Nie widzieliśmy cholernej żywej duszy na tym podwórku, a mój termolokator nie wykrył nigdzie temperatury trzydzieści sześć pryncipalów sześć.

- Może byli w tym budynku, do diabła, w którymkolwiek z budynków. Wycelowali urządzenie w jedno z tych okien, nacisnęli w przycisk i zniknęli na długo przed pierwszymi strzałami.

- A snajperzy i Hotel niczego nie zobaczyli?

Bates pokręcił głową.

- Hotelarze opowiadają, że niczego nie widzieli, dopóki dzieciak nie przyniósł im twojej notatki.

Wzmianka o Hotelu sprawiła, że Web pomyślał o Paulu Romano, i ogarnęło go jeszcze większe przygnębienie. Romano był teraz prawdopodobnie w Quantico i opowiadał wszystkim, że Web okazał się tchórzem i pozwolił zginąć swojej grupie, a teraz próbuje tłumaczyć się zaćmieniem umysłu.

- Whisky? Rentgen? Musieli coś widzieć - powiedział Web o snajperach z dachów.

- Coś widzieli, ale na razie nie mogę o tym rozmawiać.

Instynkt powiedział Webowi, żeby dać temu spokój. Co mogli powiedzieć snajperzy? Że widzieli, jak Web zastygł w miejscu, pozwolił, aby grupa popędziła dalej bez niego, a potem upadł na ziemię, kiedy jego towarzysze byli wycinani w pień?

- A co z DEA? Byli z Hotelem i mieli też jednostkę w rezerwie.

Bates i Web popatrzyli na siebie i Bates pokręcił głową.

FBI i DEA, Agencja do spraw Narkotyków, nie byli najlepszymi przyjaciółmi. Web zawsze uważał, że DEA jest jak maluch, który kopie po łydkach swojego starszego brata, aż ten mu odda, a wtedy łobuziak ucieka i skarży się.

- Cóż, chyba musimy na tym poprzestać, dopóki nie pojawi się coś nowego - skomentował Web.

- Chyba tak. Czy któryś z was miał sprzęt noktowizyjny?

Web natychmiast pojął zasadność tego pytania. Okulary noktowizyjne wykryłyby laser, ukazując go jako długi, łatwy do rozpoznania promień światła.

- Nie. Wyciągnąłem termolokator, kiedy zaczęły się strzały, ale szturmowcy nie noszą noktowizorów. Jeśli w otoczeniu pojawi się jakiegokolwiek źródło światła, to po zdjęciu okularów noktowizyjnych jesteś praktycznie ślepy. A snajperzy prawdopodobnie nie używali ich podczas ataku; za bardzo zaburzają percepcję głębi.

Bates ruchem głowy wskazał zdewastowane budynki, w których ustawiono pięćdziesiątki.

- Technicy zbadali karabiny. Przy każdym była sygnalizacyjna skrzynka połączeniowa. Sądzą, że zaplanowano parę sekund opóźnienia między chwilą, w której Grupa Charlie przerwała promień, a uruchomieniem broni, aby mieć pewność, że grupa będzie dokładnie w strefie zabijania. Podwórko i tory ostrzału były na tyle duże, że musieli brać to pod uwagę.

Web poczuł nagle, że kręci mu się w głowie, oparł się ręką o ścianę. Czuł się tak, jakby ponownie dotknął go paraliż, któremu uległ podczas skazanego na porażkę ataku.

- Powinieneś być dać sobie trochę więcej czasu na dojście do siebie - powiedział Bates, ujmując Weba pod ramię, żeby pomóc mu utrzymać się na nogach.

- Miałem już gorsze skaleczenia, gdy rozciąłem sobie dłoń kartką papieru.

- Nie mówię o ręce.

- Z moją głową też wszystko w porządku, dziękuję za troskę - rzucił oschle Web, a potem się rozluźnił. - Teraz chcę po prostu działać, a nie myśleć.

Przez następne pół godziny Web pokazywał rozmieszczenie osób, które minęły tamtej nocy, opisywał ich wygląd i opowiadał o wszystkim innym, co potrafił sobie przypomnieć, zaczynając od czasu, kiedy Charlie opuścił końcowy odcinek obszaru przygotowawczego, a kończąc na momencie wystrzelenia w obrębie podwórka ostatniego naboju.

- Jak ci się zdaje, czy któryś z nich mógł współpracować z celem? - zapytał Bates, myśląc o ludziach, których Web i reszta grupy minęli w uliczce.

- Tutaj wszystko jest możliwe - odpowiedział Web. - Na pewno był przeciek. I mógł nastąpić w dowolnym miejscu.

- Rzeczywiście, jest dużo możliwości - potwierdził Bates. - Przyjrzyjmy się niektórym.

Web wzruszył ramionami.

- To nie był scenariusz z sygnałem i trzema ósemkami. - Chodziło mu o liczbę osiemset osiemdziesiąt osiem, która pojawiała się na jego pagerze i stanowiła rozkaz dla wszystkich członków HRT, żeby zasuwali do Quantico. - Data ataku została ustalona z góry, więc wczoraj wieczorem wszyscy spotkali się w HRT, żeby dobrać sprzęt i rozdzielić zadania w grupach, a potem ruszyliśmy w suburbanach. Zrobiliśmy wstępny postój w Buzzard Point, a potem pojechaliśmy do końcowego obszaru przygotowawczego. Mieliśmy pod ręką prokuratora, na wypadek gdybyśmy potrzebowali jakichś dodatkowych nakazów. Snajperzy byli już na miejscu. Weszli do tego kwartału wcześniej, udając, że są robotnikami i mają uszczelnić dachy dwóch budynków, które stoją wzdłuż drogi planowanego ataku. My, szturmowcy, załatwiliśmy przedtem nasze brudne interesy z miejscową policją, jak zawsze. Kiedy opuściliśmy ostatnie stanowisko, Teddy Riner poprosił o upoważnienie do kompromisowych rozwiązań z powodu niesprzyjającej sytuacji logistycznej i uzyskał je. Chcieliśmy mieć możliwość natychmiastowego otwarcia ognia, gdyby zaszła taka potrzeba. Wiedzieliśmy, że ryzykujemy, uderzając na ten budynek od frontu i wystawiając się na strzały pod oknami, ale myśleliśmy też, że nie będą się tego spodziewać. Zresztą takie położenie budynku wśród sąsiednich domów nie stwarzało zbyt wielu innych możliwości. Dostaliśmy zielone światło pozwalające nam przejść do miejsca krytycznego i zamierzaliśmy wykonać zadanie po odliczaniu z COT. Mieliśmy jeden główny zewnętrzny punkt wyłomu. Plan ataku zakładał, że rozdzielimy się, kiedy już będziemy w środku, i uderzymy z dwóch miejsc, jednocześnie Hotel i DEA wpadną od tyłu, a jednostka rezerwowa i snajperzy zapewnią wsparcie ogniowe i osłonę. Ostro i szybko, jak zawsze.

Mężczyźni siedzieli na dwóch koszach na śmieci. Bates wrzucił paczkę gumy do pojemnika, wyciągnął papierosy i zaproponował jednego Webowi, ale ten grzecznie odmówił.

- Lokalna policja znała cel, prawda? - zapytał Bates.

Web skinął głową.

- Przybliżone położenie. Mogli tam być, pomagali otoczyć ten obszar i trzymać ludzi na zewnątrz obwodu, żeby nie wchodzili nam w drogę, uważali, czy współnicy nie próbują dać cynku celowi, takie rzeczy.

- Jak ci się wydaje, na ile czasu przed akcją wiedzieli o niej miejscowi, zakładając, że to stamtąd był przeciek?

- Mieliby godzinę.

- Cóż, nikt nie przygotował tej śmiertelnej pułapki w godzinę.

- Kto był tajniakiem w tej sprawie?

- Oczywiście zabierzesz to nazwisko ze sobą do grobu. - Bates zamilkł na chwilę, przypuszczalnie dla podkreślenia swoich słów, a po-

tern powiedział: - Nazywa się Randall Cove. Prawdziwy weteran. Pracuje nad celem głęboko w środku. Bardzo głęboko, w samych ściekach. To Afroamerykanin, zbudowany jak ciężarówka i poradziłby sobie na ulicy tak samo jak najlepsi z bandziorów. Robił takie rzeczy milion razy

- A jaka jest jego wersja?

- Nie pytałem go.

- Dlaczego?

- Nie mogę go znaleźć. - Bates przerwał, a potem dodał: - Czy wiesz na pewno, że Cove był poinformowany o terminie uderzenia?

To pytanie zaskoczyło Weba.

- Twoja strona wiedziałaby to lepiej niż moja. Mogę tylko przyznać, że faktycznie podczas odprawy nie było mowy o jakichś tajniakach czy informatorach, którzy będą w celu. Gdyby mieli tam być, powiedziano by nam o tym przed operacją. Wiedzielibyśmy wtedy, kim są i jak wyglądają. Trzeba by ich zakuć i wyprowadzić tak jak wszystkich innych, żeby prawdziwy cel się nie połapał i ich nie zabił.

- Ile wiedzieliście o celu?

- Operacje finansowe handlarzy narkotyków, mieli tam być księgowi. Silna ochrona. Nasi chcieli mieć facetów od pieniędzy jako potencjalnych świadków, mieliśmy ich traktować jak zakładników. Zgarnąć ich szybko i wyciągnąć stamtąd, zanim ktokolwiek się zorientuje, co robimy, i załatwi ich, żeby nie mogli sypanąć. Nasz plan ataku został zatwierdzony, napisano rozkazy operacyjne; dostaliśmy rysunki celu i zbudowaliśmy jego kopię w Quantico. Ćwiczyliśmy bardzo długo, aż w końcu znaleźliśmy tam każdy centymetr. Podano nam zasady postępowania, nic niezwykłego, ubraliśmy się i wsiedliśmy do suburbana. Koniec opowieści.

- Zwykle prowadzicie obserwację, to znaczy snajperzy ze szklami - powiedział Bates, mając na myśli strzelców, którzy obserwują cel przez lornetki i lunety. - Czy tym razem coś zauważyli?

- Nic szczególnego, bo inaczej powiedziano by nam o tym na odprawie. Poza tym, że mogliśmy zdobyć świadków, dla mnie był to tylko wyolbrzymiony nalot na kryjówkę handlarzy. Do diabła, uczyliśmy się fachu na takich akcjach.

- Gdyby to była po prostu kryjówka handlarzy, nie potrzebowaliby was przy jej likwidacji, Web. WFO mogło użyć swojej grupy SWAT.

- Cóż, powiedziano nam, że sytuacja logistyczna jest mocno skomplikowana, i rzeczywiście tak było. Wiedzieliśmy, że cele są naprawdę niebezpieczne i że mają trochę ciężkiego sprzętu, z którym formacja SWAT, jak oceniła, nie mogłaby sobie poradzić. Poza tym była kwestia zgarnięcia potencjalnych świadków. To wystarczyło, żeby ta akcja nam przypadła. Ale nikt z nas nie spodziewał się ośmiu zdalnie sterowanych minidziałek.

- Najwyraźniej wciskano nam kit. Pozwoliliśmy się nim karmić jak matczynym mlekiem. Stały tam karabiny, ale poza tym budynek był pusty. Pułapka od samego początku. Nie było żadnych księgowych, żadnych archiwów, niczego.

Web przesunął dłonią po dziurach od kul w murze. Często były tak głębokie, że widział pod spodem masyw betonowy - te pociski na pewno mogły przebić pancierz. Jediną dobrą rzeczą było to, że członkowie jego grupy umarli natychmiast.

- Snajperzy musieli coś widzieć. - Miał nadzieję, że dostrzegli to, co sprawiło, że się zatrzymał. Ale jak mogliby coś zobaczyć?

- Nie skończyłem jeszcze z nimi rozmawiać. - Bates nie chciał rozwijać tego tematu i Web znów postanowił nie nalegać.

- Gdzie jest dzieciak? - Web zawahał się, próbując sobie przypomnieć jego imię. - Kevin.

Bates też zastanawiał się przez moment.

- Zniknął.

Web zeszywniał.

- Wjaki sposób? To dzieciak.

- Nie mówię, że zrobił to sam.

- Wiemy, kim jest?

- Kevin Westbrook. Wiek dziesięć lat. Ma jakąś rodzinę w okolicy, ale większość bawi w gościnie u władz stanowych. Ma też starszego brata o przydomku Wielki F, F to skrót od tego, co myślisz. Szef ulicznego gangu, wielki jak drzewo i bystry jak doktor ekonomii po Harvardzie. Handluje metedryną, jamajską marihuaną, naprawdę czadowym towarem, ale nigdy nie udało nam się zmontować sprawy przeciw niemu. Ten rejon to jakby jego terytorium.

Web rozprostował palce zranionej dłoni. Plaster nic teraz nie dawał i London poczuł się winny tylko dlatego, że w ogóle o tym pomyślał.

- To dziwny zbieg okoliczności, że młodszy brat gościa, który rządzi tym obszarem, siedział na dworze w uliczce, kiedy tamtędy przechodziliśmy. - Mówiąc o chłopcu, Web poczuł zmianę w swoim ciele, jakby dusza ulatywała z niego i sama płynęła naprzód. Myślał nawet, że zemdleje. Zaczynał się zastanawiać, czy potrzebuje lekarza, czy egzorcysty.

- Cóż, mieszka niedaleko. I z tego, co się dowiedzieliśmy, jego dom rodzinny nie jest taki wspaniały. Prawdopodobnie unikał go, gdy tylko mógł.

- Tego jego wielkiego brata też nie ma? - zapytał Web, który powoli odzyskiwał równowagę.

- On nie mieszka pod swoim oficjalnym adresem. Kiedy pracujesz w takim biznesie, ciągle się przemieszczasz. Nie mamy żadnych bezpośrednich dowodów łączących go choćby z jakimś wykroczeniem, ale

szukamy go teraz naprawdę intensywnie. - Bates przyglądał się Webowi. - Na pewno nic ci nie jest?

Web zbył pytanie machnięciem ręki.

- A jak właściwie straciliście dzieciaka?

- To nie jest jeszcze tak do końca jasne. Będziemy wiedzieć więcej, kiedy skończymy węszyć po okolicy. Ktoś musiał widzieć, jak przywieziono broń i tworzono gniazdo karabinów maszynowych. Nawet tutaj wydałoby się to trochę niezwykle.

- Naprawdę myślisz, że ktoś stąd będzie z wami rozmawiał?

- Musimy spróbować, Web. Potrzebujemy tylko jednej pary oczu.

Mężczyźni milczeli przez chwilę. Bates w końcu podniósł wzrok i z zakłopotaniem zapytał:

- Web, co się tak naprawdę stało?

- Lepiej zapytaj o to, o co faktycznie ci chodzi. To znaczy: „Dlaczego nie było to doskonale siedem na siedem?”

- Właśnie o to pytam.

Web popatrzył na drugi koniec podwórka, dokładnie tam, gdzie upadł na ziemię.

- Wyszedłem z uliczki późno. To było tak, jakbym nie mógł się poruszać. Myślałem, że miałem wylew. Potem upadłem, na chwilę przed pierwszymi strzałami. Nie wiem dlaczego. - Umysł Weba nagle stał się zupełnie pusty, a potem znów się „włączył”, jakby Web był telewizorem, w pobliżu którego uderzył piorun. - Oprzytomniałem w następnej sekundzie, Perce. Zajęło to tylko sekundę. Najgorszy splot zdarzeń w historii świata. - Spojrzał na Batesa, żeby ocenić jego reakcję. Zwężone oczy mężczyzny powiedziały Webowi wszystko, co chciał wiedzieć.

- Do diabła, nie czuj się źle. Ja też w to nie wierzę - powiedział Web. Bates nadal milczał i Web postanowił ujawnić drugi powód swojego przyjazdu. - Gdzie jest flaga? - zapytał. Bates wydawał się zaskoczony. - Flaga HRT. Muszę zabrać ją z powrotem do Quantico.

Podczas każdej misji najstarszy rangą członek grupy dostawał flagę HRT i niósł ją razem ze sprzętem. Po zakończeniu misji również najstarszy rangą oddawał flagę dowódcy HRT. Cóż, tak się złożyło, że teraz był to Web.

- Chodź ze mną - powiedział Bates.

Przy krawężniku zaparkowana była półciężarówka FBI. Bates szybkim ruchem otworzył jedną część tylnych drzwi, sięgnął do środka i wyjął flagę złożoną na sposób wojskowy. Podał ją Webowi.

Web trzymał flagę w obu rękach, wpatrywał się przez chwilę w ten symbol, a wszystkie szczegóły rzezi cisnęły się jeszcze raz do jego głowy.

- Jest w niej parę dziur - zauważył Bates.

- Tak jak w nas wszystkich - odparł Web.

5

Następnego dnia Web udał się do kompleksu HRT w Quantico. Jechał Trasą Piechoty Morskiej Nr 4 i minął podobną do uniwersyteckiego campusu akademię FBI, która była domem kujonów zarówno z FBI, jak i z DEA. Web spędził w akademii trzynaście bardzo wyczerpujących i stresujących tygodni życia, ucząc się, jak być agentem FBI. W zamian płacono mu parę centów, mieszkał w akademiku ze współnikami na kilka pokoi łazienkami i musiał nawet przywieźć własne ręczniki! Ale Web uwielbiał to i poświęcał każdą chwilę, w której nie spał, na doskonalenie swoich umiejętności, bo czuł, że jest stworzony do tej roboty.

Opuścił Akademię jako świeżo upieczony i zaprzysiężony agent FBI ze swoim rewolwerem Smith & Wesson kaliber .357, który potrzebował aż czterech kilogramów nacisku, żeby wystrzelić. Rzadko ktoś trafiał się przypadkiem w stopę z tej broni. Teraz rekruci nosili półautomaty Glock kaliber .40 z czternastoma nabojami w magazynku i wkładali znacznie mniej siły w pociągnięcie za spust, ale Web wciąż czule wspominał swojego Smitha & Wessona z potężną trzycałową lufą. Wymyślniejsze niekoniecznie znaczy lepsze. Przez następne sześć lat uczył się, jak być agentem FBI w terenie. Przekopywał się przez osławioną górę papierów w Biurze, wyszukiwał tropy, werbował informatorów, odpowiadał na skargi, siedział na tyłku przy podsłuchach, prowadził całonocne obserwacje, gromadził dowody i aresztował ludzi, którzy się o to usilnie dopominali. W swojej karierze zawodowej Web dotarł do punktu, w którym potrafił w ciągu pięciu minut ułożyć plan akcji, jadąc służbowym samochodem Biura - nazywanym zawsze bucarem - autostradą z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, kierując kolanami i wpychając naboje do karabinu. Nauczył się przesłuchiwać podejrzanych w taki sposób, że najpierw ustalał podstawy, a potem zadawał im podchwytliwe pytania, które miały ich zupełnie zaskoczyć, aby później ocenić, kiedy kłamali. Nauczył się również zeznawać tak, że nie mogli go złamać zręczni obrońcy, których jedynym celem było nie odkrywanie prawdy, ale jej zagrzebywanie.

Jego zwierzchnicy, w tym Percy Bates (kiedy Web został przeniesiony do Biura Regionalnego w Waszyngtonie po kilkuletnim pobycie na Środkowym Zachodzie), wypełniali jego teczkę osobową samymi pochwałami, byli pod wrażeniem jego zaangażowania, fizycznej i umysłowej sprawności, a także jego zdolności myślenia w biegu. W pewnych sytuacjach pracował niezgodnie z przepisami, sądził jednak, że robiła tak większość naprawdę dobrych agentów, ponieważ niektóre przepisy Biura były po prostu głupie. Tego też nauczył go Percy Bates.

Web zaparkował, wysiadł z samochodu i skierował się do budynku HRT, który nigdy nie zostałby określony mianem pięknego przez nikogo, kto miał dobry wzrok. Został powitany z otwartymi ramionami, twardzi, zahartowani mężczyźni, którzy widzieli więcej śmierci i niebezpieczeństwa, niż przeciętny obywatel był w stanie sobie wyobrazić, rozpaczali razem z nim, pozostając jednak w swoich pokojach. Formacja HRT nie była organizacją, w której ktokolwiek paliłby się do ujawniania swoich słabości i uczuć. Żaden z mężczyzn nie chciał strzelać i ryzykować życia, stojąc obok nieśmiałego, wrażliwego gościa. Zostawiało się więc swoją ciepłą aurę w domu i po prostu zabierało do pracy szorstką stroną swojej osobowości, typową dla samca alfa. Wszystko opierało się tutaj na randze i umiejętnościach; te dwie sprawy zwykle, choć nie zawsze, sobie odpowiadały.

Oddał flagę swojemu dowódcy. Szef Weba, szczupły, umięśniony mężczyzna z przyprószonymi siwizną włosami, dawny członek HRT, który nadal mógłby pracować lepiej niż większość jego ludzi, przyjął flagę z godnością i ucisnął Webowi dłoń. A w swoim zamkniętym biurze łagodnie przygarnął niedobitka do piersi. Cóż, pomyślał Web, przynajmniej nie czują do mnie nienawiści.

Budynek administracyjny HRT powstał dla pięćdziesięcioosobowego personelu, ale teraz aż stu ludzi nazwało go swoim drugim domem. Wszyscy oni mieli do dyspozycji tylko dwie kabiny w toalecie, więc kolejki do sikania były długie nawet dla elity walczących z przestępczością federalnych. Za recepcją znajdowały się małe biura dowódcy, który miał rangę zastępcy starszego agenta specjalnego, i jego pomocników stojących niżej w hierarchii, to znaczy nadzorcy nad szturmowcami i nadzorcy nad snajperami. Członkowie HRT zajmowali dwa położone naprzeciw siebie skupiska klitek, podobne do plastrów miodu, w korytarzu oddzielającym szturmowców od snajperów. W budynku była tylko jedna sala wykładowa, która w tym ciasnym kompleksie pełniła też rolę sali konferencyjnej i pokoju odpraw. Na półce wiszącej na tylnej ścianie pomieszczenia stał szereg kubków do kawy. Za każdym razem, gdy lądowały helikoptery, kubki drżały. Ten dźwięk jakoś

zawsze bardzo uspokajał Weba. Przypuszczał, że to członkowie którejs z grup wracają do domu cali i zdrowi.

Zaszedł do Ann Lyle, która pracowała w biurze. Ann miała sześćdziesiąt lat, była o wiele starsza niż pozostałe kobiety zatrudnione w administracji i naprawdę można ją było traktować jak matkę i nieoficjalną opiekunkę nieugiętych chłopaków, którzy nazywali HRT swoim domem. Niepisana reguła zakazywała przeklinania w obecności Ann, a także używania przy niej wszelkich innych prymitywnych odzywek i gestów. Zarówno nowicjusze, jak i weterani, którzy nie zważali na te ograniczenia, szybko stwierdzali, że stali się obiektem akcji odwetowej, na przykład w ich hełmach pojawiał się nie wiadomo skąd klej albo podczas ćwiczeń dosięga! ich wyjątkowo silny strzał, tak że później facet się zastanawiał, czy nie stracił jednego płuca. Ann była w HRT prawie od początków formacji po wielu latach pracy w WFO i owdowiała w tym czasie. Nie miała dzieci i całe jej życie kręciło się wokół pracy. Wysłuchiwała zwierzeń młodych, samotnych agentów, poznawała ich problemy i udzielała im sensownych wskazówek. Wspierała też członków HRT jako nieformalny doradca w sprawach małżeńskich i w niejednym wypadku zapobiegła rozwodowi. Przychodziła codziennie do sali szpitalnej Weba, kiedy czekał na operację twarzy, o wiele częściej, niż chciało się tam zaglądać jego matce. Arm regularnie przynosiła do biura domowe wypieki. I znana była jako główne źródło informacji o wszystkich sprawach, które miały coś wspólnego z Biurem i HRT. Orientowała się też świetnie w bałaganie zaopatrzeniowym Biura, i jeśli członkowie HRT czegoś potrzebowali, nieważne, jak wielkiego czy małego, Ann Lyle pilnowała, żeby to dostali.

Web znalazł przyjaciółkę w jej biurze, zamknął drzwi i usiadł naprzeciw niej.

Włosy Ann były już od paru lat białe, a jej ciało utraciło zgrabne kobiece kształty; ale jej oczy wciąż spoglądały młodzieńczo i jej uśmiech był naprawdę piękny.

Wstała zza biurka i przytuliła Weba, co bardzo mu się przydało. Jej policzki były mokre od łez. Członkowie Grupy Charlie byli jej szczególnie bliscy i zadawali sobie sporo trudu, żeby okazać jej swe przywiązanie i wdzięczność za wszystko, co dla nich robiła.

- Nie wyglądasz dobrze, Web.

- Miewałem lepsze dni.

- Nie życzylabym tego nikomu, nawet najgorszemu wrogowi - powiedziała - ale ty jesteś ostatnią osobą na świecie, której powinno się to przytrafić, Web. Mam ochotę krzyczeć i nigdy nie przestać.

- Doceniam to, Ann - odparł Web. - Nadal nie wiem, co się stało, naprawdę. Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przydarzyło.

- Web, kochany, przez ostatnie osiem lat ciągle do ciebie strzelano. Nie uważasz, że napięcie się gromadzi? Jesteś tylko człowiekiem.

- O to właśnie chodzi, Ann, mam być kimś więcej. To dlatego jestem w HRT.

- Potrzebujesz porządnego długiego odpoczynku. Kiedy ostatni raz wzięłaś urlop? Pamiętasz?

- Potrzebuję pewnych informacji, które możesz mi pomóc zdobyć.

Ann bez słowa przystała na tę zmianę tematu.

- Zrobię, co będę mogła, wiesz przecież.

- Tajniak, nazywa się Randall Cove. Zaginał w akcji.

- To nazwisko brzmi znajomo. Myślę, że znałam jakiegoś Cove'a, kiedy pracowałam w WFO. Mówisz, że zaginał?

- Rozpracowywał cel przed naszym uderzeniem. Myślę, że albo wiedział o zasadzce, albo zerwano jego przykrywkę. Potrzebuję wszystkiego, co możesz znaleźć na jego temat. Adresy, pseudonimy, znane kontakty, pełen obraz.

- Jeśli pracował w Dystrykcie, na pewno tam nie mieszka - powiedziała Ann. - Tajniacy mają nieoficjalną regułę czterdziestu kilometrów. Nie chcesz wpaść na jednego z sąsiadów, kiedy pracujesz na swojej zmianie. Do najpoważniejszych zadań mogą nawet sprowadzić agenta z innej części kraju.

- To zrozumiałe. Ale nawet zaledwie czterdziestokilometrowy promień i tak pozostawia wiele dróg. Może udałoby się nam zdobyć spis rozmów telefonicznych, połączeń z WFO, tego typu rzeczy. Nie wiem, jak to zrobisz, ale naprawdę potrzebuję wszystkiego, co możesz znaleźć.

- Tajniacy najczęściej używają kart telefonicznych z małymi limitami, kiedy się zgłaszają. Kupują je w sklepach całodobowych, zużywają, wyrzucają i kupują następną. Wtedy nie ma żadnych śladów.

Nadzieje Weba osłabły.

- A więc nie ma sposobu, żeby go wyśledzić? - Nigdy wcześniej nie musiał tropić tajnego agenta.

Ann uśmiechnęła się, jak zawsze czarująco.

- Och, Web, zawsze jest jakiś sposób. Pozwól mi tylko trochę poszperać.

London popatrzył na swoje ręce.

- Czuję się trochę jak facet z Alamo, którego Meksykanie jakimś cudem nie trafili.

Ann pokiwała głową ze zrozumieniem.

- W kuchni jest świeża kawa i ciasto czekoladowe z włoskimi orzechami, które przyniosłam. Idź się poczęstować, Web, zawsze byłeś za chudy. - Jej słowa sprawiły, że Web podniósł wzrok i popatrzył w tę

cudownie dobrą twarz. - I osłaniam cię tutaj, kochany, nie myśl, że tego nie robię. Wiem, co jest grane, Web. Słyszę wszystko, z góry i z dołu. I nikt, naprawdę nikt nie przyczepi się do ciebie, dopóki tu siedzę.

Gdy wychodził, zastanawiał się, czy Ann Lyle rozważyłaby możliwość adoptowania go.

Znalazł wolny terminal komputerowy i zalogował się do bazy danych HRT. Przyszło mu do głowy, zapewne tak jak innym, że unicestwienie grupy mogło być po prostu aktem zemsty. Przez dłuższy czas przeglądał opisy spraw z udziałem HRT. Napłynęła fala wspomnień o napawających dumą zwycięstwach i dotkliwych niepowodzeniach. Problem polegał na tym, że gdyby dodało się wszystkich ludzi, na których życie miały wpływ misje HRT, wliczyło się ich rodziny i przyjaciół, a także świrów o skrajnych poglądach polujących na pierwszą lepszą sprawę, aby móc ją wziąć w swoje ręce, wynik sięgnąłby kilku tysięcy. Web musiał zostawić to komuś innemu do sprawdzenia. Był pewien, że komputery Biura właśnie analizują te dane.

Poszedł głównym korytarzem i zatrzymał się na chwilę przed zdjęciami z dawnych akcji HRT. Można tu było zobaczyć obrazy wielu oszalałych sukcesów. Kredo jednostki brzmiało: „Szybkość, zaskoczenie i gwałtowność działania”, i formacja przeprowadzała swoje skomplikowane akcje zgodnie z tymi zasadami. Web popatrzył na fotografię terrorysty figurującego na wykazie najbardziej poszukiwanych, który został zgarnięty z wód międzynarodowych (mówili na nie „łowisko”), jak niczego nie podejrzewający krab zabrany z dołka w piasku, i błyskawicznie przetransportowany na ląd, gdzie stanął przed sądem i dostał dożywocie. Były tam zdjęcia ze wspólnej międzynarodowej operacji sił specjalnych na narkotykowej plantacji w jednym z krajów Ameryki Łacińskiej. Uwieczniono wreszcie pełną napięcia sytuację po uwięzieniu zakładników w rządowym wieżowcu w Chicago. Ostatecznie wszyscy zostali uratowani, a trzech z pięciu napastników zginęło. Niestety, nie zawsze tak to wyglądało.

Wyszedł przed budynek administracji i przyjrzał się rosnącemu tam samotnie drzewu. Był to egzemplarz jednego z gatunków symbolizujących stan Kansas, drzewo zasadzono dla uczczenia pamięci członka HRT, który stracił życie w wypadku podczas ćwiczeń i który właśnie stamtąd pochodził. Web za każdym razem, kiedy mijał to drzewo, modlił się w duchu, żeby nigdy nie musieli sadzić kolejnego. Najwyraźniej jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Niedługo miał tu wyrosnąć cholerny las.

Web naprawdę musiał coś zrobić, cokolwiek, co pozwoliłoby mu pozbyć się uczucia, że jest partaczem. Poszedł do pomieszczenia ze sprzętem, zabrał snajperski karabin kaliber .308 i trochę amunicji, a potem

wrócił na dwór. Musiał się uspokoić, a - paradoksalnie - strzelanie działało na niego kojąco, ponieważ wymagało precyzji i skupienia uwagi, co odsuwało wszystkie inne myśli, nawet najbardziej niepokojące.

Minał wąski, wysoki budynek, pierwszą siedzibę HRT. Wyglądał on jak silos zbożowy, a nie gmach mieszczący biura elitarnej jednostki obrońców prawa. Potem stał i patrzył na odległy stok wzgórza, na którym znajdowała się jedna ze strzelnic. Niedawno ustawiono nowe tarce dla karabinów na dziewięćsetnym metrze. Ekipy robocze wycinały obecnie przyległy las, żeby powiększyć stale rosnący kompleks HRT, który obejmował także nową strzelnicę pod dachem. Za odkrytą strzelnicą zieleniały obsypane liśćmi drzewa. Webowi zawsze się wydawało, że to dziwaczna kombinacja: piękne barwy przyrody stanowiły tło w miejscu, w którym przez tyle lat uczył się coraz lepszych sposobów zabijania. A jednak on był jednym z dobrych facetów i dlatego wszystko grało. Przynajmniej bardzo mocno dawała to do zrozumienia lista obowiązków, które towarzyszyły odznace.

Ustawił cele. Miał zamiar zagrać w pokera snajperów. Karty były lekko rozłożone, tworząc wachlarz, w uchwycie celu, tak że widoczna była tylko mała część każdej z wyjątkiem przedniej. Chodziło o zebranie wygrywającego zestawu. Utrudnienie stanowiło to, że można było sobie zaliczyć tylko kartę, którą trafiło się czysto. Jeśli kula choćby drasnęła inny prostokąt, nie miało się prawa do tego, w który się celowało. I strzelającemu przysługiwało tylko pięć strzałów. Margines błędu był nieprawdopodobnie mały. Właśnie takie szarpiące nerwy zadanie mogło pomóc człowiekowi się zrelaksować, o ile był on perfekcjonistą z HRT.

Web zajął stanowisko dziewięćdziesiąt metrów od celów. Położył się płasko na ziemi i umieścił mały woreczek z fasolą pod łóżem trzysta ósemki, żeby podtrzymać ciężar górnej części ciała, kiedy będzie poprawiał swoją pozycję. Wyciągnął się w linii odrzutu, żeby zredukować do minimum skok wylotu lufy; biodra przycisnął do ziemi, kolana rozchylił na szerokość barków, a kostki oparł na ziemi, żeby zmniejszyć sylwetkę, gdyby ktoś do niego mierzył. Web ustawił odpowiednie wartości na kółku kalibracyjnym lunety, uwzględnił też wiatr. Wilgotność była wysoka, więc dodał jeszcze półminutową zapadkę. Gdy pracował jako snajper, każdy strzał, na który się zdecydował podczas misji, odnotowywał w swoim dzienniku. Taki zeszyt zawierał bardzo cenne zapisy o wpływie środowiska i warunków atmosferycznych na wystrzelone kule i czasami wyjaśniał, dlaczego snajper spudłował, a tylko w takich przypadkach zaczynało się nim interesować. Kiedy trafił w wyznaczony cel, to po prostu zrobił, co do niego należało, nie dostawał w nagrodę kluczy do miasta. Nie było zbyt drobnego szczegółu, kiedy

chodziło o zabijanie z dużej odległości. Niewielki cień na obiektywie łatwo mógł sprawić, że niezbyt czujny strzelec sprzątnąłby zakładnika, a nie osobę, która go zatrzymała.

Web lekko ścisnął chropowaty uchwyt pistoletu. Przyciągnął łożo do barku, przycisnął do niego policzek, ustawił właściwy kąt przyłożenia oka i chwycił poduszeczkę przy kolbie swoją słabszą ręką, żeby wyprostować dwójnog trzysta ósemki. Wciągnął powietrze, powoli wypuścił je z płuc. Żaden drgający mięsień nie mógł przeszkodzić Webowi podczas oddawania snajperskich strzałów. Mięśnie były zawodne; potrzebował raczej kości na kości, bo kość się nie uchylała. Web jako snajper zawsze posługiwał się techniką zasadzki. Polegała ona na czekaniu, aż cel znajdzie się w wyznaczonej wcześniej przez strzelca strefie zabijania. Snajper umieszczał krzyżyk celownika zaraz przed celem, a potem liczył umieszczone co milimetr kropki w siatce, żeby określić odległość od celu, kąt padania i prędkość. Musiał także wkalkulować wysokość, na jakiej się znajdował, wiatr i wilgotność, a potem czekał, jak przysłowio- wy pająk w sieci. Zawsze strzelało się w czaszkę, z bardzo prostego powodu. Cele trafione w głowę nigdy nie próbowały odpowiedzieć ogniem.

Kość na kości. Sześćdziesiąt cztery uderzenia serca na minutę. Web odetchnął po raz ostatni przed oddaniem strzału; położył palec na spuście i wystrzelił pięciokrotnie z precyzją człowieka, który robił to już znacznie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy razy. Powtórzył tę procedurę jeszcze czterokrotnie, przy czym trzy razy mierzył z dziewięćdziesięciu metrów, a ostatnią partię pokera snajperów rozegrał na stu osiemdziesięciu metrach, co było najdalszą odległością w tej grze.

Kiedy sprawdził cele, nie mógł powstrzymać uśmiechu. W dwóch taliach miał sekwens pików zaczynający się od króla, w dwóch innych mocną karekę asów z królem i fula na stu osiemdziesięciu metrach; i nie było ani jednego śladu po kuli na żadnej innej karcie. Nie wyrzucił też ani jednego naboju, co w żargonie Biura oznaczało, że nie zaliczył żadnego pudła. Dzięki temu jego samoocena wzrosła na około dziesięć sekund, a potem depresja gwałtownie powróciła.

Wstawił broń z powrotem do pomieszczenia ze sprzętem i znowu zaczął się przechadzać. Z boku, na przyległym terenie Korpusu Piechoty Morskiej, znajdowała się Żółta Ceglana Droga, piekielny dwunastokilometrowy tor przeszkód z czteroipółmetrowymi linami do zjeżdżania, wilczymi dołami z drutem kolczastym, które tylko czekały, żebyś się poślizgnął i upadł, a także pionowymi skalnymi ścianami. Kiedy Web starał się o przyjęcie do HRT, przebiegł ten tor tyle razy, że zapamiętał każdy jego obrzydliwy centymetr. Konkurencje zespołowe obejmowały dwudziestoczkilometrowe biegi z obciążeniem w postaci sprzętu ważącego zawsze ponad dwadzieścia dwa kilogramy i nie-

sionych dodatkowo w rękach cennych przedmiotów, to znaczny na przykład cegieł, a wtedy żadna z nich nie mogła dotknąć ziemi, bo inaczej grupa, do której się należało, by przegrała. Było także pływanie w lodowatej, brudnej wodzie i piętnastometrowe drabiny skierowane prosto w okna Pana Boga. Potem następowała wspinaczka po „hotelu złamanych serc”, zwykła wycieczka na trzecie piętro, i dobrowolny (taak!) skok z krawędzi nadburcia starego statku do rzeki James. Od czasu gdy Web wstąpił do HRT, hotel złamanych serc został nieco ucywilizowany, pojawiły się druty wspomagające, poręcze i siatki. Było tam teraz niewątpliwie bezpieczniej, ale jego zdaniem znacznie mniej zabawnie. Ale i tak zdecydowanie odradzałby składanie podań do HRT ludziom z lękiem wysokości. Spuszczanie się po linie z helikoptera w gęsty las naprawdę oddzielało mężczyzn od chłopców, bo jeśli przegapiłeś miejsce lądowania, twoje wnętrzości zapoznawały się z trzydziestometrowym dębem o wiele za dobrze.

Poza tym aby ukończyć kurs, każdy rekrut musiał poradzić sobie w cieplarni, dwupiętrowej betonowej wieży ze stalowymi przesłonami przyspawanymi na oknach. Wewnętrzny układ budynku, w którym zamiast podłóg były druciane siatki, pozwalał pożarowi wznieconemu na dole buchnąć dymem aż do samej góry w ciągu paru sekund. Nieszczęsnego rekruta wrzucano na drugie piętro i musiał posłużyć się zmysłem dotyku, odwagą oraz instynktem, żeby dotrzeć na dół, a potem w bezpieczne miejsce na zewnątrz. Nagrodą za przetrwanie tego było wiadro wody chluśniętej w oczy, żeby usunąć dym, i okazja do wydstania się z cieplarni jeszcze raz parę minut później z siedemdziesięciokilogramowym manekinem na plecach.

A między tym wszystkim „poupychane” były dziesiątki tysięcy wystrzelonych nabożów, zajęcia teoretyczne, które wprawiłyby w zakłopotanie i oszołomienie samego Einsteina, mordercze ćwiczenia fizyczne, po których wielu olimpijczyków dyszałoby z wyczerpania, i do tego wystarczająco dużo niesamowitych scenariuszy wymagających podejmowania decyzji w ułamku sekundy, by delikwent zrezygnował z alkoholu i kobiet, wczuł się do wyściełanego pokoju bez klamek i zaczął mówić do siebie. I na każdym etapie członkowie HRT oceniali biedny tyłek kandydata przy każdym błędzie i każdym triumfie, i po prostu miało się nadzieję, że ostatecznie zbierze się o wiele więcej tych ostatnich, ale nigdy się nie wiedziało, jak sprawy stoją, bo ludzie z HRT w ogóle z kandydującym nie rozmawiali. Dla nich był on śmieciem, chociaż wypruwał sobie flaki. I wiedział, że nie dadzą po sobie poznać, że go zauważają, aż do czasu, kiedy uda mu się pomyślnie ukończyć kurs. Do diabła, prawdopodobnie nie wzięliby nawet udziału w jego pogrzebie, gdyby zginął podczas tych prób.

Web jakoś przeżył to wszystko i gdy został absolwentem Szkoły Nowych Funkcjonariuszy, w skrócie NOTS*, „zakupiono” go jako snajpera i spędził kolejne dwa miesiące w Szkole Snajperów Zwiadowców Korpusu Piechoty Morskiej, gdzie od najlepszych uczył się umiejętności z zakresu pracy w terenie, obserwacji, kamuflażu i zabijania za pomocą karabinu z lunetą. Potem przez ponad siedem lat był najpierw snajperem, a potem szturmowcem, i albo nudził się śmiertelnie podczas długich konfrontacji, często w opłakanych warunkach, albo strzelał i chował się przed kulami we wszystkich częściach świata, a mierzyli do niego niektórzy z jego najbardziej pomylnych mieszkańców. W zamian dostawał wszelką broń i amunicję, jakiej potrzebował, i pensję równą temu, co mógł zarobić szesnastolatek programujący komputery podczas godzinnej przerwy na lunch. Ogólnie było naprawdę czadowo.

Web przeszedł obok hangaru, który mieścił należące do jednostki wielkie helikoptery Bell 412 i znacznie mniejsze MD530, na które wszyscy mówili „ptaszki”, ponieważ były szybkie i zwinne. Mogły przewieźć czterech ludzi w środku oraz czterech na płozach przy prędkości 220 kilometrów na godzinę. Web wleciał w „ptaszkach” w parę piekielnych sytuacji i 530-ki zawsze zabierały go z powrotem, przy czym kilka razy dyndał do góry nogami na linie przyczepionej do podwieszenia helikoptera, a jednak Web nigdy nie wybrzydzał, kiedy chodziło o przeżycie misji.

Za płotem z grubej stalowej siatki znajdował się park samochodowy. Web zatrzymał się i zapiął kurtkę, bo wiał przenikliwy zimny wiatr. Niebo szybko zaciągało się chmurami, w miarę jak układ burzowy przesuwał się nad ten obszar, co było zwyczajnym zjawiskiem o tej porze dnia w tym okresie roku. Wszedł za płot i usiadł na jedynym transporterze opancerzonym HRT, używanym wozie, który dostali w darze od wojska. Jego spojrzenie prześlizgnęło się po rzędzie zaparkowanych suburbanów. Pojazdy zostały zaopatrzone w składane drabiny, tak że mogli w nich podejść pod sam budynek i wdrapać się od zewnątrz na czwarte piętro do kryjówki jakiegoś przestępcy. Stuk-puk, niespodzianka! Były tam ciężarówki transportowe, które woziły ich sprzęt, skutery wodne, ciężarówki do dostaw żywności, a także łódź ze sztywnym kadłubem i pneumatycznymi okrężnicami, która została zaprojektowana przez Navy SEALs. Miała ona bliźniacze silniki Chrysler V-8, których oddziaływanie na człowieka Web mógł porównać tylko do wrażeń, jakich może dostarczyć przebywanie w środku budynku burzonego rozbijarką. Wielokrotnie płynął tą łodzią - a raczej wielokrotnie udawało mu się przetrwać bliski kontakt z jej napędem.

* z ang. New Operators Training School

Mieli tu wszystko: wyposażenie zarówno do ataków w dżungli, jak i do ekspedycji arktycznych. W czasie ćwiczeń przygotowywali się na każdą ewentualność, dawali z siebie wszystko w tej pracy. A jednak i tak mogli zostać pokonani przez zbieg okoliczności, szczęście dopisujące słabszym przeciwnikom albo zręczne planowanie i wiedzę wtajemniczonego zdrajcy.

Zaczęło padać, więc Web schronił się w obiekcie szkoleniowym, wielkim, podobnym do magazynu budynku z długimi przejściami, które miały udawać korytarze hotelowe, i przesuwanymi, powleczonymi gumą ścianami. Przypominało to do złudzenia dekoracje w hollywoodzkim studiu filmowym. Jeśli HRT udawało się zdobyć rysunki celu, rekonstruowali go tutaj i ćwiczyli w dokładnie takich samych warunkach, w jakich miała przebiegać akcja. Obecny zespół pomieszczeń zbudowano przed operacją, podczas której Grupa Charlie przestała istnieć. Gdy Web badał tę konstrukcję, nie przyszło mu na myśl, że nigdy nie zobaczy wnętrza rzeczywistego celu. Nie dotarli nawet do drzwi wejściowych. Miał nadzieję, że wkrótce zmienią to pomieszczenie, przygotują je do następnej operacji. Wynik nie mógł już być gorszy, prawda?

Ściany pokryte gumą wchłaniały pociski, a grupy HRT często ćwiczyły tutaj z użyciem ostrej amunicji. Klatki schodowe były zrobione z takiego gatunku drewna, który nie pozwalał na rykoszety; jednak grupa odkryła, choć na szczęście obyło się bez poważnych obrażeń, że gwoździe powbijane w drewno mogą odbić kulę i posłać ją w nieoczekiwane miejsca. Minał makietę kadłuba samolotu, która została stworzona po to, żeby mogli ćwiczyć scenariusze akcji na lotniskach. Zwisła z krokwi i do celów szkoleniowych można ją było unosić albo opuszczać.

Ilu wymagowanych terrorystów tu zastrzelił? Trening się opłacił, bo zrobił to naprawdę, kiedy w Rzymie terroryści opanowali amerykański samolot pasażerski i kazali pilotom lecieć do Turcji, a potem do Manili. Web i reszta ekipy oderwali kółka od ziemi w bazie sił lotniczych Andrews po niecałych dwóch godzinach od chwili otrzymania wiadomości o ataku. Śledzili trasę porwanego samolotu ze swojej powietrznej grzędy w C141. W Manili, gdzie w odrzutowcu uzupełniono paliwo, terroryści wyrzucili dwójkę martwych zakładników, Amerykanów, w tym czteroletnią dziewczynkę. Oświadczyli z dumą, że to polityczna deklaracja. Nie wiedzieli, że ich ostatnia.

Start uprowadzonego samolotu opóźniała najpierw pogoda, a potem awaria. Mniej więcej o północy miejscowego czasu Web i pozostali członkowie Grupy Charlie weszli na pokład samolotu przebrani za mechaników. Po trzech minutach pięciu terrorystów nie żyło i w do-

datku nie zdążyli oni uśmiercić kolejnych zakładników. Web strzelił do jednego z napastników ze swojej czterdziestki piątki prosto przez puszkę z dietetyczną colą, którą facet podniósł do ust. London do dzisiaj nie mógł pić tego napoju. A jednak nigdy nie żałował, że pociągnął za spust. Już sam obraz ciała niewinnej dziewczynki na płycie lotniska - Amerykanki, Iranki, Japonki, to było dla Weba bez znaczenia - wystarczająco motywował go do likwidowania wszelkiego zła. Ci faceci mogli twierdzić, że są ofiarami całego geopolitycznego ucisku na świecie, wzywać wszystkie swoje potężne i wszechwiedzące bóstwa w swoich religijnych domach wariatów, podawać dowolne uzasadnienia dla detonowania bomb i używania broni, i żadna z tych rzeczy ani trochę nie liczyła się dla Weba, kiedy zaczynali zabijać niewinnych ludzi, a szczególnie dzieciaki. I miał zamiar walczyć z nimi, dopóki będzie im się chciało odprawiać bezsensowne misterium zła i zniszczenia na całym globie, bo dokądkolwiek by pojechali, on też mógł się tam zjawić.

Web przemierzał kolejne małe pokoje o gumowych ścianach, gdzie na słupkach wisiały plakaty z sylwetkami celujących do niego złych facetów. Instynktownie wziął ich na muszkę i sprzątnął. W przypadku uzbrojonej osoby zawsze należy koncentrować się na rękach, nie na oczach, bo doświadczenie uczy, że nikt nie został nigdy zabity przez parę oczu. Gdy opuścił „pistolet”, nie mógł powstrzymać uśmiechu. To wszystko było takie łatwe, kiedy w rzeczywistości nikt do ciebie nie strzelał. W innych pomieszczeniach znajdowały się zamocowane na słupkach głowy i górne części tułowi manekinów, dzięki „skórze” i właściwej masie podobne do prawdziwych ludzi. Web zaczął kopać je z boku w głowy, dodał serię paraliżujących uderzeń pięściami w nerki, a potem ruszył dalej.

Usłyszał jakiś ruch w jednym z pomieszczeń i zajrzał do środka. Znany mu muskularny mężczyzna, ubrany w podkoszulek i spodnie w panterkę, ocierał pot z szyi, barków i ramion. Z sufitu zwisały się długie liny. Była to jedna z sal, w których ćwiczone wciąganie. Web patrzył, jak mężczyzna trzy razy wspina się na górę i zsuwa zgrabnymi, płynnymi ruchami. Węzły mięśni w jego ramionach i barkach napinały się, a potem rozluźniały.

Kiedy skończył ćwiczyć, Web wszedł do środka i zagadnął:

- Hej, Ken, nigdy nie robisz sobie wolnego dnia?

Ken McCarthy popatrzył na Weba i raczej nie było to przyjacielskie spojrzenie. McCarthy był jednym ze snajperów, którzy leżeli na dachach wzdłuż uliczki tej nocy, kiedy Grupa Charlie zginęła pod gradem kul z pięćdziesiątek. Czarnoskóry McCarthy miał trzydzieści cztery lata, pochodził z Teksasu i jako dziecko armii obejrzał cały świat za pieniądze Wuja Sama. Przez pewien czas służył w SEAL, ale nie przejawiał

nieznośnej zarozumiałości, która cechowała większość Fok. Mierzył tylko sto siedemdziesiąt osiem centymetrów, ale na ławeczce potrafił wycisnąć ciężarówkę i miał czarne pasy, dające mu prawo do licznych tytułów w trzech różnych sztukach walki. Najlepiej ze wszystkich członków HRT radził sobie na wodzie, potrafił też umieścić kulkę między oczami wybranej osoby z odległości dziewięciuset metrów w środku nocy, siedząc okrakiem na konarze drzewa. Po trzech latach służby w formacji ten weteran nadal był cichy, najczęściej nie szukał towarzystwa i brakowało mu wisielczego poczucia humoru, typowego dla większości kolegów. Web nauczył go rzeczy, których McCarthy nie wiedział albo które z trudem załapywał, a w zamian za to Tekszańczyk podzielił się z nim niektórymi ze swoich niesamowitych umiejętności. O ile Web wiedział, McCarthy nigdy nie miał do niego zastrzeżeń, ale teraz spojrzenie mężczyzny mogło zapowiadać koniec okresu akceptacji. Może Romano nastawił wszystkich przeciwko niemu.

- Co tu robisz, Web? Myślałem, że wciąż jesteś w szpitalu i leczysz rany.

Web postąpił jeszcze jeden krok w kierunku mężczyzny. Nie podobał mu się jego ton ani słowa, ale rozumiał, z czego wynika postawa McCarthy'ego. Mógł też zrozumieć podejście Romano; to było właśnie takie specyficzne miejsce. Oczekiwano, że wykonasz swoją pracę doskonale. Doskonałość była wszystkim, o co tutaj prosili. Podczas ostatniej akcji Web nawet się do niej nie zbliżył. Pewnie, skasował karabiny, ale po fakcie. To w ogóle się nie liczyło dla tych facetów.

- Rozumiem, że wszystko widziałeś.

McCarthy zsunął rękawice do ćwiczeń i roztarł swoje grube, pokryte twardymi odciskami palce.

- Zjechalibyśmy na uliczkę, ale COT powiedziało nam, żebyśmy się nie ruszali.

- Nic nie mogłeś zrobić, Ken.

McCarthy nadal patrzył na swoje stopy.

- W końcu dostaliśmy pozwolenie. To trwało za długo. Dołączyliśmy do Hotelu. Cholera, to trwało o wiele za długo - powtórzył. - Ciągłe się zatrzymywaliśmy, próbowaliśmy wywołać was przez mikrofon. COT nie wiedziało, co się, do diabła, dzieje. Nasz łańcuch dowodzenia jakoś się rozerwał. Chyba wiedziałeś o tym.

- Byliśmy przygotowani na wszystko oprócz tego, co się stało.

McCarthy usiadł na gumowej macie i podciągnął kolana. Spojrzał w górę na Weba.

- Słyszałem, że trochę późno wyszedłeś z uliczki i że jakby upadłeś czy coś takiego.

Czy coś takiego. Web usiadł obok McCarthy'ego.

- Karabiny uruchomił laser, który prawdopodobnie włączono pilotem, żeby pięćdziesiątki nie zaczęły strzelać przedwcześnie i nie trafiły w niewłaściwy cel. Ten, kto to zrobił, musiał być w pobliżu... - Web nie dokończył swej myśli, wpatrywał się w McCarthy'ego.

- Już rozmawiałem z WFO.

- Jestem pewien.

- To rozwijające się AFO, Web - powiedział. AFO to śledztwo w sprawie napaści na funkcjonariusza federalnego, w tym przypadku na wielu funkcjonariuszy.

- To wszystko też już wiem, Ken. Posłuchaj, nie jestem pewien, co się ze mną stało. Nie miałem zamiaru tak się zachować. Zrobiłem wszystko, co mogłem. - Web zaczerpnął głęboko powietrza. - I zaraz cofnąłbym czas, gdybym mógł. Muszę żyć z tym każdego dnia, Ken. Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć.

McCarthy podniósł głowę i jego wrogie spojrzenie złagodniało.

- Nie było do czego strzelać, Web. Nie było żadnego cholernego przeciwnika, którego snajperzy mogliby rozwalić; tyle ćwiczeń i nie można się wykazać. Mielśmy trzech facetów na budynkach stojących wokół podwórka i żaden z nich nie mógł nawet porządnie wycelować w minidziałka. Do diabła, bali się otworzyć ogień, bo myśleli, że jakiś rykoszet może trafić w ciebie.

- A dzieciak? Widziałeś dzieciaka?

- Małego czarnego dzieciaka? Taak, kiedy przyszedł uliczką z twoją czapką i wiadomością.

- Minęliśmy go też, idąc w tamtą stronę.

- Musieliście zasłonić nam widok. Poza tym światło z tej uliczki odbijało się i błyszczało naprawdę dziwnie w górze, tam, gdzie byliśmy.

- W porządku, a tamci faceci? Goście, którzy ópali?

- Nasz snajper pilnował ich przez cały czas. Nie ruszyli się z miejsca, dopóki nie zaczął się ostrzał, a wtedy uciekli biegiem. Jeffries mówił, że wydawali się autentycznie zaskoczeni. Kiedy COT dało nam zielone światło, zeszliśmy z dachów.

- Co się stało potem?

- Jak już mówiłem, dołączyliśmy do Hotelu. Zobaczyliśmy racę, stanęliśmy, rozproszyliśmy się. Wtedy przyszedł do nas dzieciak. Dostaliśmy notatkę, twoje ostrzeżenie. Everett i Palmer poszli przodem jako zwiadowcy. Za późno, do cholery. - McCarthy przerwał i Web zobaczył, jak pojedyncza łza spływa po młodzieńczej twarzy przystojnego mężczyzny; po normalnej twarzy, jaką kiedyś i on miał.

- Nigdy w życiu nie słyszałem takiej kanonady, Web. Nigdy nie czułem się tak bezradny.

- Zrobiłeś, co do ciebie należało, Ken, i tylko tyle można zrobić. - Web umilkł na chwilę, a potem powiedział: - Podobno nie mogą znaleźć tego dzieciaka. Wiesz coś o tym?

McCarthy potrząsnął przecząco głową.

- Dwóch facetów z Hotelu zajęło się nim. Chyba Romano i Cortez.

Znów ten Romano. Cholera, to oznacza, że Web musi porozmawiać z tym facetem.

- A ty co zrobiłeś?

- Poszedłem na podwórko z paroma innymi. Zobaczyliśmy cię, ale leżałeś osobno. - Znów opuścił wzrok. - I zobaczyliśmy resztę chłopaków. - Spojrzał na Weba. - Paru snajperów powiedziało mi, że wróciłeś tam, Web. Widzieli, co zrobiłeś, i wciąż jeszcze nie mogą uwierzyć, że ci się udało. Powiedzieli, że musisz mieć wyjątkowe szczęście, skoro stamtąd wróciłeś. Ja bym chyba nie dał rady.

- Zrobiłbyś to, Ken. I to lepiej ode mnie.

McCarthy wydawał się zaskoczony tą pochwałą.

- Widziałeś dzieciaka, kiedy opuściliście podwórko?

McCarthy zastanawiał się.

- Pamiętam, że siedział na koszu na śmieci. Wtedy już wszyscy zaczęli się pojawiać.

- Widziałeś, jak jakieś garnitury przejmują chłopaka?

McCarthy znów się zastanowił.

- Nie, przypominam sobie tylko, że Romano z kimś rozmawiał, ale to wszystko.

- Rozpoznałeś kogoś z tych ludzi?

- Wiesz, że nie za często stykamy się z agentami.

- A DEA?

- Tylko tyle mogę ci powiedzieć, Web.

- Rozmawiałeś z Romano?

- Trochę.

- Nie wierz we wszystko, co słyszysz, Ken. To niezdrowo.

- A jeśli słyszę coś o ciebie? - zapytał uszczypliwie McCarthy.

- Zasada się nie zmienia.

Web wyjechał z Quantico i uświadomił sobie, że musi zbadać wiele tropów. Formalnie to nie było jego śledztwo, a jednak w jakiś sposób należało bardziej do niego niż do kogokolwiek innego. Ale najpierw musiał się zająć inną, jeszcze ważniejszą sprawą, chociaż pragnął jak najszybciej dowiedzieć się, kto zrobił jego grupę. I co się stało z małym chłopcem, który mimo chłodu nie miał nawet koszulki, a tylko bliznę po kuli na policzku.

6

Sześć pogrzebów. Web wziął udział w sześciu pogrzebach w ciągu trzech dni. Na czwartym nie mógł już wycisnąć z siebie ani jednej łzy. Wchodził do kościoła albo kaplicy i słuchał, jak w większości nie znani mu ludzie mówią o poległych mężczyznach, których pod pewnymi względami znał lepiej niż samego siebie. Było tak, jakby wszystkie jego nerwy zostały wyjałowione, razem z częścią jego duszy. Czuł się niezdolny do reakcji, jakich się po nim spodziewano. Z przerażeniem myślał o tym, że może zacząć się śmiać, kiedy powinien rozpaczać.

Podczas nabożeństwa tylko połowa trumien była otwarta. Niektórym ze zmarłych mężczyzn „poszczęściło się”, jeśli chodzi o wielkość i rozmieszczenie ran, dlatego ich trumny nie były zamknięte. Wpatrując się w blade, zapadnięte twarze i sztywne, skurczone ciała w metalowych pudełkach, wdychając zapach kwiatów i słuchając łkań wszystkich zebranych, Web żałował, że nie może też po prostu położyć się w pudełku i dać się zakopać w ziemi, aby ukryć się na zawsze. Pogrzeb bohatera; człowiek mógł zostać zapamiętany z o wiele gorszych powodów.

Znów owinął dłoń w warstwy gazy, ponieważ czuł się winny, chodząc pośród żałobników bez najmniejszej rany. Wiedział, że nie powinien się troszczyć o takie drobiazgi, a jednak odnosił wrażenie, że jest policzkiem wymierzonym tym, którzy pozostawali przy życiu. Tak naprawdę wiedzieli oni tylko, że Web London jakimś cudem wywinął się ledwie draśnięty. Czy uciekł? Czy zostawił swoich towarzyszy, kiedy umierali? Wyczytywał te pytania z twarzy niektórych ludzi. Czy zawsze taki był los jedynego, który ocalał?

Kondukty przechodziły między nie kończącymi się rzędami mężczyzn i kobiet w mundurach oraz setek pracowników FBI ubranych w schludne garnitury i porządne buty. Na czele orszaku jechały motocykle, obywatele stali wzdłuż ulic, a flagi wszędzie były opuszczone do połowy masztu. Przybył prezydent i większość jego gabinetu, razem z wieloma innymi VIP-ami. Przez kilka dni cały świat mówił wyłącznie o masakrze sześciu dobrych ludzi w uliczce. Niewiele mówiono o siódmym mężczyźnie i Web przeważnie był za to wdzięczny. Ale i tak się zastanawiał, jak długo może trwać to moratorium.

Waszyngton otrzymał bolesny cios. I nie chodziło jedynie o zabitych mężczyzn, nasuwały się bowiem również ogólne, niepokojące pytania. Czy przestępcy naprawdę stali się tak bezczelni? Czy społeczeństwo straciło spójność? Czy policja nie wytrzymała tempa? Czy chluba amerykańskiego systemu ochrony prawa, FBI, traciła swój blask? Bliższości i chińskie serwisy informacyjne z wyjątkową przyjemnością donosiły o jeszcze jednym przejawie panującego na Zachodzie zamętu, który ich zdaniem pewnego dnia miał rzucić arogancką Amerykę na kolana. Bez wątplenia po ulicach Bagdadu, Teheranu, Pekienu i Pekinu niosły się radosne okrzyki na wieść o tym, że drogie, stare Stany Zjednoczone rozpadają się w wyniku kolejnych żałosnych kryzysów podsycanych przez media. Mędrcy ziemi amerykańskiej zaś produkowali tak wiele absurdalnych scenariuszy, że Web już nawet nie otwierał gazety ani nie włączał telewizora czy radia. A gdyby ktoś go zapytał o zdanie, powiedziałby, że cały świat, a nie tylko Stany Zjednoczone, jest spieprzony od dawna.

Po pewnym czasie medialna nawała zelżała, ale, niestety, przyczyną spadku zainteresowania była następna tragedia. Japoński samolot pasażerski spadł do oceanu niedaleko Zachodniego Wybrzeża, więc dziennikarskie charty pogoniły za tym tematem i zapomniały na razie o ulicze i poległych w niej ludziach. Wciąż stał tam pojedynczy wóz transmisyjny, ale kawałki trzystu ciał unoszące się na wodzie stanowiły o wiele większą atrakcję niż historia o oddziale zabitych agentów FBI sprzed paru dni. I za to Web też był wdzięczny. Pozwólcie nam smucić się w spokoju.

Został już trzykrotnie, w różne dni, przesłuchany przez kilka zespołów dochodzeniowych „na górze” w Budynku Hoovera i w WFO w sprawie wykonania zadania. Agenci mieli notatniki, ołówki i magnetofony, a paru młodszych nawet laptopy. Zadali Webowi o wiele więcej pytań, niż on znał odpowiedzi. A kiedy mówił każdej grupie, że nie wie, dlaczego zastygł w bezruchu, a potem upadł, ołówki przestawały zapisywać pospiesznie papier, palce przestawały stukać w klawisze.

- Kiedy pan zastygł, jak pan mówi, czy coś pan zobaczył? Usłyszał pan coś, co pana do tego skłoniło? - Mężczyzna mówił jednostajnym głosem, który w odczuciu Weba tylko jeden nieuchwytny niuans w intonacji dzielił od tonu niedowierzania czy też, co byłoby jeszcze gorsze, otwartej nieufności.

- Tak naprawdę nie wiem.

- Tak naprawdę pan nie wie? Nie jest pan pewien, czy się pan zatrzymał?

- Nie jestem pewien. To znaczy, tak. Nie mogłem się ruszyć. Jakbym był sparaliżowany.

- Ale ruszył się pan z miejsca, kiedy członkowie pana grupy zostali zabici?

- Tak - przyznał Web.

- Czy stało się coś, co zmieniło sytuację i pozwoliło panu to zrobić?

- Nie wiem.

- Po dotarciu do podwórka upadł pan?

- Zgadza się.

- A po chwili karabiny zaczęły strzelać - zauważył inny śledczy.

Web ledwie słyszał własną odpowiedź.

- Tak.

W ciszy, która następowała po tych skąpych odpowiedziach, i tak już obolałe wnętrzości Weba prawie się rozpuszczały.

Podczas każdego przesłuchania Web siedział lekko pochylony, z dłońmi na blacie stolika, i patrzył prosto w twarz każdemu, kto zadawał mu pytania. Wszyscy ci mężczyźni byli zawodowymi, wytrawnymi inkwizytorami. Web wiedział, że gdyby odwrócił wzrok, potarł czoło w niewłaściwy sposób albo, co gorsza, skrzyżował ramiona na piersiach, natychmiast doszliby do wniosku, że kłamie. Web nie mijał się z prawdą, ale też nie mówił wszystkiego. Gdyby jednak zaczął opowiadać o tym, że widok małego chłopca wywarł na niego dziwny wpływ i może w niewyjaśniony sposób sprawił, że się zatrzymał, a zatem ocalał mu życie - albo o doświadczanym wtedy uczuciu, że jest przygnieciony, jakby pokryty ołowiem, choć już po paru sekundach znów mógł się swobodnie poruszać - byłby skończony w Biurze. Wyżsi urzędnicy z reguły krzywo patrzyli na agentów operacyjnych, którzy wygłaszali zwariowane uwagi. Jednak jedna rzecz przemawiała na jego korzyść. Gniazda karabinów maszynowych nie rozleciały się same. A kule z jego karabinu tkwiły w nich wszystkich. Snajperzy wszystko widzieli, poza tym ostrzegł Grupę Hotel i w dodatku uratował chłopca. Web za każdym razem o tym mówił. Chciał, żeby oni wszyscy o tym wiedzieli. Możecie mnie kopać, kiedy leżę, przyjaciele, tylko nie za mocno. Jestem w końcu cholernym bohaterem.

- Nic mi nie będzie - powiedział im Web. - Po prostu potrzebuję trochę czasu. Nic mi nie będzie. - I przez jedną okropną chwilę Web pomyślał, że może to właśnie było pierwsze prawdziwe kłamstwo, jakiego się dopuścił w ciągu całego tego dnia.

Uprzedzili, że będą go wzywać, kiedy zajdzie potrzeba. Na razie chcieli tylko, żeby nic nie robił. Miał wykorzystać na odzyskanie równowagi tyle czasu, ile potrzebował. Biuro zaproponowało pomoc doradcy, specjalisty od zdrowia psychicznego, właściwie nalegali na to, i Web powiedział, że pójdzie do niego, chociaż nadal szukanie takiego wsparcia piętnowało człowieka w Biurze. Mówiono Webowi, że kiedy

wszystko się ułoży, zostanie przydzielony do innej grupy szturmców albo snajperów, jeśli będzie tego chciał, dopóki nie uda się odbudować Charliego. A gdyby mu to nie odpowiadało, mógłby objąć inną posadę w FBI. Gotowi byli nawet pozwolić mu przenieść się z pominięciem zwykłej ścieżki awansu na „wybrane stanowisko”, aby następnie mógł bez kłopotu dotrzeć do końcowego przystanku w postaci stanowiska, z którego przejdzie na emeryturę. Tego rodzaju traktowanie zwykle było zarezerwowane dla starszych rangą agentów i dowodziło, że Biuro naprawdę nie jest pewne, co ma z nim zrobić. Oficjalnie Web uczestniczył w dochodzeniu prowadzonym w trybie administracyjnym, które mogło łatwo przerodzić się w pełne śledztwo, w zależności od rozwoju sytuacji. Cóż, nikt nie odczytał Webowi jego praw wywalczonych przez Mirandę, co było i dobre, i złe. Dobre, bo gdyby Web usłyszał ostrzeżenie Mirandy, oznaczałoby to, że jest aresztowany, a złe dlatego, że wszystko, co powiedział podczas przesłuchań, mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu w postępowaniu cywilnym albo karnym. Najwyraźniej jedyną rzeczą, którą zrobił nie tak, było to, że przeżył. Stanowiło to o wiele silniejsze źródło poczucia winy niż cokolwiek, o co mogłoby go oskarżyć Biuro.

Powiedziano Webowi, że naprawdę może dostać wszystko, czego chce. Wszyscy byli jego przyjaciółmi. Miał pełne poparcie.

Web zapytał, jak postępuje dochodzenie, i nie otrzymał odpowiedzi. „Oto ich pełne poparcie” - pomyślał.

- Niech pan dojdzie do siebie - zalecił mu ktoś. - Tylko na tym powinien się pan teraz koncentrować.

Gdy wychodził z ostatniego przesłuchania, padło jeszcze jedno, poźne pytanie.

- Jak tam ręka? - rzucił jeden z mężczyzn. Web nie znał tego faceta i chociaż pytanie wydawało się dość niewinne, w oczach ciekawskiego agenta było coś, co sprawiło, że Web miał ochotę trzasnąć go w szczękę. Zamiast tego powiedział, że z ręką wszystko w porządku, podziękował wszystkim i opuścił pokój.

Zmierzając do wyjścia, minął Ścianę Honorową FBI, na której wisiały tabliczki upamiętniające wszystkich pracowników Biura zabitych na służbie. Wkrótce na ścianie miał się pojawić spory dodatek, właściwie to największy jednorazowy w historii FBI. Web czasami się zastanawiał, czy kiedyś tam skończy, a jego życie zawodowe skurczy się do kawałka drewna z mosiężną blaszką. Wszedł z Budynku Hoovera i pojechał do domu, nasuwało mu się mnóstwo pytań, w tym wiele takich, z którymi nie chciał się zmierzyć.

Skrót FBI tłumaczono też oficjalnie jako Wierność, Dzielność, Uczciwość, a teraz Web czuł, że nie posiada żadnej z tych cech.

Francis Westbrook był olbrzymim mężczyzną o wroście i obwodzie w pasie lewego młynowego z NFL. Bez względu na pogodę czy porę roku, jego ulubionymi ubraniami były jedwabne tropikalne koszule z krótkimi rękawami, pasujące do nich spodnie i zamszowe mokasyny, do których nie nosił skarpetek. Był łysy, w jego wielkich uszach błyszczwały diamentowe kolczyki, a grubawe palce zdobiły wręcz girlandy złotych pierścieni. Nie był elegantem, ale po prostu nie było aż tak wielu rzeczy, na które mógł wydać swoje zarobki z narkotyków tak, żeby gliniarze albo, co gorsza, Urząd Skarbowy nie zaczęli węszyć wokół niego. Poza tym lubił ładnie wyglądać. W tej chwili Westbrook jechał na tylnym siedzeniu wielkiego mercedesa sedana z przyciemnionymi szybami. Na lewo od niego siedział jego pierwszy zastępca, Antoine Peebles. Kierowcą był wysoki, dobrze zbudowany młody mężczyzna znany jako Toona, a prawe przednie siedzenie zajmował szef służby bezpieczeństwa, Clyde Macy, jedyny biały facet w całej ekipie Westbrooka, i łatwo można było zauważyć, że to wyróżnienie napawa go wielką dumą. Peebles miał starannie przystrzyżoną brodę i fryzurę afro, był niski i przysadzisty, ale prezentował się dobrze w garniturze od Armaniego i markowych okularach przeciwsłonecznych. Wyglądał bardziej jak producent z Hollywood niż ważny sprzedawca narkotyków. Macy zaś wyglądał jak żywy trup, lubił nosić czarne, poważne ubrania, a ponieważ miał ogoloną głowę, łatwo można go było wziąć za neonazistę.

Ludzie ci tworzyli wewnętrzny krąg w małym imperium Westbrooka. Jego władca trzymał teraz dziewięćmilimetrowy pistolet w prawej dłoni i wydawało się, że szuka kogoś, przeciw komu będzie mógł go użyć.

- Chcesz mi jeszcze raz opowiedzieć, jak straciłeś z oczu Kevina? - Westbrook popatrzył na Peeblesa i jeszcze mocniej ścisnął pistolet. Zaczął go odbezpieczać. Peebles najwyraźniej to zauważył, ale nie wahał się, jak zareagować.

- Gdybyś pozwolił nam pilnować go przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, nigdy by nie zniknął. Wychodzi czasem na dwór w nocy. Wtedy też wyszedł i nie wrócił.

Westbrook klepnął się po ogromnym udzie.

- Był w tamtej uliczce. Federalni go mieli, a teraz już go nie mają. Jest w jakiś sposób wplątany w to gównno, a to się zdarzyło na moim cholernym tylnym podwórku. - Uderzył pistoletem w drzwi i ryknął: - Chcę mieć Kevina z powrotem!

Peebles popatrzył na niego niespokojnie, a Macy nie okazywał żadnych emocji.

Westbrook położył dłoń na ramieniu kierowcy.

- Toona, zbierz paru chłopaków i rozejrzyjcie się po całym tym cholernym mieście, słyszysz? Wiem, że już to zrobiliście, ale zróbcie to jeszcze raz. Chcę mieć tego chłopaka z powrotem, całego i zdrowego, słyszysz? Całego i zdrowego, i nie wracaj, póki to nie będzie zrobione. Cholera, słyszysz mnie, Toona?

Toona spojrział we wsteczne lusterko.

- Słyszę cię, słyszę.

- Podpucha - powiedział Peebles. - Od początku. Żeby zwalić winę na ciebie.

- Myślisz, że tego nie wiem? Myślisz, że jak chodziłeś do college'u, to jesteś bystry, a ja jestem głupi? Wiem, że federalni będą chcieli mi się dobrać do tyłka. Wiem, co się mówi na ulicy. Próbują ze wszystkich ekip handlujących towarem zrobić jedną, prawie jak jakiś cholerny związek zawodowy, ale wiedzą, że ja się nie przyłączę, i to psuje im cały plan. - Westbrook miał zaczerwienione oczy. Nie spał za dużo w ciągu poprzednich czterdziestu ośmiu godzin. Takie już było jego życie: zwykle przez większość dnia zastanawiał się, jak przetrwać noc. A teraz mógł myśleć tylko o małym chłopcu, który gdzieś tam był. Czuł, że robi się naprawdę niebezpiecznie. Wiedział, że taki dzień może nadejść, ale i tak nie był na to przygotowany.

- Ten, kto ma Kevina, da mi znać. Chcą czegoś. Chcą, żebym w to wszedł ze swoją ekipą, tego chcą.

- I dasz im to?

- Mogą wziąć wszystko, co mam. O ile dostanę Kevina. - Przerwał i popatrzył przez okno na rogi ulic, zaułki i tanie bary, które mijali, a które oplatały jego macki. Poza tym interesy kwitły na przedmieściach, gdzie były prawdziwe pieniądze. - Taak, zgadza się. Dostanę Kevina z powrotem, a później zabiję wszystkich tych sukinsynów. Sam to zrobię. - Wycelował z pistoletu do wymagowanego przeciwnika. - Zacznę od kolan i będę przesuwiał lufę w górę.

Peebles popatrzył czujnie na Macy'ego, ale ten nadal nie reagował, zachowywał kamienną twarz.

- Cóż, na razie nikt się z nami nie skontaktował - powiedział Peebles.

- Zrobią to. Nie porwali Kevina dlatego, że chcą z nim grać w kosza. To mnie potrzebują. Cóż, jestem tutaj, muszą tylko przyjść na imprezę. Jestem gotowy do zabawy, możemy zaczynać, kurwa. - Po chwili Westbrook uspokoił się trochę. - Podobno jeden z tych gości nie zjadł kulki na tym podwórku. Czy to prawda?

Peebles skinął głową.

- Web London.

- Mówią, że to były karabiny maszynowe, głównie kalibru pięćdziesiąt. Jak facet może przed czymś takim uciec? - Peebles wzruszył ramionami i Westbrook popatrzył na Macy'ego. - Co o tym słyszałeś, Macy?

- Nikt jeszcze nie mówi nic pewnego, ale z tego, co słyszę, ten facet nie wszedł na podwórko. Przestraszył się, ześwirował czy coś takiego.

- Ześwirował czy coś takiego - powtórzył Westbrook. - W porządku, dowiedz się czegoś o nim i przekaz mi to potem. Kiedy człowiek wychodzi z czegoś takiego, ma mi coś do powiedzenia. Może na przykład wie, gdzie jest Kevin. - Spojrzał na swoich ludzi. - Ci, co zastrzelili federalnych, mają Kevina. Na sto procent.

- Cóż, jak już mówiłem, mogliśmy go pilnować na okrągło - zauważył Peebles.

- Co to za życie, do diabła? - powiedział Westbrook. - Nie musi żyć w taki sposób, nie z mojego powodu. Ale kiedy federalni ruszą za moim tyłkiem, wtedy po prostu pokażę im, gdzie mają szukać. Ale musimy wiedzieć, kogo wystawić. Sześciu cholernych federalnych nie żyje, więc nie pójdą na żadne układy. Będą chcieli usmażyć jakieś większe dupsko, ale ja im nie dam swojego.

- Nie ma żadnej gwarancji, że ci ludzie puszczą Kevina - stwierdził Peebles. - Wiem, że nie chcesz tego usłyszeć, ale nie mamy nawet pewności, czy Kevin w ogóle żyje.

Westbrook oparł się wygodnie.

- Och, on żyje, to jasne. Kevinowi nic się nie stało. Przynajmniej na razie.

- Dlaczego jesteś taki pewny?

- Po prostu wiem, to wam musi wystarczyć. Znajdźcie mi tylko coś o tym sukinsynu z FBI.

- O Webie Londonie.

- Webie Londonie. A jeśli on nie ma tego, czego potrzebuję, będzie żałował, że nie zginął razem ze swoją ekipą. Przygazuj, Toona. Mamy biznes.

Samochód pognął w noc.

8

Dopiero po paru dniach Webowi udało się umówić z psychiatrą, z którego usług Biuro korzystało na zasadzie niezależnego kontraktu. FBI szkoliło też ludzi z personelu, ale Web wolał kogoś z zewnątrz. Nie był pewien dlaczego, ale zwierzenie się komuś, kto był w środku, nie wydawało mu się teraz dobrym pomysłem. Uważał - nie wiadomo, czy słusznie - że jeśli mówi się coś psychiatrze federalnych, to mówi się to i samym federalnym, a tajemnica lekarska to całkowita fikcja.

Jeśli chodzi o zdrowie psychiczne pracowników, to Biuro wciąż jeszcze w dużej mierze tkwiło w mrokach średniowiecza i prawdopodobnie poszczególni agenci ponosili za to taką samą winę jak cała organizacja. Jeszcze przed kilku laty, kiedy ktoś pracował dla FBI i odczuwał stres albo miał problemy z alkoholem czy narkotykami, najczęściej zachowywał to dla siebie i radził sobie z tym na swój sposób. Agenci ze starej szkoły myśleli o wizycie u psychiatry tak samo poważnie jak o wyjściu z domu bez broni. Jeśli agent zwracał się o pomoc do specjalisty, nikt o tym nie wiedział, a już na pewno nikt o tym nie mówił. Było się wtedy w pewnym sensie zepsutym towarem, a w procesie indoktrynacji wpajano pracownikom Biura zarówno stoicyzm, jak i upartą niezależność, tak więc trudno było im się przemóc.

Potem decydenci uznali, że trzeba się zająć stresem związanym z pracą w FBI, który przejawiał się w rosnących wskaźnikach nadużywania alkoholu i problemów z narkotykami oraz dużej liczbie rozwodów. Stworzono Program Pomocy Pracownikom, w skrócie EAP*. Do każdego regionalnego oddziału FBI przydzielono koordynatora i doradcę. Jeśli dyżurny doradca nie mógł sobie poradzić z sytuacją, kierował pacjenta do zatwierdzonego specjalisty z zewnątrz, na co zdecydował się też Web. W Biurze nie wiadomo powszechnie o EAP i Web nigdy nie dostał żadnych pisemnych materiałów na jego temat. Po prostu szeptano sobie o tym na ucho. Mimo wysiłków Biura stare przyzwyczajenia i poglądy nadal cechowały agentów.

* z ang. Employee Assistance Program

Gabinety psychiatrów znajdowały się w wieżowcu w okręgu Fairfax niedaleko Tyson's Corner. Web chodził już wcześniej do doktora O'Bannona, jednego z psychiatrów, którzy tam pracowali. Ten pierwszy raz nastąpił przed wieloma laty, kiedy formację HRT wezwano, żeby uwolniła paru uczniów w prywatnej szkole w Richmond, stolicy Wirginii. Grupa członków organizacji paramilitarnej o nazwie Wolne Społeczeństwo, którzy najwyraźniej usiłowali stworzyć aryjską kulturę za pomocą własnej wersji czystek etnicznych, wtargnęła do szkoły i natychmiast zabiła dwie nauczycielki. Konfrontacja trwała przez prawie dwadzieścia cztery godziny. HRT w końcu weszła do budynku, kiedy wydawało się, że mężczyźni znowu zaczną zabijać. Wszystko szło doskonale, dopóki coś nie zaalarmowało napastników w momencie, w którym HRT kończyła przygotowania do ataku. Wywiązała się strzelanina i zginęło pięciu „wolnych”, a dwaj ludzie z HRT zostali ranni, w tym Web, którego stan był krytyczny. Życie stracił tylko jeden zakładnik, dziesięcioletni chłopiec, David Canfield.

Kiedy Web był prawie wystarczająco blisko dziecka, żeby móc zaciągnąć je w bezpieczne miejsce, rozpętało się piekło. Twarz martwego chłopca tak często pojawiała się w jego snach, że Web z własnej woli poszukał pomocy. W tym czasie nie było EAR a więc kiedy wyleczył się z ran, dyskretnie uzyskał nazwisko O'Bannona od pewnego agenta, który spotykał się z tym lekarzem. Wówczas była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie Web kiedykolwiek zrobił, ponieważ w rzeczywistości przyznawał się do tego, że nie umie sobie poradzić z własnymi problemami. Nigdy nie rozmawiał o tym z innymi członkami HRT i raczej obciąłby sobie język, niż zdradził się z wizytami u psychiatry. Jego koledzy zobaczyliby w tym tylko słabość, a w HRT nie było na nią miejsca.

Pracownicy HRT zetknęli się raz z poradnictwem dotyczącym zdrowia psychicznego i nie wypadło to dobrze. Po Waco Biuro sprowadziło paru terapeutów, którzy spotkali się ze wstrząśniętymi mężczyznami jako grupą zamiast indywidualnie. Rezultaty można by uznać za komiczne, gdyby nie były tak żałośnie smutne. Potem Biuro nie próbowało już przekonywać członków HRT do takich rzeczy.

Ostatnio Web chodził do O'Bannona zaraz po śmierci swojej matki. Po wielu sesjach doszedł do wniosku, że pod tym względem już nigdy nic nie będzie całkiem tak jak trzeba, więc skłamał O'Bannonowi, że czuje się dobrze. Nie miał do niego pretensji, bo wiedział, że żaden lekarz nie mógł uporządkować tego bałaganu. Trzeba by cudu.

O'Bannon był niski i otyły, często nosił czarny golf, który uwydatniał jego liczne podbródki. Web pamiętał, że uścisk dłoni psychiatry był słaby, a jego nastawienie przyjazne, ale i tak miał ochotę uciec z bu-

dynku, kiedy spotkali się pierwszy raz. Wszedł jednak z O'Bannonem do jego gabinetu i puścił się na niebezpieczne wody.

- Będziemy mogli ci pomóc, Web. To po prostu zajmie trochę czasu. Przykro mi, że spotykamy się w tak trudnych okolicznościach, ale ludzie nie przychodzą do mnie dlatego, że wszystko układa się cudownie; sądzę, że taka już przypadła mi rola w życiu.

Mimo wszystko Webowi pogorszył się nastrój. O'Bannon najwyraźniej nie znał magicznych sztuczek, które przywróciłyby normalność w jego świecie.

Usiedli wtedy w gabinecie. Nie było tam kozetki, tylko mała sofa, o wiele za krótka, żeby się na niej położyć. O'Bannon wyjaśnił to:

- Najbardziej powszechny ze wszystkich błędnych poglądów na temat naszej pracy. Nie każdy psychiatra ma kozetkę.

Gabinet O'Bannona był nijakim pokojem o białych ścianach, z przemysłowym wyposażeniem i bardzo niewidoma przedmiotami o charakterze osobistym. Wszystko to sprawiało, że Web czuł się tam mniej więcej tak dobrze jak skazaniec czekający w celi na swój ostatni taniec z panią Iskierką. Rozmawiali o nieistotnych rzeczach, prawdopodobnie po to, żeby Webowi łatwiej było się otworzyć. Obok O'Bannona leżał notatnik i długopis, ale ani razu do nich nie sięgnął.

- Zrobię to później - powiedział, kiedy Web zapytał go, czemu niczego nie zapisuje. - Teraz po prostu porozmawiajmy. - Rzucił szybkie spojrzenia, które niepokoiły Weba, chociaż głos psychiatry był łagodny i dość kojący. Po godzinie sesja się zakończyła i Web uznał ją za prawie bezowocną. Wiedział więcej o O'Bannonie niż lekarz o nim. Nie poruszył żadnej ze spraw, które go gnębiły.

- Te rzeczy wymagają czasu, Web - stwierdził O'Bannon, odprowadzając go do drzwi. - To przyjdzie, nie martw się. Po prostu zajmuje to trochę czasu. Nie od razu Rzym zbudowano.

Web chciał zapytać, ile dokładnie czasu w tym przypadku zajmie budowanie Rzymu, ale tylko się pożegnał. Początkowo sądził, że nigdy tam nie wróci, żeby spotkać się z niskim, pulchnym mężczyzną w jego pozbawionym wyrazu gabinecie. A jednak to zrobił. I pracował pod kierunkiem O'Bannona nad wszystkimi swoimi problemami podczas kolejnych sesji, aż zdołał się z nimi uporać. Ale nigdy nie zapomniał o chłopczyku, który został zastrzelony z zimną krwią, kiedy Web znajdował się tylko metr czy dwa od niego i nie mógł go uratować. To byłoby niezdrowe, gdyby zapomniał kiedyś o czymś takim.

O'Bannon powiedział Webowi, że on i inni lekarze z jego poradni pracują z członkami Biura od wielu lat i że pomogli agentom oraz personelowi administracyjnemu przezwyciężyć wiele kryzysów. Web był tym zaskoczony, bo zakładał, że jest jednym z nielicznych federalnych,

którzy zwrócili się o pomoc do specjalisty. O'Bannon popatrzył na niego z miną człowieka bardzo dobrze zorientowanego w sytuacji i powiedział:

- Ludzie o tym nie mówią, ale to nie znaczy, że nie chcą się zająć swoimi problemami i nie chcą wyzdrowieć. Nie mogę oczywiście ujawnić żadnych nazwisk, ale uwierz mi, że zdecydowanie nie jesteś jedyną osobą z FBI, która do mnie przychodzi. Kiedy agenci chowają głowę w piasek, stają się po prostu tykającymi bombami, i wybuch jest tylko kwestią czasu.

Teraz Web się zastanawiał, czy jest tykającą bombą. Wszedł do budynku i skierował się ku windom, a z każdym krokiem było mu ciężiej na duszy.

Ponieważ był nieobecny duchem, prawie zderzył się z kobietą nadchodzącą z naprzeciwka. Przeprósł i nacisnął guzik, aby przywołać windę. Pojawiła się kabina i oboje wsiedli. Web wybrał numer piętra i odsunął się trochę. Gdy jechali w górę, Web zerkał na nieznaną. Była to kobieta średniego wzrostu, szczupła i bardzo atrakcyjna. Oceenił jej wiek na trzydzieści sześć-trzydzieści dziewięć lat. Miała na sobie szary kostium z wystającym kołnierzykiem białej bluzki. Jej czarne pofalowane włosy były krótko przycięte, nosiła małe klipsy. W rękę trzymała skórzaną teczkę. Jej długie palce mocno ścisnęły rączkę. Web zauważył to wszystko, jako że spędził całe swoje życie zawodowe na obsesyjnym analizowaniu szczegółów, ponieważ w jego fachu detale prawie zawsze decydowały o przyszłości albo jej braku.

Kabina zatrzymała się na piętrze wybranym przez Weba, był trochę zaskoczony, kiedy kobieta też wysiadła. Ale wtedy przypomniał sobie, że nie nacisnęła żadnego innego guzika. Cóż, zawsze wyłapywał szczególiki. Poszedł za nią w kierunku gabinetu O'Bannona. Spojrzała za siebie.

- Czy mogę panu w czymś pomóc?

Miała niski, wyrazisty głos, który w jakiś sposób zapraszał go i pokrzepiał. Niezwykle intensywny błękit jej dużych smutnych oczu przyciągnął uwagę Weba. Przypatrywała mu się badawczo. Trudno było oderwać wzrok od takich oczu.

- Mam się tu spotkać z doktorem O'Bannonem.

- Czy jest pan umówiony?

Wydała mu się czujna. Wiedział jednak, że kobiety mają pełne prawo do podejrzeń, natrafiając na obcych mężczyzn. Widział fatalne skutki wielu takich spotkań i te obrazy zostały mu w pamięci na zawsze.

- Tak, na dziewiątą, w środę rano. Jestem trochę wcześniej.

Popatrzyła na niego ze współczuciem.

- Dzisiaj jest wtorek.

Web wymamrotał „cholera” i ze znużeniem pokręcił głową.

- Chyba mieszają mi się dni. Przepraszam, że zabrałem pani czas. - Odwrócił się, żeby odejść, i był prawie pewien, że nigdy tu nie wróci.

- Przepraszam, ale wygląda pan bardzo znajomo - powiedziała za jego plecami niebieskooka kobieta. Web powoli się odwrócił. - Przepraszam - powtórzyła. - Zwykle się tak nie narzucam, ale wiem, że już gdzieś pana widziałam.

- Cóż, jeśli pani tu pracuje, prawdopodobnie tak było. Spotykałem się już z O'Bannonem.

- Nie, nie tutaj. Myślę, że w telewizji.-W końcu błysk zrozumienia ożywił jej twarz. - Web London, agent FBI, prawda?

Przez parę chwil nie mógł się zdecydować, co odpowiedzieć, a ona po prostu patrzyła na niego, najwyraźniej oczekując potwierdzenia.

- Tak. - Web spojrział ponad jej ramieniem. - Pracuje pani tutaj?

- Mam tu gabinet.

- To pani też jest guru?

Wyciągnęła do niego rękę.

- Wolimy, jak nazwa się nas psychiatrami. Jestem Claire Daniels.

Web uściśnął jej dłoń, a potem stali w korytarzu, skrępowani.

- Będę wstawiać wodę na kawę. Może ma pan ochotę na filiżankę? - powiedziała wreszcie kobieta.

- Proszę sobie nie robić kłopotu.

Odwróciła się i otworzyła kluczem drzwi. Web wszedł za nią do środka. Usiedli w malej recepcji i pili kawę. Web rozglądał się po pustej przestrzeni.

- Poradnia jest dzisiaj zamknięta?

- Nie, ale większość pacjentów nie zjawia się przed dziewiątą.

- Zawsze mnie dziwiło, że nie macie tu recepcjonisty.

- Cóż, chcemy, żeby ludzie czuli się jak najswobodniej. A zgłaszanie się u nieznanego może bardzo onieśmielać. Wiemy, na jakie godziny się umówiliśmy, a dzwonek przy drzwiach powiadamia nas, że dana osoba już jest, i zaraz do niej wychodzimy. Mamy wspólną poczekalnię, bo tego się nie da uniknąć, ale raczej nie lubimy, kiedy pacjenci siedzą tutaj razem. To też może być kłopotliwe.

- Tak jakby ludzie siedzieli w kółeczku i grali w „Zgadnij, jaka jest moja psychoza”?

Uśmiechnęła się.

- Coś w tym rodzaju. Doktor O'Bannon otworzył tę poradnię wiele lat temu i bardzo się troszczy o dobre samopoczucie ludzi, którzy przychodzą tu po pomoc. Trzeba unikać zwiększania niepokoju u i tak już niespokojnych ludzi.

- A więc zna pani dobrze O'Bannona?

- Tak. Kiedyś dla niego pracowałam. Potem postanowił uprościć sobie życie i teraz każdy lekarz działa na własną rękę, ale wciąż wspólnie wynajmujemy ten lokal. Przekonaliśmy się do takiego rozwiązania. Doktor O'Bannon jest bardzo dobry. Będzie potrafił panu pomóc.

- Tak pani myśli? - zapytał Web bez choćby odrobiny nadziei.

- Chyba tak jak i reszta kraju interesowałam się tym, co się stało. Bardzo mi przykro z powodu pańskich kolegów.

Web upił w milczeniu łyk kawy.

- Jeśli myślał pan o tym, żeby poczekać, to doktor O'Bannon prowadzi teraz zajęcia na Uniwersytecie George'a Waszyngtona. Dzisiaj wcale tutaj nie przyjdzie - powiedziała Claire.

- Nic się nie stało. To moja pomyłka. Dziękuję za kawę. - Podniósł się z krzesła.

- Panie London, czy chciałby pan, żebym powiedziała doktorowi, że pan tu był?

- Wystarczy Web. Nie, nie wydaje mi się, żebym miał tu wrócić w środę.

Claire także wstała.

- Czy mogę coś zrobić, żeby ci pomóc?

Uniósł swoją filiżankę.

- Zrobiłaś małą czarną. - Web zaczerpnął powietrza. Musiał się zbierać. - Jakie masz plany na następną godzinę? - zapytał jednak zdziwił się, słysząc własne słowa.

- Czeka mnie tylko papierkowa robota - odpowiedziała szybko ze spuszczonym wzrokiem i lekko zaczerwienioną twarzą, jakby właśnie zaprosił ją na szkolny bal, a ona zamiast odrzucić jego propozycję, z jakiegoś niejasnego powodu postanowiła zachęcić go do dalszych starań.

- A co byś powiedziała na to, żeby w tym czasie porozmawiać ze mną?

- Zawodowo? To niemożliwe. Jesteś pacjentem doktora O'Bannona.

- A jak człowiek z człowiekiem? - Web zupełnie nie miał pojęcia, skąd się biorą te wszystkie słowa.

Wahała się przez chwilę, a potem powiedziała mu, żeby poczekał. Weszła do jednego z gabinetów i wróciła po kilku minutach.

- Próbowałam się dodzwonić do doktora O'Bannona na uniwersytecie, ale nie mogli go znaleźć. Bez konsultacji z nim naprawdę nie mogę ci doradzać. Musisz zrozumieć, że pod względem etycznym to drażliwa sprawa, Web. Nie podkradam pacjentów.

Web nagle opadł na krzesło.

- Czy czasami nie byłoby to uzasadnione?

Przez kilka chwil zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Myślę, że jedynie wtedy, gdyby lekarz, z którym regularnie się spotykasz, był nieosiągalny, a ty miałbyś kryzys.

- Jest nieosiągalny, a ja rzeczywiście mam kryzys. - Web mówił całkowitą prawdę, ponieważ czuł się tak, jakby znów był na tym podwórku i nie mógł się ruszyć, nie mógł nic zrobić, żeby pomóc, do cholery, czuł się bezużyteczny. Nie był pewien, czy zdołałby w ogóle wstać i wyjść, gdyby nadal odmawiała mu pomocy.

Poprowadziła go jednak korytarzem do swojego gabinetu i zamknęła za nimi drzwi. Web rozejrzył się. Różnica między pokojami Claire Daniels i O'Bannona nie mogła być większa. Zamiast surowej bieli i przemysłowych żaluzji były tu lekko szare ściany, a pomieszczenie zyskiwało na przytulności dzięki zasłonom w kwiaty. Wszędzie wisiały zdjęcia, głównie portrety, przypuszczalnie jej bliskich. Dyplomy na ścianach poświadczały imponujące osiągnięcia akademickie Claire Daniels: ukończyła uniwersytety Brown i Columbia oraz medycynę w Stanford. Na jednym ze stołów znajdował się szklany pojemnik, na którym nalepiono karteczkę z napisem „Terapia w stoiku”. Na stołach stały też nie zapalone świece, w dwóch rogach gabinetu umieszczono lampy w kształcie kaktusów, a na półkach i na podłodze dziesiątki pluszowych zwierząt. Przy jednej ze ścian stał fotel obity skórą. I, na Boga, Claire Daniels miała kozetkę!

- Chcesz, żebym tu usiadł? - Web wskazał ten mebel, rozpaczliwie usiłując zachować kontrolę nad nerwami. Nagle pożałował, że jest uzbrojony, bo zaczynał czuć, że trochę przestaje nad sobą panować.

- Właściwie, jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja wolę kozetkę.

Opadł na fotel, a potem patrzył, jak Claire zamienia swoje pantofle bez obcasów na kaptcie, które stały obok kozetki. Chwilowy widok jej nagich stóp wywołał u Weba nieoczekiwaną reakcję. Nie było to nic seksualnego; Web pomyślał mianowicie o zakrwawionych ciałach na podwórku, szczątkach Grupy Charlie. Claire usiadła na kozetce, wzięła notatnik i długopis ze stolika przysuniętego do ściany i zdjęła nakładkę. Web wykonał serię krótkich oddechów, żeby się uspokoić.

- O'Bannon nie robi notatek w czasie sesji - zauważył.

- Wiem - powiedziała z ironicznym uśmiechem. - Wydaje mi się, że nie mam tak dobrej pamięci jak on. Przepraszam.

- Nie zapytałem nawet, czy jesteś na zatwierdzonej liście zewnętrznych kontrahentów Biura. Wiem, że O'Bannon jest.

- Ja też. I będę musiała powiadomić o tej sesji twojego przełożonego. Reguły Biura.

- Ale nie ujawnisz tematów sesji.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko to, że się spotkaliśmy. Obowiązują tutaj te same podstawowe zasady poufności, co w zwykłej relacji psychiatra-pacjent.

- Podstawowe zasady?

- Są pewne modyfikacje, Web, z powodu wyjątkowego charakteru twojej pracy.

- O'Bannon wyjaśnił mi to, kiedy do niego chodziłem, ale chyba tak naprawdę nigdy do końca tego nie zrozumiałem.

- Cóż, jeśli podczas sesji ujawnione zostanie coś, co może stanowić zagrożenie dla ciebie albo innych osób, jestem zobowiązana poinformować o tym twojego przełożonego.

- To chyba uczciwe.

- Tak myślisz? Cóż, moim zdaniem wiele zależy od interpretacji, bo w tym, co jednemu wydaje się nieszkodliwe, inny doszuka się prawdziwych gróźb. A więc nie jestem taka pewna, czy te zasady są wobec was bardzo uczciwe. Ale powiem ci, że nigdy nie miałam okazji zastosować ich w praktyce, a od dawna pracuję z ludźmi z FBI, DEA i innych służb zajmujących się ochroną prawa.

- Co jeszcze trzeba ujawnić?

- Drugą poważniejszą sprawą jest zażywanie lekarstw albo terapie lekowe.

- Zgadza się. Biuro mocno tego pilnuje - powiedział Web. - Trzeba zgłaszać przyjmowanie nawet lekarstw dostępnych bez recepty. Tak naprawdę jest to czasami dosyć uciążliwe. - Rozejrzał się. - U ciebie jest o wiele przyjemniej. Gabinet O'Bannona przypomina mi salę operacyjną.

- Każdy inaczej podchodzi do swojej pracy... - przerwała, wpatrując się w jego brzuch.

Web spojrzął w dół i zobaczył, że jego wiatrówka rozchyliła się, ukazując rękojeść pistoletu. Zapiął zamek w kurtce, a Claire spuściła oczy i patrzyła w tym czasie na swój notatnik.

- Przepraszam, Web, nie pierwszy raz zobaczyłam agenta z pistoletem. Chociaż chyba jeśli nie widzi się ich codziennie...

- Można się cholernie wystraszyć - dokończył jej myśl.

Obrzucił wzrokiem galerię puchatych zabawek.

- Po co ci te wszystkie zwierzaki?

- Wielu moich pacjentów to dzieci - powiedziała. - Niestety. Przy zwierzątkach czują się swobodniej. Prawdę mówiąc, ja też czuję się przy nich swobodniej.

- Trudno uwierzyć, że dzieciaki potrzebują psychiatrii.

- Większość ma zaburzenia odżywiania, bulimię, anoreksję. Zwykle źródłem problemów jest nadmierna rodzicielska kontrola. A więc trzeba leczyć nie tylko dziecko, ale też rodzica. Dzieciom nie jest łatwo na tym świecie.

- Dla dorosłych też nie jest on taki wspaniały.

Popatrzyła na niego tak, że Web uznał to za szybką ocenę.

- Wiele przeszedłeś w życiu.
- Więcej niż niektórzy, ale też mniej niż inni. Nie zrobisz mi chyba testu z plamami atramentu? - rzucił niby żartem, ale tak naprawdę pytał poważnie.
- To psychologowie stosują metodę Rorschacha, MMPI, MMCI i neurotesty. Ja jestem tylko skromnym psychiatrą.
- Musiałem przejść MMPI, kiedy wstępowałem do jednostki ratującej zakładników.
- Wielofazowy Inwentarz Cech Osobowości z Minnesoty, jestem z nim zaznajomiona.
- Ma wyłapać świrów.
- W pewnym sensie tak. I wyłapał ich?
- Niektórzy go nie zdali. Ja domyśliłem się, po co jest ten test, i po prostu przez cały czas kłamałem.
Brwi Claire Daniels uniosły się lekko i jej spojrzenie powędrowało ku miejscu, w którym zobaczyła pistolet.
- To pokrzepiające.
- Chyba tak naprawdę nie rozumiem tej różnicy. To znaczy między psychologami a psychiatrami.
- Psychiatra musi zdać egzaminy MCAT, a potem uczy się przez cztery lata w szkole medycznej. Później przez trzy lata zdobywa specjalizację z psychiatrii w szpitalu. Ja zrobiłam jeszcze czwarty rok z zakresu psychiatrii sądowej. Od tego czasu prowadzę prywatną praktykę. Jako lekarze medycyny psychiatrzy mogą też przepisywać leki, a psychologowie najczęściej nie.
Web splótł i rozplótł nerwowo palce.
- Może opowiem ci, jak pracuję? - zaproponowała Claire, która przypatrywała mu się uważnie. - Później, jeśli będzie ci to odpowiadać, będziemy kontynuować. Czy to wystarczająco uczciwe? - Web skinął głową na znak zgody, a ona oparła się wygodnie o poduszki. - Jako psychiatra polegam na zrozumieniu schematów normalnych ludzkich zachowań, aby rozpoznać te, które odbiegają od normy. Jeden oczywisty przykład jest ci bez wątpienia znany: seryjni zabójcy. W ogromnej większości przypadków tacy ludzie byli stale w okropny sposób maltretowani jako dzieci. W wieku szkolnym wykazują wyraźne schematy wściekłości, na przykład znęcają się nad małymi zwierzętami i ptakami, z zaciekleścią przenosząc zadawany im ból i okrucieństwo na żywe stworzenia słabsze od nich. W miarę jak stają się starsi, silniejsi i śmielsi, przechodzą do większych zwierząt i innych celów, a w końcu do ludzi, kiedy osiągają dorosłość. Jest to w istocie dość przewidywalny rozwój wydarzeń.
Trzeba też słuchać jakby trzecim uchem. Zakładam wstępnie, że to,

co ktoś mi mówi, jest prawdą, ale szukam też pewnych wskazówek, które kryją się za słowami. Ludzie zawsze przeplatają swoje wypowiedzi innymi komunikatami. Psychiatra działa na wielu poziomach, często jednocześnie. Kluczem jest słuchanie, prawdziwe słuchanie tego, co ktoś mówi, słowami, w języku ciała, tego rodzaju rzeczy.

- W porządku, jak chciałabyś zacząć ze mną?

- Zwykle proszę pacjenta, żeby wypełnił kwestionariusz na temat swojego dotychczasowego życia, ale myślę, że w twoim przypadku to pominę. Jak człowiek z człowiekiem - dodała z bardzo ciepłym uśmiechem.

Web w końcu poczuł, że gorąco, które ogarnęło jego brzuch, zaczyna go opuszczać.

- Ale porozmawiajmy trochę o twoim życiu, wszystkie typowe informacje. Potem ruszymy z tego miejsca.

Web odetchnął głęboko.

- Skończę trzydzieści osiem lat w marcu przyszłego roku. Przeszedłem drogę do college'u, a potem jakoś dostałem się do szkoły prawniczej na Uniwersytecie Wirginii i nawet udało mi się ją skończyć. Później przez około sześć miesięcy pracowałem w biurze prokuratora miejskiego w Alexandra, aż zrozumiałem, że to nie jest życie dla mnie. Razem z kumplem postanowiłem starać się o przyjęcie do Biura. Tak naprawdę chcieliśmy tylko sprawdzić, czy nam się uda. Mnie przyjęli, jego nie. Przetrawiałem Akademię i spędziłem w FBI już trzynaście szczęśliwych lat. Zaczynałem jako agent specjalny, uczyłem się wtedy fachu, robiąc różne rzeczy w biurach regionalnych w całym kraju. Trochę ponad osiem lat temu złożyłem podanie do HRT. To jednostka zajmująca się odbijaniem zakładników. Jest teraz częścią CIRG*, Grupy Reagowania w Sytuacjach Kryzysowych, ale od dość niedawna. Dają wycisk podczas selekcji i dziewięćdziesiąt procent kandydatów odpada. Najpierw pozbawiają cię snu, łamią fizycznie, a potem zmuszają do błyskawicznego podejmowania decyzji w sprawach życia i śmierci. Sprawiają, że ludzie pracują i poświęcają się jako zespół, ale nadal ze sobą rywalizują, ponieważ nie ma zbyt wielu miejsc do obsadzenia. To była naprawdę niezła jazda. Widziałem, jak faceci z Navy SEALs, z Sił Specjalnych, nawet z Delty załamywali się, płakali, mdleli, mieli halucynacje, grozili samobójstwem, masowymi morderstwami, robili wszystko, żeby oprawcy dali im spokój. Jakimś cudem spełniłem wymagania i potem spędziłem kolejne pięć miesięcy w Szkole Nowych Funkcjonariuszy, czyli NOTS. Jeśli jeszcze tego nie zauważyłaś, powiem ci, że Biuro uwielbia akronimy. Mamy bazę w Quantico. Teraz jestem szturmowcem. - Claire wydawała się zdezorientowana. - HRT

* z ang. Critical Incident Response Group

dzieli się na Niebieską i Żółtą Jednostkę, z czterema grupami w każdej. Stanowią one swoje lustrzane odbicia, żebyśmy mogli zajmować się jednocześnie dwoma kryzysami w różnych miejscach. Połowa grup składa się z samych szturmowców, to znaczy głównej siły uderzeniowej, druga połowa z samych snajperów. Snajperzy ćwiczą w Szkole Snajperów Zwiadowców Korpusu Piechoty Morskiej. Zamieniamy się co jakiś czas, szkolimy się też w tej drugiej specjalności. Ja zaczynałem jako snajper. Kiedyś ten układ był bardzo niekorzystny dla snajperów, chociaż po reorganizacji HRT w 1995 roku znacznie się poprawiło. Nadal jednak leżysz w błocie, deszczu i śniegu całymi tygodniami, szpiegujesz cel i poznajesz słabości swoich przeciwników, które pomogą ci ich później zabić. Albo uratują im życie, bo obserwując ich, możesz zauważyć coś, co ci powie, że w pewnych sytuacjach nie odpowiedzą ogniem. Czekasz na chwilę, w której będziesz musiał użyć broni, i nigdy nie wiesz, czy twój strzał nie wywoła jakiejś cholernej burzy.

- Wydaje mi się, że doświadczyłeś czegoś takiego.
- Jednym z moich pierwszych zadań było Waco.
- Rozumiem.
- Teraz jestem przydzielony do Grupy Charlie w Niebieskiej Jednostce. - Byłem, poprawił się w myślach Web. Grupa Charlie już nie istnieje.
- A więc właściwie nie jesteś agentem FBI?
- Nie, wszyscy nimi jesteśmy. Trzeba przepracować przynajmniej trzy lata w Biurze i mieć wysoką ocenę służby, żeby w ogóle starać się o przyjęcie do HRT. Nosimy takie same odznaki, takie same identyfikatory. Ale my, faceci z HRT, przebywamy we własnym towarzystwie. Osobne obiekty, żadnych innych obowiązków poza HRT. Ćwiczymy razem. Podstawowe umiejętności, węzły, CQB*.
- Co to takiego?
- Węzły obejmują szkolenie w zakresie walki i używania broni palnej. CQB to szkolenie w walce wręcz. Posługiwanie się bronią i CQB to najłatwiej zanikające umiejętności, więc stale się nad nimi pracuje.
- Wydaje się to bardzo wojskowe.
- Tak właśnie jest. I bardzo przypominamy wojsko. Zawsze jesteśmy podzieleni na połowy: jedni są w służbie czynnej, pozostali się szkolą. Jeśli jesteś na służbie i pojawia się misja, jedziesz. Kiedy nic się nie dzieje, ludzie pełniący służbę doskonałą specjalistyczne umiejętności, na przykład wspinanie się po linach, spuszczenie się po nich z helikoptera, pływanie łodziami, udzielanie pierwszej pomocy. A także ćwiczą działania w terenie, to, co nazywamy wężeniem w lasach.

* z ang. close-quarters battle

Dni mijają szybko, wierz mi.

- Na pewno - powiedziała Claire.

Web zaczął przyglądać się swoim butom, siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Pięćdziesięciu samców alfa w jednym miejscu to czasami nie jest dobra rzecz. - Uśmiechnął się. - Zawsze próbujemy sobie udowodnić, kto jest najlepszy. Wiesz, że są takie pistolety Taser, które wystrzelują naelektryzowane strzałki i paraliżują ludzi?

- Tak, widziałam je.

- Cóż, raz zrobiliśmy zawody, żeby zobaczyć, kto najszybciej dojdzie do siebie po trafieniu taką strzałką.

- Dobry Boże! - krzyknęła Claire.

- Wiem, szaleństwo. Nie wygrałem - dodał. - Padłem, jakby rzucił się na mnie młynowy z NFL. Ale to mniej więcej taka mentalność. Skrajna rywalizacja. - Web spoważniał. - Ale jesteśmy dobrzy w tym, co robimy. A nasza praca nie jest łatwa. Robimy to, czego nie chce robić nikt inny. Nasze oficjalne motto brzmi „Ratować życie”. I najczęściej nam się to udaje. Staramy się przewidywać każdą ewentualność, bo nie ma zbyt dużo miejsca na błędy. A o powodzeniu misji może zdecydować łańcuch na drzwiach, którego się nie spodziewałeś, kiedy dynamicznie wchodzisz, albo możesz skrócić w lewo zamiast w prawo, albo nie użyć broni, kiedy jest to konieczne. A obecnie, jeśli cel zostanie lekko zadrażniony, kiedy próbuje odstrzelić nam głowy, wszyscy zaczynają wrzeszczeć i pozywać nas do sądu, więc agenci FBI zaczynają padać jak muchy. Może gdybym się wycofał po Waco, moje życie byłoby inne.

- Dlaczego tego nie zrobiłeś?

- Dlatego, że mam wiele specjalistycznych umiejętności, które mogę wykorzystać, chroniąc uczciwych obywateli. Chroniąc ten kraj przed ludźmi, którzy chcieliby zaszkodzić jemu i jego interesom.

- Brzmi to bardzo patriotycznie. Niektórzy cynicy mogliby cię jednak zganić za taką filozofię.

Web wpatrywał się w nią przez kilka sekund, zanim odpowiedział.

- Ilu komentatorów telewizyjnych miało kiedyś wepchnięty w nos obrzynek, podczas gdy jakiś pomyłony śmieć naćpany metedryną trzymał palec na spuście i zastanawiał się, czy zakończyć ich życie? Ilu czekało w środku amerykańskich pustkowi, kiedy jakiś pseudojezus, psychol, który przeczytał w jakiejś swojej świętej księdze, że ma prawo dymać dzieci swoich uczniów, mącił w psychice ludzi w całym kraju, a potem zakończył swoje pięć minut w kuli ognia, która wraz z innymi pochłonęła wszystkie wykorzystywane dzieci? Jeśli tym cynikom nie odpowiada moja motywacja albo moje metody, mogą iść tam i walczyć

sami. Przetrwaliby ze dwie sekundy. Oczekują doskonałości od dobrych facetów w świecie, w którym jest to nierealne. A źli faceci mogliby oderwać głowy tysiącu niemowląt i ich prawnicy i tak zrobiliby piekło, gdybyś zadarł któremuś z nich skórę przy paznokciu podczas próby aresztowania. Trzeba przyznać, że zwierzchnicy z Biura popełniają błędy, kiedy wydają rozkazy, i niektórzy nie powinni zajmować swoich stanowisk, ponieważ są niekompetentni. Nie byłem w Ruby Ridge, ale to była katastrofa od pierwszej minuty i federalni ponoszą większą odpowiedzialność za śmierć niewinnych ludzi niż ktokolwiek inny. Ale ostatecznie obcina się jąja facetom takim jak ja, którzy wykonują te rozkazy, dlatego, że mieli c z e l n o ś ć ryzykować życie, żeby robić to, co uważają za słuszne, i dostawać gówniane pieniądze za ten przywilej. Taki jest mój świat, doktor Daniels. Witam w piekle.

Web zaczerpnął głęboko powietrza, trząśnięty i patrzył na Claire, która sprawiała wrażenie tak samo oszołomionej jak on.

- Przepraszam - powiedział w końcu. - Jestem trochę takim patryotycznym dupkiem, kiedy chodzi o to wszystko.

Gdy Claire się odezwała, usłyszał w jej głosie skrucę.

- Chyba to ja powinnam przeprosić. Jestem pewna, że czasami twoja praca wydaje ci się niewdzięczna.

- Taka mniej więcej wydaje mi się właśnie teraz.

- Opowiedz mi o swojej rodzinie - poprosiła po kolejnych paru chwilach niezręcznego milczenia.

Web oparł się wygodnie, splótł ręce na karku i ponownie wykonał parę krótkich oddechów. Sześćdziesiąt cztery uderzenia na minutę, Web, to wszystko, czego ci potrzeba, człowieku. Sześćdziesiąt cztery stuknięcia na minutę. Jak trudne to może być?

- Pewnie. Nie ma problemu. Jestem jedynakiem. Urodziłem się w Georgii. Przeprowadziliśmy się do Wirginii, kiedy miałem około sześciu lat.

- „My” to znaczy kto? Twoi rodzice?

Web potrząsnął przecząco głową.

- Nie, tylko ja i matka.

- A twój ojciec?

- Nie pojechał. Stan chciał go zatrzymać trochę dłużej.

- Był zatrudniony przez władze?

- Można tak powiedzieć. Siedział w więzieniu.

- Co się z nim stało?

- Nie wiem.

- Nie interesowało cię to?

- Nie, w przeciwnym razie zaspokoiłbym swoją ciekawość.

- W porządku. A więc przyjechaliście do Wirginii. A potem?

- Moja matka ponownie wyszła za mąż.
- Jak rozumiałeś się z ojczymem?
- Świetnie.

Claire milczała, najwyraźniej oczekując, że rozwinie ten temat. Kiedy zobaczyła, że nic z tego nie będzie, poprosiła:

- Opowiedz mi o twojej więzi z matką.
- Nie żyje od dziewięciu miesięcy, więc nie ma między nami więzi.
- Jaka była przyczyna jej śmierci? Jeśli nie masz nic przeciwko temu,

że pytam - dodała.

- Wielkie W.

Claire wydawała się zdezorientowana.

- Chodzi ci o wielkie R? O raka?

- Nie, o wielkie W, wódę.

- Powiedziałeś, że wstąpiłeś do FBI pod wpływem impulsu. Czy myślisz, że to mogło być coś więcej?

Web rzucił jej krótkie spojrzenie.

- Pytasz, czy zostałem gliniarzem dlatego, że mój prawdziwy ojciec był przestępcą?

Claire uśmiechnęła się.

- Jesteś w tym dobry.

- Nie wiem, dlaczego wciąż żyję, Claire - powiedział cicho Web. - Właściwie powinienem być martwy tak jak reszta mojej grupy. To doprowadza mnie do szału. Nie chciałem przeżyć jako jedyny.

Uśmiech Claire zgasł.

- To wydaje się ważne. Porozmawiajmy o tym.

Web splatał i rozplatał palce. Potem wstał i wyjrzał przez okno.

- To wszystko jest pofne, tak?

- Tak - zapewniła Claire. - Całkowicie.

Usiadł z powrotem w fotelu.

- Wszedłem w uliczkę. Zasuwałem ze swoją grupą, byliśmy prawie w punkcie wyłomu, i wtedy... i wtedy... - przerwał. - I wtedy, do cholery, zamarłem. Nie mogłem się ruszyć. Nie wiem, co się, do diabła, stało. Moja grupa weszła na to podwórko, a ja nie mogłem. Potem w końcu zrobiłem parę kroków, miałem uczucie, że ważę pięćset kilo, jakby moje stopy tkwiły w bryłach betonu. I upadłem, bo nie mogłem się utrzymać na nogach. Po prostu się przewróciłem. I wtedy... - Umilkł na chwilę, uniósł dłoń do twarzy, do jej nie uszkodzonej strony, i nacisnął mocno policzek, jakby powstrzymywał słowa, które chciały się wyrwać. - I wtedy karabiny zaczęły strzelać. A ja żyłem. Żyłem, a wszyscy z mojej grupy zginęli.

Claire nie notowała, patrzyła na Weba.

- W porządku, Web, musisz to z siebie wyrzucić.

- Właśnie! Co, do diabła, mogę dodać? Ześwirowałem. Jestem cholernym tchórzem!

- Web, rozumiem, że niezwykle trudno ci o tym rozmawiać - zaczęła bardzo spokojnie i wyraźnie - ale chciałabym, żebyś dokładnie opisał wydarzenia, które doprowadziły do tego, że „zamarłeś”, jak powiedziałaś. Tak wyczerpująco, jak umiesz je sobie przypomnieć. To może być bardzo ważne.

Web przeanalizował z nią szczegóły od chwili, w której drzwi chevroleta się otworzyły, do czasu, kiedy nie mógł wykonać zadania, kiedy patrzył, jak jego przyjaciele umierają. Gdy skończył, czuł się zupełnie odretwiały, jakby w swoją żalosną opowieść włożył wszystkie siły.

- To musiało być paraliżujące uczucie - stwierdziła. - Zastanawiam się, czy wcześniej miałeś jakieś objawy, zanim poraziło cię to tak całkowicie. Na przykład gwałtowną zmianę tętna, przyspieszony oddech, uczucie lęku, zimny pot, suchość w ustach?

Web zastanawia! się przez chwilę, przebiegając znów w pamięci każdy krok, jaki wtedy zrobił. Zaczął kręcić przecząco głową, ale potem powiedział:

- W uliczce był dzieciak. - Nie miał zamiaru ujawniać Claire Daniels znaczenia Kevina Westbrooka dla śledztwa; było jednak coś, co mógł jej zdradzić. - Kiedy go mijaliśmy, coś powiedział. Coś naprawdę dziwnego. Zapamiętałem, że jego głos brzmiał trochę jak głos starca. Można było poznać po jego wyglądzie, że życie go nie rozpieszczało.

- Nie pamiętasz, co powiedział?

Web potrząsnął głową.

- Nie mogę sobie przypomnieć, ale to było coś dziwnego.

- Ale to sprawiło, że coś poczułeś, coś poza zwyczajną litością czy współczuciem?

- Niech pani posłucha, doktor Daniels...

- Proszę, mów do mnie Claire.

- W porządku, Claire, nie zamierzam udawać świętego. Mam taką pracę, że zstępuję w prawdziwe piekielka. Staram się nie myśleć o wszystkich innych sprawach, takich jak na przykład dzieciaki.

- Najwyraźniej uważasz, że gdybyś o nich myślał, nie mógłbyś wykonywać swojej pracy.

Web posłał jej krótkie spojrzenie.

- Myślisz, że właśnie o to chodziło? Zobaczyłem tego dzieciaka i coś trzasnęło w moim mózgu?

- To możliwe, Web. Szok bitewny, zespół stresu pourazowego powoduje paraliż i całe mnóstwo innych fizycznych dolegliwości. Występuje częściej, niż ludzie sądzą. Stres związany z walką jest wyjątkowy.

- Ale wtedy jeszcze nic się nie zdarzyło. Nie padł ani jeden strzał.

- Robisz to od wielu lat, Web; wszystko może się gromadzić w twoim wnętrzu, a rezultat tego nagromadzenia mógł się ujawnić w najbardziej nieodpowiedniej chwili w najbardziej niekorzystny sposób. Nie jesteś pierwszym człowiekiem, który wziął udział w jakiejś bitwie i tak zareagował.

- Cóż, mnie przytrafiło się to po raz pierwszy - powiedział ostro Web. - A pozostali z mojej grupy przeszli dokładnie tyle samo co ja i żaden z nich nie miał wtedy blokady.

- Chociaż przydarzyło ci się to pierwszy raz, Web, musisz zrozumieć, że każdy z nas jest inny. Nie możesz się z nikim porównywać. To nie byłoby wobec siebie uczciwe.

- Pozwól, że powiem ci, co jest uczciwe - odparł gwałtownie Web, wyciągając palec w jej kierunku. - Mogłem mieć uczciwą szansę, żeby coś zmienić tamtej nocy. Może mogłbym coś zrobić, może zobaczyłbym coś, co ostrzegłoby chłopaków, i może wciąż by żyli, a ja nie siedziałbym tu i nie rozmawiał z tobą o tym, dlaczego już ich nie ma.

- Rozumiem, że jesteś rozgniewany i że życie nie zawsze jest uczciwe. Niewątpliwie pokazały ci to setki przykładów. Trzeba teraz ustalić, w jaki sposób najlepiej poradzisz sobie z tym, co się wydarzyło.

- Jak człowiek ma sobie poradzić z czymś takim? Nic nie byłoby gorsze.

- Wiem, że to może się wydawać beznadziejne, ale byłoby gorzej, gdybyś nie zdołał uporać się ze swoimi problemami i szedł z nimi dalej przez życie.

- Życie? Och, taak, zgadza się, chyba zostało mi trochę życia. Chcesz się ze mną zamienić? Zaproponuję ci naprawdę korzystne warunki.

- Chcesz wrócić do HRT? - zapytała bezbarwnym głosem.

- Tak - odpowiedział natychmiast.

- Jesteś pewien?

- Jestem całkowicie pewien.

- A więc to jest cel, do którego możemy oboje dążyć.

Web przesunął dłoń w górę po udzie i zatrzymał ją na wypukłości pistoletu.

- Naprawdę myślisz, że to jest możliwe? Widzisz, w HRT, jeśli nie radzisz sobie psychicznie albo fizycznie, musisz odejść. - Odejść z naprawdę jednego miejsca, do którego kiedykolwiek pasowałem, pomyślał.

- Możemy spróbować, Web, tylko tyle możemy zrobić. Ja też jestem całkiem dobra w swoim fachu. I obiecuję, że zrobię wszystko co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Potrzebuję tylko twojej współpracy.

Popatrzył jej prosto w oczy.

- W porządku.

- Czy jest teraz w twoim życiu coś szczególnie niepokojącego? Jakieś wyjątkowo stresujące niecodzienne sprawy?

- Tak naprawdę to nie.

- Wspomniałeś, że niedawno umarła twoja matka.

- Tak.

- Opowiedz mi o swojej więzi z nią.

- Zrobiłbym dla niej wszystko.

- A więc rozumiem, że byłeś do niej bardzo przywiązany. - Web wahał się tak długo, że Claire w końcu powiedziała: - Web, teraz ważna jest całkowita prawda.

- Miała swoje problemy. Na przykład alkohol. I nie znosiła mojej pracy.

Spojrzenie Claire znów powędrowało tam, gdzie pod kurtką rysował się kształt pistoletu Weba.

- Nie jest to takie niezwykle u matki. Masz bardzo niebezpieczne zajęcia. - Spojrzała na jego twarz, a potem szybko spuściła wzrok. Web jednak zauważył to spojrzenie.

- Czasami jest niebezpiecznie - przyznał spokojnie i odwrócił od niej uszkodzoną stronę twarzy; był to ruch, który tak dopracował, że najczęściej wykonywał go bezwiednie.

- Coś mnie ciekawi. Co po niej odziedziczyłeś? Czy zostawiła ci cokolwiek, co by coś dla ciebie znaczyło?

- Zostawiła mi dom. To znaczy nie zostawiła go mnie, nie było testamentu. Przypadł mi na mocy prawa.

- Masz zamiar tam zamieszkać?

- Nigdy!

Claire drgnęła. Web dodał szybko, ale już bardziej opanowanym głosem:

- To znaczy, mam własny dom. Nie potrzebuję drugiego.

- Rozumiem. - Claire zanotowała coś, a potem najwyraźniej świadomie zmieniła temat. - Nawiasem mówiąc, czy kiedykolwiek byłeś żonaty?

Web pokręcił głową.

- Nie, przynajmniej nie w typowym tego słowa znaczeniu.

- Co to znaczy?

- Wszyscy pozostali faceci z mojej grupy mieli rodziny. Czuję się tak, jakbym miał dzięki nim gromadkę żon i dzieciaków.

- A więc byłeś bardzo zżyty ze swoimi kolegami?

- W naszym zawodzie trzeba trzymać się razem. Im lepiej znaliśmy się nawzajem, tym lepiej nam się pracowało, pewnego dnia mogło mi to uratować życie. Poza tym byli po prostu wspaniałymi facetami. Lubiłem ich towarzystwo. - Gdy tylko skończył to mówić, ogień ponow-

nie ogarnął jego wnętrzości. Web zerwał się z miejsca i ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim zdumiona Claire. - Dopiero zaczęliśmy. Musimy porozmawiać o wielu innych sprawach.

Web zatrzymał się w progu.

- Na razie wystarczy.

Zamknął za sobą drzwi, a Claire nie pobięła za nim. Odłożyła przybory do pisania i wpatrywała się w klamkę.

Na Cmentarzu Narodowym Arlington Percy Bates szedł z centrum dla zwiedzających wykładaną płytami aleją, która prowadziła do Domu Custisa-Lee. Kiedy na początku wojny secesyjnej Robert E. Lee wybrał swój rodzinny stan Wirginia i przyjął dowództwo sił konfederatów, a odrzucił podobną propozycję Gwiazd i Pasów, rząd federalny zareagował na tę odmowę konfiskatą domu Lee. Według historycznej anegdoty w czasie wojny administracja Lincolna zgłosiła gotowość oddania majątku generałowi konfederatów. Musiałby tylko przyjechać i zapłacić zaległe podatki. Osobiście Lee rzecz jasna nie przyjął oferty Lincolna i jego posiadłość została przekształcona w cmentarz narodowy, obecnie najbardziej prestiżowy w kraju. Ta historia zawsze skłaniała urodzonego w Michigan Batesa do uśmiechu, chociaż ten dworek, znany powszechnie jako Arlington House, był teraz swego rodzaju pomnikiem Lee.

Bates dotarł przed Arlington House i popatrzy! na widok, który wielu uważało za najwspanialszy w całym Waszyngtonie, a może i w całym kraju. Stolica leżała tutaj u twoich stóp. Bates zastanawiał się, czy szanowny Bobby Lee kiedykolwiek tak pomyślał, wstając rano i wyglądając przez okno.

Cmentarz zajmował ponad dwieście czterdzieści hektarów, przeważały na nim proste, jednakowe białe nagrobki. Było też trochę bardzo wyszukanych pomników, wystawionych przez pozostałych przy życiu członków rodziny albo przez innych wdzięcznych fundatorów; jednak większość ludzi zapamiętywała ze swojej wizyty tutaj właśnie morze białych kamieni nagrobnych, które, oglądane pod właściwym kątem, dawały złudzenie pokrytej śniegiem ziemi nawet w lecie. Cmentarz Arlington był miejscem wiecznego spoczynku amerykańskich żołnierzy poległych w walce za swój kraj, pięciogwiazdkowych generałów, jednego zamordowanego prezydenta, siedmiu sędziów Sądu Najwyższego, odkrywców, sławnych przedstawicieli mniejszości i wielu innych osób, które kwalifikowały się do pochówku w tej narodowej świątyni. Pogrzebano tu już znacznie więcej niż dwieście tysięcy umarłych i liczba ta zwiększała się w tempie osiemnastu ciał na każdy dzień powszedni.

Bates był tu wielokrotnie. Kilka razy uczestniczył w pogrzebach przyjaciół i kolegów z pracy. Czasami przyjeżdżał na cmentarz jako swego rodzaju przewodnik wycieczki, kiedy jego rodzina zapraszała kogoś do Waszyngtonu. Zwiedzający najbardziej lubili oglądać zmianę warty w wykonaniu żołnierzy Trzeciego Pułku Piechoty Stanów Zjednoczonych, którzy czuwali przez całą dobę przy Grobach Nieznanych Żołnierzy. Bates spojrzął na zegarek i stwierdził, że jeśli się pospieszy, będzie akurat na czas.

Gdy przybył w pobliże grobów, zobaczył, że zbiera się już tłumek, w większości goście spoza miasta, z aparatami i dziećmi. Wartownik pełniący służbę miał za zadanie zrobić dwadzieścia jeden kroków, zatrzymać się na dwadzieścia jeden sekund, przełożyć karabin na drugie ramię, a potem przemaszerować z powrotem wzdłuż tej samej wąskiej ścieżki. Wykonał już część swoich męcząco precyzyjnych rutynowych czynności.

Bates często się zastanawiał, czy karabin wartowników jest naładowany. Wierzył jednak, że gdyby ktokolwiek próbował kiedyś splądrować czy zbezczcić jakiś grób, spotkałby się z szybką reakcją. Jeśli istniała święta ziemia dla wojskowych w tym kraju, to znajdowała się ona tutaj. Cmentarz Arlington stał na równi z Pearl Harbor.

Gdy zaczęła się zmiana warty i przybyło ludzi, którzy potem ścieśnili się, żeby móc porobić zdjęcia, Bates spojrzął w lewo, a potem zaczął się przebijać przez rzędy turystów i zszedł po schodach. Zmiana warty była skomplikowaną ceremonią i jej przeprowadzenie zajmowało trochę czasu. Spektakl przyciągnął prawie wszystkich, którzy znajdowali się na cmentarzu, ale nie Percy'ego Batesa.

On ominął łukiem wielki Amfiteatr Pamiątkowy, który przylegał do strefy grobów, i spacerował dalej. Przeciął Aleję Pamiątkową, okrążył pomnik wahadłowca Challenger, a potem zawrócił i wkrótce znalazł się w amfiteatrze. Zszedł na scenę zabudowaną potężnymi kolumnami, frontonami i balustradami; zbliżył się do jednej ze ścian, wyciągnął mapę cmentarza, rozłożył ją i zaczął studiować.

Mężczyzna był schowany przed wzrokiem Batesa i kogokolwiek innego. W kaburze przy pasie miał pistolet, jego dłoń spoczywała na rękojeści, kiedy przysuwał się do miejsca, w którym stał Bates. Podążał niepostrzeżenie za agentem FBI przez większą część cmentarza, aby przekonać się, czy ten jest sam. W końcu zbliżył się do niego.

- Nie myślałem, że się pokażesz, dopóki nie dałeś mi tego znaku - powiedział Bates. Mapa całkowicie zasłaniała jego twarz przed wzrokiem każdego, kto mógł go obserwować.

- Musiałem się upewnić, że warunki są odpowiednie - wyjaśnił Randall Cove. Pozostał w ukryciu za fragmentem ściany.

- Sprawdzalem przeciez, czy nikt mnie nie sledzi.
- Cokolwiek ktos z nas umie robic, ktos inny umie to robic lepiej.
- Nie bardzo moge zaprzeczyc. Dlaczego zawsze chcesz sie spotykać na cmentarzu?
- Lubię ciszę i spokój. Rzadko mam to gdzie indziej. - Cove urwał, a potem powiedział: - Ktoś mnie podpuścił.
- Doszedłem do tego. Ale mam sześcioro martwych ludzi, a siódmy jest na razie znakiem zapytania. Czy twoja przykrywka została zerwana od środka? Czy zamiast cię zabić, nakarmili cię fałszywymi informacjami, żeby zrobić HRT? Potrzebuję tu szczegółów, Randy.
- Sam byłem wcześniej w tym cholernym budynku. Wszedłem tam jako potencjalny gracz, chciałem zbadać interes tych facetów. Widziałem biurka, segregatory, komputery, gości, którzy biegali dookoła i gadali bez przerwy o liczbach, forsie, towarze, całym tym kramie. Widziałem to na własne oczy. Nie wzywałbym was do czegoś takiego, gdybym sam tego nie zobaczył. Nie jestem żółtodziobem.
- Wiem o tym. Ale niczego nie znaleźliśmy w budynku, kiedy do niego weszliśmy. Oprócz ośmiu rozwalonych karabinów maszynowych.
- Zgadza się. Rozwalonych. Opowiedz mi o Londynie. Ufasz mu?
- Nikomu bardziej.
- Jaka jest jego wersja? Dlaczego wciąż żyje?
- Nie wydaje mi się, żeby wiedział. Mówi, że znieruchomiał.
- Wybrał sobie cholernie dobry moment.
- Skasował te karabiny. Uratował przy okazji małego chłopca.
- To naprawdę wyjątkowy dzieciak. Kevin Westbrook.
- Wiem.
- Słuchaj, na początku to miało być polowanie na starszego Westbrooka, bo góra uznała, że już czas się do niego dobrać, żeby mogli się czymś pochwalić. Ale im głębiej w to wchodziłem, tym bardziej zdawałem sobie sprawę, że on jest płótką, Perce. Dobrze zarabia, ale nie znakomicie. Nie ostrzeliwuje dzielnic, nie rzuca się w oczy.
- Jeśli nie on, to kto?
- Jest około ośmiu głównych ulicznych sprzedawców w tym mieście, Westbrook jest tylko jednym z nich. Razem rozprowadzają mnóstwo tego gówna. Teraz pomnóż ten obrót przez każdą większą aglomerację stąd do Nowego Jorku i na południe do Atlanty i będziesz miał prawdziwego giganta.
- Mówisz, że jedna grupa kontroluje cały ten przepływ? To niemożliwe.
- Nie, mówię, że moim zdaniem jedna grupa kontroluje przepływ Oxycontin z obszarów wiejskich do metropolitalnych na całym Wschodnim Wybrzeżu.

- Oxycontin, leku sprzedawanego na receptę?
- Zgadza się. Nazywa się go „chłopską heroiną”, bo nielegalny handel zaczął się na obszarach wiejskich. Ale teraz przenosi się do wielkich miast. Widzisz, to tam są prawdziwe pieniądze. Kmiotki z gór nie mają takiej forsy jak ludzie z miast. To syntetyczna morfina, na silny, przewlekły ból albo dla śmiertelnie chorych. Narkomani kruszą ją, wdychają, palą albo wstrzykują sobie i mają podobny haj jak po heroinie.
- Taak, tyle że to stopniowo uwalnia się w organizmie, tak że jeśli weźmiesz całą tabletkę, nie czekając na opóźnione działanie, możesz się zabić.
- Ponad sto zgonów i na tym nie koniec. Oxycontin nie jest tak mocny jak heroina, ale ma dwa razy większego kopa niż morfina i jest legalnym lekarstwem, z tego powodu niektórzy wierzą, że jest bezpieczny, nawet jeśli zażyją za dużą dawkę. Są starsi ludzie, którzy sprzedają jedną tabletkę na ulicy, żeby pokryć koszt reszty recepty, bo ich ubezpieczenie nie obejmuje innych lekarstw. Poza tym lekarze wypisują fałszywki, są też włamania do aptek i domów pacjentów, którzy go stosują.
- Kiepsko to wygląda - zgodził się Bates.
- To dlatego Biuro i DEA utworzyły wspólną grupę interwencyjną. I nie chodzi tylko o Oxy, jest też inny towar, na przykład Percocet i Percodan. Teraz można kupić „perki” na ulicy za dziesięć do piętnastu dolców sztuka. Ale one nie mają takiej siły jak Oxy. Trzeba by wziąć szesnaście tabletek Percocetu, żeby dostać takiego samego kopa jak po jednej osiemdziesięcimiligramowej tabletki Oxy.
- Podczas tej rozmowy Bates rozejrzał się z pozoru obojętnie kilka razy, żeby zobaczyć, czy ktoś go nie obserwuje, ale nikogo nie było. Uznał, że tak naprawdę Cove wybrał dobre miejsce na spotkanie, bo nikt nie mógł go zobaczyć, a sam Bates, stojący twarzą do ściany z podniesioną mapą, wydawał się po prostu turystą, który potrzebuje wskazówek.
- Cóż, rząd oczywiście nadzoruje wydawanie tego typu leków - powiedział Bates. - I kiedy lekarz i apteka wydają dziesiątki tysięcy tych samych tabletek, jest to sygnał alarmowy, ale z kolei nie trzeba się martwić, jak przewieźć to przez granicę.
- Zgadza się.
- Dlaczego nie wiedziałem o tej sprawie z Oxy, Randy?
- Bo dopiero trafiłem na ten trop. Nie wiedziałem, że mam do czynienia z dostawami Oxy, kiedy pierwszy raz się z tym zetknąłem. Myślałem, że to po prostu zwyczajna koka i heroina. Ale potem zacząłem widzieć i słyszeć różne rzeczy. Jak się wydaje, większość tego narkotyku pochodzi z małych zagłębi rozrzuconych po całej Appalachii. Przez

długi czas były to tylko małe firmy rodzinne, organizowane głównie przez ludzi, którzy sami byli uzależnieni od tych lekarstw. Ale wyczuwam jedną siłę, która to wszystko zbiera i wysyła do wielkich miast. Widzisz, to następny etap. To mogą być najłatwiejsze pieniądze na świecie i ktoś na to wpadł, przynajmniej tutaj. Rozbudowują to do poziomu prawdziwego interesu narkotykowego, ale z marżą zysku trzy razy większą od tego, co zarabiają kartele i wszyscy inni, przy o wiele mniejszym ryzyku. To tych ludzi chcemy dopaść. Myślałem, że właśnie oni mieli siedzibę w budynku, na który uderzyła formacja HRT. Myślałem, że uda nam się rozwalić cały ten biznes, jeśli zgarniemy księgowych. Poza tym ukrycie izby rozrachunkowej w wielkim mieście miaoby sens.

- Bo na obszarach wiejskich coś takiego zwracałoby uwagę - dokończył jego myśl Bates.

- Właśnie. I mają poważną motywację. Powiedzmy, że po pewnym czasie zaczną opylać tygodniowo milion tabletek, wartość uliczna towaru sto milionów; cóż, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Ale ludzie, którzy przywożą towar, nie mieliby motywacji, żeby załatwić oddział z HRT. To sprowadziłoby na nich nieszczęście, którego raczej nie potrzebują. Dlaczego mieliby to zrobić?

- Mogę ci tylko powiedzieć, że interes, który widziałem w tamtym budynku, nie należał do Westbrooka. Był ogromny. Dużo się tam działo, o wiele więcej, niż mógłby wygenerować jego biznes. Gdybym myślał, że to tylko Westbrook, nie ściągnąłbym HRT. Złapałibyśmy małą rybkę, a wielka by sobie po prostu odpłynęła. Mimo to myślę, że Westbrook i inne ekipy rozprowadzają ten towar w Dystrykcie. Ale nie mam na to mocnych dowodów. Facet jest naprawdę bystry i widział już wszystko.

- Taak, ale dotarłeś do kogoś w jego ekipie. To cenne.

- Zgadza się, ale w tej branży kto dzisiaj kabluje, jutro jest martwy.

- A więc ktoś tak naprawdę wystawił dla nas cholerne przedstawienie niczym na Broadwayu. Urządzili ten magazyn tak, żeby wyglądał na wielki interes narkotykowy. Domyślasz się, w jakim celu?

- Nie. Kiedy przekazałem wam informacje i uderzenie zostało przygotowane, ten, kto mnie nabrał, nie potrzebował już drogiego Randal-la Cove'a. Moim zdaniem mam szczęście, że żyję, Perce. Właściwie to zastanawiam się, dlaczego żyję.

- Tak jak Web London. Po masakrze chyba zawsze tak się dzieje.

- Nie, chciałem powiedzieć, że ktoś próbował mnie wykończyć po uderzeniu HRT. Kosztowało mnie to mojego bucara i parę pękniętych żeber.

- Jezu, czemu nas nie powiadomiłeś? Musisz się zgłosić, Randy. Przeprowadzimy pełne przesłuchanie, żeby to rozpracować.

Bates rozejrzał się jeszcze raz. Rozmowa się przedłużała. Wkrótce będzie musiał się ruszyć. Tylko przez tyle czasu mógł studiować mapę cmentarza, nie wzbudzając podejrzeń. Ale nie chciał odejść bez Randalla Cove'a.

- Do diabła, ani myślę tego robić, Perce - odpowiedział Cove tonem, który skłonił Batesa do opuszczenia mapy. - Nie zrobię tego, bo to gównu trafia o wiele za blisko kości.

- Co to dokładnie znaczy? - zapytał ostro Bates.

- To znaczy, że to gówno śmierdzi od środka, a ja nie oddam swojego życia w niczyje ręce, dopóki nie będę wiedział, że zagrają ze mną uczciwie.

- To FBI, Randy, a nie KGB.

- Może dla ciebie. Ty zawsze byłeś w środku, Perce. Ja jestem na zewnątrz, mniej więcej tak bardzo jak można. Zgłoszę się teraz, nie wiedząc, co się stało, i nagle się okaże, że przepadłem jak kamień w wodę. Wiem, że wielu facetów, którzy mają siedzibę za miastem, myśli, że to ja stałem za atakiem na HRT

- To wymysły.

- Sprzątnięcie sześciu facetów to też wymysły? Jak zdołaliby to zrobić bez poufnych informacji?

- Taki syf się zdarza w twojej pracy.

- Mówisz, że nie zauważyłeś, jak wszystko dookoła się wali? Spieprzone zadania, dwóch zabitych tajniaków w ciągu ostatniego roku. Grupy uderzeniowe Biura zjawiają się, żeby zrobić swoje, i nie zastają w domu nikogo, kto by się z nimi zabawił, wielkie naloty na handlarzy prochami kończą się fiaskiem, bo goście dostali cynk. Myślę, że w samym Biurze jest jakiś wielki, śmierdzący kapuś, który sprzedaje wielu facetów, w tym mnie!

- Nie wyjeżdżaj mi tu z teoriami spiskowymi, Randy.

- Chciałem cię zapewnić, że nic o tym nie wiedziałem - ciągnął Cove już spokojniejszym głosem. - Masz moje słowo, bo tylko tyle mogę ci teraz dać. Jest nadzieja, że później będzie lepiej.

- A więc coś znalazłeś? - zapytał szybko Bates. - Słuchaj, Randy, wierzę ci, ale są ludzie, przed którymi muszę się wytłumaczyć. Rozumiem twoje obawy, działo się wiele złych rzeczy, i próbujemy znaleźć ich źródło, ale musisz zrozumieć również mój niepokój. - Przerwał na chwilę. - Cholera, dam ci wszelkie możliwe gwarancje, że jeśli zgłosisz się teraz, będę się tobą opiekował, jakbyś był moim ojcem na łożu śmierci, w porządku? Mam nadzieję, że potrafisz mi zaufać po tym wszystkim, co razem przeszliśmy. Stawałem po twojej stronie już wcześniej. - Cove nie odpowiedział. - Słuchaj, Randy, powiedz mi, czego potrzebujesz, żeby się zgłosić, to zobaczę, co mogę zrobić. - Nadal nie

było reakcji. Bates zaklął pod nosem i wpadł za ścianę. Nikogo nie zobaczył, ale zauważył drzwi prowadzące na zewnątrz z drugiej strony. Podeszedł do nich, ale były zamknięte na klucz. Obiegł amfiteatr i wy-dostał się na otwartą przestrzeń. Ceremonia zmiany warty dobiegała końca i wielkie tłumy wysypały się na wyłożone płytami alejki i na teren cmentarza. Bates rozglądał się, ale wiedział, że tajniak już go zgubił. Choć Cove był olbrzymim mężczyzną, przez wiele lat uczył się wtapiać w każde otoczenie. Bates tylko zgadywał, że mógł być ubrany jak pracownik porządkujący groby, a może jak turysta. Wrzucił mapę do kosza na śmieci i odszedł ciężkim krokiem.

Osiedle, przez które jechał Web, było identyczne jak wszystkie inne w tej okolicy. Skromne powojenne domy o pudełkowatych kształtach, żwirowe podjazdy i metalowe daszki. Podwórka od frontu były malutkie, ale z tyłu znajdowały się duże placyki, gdzie kryły się wolno stojące garaże i w zabezpieczonych miejscach stały grille, a jabłonie o rozszczepionych pniach rzucały orzeźwiający cień. To była kraina rodzin z klasy robotniczej, które wciąż chlubiły się swoimi domami i nigdy nie zakładały, że dzieci pójdą do college'u. Dzisiaj mężczyźni majstrowali przy swoich starych samochodach w chłodnych garażach, a kobiety zbierały się na frontowych werandach, żeby pić kawę, palić papierosy i wymieniać plotki, siedząc w słońcu, które było bardzo gorące jak na tę porę roku, i pod niebem, które w końcu wypogodziło się po ostatniej burzy. Dzieciaki w szortach i tenisówkach pędziły tam i z powrotem po ulicy na hulajnogach.

Gdy Web zatrzymał się przed domem Paula Romano, zobaczył, że Paulie, jak wszyscy go nazywali, grzebie pod maską klasycznej corvetty stingray, która była jego największą dumą i radością. Żonę i dzieciaki umieszczał trochę niżej na skali miłości i wylewności. Pochodzący z Brooklynu Paul Romano „lubił sobie pobrudzić ręce”, więc pasował do tej dzielnicy mechaników, elektryków, kierowców ciężarówek i tym podobnych facetów. Jedyną różnicę stanowiło to, że Romano umiałby cię zabić na sto różnych sposobów, gdyby chciał, i do cholery, nic nie mógłbyś na to poradzić. Paul Romano był jednym z tych, którzy przemawiali do swojej broni, nadawali jej imiona jak zwierzacom domowym. Jego MP-5 nazywał się Freddy, po bohaterze z *Koszmaru z ulicy Wiązów*, a jego bliźniacze czterdziestki piątki nosiły imiona Cuff i Link, jak żółwie w filmie *Rocky*. Tak, trudno było w to uwierzyć, ale Paul Romano z Brooklynu był wielkim fanem Sly'a Stallone'a - chociaż wiecznie narzekał, że ten „cholerny Rambo był tchórzliwym dupkiem”.

Romano podniósł wzrok ze zdziwieniem, kiedy Web podszedł i zajrzał we wnętrze błękitnej corvetty z białym składanym dachem. Web wiedział, że ten samochód to model z roku 1966, a był to pierwszy rok, w którym produkowano słynny wielkokadłubowy silnik o po-

jemności 7 litrów i mocy 456 koni, ponieważ Romano mówił o tym jemu i wszystkim innym facetom z HRT jakieś tysiąc razy. „Ręczna skrzynia biegów z czterema przekładniami. Maksymalna szybkość około dwustu sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Zdmuchnie wszystko z ulicy - zachwycał się, aż Webowi robiło się niedobrze. - Wozy policyjne, podrasowane puszki, połowę cholernych rajdówek jeżdżących na mniejszych rozstawach.

Web często się zastanawiał, jakie by to było uczucie, gdyby jako dzieciak rozkręcał samochody na podjeździe ze swoim staruszkiem i zdobywał wiedzę o gaźnikach, sporcie, kobietach, wszystkich rzeczach, które sprawiają, że warto żyć. *Hej, tato, na przykład ona stoi obok ciebie, a ty się zastanawiasz, czy powinieneś objąć ją ramieniem, a może zaryzykować i położyć rękę tam? Taak, tam, tato, pomóż mi, też kiedyś byłeś młody, prawda? Nie mów mi, że nigdy nie myślałeś takich rzeczach, dobrze? I kiedy powinienem spróbować ją pocałować? Jakich oznak powinienem wypatrywać? Tato, nie uwierzysz w to, ale nie mogę pojąć tych zwariowanych kobiet. Czy z wiekiem to się staje łatwiejsze?* A staruszek by mrugnął, uśmiechnął się ze znawstwem, pociągnąłby łyk piwa, zaciągnąłby się głęboko marlboro, a potem by usiadł, wytarł usmarowane ręce w ścierkę i powiedział: *W porządku, postuchaj, Junior, powiem ci, jak się to rozgrywa. Wyłożę ci to i lepiej to sobie zapisz, bo to jest ewangelia, synu.* Wpatrując się we wnętrze corvetty, Web był ciekaw, jak by się czuł w czasie takiej wymiany zdań.

Romano przypatrywał się Webowi i nie wspomniał o Wielkim Kadłubie 450 HP, który potrafi zostawić daleko w tyle podrasowane puszki. Powiedział tylko:

- Piwo jest w chłodziarce. Zielony za puszkę. I nie czuj się jak u siebie.

Web sięgnął do środka małego colemana stojącego obok jego nóg i otworzył budweisera, ale nie zostawił dolarowego banknotu jako zapłaty.

- Wiesz, Paulie, istnieje nie tylko bud. Mam parę ekstrabrowarów z Ameryki Południowej, których powinieneś spróbować.

- Pewnie, przy mojej pensji?

- Zarabiamy tyle samo.

- Ja mam żonę i dzieci, ty nikogo nie masz.

Romano jeszcze kilka razy obrócił klucz nasadowy, a potem obszedł Weba i zapalił maszynę. Wydawało się, że potężny silnik rozsadzi cienką warstwę metalu trzymającego to wszystko w kupie.

- Mruczy jak kotek - powiedział Web, popijając piwo.

- Do diabła, jak tygrys.

- Możemy pogadać? Mam parę pytań.

- Ty i wszyscy inni. Pewnie, zaczynaj. Mam mnóstwo czasu. Co in-

nego mógłbym robić w wolny dzień, do diabła, relaksować się? A więc czego potrzebujesz? Baletowych rajstop? Sprawdzę u żony.

- Wiesz, że byłbym ci wdzięczny, gdybyś nie opowiadał każdemu w Quantico, że jestem do niczego.

- A ja byłbym ci wdzięczny, gdybyś mi nie rozkazywał. A jeśli już o tym mówimy, to spieprzaj z mojego terenu. Zadaję się tylko z ludźmi na pewnym poziomie.

- Po prostu porozmawiajmy, Paulie. Jesteś mi to winien.

Romano wycelował w niego klucz.

- Nic ci nie jestem winien, London.

- Myślę, że po ośmiu latach zajmowania się tym głównym obaj jesteście winni sobie nawzajem więcej, niż kiedykolwiek będziemy w stanie spłacić.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, aż w końcu Romano odłożył klucz, wytarł ręce, wyłączył „tygrysa” i ruszył w stronę podwórka. Web potraktował to jako zaproszenie i poszedł za nim. A jednak przez chwilę myślał, że może Romano po prostu idzie do garażu, żeby wziąć większy klucz, by go nim uderzyć.

Na tylnym podwórku trawa była krótko przycięta, drzewa zadbane, a wielki krzew różany rósł przy ścianie garażu. Temperatura w słońcu wynosiła z pewnością ponad dwadzieścia pięć stopni, przyjemne było to uczucie ciepła po wielu dniach deszczu. Przyciągnęli dwa krzesła ogrodowe i usiedli. Web patrzył, jak żona Romano, Angie, rozwiesza pranie na linie, żeby wyschło. Pochodziła z Missisipi. Romanowie mieli dwójkę dzieci, dwóch chłopców. Angie była drobna i wciąż zgrabna, miała bujne jasne włosy, czarujące zielone oczy i spojrzenie typu „Pozwól mi się zjeść, kochanie”. Zawsze flirtowała, dotykała twojego ramienia albo muskała stopą twoją nogę, mówiąc, że jesteś milutki, ale wszystko to było niewinne. Czasami doprowadzało to Romano do szału, ale Web widział, że tak naprawdę cieszył się, że inni faceci uznają jego żonę za atrakcyjną kobietę. To była po prostu część tego, co nakręcało Romano. Ale kiedy Angie Romano się wkurzyła, lepiej było uważać. Web widział także tę stronę jej charakteru na paru rodzinnych spotkaniach grupy; mała kobietka potrafiła bardzo szybko stać się jędzą - gdy była rozeźlona, sprawiała, że pewni siebie faceci, którzy zarabiali na życie strzelaniem z wielkich karabinów, szukali bezpiecznego schronienia.

Paul Romano był teraz szturmowcem w Grupie Hotel, on i Web przyszli do HRT w tym samym czasie i przez mniej więcej trzy lata tworzyli parę snajperów. Romano był w Delcie, zanim wstąpił do FBI. Choć był zbudowany tak jak Web, to znaczy nie miał imponującej muskulatury, jego mięśnie przypominały stalowe liny. Nie można było się przez nie

przebić, motor tego faceta nigdy nie gasł. Bez względu na to, czym w niego rzucałeś, nigdy się nie zatrzymywał. Raz, podczas nocnego ataku na karaibską twierdzę narkotykowego bossa, Romano został wysadzony z łodzi desantowej za daleko od brzegu i z dwudziestoma pięćdziesięcioma kilogramami sprzętu wpadł do wody o głębokości czterech i pół metra. Każdy inny człowiek by utonął, ale on uderzył o dno, wstał, jakoś ustalił, co ma z której strony, wstrzymał oddech na zaledwie cztery minuty, dotarł do brzegu i uczestniczył w ataku. Ponieważ nawaliła łączność i cel nie znajdował się dokładnie tam, gdzie powinien, Romano na dodatek w końcu sam zgarnął bossa, po zabiciu dwóch jego ochroniarzy. I skarżył się później tylko na to, że zmoczył sobie włosy i zgubił pistolet, który nazywał Cuff.

Romano miał tatuaże na większej części powierzchni ciała - smoki, noże, węże i śliczny mały napis ANGIE obramowany serduszkami na lewym bicepsie. Web natknął się na Romano już w pierwszym dniu naboru do HRT, kiedy kandydaci, w większości przestraszeni, stali nago i czekali na przerażające doświadczenia, które, jak wiedzieli, miały stać się ich udziałem. Web taksował wzrokiem wszystkich innych facetów, szukał blizn na kolanach albo barkach, świadczących o fizycznej słabości, oraz twarzy, których wyraz ujawniałby brak psychicznej odporności. Prywatna inicjatywa i zasady darwinizmu osiągały tam pełne, gorączkowe zastosowanie i Web szukał czegokolwiek, co dałoby mu przewagę nad konkurencją. Wiedział, że tylko połowa z nich przetrwa pierwszy odsiew, który nastąpi po dwóch tygodniach, i że tylko jedna dziesiąta tych, którzy pozostaną, otrzyma propozycję pozostania w HRT i zabicia się naprawdę.

Romano przyszedł z nowojorskiego SWAT, grupy antyterrorystycznej FBI, gdzie spośród tych wszystkich budzących trwogę gości zyskał reputację największego postrachu ulicy. Nie wyglądał na zaleźnionego, kiedy stał w sali z siedemdziesięcioma rozebranymi mężczyznami pierwszego dnia eliminacji do HRT. Web miał wrażenie, że ten facet kocha ból, że pragnie tylko, aby HRT jak najprędzej dobrał mu się do tyłka. I on sam też umiał zadawać cierpienie. Web nie wiedział wtedy, czy zdobędzie miejsce w HRT, a jednak od pierwszego dnia był przekonany, że uda się to Paulowi Romano. Oni dwaj byli zawsze nastawieni na skrajną rywalizację i ten gość regularnie doprowadzał Weba do szału, ale London nie mógł nie podziwiać umiejętności i odwagi nowojorczyka.

- Chciałeś rozmawiać, więc mów - zaczął Romano.
- Kevin Westbrook. Dzieciak z uliczki.

Romano skinął głową w stronę swojego piwa.

- W porządku.
- Zniknął.
- O cholera!

- Znasz Batesa? Percy'ego Batesa?
 - Nie. A powinienem?
 - Kieruje dochodzeniem WFO. Ken McCarthy pamięta, że ty i Mickey Cortez byliście z Kevinem. Co możesz mi powiedzieć?
 - Niewiele.
 - Co mówił dzieciak?
 - Nic.
 - A więc komu go przekazaliście?
 - Dwóm garniturom.
 - Masz ich nazwiska?
- Romano zaprzeczył ruchem głowy.
- Hej, Paulie, wiesz, jaka jest różnica między mówieniem do ciebie a mówieniem do ściany?
 - Jaka?
 - Cholera, nie ma żadnej.
 - Co chcesz, żebym ci powiedział, Web? Widziałem dzieciaka, pilnowałem go, a potem go zabrali.
 - Czy to znaczy, że ani razu się do was nie odezwał?
 - Był raczej małomówny. Powiedział nam, jak się nazywa, i podał nam swój adres. Zanotowaliśmy to. Mickey próbował z nim jeszcze trochę porozmawiać, ale niczego się nie dowiedział. Do diabła, Cortez nie rozmawia nawet z własnymi dziećmi. Widzisz, nie byliśmy pewni, jaka była rola chłopaka w tym wszystkim. To było tak: zasuwa-amy na podwórko, widzimy twoją rękę i zatrzymujemy się. Potem ten dzieciak wychodzi z ciemności z twoją czapką i wiadomością. Nie byłem pewien, czy jest po naszej stronie czy nie. Nie chciałem spieprzyć czegoś pod względem prawnym, pytając go o rzeczy, o które nie powinienem pytać.
 - W porządku, faktycznie mądrze zrobiłeś. Ale przekazałeś go garniturom bez słowa? Do diabła, to się przecież nie trzyma kupy.
 - Błysnęli identyfikatorami, powiedzieli, że przyjechali po dzieciaka, i tyle. Nie mieliśmy prawa powiedzieć „nie”. HRT nie prowadzi śledztw, Web, my tylko uderzamy i wieszamy. To garnitury węższą. A poza tym myślałem o innych sprawach. Wiesz, że byłem w Delcie razem z Teddym Rinerem.
 - Wiem, Paulie, wiem. A więc mniej więcej o której godzinie pokazały się garnitury?
- Romano zastanowił się.
- Nie byliśmy tam za długo. Wciąż jeszcze było ciemno. Powiedzmy druga trzydzieści czy coś koło tego.
 - WFO zareagowało wyjątkowo sprawnie, jeśli tak szybko przygotowali plan działania i posłali ludzi po dzieciaka.

- A twoim zdaniem co miałem im powiedzieć? Hej, faceci, nie możecie zabrać chłopaka, jesteście o wiele za sprawni, a FBI po prostu nie pracuje w ten sposób? Chłopie, to by zrobiło cuda z moją karierą. Może nawet musiałbym się pożegnać ze słodkimi marzeniami o awansie.

- Możesz mi opisać tych gości?

Romano rozważał to przez chwilę.

- Już opowiedziałem o nich agentom.

- Czyli paru innym garniturom. Więc mi też opowiedz. To cię nie zabije. Zaufaj mi.

- Pewnie. Gdybym był taki głupi, nie musiałbyś poprzestawać na moście, bo mógłbyś mi też sprzedać Brooklyn.

- No już, Paulie, jak szturmowiec szturmowcowi, Grupa Hotel temu, co zostało z Charliego.

Romano myślał nad tym przez chwilę, a potem odchrząknął.

- Jeden z nich był biały. Trochę niższy ode mnie, chudy, ale umięśniony. Wystarczy?

- Nie. Włosy?

- Krótkie i jasne - jest federalnym, jakie inne mógłby mieć? Myślisz, że J. Edgar chodził z kucykiem?

- Niektórzy twierdzą, że tak. I do tego w sukience. Młody, stary, w średnim wieku?

- Więcej niż trzydzieści, mniej niż czterdzieści. Miał na sobie przydziałowy garnitur federalnych, chociaż właściwie jego był może trochę ładniejszy. Dużo ładniejszy od wszystkiego, co masz w swojej szafie, London.

- Oczy?

- Nosił okulary przeciwsłoneczne.

- O drugiej trzydzieści w nocy?

- Cóż, może to były przyciemnione okulary korekcyjne. Jakoś nie wpadłem na pomysł, żeby przesłuchać faceta w sprawie wyboru okularów.

- Pamiętasz to wszystko, a nie możesz sobie przypomnieć jego nazwiska?

- Błysnął identyfikatorem, a ja przestałem się tym interesować. Byłem na miejscu popełnienia przestępstwa, wszędzie dokoła biegali ludzie i sześciu naszych miało odstrzelone głowy. Przyszedł po dzieciaka i zabrał dzieciaka. Chodził, jak trzeba, i mówił, jak trzeba. Do diabła, pewnie był starszy rangą ode mnie.

- A jego partner?

- Co takiego?

- Jego partner, ten drugi garnitur, powiedziałeś, że było ich dwóch.

- Zgadza się. - Romano nie wydawał się teraz tego taki pewny. Prze-

tarł oczy i upił mały łyk piwa. - Widzisz, tamten facet tak naprawdę nie podszedł do nas. Pierwszy garnitur wskazał na niego, powiedział, że to jego partner i to wszystko. Ten drugi facet rozmawiał z jakimiś gliniarzami, wcale do nas nie podszedł.

Web popatrzył na niego sceptycznie.

- Paulie, to znaczy, że nie wiesz na pewno, czy facet, z którym rozmawiałeś, w ogóle był z tantym drugim. Mógł działać całkiem sam i tylko wciskać ci kit. Czy powiedziałeś to wszystko temu prawdziwemu agentowi FBI?

- Słuchaj, Web, ty byłeś prawdziwym Fibbie. Jesteś przyzwyczajony do badania takiego gówna. Ja byłem Deltą. Wstąpiłem do FBI tylko po to, żeby móc przeskoczyć do SWAT, a potem do HRT. Minęło już dużo czasu i zapomniałem, jak się gra detektywa. Po prostu uderzam i wiem. Po prostu uderzam i wiem, człowieku.

- Cóż, być może powiesiłeś ot tak, po prostu małego chłopca.

Romano wpatrywał się w niego ze złością przez kilka sekund, a potem zgarbił się i popatrzył w bok. Web przypuszczał, że Romano myśli o swoich dwóch synach. Chciał wzbudzić w nim poczucie winy, żeby ten błąd nigdy się nie powtórzył.

- Dzieciak leży już pewnie na jakimś śmietniku, przysypany ziemią. Ma brata. Jakiegoś drania, na którego mówią Wielki F.

- Tam to normalne - burknął Romano.

- Dzieciak nie miał łatwego życia. Widziałeś dziurę od kuli na jego policzku. A to dopiero dziesięciolatek.

Romano pociągnął haust piwa i otarł usta.

- Taak, cóż, sześciu naszych ludzi nie żyje, a nie powinno tak być, i wciąż się zastanawiam, dlaczego nie zginęło siedmiu. - Rzucił Webowi nieprzyjazne spojrzenie.

- Może poczujesz się lepiej, kiedy się dowiesz, że korzystam teraz z pomocy specjalisty i wspólnie próbujemy znaleźć wyjaśnienie. - Przyznanie się do tego, zwłaszcza Romano, kosztowało Weba wiele wysiłku, i natychmiast pożałował swoich słów.

- Och, jasne, teraz czuję się tak dobrze, że zaraz pobiegnę ulicami i będę wrzeszczał: „Web chodzi do psychiatrii, świat jest bezpieczny”.

- Przestań, Paulie, myślisz, że chciałem się wtedy zatrzymać? Myślisz, że chciałem patrzeć, jak ktoś rozstrzeliwuje moją grupę? Tak myślisz?

- Chyba tylko ty możesz odpowiedzieć na to pytanie - odpalił Romano.

- Słuchaj, wiem, że to wszystko źle wygląda, ale dlaczego tak na mnie napadasz?

- Chcesz wiedzieć dlaczego? Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Taak.

- W porządku. Właściwie to rozmawiałem z tym dzieciakiem, czy też raczej on mówił do mnie. Chcesz wiedzieć, co powiedział?

- Siedzę tutaj i czekam, Paulie.

- Powiedział, że ze strachu płakałeś jak niemowlę. Błagałeś go, żeby nikomu o tym nie mówił. Byłeś największym tchórzem, jakiego widział. Powiedział, że nawet próbowałeś wcisnąć mu swój karabin, bo bałeś się go użyć.

 Cóż, porozmawiaj o niewdzięcznym dzieciaku...

- A ty uwierzyłeś w to gówno?

Romano pociągnął kolejny łyk piwa.

- Cóż, nie w tę część o karabinie. Nie dajesz nikomu tego cholernego SR75.

- Wielkie dzięki, Romano.

- Ale dzieciak musiał zobaczyć coś, co skłoniło go do powiedzenia czegoś takiego. Dlaczego miałby kłamać od początku do końca?

- Och, nie wiem, Paulie, może dlatego, że jestem gliniarzem, a on po prostu nie przepada za obrońcami prawa. Czemu nie spytasz któregoś ze snajperów? Mogą ci powiedzieć, czy płakałem, czy strzelałem. A może im też byś nie uwierzył?

Romano zignorował tę uwagę.

- Chyba codziennie ktoś dostaje pietra. Oczywiście ja nic o tym nie wiem.

- Wiesz, jesteś prawdziwym sukinsynem.

Romano odstawił piwo i zaczął powoli podnosić się z krzesła.

- Chcesz się dowiedzieć, jak wielkim sukinsynem jestem naprawdę?

Mężczyźni wyglądali, jakby szykowali się do bójki, kiedy Angie podeszła do nich, przywitała się z Webem i dodała mu otuchy uściskiem i kojącymi słowami.

- Paulie - powiedziała - może Web chciałby zostać na obiedzie. Robię kotlety.

- Może nie chcę, żeby Web został na cholernych kotletach, co? - warknął Romano.

Angie pochyliła się, chwyciła męża za koszulę i szarpnięciem zmusiła go do powstania.

- Za sekundę wrócimy, Web - obiecała.

Patrzył, jak Angie zaciąga Romano pod boczną ścianę garażu i częstuje go czymś, co Web mógłby opisać tylko jako straszliwą połajankę. Tupiła bosą stopą, wymachiwała mu rękami przed nosem i ogólnie bardzo udanie wcielała się w sierżanta od musztry, który poważnie dobiera się do tyłka szeregowcowi. I Paul Romano, który potrafił zabić prawie wszystko, co żyło, po prostu stał tam ze spuszczoną głową i w milczeniu znosił

wyrzuty swojej „małej kobietki”. Angie w końcu przyprowadziła go z powrotem do Weba.

- No dalej, Paulie, zapytaj go.

- Angie - powiedział Web - nie każ mu...

- Zamknij się, Web! - rzuciła ostro Angie i Web się zamknął. Angie trzepnęła milczącego Romano w tył głowy. - Albo go zapytasz, albo będziesz spał w garażu z tym swoim głupim samochodem.

- Chcesz zostać na obiedzie, Web? - zaproponował Romano, wpatrując się w trawnik i krzyżując ramiona na piersiach.

- Mamy kotlety - dodała Angie. - Czemu nie spróbujesz powiedzieć tego tak, jakbyś naprawdę miał to na myśli, Paulie?

- Czy chciałbyś zostać na kotletach, Web? - zapytał Romano najłagodniejszym głosem, jaki Web kiedykolwiek słyszał, i do cholery, nawet popatrzył Webowi w oczy, kiedy to mówił. Angie czyniła cuda. Mimo całego cierpienia Romano, jak Web mógłby odmówić, chociaż tak naprawdę miał wielką ochotę odrzucić zaproszenie tylko po to, żeby go wkurzyć.

- Pewnie, Paulie, zostanę, dziękuję, że o mnie pomyślałeś.

Gdy Angie weszła do domu, aby zacząć przygotowywać obiad, mężczyźni skupili się na piwie i spoglądali w niebo.

- Może poczujesz się lepiej, Paulie, kiedy ci powiem, że Angie mnie też śmiertelnie przeraża.

Romano popatrzył na niego i po raz pierwszy, przynajmniej według ostatniej rachuby Weba, naprawdę się uśmiechnął.

Web spuścił wzrok i popatrzył na swoje piwo.

- Pewnie powiedziałeś za miastem, co mówił dzieciak.

- Nie.

Zaskoczony Web podniósł oczy. Romano wpatrywał się w przestrzeń przed sobą.

- Dlaczego nie?

- Bo to nie była prawda.

- Doceniam to.

- Wiem, kiedy dzieciaki kłamią na całego, moi chłopcy robią to wystarczająco często. Chyba po prostu chciałem cię wnerwić. Weszło mi to w nawyk.

- Naprawdę nie mogę uwierzyć, że chłopak powiedział coś takiego, Paulie. Uratowałem mu tyłek. Cholera, dwa razy miał szczęście. Tylko dzięki mnie w jego głowie nie pojawiła się druga dziura od kuli.

Romano popatrzył na niego zdezorientowany.

- Ten dzieciak nie miał blizny po kuli.

- Pewnie że miał, na lewym policzku. I miał też ślad po cięciu nożem na czole, długi jak mój mały palec.

Romano pokręcił głową.

- Słuchaj, Web, byłem z tym dzieciakiem, może nie zwracałem na niego za bardzo uwagi, ale czegoś takiego bym nie przeoczył. Wiem, jak wygląda blizna po kuli, bo sam mam jedną. I na pewno, do diabła, kropnąłem tylu facetów, że wiem, jak to wygląda.

Web wyprostował się na krześle.

- Jaki miał kolor skóry?

- O czym ty mówisz, do diabła? Jaki miał kolor skóry? Był czarny!

- Cholera, wiem to, Paulie! Chodzi mi o to, czyjego skóra była jaśniejsza czy bardzo ciemna.

- Jasna. Miał twarz gładką jak tyłek niemowlaka, bez żadnych blizn. Przysięgam ci jak papieżowi.

Web piasnął dłonią w poręcz krzesła.

- Cholera! - Kevin Westbrook, przynajmniej ten, na którego natknął się Web, miał skórę o czekoladowym odcieniu.

Po obiedzie z Romanami Web odwiedził Mickey'ego Corteza i usłyszał tę samą opowieść. Cortez nie pamiętał żadnych innych wypowiedzi dzieciaka i nie potrafił podać nazwiska agenta, który go zabrał, ale potwierdził godzinę. I nie widział blizny po kuli na policzku chłopca.

A więc kto zamienił dzieciaki? I po co?

Fred Watkins wysiadł z samochodu na przydomowym podjeździe po kolejnym długim dniu na stanowisku prokuratora. Codziennie półtorej godziny zajmował mu dojazd do Waszyngtonu z przedmieścia w północnej Wirginii i mniej więcej tyle samo czasu powrót do domu. Dziewięćdziesiąt minut na przejechanie zaledwie piętnastu kilometrów - na myśl o tym pokręcił głową. W dodatku jeszcze nie skończył pracy. Mimo że wstał o czwartej rano i harował już tego dnia przez dziesięć godzin, czekały go jeszcze przynajmniej trzy godziny w małym gabinecie, w którym mieściło się jego domowe biuro. Po lekkim obiedzie poudziela się trochę żonie i nastoletnim dzieciom, a potem będzie siedział do późna. Watkins wyspecjalizował się w głośnych sprawach o wymuszenia w Departamencie Sprawiedliwości w Waszyngtonie po wielu latach urzędowania jako skromny prokurator miejski w Richmond, gdzie oskarżał wszelkich złoczyńców, jacy mu się trafiali. Lubił to zajęcie i czuł, że naprawdę służy swojemu krajowi. Był całkiem dobrze wynagradzany i chociaż czasami godziny pracy się wydłużały, uważał, że powiodło mu się w życiu. Jego najstarsze dziecko miało wyjechać jesienią do college'u, a za dwa lata w jego ślady miało pójść najmłodsze. Zamierzali wtedy z żoną zostać globtroterami, zobaczyć zakątki świata, które do tej pory oglądali tylko w czasopismach podróżniczych. Watkins widział też oczyma wyobraźni, jak przechodzi na wcześniejszą emeryturę i w niepełnym wymiarze godzin wykłada prawo na Uniwersytecie Wirginii, na którym uzyskał dyplom. Myśleli z żoną, że może nawet pewnego dnia przeprowadzą się na stałe do Charlottesville i uciekną na zawsze z tego zakorkowanego więzienia, jakim stała się północna Wirginia.

Przesunął ręką po karku i odetchnął świeżym powietrzem przyjemnego, chłodnego wieczoru. Ogólnie plan był dobry; przynajmniej mieli z żoną jakiś plan. Niektórzy jego koledzy z pracy wzbraniali się przed myśleniem o tym, co będzie później niż następnego dnia, a tym bardziej za kilka lat. Ale Watkins zawsze był praktyczny i kierował się zdrowym rozsądkiem. Tak zawsze podchodził do swojej praktyki prawniczej i tak organizował sobie życie.

Zamknął drzwi samochodu i poszedł chodnikiem do swojego domu. Po drodze pomachał ręką sąsiadce z naprzeciwka, która ruszała wozem ze swojego podjazdu. Inny sąsiad, mieszkający zaraz obok, grillował za płotem i zapach pieczonego mięsa wypełnił nozdrza Watkina. Może nawet sam zapalił tego wieczoru ogień pod barbecue.

Jak większość ludzi w rejonie Waszyngtonu, Watkins czytał z wielkim zainteresowaniem i coraz głębszą rozpaczą o zasadzce, w którą wpadł oddział jednostki wyszkolonej w ratowaniu zakładników. Pracował kiedyś z takimi facetami przy pewnej sprawie i miał bardzo dobre zdanie o ich odwadze i profesjonalizmie. Ci goście byli najlepsi, przynajmniej według jego opinii, i właściwie nikt inny nie chciałby wziąć na siebie powierzanych im zadań. Watkins sądził, że jest mu ciężko, dopóki nie zobaczył, przez co przeszli niektórzy z tych facetów. Szczególnie żałował ich rodzin i chciał nawet sprawdzić, czy stworzono jakiś fundusz, żeby im pomóc. Jeśli nie było takiego funduszu, Watkins zastanawiał się nad jego założeniem. Po prostu musiał dodać jeszcze jeden punkt do starej listy rzeczy do zrobienia, ale przypuszczał, że tak właśnie toczy się życie.

Nic nie zauważył, dopóki coś nie uniosło się z krzewów i nie ruszyło prosto na niego. Watkins wrzasnął, a potem schylił głowę. Ptak minął go o dziesięć centymetrów; to była ta sama co zawsze cholerna sójka. Zdawała się czyhać na niego w większość wieczorów, jakby robiła, co mogła, żeby przyprawić go o przedwczesny zawał.

- Nie tym razem - powiedział Watkins do pierchającego stworzenia. - Nigdy. Dostanę cię, zanim ty dostaniesz mnie.

Zachichotał i wszedł na werandę. Gdy otwierał drzwi, zadzwonił jego telefon komórkowy. „Co tam znowu?” - pomyślał. Niewielu ludzi znało ten numer. Żona, ale ona by do niego nie dzwoniła, bo bez wątplenia widziała, że samochód pojawił się na podjeździe. Zostawało biuro. A jeśli dzwonili z biura, oznaczało to, że stało się coś, co prawdopodobnie pochłonie resztę jego wieczoru i może nawet zmusi go do zwrotu i pojechania z powrotem do miasta.

Wyjął telefon, zobaczył, że dane dzwoniącego są niedostępne, i postanowił się, czy nie lepiej byłoby nie odbierać. Ale Fred Watkins po prostu tak nie postępował. To mogło być ważne, choć równie dobrze ktoś mógł tylko pomylić numer. „Nie, nie będzie dziś wieczorem barbecue”, pomyślał i stuknął w przycisk, gotów stawić czoło każdej możliwości.

To, co zostało z Freda Watkina, znaleziono w krzewach sąsiadki po drugiej stronie ulicy, gdzie szczątki rzucił wybuch, który rozsadził jego dom. W chwili gdy nacisnął przycisk, mała iskra z jego telefonu zapaliła wypełniający budynek gaz, na którego wykrycie Watkins miał

niewielkie szanse, z powodu zapachów mięsa pieczonego na przyległej posesji. Jakimś cudem ocalała jego teczka i rączkę wciąż ścisnęła dłoń, a raczej jej szkielet. Cenne papiery nie zostały uszkodzone i czekały, żeby inny prokurator przejął je po zmarłym prawniku. W ruinach domu znaleziono ciała żony i dzieci Watkinsa. Sekcje wykazały, że wszyscy umarli wcześniej na skutek uduszenia. Gaszenie ognia trwało cztery godziny i zdążył on w tym czasie strawić jeszcze dwa domy. Na szczęście nikt inny nie odniósł poważnych obrażeń. Tylko rodzina Watkinsów przestała istnieć. Pytanie, czym Fred i jego żona będą się zajmować, kiedy przejdą na emeryturę po życiu wypełnionym ciężką pracą, pochowano razem z nimi. Telefon Watkinsa znaleziono bez problemu, bo stopił się i przykleił do jego dłoni.

Mniej więcej wtedy, gdy Fred Watkins zakończył życie, sto czterdzieści pięć kilometrów na południe stamtąd, w Richmond, sędzia Louis Leadbetter wsiadał do rządowego samochodu pod czujnym okiem policjanta. Leadbetter od dwóch lat pełnił funkcję federalnego sędziego pierwszej instancji, po awansie ze stanowiska przewodniczącego Sądu Okręgowego w Richmond. Ponieważ był względnie młodym - dopiero czterdziestosześcioletnim - i niezwykle utalentowanym prawnikiem, wielu ludzi w ważnych miejscach obserwowało Leadbettera, widząc w nim ostatecznie kandydata do Czwartego Okręgowego Sądu Apelacyjnego, i pewnego dnia mógł on nawet zasiąść w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Jako sędzia Leadbetter przewodniczył wielu procesom o różnym poziomie skomplikowania, wzbudzających emocji i możliwości wulkanicznego wybuchu. Kilku mężczyzn, których skazał na kary więzienia, groziło mu śmiercią. Raz prawie padł ofiarą bomby przesłanej mu w liście przez organizację białych suprematystów, nie podzielających silnego przekonania Leadbettera, że wszystkie osoby, bez względu na wyznanie, kolor skóry czy przynależność etniczną, są równe w oczach Boga i prawa. Te okoliczności nakazały zapewnić sędziemu dodatkową ochronę, a niedawno wydarzyło się coś, co znów zwiększyło troskę o jego bezpieczeństwo.

Była to śmiała ucieczka z więzienia mężczyzny, który poprzysiągł Leadbetterowi zemstę. Więzienie, w którym trzymano tego człowieka, było bardzo daleko i groźby pochodziły sprzed kilku lat, a jednak władze zachowały się mądrze i nie chciały ryzykować zdrowia i życia zacnego sędziego. Jeśli zaś chodzi o Leadbettera, to po prostu chciał on żyć tak jak zawsze i wzmocnienie ochrony nie bardzo mu się podobało. Raz już jednak ledwie uniknął śmierci, myślał więc na tyle realistycznie, by zdawać sobie sprawę, że ta troska jest prawdopodobnie uzasadniona. Poza tym nie chciał zginać niespodziewanie z rąk jakie-

goś śmiecia, który powinien gnić w więzieniu; sędzia Leadbetter nie chciałby dać takiemu człowiekowi satysfakcji.

- Coś nowego o Freem? - zapytał policjanta.

To, że mężczyzna, który uciekł z więzienia, nazywał się Free, zawsze drażniło Leadbettera. Ernest B. Free. „Bądź wolny”. Inicjał i nazwisko nie były oczywiście prawdziwe. Przemianował się w legalny sposób, kiedy dołączył do paramilitarnej neokonserwatywnej grupy, w której wszyscy członkowie przyjmowali to nazwisko jako symbol dostrzeganych zagrożeń dla ich wolności. Zresztą cała grupa nazywała się Wolne Społeczeństwo, jak na ironię, bo stosowali przemoc i byli nietolerancyjni dla wszystkich, którzy nie wyglądali tak jak oni i nie zgadzali się z ich pełnymi nienawiści zapatrywaniami. Ameryka z pewnością mogłaby się obyć bez organizacji tego typu, a jednak tego rodzaju ogromnie niepopularne ugrupowania chroniła pierwsza poprawka do amerykańskiej konstytucji. Ale nie wtedy, gdy takie grupy zabijały. Nie, nie kiedy zabijały. Żaden kawałek papieru, choćby nie wiadomo jak ceniony, nie mógł ich wtedy osłonić przed konsekwencjami.

Free i inni członkowie grupy wtargnęli parę lat wcześniej do szkoły, zastrzelili dwie nauczycielki i wzięli licznych zakładników, dzieci i nauczycieli. Miejscowa policja otoczyła szkołę i wezwano ekipę ze SWAT, ale Free i jego ludzie byli dobrze uzbrojeni, mieli broń automatyczną i pancerze, dlatego sprowadzono z Quantico federalnych obrońców prawa specjalizujących się w odbijaniu zakładników. Na początku wyglądało na to, że wszystko skończy się dobrze, ale nagle wewnątrz szkoły rozległy się strzały i w końcu formacja HRT weszła do budynku. Rozgorzała straszliwa walka. Leadbetter wciąż miał przed oczami wstrząsający widok chłopca, który leżał martwy na chodniku razem z dwiema nauczycielkami. Ranny Ernest B. Free w końcu się poddał, kiedy jego współnicy zostali zabici.

Zastanawiano się, czy proces Freego ma się odbyć przed sądem federalnym czy stanowym. Uważano wprawdzie, że placówka stała się celem dlatego, że była to awangardowa szkoła publiczna utworzona z myślą o integracji i poprawianiu stosunków międzyrasowych, a dobrze znano rasistowskie poglądy Freego, jednak Leadbetter musiał przyznać, że trudno by to było udowodnić. Trójka zabitych bowiem - nauczycielki i chłopiec - była biała, a więc oskarżanie Freego na podstawie federalnej ustawy o zbrodni z nienawiści wydawało się dość nieprzekonywujące. I chociaż formalnie można było zarzucić Freemu napad na funkcjonariuszy federalnych, wydawało się, że najlepiej będzie wszystko uprościć, czyli postawić go przed sądem stanowym i zażądać kary śmierci za wielokrotne morderstwo. Przyniosło to niezamierzony skutek.

- Nie, panie sędzio - odpowiedział policjant, wrywając Leadbettera z zamyślenia. Strzegł bezpieczeństwa sędziego już od pewnego czasu i szybko zaczęli się rozumieć. - Gdyby mnie pan zapytał, to moim zdaniem ten człowiek zamierza uciec do Meksyku, a potem do Ameryki Południowej. Chce dołączyć do jakichś nazistów, ludzi takich jak on.

- Cóż, mam nadzieję, że go złapią i odstawią tam, gdzie jego miejsce - odparł Leadbetter.

- Och, pewnie tak będzie. Zajmują się tym federalni, a oni z pewnością mają odpowiednie środki.

- Chciałem, żeby sukinsyn dostał karę śmierci. Zasługiwał na nią. - To była jedna z niewielu rzeczy, których Leadbetter żałował jako przewodniczący Sądu Okręgowego. Ale obrońca Freego oczywiście odwołał się do niepoczytalności, a nawet balansował na krawędzi, twierdząc, że oskarżony przeszedł pranie mózgu opętany przez sektę, jak określił organizację, do której należał Free. Adwokat wykonywał po prostu swoją pracę, a u oskarżycieli najwyraźniej wzbudziło to akurat tyle wątpliwości co do szans na surowy wyrok, że zdecydowali się zawrzeć ugodę z mecenasem, zanim przysięgli wrócili z narady. Zamiast niewykluczonej kary śmierci, Free dostał od dwudziestu lat dożywocia, z możliwością, choć niewielką, że pewnego dnia zostanie warunkowo zwolniony. Leadbetterowi nie odpowiadał ten układ, ale nie miał wyboru i musiał go zatwierdzić. Media przeprowadziły później nieoficjalny sondaż wśród przysięgłych. Po opublikowaniu wyników Free naprawdę mógł się zaśmiać ostatni. Wszyscy głosowaliby za jego skazaniem i wszyscy zaleciliby karę śmierci. Prasa nieźle sobie w związku z tym poużywała. Na końcu wszyscy wyszli na głupców. Free został przeniesiony, z różnych względów, do więzienia o zastrzonym rygorze na Środkowym Zachodzie. To stamtąd uciekł.

Leadbetter spojrzął na leżącą obok teczkę. W środku znajdował się starannie złożony egzemplarz jego ukochanego „New York Timesa”. Leadbetter urodził się i chodził do szkoły w Nowym Jorku, a dopiero potem ruszył na południe i osiadł w Richmond. Po przeprowadzce Janek pokochał swoje nowe miejsce zamieszkania, ale każdego wieczoru po powrocie do domu spędzał dokładnie godzinę na lekturze „Timesa”. Miał taki zwyczaj przez wszystkie lata wymierzania sprawiedliwości i gazetę dostarczano specjalnie dla niego do sądu każdego dnia w godzinach pracy. Była to jedna z nielicznych odprężających czynności, którymi sędzia potrafił się jeszcze cieszyć.

Gdy policjant wyjeżdżał z garażu przy budynku sądu, zadzwonił jego telefon.

- O co chodzi? Tak, panie sędzio. Tak, proszę pana, powiem mu. - Odłożył aparat. - To był sędzia Mackey. Mam panu powiedzieć, żeby

pan zerknął na ostatnią wewnętrzną stronę głównej części „Timesa”, jeśli chce pan zobaczyć coś naprawdę zdumiewającego.

- Czy powiedział co to takiego?

- Nie, proszę pana, tylko że ma pan tam zajrzeć, a potem od razu do niego oddzwonić.

Leadbetter spoglądał na teczkę z rosnącą ciekawością. Mackey był jego dobrym przyjacielem i miał podobne zainteresowania. Jeśli Mackey uważał, że coś jest fascynujące, prawdopodobnie on też tak uzna. Stali teraz na światłach. Dobrze się składało, bo Leadbetter zawsze dostawał gwałtownych mdłości, kiedy czytał podczas jazdy. Wyjął gazetę, ale w samochodzie było zbyt ciemno, żeby czytać. Sięgnął do kontaktu, włączył lampkę i otworzył gazetę.

Zirytowany policjant odwrócił się i przypomniał mu:

- Panie sędzio, mówiłem, żeby pan nie włączał tej lampki. Cholernie łatwo można pana wtedy trafić...

Brzęk szkła kazał ochroniarzowi zamilknąć, brzęk i widok twarzy sędziego Louisa Leadbettera opadającej na cenny „New York Times”, którego strony były teraz poplamione krwią.

Web dowiedział się, że matka Kevina Westbrooka prawdopodobnie nie żyje, chociaż nikt nie miał co do tego pewności. Zniknęła wiele lat wcześniej. Była uzależniona od mety i hery i przypuszczalnie sama skróciła sobie życie brudną igłą albo niuchem zanieczyszczonego proszku. Nie znano nazwiska ojca Kevina. Najwyraźniej takie luki w życiorysie nie były niczym niezwykłym w świecie, w którym przebywał Kevin Westbrook. Web pojechał samochodem do tej części Anacostii, której unikali nawet gliniarze, do nędznego, walącego się bliźniaka, jednego z wielu podobnych, gdzie według dostępnych informacji Kevin mieszkał razem ze zbiorowiskiem ciotek matki, dalekich wujków czy też mężów przyrodnych siostr oraz dzieci stryjecznego rodzeństwa. Web tak naprawdę nie do końca rozumiał sytuację życiową chłopca i najwyraźniej nikt nie potrafił mu jej wyjaśnić. Była to nowa, ulepszona amerykańska rodzina nuklearna. Rejon ten wyglądał tak, jakby w pobliżu przez kilka dziesięcioleci wydzielął wylizany reaktor. Najwidoczniej nie mogły tu wyrosnąć żadne kwiaty ani drzewa; trawa na małych podwórkach była chorobliwie żółta; nawet psy i koty prawie się przewracały. Wszystkie osoby, miejsca i rzeczy wydawały się całkowicie wyniszczone.

Wnętrze bliźniaka przypominało śmietnisko. Web już na dworze czuł przytłaczający odór na wpół zgniłych odpadków, a w środku budynku unosiły się ohydne zapachy wzmożone jeszcze przez ciasnotę. Ta zabójcza mieszanka poraziła Weba tak mocno, kiedy przeszedł przez drzwi, że zastanawiał się, czy w końcu nie pocałuje podłogi. Boże, sto razy wolałby gaz łzawiący od tej toksyny domowej roboty.

Ludzie, którzy siedzieli naprzeciw niego na kanapie, nie wydawali się nadmiernie zmartwieni tym, że nie ma wśród nich Kevina. Może dziecko zniknęło po każdej większej strzelaninie.

- Już rozmawialiśmy z glinami - powiedział skwaszony młody mężczyzna, bardziej plując tymi słowami w Weba, niż je wypowiadając.

- Chodzi tylko o parę szczegółów - zapewnił Web, który nie chciał myśleć o tym, co zrobiłby mu Bates, gdyby się dowiedział, że węszy na własną rękę. Cóż, był to winien Rinerowi i pozostałym kumplom, do diabła z zasadami Biura. A jednak było mu niedobrze.

- Zamknij japę, Jerome - rzuciła kobieta o wyglądzie babci, która siedziała obok nerwusa. Miała srebrzyste włosy, wielkie okulary, ogromne piersi i przejawiała rzeczowe nastawienie. Nie powiedziała Webowi, jak się nazywa, a on nie naciskał; bez wątpienia jej dane były w teczce FBI, ale on dotarł do nich dzięki innym źródłom. Miała gabaryty małego samochodu i wydawało się, że mogłaby bez trudu dołożyć Jerome'owi. Do diabła, wydawało się, że mogłaby bez trudu dołożyć Webowi. Zanim zdjęła łańcuch z drzwi, dwa razy prosiła, żeby pokazał jej odznakę i identyfikator.

- Nie lubię wpuszczać do domu ludzi, których nie znam - wyjaśniła. - Policji i innych. Ten rejon nie był bezpieczny, odkąd sięgam pamięcią. I to z powodu obu stron - powiedziała to z uniesionymi brwiami i pełnym mądrości spojrzeniem, które wniknęło wprost do federalnej, strzegącej prawa duszy Weba.

„Naprawdę nie chcę tu być - pragnął jej powiedzieć Web - szczególnie dlatego, że wstrzymuję oddech, bo inaczej bym się zrzygał". Kiedy usiadł, zobaczył w szerokich szczelinach między deskami podłogowymi twarde gliniaste podłoże, na którym zbudowany był dom. W zimie musi tu być ciepłutko, pomyślał. Na zewnątrz było teraz około osiemnastu stopni, a miał wrażenie, że w środku jest minus jeden. Nie słyszał poczekającego szum włączonego piecyka i nie czuł zapachów dobrego jedzenia gotującego się w milej kuchni babci. W jednym rogu pokoju leżał stos puszek po dietetycznej pepsi. Ktoś uważał na wagę. Ale obok wznosił się pagórek śmieci z McDonald's. Pewnie Jerome'a. Ten facet wyglądał na miłośnika big maca i frytek.

- Rozumiem - powiedział Web. - Czy mieszka tu pani od dawna? Jerome tylko parsknął, a babcia popatrzyła na swoje splecione dłonie.

- Trzy miesiące - odparła. - W poprzednim miejscu byliśmy od dawna. Ładnie je urządziliśmy.

- Ale wtedy uznali, że zarabiamy za dużo pieniędzy, żeby mieszkać w takim ładnym miejscu, i nas wykopali - dodał gniewnie Jerome. - Po prostu nas wykopali.

- Nikt nie powiedział, że życie jest sprawiedliwe, Jerome - pouczyła go kobieta. Rozejrzała się po brudnym domu i ciężko westchnęła, a westchnienie to zdawało się wysysać całą nadzieję z Weba. - To miejsce też urządzimy. Będzie tu pięknie. - Brzmienie jej głosu zdradziło Webowi, że nie miała co do tego zbyt wielkiej pewności.

- Czy policja dowiedziała się czegoś więcej o zniknięciu Kevina?

- Czemu ich pan nie spyta? - rzuciła babcia. - Bo oni nic nam nie mówią o biednym Kevinie.

- Oni za słabo go pilnowali - powiedział Jerome, wciskając się głębiej w kopiec zbitych, mocno poplamionych poduszek, które uchodziły za ka-

napę. Web nie mógł stwierdzić, czy pod spodem została jakaś drewniana konstrukcja. Sufit był rozszczępiony w trzech różnych miejscach i zwiślał tak nisko, że prawie nie potrzeba było schodów, żeby się dostać na pierwsze piętro, można było po prostu złapać podłogę i się podciągnąć. Na ścianach rosła czarna pleśń, pokrywała je też prawdopodobnie ołowiowa farba. A rury otulał niewątpliwie azbest. Wszędzie wałały się ekskrementy gryzoni i Web założyłby się o tysiąc dolców, że termity wyjadły większość drewna w tym domu, co przypuszczalnie spowodowało ten lekki przechył w lewo, który zaobserwował, kiedy szedł chodnikiem do drzwi wejściowych. Inspektorzy budowlani najwyraźniej po prostu spisali cały ten rejon na straty, a może pili gdzieś kawę i pokładali się ze śmiechu.

- Macie jakieś zdjęcie Kevina?
- Oczywiście, że mamy, daliśmy jedno policji - powiedziała babcia.
- Macie drugie?
- Hej, nie musimy ciągle wam czegoś dawać - warknął Jerome.

Web pochylił się do przodu, a wtedy bardzo wyraźnie ukazała się rękojeść jego pistoletu.

- Tak, Jerome, musicie. I jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać, po prostu zaciągnę twój tyłek do śródmieścia, a tam przejrzymy spis twoich dokonań i poszukamy wszystkich zaległych nakazów, co wsadzi twoją dupkę do paki na jakiś czas, chyba że chcesz spróbować wcisnąć mi kit i twierdzić, że nigdy nie byłeś aresztowany, spryciarzu.

Jerome odwrócił wzrok i wymamrotał:

- O kurde.
- Zamknij się, Jerome - powiedziała babcia. - Po prostu zamknij swoją cholerną gębę.

Prawidłowo, babuniu, pomyślał Web.

Kobieta wyjęła zdjęcie z małego portfela. Podała je Webowi, a kiedy to robiła, jej dłonie zaczęły się trochę trząść i głos uwiązł jej w gardle, ale potem się opanowała.

- To ostatnie zdjęcie Kevina, jakie mam. Proszę go nie zgubić.
- Będę go dobrze pilnował. Dostanie je pani z powrotem.

Web spojrział na zdjęcie. To był Kevin. Przynajmniej ten Kevin, którego Web uratował w uliczce. A więc Cortez i Romano zaopiekowali się innym dzieciakiem, kimś, kto kłamał, mówiąc, że nazywa się Kevin Westbrook. Taka akcja wymagała trochę planowania, ale musiała też być przeprowadzona pośpiesznie. Tylko w jakim celu?

- A więc dała pani policji zdjęcie Kevina?

Babcia skinęła głową.

- To dobry chłopak. Chodzi do szkoły, wie pan, prawie codziennie. Do szkoły specjalnej, bo jest naprawdę specjalnym małym chłopcem - dodała z dumą.

Web wiedział, że tutaj chodzenie do szkoły jest osiągnięciem, którym można się chwalić, może ustępującym tylko przetrwaniu nocy.

- Jestem pewien, że to dobry chłopak. - Popatrzył na Jerome'a, na jego dzikie oczy przyszłego przestępcy. Ty też byłeś kiedyś dobrym chłopcem, prawda, Jerome? - Czy to byli umundurowani policjanci?

Jerome wstał.

- Co, myślisz, że jesteśmy głupi? Byli z FBI, człowieku, tak jak ty.

- Usiądź, Jerome - powiedział Web.

- Usiądź, Jerome - powtórzyła babcia i Jerome usiadł.

Web myślał szybko. A więc jeśli Biuro miało zdjęcie Kevina, to musieli wiedzieć, że strzelili, choć krótko, niewłaściwego chłopaka. Ale czy połapali się w sytuacji? Romano nie miał najmniejszego pojęcia o istnieniu dwóch chłopców. Opisał tego, który dostarczył wiadomość po prostu jako czarnego dzieciaka. A jeśli to był cały oficjalny raport? Jeśli fałszywy Kevin Westbrook zniknął, zanim Bates i pozostali dotarli na miejsce, wtedy wiedzieliby oni tylko, że zaginął mniej więcej dziesięcioletni czarny dzieciak, Kevin Westbrook, który mieszkał pod takim a takim adresem niedaleko feralnej uliczki. Przyszliby tutaj i porozmawiali z rodziną, wzięliby zdjęcie, tak jak to zrobili, i zajęliby się swoim dochodzeniem. Niekoniecznie poprosiliby Romano i Corteza o identyfikację, szczególnie gdyby nie mieli powodu, żeby podejrzewać jakąś podmiianę. A Ken McCarthy powiedział, że snajperzy nie zauważyli prawdziwego Kevina, kiedy Grupa Charlie minęła dzieciaka, dochodząc do podwórka. Może tylko Web wiedział o tym oszustwie.

Web rozejrzał się i przez wzgląd na babcię czy też osobę inaczej spokrewnioną z Kevinem usilnie starał się nie okazywać wstępu.

- Czy Kevin naprawdę tu mieszkał? - Bates powiedział, że życie rodzinne Kevina nie wyglądało wesoło i że prawdopodobnie unikał on domu, co wyjaśniałoby, dlaczego był sam na dworze w środku nocy, a nie tutaj w łóżku. Otoczenie rzeczywiście przedstawiało się okropnie, ale prawdopodobnie nie gorzej niż w wielu innych domach w tej okolicy. Bieda i przestępczość wkradały się wszędzie, a ślady, które pozostawiały, wcale nie były ładne. A jednak babcia wydawała się twarda jak skała. Sprawiała wrażenie dobrej kobiety, naprawdę przywiązanej do Kevina. Dlaczego miałby jej unikać?

Babcia i Jerome wymienili spojrzenia.

- Przez większość czasu - odparła gospodyni.

- Gdzie mieszkał kiedy indziej?

Żadne z nich nie odpowiedziało ani słowem. Babcia przyglądała się swoim bardzo potężnym udom, a Jerome zamknął oczy i kiwał głową, najwyraźniej słysząc jakąś muzykę.

- O ile wiem, ma brata. Czy Kevin czasami z nim mieszka? - dążył Web.

Jerome szeroko otworzył oczy, babcia przestała wpatrywać się w swoje uda. Właściwie to oboje mieli taki wyraz twarzy, jakby Web mierzył do nich z pistoletu i przed chwilą powiedział im, żeby przygotowali się na śmierć.

- Nie znam go, nigdy go nie widziałam - zapewniła szybko babcia, która kiwała się w przód i w tył, jakby nagle coś zaczęło ją boleć. Teraz nie wydawało się, że mogłaby komukolwiek dołożyć. Wyglądała na starą, nieprzytomną ze strachu kobietę.

Kiedy zaś popatrzył na Jerome'a, ten zerwał się z kanapy i zniknął, zanim Web zdążył wstać. Usłyszał, jak drzwi wejściowe się otwierają i zaraz zatrząskują, a potem rozległ się tupot uciekających stóp.

Web znów popatrzył na babcie.

- Jerome też go nie zna - powiedziała.

13

Tego ranka, gdy miało się odbyć uroczyste nabożeństwo wspomnieniowe, Web wstał wcześniej, wziął prysznic, ogolił się i włożył swój najlepszy garnitur. Nadszedł czas, by oficjalnie uczcić i opłakać wszystkich przyjaciół, a Web najchętniej uciekłby w popłochu.

Nie rozmawiał z Batesem o tym, czego się dowiedział od Romano i Corteza, ani o swojej wizycie w domu Kevina. Nie całkiem rozumiał, dlaczego tak postąpił, czuł tylko, że nie jest zbyt ufnie nastawiony, a ponadto Bates niewątpliwie zrugałby go za mieszanie się do śledztwa. Zapytany przez Weba, zidentyfikował dzieciaka jako Kevina Westbrooka, co oznaczało, że albo chłopiec podał mu takie dane, albo Bates uzyskał tę informację od Romano i Corteza, jeśli przybył na miejsce już po zniknięciu oszusta. Web musiał ustalić, jak było naprawdę. Jeśli bowiem Bates widział drugiego dzieciaka, to kiedy wziął zdjęcie Keviną od babci, odkrył, że ma do czynienia z dwiema różnymi osobami.

A więc Web dał chłopakowi z blizną po kuli kartkę, żeby zaniósł ją facetom z HRT. Chłopak powiedział Webowi, że ma na imię Kevin. Informacja Weba została dostarczona, ale najwyraźniej nie przez tego samego chłopca. To oznaczało, że między chwilą, w której dał dzieciakowi o imieniu Kevin notatkę, a momentem jej doręczenia chłopiec został zamieniony na innego. To mogło nastąpić tylko w uliczce, pomiędzy miejscem, gdzie został Web, a nacierającą jednostką HRT. Przestrzeń nie była wielka, a jednak wystarczyła, więc na pewno jacyś ludzie czaili się gdzieś w tamtej uliczce, czekając na rozwój wydarzeń.

Czy Kevin poszedł w stronę podwórka, bo tak zaplanowano? Czy pracował dla swojego brata, Wielkiego F? Miał sprawdzić, czy ktoś przeżył, i nie spodziewał się, że kogoś takiego znajdzie? A kiedy natrafił na żywego Weba, czy to pokrzyżowało komuś plany? I jakie to mogły być plany, do diabła? I po co wycofaliby jednego dzieciaka, a wstawili drugiego? I dlaczego fałszywy Kevin kłamał, opowiadał, że Web stchórzyl? I kim był garnitur, który zabrał podstawionego dzieciaka? Bates był raczej małomówny w sprawie utraty dzieciaka. Czy garnitur, z którym rozmawiał Romano, w ogóle był agentem FBI? A jeśli nie, to jak jakiś oszust mógłby po prostu przyjść i tak bardzo zaimponować Ro-

manonowi i Cortezowi identyfikatorem oraz zuchwałością, żeby ich nabrać i wykraść i n n e g o oszusta? Było to pomieszanie z poplątaniem, Web miał tyle wątpliwości, że zwrócenie się do Batesa w celu uzyskania odpowiedzi i wymiany informacji nie figurowało zbyt wysoko na liście możliwych posunięć.

Zaparkował macha jeden tak blisko kościoła, jak się dało. Stało tam już dużo samochodów, a miejsc postojowych było stosunkowo niewiele. Kościół, kamienny budynek z ponurą fasadą, zbudowany został w końcu dziewiętnastego wieku, kiedy przykazanie architektoniczne brzmiało: „Domu modlitwy, będziesz miał więcej wieżyczek, balustrad, kolumn jońskich, frontonów, luków, szczytów, drzwi, okien i czadowych zakrętasów niż twój bliźni”.

To w tej świątyni prezydenci, sędziowie Sądu Najwyższego, członkowie Kongresu, ambasadorowie i inni pomniejsi dygnitarze modlili się, śpiewali i z rzadka się spowiadali. Często fotografowano albo filmowano przywódców politycznych, kiedy wchodzili albo schodzili po szerokich stopniach schodów kościoła z Biblią w dłoni i bogobojnym wyrazem twarzy. Web zawsze uważał, że pomimo obowiązującego w Ameryce rozdziału Kościoła od państwa wyborcy chętnie widzą trochę pobożności u wybranych przez siebie urzędników. Żaden z członków HRT nie odwiedzał tego kościoła, ale oficjele musieli mieć wielką scenę, żeby wypowiedzieć swoje słowa pociechy. A kościółek na odludziu niedaleko Quantico, w którym niektórzy członkowie Grupy Charlie rzeczywiście się modlili, najwyraźniej nie wystarczał.

Niebo było czyste, słońce przygrzewało, wiał lekki ożywczy wietrzyk. Popołudnie wydawało się Webowi zbyt piękne na coś tak przynębiającego jak nabożeństwo wspomnieniowe. A jednak wszedł po schodach kościoła, a każde stuknięcie jego wypastowanych butów o kamień przypominało dźwięk obracanego cylindra rewolweru. Co krok jedna komora, jeden nabój, jedno potencjalnie przerwane życie. Web sądził, że to sam los narzuca mu takie analogie. Tam, gdzie inni widzieli nadzieję, on dostrzegał tylko krwawe rany gnijącej, zdegenerowanej ludzkości. Boże, skoro miał takie nastawienie, to nic dziwnego, że nigdy nie zapraszano go na przyjęcia.

Wszędzie byli agenci Tajnej Służby z kaburami pod marynarkami, nieprzeniknionymi wyrazami twarzy i zakręconymi kabelkami przy uszach. Web musiał przejść przez wykrywacz metalu, zanim znalazł się w kościele. Pokazał swój pistolet i identyfikator z FBI, co uświadomiło agentom, że rozłączyć Weba z jego pistoletem mogłaby tylko śmierć.

Gdy tylko otworzył drzwi, prawie wpadł na ostatnie rzędy tłumu, który jakimś cudem zmieścił się w środku. Zastosował dość prostą taktykę błyskania odznaką FBI i morze ludzi się rozstępowało, pozwa-

lano mu przesuwając się do przodu. Ekipa telewizyjna ustawiła swój sprzęt w jednym z rogów nawy i transmitowała całe widowisko. „Co za idiota dał na to zgodę? - zastanawiał się Web. I czyj to właściwie był pomysł, żeby zapraszać cały zakichany świat na coś, co powinno być kameralną uroczystością? To w taki sposób pozostali przy życiu mieli wspominać swoich drogich zmarłych? W cyrku?

Web zdołał się wcisnąć przy pomocy kilku kolegów do jednej z ławek, a potem się rozejrzał. Rodziny siedziały w dwóch przednich rzędach, odgradzonych wcześniej linami. Web skłonił głowę i odmówił modlitwę za każdego z mężczyzn, zatrzymując się najdłużej na Teddym Rinerze, który był jego mentorem, pierwszorzędnym agentem, wspaniałym ojcem, ogólnie dobrym człowiekiem. Web uronił kilka łez, gdy zdał sobie sprawę, jak wiele stracił podczas tych kilku sekund piekła. A jednak kiedy popatrzył do przodu, w stronę rodzin, wiedział, że nie stracił tyle co one.

Prawda zaczynała docierać do młodszych dzieci, bo Web słyszał ich zawodzenie z powodu tego, że Tatuś odszedł na zawsze. Potem szloch i krzyki towarzyszyły od początku do końca sztampowym mowom polityków, pieprzających o twardszym podejściu do przestępczości, i duchownych, którzy wychwalali zupełnie nie znanych im mężczyzn.

Web miał ochotę wstać i powiedzieć cicho: Walczyli w słusznej sprawie. Zginęli w obronie nas wszystkich. Nigdy o nich nie zapomnijcie, bo wszyscy byli na swój sposób niezapomniani. Koniec pochwał. Amen. Ruszajmy do barów.

Nabożeństwo wspomnieniowe wreszcie się skończyło i zebrani westchnęli z ulgą. Wychodząc, Web porozmawiał z Debbie Riner i pocieszył trochę Cynde Plummer i Carol Garcję, a także wymienił uściski i parę zdań z niektórymi pozostałymi członkami rodzin. Kucnął i pomówił z małymi dziećmi, trzymał drżące ciała w ramionach i po prostu nie chciał ich puścić. Czuł, że zaraz się rozplacze. Łzy nigdy łatwo nie napływały mu do oczu, a jednak w ciągu poprzedniego tygodnia wylał ich więcej niż przez całe życie. A te dzieciaki po prostu go dobijały.

Ktoś szturchnął go w ramię. Wstając i odwracając się, myślał, że będzie pocieszał jeszcze jedną pogrążoną w żalu osobę. Jednak wpatrująca się w niego kobieta nie wydawała się potrzebować ani też pragnąć jego współczucia.

Julie Patterson była wdową po Lou Pattersonie. Miała czwórkę dzieci i spodziewała się piątego, ale poroniła trzy godziny po tym, jak się dowiedziała, że została wdową i samotną matką. Jedno spojrzenie w jej szkliste oczy uświadomiło Webowi, że kobieta wzięła potężną dawkę leków, miał nadzieję, że zapisanych przez doktora. Czuł też zapach alkoholu. Tabletki i coś mocniejszego to nie była dobra kombinacja

w taki dzień. Julie najstabiliej ze wszystkich żon kolegów zaprzyjaźniła się z Webem, bo Lou Patterson kochał go jak brata i Web zawsze wyczuwał, że Julie jest zazdrosna o tę więź.

- Naprawdę myślisz, że powinieneś tu być, Web? - zapytała. Stała chwiejnie w czarnych pantoflach na obcasie i nie całkiem potrafiła utrzymać na nim wzrok. Mówiła niewyraźnie, zaczynała atrykutować kolejne słowo, zanim uporała się z poprzednim. Twarz miała spuchniętą, bladą, ale miejscami zaczerwienioną. Nie nosiła w sobie dziecka wystarczająco długo, by urósł jej brzuch, i jak się wydawało, ta stracona szansa pogłębiła ból kobiety. Powinna leżeć w łóżku i Web zastanawiał się, dlaczego tak nie jest.

- Julie, wyjdźmy na zewnątrz, potrzebujesz trochę świeżego powietrza. Chodź, pomogę ci.

- Odepierz się ode mnie! - krzyknęła Julie na tyle głośno, że w promieniu sześciu metrów ludzie zatrzymali się i wytrzeszczyli na nich oczy. Ekipa telewizyjna też słyszała tę wymianę zdań i najwyraźniej kamerzysta oraz reporter jednocześnie zwietrzyli potencjalne źródło forsy. Kamera obróciła się w stronę Weba i podszedł do niego reporter.

- Julie, wyjdźmy na zewnątrz - powtórzył cicho Web. Położył lekko dłoń, tę zranioną, na jej ramieniu.

- Nigdzie z tobą nie pójde, ty sukinsynu! - Strząsnęła rękę Weba, aż ten jęknął z bólu, a potem stulił dłoń przy ciele. Paznokcie Julie wbiły się prosto w ranę i wypruły szwy; rana zaczęła krwawić.

- Co tam, rączka boli, ty skurwielu bez jaj? Ty z twarzą Frankensteina! Jak matka mogła na ciebie patrzeć? Ty dziwolągu, ty!

Cynde i Debbie próbowały z nią porozmawiać, pocieszyć ją, ale Julie odepchnęła je i znów przysunęła się do Weba.

- Zamarłeś, zanim zaczęły się strzały, tylko nie wiesz dlaczego? A potem upadłeś? Spodziewasz się, że kupimy te pierdoły? - Jej oddech był tak przesiąknięty alkoholem, że Web musiał zamknąć na chwilę oczy, co tylko wzmogło w nim uczucie, że traci równowagę.

- Ty tchórze. Pozwoliłeś, żeby zginęli! Ile dostałeś? Ile zarobiłeś na krwi Lou, ty dupku?

- Pani Patterson - powiedział to Percy Bates, który podszedł do nich dostojnie. - Julie - odezwał się bardzo spokojnie - zaprowadzę cię do twojego samochodu, zanim na ulicach zrobi się naprawdę tłoczno. Mam tutaj twoje dzieciaki.

Usta Julie zadrżały na wzmiankę o potomstwie.

- Ile ich jest? - Bates wydawał się zdezorientowany.

- Ile dzieciaków? - zapytała Julie. Jej ręka ześlizgnęła się na brzuch i została tam, naznaczywszy mokrymi śladami łez przód czarnej sukni. Julie jeszcze raz skupiła uwagę na Webie, wykrzywiła usta i zawarczała:

- Powinłam mieć pięcioro. Miałam piątkę dzieci i męża. Teraz dzieci jest czworo i nie ma Lou. Mój Lou zmarł. I moje maleństwo zmarło, niech cię cholera! Niech cię cholera! - Znów stopniowo podnosiła głos, przesuwała szaleńczo dłonią po brzuchu, jakby pocierała magiczną lampę, wyrażając życzenie, żeby nie narodzone dziecko i mąż wrócili. Kamera rejestrowała to wszystko. Reporter notował zaciekle.

- Przykro mi, Julie. Zrobiłem wszystko, co mogłem - powiedział Web.

Julie przestała przesuwać dłonią po brzuchu i plunęła mu w twarz.

- To za Lou. - Znów plunęła. - To za moje maleństwo. Idź do diabła. Idź do diabła, Webie Londonie. - Plasnęła go w twarz, trafiając prosto w zniszczony policzek, i prawie się przewróciła z wysiłku. - A to za mnie, ty sukinsynu! Ty... ty dziwołagu!

Energia Julie się wyczerpała i Bates musiał chwycić kobietę, żeby nie upadła na podłogę. Kiedy zabrano ją na zewnątrz, zdenerwowany tłum zaczął się rozchodzić i dzielić na rozgadane grupki; wielu ludzi rzucało gniewne spojrzenia do tyłu, na Webę.

On sam stał bez ruchu. Nawet nie otarł jeszcze śliny Julie. Uderzony przez nią policzek był teraz czerwony. Właśnie został okrzyknięty groteskowym potworem, tchórzem i zdrajcą. Julie Patterson równie dobrze mogłaby odciąć mu głowę i zabrać ją ze sobą. Web pobiłby na śmierć każdego mężczyznę, który powiedziałby mu coś takiego. Ale kiedy obelgi wychodziły z ust pograżonej w rozpacz wdowy i matki, trzeba było cierpliwie je znosić; miał za to ochotę odebrać życie sobie. Nic z tego, co mówiła, nie było prawdą, a jednak jak Web mógłby zaprzeczyć choć części jej słów?

- Proszę pana, nazwa się pan Web, prawda? Web London? - zapytał czuwający przy jego ramieniu reporter. - Proszę posłuchać, wiem, że to prawdopodobnie bardzo nieodpowiednia chwila, ale wiadomości czasami nie mogą czekać. Czy zechciałby pan z nami porozmawiać? - Web nie reagował. - Proszę - powiedział reporter. - To zajmie minutę. Tylko kilka pytań.

- Nie - rzucił Web i ruszył do wyjścia. Aż do tego czasu nie miał pewności, czy w ogóle będzie w stanie iść.

- Proszę posłuchać, rozmawiamy też z tą panią. Przecież nie chce pan, żeby widzowie poznali racje tylko jednej ze stron. Daję panu okazję do przedstawienia własnej wersji. Chodzi o uczciwość.

Web odwrócił się i chwycił mężczyznę za ramię.

- Nie ma żadnych „stron”. I dajcie spokój tej kobiecie. To, co się stało, wystarczy jej na resztę życia. Dajcie jej spokój. Trzymajcie się od niej z daleka! Rozumie mnie pan?

- Wykonuję tylko moją pracę. - Mężczyzna ostrożnie, powoli zdjął

rękę Weba ze swojego ramienia. Popatrzył na kamerzystę. Ich porozumiewawcze spojrzenia zdawały się mówić „Doskonałe”.

Web wyszedł i szybko zostawił za sobą kościół sławnych i nadziejnych. Wsiadł do macha, zapalił silnik i odjechał. Zdjął krawat, zajrzał do portfela, aby upewnić się, że ma trochę pieniędzy, zatrzymał się przy sklepie z alkoholem i kupił dwie butelki taniego chianti, a także sześciopak negra modelo.

Wrócił do domu, zatrzasnął zamki we wszystkich drzwiach i zasunął żaluzje na wszystkich oknach. Wszedł do łazienki, zapalił światło i obejrzał swoje odbicie w lustrze. Skóra na prawej stronie jego twarzy była lekko opalona, stosunkowo gładka, z paroma pojedynczymi włoskami w miejscach, które przegapił przy goleniu. Ładna połowa twarzy, zupełnie nienaruszona. „Połowa twarzy”. Tak musiał to teraz rozpatrywać. Dawno minęły dni, kiedy ktokolwiek mógł rzucić pochlebnią uwagę o jego urodzie. Jednak Julie Patterson zawsze bez skrępowania komentowała wygląd jego facjaty. Ale Frankenstein? To było coś nowego, Julie. Teraz, gdy dłużej o tym myślał, nie był już tak wyrozumiały dla kobiety. Straciłabyś Lou dawno temu, gdyby Frankenstein nie zrobił tego, co zrobił, a co kosztowało go połowę jego cholernej twarzy. Zapomniałaś o tym? Ja nie, Julie. Widzę to codziennie.

Obrócił lekko głowę, żeby móc lepiej obejrzeć lewą stronę swojej twarzy. Nie wyrastały tam żadne włoski. I skóra nigdy naprawdę nie brązowiła na słońcu. Lekarze powiedzieli, że może tak być. I poza tym wydawało się, że ma za mało skóry, tak mocno była napięta. Czasami, kiedy chciał się zaśmiać albo bardzo szeroko uśmiechnąć, nie mógł, bo ta strona jego twarzy po prostu nie chciała współpracować, jakby mówiła: „Spadaj, kolego, patrz, co mi zrobiłeś!” Uszkodzenie sięgnęło oka, tak że było ono uniesione wyżej niż normalnie. Z tego powodu, zanim przeszedł operację, wyglądał na dość niezrównoważonego człowieka. Teraz prezentował się lepiej, ale jego twarz na zawsze miała pozostać asymetryczna.

Pod przeszczepioną skórą znajdowały się grudki plastiku i metalu, które zastąpiły zniszczoną tkankę kostną. Tytan wmontowany w jego czaszkę prawie za każdym razem alarmował wykrywacze na lotniskach. Nie martwcie się, chłopaki, to tylko AK-47, który schowałem w tyłku.

Web zniósł liczne operacje, żeby jego twarz wróciła do poprzedniego stanu przynajmniej w pewnym stopniu. Lekarze wykonali dobrą robotę, ale zawsze już miał być uważany za oszpeconego. W końcu chirurdzy powiedzieli mu, że wyczerpali już wszystkie zawodowe i medyczne możliwości i że życzą mu wszystkiego dobrego. Webowi było trudniej się przystosować, niż myślał, i wciąż jeszcze nie mógł powiedzieć, że rzeczywiście mu się to udało. Przypuszczał, że z czymś takim nigdy nie

można się naprawdę uporać, ponieważ codziennie wpatruje się to w ciebie z lustra.

Uniósł jeszcze trochę głowę, wolno zsunął kołnierzyk koszuli i pokazała się w całości stara blizna u podstawy szyi. Kula wleciała nad pancerzem i w jakiś cudowny sposób ominęła wszystkie ważne tętnice i kręgosłup. Rana przypominała oparzenie od grubego cygara, jak żartował, leżąc w szpitalnym łóżku bez połowy twarzy i z dwiema wielkimi dziurami w tułowiu. I wszyscy faceci śmiali się razem z nim, ale pośród wszystkich tych chichotów wyczuwalna była nerwowość. Byli raczej pewni, że z tego wyjdzie, podobnie jak on sam. A jednak żaden z nich nie wiedział, jaki fizyczny i emocjonalny koszmar kryje się pod bandażami. Chirurdzy plastyczni zaproponowali, że zakryją blizny po kulach. Ale Web się nie zgodził. Miał już dość lekarzy podkradających skórę z różnych miejsc na jego ciele i przyklejających ją gdzie indziej. Lepiej już nie miało być ze starym Webem.

Dotknął piersi tam, gdzie drugie „oparzenie od cygara” było widoczne w całej swojej kwitnącej krasie. Kula wbiła się tutaj, a wydostała z tyłu barku, jakoś nie zahaczając z żadnej strony o kevlarową osłonę, i zostało jej jeszcze dość siły, żeby skasować za jego plecami głowę facecika, który miał zamiar rozłupać Webowi czaszkę maczetą. I kto twierdził, że nie miał szczęścia? Web uśmiechnął się do swojego odbicia.

- Może nie przystojniak, ale fuksiarz - powiedział.

W HRT zawsze mieli dla Weba najwyższy szacunek za bohaterstwo, jakie okazał tamtej nocy. Chodziło o zakładników w szkole w Richmond, stolicy Wirginii, których uwięziła grupa Wolne Społeczeństwo. Web krótko przedtem ze snajpera stał się szturmowcem i wciąż jeszcze trochę „macał” drogę, pragnął udowodnić swoją odwagę na linii walki. Wybuch nastąpił, kiedy jeden z tamtych rzucił jakąś mieszankę wybuchową domowej roboty. Trafiałby w Lou Pattersona, gdyby Web nie skoczył i nie odepchnął go w bezpieczne miejsce. Kula ognia ugodziła Weba prosto w lewą stronę twarzy, rzuciła go na ziemię i wtopiła osłonę w skórę. Zdarł osłonę razem z dużą częścią twarzy i walczył dalej, a jedynym środkiem powstrzymującym straszliwy ból była adrenalina, której poziom zawsze znacząco się podnosił podczas bitwy.

Napastnicy otworzyli ogień i pocisk przeszył korpus Weba, a potem drugi dosięgnął jego szyi. Wielu niewinnych ludzi by zginęło, gdyby nie zachowanie Weba po doznaniu tych obrażeń. Zamiast go osłabić, rany zdawały się go pobudzać, bo jakże on walczył, jak zabijał ludzi próbujących wykończyć jego i resztę grupy! Zaciągał rannych towarzyszy poza strefę zagrożenia, w tym nieżyjącego już dziś Louisa Pattersona, któremu kula przebiła ramię minutę po tym, jak uratował go od płomieni. Web dokonał tamtej nocy czynów znacznie przerastających to,

co zrobił na podwórku, a był wówczas tak poważnie poharatany; nie chodziło wtedy o jakieś zwykłe zadraśnięcie ręki, tamtego dnia nie wystarczył plaster. Zarówno weterani, jak i nowi członkowie HRT widzieli w Webie jakiegoś legendarnego bohatera. A w tej jednostce nastawionych na ciągłą rywalizację samców alfa nie istniał lepszy sposób na poprawienie swojej pozycji niż wykazanie się męstwem i umiejętnościami w ferworze walki. A kosztowało go to tylko trochę próżności i sporo krwi.

Web nawet nie pamiętał bólu. Ale kiedy wystrzelona została ostatnia kula i padł ostatni człowiek, on też osunął się na podłogę. Dotknął otwartej rany na swojej twarzy, poczuł, jak krew wylewa się z niego jeszcze w czterech miejscach, i zrozumiał, że w końcu nadszedł czas umierania. Doznał szoku w karetce i zanim zajęli się nim lekarze w College'u Medycznym Wirginii, praca serca prawie ustala. Dla wszystkich było zagadką, jak doszedł do siebie tamtej nocy, i Web z pewnością też nie znał odpowiedzi. Nigdy nie cechowała go pobożność, ale wtedy zaczął się zastanawiać nad istnieniem Boga.

Odzyskiwanie sił było boleśniejsze od wszystkiego, co Web wcześniej zrobił. Chociaż był bohaterem, nie stanowiło to gwarancji powrotu do HRT. Gdyby nie mógł utrzymać swojej dotychczasowej kondycji, nie chcieliby go, bez względu na dokonania - tak to już było. I Web nigdy nie chciał innych warunków. Ważne było, ile podniósł ciężarów, ile przebiegł mil, na ile ścian się wspiął, z ilu helikopterów spuścił się po linie, ile wystrzelił naboju. Na szczęście obrażenia twarzy nie wpłynęły negatywnie na jego wzrok ani celność. Każdy, komu zabrakło doskonałości w tej mierze, musiał pożegnać się z HRT. Psychiczne udutki okazały się jednak w czasie rekonwalescencji gorsze niż fizyczna orka. Nasuwały się różne pytania. Czy będzie w stanie strzelać podczas misji? Czy znieruchomieje w decydującym momencie i narazi swoją grupę na niebezpieczeństwo? Cóż, nie, nigdy tak się nie działo, przynajmniej dopóki nie trafiło się to cholerne podwórko. Całkowicie doszedł do siebie. Zajęło to prawie rok, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że zasłużył na przywrócenie do pracy samodzielnie, bez żadnych ułatwień. A co powiedzą ludzie teraz? Czy uda mu się wrócić? Tym razem problem nie miał natury fizycznej; wszystko tkwiło w jego głowie i dlatego było sto razy bardziej przerażające.

Web zacisnął dłoń w pięść i przebił nią lustro z taką siłą, że pękła za nim ścianka.

- Nie pozwoliłem im umrzeć, Julie - powiedział do potrzaskanego szkła. Popatrzył na swoją dłoń. Nawet nie krwawiła. Nadal miał szczęście, prawda?

Otworzył zniszczoną szafkę na lekarstwa i wyjął buteleczkę z przy-

padkową mieszanką tabletek. Zbierał je przez lata, korzystając z rozmaitych źródeł, niekoniecznie oficjalnych. Brał je od czasu do czasu, żeby pomogły mu zasnąć. Uważał jednak, bo prawie uzależnił się od środków przeciwbólowych, kiedy rekonstruowali mu twarz.

Wyłączył światło i Frankenstein zniknął. Do diabła, wszyscy wiedzieli, że potwory czują się lepiej w ciemnościach.

Zszedł na dół po schodach, starannie rozstawił wszystkie butelki alkoholu i usiadł pośród nich, jak generał omawiający plan bitwy z adiutantami. Nie otworzył jednak ani jednej butelki. Telefon dzwonił co kilka minut, ale Web nie odbierał. Ludzie pukali do drzwi, nie zważał na to. Siedział ze wzrokiem wlepionym w ścianę, aż zrobiło się dość późno. Obejrzał tabletki, wyjął jedną, popatrzył na nią, a potem włożył ją z powrotem do buteleczki. Oparł się plecami o krzesło i zamknął oczy. O czwartej nad ranem zasnął na podłodze w piwnicy. Wciąż jeszcze nie zadał sobie trudu umycia twarzy.

Siódma rano. Web wiedział o tym, bo zegar na kominku wybijał właśnie godzinę, kiedy chwiejnie podnosił się z podłogi sutereny. Rozprostował plecy i rozmasował kark; gdy siadał, zahaczył stopą jedną z butelek wina, a ta upadła, lekko pękła i chianti zaczęło wyciekać. Web wyrzucił butelkę, sięgnął po parę papierowych ręczników i posprzątał. Wino poplamiło jego dłonie na czerwono i przez chwilę trwał w oszołomieniu, bo jego ociężały umysł mówił mu, że został postrzelony we śnie.

Hałas za niskim oknem z tyłu domu kazał mu wbiec na górę po schodach i złapać pistolet. Podeszedł do drzwi wejściowych z zamiarem okrążenia domu i zaskoczenia tego, kto tam był. Może po prostu odwiedził go pies włóczęga albo zabłąkana wiewiórka, ale Web w to nie wierzył. Stopy człowieka starającego się nie hałasować wydawały po prostu charakterystyczny odgłos, jeśli ktoś wiedział, jak słuchać, a Web wiedział.

Kiedy otworzył drzwi, ruszył na niego tłum, tak że o mało nie wyciągnął! pistoletu i nie zaczął strzelać. Dziennikarze machali mikrofonami, długopisami i kartkami papieru, wykrzykując pytania tak szybko, że ich wspólny jazgot wydawał się brzmieć jak chińszczyzna. Krzyczeli, żeby popatrzeć w tę czy tamtą stronę, bo chcieli zrobić mu zdjęcie, nakręcić materiał, jakby by! jakąś sławą albo może raczej zwierzęciem w zoo. Web popatrzył na ulicę, gdzie statki mediów z wysokimi masztami zajmowały teraz miejsca w basenie portowym przed jego skromnym domem farmerskim. Dwaj agenci FBI wyznaczeni do pilnowania jego domu najwyraźniej usiłowali powstrzymać tę masę intruzów, ale zdecydowanie przegrywali bitwę.

- Ludzie, czego wy, do diabła, chcecie?! - zawołał Web.

Kobieta w beżowym lnianym kostiumie z wymodelowanymi jasnymi włosami przepchnęła się do przodu i postawiła stopy w butach na wysokich obcasach na ceglanej werandzie zaledwie dziesięć centymetrów od Weba. Jej mocne perfumy wywołały niepokój w pustym żołądku Londona.

- Czy istotnie twierdzi pan, że upadł na chwilę przed tym, jak reszta pańskiego oddziału została zabita, ale nie umie pan wyjaśnić dlaczego? - zapytała. - I że to dla tego pan przeżył? - Uniesione brwi kobiety dobitnie pokazywały, co myśli o tej niedorzecznej opowieści.

- Ja...

Inny dziennikarz przysunął swój mikrofon do ust Weba.

- Pojawiły się doniesienia, że tak naprawdę nie strzelał pan ze swojej broni, że ogień sam ustał w jakiś sposób i że właściwie nawet przez chwilę nie był pan w niebezpieczeństwie. Co pan na to?

Zadawano mu kolejne pytania, a dziennikarze coraz bardziej na niego napierali.

- Czy to prawda, że kiedy pracował pan w Biurze Regionalnym w Waszyngtonie, poddano pana dozorowi sądowemu, ponieważ naruszył pan prawo, nadużywając broni, i zranił pan podejrzanego?

- Co to ma, do diabła, ws... - zaczął Web.

Jakaś kobieta szturchnęła go łokciem w bok.

- Mam informacje z dobrego źródła, że chłopiec, którego pan rzekomo uratował, był tak naprawdę współsprawcą tego wszystkiego.

Web popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Współsprawcą czego? Komu miałby pomagać?

Kobieta spojrzała na niego przenikliwie.

- Miałam nadzieję, że dowiem się tego od pana.

Web zatrzaskał drzwi, popędził do kuchni, chwycił kluczyki suburbana i znów wyszedł na zewnątrz. Przeciskał się przez tłum i patrzył na swoich kolegów agentów, wzrokiem domagając się pomocy. Zbliżyli się, szarpnęli albo popchnęli do przodu paru ludzi, ale Web miał wrażenie, że nie wkładają w to serca, a w dodatku unikali jego wzroku. A więc tak to będzie, pomyślał.

Tłum nagle napłynął bliżej, odcinając mu dostęp do półciężarówka

- Zejdźcie mi z drogi! - wrzasnął Web. Rozejrzał się. Wszyscy sąsiedzi stali przy swoich domach i obserwowali zajście. Mężczyźni, kobiety i dzieci, którzy byli jego przyjaciółmi, a przynajmniej znajomymi, przypatrywali się temu widowisku szeroko otwartymi oczami, rozdziawiając usta.

- Czy odpowie pan na oskarżenia pani Patterson?

Web zatrzymał się i spojrzał na człowieka, który zadał to pytanie. Był to reporter z nabożeństwa wspomnieniowego.

- Ma pan taki zamiar? - dopytywał się mężczyzna.

- Nie wiedziałem, że Julie Patterson ma prawo mnie oskarżać - stwierdził Web.

- Dała nadzwyczaj jasno do zrozumienia, że albo zachował się pan jak tchórz, albo był pan w to jakoś wpłątany. Opłacony.

- Nie wiedziała, co mówi. Właśnie straciła męża i nie narodzone dziecko.

- A więc twierdzi pan, że oskarżenia są fałszywe? - nalegał mężczyzna, wysuwając mocniej mikrofon. Ktoś pchnął go w plecy, jego ramię wyskoczyło do przodu i mikrofon uderzył Weba w usta, co spowodowa-

ło krwawienie. Zanim Web zdążył o tym pomyśleć, jego pięść poleciała do przodu i po chwili mężczyzna leżał na ziemi, trzymając się za nos. Nie wydawało się, żeby specjalnie go to zasmuciło. Wrzeszczał do swojego kamerzysty:

- Masz to?! Nakręciłeś to?!

Wszyscy napaarli jeszcze bardziej i Weba, uwięzionego w środku, przesuwali sam napór tłumu. Aparaty pstrykały oślepiająco przed jego twarzą. Wielkie kamery zapełniały niezliczone metry taśmy, dziesiątki głosów jazgotały jednocześnie. Gdy kłęb ludzi i urzędów przenośli Weba z miejsca na miejsce, jego stopy zaplątały się w kabel i upadł. Tłum zwarł się, ale on rozepchnął ciała i wstał. To było coś o wiele gorszego niż utrata panowania nad sytuacją. Poczł, że koścista pięść trzasnęła go w plecy. Kiedy się odwrócił, rozpoznał w napastniku mężczyznę, który mieszkał przy tej samej ulicy i nigdy nie przepadał zbytnio za Webem jako sąsiadem czy człowiekiem. Zanim ofiara mogła zacząć się bronić, mężczyzna uciekł. Gdy Web się rozejrzył, zobaczył wyraźnie, że tłum składa się nie tylko z dziennikarzy złaknionych Pulitzera. To był motłoch.

- Do diabła, odejdźcie ode mnie! - krzyknął Web. - Pomożecie mi czy nie?! - wydarł się do dwóch agentów.

- Niech ktoś wezwie gliny - powiedziała wyperfumowana blondynka, wskazując na Weba. - Właśnie zaatakował tego biednego człowieka, wszyscy to widzieliśmy. - Pochyliła się, żeby pomóc stanąć na nogi koledze reporterowi, a w tym czasie wydobyto z kieszeni mnóstwo telefonów komórkowych.

Otoczał go chaos na poziomie, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, a widział więcej niż większość ludzi. Ale miał już tego dość. Wyciągnął pistolet. Agenci FBI zobaczyli to i nagle znów zainteresowali się sytuacją. Web skierował lufę w górę i wypalił cztery razy w powietrze. Teraz tłum wycofywał się w pośpiechu. Niektórzy ludzie padli na ziemię i krzyczeli, błagali, by do nich nie strzelał, tłumaczyli, że tylko wykonują swoją pracę, nawet jeśli jest marna. Wyperfumowana blondynka puściła drogiego przyjaciela reportera, co skończyło się dla niego ponownym lądowaniem na błotnistej ziemi, odwróciła się i wzięła nogi za pas, pragnąc się uratować. Pantofle na obcasie ugrzęzły w miękkiej trawie, więc wyskoczyła z nich bez wahania. Jej mięsisty tyłek stanowił ładny cel, gdyby Web miał ochotę go trafić. Reporter z zakrwawionym nosem czołgał się na brzuchu, wołając: „Kręcisz to? Cholera, Seymour, kręcisz to?” Sąsiedzi porwali dzieci na ręce i uciekli do domów. Web schował pistolet i poszedł do swojego suburbana. Kiedy agenci federalni ruszyli w jego stronę, rzucił tylko: „Nawet o tym nie myślcie”. Wsiadł do półciężarówki i włączył silnik. Opuścił szybę w oknie.

- Dziękuję za wsparcie - powiedział do nich, a potem odjechał.

- Straciłeś rozum? - Buck Winters wpatrywał się w Weba, który stał przy drzwiach małej sali konferencyjnej w Waszyngtońskim Biurze Regionalnym obok Percy'ego Batesa. - Wyciągasz pistolet i strzelasz z niego na oczach ni mniej, ni więcej, tylko grupy dziennikarzy, a oni nagrywają całe to cholerstwo. Odbiło ci? - zapytał znów.

- Może i tak! - odparował Web. - Chcę wiedzieć, kto przekazał informacje Julie Patterson. Myślałem, że dochodzenie w sprawie Grupy Charlie ma być tajne. Skąd, do diabła, wiedziała, co mówiłem śledczym?

Winters spojrział na Batesa z obrzydzeniem.

- Bates, byłeś mentorem tego faceta. Jak, do diabła, udało ci się to tak spaskudzić? - Popatrzył znów na Weba. - Zespół różnych facetów bada tę sprawę. Nie zachowuj się jak dziewica i nie bądź zaskoczony, kiedy coś przeniknie na zewnątrz, szczególnie do żony, która chce wiedzieć, co przytrafiło się jej mężowi. Straciłeś głowę, Web, i spieszyłeś wszystko, nie pierwszy raz.

- Słuchaj, wychodzę z domu i napada na mnie tłum, a faceci, którzy powinni być po mojej stronie, nawet palcem nie kiwną, żeby mi pomóc. Ludzie walili mnie pięściami, wykrzykiwali mi w twarz oskarżenia. Zrobiłem to, co każdy by zrobił.

- Pokaż mu, co zrobił, Bates. - Perce spokojnie podszedł do telewizora stojącego w rogu. Podniósł pilota i nacisnął kilka guzików. - Wyraży szacunek od działu kontaktów z mediami - dodał Winters.

Web zobaczył na ekranie wewnątrz kościoła podczas nabożeństwa wspomnieniowego. Ścisłe mówiąc, patrzył, jak Julie Patterson przesuwając dłonią po brzuchu, w którym nie rozwijało się już dziecko, wrzeszczy na niego, pluje mu w twarz, policzkuje go z całej siły. A on po prostu stoi w milczeniu i znosi to cierpliwie. Jego oświadczenie, że zrobił wszystko, co mógł, w tajemniczy sposób zniknęło, a przynajmniej nie dało się go usłyszeć. Na taśmie powiedział tylko do Julie: „Przykro mi”. W rezultacie wydawało się, że to Web osobiście pozbawił życia Lou Pattersona.

- Ale to jeszcze nic - stwierdził Winters, a potem wstał i zabrał pilota Batesowi. Stuknął w przycisk i Web obejrzał rozgrywającą się na ekranie scenę sprzed swojego domu. Została sprytnie zmontowana, nie oddano

atmosfery zbiorowego ataku, a krawędzie ujęć kamery były ostre i wąskie. Pojedynczych dziennikarzy przedstawiono jako twardych - nawet natarczywych - ale grzecznych profesjonalistów w każdym calu. Gość powalony przez Weba wyszedł na prawdziwego bohatera, bo nawet nie starał się ukryć swojego zakrwawionego nosa, tylko dalej zapowiadał szaleństwo, które widzi miał zaraz zobaczyć. A potem ukazał się sam Web przypominający wściekłe zwierzę. Wrzeszczał, kłął, wreszcie uniósł pistolet. Sposób montowania ujęć stworzył wrażenie, że Web wyciągnął broń w zwolnionym tempie, więc wydawało się to przemyślanym, kontrolowanym działaniem, a nie walką o życie. Było też trochę przejmujących grozą niemal kinowych ujęć pokazujących, jak jego sąsiedzi biegli ze swoimi dziećmi, żeby uciec przed tym demonem. A potem Web stał samotnie. Schował pistolet z chłodnym, bezlitosnym wyrazem twarzy i oddalił się spokojnie od chaosu, który wywołał.

Web nigdy nie widział niczego tak efektownego poza hollywoodzkimi produkcjami. Wyszedł na sadystycznego, złego człowieka z twarzą Frankenstein'a. Kamera parę razy pokazała zbliżenie jego uszkodzonego profilu, jednak nie wspomniano, skąd wzięły się te obrażenia.

Web pokręcił głową, popatrzył na Wintersa i powiedział:

- Cholera, to nie tak wyglądało. Nie jestem Charliem Mansonem.

Winters się najeżył.

- Kogo obchodzi, czy to jest prawda! Liczą się tylko odczucia. Teraz puszczają to wszystkie stacje telewizyjne w mieście. I trafiło to też do sieci ogólnokrajowych. Gratulacje, jesteś w wiadomościach z ostatniej chwili. Dyrektor przyleciał z powrotem ze spotkania na wysokim szczyble w Denver, kiedy zapoznano go z sytuacją. Twój tyłek płonie, London, płonie.

Web opadł na krzesło i nic nie mówił. Bates siedział przy tym samym stole, naprzeciw niego, i stukał długopisem w blat. Winters stał przed rzekomym winowajcą, splótszy dłonie za plecami. Webowi wydawało się, że temu facetowi naprawdę sprawia to przyjemność.

- No więc wiesz, że standardową procedurą Biura w takich wypadkach jest powstrzymanie się od reakcji. Już nieraz stosowaliśmy te strusie zasady. Czasami z dobrym skutkiem, a czasami z gorszym, ale góra lubi w takich sytuacjach taktykę bierności. Im mniej się o nas mówi, tym lepiej.

- Świetnie. Nie proszę Biura, żeby cokolwiek robiło w mojej sprawie, Buck.

Bates włączył się do rozmowy.

- Nie, Web, nie będziemy siedzieć cicho. Nie tym razem. - Zaczął wyliczać na palcach poszczególne punkty. - Po pierwsze, ludzie od kontaktów z mediami zmontują nasz własny atrakcyjny film. Świat myśli, że jesteś jakimś psycholem. Teraz ludzie się dowiedzą, że jesteś jednym

z naszych najbardziej zasłużonych agentów. Przekażemy prasie materiały zawierające wszystkie konkrety. Po drugie, chociaż Buck chce cię w tej chwili udusić, odbędzie jutro w południe nagrywaną przez telewizję konferencję prasową, na której dobitnie oświadczy, że jesteś znakomitym agentem, i wtedy puścimy nasz film. Ujawnimy trochę szczegółów tego, co się zdarzyło w tamtej uliczce, które na pewno pokażą, do cholery, że się nie odwróciłeś i nie uciekłeś, tylko zdołałeś w pojedynkę unieszkodliwić źródło ognia wystarczającego do sprzątnięcia batalionu wojska.

- Nie powinniście tego robić, kiedy trwa dochodzenie - powiedział Web. - Możecie zniszczyć jakieś ślady.

- Chcemy zaryzykować.

Web popatrzył na Wintersa.

- Nie obchodzi mnie ani trochę, co ludzie o mnie mówią! Wiem, co zrobiłem. A nie chcę w żaden sposób ryzykować, że nie dowiemy się, kto wybił moją grupę!

Winters pochylił się i jego twarz znalazła się dziesięć centymetrów od twarzy Weba.

- Gdybym to ja decydował, twojego tyłka już by tu nie było. Ale dla niektórych w Biurze jesteś kimś w rodzaju bohatera i podjęto decyzję, że będziemy cię bronić. Wierz mi, wypowiadałem się przeciwko temu, bo z punktu widzenia stosunków z mediami tak naprawdę nie pomaga to Biuru, poprawia tylko twój wizerunek. - Spojrzał na Batesa. - Ale twój przyjaciel wygrał tę bitwę.

Web popatrzył ze zdziwieniem na Perce'a.

- Ale nie wojnę - ciągnął Winters. - I nie mam zamiaru robić z ciebie jakiegoś cholernego męczennika. - Winters rzucił okiem na uszkodzoną stronę twarzy Weba. - Oszepeconego męczennika. Teraz Perce opowie ci o małym przedstawieniu, które przygotowujemy, żeby posprzątać po tobie. Mnie już przy tym nie będzie, bo dostałbym mdłości. Ale posłuchaj, London, i posłuchaj naprawdę uważnie. Twoja przyszłość wisi teraz na włosku, a ja najbardziej w świecie pragnę go przeciąć. Zacznę obserwować cię tak dokładnie, że będę mógł policzyć każdy twój oddech. Kiedy coś spieprzysz, a na pewno tak się stanie, młot spadnie i odejdziesz na dobre, a ja zapalę sobie największe cholerne cygareto, jakie uda mi się znaleźć. Czy to jasne?

- Taak, o wiele jaśniejsze niż twoje rozkazy w Waco.

Winters wyprostował się i dwaj mężczyźni wpili się w siebie wzrokiem.

- Zawsze się zastanawiałem, Buck - powiedział Web - dlaczego jesteś jedynym z dowódców oblężenia - przepraszam, dowódców chaosu - któremu to partactwo nie złamało kariery. Wiesz, kiedy pełniłem tam służbę jako snajper, właściwie myślałem sobie, że pracujesz dla Gałęzi Dawidowej, z powodu wszystkich twoich kretyńskich decyzji.

- Web, zamknij się, do cholery! - rzucił ostro Bates. Popatrzył niepokojnie na Wintersa. - Ja to przejmuję, Buck.

Winters wpatrywał się w Weba przez kilka sekund, a potem ruszył w stronę drzwi, ale jeszcze się obejrzał.

- Gdyby to ode mnie zależało, w ogóle nie byłoby HRT, a pewnie będę kiedyś decydował. I zgadnij, kto będzie pierwszym sukinsynem, który odejdzie? Jak ci się podoba takie dowodzenie?

Winters zamknął drzwi i Web z ulgą wypuścił powietrze z płuc, choć wcześniej nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech. Wtedy Bates wykrzyczał mu w twarz swoje pretensje.

- Nadstawiałem za ciebie karku, powoływałem się na wszystkie moje zasługi dla Biura, a ty prawie to spieprzyłeś, atakując Wintersa. Czy naprawdę jesteś aż tak wielkim cholernym idiotą?

- Chyba tak - odpowiedział niepokornie Web. - Ale nie prosiłem o nic. Prasa może mnie rozebrać do naga, ale nic, nic nie zepsuje dochodzenia.

- Dostanę przez ciebie ataku serca, naprawdę. - Bates w końcu się uspokoił. - W porządku, oto instrukcje dla ciebie. Nie będziesz się rzucał w oczy przez jakiś czas. Nie wracaj do domu. Damy ci samochód. Wyjedź dokądś i zostań tam trochę. Biuro pokryje koszty. Będziemy się kontaktować przez twój bezpieczny telefon komórkowy. Zgłaszaj się regularnie. Teraz wypadłeś w telewizji fatalnie, ale nasza wersja przedstawi cię w zupełnie innym świetle. I jeśli znajdę cię w pobliżu Bucka Wintersa w ciągu następnych trzydziestu lat, osobiście cię zastrzelę. Teraz znikaj stąd! - Bates podszedł do drzwi, ale Web dalej siedział.

- Perce, dlaczego robisz to wszystko? Bardzo ryzykujesz, wstawiając się za mną.

Bates przez parę chwil wpatrywał się w podłogę.

- To zabrzmiało głupio, ale to prawda. Robię to dlatego, że Web London, którego znam, ryzykował życie dla tej agencji więcej razy, niż pamiętam. Dlatego, że patrzyłem, jak leżysz w szpitalnej sali przez trzy miesiące i nie masz pewności, czy z tego wyjdiesz. Mogłeś wtedy przejść na emeryturę z pełną płacą, pożyć sobie. Jeździć na ryby czy co tam, do cholery, robią wtedy agenci FBI. Ale ty wróciłeś i dalej walczyłeś w pierwszej linii. Nie znam zbyt wielu facetów, którzy zrobili coś takiego. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - I dlatego, że wiem, co zrobiłeś w tej uliczce, nawet jeśli reszta świata tego nie wie. Ale do cholery, na pewno się o tym dowiedzą, Web. Nie zostało już wielu bohaterów. A ty jesteś jednym z nich. Tyle tylko powiem. I nigdy, ale to nigdy już mnie o to nie pytaj.

Mężczyzna wyszedł i Web mógł pomyśleć w samotności o drugim obliczu Percy'ego Batesa.

Dochodziła północ, a Web wędrował. Przełaził przez płoty i przecinał ukradkiem podwórka sąsiadów. Tego wieczoru wyznaczył sobie prosty, choć absurdalny cel. Musiał włamać się do własnego domu przez okno na tyłach, bo dziennikarze wciąż cumowali od frontu i czekali na okazję, żeby zaatakować go przez abordaż. A potem zatopić. Przed domem zobaczył też dwóch umundurowanych ochroniarzy z Biura, wspieranych przez wóz policji stanu Wirginia, którego niebieskie koguty przecinały mrok. Web miał nadzieję, że tym razem nie będzie agresywnego tłumu, zakłócania porządku. Oczywiście dopóki ktoś nie zauważy, że Web wchodzi przez okno do własnej łazienki. Wtedy wszystko stanie się możliwe.

Po cichu, w ciemności zapakował rzeczy osobiste do worka, dorzucił kilka dodatkowych nabojów i trochę sprzętu, który wydał mu się przydatny, a potem wyczołgał się na zewnątrz. Przeskoczył przez płot, wślizgnął się znów na podwórko sąsiada, po czym się zatrzymał. Otworzył worek, wyjął zasilaną baterią lunetę pozwalającą dzięki światłu z otoczenia widzieć w nocy tak jak w dzień, tyle że z zielonkawym odcieniem, i popatrzył przez nią. Obejrzał armię rozłożoną obozem przed jego domem i wyregulował ostrość, aby mieć lepszy widok. Liczba tych ludzi, dla których jedynym życiowym celem było teraz wydobycie wszelkich możliwych brudów bez zważania na prawdę, skłoniła Weba do stwierdzenia, że kara, choćby niewielka, powinna zostać wymierzona, skoro nadarza się okazja. A teraz akurat mógł sobie użyć. Wyciągnął raketnicę, załadował nabój, wycelował w niebo, dokładnie nad tą grupą wspaniałych ludzi, i wystrzelił. Raca pomknęła w górę, eksplodowała i żółty blask rozświetlił niebo. Web patrzył przez lunetę, jak gromadka porządných ludzi spogląda na to zjawisko zaleknionymi oczami, a potem ucieka z wrzaskiem. Życie było takie słodkie za sprawą drobnych przyjemności: długich spacerów, przelotnych deszczów, szczeniaków, napędzenia strachu świętoszkowatym dziennikarzom...

Potruchtał z powrotem do crown vika, którego załatwił mu Bates, i odjechał. Spędził tę noc w nędznym motelu niedaleko Trasy Numer Jeden, w południowej części Alexandria gdzie mógł zapłacić gotówką i nikt mu nie przeszkadzał, a obsługa hotelowa ograniczała się do torebki z McDonald's, jeśli przyniosłeś ją ze sobą, albo automatu z napojami gazowanymi i przekąskami, który był przymocowany łańcuchem do kolumny pokrytej graffiti przed jego pokojem. Oglądał telewizję i jadł cheeseburgera z frytkami. Potem wyjął ze swojego worka butelczkę z tabletkami i połknął dwie. Zapadł w głęboki sen i tym razem nie obudziły go koszmary.

Wcześniej rano w sobotę Scott Wingo wjechał na wózku inwalidzkim po rampie i otworzył kluczem drzwi trzypiętrowego murowanego budynku z dziewiętnastego wieku, w którym mieściła się jego kancelaria adwokacka. Wingo, rozwodnik, ojciec dorosłych dzieci, z powodzeniem prowadził praktykę jako obrońca w sprawach karnych w Richmond, mieście swoich narodzin, gdzie przebywał przez całe życie. Wybierał się do biura także w soboty, bo wtedy mógł spokojnie popracować, odpoczywając od brzęczących telefonów, klekoczących klawiatur, zatroskanych partnerów i wymagających klientów. Te atrakcje zostawiał sobie na dni robocze. Dostał się do środka, zaparzył kawę w dzbanku, wzmocnił ją swoim ulubionym bourbonem gentleman jim i udał się do swojego gabinetu. Kancelaria Scott Wingo i Partnerzy, Doradcy Prawni była instytucją znaną w Richmond od prawie trzydziestu lat. W tym czasie Wingo przeszedł drogę od działającego w pojedynkę prawnika z siedzibą w biurze o rozmiarach szafy, który bronił właściwie każdego, kto miał dość gotówki, żeby mu zapłacić, do szefa firmy z sześcioma partnerami, detektywem na etacie i ośmioosobowym personelem pomocniczym. Jako jedyny udziałowiec Wingo zgarniał siedmiocyfrowe kwoty w dobrym roku, a w gorszych czasach z pół miliona. Jego klientami także stali się ludzie zamożniejsi. Przez długie lata odmawiał przyjmowania spraw ludzi powiązanych z narkotykami, ale w końcu się przełamał, bo niewątpliwie było to źródło wielkich pieniędzy, i sprzykrzyło mu się patrzeć, jak znacznie gorsi od niego adwokaci kasują te dolary. Pocieszał się tym, że każdy, bez względu na to, jak ohydne dopuścił się czynu, zasługuje na fachową - a nawet natchnioną - obronę.

Wingo miał spore umiejętności jako obrońca sądowy i chociaż dwa lata wcześniej został przykuty do wózka z powodu rozwijającej się cukrzycy i dolegliwości wątroby, częstotliwość jego wystąpień przed ławą przysięgłych wcale nie zmalała. Czuł, że pod pewnymi względami niepełnosprawność ułatwia mu przekonywanie przysięgłych. I wielu członków stanowej adwokatury zazdrościło mu nieustannych zwycięstw. Mierzył też tych, którzy odnosili wrażenie, że po prostu pozwala bogam

tym kryminalistom uniknąć zasłużonych konsekwencji ich straszliwych przestępstw. Wingo naturalnie nie patrzył na to w taki sposób, ale już dawno zrezygnował z prób odpierania tego zarzutu, który nie wydawał mu się wart sporów, mimo że tylko w bardzo niewielu innych przypadkach rezygnował z walki.

Mieszkał w dużym domu w Windsor Farms, pełnej dostatku, stanowiącej przedmiot marzeń wielu ludzi dzielnicy Richmond; jeździł specjalnie przerobionym jaguarem sedanem, dostosowanym do jego ograniczeń motorycznych; odbywał luksusowe wycieczki za granicę, kiedy miał ochotę; był dobry dla swoich dzieci i hojny dla byłej żony, która nadal mieszkała w ich starym domu i pozostawała z nim w dobrych stosunkach. Ale głównie pracował. Pięćdziesięciodziewięcioletni Wingo przeżył już wiele przepowiadanych mu terminów przedwczesnej śmierci. Przewidywali ją albo lekarze w związku z jego rozmaitymi schorzeniami, albo niezadowoleni klienci czy też przedstawiciele strony przeciwnej, w których przekonaniu sprawiedliwości nie wymierzono w dużej mierze dlatego, że Wingo zrobił to, co umiał najlepiej, czyli wzbudził sporo wątpliwości u dwunastu osób równych oskarżonemu wobec prawa. A jednak wiedział, że jego czas się kończy. Mówiły mu to zmęczone narządy, słabo krążąca krew, ogólne zmęczenie. Sądził, że będzie pracował aż do śmierci; nie byłby to taki zły sposób odejścia z tego świata.

Wypił łyżeczkę kawy z bourbonem i podniósł słuchawkę. Lubił telefonować, nawet w weekendy, wtedy szczególnie chętnie oddzwaniał do ludzi, z którymi nie chciał rozmawiać. Rzadko byli u siebie w sobotnie poranki, więc zostawiał im grzeczną wiadomość, dodając, że jest mu przykro z powodu ich nieobecności. Po dziesięciu takich telefonach poczuł się niezwykle produktywny. Miał coraz bardziej sucho w ustach, prawdopodobnie od całego tego mówienia, i wypił następny haust kawy z whisky. Zajął się pismem, nad którym pracował. Gdyby je uwzględniono, podważyłoby dowody dotyczące szajki włamywaczy. Większość ludzi nie rozumiała, że sprawy często wygrywano, zanim ktokolwiek postawił stopę w sali sądowej. W tym przypadku gdyby wniosek został przyjęty, nie byłoby procesu, ponieważ oskarżenie nie miałyby od czego zacząć.

Po kilku godzinach pracy i kolejnych telefonach zdjął okulary i przetarł oczy. Cholerna cukrzyca siała spustoszenie w prawie każdej części jego ciała, a w poprzednim tygodniu dowiedział się, że ma jaskrę. Może Pan mścić się na nim za pracę, którą wykonywał tu na ziemi.

Zdawało mu się, że słyszy, jak gdzieś otwierają się drzwi, i pomyślał, że może to jeden z jego wysoko opłacanych partnerów wstąpił do firmy, żeby się trochę pomęczyć w weekend. Młodzi faceci w tych czasach po prochu nie mieli takiej samej etyki pracy jak pokolenie Wingo,

choć zarabiali horrendalnie wysokie sumy. Jak często on miał wolny weekend w ciągu pierwszych piętnastu lat prowadzenia kancelarii? Dzisiaj dzieciaki narzekały, kiedy musiały zostać dłużej niż do szóstej. Cholera, oczy go po prostu dobijały. Dokończył filiżankę kawy, ale pragnienie powróciło z taką samą mocą. Otworzył gwałtownie szufladę biurka i popił wody z butelki, którą tam trzymał. Krew pulsowała w jego głowie. I bolały go plecy. Położył palec na nadgarstku i liczył. No, do diabła, jego tętno też zwariowało; ale zdarzało się to prawie codziennie. Przyjął wcześniej insulinę i do następnego zastrzyku miał sporo czasu, a jednak zastanawiał się, czy nie wyprzedzić harmonogramu. Może poziom cukru w jego krwi nagle opadł. Stale dostosowywał dawkę insuliny, bo nigdy nie mógł trafić na tę cholerną właściwą. Jego lekarz mówił mu, żeby przestał pić, ale Wingo wiedział, że to po prostu nie wchodzi w grę. Bourbon był dla niego artykułem pierwszej potrzeby, a nie luksusem. Tym razem miał pewność, że usłyszał skrzypienie drzwi.

- Halo?! - zawołał. - Czy to ty, Missy? - Missy, pomyślał. Missy to był jego cholerny pies, który zdechł przed dziesięcioma laty. Skąd mu się to, do diabła, wzięło? Próbował skoncentrować się na piśmie, ale widział teraz wszystko tak niewyraźnie, a jego ciało wyczyniało tak dziwaczne rzeczy, że Wingo w końcu zaczął się bać. Do diabła, może miał zawał, chociaż nie czuł żadnego bólu w piersi ani pulsowania w lewym ramieniu.

Popatrzył na zegar, ale nie mógł dojrzeć, która godzina. W porządku, musiał coś z tym zrobić.

- Halo! - zawołał - Potrzebuję pomocy. - Wydawało mu się, że słyszy odgłos zbliżających się kroków, ale nikt się nie pojawił. W porządku, do cholery, pomyślał. - Sukinsyny! - wrzasnął. Podniósł słuchawkę i zdolał przycisnąć palcem dziewiątkę, a potem dwa razy jedynekę. Czekał, ale nikt się nie zgłosił. Tak są wykorzystywane nasze pieniądze z podatków. Wykręcasz 911 i dostajesz wielkie nic. - Potrzebuję pomocy! - zawołał do telefonu. I wtedy zauważył, że nie ma sygnału. Odłożył słuchawkę i znów ją podniósł. Cisza, brak sygnału. No cóż, niech to szlag. Rzucił słuchawkę, ale nie trafił w widełki i spadła na podłogę. Szarpnął kołnierzyk koszuli, bo coraz trudniej było mu oddychać. Miał zamiar kupić jakiś telefon komórkowy, ale nigdy się do tego nie zabrał. - Czy ktoś tam jest, do cholery? - Znów słyszał kroki. Oddychanie stawało się prawie niemożliwe, jakby coś utkwilo w jego przełyku. Pocił się obficie. Podniósł głowę i popatrzył na drzwi. Jak przez mgłę widział, że się otwierają. Ktoś wszedł.

- Mamo? - Cholera, to była jego matka, a w listopadzie minie dwudziesta rocznica jej śmierci. - Mamo, potrzebuję pomocy, nie czuję się dobrze.

Oczywiście nikogo nie było. Wingo miał halucynacje.

Osunął się na podłogę, bo nie był w stanie dłużej utrzymać się na wózku. Czołgał się w stronę postaci, dysząc przy tym ciężko i charcząc.

- Mamo - wychrypiął do zjawy. - Musisz pomóc swojemu chłopcu, bo nie jest z nim dobrze. - Dotarł do niej i wtedy po prostu zniknęła, ot tak, akurat wtedy, kiedy tak jej potrzebował. Wingo położył głowę na podłodze i powoli zamknął oczy.

- Czy jest tam ktoś? Potrzebuję pomocy - powiedział po raz ostatni.

Francis Westbrook napotkał poważne trudności. Jego zwykłe meliny, miejsca, w których zazwyczaj prowadził interesy, były dla niego niedostępne. Wiedział, że szukają go federalni, a ten, kto go zrobił, niewątpliwie też próbował go dopaść. Westbrook nie mógł zakładać, że jest inaczej. W tej branży utrzymywał się bowiem przy życiu wyłącznie dzięki skrajnej paranoi. Dlatego miał spędzić jeszcze przynajmniej najbliższą godzinę na zapleczu magazynu z mięsem w południowo-wschodniej części Dystryktu. O dziesięć minut jazdy od miejsca, w którym siedział i kostniał z zimna, znajdował się Kapitol i inne wspańnię budynki o znaczeniu ogólnopaństwowym. Westbrook, który przez całe życie mieszkał w Waszyngtonie, nigdy nie był choćby w jednym z nich. Te wielkie gmachy, wzniesione dla uczczenia nadzwyczajnego narodu, zupełnie nic dla niego nie znaczyły. Nie uważał się za Amerykanina, obywatela Waszyngtonu czy jakiegokolwiek innego miasta. Był po prostu jeszcze jednym czarnym braciakiem próbującym sobie poradzić. Kiedy miał dziesięć lat, stawiał sobie za cel dożycie piętnastu. Potem dotrwanie do dwudziestu, zanim zostanie zabity. Później chciał skończyć dwadzieścia pięć. Kiedy przed paru laty stuknęła mu trzydziestka, urządził imprezę godną osoby świętującej osiemdziesiąte urodziny, bo w jego świecie tak właśnie mógł się czuć. Wszystko było względne, w przekonaniu Francis Westbrooka może jeszcze bardziej niż zdaniem innych ludzi.

Jego myśli krążyły teraz głównie wokół spieprzonej przez niego sprawy Kevina. Pragnął, żeby chłopak miał mniej więcej normalne życie, i w efekcie coraz słabiej troszczył się o jego bezpieczeństwo. Kiedyś miał dzieciaka przy sobie przez cały czas, ale któregoś dnia kłótnia w ekipie przerodziła się w prawdziwą bitwę i Kevin został postrzelony w twarz, na skutek czego omal nie umarł. Francis nie mógł nawet zabrać go do szpitala, bo prawdopodobnie zostałby aresztowany. Po tym zdarzeniu pozwolił, żeby chłopak zamieszkał z jakąś niby-rodziną, ze starszą panią i jej wnukiem. Pilnie strzegł Kevina i odwiedzał go, kiedy tylko mógł; dawał jednak chłopcu trochę swobody, bo każde dziecko tego potrzebowało.

Francis z pewnością nie chciał, żeby Kevin wyrósł na kogoś takiego jak on. Chłopak miał mieć prawdziwe życie, z dala od broni, narkotyków i szybkiej przejażdżki do gabinetu koronera z etykietką zawieszoną na palcu u nogi. Zbyt częste przebywanie w pobliżu Francisa, oglądanie takiego świata mogłoby skusić każdego młodego człowieka do zanurzenia palców w tej mętnej wodzie. A kto raz to zrobił, nie wydstawał się stamtąd już nigdy, ponieważ na dnie tego stawu o słodkim wyglądzie krył się jedynie wciągający grząski piasek i pływały w nim jadowite węże, które zgodnie twierdziły, że są twoimi przyjaciółmi, dopóki nie przestałeś uważać, a wtedy jeden z nich zatapiał zęby w twojej szyi. Kiedy Kevin się urodził, Francis przyrzekł sobie, że to się nie przytrafi młodziakowi, a jednak może już tak się stało. To by była prawdziwa ironia losu, gdyby przeżył Kevin.

Westbrook kierował interesem narkotykowym, jednym z bardziej lukratywnych na obszarze aglomeracji Dystryktu Columbia, ale nigdy nie został za nic aresztowany, nawet za drobne wykroczenie, chociaż już dwadzieścia trzy lata zajmował się „biznesem”. Zaczął bardzo młodo i nigdy nie oglądał się za siebie, bo nie miał po co. Był dumny ze swego czystego konta, mimo popełnianych przestępstw. Nie zawdzięczał tego wyłącznie szczęściu; właściwie najważniejszą rolę odegrały tutaj jego starannie przygotowywane plany przetrwania, przekazywanie informacji, kiedy to było potrzebne, właściwym ludziom, którzy w zamian pozwalali mu spokojnie robić swoje. To był klucz: nie kołysz łódką, nie rób zamieszania na ulicy, nie strzelaj, jeśli nie musisz. Nie dawaj się we znaki federalnym, bo oni mają tyle sił i pieniędzy, że zmienią twoje życie w piekło, a kto potrzebuje tego gówna. Jego życie i tak już było wystarczająco skomplikowane. I nic nie warto bez Kevin.

Popatrzył na Macy'ego i Peeblesa, swoje cienie. Ufał im bardziej niż komukolwiek innemu, ale bynajmniej nie ślepo. Zawsze nosił przy sobie broń i niejednokrotnie uratowało mu to życie. Po pierwszej nauczce pamiętało się o zagrożeniu. Rzucił okiem w stronę drzwi, przez które właśnie wszedł wielki Toona.

- Toona, masz dla mnie jakieś wiadomości, prawda? Jakies dobre wiadomości o Kevinie.

- Jeszcze nic, szefie.

- Więc zabieraj stąd swój nędzny tyłek i wróć dopiero, jak się czegoś dowiesz.

Skwaszony Toona natychmiast opuścił magazyn i Westbrook popatrzył na Peeblesa.

- Powiedz mi, co się dzieje, Twan.

Antoine „Twan” Peebles ze smutnym wyrazem twarzy starannie poprawił na nosie drogę okulary do czytania. Westbrook wiedział, że

mężczyzna ma doskonały wzrok, ale sądzi, że szkła nadają mu wygląd menedżera, a próbował wyglądać na kogoś, kim nigdy nie miał zostać - szefem działu w legalnej firmie. Westbrook pogodził się ze swoją sytuacją dawno temu. Tak naprawdę wyboru dokonano za niego w chwili, kiedy urodził się na tylnym siedzeniu cadillaca podpartego żuźłowymi pustakami. Jego matka wdychała kokę nawet wtedy, gdy Francis wysunął się spomiędzy jej nóg i wpadł w ramiona jej ówczesnego mężczyzny, który zaraz odłożył dziecko na bok, przeciął pępowinę brudnym nożem i zmusił młodą matkę do zrobienia mu lodu. Opowiedziała o tym później synowi, barwnie, ze szczegółami, jakby to była najzabawniejsza historia, jaka jej się przytrafiła.

- Wiadomości nie są dobre - oznajmił Peebles. - Nasz główny dostawca powiedział, że nie jest pewien, czy może zaopatrywać nas dalej w towar, zanim gliny przestaną dookoła ciebie węszyć. A nasze zapasy są obecnie dość niewielkie.

- Cholera, czy to nie jest szok? - rzucił Westbrook. Oparł się wygodnie. Musiał sprawiać wrażenie twardziela przy Peeblesie, Macym i swoich ludziach, ale w rzeczywistości znalazł się w poważnych tarapatkach. Westbrook zajmował się swego rodzaju odsprzedażą, więc miał zobowiązania wobec odbiorców. A jeśli nie mogliby od niego dostać tego, czego potrzebowali, wzięliby to od kogoś innego. Nie pożyczą długu. A kiedy raz zawiodłeś ludzi, prawie nigdy nie robili z tobą nowych interesów.

- W porządku, zajmę się tym później. A ten facet, Web London, co o nim wiesz?

Peebles otworzył teczkę, którą wyjął ze skórzanej aktówki, i jeszcze raz poprawił okulary. Przedtem, kiedy wszedł do pomieszczenia, chusteczką do nosa ozdobioną monogramem dokładnie wytarł swoje krzesło i wyraźnie dał do zrozumienia, że odbywanie zebrania w magazynie z mięsem jest znacznie poniżej jego godności. Peebles lubił pliki banknotów w kieszeniach, eleganckie ubrania, dobre restauracje i ładne kobiety robiące wszystko, czego chciał, dla niego albo jemu. Nie nosił pistoletu i z tego, co wiedział Westbrook, nawet nie umiał strzelać. Piął się w górę w czasach, kiedy handel narkotykami prowadzony był zdecydowanie mniej brutalnie, w bardziej uporządkowany sposób: z księgowymi, komputerami, segregatorami, praniem brudnych pieniędzy i posiadaniem portfeli papierów wartościowych, a nawet letnich domów, do których latało się prywatnymi odrzutowcami.

Westbrook był o dziesięć lat starszy od Peeblesa i cała jego kariera rozegrała się na ulicach. Sprzedawał torebki koki po parę centów, spał w jakichś norach, częściej chodził głodny niż syty, uskakiwał przed kulami i pakował je w innych, kiedy musiał. Peebles znał się na swojej

roboty; dbał o to, żeby interesy Westbrooka szły gładko, żeby towar po pierwsze - docierał w odpowiednim czasie, a po drugie - trafiał do ludzi, dla których został kupiony. Starał się także, żeby należności dłużników - Westbrook uśmieł się serdecznie, kiedy Peebles po raz pierwszy użył przy nim tego określenia - były bezzwłocznie regulowane. Sprawnie prano pieniądze, rozważnie inwestowano nadmiar gotówki, na bieżąco obserwowano innowacje w branży, wykorzystywano najnowsze technologie, wszystko to pod czujnym okiem Antoine'a Peeblesa. A jednak Westbrook nie mógł się zmusić do darzenia szacunkiem tego człowieka.

Kiedy pojawiały się problemy z pracownikami, co zwykle znaczyło, że ktoś próbował ich wykiwać, Antoine Peebles szybko odsuwał się na bok. Był za miękki do tej części biznesu. Wtedy Westbrook przejmował inicjatywę i załatwiał takie sprawy. I to wtedy Clyde Macy naprawdę zarabiał na swoje pieniądze.

Westbrook popatrzył na swojego białego chłopczyka. Myślał, że to żart, kiedy Macy przyszedł do niego i poprosił o pracę.

- Znalazłeś się po złej stronie miasta, młody - powiedział mu wtedy. - Rejon białasów jest na północnym zachodzie. Zabierz swój tyłek tam, gdzie jest jego miejsce. - Przypuszczał, że na tym się skończy, dopóki Macy nie rozwalił dwóch facetów, którzy próbowali bruździć Westbrookowi. Jak wyjaśnił, zrobił to za darmo, tylko po to, żeby udowodnić swoją wartość. Ten mały skinhead nigdy nie opuścił w potrzebie swojego szefa. Kto by pomyślał, że wielki czarny Francis Westbrook dołączy do pracodawców przeciwnych dyskryminacji.

- Web London - zaczął Peebles, ale zaraz przerwał i kaszlnął, a potem się wysmarka! - jest w FBI od ponad trzynastu lat, a w jednostce odbijającej zakładników od około ośmiu. Wysoko go cenią. Ma dużo pochwał i takich rzeczy w swojej teczce. Został ciężko ranny w czasie jednej z misji i o mało nie umarł. Chodziło o bojówkarzy.

- Bojówkarze - powtórzył Westbrook. - Zgadza się, to biali ludzie z karabinami, którzy myślą, że to ich rząd wychują. Powinni przyjechać i zobaczyć nas, czarnych, przekonali się, jak dobrze mają tak naprawdę.

- Obecnie prowadzone jest dochodzenie w sprawie strzelaniny na podwórku.

- Twan, powiedz mi coś, czego nie wiem, bo cholernie marznę, i ty też, jak widzę.

- London chodzi do psychiatry. Nie w Biurze, do specjalisty z zewnątrz.

- Wiemy do kogo?

- To zespół lekarzy na Tyson's Corner. Nie jestem jeszcze pewien, jaki psychiatra się z nim spotyka.

- Cóż, ustalmy to. Będzie rozmawiał ze swoim guru o sprawach, o których nie powie nikomu innemu. A wtedy może my będziemy musieli porozmawiać z jego guru.

- Zgadza się - przyznał Peebles i zanotował to.

- Twan, możesz mi powiedzieć, czego oni, do diabła, szukali tamtej nocy? Nie uważasz, że to może być jakieś ważne gówno?

Peebles obruszył się.

- Właśnie miałem do tego przejść. - Zaszleścił jakimś papierami, a w tym czasie Macy skrupulatnie czyścił swój pistolet, usuwając z lufy pyłki kurzu widoczne chyba tylko dla niego.

Peebles znalazł to, czego szukał, i spojrzał w górę na swojego szefa.

- To ci się naprawdę nie spodoba.

- Jest dużo gówna, które naprawdę mi się nie podoba. Powiedz mi.

- Słyszałem, że to ciebie chcieli dopaść. W tym budynku miał się znajdować cały nasz dział operacji finansowych. Księgowi, komputery, segregatory, wszystko. - Peebles pokręcił głową, wydawał się urażony, jakby szargano jego dobre imię. - Nie jesteśmy głupi, nie centralizujemy rozliczeń. Wysłali tam HRT, bo chcieli wyprowadzić facetów od pieniędzy żywych, żeby zeznawali przeciwko tobie.

To oszołomiło Westbrooka do tego stopnia, że nawet nie skarcił Peeblesa za mówienie o „naszych” operacjach finansowych. Były to operacje Westbrooka, i tyle.

- A dlaczego, do diabła, tak myśleli? Nigdy nawet nie używaliśmy tego budynku. Cholera, nigdy nawet tam nie wszedłem. - Nagle pewna myśl przyszła Westbrookowi do głowy, ale postanowił zachować ją dla siebie. Jeśli chciał się handlować, musiał przynieść coś na imprezę - być może miał coś związanego z tym budynkiem. Kiedy dopiero zaczął pracować na ulicach, właściwie znał to miejsce naprawdę dobrze. Była to jedna z kamienic zbudowanych ze środków rządowych w latach pięćdziesiątych w celu udzielenia biednym rodzinom pomocy, której potrzebowały, żeby z powrotem stanąć na nogi. Mniej więcej dwadzieścia lat później to skupisko domów tworzyło jedną z najbardziej zniszczonych przez narkotyki części miasta, gdzie co noc zdarzały się zabójstwa. Białe dzieciaki z przedmieść oglądały wieczorami telewizję, a Westbrook morderstwa na swoim podwórku. Ale w tym budynku i w innych podobnych było coś wyjątkowego, o czym może federalni nie wiedzieli. Taak, włożył to do swojej teczki „handlowej”. Poczul się trochę lepiej, ale tylko trochę.

Przypatrujący się Westbrookowi Peebles zsunął okulary na czubek nosa.

- Cóż, zakładam, że Biuro miało jakiegoś tajniaka, który nad tym pracował, i że ten agent musiał powiedzieć im coś innego.

- Kto jest tym cholernym agentem? - zapytał Westbrook.

- Tego nie wiemy.

- Cóż, to gównu muszę wiedzieć. Gość chodzi sobie i kłamie na mój temat, więc chcę wiedzieć, kim jest. - Westbrook poczuł nagle chłód na piersi, choć starał się niczego po sobie nie pokazywać. Teraz nie czuł się już tak dobrze. Jeśli agent Biura wybrał jako cel coś, co uznawał za centrum jego operacji, to niewątpliwie FBI się nim zainteresowało. Dlaczego, do diabła? Jego interes nie był taki wielki i z pewnością w mieście nie brakowało innej zwierzyny. Parę ekip robiło o wiele gorsze rzeczy. Nikt się go nie czepiał i nikt nie wdzierał się na jego teren, on sam przez całe lata działał po cichu, ostrożnie, też nie przysparzając nikomu kłopotów.

- Cóż, ten, kto dał cynk do Biura, wiedział, jakie rzeczy podkreślić - stwierdził Peebles. - Nie wzywają HRT, jeśli nie mają bardzo poważnych powodów. Uderzyli na ten budynek, bo mieli w nim znaleźć dowody, których mogliby użyć przeciwko tobie. Tak przynajmniej mówią nasze źródła.

- A co tam znaleźli, oprócz karabinów?

- Nic, to miejsce było puste.

- A więc tajniak pieprzył bzdury?

- Albo jego źródła.

- Albo wrobili go, żeby wrobić mnie - powiedział Westbrook. - Wiesz, Twan, gliniarzy nie będzie obchodzić, czego tam nie było. Będą myśleć, że moje dupsko za tym stano, bo budynek jest na moim terenie. A więc ten, kto to zrobił, w ogóle nie ryzykował. Rozdali karty na moją niekorzyść na samym początku. W żaden sposób nie mogłem tego wygrać. Mam rację, Twan, czy może widzisz to inaczej?

Westbrook przypatrzył się uważnie Peeblesowi. Mowa ciała mężczyzny prawie niezauważalnie się zmieniła. Westbrook instynktownie zauważał takie rzeczy, co wiele razy uratowało mu życie, teraz też wyraźnie to dostrzegł. I wiedział, z czego to wynikało. Mimo wykształcenia zdobytego w college'u i talentu do kierowania interesem, Peebles po prostu nie potrafił tak szybko jak Westbrook ocenić sytuacji i dojść do właściwego wniosku. Jego uliczny spryt był niczym w porównaniu z refleksem szefa. Powód był prosty: Westbrook przetrwał wiele lat dzięki tym instyktom i przez cały czas je -wyostrzał, a Peebles nigdy nie musiał tego robić.

- Prawdopodobnie masz rację.

- Taak, prawdopodobnie - powiedział Westbrook. Wpatrywał się ponuro w Peeblesa, aż ten w końcu spuścił wzrok i spojrzał na swoje papiery.

- A więc główny problem jest taki, jak ja prawdopodobnie to widzę, że nic nie wiemy o Londynie, tylko tyle że spotyka się z jakimś

guru, bo wtedy stanął w miejscu. Może znał plan i po prostu kręci, mówiąc, że to wszystko przez jego głowę.

- Jestem pewien, że znał plan.

Westbrook rozsiadł się i odpowiedział uśmiechem.

- Nie, on o niczym nie wiedział, Twan, sprawdzałem tylko, czy w końcu wykażesz trochę ulicznego sprytu. Jeszcze nie jesteś na takim poziomie, bracie. Jeszcze dużo ci brakuje.

Peebles podniósł oczy ze zdziwieniem.

- Ale powiedziałaś...

- Taak, taak, wiem, co powiedziałem, Twan, słyszę, co mówię, w porządku? - Pochylił się. - Oglądałem telewizję i czytałem gazety, wyłapywałem wiadomości o tym gościu, Webie Londonie, Twan. Tak jak mówisz, ten facet jest cholernym bohaterem, postrzelili go i tak dalej.

- Ja też to śledziłem - powiedział Peebles. - I nie spotkałem się z niczym, co by mnie przekonało, że London nie miał pojęcia o zasadzce. Właściwie to wdowa po jednym z zabitych myśli, że znał plan. A widziałeś, co się stało przed jego domem? Facet wyciągnął pistolet i strzelał do dziennikarzy. To wariat.

- Nie, strzelił w powietrze. Gdyby taki człowiek chciał kogoś zabić, na pewno byłyby trupy. Ten facet zna się na broni, to od razu widać.

Peebles nie poddawał się.

- Myślę, że nie wyszedł na to podwórko dlatego, że wiedział o karabinach. Upadł na chwilę przed tym, jak zaczęły strzelać. Musiał wiedzieć.

- Na pewno, Twan? Musiał wiedzieć?

Peebles skinął głową.

- Chciałeś poznać moją opinię opartą na faktach, oto ona.

- Cóż, pozwól, że dorzucę coś jeszcze do twojej cholernej opinii. Czy ktoś kiedyś do ciebie strzelał?

Peebles popatrzył na Macy'ego, a potem znów na Westbrooka.

- Nie. Na szczęście.

- Taak, możesz mówić o diabelnym szczęściu. Cóż, widzisz, do mnie strzelano. Do ciebie też, zgadza się, Mace?

Macy, który przysłuchiwał się tej dyskusji, przytaknął ruchem głowy i schował pistolet.

- Widzisz, ludzie nie lubią, jak ktoś do nich strzela, Twan. To po prostu nie byłoby naturalne, gdyby ktoś lubił coś takiego jak rozwalanie mu głowy. Gdyby London wiedział o zasadzce, mógłby zrobić dużo gówna, żeby nie iść na tę akcję. Mógł postrzelić się w stopę na ćwiczeniach, zjeść coś niedobrego i wyładować w szpitalu, wpaść na ścianę i złamać sobie rękę, dużo najróżniejszych rzeczy, tak że jego dupa nie

zbliżyłaby się nawet do tego miejsca. Ale był tam i zasuwał razem z resztą swojej ekipy. Potem nie mógł zasuwać dalej, a jego grupę rozstrzelano. No więc co zrobiłby facet, który dał cynk i był na tyle głupi, żeby iść na akcję? Obijałby się, może strzelił parę razy w okna, a potem poszedł do psychiatry i powiedział, że pomieszało mu się w głowie. Ale winny facet nie zrobiłby jednego: nie wszedłby na to podwórko i nie paprałby się z tymi karabinami maszynowymi. Poleżałby sobie miło i bezpiecznie i odebrał pieniądze za wrobienie wszystkich. A ten facet poszedł tam i zrobił coś, do czego nawet mnie nie starczyłoby jaj - Westbrook przerwał. - I zrobił coś jeszcze tak samo szalonego.

- Co takiego?

Westbrook pokręcił głową i uznał, że Peebles powinien być naprawdę wdzięczny losowi za swoją sporą smykałkę do interesów, bo z pewnością brakowało mu wszystkiego innego.

- Jeśli cały świat nie kłamie na potęgę, to ten człowiek uratował Kevina. Wykluczone, żeby facet, który sprzedawał kumpli, zawraca! sobie głowę czymś takim.

Peebles opadł na oparcie krzesła i wydawał się całkowicie pokonany.

- Ale jeśli masz rację i on nie brał w tym udziału, to nie wie, gdzie jest Kevin.

- Racja. Nie wie. Właściwie to i ja nic nie wiem, oprócz gówna bez znaczenia, prawda? - Wypowiadając ostatnie zdanie, wpatrywał się surowo w Peeblesa. - I nie mam większych widoków na odzyskanie Kevina niż tydzień temu, zgadza się? Cieszysz się z tego, Twan? Bo ja nie.

- A więc co zrobimy? - zapytał Peebles.

- Będziemy dalej zbierać informacje o Londynie, dowiemy się, do jakiego psychiatry chodzi. I poczekamy. Ludzie, którzy zabrali Kevina, nie zrobili tego bez powodu. Przyjdą do nas i wtedy zobaczymy, co się stanie. Ale coś ci powiem: kiedy odkryję, że jacyś goście sprzedali mnie i Kevina, kochany, to mogą uciec na biegun południowy, a ja i tak ich znajdę i nakarmię nimi polarne niedźwiedzie, ich rączkami i nóżkami, a jeśli ci faceci myślą, że pieprzę, to pozostaje im tylko nadzieja, że nigdy tego nie sprawdzą.

Pomimo przenikliwego chłodu panującego w pomieszczeniu kropelka potu spłynęła po czole Peeblesa, kiedy Westbrook zakończył zebranie.

Powietrze nie było tutaj świeże, a zapachy czasami nieprzyjemne, ale przynajmniej było mu ciepło. Dobrze też, że dawali mu do jedzenia wszystko, co chciał. I mógł czytać książki, chociaż światło było dosyć słabe, ale przeprosili za to. I nawet dostał szkicowniki i parę ołówków z węgla drzewnego, kiedy o nie poprosił. Dzięki temu łatwiej radził sobie z uwięzieniem. Kiedy nie układało mu się w życiu, zawsze znajdował pociechę w swoich rysunkach. A jednak mimo życzliwości wszystkich za każdym razem, kiedy ktoś wchodził do pokoju, był przekonany, że za chwilę umrze, bo po co by go tutaj przywieźli, jeśli nie po to, żeby go zabić?

Kevin Westbrook rozejrzał się po pokoju, o wiele większym niż ten, który miał w domu, a który jednak wydawał mu się coraz ciasniejszy, jakby się kurczył, albo jakby on sam rósł. Nie miał pojęcia, od jak dawna tu jest. Odkrył, że bez wschodów i zachodów słońca określenie czasu jest niemożliwe. Nie krzyczał już. Raz tego spróbował i tamten mężczyzna przyszedł i powiedział, żeby tego nie robił. Powiedział to bardzo grzecznie i bez groźby w głosie, jakby chłopiec po prostu nadepnął na zadbaną rabatkę. A jednak Kevin czuł, że mężczyzna by go zabił, gdyby znów wrzasnął. Ci o łagodnym głosie zawsze byli najbardziej niebezpieczni.

Przez cały czas słyszał brzęczenie, a także szum i odgłosy płynącej w pobliżu wody. Prawdopodobnie zagłuszyłyby to wszelki hałas, jakiego mógł narobić, ale też bardzo go drażniło i przerywało mu sen. Za to też przeprosili. Kevin pomyślał, że są o wiele grzeczniejsi, niż powinni być porywacze.

Szukał sposobów ucieczki, jednak pokój miał tylko jedne drzwi, zamknięte na klucz. A więc czytał książki i rysował. Jadł, pił i czekał, aż ktoś przyjdzie i go zabije.

Szkicując kolejny obrazek zrozumiwały tylko dla niego, wzdrygnął się na dźwięk kroków. Gdy klucz szczęknął w zamku, zastanawiał się, czy nadszedł jego czas.

Wszedł ten sam mężczyzna, który powiedział mu, żeby nie wrzeszczał. Kevin widział go już wcześniej, ale nie znał jego nazwiska.

Chciał wiedzieć, czy Kevinowi jest wygodnie, czy jeszcze czegoś potrzebuje.

- Nie. Traktujecie mnie naprawdę dobrze. Ale moja babcia będzie się o mnie martwić. Może powinienem już wrócić do domu.

- Nie teraz - rzucił mężczyzna. Usadowił się na dużym stole pośrodku pokoju i popatrzył na małe łóżko w rogu.

- Dobrze sypiasz?

- Jest w porządku.

Wtedy mężczyzna jeszcze raz chciał się dowiedzieć, co dokładnie się działo, kiedy Kevin przebywał w uliczce sam z człowiekiem, którego chwycił, dał mu notatkę i wysłał go z nią w drogę.

- Nic mu nie powiedziałem, bo nie miałem co. - Ton Kevina był bardziej niepokorny, niżby chciał, ale mężczyzna już wcześniej zadawał mu te pytania, a on odpowiadał mu tak samo, i zaczynało go to nużyć.

- Pomyśl - poprosił spokojnie mężczyzna. - To wyszkolony docho-dzeniowiec, mógł wyłapać coś, co powiedziałaś, chociaż tobie nie wy-dawało się to ważne. Jesteś bystrym chłopcem, przypomnisz sobie.

Kevin trzymał kawałek ołówka w ręku i ścisnął go, aż strzyknęły stawy.

- Poszedłem uliczką, takjak pan mi powiedział. Zrobiłem to, co pan mi powiedział, i to wszystko. Mówił pan, że on nie będzie się ruszać. Wszystko będzie rozpaprane i tak dalej. Cóż, tak się nie stało. Choler-nie mnie przestraszył. Wdzi pan, w tym się pan pomylił.

Mężczyzna wyciągnął rękę i Kevin się cofnął, ale nieznajomy tylko poklepał go łagodnie po ramieniu.

- Nie mówiliśmy ci, żebyś podchodził do tego podwórka, prawda? Powiedzieliśmy, żebyś po prostu siedział spokojnie, a my przyjdziemy i cię zabierzemy. Widzisz, wcześniej wszystko doskonale zgraliśmy w czasie. - Mężczyzna zaśmiał się. - Naprawdę musieliśmy się przez ciebie mocno namęczyć, synu.

Kevin poczuł, że dłoń zaciska się na jego barku, i postanowił zmie-nić temat, bo facet wyglądał na zdenerwowanego, chociaż się śmiał.

- Dlaczego mieliście ze sobą tego drugiego chłopaka?

- Po prostu miał dla nas coś zrobić, takjak ty. Zarobił ładną sumkę, takjak ty. Właściwie nie miałeś go zobaczyć, ale musieliśmy zmienić plan, bo nie było cię tam, gdzie miałeś być. Kurczę, ledwie się wyrobi-liśmy. - Dłoń mężczyzny zacisnęła się jeszcze mocniej na ramieniu chłopca.

- Więc już go puściliście?

- Opowiadaj dalej, Kevin, ten chłopiec nie powinien cię intereso-wać. Powiedz mi, dlaczego to zrobiłeś?

Jak Kevin ma to wyjaśnić? Nie miał pojęcia, co się stanie, kiedy zrobi to, co mu kazali. Potem karabiny zaczęły strzelać i poczuł strach, przerażenie, ale zarazem ciekawość. Nieoczekiwanie ze zgrozą zobaczył, co nawyprawiał; jakby, powiedzmy, spuścił kamień z mostu na autostradę, zamierzając tylko wystraszyć kierowców, a potem zobaczył, że spowodował karambol z udziałem pięćdziesięciu samochodów i śmierć wielu osób. A więc kiedy powinien był zmykać jak szalony, poszedł dalej uliczką, żeby sprawdzić, co zrobił. I karabiny, zamiast skłonić go do ucieczki, w jakiś sposób go przyciągnęły, jak okropne i fascynujące zarazem martwe ciało.

- I wtedy ten facet wrzasnął do mnie - powiedział teraz porywaczowi. Boże, ależ go to przeraziło. Ten głos dobywający się spośród wszystkich tych ciał, mówiący mu, żeby się cofnął, nie podchodził, ostrzegający go!

Kevin popatrzył na mężczyznę, gdy już opisał to wszystko. Zrobił to, co mu powiedzieli, z jednego z najstarszych powodów na świecie - dla pieniędzy, na tyle dużych, że mógłby pomóc swojej babci i Jerome'owi przenieść się do ładniejszego domu. Wystarczająco dużych, by Kevin uwierzył, że jest przydatny, że troszczy się o innych, a nie stale inni troszczą się o niego. Jego babcia i Jerome ostrzegali go przed przyjmowaniem takich ofert od ludzi, którzy przeczesywali okolicę w poszukiwaniu chętnych do robienia rzeczy, których nie powinni robić. Wielu kolegów Kevina tak nabrano i teraz byli oni martwi, okaleczeni, uwięzieni albo rozczarowani na całe życie. A on dołączył do tej kupki nieszczęścia w wieku zaledwie dziesięciu lat.

- I wtedy usłyszałeś, jak pozostali nadchodzą uliczką - podpowiedział miękko mężczyzna.

Kevin skinął głową, wracając myślą do tamtej chwili. Był taki przestraszony. Karabiny terkotały przed nim, mężczyźni z równie groźną bronią odcięli mu jedyną drogę ucieczki. Pozostawał tylko bieg przez podwórko. Przynajmniej tak mu się zdawało. Ten mężczyzna powstrzymał go; uratował mu życie. Nawet go nie znał, a pomógł mu. To było nowe doświadczenie dla Kevina.

- Jak się nazywał ten człowiek, bo znów zapomniałem? - zapytał.

- Web London - odparł mężczyzna. - To z tym facetem rozmawiałeś. To on mnie naprawdę interesuje.

- Powiedziałem mu, że nic nie zrobiłem - wyjaśnił znów Kevin, z nadzieją, że gdy mężczyzna usłyszy jeszcze raz tę samą odpowiedź, wyjdzie i pozwoli mu wrócić do rysowania. - Powiedział mi, że gdybym wszedł na podwórko, też bym zginął. Pokazał mi swoją zranioną rękę. Zacząłem biec w drugą stronę i on powiedział, że jeśli się nie opanuję,

to tam też mnie zabiją. To wtedy dał mi swoją czapkę i wiadomość. Wystrzelił racę i kazał mi iść. I tak zrobiłem.

- Dobrze, że przygotowaliśmy wcześniej drugiego chłopca, żeby cię zastąpił. Miałeś dużo przeżyć.

Kevinowi jakoś się nie wydawało, żeby to było dobre dla tego drugiego dzieciaka.

- I London naprawdę wrócił na to podwórko?

Chłopiec kiwnął twierdząco głową.

- Raz się obejrzałem. Miał taką wielką spluwę. Wrócił tam i słyszałem, jak strzela. Szedłem szybko. - Tak, szedł szybko. Szedł szybko, aż w końcu jacyś faceci wyłonili się z klatki schodowej i go zgarnęli. Zobaczył przelotnie drugiego chłopca, mniej więcej w jego wieku i o podobnej sylwetce, którego nie znał. Wydawał się tak samo przestraszony jak Kevin. Jeden z mężczyzn przeczytał szybko notatkę, zapytał go, co się stało. I wtedy dali czapkę i wiadomość drugiemu chłopcu i wysłali go zamiast Kevina, żeby ją doręczył.

- Dlaczego przyprowadziliście tego drugiego chłopaka? - dociekał Kevin, ale mężczyzna nie odpowiedział. - Czemu to jego wysłaliście z wiadomością, a nie mnie?

Mężczyzna zignorował pytanie.

- Czy London wydawał ci się chociaż trochę skołowany? Jakby nie myślał jasno?

- Powiedział mi, co mam robić. Z tego, co widziałem, myślał całkiem dobrze.

Mężczyzna zaczerpnął głęboko powietrza i pokręcił głową, najwyraźniej zastanawiając się nad tym. Potem uśmiechnął się do Kevina.

- Nigdy nie zrozumiesz, jakie to niezwykle, Kevin. Web London musi być kimś naprawdę wyjątkowym, skoro zrobił coś takiego.

- Nie powiedzieliście mi wszystkiego o tym, co się miało stać.

Mężczyzna nadal się uśmiechał.

- Dlatego, że nie było takiej potrzeby, Kevin.

- Gdzie jest ten drugi chłopiec? Dlaczego go wtedy przyprowadziliście? - zapytał znów.

- Myśli się o każdej możliwej sytuacji, a wtedy w większości przypadków sprawy układają się dobrze.

- Czy tamten chłopiec nie żyje?

Mężczyzna wstał.

- Daj nam znać, jeśli będziesz jeszcze czegoś potrzebował. Postaramy się o ciebie dbać.

Kevin zdecydował się na groźbę.

- Mój brat mnie szuka. - Nie powiedział tego wcześniej, ale myślał

o tym w każdej minucie. Wszyscy znali brata Kevina. A prawie wszyscy, których znał, bali się go. Kevin modlił się, żeby ten mężczyzna też się go bał. Poczł przygnębieńie, kiedy wyczytał z twarzy porywacza, że tak nie jest. Może ten człowiek nie bał się niczego.

- Po prostu odpoczywaj, Kevin. - Nieznajomy popatrzył na kilka jego rysunków. - Wiesz, masz duży talent. Kto wie, może nie musiałeś skończyć tak jak twój brat. - Mężczyzna zamknął za sobą drzwi na klucz.

Kevin próbował powstrzymać łzy, ale po prostu popłynęły one ciurkiem po jego policzkach i skapywały na koc. Ocierał je, ale ciągle płynęły. Kevin ułożył się w kącie i płakał tak mocno, że tracił oddech. Potem naciągnął koc na głowę i siedział tak w ciemnościach.

Web jechał crown vikiem ulicą, przy której kiedyś mieszkała jego matka. Potencjał tego podupadłego osiedla nigdy nie został wykorzystany i jego żywotność dawno już się wyczerpała. Tereny te, trzydzieści lat wcześniej uważane za wiejskie, znajdowały się teraz w samym środku eleganckich przedmieść w wyniku nieustannego rozrostu aglomeracji. Dojeżdżający stamtąd do pracy w mieście wstawali o czwartej, żeby dotrzeć do biura na ósmą. Istniało duże prawdopodobieństwo, że za pięć lat ktoś wykupi wszystkie te rozlatujące się nieruchomości, zburzy je buldożerem i nowe domy kosztujące zbyt dużo wyrosną na kurzu po starych, poświęconych za zbyt małą cenę.

Web wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Charlotte London, zanim umarła, była przed śmiercią jedną z najstarszych mieszkających tu osób, i jej dom, mimo wysiłków Weba, rozpadał się prawie tak samo jak pozostałe. Kilka rdzewiejących kawałków drutu ratowało ogrodzenie ze stalowej siatki przed zawaleniem. Metalowe daszki obwisły pod ciężarem wody i zatrzymywały brud, którego obecnie nie dawało się już usunąć. Samotny klon rosnący przed wejściem obumarł, jego brązowe ubiegłoroczne liście zdawały się wygrywać smutną melodię, tańcząc na wietrze. Trawa nie była koszona od dłuższego czasu, bo Web się tam nie zjawiał i nie używał kosiarki. Całymi latami walczył dzielnie o zachowanie posesji w dawnym stanie, ale w końcu zrezygnował, bo jego matka mało interesowała się wyglądem domu i podwórka. Teraz nie żyła, Web przypuszczał, że pewnego dnia sprzeda dom; na razie po prostu nie chciał się tym zajmować, a może nigdy by tak nie postąpił.

Wszedł do środka i rozejrzał się. Przyjechał tu zaraz po jej śmierci. W domu panował wtedy bałagan, dokładnie taki, jaki zostawiła matka. Spędził cały dzień na sprzątanii i w końcu wyniósł dziesięć ośmiolitrowych worków ze śmieciami na krawężnik. Potem płacił za prąd, wodę i kanalizację. Nie dlatego, że miał w planach zamieszkanie tutaj, po prostu coś nie pozwalało mu przestać. Teraz oglądał pomieszczenia, czyste, jeśli nie liczyć kurzu i paru pajęczyn. Usiadł, spojrzął na zegarek i włączył telewizor właśnie wtedy, gdy opera mydlana została przerwana przez specjalne wydanie wiadomości. To była ta obiecana

konferencja prasowa FBI. Web podbiegł do odbiornika, wyregulował obraz i dźwięk.

Wytrzeszczył oczy, gdy Percy Bates pokazał się na podium. Gdzie, do diabła, jest Buck Winters? - myślał. Słuchał, jak Bates opowiada o błyskotliwej karierze Weba w FBI, pokazano jakiś budujący film, na którym przyjmował różne nagrody, medale i pochwały od szefów Biura i raz nawet od samego prezydenta. Bates mówił o strasznej sytuacji na podwórku oraz o męstwie i silnym charakterze Weba, który zrobił to, co należało, w obliczu tak potężnego przeciwnika.

Na jednym z ujęć Web leżał w szpitalu z obandażowaną połową twarzy. Skłoniło go to do wyciągnięcia ręki w górę i dotknięcia starej rany. Czuł się dumny i zarazem zakłopotany. Nagle posunięcia Batesa wydały mu się niewłaściwe. Taka „reklamówka” nikogo nie przekona. Zostanie po prostu uznana za przejaw obronnego nastawienia Weba. Dziennikarze go ukrzyżują, prawdopodobnie oskarżą Biuro, że osłaniając jednego ze swoich, chroni własny tyłek. I może w pewien sposób tak właśnie było. Zajęczał cicho. Nie spodziewał się, że może być jeszcze gorzej, a jednak właśnie się o tym przekonał. Wyłączył telewizor i siedział z zamkniętymi oczami. Czuł dłoń na swoim ramieniu, chociaż w pokoju nikogo nie było. Chyba zawsze mu się to przytrafiało, kiedy tu przyjeżdżał; wszędzie towarzyszył mu duch matki.

Charlotte London aż do śmierci nosiła sięgające ramion włosy, które z biegiem lat traciły wspaniały, seksowny kolor blond, aż stały się eleganczko srebrzyste. Na jej skórze nie pojawiały się zmarszczki, bo miała alergię na słońce i zakrywała się przed nim przez całe życie. A jej szyja była długa i gładka, z napiętymi mięśniami. Web zastanawiał się, ilu mężczyzn uwiodła ta delikatna, obezwładniająca linia. Kiedy był nastolatkiem, miał sny o swojej młodej, seksownej matce, których do dziś się wstydził.

Mimo że piła i niezbyt zdrowo się odżywiła, nie przytyła ani o gram przez czterdzieści lat i utrzymywała mniej więcej stałą wagę. Kiedy naprawdę wzięła się w garść, wyglądała oszałamiająco w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat. Niestety, wysiadła jej wątroba. Reszta mogła działać trochę dłużej.

Natura obdarzyła ją urodą, ale to jej intelekt przyciągał większość ludzi. A jednak rozmowy matki i syna były dziwaczne. Nie oglądała telewizji.

- Słusznie nazywają to skrzynką dla idiotów - mówiła często. - Wolę czytać Camusa. Albo Goethego. Albo Jeana Geneta. Genet sprawia, że śmieję się i płaczę jednocześnie, i naprawdę nie wiem z jakiego powodu, bo prawdopodobnie nie ma niczego zabawnego u Geneta. Interesowała go nikczemność. Deprawacja. Tyle cierpienia. Głównie wątki autobiograficzne.

- Zgadza się. Pewnie, Genet, Goethe - powiedział jej Web przed

kilku laty. - Gliniarze tak jak ja, w pewnym sensie. - Jego matka nigdy nie rozumiała tego żartu.

- Ale potrafią być też cudownie nieodparte... nawet erotyczne - dodała.

- Co może takie być? - zapytał.

- Nikczemność i deprawacja.

Web zaczerpnął wtedy głęboko powietrza. Miał ochotę powiedzieć jej, że widział swego czasu przykłady nikczemności i deprawacji, które sprawiłyby, że drogi Jean Genet zwymiotowałby swój lunch. Miał ochotę uświadomić swojej matce, że tego typu zło nie powinno stanowić tematu dowcipów, bo pewnego dnia ktoś na wskroś nikczemny i zdeprawowany może pojawić się na progu jej domu i brutalnie zakończyć jej życie. Milczał jednak. Jego matka często działała na niego w taki sposób.

Charlotte London była cudownym dzieckiem, zdumiewała ludzi swoją rozległą wiedzą. Wstąpiła do College'u Amherst jako czternastolatka i uzyskała tytuł magistra literatury amerykańskiej, plasując się w czołówce swojego rocznika. Mówiła płynnie czterema językami. Po ukończeniu nauki Charlotte prawie przez rok podróżowała sama po świecie. Web wiedział o tym, bo oglądał zdjęcia i czytał jej dzienniki. A działo się to w czasach, kiedy młode kobiety nie robiły takich rzeczy. Napisała nawet książkę o swoich przygodach, którą nadal wznawiano. Nosiła tytuł *Londyńskie czasy*, London to było jej panieńskie nazwisko i wróciła do niego, gdy zmarł jej drugi mąż. A po rozwodzie z pierwszym mężem zrezygnowała z nazwiska Sullivan. Web nigdy nie nosił nazwiska ojczyma. Jego matka nie pozwoliłaby na to. Taka już po prostu była. I po dziś dzień nie wiedział, dlaczego nadano mu takie osobliwe imię, Web z tylko jednym „b”. Badał szczegółowo drzewo genealogiczne ze strony matki i nie znalazł tam odpowiedzi. Ona zaś stanowczo nie zgadzała się powiedzieć Webowi, kto go tak nazwał.

Kiedy był mały, dzieliła się z nim wieloma wspomnieniami o tym, co jako nastolatka widziała i robiła podczas swoich podróży, a on uważał jej opowieści za najcudowniejsze. I chciał jeździć z nią na wycieczki ot tak, po prostu i pisać własny dziennik, i robić zdjęcia swojej pięknej matce, miłośniczce przygód, na tle krystalicznie czystej wody we Włoszech albo góry z ośnieżonym szczytem w Szwajcarii, albo w ulicznej kafejce w Paryżu. Ładna matka i energiczny syn, którzy szturmem zdobędą świat, zdominowali jego chłopięce myśli. Ale potem wyszła za ojczyma Weba i te marzenia się rozwiały.

Otworzył oczy i wstał. Najpierw poszedł do piwnicy. Gruba warstwa kurzu pokrywała wszystko i Web nie znalazł żadnego przedmiotu, który choć trochę przypominałby to, czego szukał. Poszedł z powrotem na górę, a potem do kuchni na tyłach domu. Otworzył drugie drzwi wej-

ściowe i popatrzył na mały garaż, gdzie znajdował się między innymi stareńki plymouth duster jego matki. Web słyszał krzyki bawiących się w pobliżu dzieci. Zamknął oczy i oparł twarz o siatkę w drzwiach, a dźwięki wniknęły głębiej w jego umysł. W myślach prawie widział, jak rzucana jest futbolówka, jak rozbrykane nogi za nią pędzą, jak bardzo młody Web wierzy, że jeśli nie złapie tej piłki, skończy się jego życie. Wciągał nosem powietrze, zapach dymu z drewna mieszał się z rozkoszną wonią świeżo skoszonej jesiennej trawy. Wydawało się, że nie ma niczego lepszego, a był to tylko zapach, nigdy nie utrzymujący się zbyt długo. A potem niemal natychmiast znów pogrzyżył się w gównie. Web odkrył, że gówno nigdy nie było tymczasowe.

W jego wizji młody Web biegł coraz szybciej. Robiło się ciemno i wiedział, że matka niedługo go zawoła. Nie po to, żeby zjadł, tylko żeby pobiegł do sąsiadów i skołował papierosy dla swojego ojczyma. Albo żeby skoczył do osiedlowego Foodwaya z paroma dolarami i smutną historyjką dla starego Steina, który prowadził ten sklep z większą dobrocią serca, niż powinien. Młody Web stale biegał do Foodwaya. Zawsze śpiewał pewną smutną irlandzką piosenkę, której słów nauczyła go matka. Web pytał ją, gdzie się jej nauczyła. Podobnie jak w przypadku jego imienia, nigdy mu nie odpowiedziała.

Web żywo przypominał sobie, jak noszący wielkie okulary pan Stein w starej wełnianej kamizelce i czystym białym fartuchu kucał, a potem miłosiernie przyjmował zmięte jednodolarowe banknoty od „Webbiego” Londona, jak lubił nazywać Weba. Potem pomagał mu wybrać jedzenie na kolację, a nawet na śniadanie. Produkty oczywiście zawsze kosztowały o wiele więcej niż dwa dolary, a jednak Stein nigdy ani słowem nie wspominał o cenach. Nie zachowywał jednak takiej powściągliwości w innych sprawach.

- Powiedz swojej matce, żeby tyle nie piła! - wołał za Webem, kiedy ten ruszał pędem do domu, niosąc dwie torby wypchane artykułami spożywczymi. - I powiedz temu jej mężowi z piekła rodem, że Bóg pokarze go za to, co zrobił, o ile ludzka ręka nie uczyni tego wcześniej. Gdyby tak Bóg pozwolił mi na ten zaszczyt. Modlę się o to co wieczór, Webbie. Powiedz jej to. I jemu też! - Stary Stein był zakochany w matce Weba, tak jak prawie wszyscy mężczyźni w okolicy, żonaci i wolni. Właściwie wydawało się, że jedyny facet, którego Charlotte London nie zachwycała, był jej mężem.

Web wszedł na piętro i wpatrywał się w opuszczane schody na strych, teraz podciągnięte pod sufit na środku korytarza. Naturalnie to tam powinien rozpocząć swoje poszukiwania, ale nie chciał wchodzić na górę. W końcu chwycił linę, zniżył schody i wdrapał się po nich. Włączył światło i zaraz omiótł wzrokiem wszystkie ciemne kąty. Głęboko

odetchnął i powiedział sobie, że tchórze z głupawymi uśmiezkami rzadko osiągną cokolwiek w życiu, a on jest wielkim, odważnym szturmowcem z HRT z naładowaną dziewiątką w kaburze. Wszedł na strych i przez godzinę przejrzał więcej rzeczy opowiadających historię jego życia, niż naprawdę miał ochotę.

Leżały tam coroczne szkolne albumy ze zdjęciami speszonych chłopców i dziewcząt, którzy usiłowali wyglądać na starszych, niż byli, a przecież minęło tylko kilka krótkich lat, i rozpaczliwie próbowali wywołać odwrotny efekt. Spędził też trochę czasu na odcyfrowywaniu bazgrołów z albumów. Jego koledzy i koleżanki z klasy przedstawiali tam swoje ambitne plany na przyszłość, których nikomu nie udało się urzeczywistnić, z tego co wiedział Web, nie wyłączając jego. Natrafił na pudło ze swoją starą marynarką reprezentanta szkoły i swoim futbolowym kaskiem. Kiedyś umiał sobie przypomnieć, skąd się wzięła każda rysa na tym kasku. Teraz nie pamiętał nawet numeru swojej koszulki. Na strychu leżały stare i bezużyteczne podręczniki szkolne, a także pamiętniki, które nie zawierały niczego oprócz głupich obrazków narysowanych przez znudzone dłonie. Jego znudzone dłonie.

W jednym rogu stał wieszak z ubraniami z ostatnich czterech dekad, miejsce gromadzenia się kurzu, pleśni i dziur wyżartych przez mole. Zobaczył tam też stare płyty pogięte w gorącu i w zimnie; pudełka z kartami do wymiany, baseballowymi i futbolowymi, które miałyby teraz znaczną wartość, gdyby Web nie używał ich jako celów, grając w rzutki i strzelając śrutem; części roweru, który należał do niego, jak przypominał sobie mgliście, oraz pół tuzina latarek z przepalonymi żaróweczkami. Zobaczył też glinianą figurkę, którą wyrzeźbiła jego matka, i to całkiem dobrze; ale jego ojczym tak ją poobijał, że postać nie tylko była ślepa, ale też brakowało jej uszu i nosa.

Wszystko to stanowiło smutny pomnik z pozoru całkiem zwyczajnej rodziny, w rzeczywistości zaś pod pewnymi względami wcale nie takiej przeciętnej.

Web zastanawiał się już, czy nie zrezygnować z poszukiwań, kiedy znalazł to, czego szukał.

Pudełko leżało pod zbiorom książek jego matki z czasów college'u, dzieł dawno zmarłych filozofów, pisarzy i myślicieli. Web szybko przejrzał jego zawartość. Na początek wystarczy. Byłby słabym detektywem, gdyby do niczego go to nie doprowadziło. Dziwił się, że nigdy tego nie zauważył, dorastając w tym domu. Ale wtedy tego nie szukał.

Gwałtownie się odwrócił i spojrzał w najdalszy ciemny kąt. Prawie mógł przysiąc, że coś się tam poruszyło. Jego dłoń powoli przesuwała się, sięgając po pistolet. Nienawidził tego strychu. Nienawidził go! Ajednak tak naprawdę nie wiedział dlaczego. To był tylko cholerny strych.

Zaniósł pudełko do swojego samochodu, a potem, jadąc w kierunku motelu, zadzwonił z telefonu komórkowego do Percy'ego Batesa.

- Dobra robota, Perce. Jak wszystko może się zmienić w ciągu jednego dnia. Ale co się stało z drogiem Buckym?

- Winters wycofał się w ostatniej chwili.

- Pewnie. Na wypadek, gdybym runął w przepaść. Więc zostawił cię, żebyś to zrobił za niego.

- Właściwie to zgłosiłem się na ochotnika, kiedy zaczął się wykręcać.

- Dobry z ciebie facet, Perce, ale nigdy nie zajdziesz wyżej w Biurze, jeśli ciągle będziesz robił to, co należy.

- Jakby mnie to interesowało.

- Nastąpił jakiś przełom w śledztwie?

- Wiemy, skąd się wzięły karabiny. Ukradziono je z jednostki wojskowej w Wirginii. Dwa lata temu. Wiele to pomoże. Ale będziemy badać wszystkie tropy, dopóki się nie urwą.

- Jest jakiś ślad Kevina Westbrooka?

- Żadnego. I nie zgłosili się nowi świadkowie. Najwyraźniej wszyscy tam ogłuchli i oniemieli.

- Pewnie rozmawialiście z ludźmi, z którymi Kevin mieszkał. Coś to dało?

- Niewiele. Nie widzieli go. Jak już mówiłem, unikał domu.

Web starannie dobierał słowa.

- A więc nikt nie kocha dzieciaka? Nie ma jakiejś staruszki, babci w okolicy?

- Jest staruszka. Sądzymy, że to macocha matki Kevina czy ktoś taki. Ona też nie do końca potrafiła wyjaśnić to pokrewieństwo. Pomyślałbyś, że całkiem łatwo coś takiego określić w taki czy inny sposób, ale mówimy tutaj o rozbudowanych rodzinach. Ojcowie w więzieniach, mamy odeszły, bracia nie żyją, siostry to dziwki, niemowlaki podrzuca się każdemu, kto wydaje się choć trochę porządny, a to są zwykle starsi ludzie. Ta kobieta chyba naprawdę martwi się o chłopca, ale jest też przestraszona. Wszyscy są tam przestraszeni.

- Perce, czy widziałeś Kevina, zanim przepadł?

- Dlaczego pytasz?

- Próbuję ustalić, co się działo od chwili, kiedy widziałem go po raz ostatni, aż do jego zniknięcia.

- Ustalić, co się działo. Cholera, szkoda, że o tym nie pomyślałem - powiedział sarkastycznie Bates.

- Przestań, Perce. Nie chcę nadepnąć nikomu na odcisk, ale uratowałem temu chłopcu życie i chciałbym, żeby nadal żył.

- Web, wiesz, że prawdopodobieństwo pojawienia się gdzieś żywego dzieciaka jest cholernie małe. Ten, kto go zabrał, nie planował dla

niego przyjęcia niespodzianki w Chuck E. Cheese's. Przeszukaliśmy wszystkie miejsca, jakie nam przyszły do głowy. Wysłaliśmy jego dane do wszystkich sąsiednich stanów, a nawet na granicę kanadyjską i meksykańską. Nie będą przecież siedzieć w mieście z dzieciakiem.

- Ale jeśli pracował dla brata, może jest bezpieczny. To znaczy, rozumiem, że Wielki F to podły sukinsyn, ale żeby załatwić swojego młodszego brata... Daj spokój.

- Widziałem gorszych i ty też.

- Ale czy widziałeś Kevina?

- Nie, nie, nie widziałem dzieciaka na własne oczy. Zniknął, zanim dotarłem na miejsce. I co, jesteś zadowolony?

- Rozmawiałem z facetami z HRT, którzy się nim opiekowali. Powiedzieli, że przekazali go dwóm garniturom z FBI. -Web postanowił nie wspominać o stwierdzeniu Romano, że właściwie tylko jeden mężczyzna brał w tym aktywny udział, bo chciał usłyszeć opinię Batesa.

- Bez wątplenia będziesz zdumiony tym, że też z nimi rozmawiałem i dowiedziałem się tego samego.

- Nie potrafili sobie przypomnieć, jak się nazywali ci agenci. Udało wam się to ustalić?

- Gra się dopiero zaczyna.

Web porzucił teraz wszelkie pozory uprzejmości.

- Nie, naprawdę nie, Perce. Przez wiele lat robiłem to co ty. Wiem, jak załatwia się takie sprawy. Jeśli po tylu dniach nie możesz mi powiedzieć, kim były te garnitury, to znaczy, że to nie było FBI. To znaczy, że dwóch oszustów weszło na miejsce popełnienia przestępstwa, na twoje miejsce popełnienia przestępstwa, i wykradło bardzo ważnego świadka. Może mógłbym pomóc.

- To twoja teoria. A ja nie chcę ani nie potrzebuję twojej pomocy.

- Mówisz, że się mylę?

- Mówię, żebyś trzymał się z dala od mojego dochodzenia, do diabła! Potraktuj moje słowa poważnie.

- To była moja cholerna grupa!

- Rozumiem to, ale jeśli odkryję, że cokolwiek robisz, że zadajesz choć jedno pytanie, że badasz choć jeden ślad na własną rękę, dobiore ci się do tyłka. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy rozwiążę tę sprawę.

Web wyłączył telefon i po cichu skarcił się za bezsensowne zrażenie sobie ostatniego sojusznika, jakiego miał w Biurze. Był subtelny jak śmieciarka, ale Bates po prostu zdawał się budzić w ludziach napastliwość. I pomyśleć, że zadzwonił tylko po to, by podziękować facetowi za konferencję prasową!

Claire przeciągnęła się i powstrzymała ziewnięcie. Wstała za wcześnie, a poprzedniego wieczoru pracowała do późna; przyzwyczaiła się już do takiego trybu życia. Jako dziewiętnastolatka wyszła za sympatię ze szkoły średniej, została matką w wieku dwudziestu lat i rozwiodła się, kiedy miała lat dwadzieścia dwa. W ciągu następnych dziesięciu lat, dążąc do uzyskania dyplomów w dziedzinie medycyny i psychiatrii, poniosła zbyt wiele wyrzeczeń, by sobie je wszystkie przypomnieć. Jednak nie żałowała niczego, co dotyczyło jej córki, teraz studentki pierwszego roku. Maggie Daniels była zdrowa, bystra i zrównoważona. Jej ojciec nie chciał uczestniczyć w wychowaniu dziecka i dlatego nie miał też odegrać żadnej roli w jej dorosłości. Claire wiedziała, że decyzja należy do Maggie, ale ona nigdy nie pytała zbyt często o swojego tatę i świetnie się czuła w niepełnej rodzinie. Claire nigdy tak naprawdę nie wróciła do kręgów towarzyskich i w końcu doszła do wniosku, że jej życie wypełni praca.

Otworzyła teczkę i przejrzała swoje notatki. Web London zafascynowałby każdego badacza ludzkiej psychiki. Claire na podstawie nielicznych danych zgromadzonych przed jego bardzo nagłym wyjściem z jej gabinetu uznała, że stanowi on kalejdoskop osobistych problemów. Oczywiście sprawy z dzieciństwa, oszpeccenie w wieku dojrzałym, niebezpieczna praca, którą wykonywał i z której, jak się zdawało, czerpał tyle zadowolenia. Można by poświęcić całe życie zawodowe takiemu pacjentowi. Pukanie do drzwi przerwało tok jej myśli.

- Tak?

Drzwi się otworzyły i stanął w nich jeden z kolegów Claire.

- Może chciałabyś przyjść i coś zobaczyć.

- Co to takiego, Wayne? Jestem dosyć zajęta.

- Konferencja prasowa FBI. Web London. Widziałem parę dni temu, jak stąd wychodził. Doradzałaś mu, prawda?

Zmarszczyła brwi i nie odpowiedziała. Ale wstała i ruszyła za Wayne'em do recepcji, gdzie stał mały telewizor. Kilkoro innych psychiatrów i psychologów, którzy mieli tam gabinety, w tym Ed O'Bannon, zebrało się już i wpatrywało w ekran. Trwała przerwa na lunch i wyglądało na to, że nikt nie ma pacjenta. Parę osób coś zajadało.

W ciągu następnych mniej więcej dziesięciu minut Claire Daniels uzyskała znacznie bardziej pogłębiony obraz życia i kariery Weba Londona. Zauważyła też, że podniosła dłoń do ust, kiedy zobaczyła Weba w szpitalu, z obandażowaną większością twarzy i tułowia. Ten mężczyzna wiele przeszedł, więcej niż ktokolwiek powinien. I Claire czuła niewiarygodnie silną chęć udzielenia mu pomocy, mimo że w tak teatralny sposób zakończył ich sesję. Po konferencji prasowej, kiedy wszyscy zaczęli zmierzać z powrotem do swoich gabinetów, Claire zatrzymała O'Bannona.

- Ed, pamiętasz, jak mówiłam ci o tym, że spotkałam się z Webem Londonem, kiedy byłeś nieosiągalny?

- Pewnie, Claire. Właściwie jestem wdzięczny za to, co zrobiłaś. - Zniżył głos. - Wiem, że nie podkradasz mi pacjentów. Mogę ci ufać, czego nie powiedziałbym o innych tutaj.

- Cóż, doceniam to, Ed. Ale prawda jest taka, że Web szczególnie mnie zainteresował. I naprawdę dobrze się rozumieliśmy podczas naszej sesji. Chcę mu doradzać już stale - dodała bardzo stanowczo.

O'Bannon wydawał się zdumiony, pokręcił głową.

- Nie, Claire. Spotykałem się z Londonem już wcześniej, to twardy orzech do zgryzienia. Nigdy tak naprawdę nie skończyliśmy tego badań, ale wydaje się, że ma poważne problemy dotyczące więzi matka-syn.

- Rozumiem to wszystko, ale naprawdę chcę pracować nad jego przypadkiem.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale on jest moim pacjentem, a pewne znaczenie ma ciągłość leczenia, przede wszystkim spotkanie się z tym samym lekarzem.

Claire zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

- Czy możemy pozostawić decyzję Webowi?

- Słucham?

- Czy możesz do niego zadzwonić i pozwolić mu zdecydować, kogo woli?

O'Bannon wydawał się bardzo rozdrażniony.

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Naprawdę znakomicie nam szło, Ed, i myślę, że może w przypadku Weba inne spojrzenie przyniosłoby korzyści.

- Nie podoba mi się to, co sugerujesz, Claire. Mam wysokie kwalifikacje. Może o tym nie wiesz, ale służyłem w Wietnamie, gdzie zajmowałem się przypadkami syndromu wałki, szoku bitewnego, jeńcami wojennymi, którzy przeszli pranie mózgu, i odnosiłem duże sukcesy.

- Web nie jest w wojsku.

- HRT to cywilna agencja zmilitaryzowana niemal w najwyższym możliwym stopniu. Znam takich ludzi i mówię ich językiem. Myślę, że moje doświadczenie wyjątkowo pasuje do tego przypadku.

- Nie twierdę, że jest inaczej. Ale Web powiedział mi, że nie czuje się u ciebie całkiem swobodnie. A jak wiem, podzielasz mój pogląd, że najistotniejsze jest dobro pacjenta.

- Nie potrzebuję twoich wykładów o etyce zawodowej. - Przerwał na chwilę. - Ale powiedział, że... że nie całkiem swobodnie się u mnie czuje?

- Tak, ale myślę, że wynika to bardziej z faktu, że, jak słusznie zauważyłeś, to twardy orzech do zgryzienia. Nie wiem, może mnie też nie polubi, kiedy już zaczniemy leczenie. - Dotknęła ramienia O'Bannona. - Więc zadzwonisz do niego? Dzisiaj?

- Zadzwonię - obiecał niechętnie O'Bannon.

Web jechał samochodem, kiedy zadzwonił jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz. Był to numer w Wirginii, którego nie rozpoznawał.

- Halo? - zgłosił się ostrożnie.

- Web?

Głos brzmiał bardzo znajomo, ale pamięć go zawiodła.

- Mówi doktor O'Bannon.

Web mrugnął.

- Skąd pan ma ten numer?

- Dałeś mi go. Podczas naszej ostatniej sesji.

- Proszę posłuchać, myślałem, że...

- Web, rozmawiałem z Claire Daniels.

Web poczuł uderzenie gorąca.

- Powiedziała panu, że rozmawialiśmy?

- Tak. Ale oczywiście nie mówiła mi o czym. Rozumiem, że miałeś mały kryzys i że Claire próbowała mnie złapać, zanim z tobą porozmawiała. Tak naprawdę właśnie w tej sprawie dzwonię.

- Nie całkiem nadążam.

- Cóż, Claire powiedziała, że według niej naprawdę dobrze się rozumieście. Chyba myśli, że może u niej czułbyś się swobodniej. Ponieważ jesteś moim pacjentem, obaj musimy wyrazić zgodę na taką zmianę.

- Proszę posłuchać, doktorze O'Bannon...

- Web, chcę, żebyś wiedział, że w przeszłości z powodzeniem zajmowaliśmy się twoimi problemami i że moim zdaniem znów może nam się udać. Claire prawdopodobnie wyolbrzymiła trochę twoje wątplenie we mnie. Powinieneś też wiedzieć, że Claire nie ma takiego doświadczenia jak ja. Spotykam się z agentami FBI dłużej niż ona. Nie chciałem tego mówić, ale tak między nami twoja sytuacja ją przeraża. - Zamilkł, najwyraźniej czekając na odpowiedź Weba. - A więc wszystko gra, będziesz dalej się ze mną spotykał?

- Claire mówi prawdę.
 - Web, daj spokój!
 - Chcę chodzić do niej.
- ó'Bannon nie odzywał się przez chwilę.
- Jesteś pewien? - zapytał w końcu sucho.
 - Jestem pewien.
 - A więc poproszę Claire, żeby się z tobą skontaktowała. Mam nadzieję, że będziecie dobraną parą - dodał szorstko.

Na linii zapanowała cisza. Web jechał dalej. Minęły dwie minuty i telefon znów zadzwonił. Była to Claire Daniels.

- Chyba czujesz się jak ścigany uciekinier? - rzuciła rozbijającym tonem.

- Miło być tak popularnym.
- Lubię kończyć to, co zaczęłam, Web, nawet jeśli muszę zdenerwować kolegę.

- Claire, rozumiem to i powiedziałem O'Bannonowi, że się zgadzam, ale...

- Proszę, Web, myślę, że mogę ci pomóc. Przynajmniej chciałabym spróbować.

Zastanawiał się przez chwilę, wpatrując się w tekturowe pudełko znalezione na strychu. Jakie skarby zawiera?

- Czy znajdę cię pod numerem gabinetu?
- Będę tu do piątej.
- A potem?

Zatrzymał się na stacji benzynowej i zapisał numer telefonu komórkowego i domowego Claire. Powiedział, że oddzwoni do niej później, i rozłączył się. Wstukał cyfry do pamięci swojego telefonu, wrócił na szosę i próbował to wszystko przemyśleć. Nie podobało mu się, że tak bardzo chciała go przekonać, może za bardzo.

Pojechał z powrotem do motelu. Sprawdził, czy na domowej automatycznej sekretarce nagrane są jakieś wiadomości. Parę osób, które widziały konferencję prasową, zadzwoniło, żeby życzyć mu wszystkiego dobrego. Tyle samo głosów, których nie rozpoznawał, mówiło mu, że ktoś chce wałnąć go pięścią w tchórzliwą, pokierszowaną twarz. W pewnym momencie Webowi wydało się, że słyszy głos Julie Patterson i krzyki dzieciaków w tle, ale nie miał co do tego pewności. Jego numer z pewnością nie znajdował się na pierwszym miejscu w notesie tej kobiety.

Usiadł na podłodze, opierając się plecami o ścianę, i nagle zrobiło mu się tak żal Julie, że zaczął się trząść. Pewnie, jemu też było teraz ciężko, ale wiedział, że to minie. A ona będzie musiała przebijać się przez resztę życia z ciężarem utraconego męża i dziecka i wychowując

samotnie czwórkę dzieciaków. Wyszła cała z katastrofy, tak jak Web. A ci, którzy przetrwali, cierpieli najbardziej, bo mogli tylko się pozbiierać i po prostu żyć dalej.

Zadzwoił do niej. Odebrało dziecko. Był to najstarszy z rodzeństwa Lou junior, jedenastoletni, nowa głowa domu.

- Louie, czy jest mama? Mówi Web.

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Czy to przez ciebie zabili naszego tatę, Web?

- Nie, nie przeze mnie, Louie. Wiesz, że tak nie było. Ale dowiemy się, kto to zrobił. Idź po mamę, synu - dodał stanowczo.

Usłyszała, jak chłopak kładzie słuchawkę i odchodzi. Czekając, poczuł, że znów zaczyna drżeć, ponieważ zupełnie nie miał pojęcia, co powie tej kobiecie. Jego niepokój wzrósł, gdy dobiegł go odgłos kroków zbliżających się do telefonu, a potem ktoś podniósł słuchawkę, ale nic nie powiedział.

- Julie? - odezwał się w końcu.

- Czego chcesz, Web? - zapytała zmęczonym głosem. Paradoksalnie ten znużony ton zabolął Weba bardziej niż gniewne krzyki w kościele.

- Chciałem sprawdzić, czy mogę ci w jakiś sposób pomóc.

- Ani ty, ani nikt inny nie może tu pomóc w żaden sposób.

- Ktoś powinien z tobą posiedzieć. Niedobrze, że jesteś teraz sama.

- Moja siostra i matka przyjechały z Newark.

Web odetchnął. Cóż, dobrze się stało. Julie przynajmniej wydawała się spokojna, rozsądna.

- Dowiemy się, kto to zrobił, Julie. Nawet jeśli to zajmie resztę mojego życia. Chcę tylko, żebyś o tym wiedziała. Lou i pozostali byli dla mnie wszystkim.

- Rób to, co musisz, ale to ich nie wskrzesi, Web.

- Czy widziałaś dziś w telewizji konferencję prasową?

- Nie. I proszę, nie dzwoń więcej. - Odłożyła słuchawkę.

Web siedział w pokoju motelowym i trawił jej słowa. Nie oczekiwał od niej przeprosin za zmieszanie go z błotem parę dni wcześniej. To byłoby o wiele za dużo. Martwiło go jednak, że zbyła go jak natręta. „Proszę, nie dzwoń więcej”? Może pozostałe żony miały takie same odczucia. Ani Debbie, ani Cynde, ani żadna z pozostałych nie skontaktowała się z nim, żeby zapytać, co u niego słychać. Z drugiej strony, zdawał sobie sprawę, że poniosły o wiele większą stratę niż on. Straciły mężów. On tylko przyjaciół. Przypuszczał, że to ogromna różnica. Tylko że on w ogóle jej nie zauważał.

Pobiegł do sklepu samoobsługowego po drugiej stronie ulicy i kupił kubek kawy. Już wcześniej zaczął mżyć deszcz i temperatura spadła.

Początkowo piękny, ciepły dzień stał się teraz szary i mokry, czyli typowy dla tej części kraju, co jeszcze pogłębiło samobójczy nastrój Weba.

Wrócił do swojego pokoju, usiadł na podłodze i otworzył tekturowe pudełko. Dokumenty były zatęchłe, niektóre spleśniałe, a nieliczne zdjęcia pożółkłe i podarte. Jednak wszystkie te rzeczy przykuły jego uwagę, bo nigdy wcześniej ich nie widział. Częściowo dlatego, że nie wiedział, iż matka przechowuje przedmioty związane z jej pierwszym małżeństwem, ale też nigdy wcześniej ich nie szukał. Nie był pewien dlaczego. Może stosunek do ojczyzna stłumił wszelkie jego zainteresowanie „tatusiami”.

Ułożył zdjęcia w wachlarz na podłodze, a potem zaczął je oglądać. Jego ojciec, Harry Sullivan, był przystojnym mężczyzną, bardzo wysokim i barczystym. Miał faliste włosy, nażelowane, zaczesane do tyłu, patrzył śmiało z fotografii. Wyglądał jak gwiazdor filmowy z lat czterdziestych, młody i wyniosły, z figlarnym błyskiem w niebieskich oczach. Web rozumiał, dlaczego Harry Sullivan mógł być atrakcyjny dla młodej kobiety, naiwnej mimo swojej inteligencji i podróży po świecie. Zastanawiał się, jak jego ojciec wygląda teraz, po latach spędzonych w więzieniu, po dziesięcioleciach życia bez celu, jak zakładał.

Na innym zdjęciu Sullivan obejmował ramieniem wąską talię Charlotte. Ręka mężczyzny owinięła się wokół jej tułowia i jego palce spoczęły zaraz pod jej piersiami, może nawet ich dotykały. Wydawali się bardzo szczęśliwi. Prawdę mówiąc, Charlotte London w plisowanej spódniczce i z nonszalancką fryzurą sprawiała wrażenie piękniejszej, bardziej czarującej i bardziej podekscytowanej życiem niż kiedykolwiek we wspomnieniach Weba. Ale przypuszczał, że zawdzięczała to swojej młodości. Nie doświadczyli jeszcze ciężkich czasów. Web dotknął swojego policzka. Nie, ciężkie czasy nie są wspaniałe i nie zawsze czynią człowieka silniejszym. Gdy patrzył na tę kobietę, tak pełną życia, trudno mu było uwierzyć, że ona nie żyje.

Na zewnątrz deszcz zaczął mocniej padać, a Web siedział w pokoju, popijał kawę i oglądał inne przedmioty. Wziął do ręki akt ślubu Sullivanów. Zaskoczyło go, że matka trzymała dokument. A jednak to było jej pierwsze małżeństwo, choćby nie wiadomo jak nieudane. Podpis jego ojca był zadziwiająco mały jak na takiego wielkiego, pewnego siebie mężczyznę. Poza tym litery były źle ukształtowane, jakby drogiego Harry'ego krępowała konieczność napisania własnego imienia i nazwiska, bo nie miał pewności, czy prawidłowo kreśli litery. Niewykształcony człowiek, wywnioskował Web.

Odłożył akt ślubu i podniósł następną kartkę. List. Nagłówek wskazywał na zakład karny w Georgii. Data była o rok późniejsza niż czas, kiedy matka i syn uciekli od skazańca, którym stał się mąż i ojciec.

List napisano na maszynie, ale u dołu widniał odręczny podpis Harry'ego Sullivana. Był on bardziej zdecydowany, litery były większe i dokładniej nakreślone, jakby mężczyzna naprawdę nad nimi popracował. Ale przecież miał dużo „wolnego” czasu w więzieniu.

List był krótki. Harry przeproszał w nim Charlotte i Weba. Twierdził, że kiedy wyjdzie na wolność, będzie innym człowiekiem. Będzie miał na uwadze ich dobro. Cóż, właściwie napisał, że będzie się bardzo stara! spełnić te wszystkie obietnice. Web musiał przyznać, że była to może brutalna szczerość ze strony Sullivana, niełatwa dla mężczyzny gnijącego w więzieniu. Sam przeprowadził wystarczająco dużo przesłuchań, by wiedzieć, że stalowe kraty, wielkie zamki i brak przyszłości po odbyciu kary zwykle skłaniają ludzi do bezczelnych kłamstw, jeśli sądzą, że to im pomoże. Ciekawiło go, czy dokumenty rozwodowe dotarły do jego ojca wkrótce po tym, jak wysłał on ten list. Jak to wpłynęło na człowieka siedzącego w więzieniu? Odebrano mu wolność, a potem odrzucili go żona i syn. Z pewnością nie zostało mu wiele. Web nigdy nie winił swojej matki za to, co zrobiła, i teraz też nie miał do niej pretensji. A jednak te fragmenty historii rodziny sprawiły, że zrobiło mu się trochę żal Harry'ego Sullivana, gdziekolwiek mógł teraz być, żywy czy martwy.

Odłożył list i przez następne dwie godziny przeglądał resztę zawartości pudełka. Większość tych rzeczy nie mogła mu w żaden sposób pomóc w wytropieniu ojca, a jednak każdej poświęcił trochę czasu, może tylko po to, żeby lepiej poznać tego mężczyznę. Dłoń Weba zacisnęła się na dwóch dokumentach, które prawdopodobnie kryły jakieś wskazówki. Jednym było nieważne prawo jazdy ze zdjęciem, a drugim, istotniejszym, karta Ubezpieczenia Społecznego Sullivana. Otwierały się dzięki nim różne możliwości. Web chciał zabrać się do tego jeszcze z innej strony.

Schował do kieszeni dumę, zadzwonił do Percy'ego Batesa i przeprosił go tak gorąco, że było to niemal krępujące. Potem podał mu imię i nazwisko Harry'ego Sullivana, numer Ubezpieczenia Społecznego i przybliżone daty graniczne pobytu ojca w więzieniu w Georgii. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić z tą prośbą do Ann Lyle, ale nie chciał nadużywać jej uprzejmości. Ann miała dość roboty, a formacja HRT naprawdę potrzebowała teraz jej uwagi. Poza tym nie odezwała się jeszcze do Weba w sprawie Cove'a i nie chciał, żeby czuła się naciskana.

- Kim jest ten facet? - Chciał wiedzieć Bates.

Kiedy Web starał się o przyjęcie do Biura, musiał wpisać w papierach imię i nazwisko prawdziwego ojca, a potem dochodzeniowcy domagali się bardziej szczegółowych danych. Poprosił więc matkę o dodatkowe informacje, ale ona zdecydowanie nie chciała rozmawiać

o tym człowieku. Powiedział dochodzeniowcom, że nie wie, gdzie przebywa jego ojciec, i nie ma żadnych informacji, które pomogłyby im go wytropić. O ile wiedział, na tym się skończyło. Sprawdzenie jego przeszłości wypadło pozytywnie i rozpoczął swoją karierę w FBI. Ostatni raz Web miał styczność z Sullivanem w wieku sześciu lat i w Biurze raczej nie mogli patrzeć na niego krzywo dlatego, że jego ojciec jest skazańcem.

- Po prostu pewien facet, którego muszę znaleźć. - Wiedział, że Biuro bardzo skrupulatnie bada pochodzenie kandydatów i przypuszczalnie zebrało też informacje o jego ojcu. Po prostu przez wszystkie te lata nigdy nie pragnął zajrzeć do tej teczki. A jednak Bates mógł wiedzieć, że Harry Sullivan jest ojcem Weba. Jeśli tak, to kłamał bardzo dobrze.

- Czy ma jakikolwiek związek ze śledztwem?

- Nie, jak powiedziałeś, nie wolno mi się wtrącać. Byłbym naprawdę wdzięczny za tę przysługę.

Bates obiecał, że zobaczy, co się da zrobić, a potem odłożył słuchawkę.

Web zapakował wszystko z powrotem do pudełka i wsunął je w kąt. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer swojej poczty głosowej. Od czasu podwórka miał obsesję na tym punkcie i tak naprawdę nie rozumiał dlaczego. Kiedy usłyszał nagrany głos, ucieszył się, że tak pilnie sprawdza automatyczną sekretarkę. Debbie Riner chciała wiedzieć, czy Web może przyjść wieczorem na obiad. Natychmiast do niej odzwonił i powiedział, że przyjdzie. Widziała materiał w telewizji.

- Nigdy nie miałam żadnych wątpliwości, Web - powiedziała. Odechnęła głęboko. Życie wydawało się teraz o wiele znośniejsze.

Na wyświetlaczu telefonu wyszukał numer, którego potrzebował. Było po piątej, więc Claire Daniels wyszła już z gabinetu. Jego palec zawisł niepewnie nad przyciskiem. A potem Web zadzwonił. Claire powiedziała, że jest w samochodzie i jedzie do domu.

- Mogę się z tobą zobaczyć z samego rana. O dziewiątej - zaproponowała.

- Rozwiązałaś już wszystkie moje problemy?

- Jestem fachowcem, ale nie jestem taka szybka. - Web uśmiechnął się po tych słowach. - Doceniam to, że pozwoliłeś mi zostać twoim lekarzem. Wiem, że zmiana jest trudna.

- Ze zmianą się uporam, Claire. Martwi mnie to, że wariuję. Zobaczę się z tobą o dziewiątej.

Obiad z Debbie Riner i jej dziećmi bynajmniej nie przebiegł tak udanie, jak Web się spodziewał. Była tam też Carol Garcia z jednym ze swoich dzieci. Siedzieli wokół stołu w jadalni, rozmawiali na neutralne tematy i przez większość czasu unikali poruszania spraw, które całkowicie zniszczyły ich życie. Kiedy wdowa Garcia i jej dziecko robili znak krzyża na piersiach, Web przypomniał sobie, co mówił Danny'emu Garcii przed każdą misją. Miał rację, bo tamtej nocy Boga z nimi nie było. A jednak powiedział tylko:

- Mogę prosić o ziemniaki?

Pracownicy HRT nie zachęcali swoich żon do tworzenia grup wsparcia. Czasami działa się tak dlatego, że nie chcieli, aby ich małżonki plotkowały między sobą o swoich mężach. Podczas szkolenia i misji pokazywali się z różnych stron, nie zawsze dobrych. Gdyby jeden z nich przez nieuwagę wygadał coś żonie, mogłoby się to rozejść lotem błyskawicy wśród kobiet, gdyby utrzymywały one stały kontakt. Chodziło też o to, żeby żony nie zamartwiały się na śmierć, żeby nie wymieniały błędnych informacji, domysłów i zwykłych kłamstw zrodzonych przez strach, kiedy nie potrafiły powiedzieć, gdzie są ich mężowie, jak długo ich nie będzie i czy w ogóle żyją.

Dzieciaki niemrawo skubały jedzenie, siedziały przygarbione i wyraźnie nie chciały tam być. Traktowały Weba, który przedtem był ich serdecznym przyjacielem, bawił się z nimi, żartował i patrzył, jak dorastają, tak, jakby nie miały pojęcia, kim jest. Widział, że wszyscy, nawet siedmioletnia córka Debbie Riner, która kochała go niemal od dnia swoich narodzin, poczuli ulgę, kiedy się pożegnał.

- Odezwij się - powiedziała Debbie i cmoknęła go w policzek. Carol tylko pomachała mu ręką z bezpiecznej odległości, przyciskając syna do swoich szerokich bioder; miała szkliste oczy.

- Pewnie, jasne - odparł Web. - Trzymajcie się. Dzięki za obiad. Jeśli będziecie czegoś potrzebować, po prostu dajcie mi znać.

Odjechał wikiem, wiedząc, że najprawdopodobniej już nigdy ich nie zobaczy. „Czas zejść ludziom z oczu” - takie niewątpliwie było przesłanie obiadu.

Dokładnie o dziewiątej następnego ranka Web wkroczył na teren Claire Daniels. Jak na ironię, pierwszą osobą, którą tam zobaczył, był doktor O'Bannon.

-Web, dobrze, że cię widzę. Chcesz trochę kawy?

- Wiem, gdzie jest. Wezmę sobie, dziękuję.

-Wiesz, Web, byłem w Wietnamie. Nigdy do mnie nie strzelano, wtedy też byłem psychiatrą, ale widziałem wielu facetów z frontu. Podczas walki zdarzają się rzeczy, których nigdy byś się nie spodziewał. Ale prawdopodobnie będziesz dzięki temu silniejszy. Pracowałem też z jeńcami wojennymi, których torturował cholerny Wietkong. To straszne, co z nimi robiono: klasyczna manipulacja zarówno w sferze fizycznej, jak i umysłowej, ostracyzm wobec niepokornych, odbieranie im każdego najmniejszego moralnego i fizycznego wsparcia, kontrolowanie ich życia włącznie z pozycją w czasie snu, nastawianie ludzi przeciwko sobie nawzajem w imię grupy, jak to określano. No tak, oczywiście podkradanie pacjentów nie jest etyczne, chociaż, szczerze mówiąc, trochę mnie to zaskoczyło w wypadku Claire. Ale jak myślę, ona zgodziłaby się, że najistotniejszą sprawą jest tutaj twoje dobro, Web. A więc jeśli kiedykolwiek zmienisz zdanie, czekam na ciebie. - O'Bannon klepnął go po plecach, posłał mu spojrzenie, które w odczuciu Weba miało mu dodać odwagi, i oddalił się.

Claire wyłoniła się ze swojego gabinetu parę chwil później, zobaczyła go i razem zrobili sobie kawę. Patrzyli, jak serwisant w uniformie wychodzi ze skrzynką na narzędzia z komórki skupiającej linię elektryczną i telefoniczną poradni, a potem kieruje się w stronę wind.

- Problemy? - zapytał Web.

- Nie wiem, właśnie przyszłam.

Gdy przygotowywali kawę, Web przyjrzał się kobiecie. Claire miała na sobie bluzkę i spódnicę do kolan, która odsłaniała ładne opalone łydki i zgrabne kostki. Jej krótkie włosy były trochę zmierzwione. Wydawało się, że zauważyła badawcze spojrzenie Weba, bo poprawiła ręką niesforne kosmyki.

- Rano chodzę szybko dookoła budynku, żeby trochę poćwiczyć. Wiatr i wilgoć nie służą fryzurze. - Wypiła łyk kawy i dodała jeszcze trochę cukru. - Jesteś gotowy?

- Nigdy nie będę bardziej.

Kiedy już znaleźli się w jej gabinecie, Claire czytała przez chwilę materiały z dwóch teczek, a Web wpatrywał się w parę adidasów stojącą w kącie. Prawdopodobnie to w nich szybko chodziła. Popatrzył na nią niespokojnie.

- Po pierwsze, Web, chcę ci podziękować za to, że zaufałeś mi na tyle, by pozwolić mi zostać twoim lekarzem.

- Tak naprawdę nie jestem pewien, dlaczego to zrobiłem - powiedział otwarcie.

- Cóż, widocznie miałeś swoje powody, a ja będę ciężko pracować, aby mieć pewność, że podjąłeś właściwą decyzję. Doktor O'Bannon nie był z tego zadowolony, ale musimy myśleć przede wszystkim o tobie. - Podniosła mały skoroszyt. - To teczka, którą dał mi doktor O'Bannon, kiedy cię przejęłam.

Web usiłował słabo się uśmiechnąć.

- Myślałem, że jest grubsza.

- Właściwie ja też tak myślałam - brzmiała zaskakująca odpowiedź Claire. Zawiera notatki z kilku typowych sesji; O'Bannon zapisywał różne lekarstwa, środki antydepresyjne, nic niezwykłego.

- Czy to dobrze, czy źle?

- Dobrze, jeśli ci to pomogło, a zakładam, że tak, skoro wróciłeś do aktywnego życia.

- Ale?

- Ale może twój przypadek zasługuje na trochę bardziej dogłębną analizę. Muszę ci powiedzieć, że jestem zaskoczona, że cię nie hipnotyzował. Ma w tym wielką wprawę i zwykle stanowi to część jego terapii. O'Bannon wykłada na Uniwersytecie Waszyngtona, gdzie zawsze na trzecim czy czwartym roku hipnotyzuje studenta albo studentkę i na przykład blokuje w umyśle tej osoby jakąś literę alfabetu, tak że patrzy ona na słowo „kot” napisane na tablicy i wymawia je „ot”. Albo skłania ją do uwierzenia, że komar lata jej koło uszu, takie rzeczy. To powszechnie przyjęty sposób demonstrowania halucynacji wzrokowych i słuchowych.

- Pamiętam, że rozmawialiśmy o tym, kiedy spotkałem się z nim pierwszy raz wiele lat temu. Nie chciałem, żeby mnie hipnotyzował, więc tego nie robił - oświadczył Web bezbarwnym głosem.

- Rozumiem. - Claire uniosła o wiele grubszy skoroszyt. - To twoja oficjalna teczka z Biura, a przynajmniej jej część - wyjaśniła, pochwycając jego zaciekawione spojrzenie.

- Tak przypuszczałem. Myślałem, że to jest poufne.

- Podpisałeś zezwolenie na ujawnienie pewnych danych, kiedy zgodziłeś się na wizyty w poradni. Terapeuta zawsze dostaje taką teczkę jako pomoc w leczeniu, oczywiście bez wszelkich ściśle tajnych i innych ważnych dla bezpieczeństwa informacji. Doktor O'Bannon przekazał mi tę teczkę, kiedy stałeś się moim pacjentem. Zapoznałam się z nią dokładnie.

- To dobrze. - Web wyłamywał palce i patrzył na nią wyczekująco.

- Podczas naszego wstępnego spotkania nie wspomniałeś, że twój ojczym, Raymond Stockton, umarł na skutek upadku w domu, kiedy miałeś piętnaście lat.

- Nie? Ha, wydawało mi się, że o tym mówiłem. Ale nie robiłaś notatek, więc pewnie nie możesz tego sprawdzić?

- Uwierz mi, Web, zapamiętałabym to. Powiedziałeś mi też, że dobrze się rozumiałaś z ojczymem, prawda? - Popatrzyła na papiery.

Web poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej, a uszy płoną. Zastosowała klasyczną technikę przesłuchiwania. Najpierw ustaliła jego wersję, a teraz właśnie dokręca śrubę przy pomocy dwustukilogramowego goryla, żeby wzmocnić efekt.

- Były między nami różnice zdań, jak między wszystkimi.

- Widzę tu zawiadomienia o napaściach. Niektóre złożyli sąsiedzi, niektóre ty. Wszystkie dotyczą Raymonda Stocktona. Czy to nazywasz „różnicą zdań”? - Web zaczerwienił się ze złości, a Claire szybko dodała:

- To nie sarkazm, próbuję po prostu zrozumieć charakter twoich więzi z tym człowiekiem.

- Nie ma tu nic do rozumienia, bo nie było żadnej więzi.

Claire znów zajrzała do notatek, wertowała kartki, a Web obserwował jej dłoń z rosnącymi obawami.

- Czy Stockton umarł w tym domu, który zostawiła ci matka? - Nie odzywał się. - Web? Czy to ten sam...

- Słyszałem! - rzucił sucho. - Taak, ten sam, no i co z tego?

- Tylko pytałam. Myślisz, że go sprzedasz?

- Dlaczego cię to interesuje? Dorabiasz sobie jako pośrednik?

- Po prostu odnoszę wrażenie, że masz jakieś problemy związane z tym domem.

- Nie było to zbyt przyjemne miejsce dla dziecka.

- Doskonale to rozumiem, ale często, żeby poczuć się lepiej i móc iść naprzód, trzeba odważnie stawić czoło swoim lękom.

- Nie ma w tym domu nic, czemu musiałbym stawić czoło.

- Może porozmawiamy o tym jeszcze?

- Słuchaj, Claire, za bardzo zbaczamy z tematu, prawda? Przyszłem do ciebie dlatego, że wybito moją grupę i nie umiem się otrząsnąć. Zostańmy przy tym! Zapomnij o przeszłości! Zapomnij o domu i po prostu zapomnijmy o wszystkich „ojcach”. Nie mają nic wspólnego ze mną ani z tym, kim jestem.

- Przeciwnie, mają bardzo wiele wspólnego z tym, kim jesteś. Jeśli nie zrozumiesz twojej przeszłości, nie będę mogła ci pomóc w sprawie twojej obecnej sytuacji i przyszłości. To bardzo proste.

- Może dasz mi jakieś cholerne tabletki i skończymy na dziś, co?

Wtedy Biuro będzie przekonane, że zaliczyłem swój maty masaż mózgu, a ty zrobiłaś, co do ciebie należało.

Claire pokręciła głową.

- Nie pracuję w taki sposób, Web. Chcę ci pomóc. Myślę, że potrafię. Ale musisz ze mną współpracować. Nie mogę pójść na kompromis.

- Chyba powiedziałaś, że mam syndrom walki czy coś takiego. Co to ma wspólnego z moim ojczymem?

- Rozmawialiśmy o tym tylko jako o jednym z możliwych wyjaśnień tego, co ci się przydarzyło w tej uliczce. Nie powiedziałam, że to jedyna możliwość. Musimy dokładnie zbadać sprawę ze wszystkich stron, jeśli mamy poważnie zająć się twoimi kłopotami.

- Kłopotami... wydaje się to takie proste. Jakbym zamartwiał się trądzikiem.

- Możemy używać innego określenia, jeśli wolisz, ale naprawdę nie będzie to miało wpływu na nasze podejście do problemów.

Web ukrył twarz w dłoniach, a potem przemówił zza tej tarczy.

- Do diabła, czego konkretnie chcesz ode mnie?

- Szczerości, jak największej. A myślę, że stać cię na otwartość, jeśli naprawdę się postarasz. Musisz mi zaufać, Web.

Opuścił ręce.

- W porządku, oto prawda. Stockton był wstrętny. Prochy i woda. Najwyraźniej nigdy nie zauważył, że minęły już lata sześćdziesiąte. Pracował na podrzędnym stanowisku w jakimś biurze, gdzie musiał nosić garnitur, a po godzinach wyobrażał sobie, że jest następnym Dylanem Thomasem.

- A więc był sfrustrowanym marzycielem, może pozerem?

- Chciał być większym intelektualistą niż moja matka, bardziej utalentowanym, ale nie dorastał jej do pięt. Jego poezja była gównem warta; nigdy mu niczego nie wydrukowano. Miał tylko tyle wspólnego z drogim Dylanem, że też za dużo pił. Chyba szukał natchnienia w butelce.

- Bił twoją matkę? - Claire stuknęła palcem w teczkę.

- Czy tak jest tam napisane?

- Właściwie to, czego tam nie ma, jest jeszcze ciekawsze. Twoja matka nigdy nie wносиła skarg przeciw Stocktonowi.

- Cóż, chyba musimy wierzyć aktom.

- Czy bił twoją matkę? - Claire ponowiła pytanie, a Web ponownie nie odpowiedział. - A może bił tylko ciebie? - Web powoli podniósł wzrok, ale nadal milczał. - A więc tylko ciebie? I twoja matka na to pozwalała?

- Charlotte często nie było w domu. Popelniła błąd, wychodząc za tego faceta. Wiedziała o tym, więc unikała takich tematów.

- Rozumiem. Pewnie rozwód nie wchodził w grę.

- Raz już się rozwiodła. Wydaje mi się, że nie miała ochoty jeszcze raz się z tym mężczyź. Łatwiej było po prostu pojechać w noc.

- I zostawiała cię z człowiekiem, który cię maltretował, o czym dobrze wiedziała? I jak się wtedy czułeś?

Web milczał.

- Czy kiedykolwiek rozmawiałeś z nią o tym? Żeby jej wytłumaczyć, jak się z tym czułeś?

- To by się na nic nie zdało. Dla niej ten facet w ogóle nie istniał.

- To znaczy, że tłumiała to wspomnienie?

- Niech to znaczy, co chcesz, do diabła. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Byłeś w domu, kiedy umarł twój ojczym?

- Może, tak naprawdę nie pamiętam. Też jakoś to stłumiłem.

- W dokumentach jest napisane tylko, że twój ojczym upadł. Jak to się stało?

- Spadł ze szczytu schodów na strych. Miał na górze ukryte zapasy swojego „balsamu”. Był naćpany, nie trafił w stopień, schodząc w dół, rozbił sobie głowę o brzeg otworu wejściowego i złamał kark, uderzając w podłogę. Policja badała sprawę i stwierdziła, że nastąpił przypadkowy zgon.

- Czy twoja matka była w domu, kiedy to się zdarzyło, czy też odbywała jedną ze swoich przejażdżek?

- Wydaje ci się, że jesteś agentką FBI?

- Próbuję tylko zrozumieć sytuację.

- Charlotte była w domu. To ona wezwała karetkę. Ale jak powiedziałem, Stockton już nie żył.

- Zawsze zwracałeś się do matki po imieniu?

- Wydaje się to właściwe.

- Wyobrażam sobie, że poczułeś ulgę po śmierci Stocktona.

- Powiedzmy, że nie płakałem na jego pogrzebie.

Claire pochylała się i powiedziała bardzo cicho:

- Web, kolejne pytanie będzie bardzo trudne i jeśli nie zechcesz teraz na nie odpowiadać, zrozumieć to. Ale w przypadkach nadużywania władzy rodzicielskiej muszę się tym zająć.

Web podniósł rękę.

- Nigdy nie dotknął moich genitaliów i nigdy nie kazał mi dotykać swoich, w porządku? Nic z tych rzeczy. Pytano mnie już o to i powiedziałem prawdę. Ten facet nie miał skłonności do molestowania. Był po prostu okrutnym, sadystycznym dupkiem, który kompensował sobie poczucie zagrożenia i życiowe rozczarowania, dopieprzając chłopcu. Gdyby się do mnie przystawiał, znalazłbym jakiś sposób i zabił go. - Web uświadomił sobie, co właśnie powiedział, i pospiesznie dodał:

- Ale ten facet oszczędził wszystkim kłopotu, kiedy sam runął w dół ze schodów.

Claire oparła się wygodnie i odłożyła teczkę. To uspokoiło nieco Weba, który wyprostował się na krześle.

- Niewątpliwie pamiętasz życie pod jednym dachem z ojczymem i nie bez powodu czujesz wstręt do tych czasów - podsumowała. - Masz jakieś miłsze wspomnienia o rodzonym ojcu?

- Ojcowie to ojcowie.

- To znaczy, że jednakowo oceniasz swojego biologicznego ojca i Raymonda Stocktona?

- To chyba dobry pomysł, bo nie muszę za dużo o tym myśleć, prawda?

- Proste wyjście zwykle niczego nie rozwiązuje.

- Nie wiedziałbym, gdzie zacząć, Claire, naprawdę bym nie wiedział.

- W porządku, powróćmy na chwilę do tematu podwórka. Wiem, że to będzie bolesne, ale opowiedz mi wszystko dokładnie jeszcze raz.

Web zrobił to i było to bolesne.

- W porządku, sądzisz, że spotkanie z grupą handlarzy mogło jakoś na ciebie wpłynąć?

- Nic wtedy nie poczułem, zastanawiałem się tylko, czy jeden z nich nie spróbuje nas zabić albo nie da komuś cynku, ale wiedziałem, że snajperzy ich obserwują. Więc oprócz możliwości nagłej śmierci wszystko było super.

Jeśli nawet kobietę uraził sarkazm Weba, to tego nie okazała. Zaimponowało mu jej opanowanie.

- W porządku, oczami duszy zobacz teraz tego małego chłopca. Przypominasz sobie lepiej, co dokładnie powiedział?

- Czy to naprawdę ważne?

- Na tym etapie nie wiemy, co jest ważne, a co nie.

Web westchnął ciężko.

- Dobrze. Zobaczyłem dzieciaka. Popatrzył na nas. Powiedział... - Web przerwał, bo w myślach wyraźnie widział Kevina. Dziura od kuli w policzku, szrama na czole. Był małym wrakiem dzieciaka, który najwyraźniej już przeżył długie, gówniane życie. - Powiedział... powiedział: „Niech ich diabli”, tak powiedział. - Web popatrzył na Claire podekscytowany. - Właśnie. Och, a potem się zaśmiał. Naprawdę nie-samowicie, właściwie jakby zarechotał.

- W którym momencie poczułeś, że to spotkanie wywiera na ciebie wpływ?

Web zastanowił się.

- Kiedy chłopak się odezwał. Było tak, jakby mgła ogarnęła mój mózg... „Niech ich diabli”, dokładnie tak powiedział. To znów się dzieje, czuję mrowienie w palcach. To wariactwo.

Claire zanotowała coś, a potem popatrzyła na niego.

- To dość niezwykle, że mały chłopiec używa takiej frazeologii, szczególnie jeśli mieszka w starej, ubogiej dzielnicy. Z pewnością słowo „diabeł” jest tam używane, ale „niech ich diabli”? To brzmi jakoś archaicznie, jakby słowa pochodziły z innej epoki. Może purytańskiej, ogień i siarka. Co o tym myślisz?

- Dla mnie to brzmi jak zwrot z wojny secesyjnej albo mniej więcej tamtych czasów - powiedział Web.

- Wszystko to jest bardzo dziwne.

- Uwierz mi, Claire, cała ta noc była dziwna.

- Czułeś coś jeszcze?

Web wysilił pamięć.

- Czekaliśmy na ostateczne rozkazy, żeby uderzyć na cel. Potem je dostaliśmy. - Pokręcił głową. - Jak tylko usłyszałem rozkazy w słuchawce, zamarłem. To stało się natychmiast. Pamiętasz, jak mówiłem ci o pistoletach Taser, którymi zabawialiśmy się podczas ćwiczeń? - Skinęła głową. - Cóż, to było tak, jakbym został trafiony jedną z takich naelektryzowanych strzałek. Nie mogłem się ruszyć.

- Czy ktoś mógł naprawdę strzelić do ciebie z Tasera w uliczkę? Czy to możliwe, że dlatego zamarłeś?

- Wykluczone. Nikogo nie było tak blisko, a strzałka nie przebiłaby mojego kevlaru. A tak w ogóle to potem by we mnie tkwiła, racja?

- Racja. - Claire uzupełniła notatki i powiedziała:

- Stwierdziłeś przedtem, że chociaż zamarłeś, zdołałeś jednak wstać i wejść na podwórko.

- To była najtrudniejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem, Claire. Wydawało mi się, że ważę tonę, nic nie funkcjonowało we mnie prawidłowo. I w końcu niemoc zwyciężyła, po prostu upadłem i zostałem tam. I wtedy odezwały się karabiny.

- Kiedy zacząłeś dochodzić do siebie?

Web zastanowił się.

- Miałem wrażenie, że mijają całe lata, a ja leżę w miejscu, z którego nie mogę się ruszyć. Ale to nie trwało zbyt długo. Już po pierwszych strzałach poczułem, że wszystko zaczyna wracać do normy. Mogłem poruszać ramionami i nogami, paliły mnie cholernie, jak wtedy gdy krew zaczyna znów krążyć w zdrętwiałej ręce czy nodze. To właśnie czułem w kończynach. Ale wtedy ich już nie potrzebowałem, bo i tak nie miałem dokąd uciec.

- A więc po prostu wszystko samo wróciło do normy? Przypomnij sobie, czy wcześniej zdarzyło się coś, co mogło cię tak sparaliżować? Może twój kręgosłup ucierpiał podczas szkolenia? Czy kiedykolwiek doznałeś jakichś uszkodzeń nerwów? To też mogłoby cię unieruchomić.

- Nic z tych rzeczy. Jeśli ktoś nie jest w doskonałej kondycji, nie idzie na akcję.

- A więc usłyszałeś strzały i czucie zaczęło ci powracać?

- Tak.

- Coś jeszcze?

- Dzieciak. Widziałem milion takich samych jak on. A jednak wydawał się inny. Nie mogłem wyrzucić go ze swoich myśli. Nie chodziło tylko o to, że miał ślad po kuli, takie dzieciaki też widziałem. Nie wiem. Kiedy karabiny strzelały, znów go zobaczyłem. Kucał przy wylocie uliczki. Gdybym zrobił jeszcze krok, zostałby przecięty na pół. Krzyczałem, żeby się cofnął. Poczłogałem się do niego. Nie miałem wątpliwości, że jest śmiertelnie przerażony. Słyszał, jak Grupa Hotel nadchodzi z jednej strony, ja zbliżałem się z drugiej, te cholerne karabiny strzelały. I wiedziałem, że spróbuje zwać, przebiec przez podwórko, a wtedy będzie po nim. Po prostu nie mogłem pozwolić, żeby tak się stało, Claire. Już tylu ludzi zginęło tej nocy. Skoczył i ja też skoczyłem, złapałem go, a potem uspokoiłem, bo wrzeszczał, że nic nie zrobił, a oczywiście kiedy dzieciak tak mówi, wiesz, że coś ukrywa.

Jak powiedziałem, uspokoiłem go. Zapytał, czy wszyscy z mojej grupy zginęli, i powiedziałem, że tak. Dałem mu notatkę i czapkę i wystrzeliłem racę. Wiedziałem, że tylko w takiej sytuacji ludzie z Hotelu go nie zabiją, kiedy pojawi się naprzeciw nich w ciemnościach. Po prostu nie chciałem, żeby zginął, Claire.

- To musiała być dla ciebie straszna noc, Web, ale powinieneś cieszyć się z tego, że go uratowałeś.

- Cieszyć się? Po co go uratowałem? Żeby wrócił na ulicę? Widzisz, to jest wyjątkowy dzieciak. Ma brata znanego jako Wielki F, który kieruje jednym z lokalnych interesów narkotykowych. To łajdak.

- Więc może w tym wszystkim brali udział jacyś wrogowie tej osoby, Wielkiego F?

- Może. - Web przerwał i zastanowił się, czy to ujawnić. - Ktoś zamienił dzieciaki. W uliczce.

- Zamienił dzieciaki? Co to znaczy?

- To znaczy, że nie ten Kevin Westbrook, którego uratowałem, tylko inny chłopiec dostarczył notatkę Grupie Hotel. A chłopiec, który zniknął z miejsca popełnienia przestępstwa, nie był tym Kevinem Westbrookiem, którego uratowałem.

- Dlaczego ktoś miałby zrobić coś takiego?

- To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów, doprowadza mnie do szału. Wiem na pewno, że na tym podwórku uratowałem tyłek Kevinowi Westbrookowi i że dzieciak, którym go zastąpiono, powiedział Grupie Hotel, że jestem wielkim tchórzem. Dlaczego miałby to robić?

- Chyba próbował celowo cię skompromitować.
- Dzieciak, którego nawet nie znałem? - Web pokręcił głową. - Ktoś faktycznie próbował mi zaszkodzić, to pewne, musieli powiedzieć dzieciakowi, co ma mówić. I wtedy wmaszerowali tam i wymaszerowali z podstawionym dzieciakiem. Prawdopodobnie ten chłopak nie żyje. Do diabła, Kevin też prawdopodobnie nie żyje.

- Wydaje się, że ktoś starannie to zaplanował - stwierdziła Claire.

- I bardzo chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

- Możemy tylko próbować, Web. Mogę ci pomóc przy części tych spraw, ale dochodzenie to zupełnie nie znana mi dziedzina.

- Właściwie może i mnie to przerasta. Tak naprawdę nie miałem zbyt wiele do czynienia z pracą detektywistyczną w ciągu ostatnich ośmiu lat. - Bawił się pierścieniem, który miał na palcu. - O'Bannon zapewniał mnie, że syndrom walki nie jest taki straszny, kiedy przyjechałem dziś rano do poradni.

Claire uniosła brwi.

- Och, naprawdę? Jego wietnamski punkt widzenia? - Wydawało się, że z trudem powstrzymuje uśmiech.

- Domyśliłem się, że nie pierwszy raz to mówi. Ale czy uważasz, że to jest właśnie to... to znaczy, mimo tej sprawy z dzieciakiem?

- Nie umiem ci odpowiedzieć, Web, jeszcze nie.

- Widzisz, wiem, że to się przytrafia żołnierzom. Ktoś do nich strzela i dostają świra. Każdy może to zrozumieć.

Popatrzyła na niego uważnie.

- Ale?

Zaczął mówić bardzo szybko.

- Ale większość żołnierzy odbywa krótkie szkolenie, a potem rzuca się ich w wir walki. Nic nie wiedzą o zabijaniu. Nie mają pojęcia, jakie to uczucie, kiedy jest się na linii strzału. A ja przez większość dorosłego życia uczyłem się coraz lepiej wykonywać tę pracę. Nie uwierzyłabyś, co na mnie leciało, Claire. Od kul z karabinów maszynowych do chrzanionych pocisków moździerzowych, które rozerwałyby mnie na kawałeczki, gdyby mnie trafiły. Zdołałem pozabijać przeciwników, kiedy większość mojej krwi tworzyła kałużę na podłodze. I ani razu, do cholery, ani razu nie przestałem panować nad własnym ciałem tak jak tamtej nocy. A przecież wtedy nawet nie zaczął się jeszcze cholerny ostrzał. Powiedz mi, jak to, do diabła, możliwe?

- Web, wiem, że szukasz wielu odpowiedzi. Musimy dalej wytrwale pracować. Ale mogę ci powiedzieć, że kiedy chodzi o umysł, wszystko jest możliwe.

Wpatrywał się w nią, kręcił głową i zastanawiał się, gdzie, do cholery, może zjechać z drogi, na której się znalazł.

- Cóż, pani doktor, wiele mi to nie pomoże, prawda? Ile Biuro pani płaci za mówienie mi nieważnych rzeczy? - Wstał nagle i wyszedł.

Claire znowu nie próbowała go zatrzymać, co i tak by się jej nie udało. Czasami pacjenci pokazywali jej plecy, chociaż nigdy podczas dwóch pierwszych sesji. Usiadła wygodniej na krześle i zabrała się do przeglądania notatek, a potem wzięła magnetofon i zaczęła dyktować.

Nie wiedziała o tym, że w wykrywaczu dymu przymocowanym do sufitu tkwi supernowoczesne urządzenie podsłuchowe, które czerpie energię z sieci elektrycznej budynku i ma też rezerwową baterię. Podobny podsłuch założono w gabinetach wszystkich pracujących tam psychiatrów i psychologów. W komórce telefonicznej na korytarzu były dodatkowe elektroniczne pluskwy, jedna z nich się zepsuła, co było przyczyną porannej wizyty „serwisanta”.

Wścibskie uszy wchłonęły ogromne ilości informacji o każdym pacjencie, który przekroczył próg dowolnego gabinetu. W ciągu ostatniego roku ponad stu agentów FBI ze wszystkich działów, w tym tajniacy, specjaliści od korupcji, ludzie z WFO, z samej góry z HRT i ponad dwadzieścioro małżonków pracowników spotykało się tu z lekarzami, spodziewając się największej poufności, gdy wyjawiali swoje sekrety i problemy. Zapewniono im wszystko oprócz tego.

Ledwie Web wypadł z poradni, Ed O'Bannon też się wymknął, zjechał windą na dół do garażu, wsiadł do swojego nowiutkiego audi coupe i odjechał. Podniósł telefon komórkowy i wystukał numer. Musiał odczekać parę sygnałów, ale wreszcie ktoś odebrał.

- Czy to jest dobra pora? - zapytał niespokojnie.

Osoba na drugim końcu linii odpowiedziała, że pora jest dobra jak każda inna, jeśli rozmowa będzie krótka i konkretna.

- London przyszedł tu dzisiaj.

- Tak słyszałem - odparł głos. - Mój człowiek był tam, żeby usunąć drobną awarię. A więc jak ci idzie z drogim Webem?

O'Bannon nerwowo przełknął ślinę.

- Spotyka się z innym psychiatrą. Robiłem, co mogłem, żeby temu zapobiec, ale nie dało się - dorzucił szybko.

Musiał odsunąć telefon od ucha, tak głośna i gniewna była reakcja jego rozmówcy.

- Posłuchaj, nie tak to miało wyglądać - powiedział O'Bannon. - Nie mogłem uwierzyć, że on naprawdę pójdzie do innego psychiatry. To spadło jak grom z jasnego nieba... Co? Nazywa się Claire Daniels. Pracowała kiedyś dla mnie. Jest tutaj od lat, bardzo dobra specjalistka. W innych okolicznościach nie byłoby problemu. Nie mogłem robić za dużo smrodu, bo zaczęliby coś podejrzewać.

Rozmówca podsunął O'Bannonowi pomysł, który sprawił, że lekarz zadrżał. Zjechał na pobocze.

- Nie, zabicie jej tylko wzbudziłoby podejrzenia. Znam Londona. Może nawet za dobrze. Jest bystry. Jeśli cokolwiek stanie się Claire, uczepli się tej sprawy i nigdy nie odpuści. Taki już jest. Uwierz mi, długo pracowałem z tym człowiekiem. Pamiętasz, to dlatego mnie zatrudniliście.

— Ale nie tylko dlatego - brzmiała odpowiedź. - Płacimy ci dobrze, Ed. Naprawdę dobrze. I ani trochę nie podoba mi się to, że on chodzi do tej babki, Daniels.

- Panuję nad sytuacją. O ile znam Londona, to przyjdzie jeszcze parę razy, a potem da sobie spokój. A jeśli nawet coś z tego wyniknie, dowiemy się o tym. Będę trzymał rękę na pulsie.

— Lepiej, żeby tak było - rzucił jego mocodawca. - A w chwili, kiedy już nie będziesz panował nad sytuacją, my wkroczymy. - W słuchawce zapadła cisza i O'Bannon, który wyglądał teraz na bardzo poruszonego, wprowadził samochód na drogę i odjechał.

Web przez wiele godzin krążył w viku po ulicach w pobliżu miejsca, gdzie doszło do masakry. Był na bezpłatnym urlopie i nie uczestniczył w oficjalnym dochodzeniu. Nie mógłby więc poprosić o wsparcie, gdyby go potrzebował, nie wiedział też, czego dokładnie szuka. Jednolity jaskrawy blask świateł sygnalizacyjnych rozpraszał ciemności panujące na ulicach. Zamontowane nad wieloma skrzyżowaniami kamery miały rzekomo fotografować pojazdy, które lekcewały czerwone światło. Web sądził jednak, że w rzeczywistości pełniły one także rolę urządzeń monitorujących w tych dzielnicach o wysokim wskaźniku przestępczości. Nie mógł jednak nie docenić pomysłowości miejscowych kryminalistów, zmieniono bowiem tory widokowe wielu kamer. Niektóre były skierowane w niebo, inne w ziemię, parę na budynki, jeszcze inne zostały rozbite. Cóż, tak się skończyła zabawa w Wielkiego Brata.

Web stale sprawdzał, czy na sekretarce w domu są nagrane jakieś wiadomości. Nie zadzwoniły żony innych kolegów. Cynde i Debbie prawdopodobnie zawiadomiły pozostałe o wykonaniu brudnej roboty i pozbyciu się go z życia ich wszystkich. Prawie słyszał zbiorowe westchnienie ulgi.

Ostatecznie umówił się z Claire na następną wizytę. Nie wspomniała o obeldze, jaką rzucił na odchodnym, i drugim nagłym wyjściu z gabinetu. Po prostu zanotowała godzinę i powiedziała, że się z nim spotka. Ta kobieta musi mieć naprawdę grubą skórę, pomyślał.

Kiedy znalazł się w poczekalni, siedziało tam kilka innych osób. Ani jedna nie nawiązała z nim kontaktu wzrokowego i Web się o to nie starał. Przypuszczał, że tak to już jest w poczekalni u psychiatry. Żaden człowiek nie chciał, żeby obcy widzieli, jak zajmuje się własnym obłędem.

Claire wyszła, podeszła do niego z pokrępiającym uśmiechem i podała mu filiżankę świeżej kawy ze śmietanką i cukrem, a więc właśnie takiej, jaką lubił. Usadowili się w jej gabinecie.

Web przeczesał dłonią włosy.

- Słuchaj, Claire, przykro mi z powodu ostatniej wizyty. Zwykle nie jestem takim dupkiem. Wiem, że tylko próbujesz mi pomóc i że niczego nie da się tu łatwo ustalić.

- Nie przepraszaj za to, że zrobiłeś dokładnie to, co powinienes, Web, to znaczy uzewnętrzniłeś te wszystkie myśli i uczucia, aby móc sobie z nimi poradzić.

Uśmiechnął się do niej słabo i powiedział:

- A więc dokąd dzisiaj wyruszamy, pani doktor? Na Marsa czy na Wenus?

- Na początek zbadajmy zjawisko stresu pourazowego i zobaczymy, czy to naprawdę pasuje do twojego przypadku.

Web rozpromienił się w duchu. No, z tym się upora.

- To coś takiego jak szok bitewny?

- To określenie bardzo często jest używane niewłaściwie, a ja chcę wyrażać się trochę precyzyjniej. A więc, z klinicznego punktu widzenia prawdopodobnie cierpisz z powodu stresu pourazowego w wyniku wydarzeń, które rozegrały się na tamtym podwórku.

- Mógłbym się z tym zgodzić.

- Cóż, sprawdzimy tę hipotezę. Jeśli taka będzie diagnoza, to istnieje kilka sprawdzonych metod terapii, w tym techniki panowania nad stresem, prawidłowe odżywianie i ustalone pory snu, ćwiczenia relaksacyjne, zmiana ram kognitywnych i leki uspokajające sprzedawane na receptę.

- Cholera, wydaje się to proste - powiedział sarkastycznie.

Popatrzyła na niego w sposób, który wydał mu się dziwny.

- Czasami to jest proste. - Zerknęła na swoje notatki. - Czy od tamtego czasu zauważyłeś u siebie jakieś zmiany fizyczne? Dreszcze, zawroty głowy, bóle w klatce piersiowej, podwyższone ciśnienie krwi, trudności w oddychaniu, zmęczenie, mdłości, coś takiego?

- Kiedy później wróciłem na podwórko i opowiadałem, co się zdarzyło, miałem lekki zawrót głowy

- Czy wystąpiły jeszcze jakieś objawy?

- Nie.

- W porządku, czy od tamtego czasu jesteś nadpobudliwy?

Web nie musiał długo się namyślać.

- Nie, tak naprawdę to nie.

- Nadużywasz alkoholu, lekarstw albo narkotyków? Mogłabym ci pomóc.

- Nic z tych rzeczy! Właściwie to mniej piję.

- Nękają cię obrazy tamtych wypadków?

Web pokręcił głową.

- Czujesz się odrętwiałały, pragniesz wycofać się z czynnego życia, unikać ludzi?

- Nie, chcę się dowiedzieć, co się stało. Chcę być aktywny.

- Czy jesteś bardziej niż zwykle skłonny do gniewu, irytacji albo

wrogości wobec ludzi? - Popatrzyła na niego i uśmiechnęła się. - Wyłączając mnie.

Web odwzajemnił uśmiech.

- Nie, Claire. Myślę, że właściwie jestem stosunkowo spokojny.

- Trwała depresja, ataki paniki, wzmożony niepokój albo jakieś fobie?

- Nic takiego.

- W porządku, czy dręczą cię wspomnienia tego wydarzenia, które wdzierają się nagle do twoich myśli? Inaczej mówiąc, miewasz traumatyczne sny albo koszmary?

Web zaczął mówić wolno, z rozwagą stąpając przez to psychiczne pole minowe.

- Kiedy leżałem w szpitalu po tym, jak to się stało, miałem złe sny. Nafaszerowali mnie lekarami, ale pamiętam, że ciągle od nowa przeproszałem żony wszystkich chłopaków.

- To zupełnie naturalne w takich okolicznościach. Czy później działo się jeszcze coś w tym rodzaju?

Web potrząsnął przecząco głową.

- Byłem bardzo zajęty śledztwem - powiedział jakby na swoją obronę. - Ale myślę o tym przez cały czas. To, co się stało na tym podwórku, zmiażdżyło mnie. Jak kafar. Nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego.

- Ale pracując w takim zawodzie, widziałeś wcześniej, jak ludzie umierają?

- Tak, ale nigdy nie był to nikt z mojej grupy.

- Uważasz, że nie dopuszczasz części tego, co się zdarzyło, do swojej świadomości? Nazywamy to dysfunkcją pamięci albo syndromem amnezji.

- Nie, pamiętam całkiem dobrze każdy cholerny szczegół - odparł ze znużeniem Web.

Podczas gdy Claire przeglądała notatki, Web wyrzucił z siebie:

- Nie chciałem, żeby umarli, Claire. Przykro mi, że tak się stało. Zrobiłbym wszystko, żeby ich odzyskać.

Podniosła na niego wzrok i odłożyła kartki.

- Web, posłuchaj mnie bardzo uważnie. Nie masz objawów stresu pourazowego, ale to nie znaczy, że nie obchodzi cię, co się stało z twoimi przyjaciółmi. To nie znaczy, że nie cierpisz. Musisz to zrozumieć. Widzę, że występują u ciebie wszystkie normalne następstwa przejścia ciężkiej próby, po jakiej większość ludzi nie mogłaby funkcjonować, przynajmniej dość długo.

- Ale nie ja.

- Masz wyjątkowe umiejętności, wiele lat szkolenia za sobą i konstrukcję psychiczną, która bardzo ci pomogła już na samym początku, kiedy starałeś się o przyjęcie do HRT Dowiedziałam się o wiele wię-

cej o twojej jednostce, odkąd do mnie przyszedłeś. Wiem, że musicie wytrzymywać nadzwyczajny fizyczny wysiłek i stres, ale wasza psychika wystawiana jest na jeszcze trudniejsze próby. Dzięki swojej konstrukcji zarówno fizycznej, jak i psychicznej potrafisz sobie poradzić z większą liczbą spraw niż ktokolwiek inny, Web. Przeżyłeś na tym podwórku i najwyraźniej twój umysł też nie poniósł szkody.

- A więc nie cierpię z powodu stresu pourazowego?

- Uważam, że nie.

Popatrzył na swoje dłonie.

- Czy to znaczy, że skończyliśmy?

- Nie. Nie masz urazu w wyniku tego, co się zdarzyło na podwórku, ale to nie znaczy, że nie masz jakichś problemów, nad którymi trzeba popracować. Mogły one powstać na długo przed twoim wstąpieniem do HRT

Web wyprostował się na krześle i natychmiast stał się nieufny; było widać, że nie umie nad sobą zapanować.

- Co na przykład?

- To o tym właśnie mamy porozmawiać. Wspomniałeś, że czułeś się jakby członkiem rodzin swoich kolegów z pracy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek chciałeś mieć własną rodzinę.

Web rozważał to przez chwilę, zanim odpowiedział.

- Zawsze myślałem, że będę miał wielką rodzinę, wiesz, wielu synów, z którymi będę grał w baseball, i wiele córek, które będę rozpieszczał. Owinęłyby sobie kochanego tatę wokół ślicznych paluszków, a ja przez cały czas bym się uśmiechał.

Claire podniosła notatnik i długopis.

- I dlaczego jej nie założyłeś?

- Lata za szybko mijały.

- To wszystko?

- Czy to nie wystarczy?

Popatrzyła na jego twarz, na nie uszkodzony i na oszpecony profil. Web odwrócił się, tak jak ostatnim razem.

- Zawsze to robisz?

- Co?

- Odwracasz uszkodzoną stronę twarzy, kiedy ktoś patrzy.

- Nie wiem, tak naprawdę o tym nie myślę.

- Wydaje mi się, Web, że wszystko, co robisz, jest zawsze starannie przemyślane.

- Mogłabyś się zdziwić.

- Nie rozmawialiśmy o związkach osobistych. Spotykasz się z kimś?

- Moja praca nie zostawia na to dużo czasu.

- A jednak wszyscy inni mężczyźni z twojej grupy mieli żony.

- Może po prostu byli w tym lepsi ode mnie - odparł sucho.

- Powiedz mi, kiedy doznałeś obrażeń twarzy.
- Naprawdę musimy się tym zajmować?
- Mam wrażenie, że to cię krępuje. Możemy przejść do innego tematu.
- Nie, co mi tam, nie krępuje mnie to. -Wstał, zdjął kurtkę i podczas gdy Claire patrzyła na niego z rosnącym zdumieniem, rozpiął górny guzik koszuli, żeby pokazać bliznę od postrzału na szyi. - Doznałem obrażeń twarzy na chwilę przed tym, jak zaliczyłem to obrażenie. - Wskazał bliznę u podstawy szyi. - Paru białych supematystów z grupy o nazwie Wolne Społeczeństwo opanowało pewną szkołę w Richmond. Kiedy moja twarz się paliła, jeden z nich trafił mnie pociskiem z Magnum .357. Ładna, czysta rana, kula przeszła na wylot. Milimetr w lewo i byłbym albo martwy, albo sparaliżowany. Mam jeszcze jedną dziurę, ale ci jej nie pokażę. Jest o, tutaj. - Dotknął blizny koło pachy. - To była kula nazywana w naszej branży pociskiem kanałowym. Wiesz, od tunelu pod kanałem La Manche i tych olbrzymich świrdrów, które go wydrążyły. To jest cholernie szkodliwa amunicja, Claire, w stalowej osłonce. Wpada w ciebie spiralnie z prędkością około trzech machów. I jeśli cokolwiek stanie jej na drodze, zostaje sproszkowane. Przebiła mnie na wylot, a potem wykończyła stojącego za mną gościa, który chciał rozłupać mi głowę maczetą. Gdyby to był pocisk dum-dum, kula dalej siedziałaby we mnie, a ja bym nie żył, bo maczeta tkwiłaby w mojej czaszce. - Uśmiechnął się. - Możesz uwierzyć w taki zbieg okoliczności?

Claire spuściła wzrok i milczała.

- Hej, pani doktor, proszę nie odwracać oczu, nie widziała pani jeszcze najlepszego. - Spojrzała w górę, a on przechylił głowę, tak by mogła się dokładnie przypatrzeć uszkodzonej stronie twarzy. - No więc to cudo jest pamiątką po mieszance zapalającej, która prawie załatwiła mojego dobrego kumpla Lou Pattersona, wiesz, nieżyjącego męża kobiety, która opluła mnie na oczach wszystkich. Jestem pewien, że widziałas to w telewizji, prawda? Cholerna osłona wtopiła się w moją twarz. Podobno lekarz i pielęgniarka zemdleli, kiedy zobaczyli mnie w szpitalu w Richmond. Cała ta strona twarzy była knwawiaca, otwartą raną. Ktoś powiedział, że wyglądałem tak, jakbym się już rozłożył. Pięć operacji, Claire, i ból, cóż, powiem ci, że ból po prostu nie słabnie. Wiele razy musieli mnie przywiązywać do łóżka. A kiedy zobaczyłem, co zostało z mojej twarzy, chciałem tylko włożyć sobie pistolet do ust i połknąć kulkę, i właściwie prawie to zrobiłem. A gdy w końcu miałem to wszystko za sobą i wypisano mnie ze szpitala, naprawdę dobrze się bawiłem, patrząc, jak kobiety uciekają z krzykiem na widok drogiego Weba. Mogłem spłukać w toalecie spis telefonów dziewcząt. A więc naprawdę nie chodzę zbyt często na randki, poza tym wydawało mi się, że przed małżeństwem pierwszeństwo mają różne ważne rzeczy,

na przykład wynoszenie śmieci i koszenie trawy. - Usiadł i zapiął koszulę. - Chciałabyś wiedzieć coś jeszcze? - zapytał uprzejmie.

- Właściwie to widziałam konferencję prasową Biura, podczas której ujawniono wiele informacji o tym, w jaki sposób odniosłeś te obrażenia. To, co zrobiłeś, było niewiarygodnie bohaterkie. A jednak wydaje się, że ty sam uważasz się za kogoś nieatrakcyjnego, budzącego niechęć kobiet. - Potem dodała: - Zastanawiam się też, czy myślisz, że byłbyś dobrym ojcem.

Do cholery z tą kobietą, po prostu nie odpuszczała.

- Chciałbym myśleć, że tak- powiedział spokojnie, bardzo, bardzo mocno starając się trzymać nerwy na wodzy.

- Pytam, czy naprawdę tak myślisz.

- Co to za pytanie, do diabła? - rzucił gniewnie.

- Myślisz, że gdybyś miał dzieci, to byś je maltretował?

Web zaczął podnosić się z krzesła.

- Claire, za mniej więcej dwie sekundy stąd wyjdę! I już nie wrócę.

Obrzuciła go surowym spojrzeniem.

- Pamiętaj, kiedy zaczęliśmy terapię, powiedziałam, że musisz mi zaufać. Terapia nie jest prostą sprawą, Web, szczególnie jeśli ktoś ma problemy, którymi nie chce się zająć. Ja próbuję ci tylko pomóc, ale musisz grać ze mną w otwarte karty. Jeśli chcesz marnować czas na teatralne gesty, trudno, to twoja wizyta. Ja wolałabym pracować bardziej efektywnie.

Psychiatra i obrońca prawa wpatrywali się w siebie przez bardzo długą chwilę. W końcu to Web mrugnął i usiadł z powrotem. Właśnie o wiele lepiej zrozumiał, jak ciężko żyło się Romano z Angie.

- Nie biłbym swoich dzieci. Dlaczego miałbym używać przemocy po tym, co zrobił mi Stockton?

- To, co mówisz, wydaje się całkiem logiczne. Jednak w rzeczywistości większość rodziców, którzy maltretują swoje dzieci, to właśnie ofiary takich zachowań. Wcale nie jest tak, że uczymy się na błędach rodziców, nasza sfera emocjonalna nie działa wystarczająco sprawnie. A dzieci nie potrafią myśleć w taki sposób. Są bezsilne, nie mogą się przeciwstawić przemocy i dlatego tłumią nienawiść, gniew i uczucie bezradności, często przez wiele lat. To nie znika po prostu samoistnie, ten kociołek, w którym gotują się najróżniejsze uczucia i stany emocjonalne: dezorientacja, poczucie zdrady albo niska samoocena cechująca maltretowane dziecko: „Tatus i mamusia na pewno mnie nie kochają, bo mnie biją, i to musi być moja wina, bo mamusia i tatuś nie mogą robić nic złego”. Maltretowane dzieci dorastają i mają własne potomstwo, czasami przewyciężają swoje problemy i stają się wzorowymi rodzicami. Kiedy indziej gniew i nienawiść, które tak długo były tłumione, ujawniają się i są zwracane przeciw własnym dzieciom, powtarzany jest doskonale zapamiętany schemat.

- Nigdy nie podniosłbym ręki na dziecko, Claire. Wiem, że może się tak wydawać ze względu na moją pracę, ale to mylne wrażenie.

- Wierzę ci, Web. Naprawdę. Ale chodzi raczej o to, czy ty sobie wierzysz.

Twarz Weba poczerwieniała.

- Naprawdę się pogubiłem, moja pani.

- A więc ujmę to konkretniej. Jak myślisz, czy istnieje możliwość, że postanowiłeś się nie żenić i nie mieć dzieci dlatego, że byłeś maltretowany i obawiałeś się, że też będziesz uciekał się do przemocy? To nie byłoby coś niespotykanego, Web, naprawdę. Niektórzy mogą nawet twierdzić, że to jest ostateczne poświęcenie.

- Albo ostateczna ucieczka od problemów.

- Tak też niektórzy mogliby twierdzić.

- A ty co o tym sądzisz?

- Bardzo możliwe, że w twoim przypadku chodzi o jedno i o drugie. Ale jeśli to z tego powodu odkładałeś na później małżeństwo i dzieci, możemy przełamać te opory, Web. I chociaż potrafię zrozumieć, że niektórym kobietom trudno uznać za atrakcyjnego kogoś, kto odniósł takie obrażenia twarzy jak ty, nie myśl, że wszystkie kobiety są takie, bo to nieprawda.

Web kręcił głową przez chwilę, a potem podniósł wzrok i spojrzał na Claire.

- Kiedy siedziałem na czatach w sercu Montany podczas jeszcze jednej konfrontacji z jeszcze jedną grupą wkurzoną na rząd, spędzałem ranki, celując do tych facetów z karabinu snajperskiego, ilekroć któryś przechodził obok okna. Codziennie przez kilka godzin po prostu czekałem na chwilę, gdy będę musiał zabić któregoś z nich. Coś takiego zwyczajnie wyczerpuje człowieka, Claire, to czekanie na zabicie. Więc kiedy nie miałem służby i siedziałem wieczorem pod gwiazdami na tym odludziu w Montanie, pisałem listy do domu.

- Do kogo?

Web wydawał się trochę zakłopotany, odpowiedział dopiero po paru chwilach, bo nigdy wcześniej nikomu tego nie wyjawiał.

- Udawałem, że mam dzieci. - Potrząsnął głową i tym razem nie zdołał popatrzeć na Claire. - Wymyślałem nawet imiona typu Web Junior czy Lacey. Najmłodsza była ruda Brooke bez paru zębów. Pisałem listy do nich wszystkich. Naprawdę wysyłałem je do domu, żeby czekały na mnie, kiedy wrócę. Czekać w Montanie na moment zabicia garstki nieudaczników, którzy mieli tak mało broni, że nie było to nawet zabawne, pisałem do Brooke Louise, że tatuś będzie niedługo w domu. Zacząłem wierzyć, że faktycznie mam rodzinę. Naprawdę tylko dzięki temu mogłem tam wytrzymać, bo jednak ostatecznie musiałem nacisnąć spust i ludność Montany zmniejszyła się o kilka osób. - Prze-

rwał i otarł usta, przełknął, jak mu się zdawało, morze żółci i wpatrzył się w dywan. - Kiedy przyjechałem do domu, wszystkie te listy czekały na mnie. Ale nawet ich nie przeczytałem. Wiedziałem, co jest w nich napisane. Dom był pusty. Nie zastałem tam Brooke Louise. Wreszcie podniósł wzrok.

- To dosyć szalone, prawda? - powiedział. - Pisanie listów do dzieci, których nie masz?

Widział, że w końcu zrobił wrażenie na Claire Daniels, chociaż nie miał takiego zamiaru.

Kiedy Web wyszedł z gabinetu Claire i zobaczył dwoje ludzi rozmawiających cicho w poczekalni, przez sekundę nie wiedział, co jest grane, bo coś tu się nie zgadzało. Stał tam O'Bannon, i to pasowało, bo on przecież pracował w poradni. Jednak kobiety, która mu towarzyszyła, nie powinno tam być. Kiedy Debbie Riner spojrzała w bok i zobaczyła Weba, aż westchnęła ze zdziwienia.

O'Bannon też go zauważył i podszedł do niego, wyciągając rękę.

- Web, nie wiedziałem, że tu dzisiaj będziesz. Chyba nie miałem możliwości się dowiedzieć, właściwie nie znamy z Claire swoich rozkładów dnia, byłby to lekki zawodowy koszmar.

Web nie uściśnął dłoni lekarza; nadal wpatrywał się w Debbie, która wydawała się zastygła, jakby właśnie została przyłapana na schadzce z ó'Bannonem.

Psychiatra patrzył to na nią, to na niego.

- Czy wy się znacie? - Potem puknął się w czoło i sam odpowiedział na swoje pytanie. - HRT.

Web zbliżył się do Debbie, która wyjmowała z torebki chusteczkę higieniczną.

- Deb? Spotykasz się z ó'Bannonem?

- Web - powiedział lekarz - to naprawdę poufne.

Web machnął lekceważąco ręką.

- Taak, wiem, ściśle tajne.

- Nigdy mi się nie podobała ta wspólna poczekalnia... nie chroni prywatności pacjentów, ale inny układ nie jest możliwy - stwierdził O'Bannon, chociaż ani Web, ani Debbie wyraźnie nie słuchali jego narzekań. W końcu powiedział: - Do zobaczenia, Debbie. - A Londona pożegnał takimi słowami: - Spokojnie, Web. Jestem pewien, że Claire dokonuje cudów. - I popatrzył pytająco na niewdzięcznika.

Tak, doktorze - miał ochotę odpowiedzieć Web. - Ta kobieta dokonuje takich cudów, że doprowadza mnie do szału.

Otworzył Debbie drzwi i poszli do wind. Nie chciała na niego patrzeć, a on czuł, że coraz bardziej się rumieni, pod wpływem złości, zakłopotania, właściwie nie był do końca pewien dlaczego.

Wreszcie powiedział:

- Spotykam się z psychiatrą, żeby pomógł mi poradzić sobie z tym, co się stało. Ty pewnie też.

Wydmuchała nos i w końcu na niego popatrzyła.

- Chodzę do doktora O'Bannona od ponad roku, Web.

Wpatrywał się w nią nierozumiejącym wzrokiem i nie usłyszał nawet, że otworzyły się drzwi windy.

- Jedziesz na dół? - chciała wiedzieć Debbie.

Wyszli na ulicę i już mieli się udać w różnych kierunkach, kiedy

Web wziął się w garść i zapytał:

- Masz czas na filiżankę kawy, Deb? - Był całkowicie przekonany, że nie będzie miała nawet chwili dla kogoś takiego jak on.

- Za rogiem jest Starbucks. Całkiem dobrze orientuję się w tej okolicy.

Siedzieli z filiżankami grandę w pustym kącie, a w tym czasie błyszczące maszyny, wydając różne odgłosy, pracownicy parzyły kawę dla swoich spragnionych klientów.

- Ponad rok, mówisz? Spotykałaś się z psychiatrą przez cały ten czas?

Debbie dokładnie wymieszała drobiny cynamonu w swojej kawie.

- Niektórzy ludzie leczą się przez całe życie, Web.

- Taak, inni ludzie. Nie tacy jak ty.

Popatrzyła na niego tak jak nigdy przedtem.

- Pozwól, że opowiem ci o ludziach takich jak ja, Web. Kiedy Teddy i ja się pobraliśmy, był zawodowym żołnierzem. Wiedziałam, co mnie czeka: pobyty za granicą, gdzie nikt nie mówi moim językiem, albo na bagnistym odludziu tu, w USA, gdzie musieliśmy przejechać sto pięćdziesiąt kilometrów, kiedy chcieliśmy obejrzeć film w kinie. Ale kochałam Teddy'ego i robiłam wszystko z pełną świadomością. Potem przeszedł do Delty. Pojawiły się dzieciaki i chociaż pozostawaliśmy głównie w jednym miejscu, Teddy'ego nigdy nie było. Przez połowę czasu nie wiedziałam, gdzie jest. Żywy czy martwy. Czytałam o tym w gazetach albo oglądałam w CNN, tak jak wszyscy inni. Ale przetrzymaliśmy to. Potem wstąpił do HRT i myślałam, że to może będzie lepsze. Mój Boże, nikt mi nie powiedział, że formacja HRT jest jeszcze bardziej pomyłona niż Delta, Web, ani że mój mąż będzie poza domem częściej niż kiedykolwiek przedtem. Mogłam to znieść, kiedy miałam dwadzieścia lat i nie było dzieciaków. Już nie mam dwudziestu lat, Web. I mam troje dzieci, które wychowałam prawie sama, za wypłatę Teddy'ego, która po wszystkich tych latach służby dla kraju była mniej więcej taka jak zarobki kasjera w Kmart. Codziennie byłam przy dzieciach, a teraz moja najmłodsza córeczka chce wiedzieć tylko jedno, dlaczego tatuś musiał wyjechać. Dlaczego tatuś nie może wrócić do domu? I zupełnie nie wiem, co jej odpowiedzieć.

- Zginął, walcząc w słusznej sprawie, Deb. Zginął za swój kraj. Uderzyła pięścią w stół tak mocno, że wszyscy amatorzy kawy odwrócili się i spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

- To kupa bzdur i wiesz o tym. - Opanowała się z ogromnym wysiłkiem.

Ta kobieta wydawała się Webowi podobna do wulkanu próbującego rozpaczliwie na krótko przed wybuchem powstrzymać erupcję.

- On wybrał - powiedziała. - Chciał być ze swoimi kumplami, swoją bronią i swoimi przygodami. - Jej głos stał się spokojniejszy, smutniejszy. - Kochał was, chłopaków. Kochał ciebie, Web. Boże, nie masz pojęcia jak bardzo. O wiele bardziej niż mnie czy nawet własne dzieciaki, bo nie znał ich nawet w połowie tak dobrze jak ciebie. Walczyliście razem, ratowaliście sobie nawzajem życie, każdego dnia narażaliście się na niebezpieczeństwo i byliście na tyle dobrzy i na tyle wyszkoleni, że sobie radziście. Jako grupa. Najwspanialsza cholerna grupa, jaka kiedykolwiek istniała. Rozmawiał z wami o tym, o czym ze mną nigdy by nie pomówił. Miał drugie życie, którego częścią nigdy nie mogłam się stać. I było ono bardziej ekscytujące, bardziej ciekawe niż cokolwiek innego, co miał. - Rozłożyła ręce. - Jak zwyczajna żona i dzieci mogą konkurować z tym wszystkim? Teddy od czasu do czasu opowiadał mi trochę o tym, co robi, wybrane rzeczy, żeby utrzymać spokój w rodzinie. - Pokręciła głową. - Tak często nienawidziłam was wszystkich za to, że go nam zabieracie. - Podniosła świeżą chusteczkę do oczu, żeby otrzeć łzy.

Web miał ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć Debbie, ale nie wiedział, czy by jej się to spodobało. Czuł się winny wielkich i straszliwych zbrodni, a wcześniej nie wiedział nawet, że został postawiony w stan oskarżenia.

- Czy Teddy też miał terapeutę? - zapytał cicho.

Debbie wytarła oczy i wypła łyk kawy.

- Nie. Mówił, że gdyby ktokolwiek w HRT dowiedział się, że chodzi do psychiatry, to wyrzuciliby go z jednostki, bo w HRT nie ma miejsca dla słabych facetów. Poza tym mówił, że nie wie, dlaczego miałby to robić. Z nim wszystko było w porządku, nawet jeśli ja miałam jakiś problem z głową. Nie chciał, żebym tu przychodziła, ale postawiłam mu się, chociaż raz w życiu. Musiałam, Web, musiałam z kimś porozmawiać. I nie jestem jedyną żoną członka HRT, która spotyka się z psychiatrą. Są też inne, na przykład Angie Romano.

Angie Romano! Web był ciekaw, czy przychodziła porozmawiać o Pauliem. Może ją bił? Nie, raczej to ona biła Pauliego.

- Przykro mi, że nie byłaś szczęśliwa, Deb. Zaslługujesz na wszystko, co najlepsze. - W domu Web miał ze sto zdjęć, na których on i jego

kumple z Grupy Charlie robili razem zabawne rzeczy. Żadna żona nie pojawiała się na tych fotkach, bo nigdy nie były one zapraszane na ich wspólne wypadki. Web oceniał innych, nie potrafiąc wczuć się w ich sytuację. Nie chciał już nigdy powtórzyć tego błędu, ponieważ odkrycie swojej nieświadomości było tak druzgocące.

Popatrzyła na niego, wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Nawet próbowała się uśmiechnąć.

- No dobrze, już zrzuciłam tonę kamieni z serca, a teraz powiedz, jak idzie twoja terapia.

Web wzruszył ramionami.

- Jakoś idzie. Nie jestem pewien dokąd. Wiem, że straciłeś o wiele więcej niż ja, ale nagle przyszło mi do głowy, że ci faceci byli wszystkim, co miałem w życiu. A teraz ich zabrakło, a ja dalej żyję i nie jestem pewien dlaczego. Wydaje mi się, że nigdy nie będę tego wiedział na pewno.

- Przykro mi z powodu tego, co zrobiła Julie Patterson. Jest zupełnie rozbita. Zresztą nigdy nie była zbyt zrównoważona. Myślę, że przede wszystkim czuła niechęć do was, pozostałych facetów z Grupy Charlie.

- Julie może zrobić coś takiego jeszcze raz i znów to zniosę - powiedział bezbarwnym tonem.

- Powinieneś teraz odejść z FBI, Web. Zrobiłeś, co do ciebie należało. Cholernie dobrze służyłeś swojemu krajowi. Dałeś z siebie już dość. Nie mogą cię prosić o nic więcej.

- Pewnie po około trzydziestu latach psychogadki będę jak nowy.

- To naprawdę działa, Web. O'Bannon nawet mnie zahipnotyzował; sprawił, że myślałam o rzeczach, których nigdy bym się nie spodziewała w mojej głowie. Chyba naprawdę były głęboko ukryte. - Debbie ścisnęła mocniej jego dłoń. - Wiem, że obiad w moim domu był okropny. Nie wiedzieliśmy, jak z tobą rozmawiać. Chcieliśmy, żebyś czuł się swobodnie, ale wiem, że nic z tego nie wyszło. Dziwię się, że nie uciekłeś z krzykiem przed deserem.

- Nie chodziło o to, żebyście poprawiały mi samopoczucie.

- Byłeś taki dobry dla naszych dzieciaków przez te lata. Chcę, żebyś wiedział, jak bardzo wszystkie to ceniłyśmy. I nie ma wśród nas ani jednej, która nie cieszyłaby się z tego, że przeżyłeś. Wszystkie wiemy, ile razy ryzykowałeś życie, żeby nasi mężowie nie zginęli. - Wyciągnęła rękę nad stolikiem i dotknęła uszkodzonej strony jego twarzy, a potem przesunęła miękkimi palcami w górę i w dół po szorstkiej, połatannej powierzchni, i Web się nie cofnął.

- Wszystkie wiemy, jaką cenę zapłaciłeś, Web.

- Teraz akurat wydaje się, że było warto.

Toona wskoczył z powrotem na miejsce kierowcy i zamknął, a potem zablokował drzwi. Wyciągnął rękę i podał kopertę Francisowi, który siedział z boku na tylnym siedzeniu w czarnym jak smoła lincolnie navigatorze. Macy zajmował środkową kanapę w okularach przeciwsłonecznych, chociaż szyby pojazdu były przyciemnione. Miał słuchawkę w uchu i pistolet w kaburze. Peeblesa z nimi nie było.

Francis popatrzył na kopertę, ale jej nie wziął.

- Skąd ją masz, Toona? Nie dawaj mi żadnego gówna, kiedy nie wiesz, skąd przyszło. Nauczyłem cię chyba czegoś.

- Jest czysta. Już ją sprawdzili, szefie. Nie wiem, skąd przyszła, ale to nie jest bomba w liście ani nic takiego.

Francis chwycił list i powiedział Toonie, żeby jechał dalej. Gdy tylko jego ręka dotknęła przedmiotu umieszczonego w kopercie, wiedział, co zawiera przesyłka. Otworzył ją i wyjął pierścionek. Był mały, złoty i nie zdołałby go wsunąć na żaden palec, ale świetnie pasował na środkowy palec Kevina, kiedy Francis kupił dla niego ten drobiazg. Od wewnątrz na pierścionku wygrawerowane były imiona Kevin i Francis. Właściwie było tam napisane: FRANCIS I KEVIN. NA CAŁE ŻYCIE.

Westbrook poczuł, że zaczynają mu się trząść ręce, szybko podniósł wzrok i zobaczył, że Toona wpatruje się w niego, korzystając ze wstecznego lusterka.

- Ruszaj, do cholery, Toona, albo wystrzelam cały magazynek w twój cholerny łeb i twoja nędzna dupa trafi na śmietnik.

Navigator odjechał od krawężnika i przyspieszył.

Francis popatrzył na kopertę i ostrożnie wyjął list. Był on napisany samymi wielkimi literami, jak w jakimś filmie kryminalnym. Ten, kto miał Kevina, prosił - a raczej, rozkazywał - żeby Francis coś zrobił, jeśli jeszcze kiedyś chce zobaczyć chłopca żywego. Kazali mu zrobić dziwną rzecz. Francis spodziewał się, że będą żądać pieniędzy albo całości czy też części jego terytorium, i dałby im to, odzyskałby Kevina, a potem wytopiłby porywaczy i zabiłby ich wszystkich, prawdopodobnie gołymi rękoma. Ale w liście nie było takich żądań, więc czuł się zdezorientowany i nagle zaczął jeszcze bardziej bać się o Kevina, bo nie

miał żadnej wskazówki co do planów tych ludzi. Dobrze wiedział, jakie motywy kierowały ludźmi, kiedy robili wszystko, co tylko możliwe: od odebrania komuś pieniędzy po pozbawienie życia. Myślał, że widział już wszystko. Sądząc z treści listu, porywacze najwyraźniej mieli informacje na temat czegoś, o czym wiedział też Francis, o wyjątkowym położeniu budynku, przed którym zostali zastrzeleni wszyscy federalni.

- Skąd się wziął ten list, Toona?

Kierowca pochwycił jego spojrzenie we wstecznym lusterku.

- Twan powiedział, że list był w naszym lokalu w centrum. Ktoś wsunął go pod drzwiami.

Lokal w centrum był mieszkaniem własnościowym, jednym z nielicznych miejsc, które Francis wykorzystywał więcej niż kilka razy. Oficjalnie należało do pewnej spółki, utworzonej tylko po to, żeby taki narkotykowy baron mógł posiadać coś legalnie, unikając wyważenia drzwi przez policję. Ładnie je urządził, między innymi dzięki oryginałom obrazów paru braciaków z getta, których podziwiał i którzy próbowali zrobić coś prawie nierealnego, to znaczy żyć uczciwie. Zgadza się, Francis Westbrook był swego rodzaju mecenasem sztuki. Poza tym mieszkanie wypełniały wykonane na zamówienie meble, na tyle duże i mocne, że nie łamały się pod jego ciężarem. Adres tego lokum był jedną z najbardziej zazdrośnie strzeżonych tajemnic Francisa i tylko tam mógł się naprawdę zrelaksować. Teraz ktoś odkrył, gdzie znajduje się jego azyl, sprofanował to miejsce, i Francis wiedział, że nigdy nie będzie mógł tam wrócić.

Złożył list i wsunął go do kieszeni, ale małe pierścienie przytrzymał w swojej wielkiej dłoni i popatrzył na niego. Potem wyjął zdjęcie z kieszeni koszuli i też mu się przyjrzał. Zostało zrobione w dniu dziewiątych urodzin Kevina. Chłopiec siedział na barkach Francisa. Przyszli na mecz Czerwonoskórych i mieli na sobie koszulki w barwach klubu. Większość ludzi na trybunach myślała, że potężny Francis też jest Czerwonoskórym. Racja, wielki i czarny, na pewno nadaje się tylko do gry w futbol za oszałamiające sumy dolców. Pamiętał jednak, że Kevinowi wydawało się to bardzo czaderskie. Pewnie wolałby mieć ojca futbolistę niż handlarza narkotyków.

A co jego syn w rzeczywistości myślał o nim, mężczyźnie, którego uważał za swojego starszego brata, a który tak naprawdę był jego tatą? Co o nim myślał, kiedy w czasie strzelaniny trafiła go kula mająca zabić Francisa? Pamiętał, jak przytrzymał Kevina jednym ramieniem, by uchronić go przed kolejnymi obrażeniami, a w drugiej ręce trzymał pistolet i strzelał do sukinsynów, którzy zmienili przyjęcie urodzinowe w taniec śmierci. Nie mógł go nawet zabrać do cholernego szpitala, musiał zostawić go pod opieką Jerome'a. Kevin krzyczał, że chce być

z bratem, ale Francis nie mógł postąpić inaczej, bo po tej strzelaninie gliniarze byli wszędzie w Dystrykcie Columbia. Tylko czekali, aż się pokażą ranni mężczyźni, zaraz wzięliby się do zakładania obręczek. Gliniarze od dawna szukali jakiegoś pretekstu, żeby wsadzić jego tyłek do paki. I Francis pojechałby na przyjemne, długie wczasy pobytowe do jakiegoś więzienia o zastrzonym rygorze za nieszkodliwy czyn: przywiezienie rannego syna do szpitala, żeby lekarze mogli uratować mu życie.

Czuł, jak łzy napływają mu do oczu, i ze wszystkich sił starał się je powstrzymać. Pamiętał, że płakał tylko dwa razy w życiu. Kiedy Kevin się urodził i kiedy Kevin został postrzelony, prawie zabity. Zawsze stawiał sobie za cel zarobienie takiej ilości pieniędzy, żeby starczyło do końca życia dwóm osobom, jemu i Kevinowi. Bo po odejściu z „biznesu” Francis miał się przenieść na jakąś zakupioną wysepkę, a jego syn miał pojechać tam razem z nim, daleko od narkotyków, broni i towarzyszących temu wszystkiemu przedwczesnych zgonów. Może nawet zebrałby się na odwagę i powiedziałby Kevinowi prawdę: że jest jego ojcem. Nie był właściwie pewien, dlaczego wymyślił to kłamstwo o starszym bracie. Czy bał się ojcostwa? A może po prostu kłamstwa były integralną częścią życia Francisa Westbrooka?

Zadzwonił jego telefon komórkowy, tak jak było napisane w liście. Musieli go obserwować. Powoli podniósł go do ucha.

- Kevin?

Toona odwrócił głowę, kiedy to usłyszał. Macy zachował niezmacony spokój.

- Wszystko w porządku, mały? Dobrze cię traktują? - zapytał Francis. Skinął głową, kiedy usłyszał odpowiedź. Rozmawiali mniej więcej przez minutę, a potem połączenie zostało przerwane. Francis odłożył komórkę.

- Mace - rzucił.

Macy natychmiast się odwrócił i popatrzył na niego.

- Mace, musimy dotrzeć do tego faceta, Weba Londona. Sytuacja się zmieniła.

- Mówisz o zabijaniu czy o wymianie informacji? Chcesz, żeby przyszedł do nas, czy żebyśmy my poszli do niego? Lepiej, żeby to on nas znalazł, jeśli chodzi o info. Ale jeśli chcesz, żeby umarł, pójdę do niego i załatwię to.

Macy zawsze był taki logiczny. Czytał w myślach Francisa, samodzielnie rozważał całą sprawę, oceniał możliwości i uwalniał od stresów swojego szefa, który inaczej sam musiałby wszystko przeanalizować i podjąć trudne decyzje. Francis wiedział, że Toona nigdy taki nie będzie, nawet Peebles był ograniczony pod tym względem. Co za cho-

lerna ironia losu, biały chłopczyk z zamiłowaniem do zbrodni stał się jego najważniejszym człowiekiem, swego rodzaju bratnią duszą, na tyle, na ile czarny może rozumieć się z białym.

- Na razie potrzebna nam info. A więc on przyjdzie do nas. Jak myślisz, ile czasu to zajmie?

- Widziano, jak węszył w tym swoim bucarze, pewnie szukał śladów. Powiedziałbym, że nie trzeba będzie za długo czekać. Mamy ładną marchewkę i zawiesimy ją przed nim, kiedy się pojawi.

- Zróbmy to. Mace, dobrze wiedzieć, że jesteś gotowy, jakby co. - Francis rzucił okiem na Toonę.

- Po prostu robię swoje - odparł Macy.

Kevin popatrzył na mężczyznę, gdy ten chował telefon.

- Naprawdę dobrze ci poszło, Kevin.

- Chcę zobaczyć się z bratem.

- Wszystko w swoim czasie. Właśnie z nim rozmawiałeś. Widzisz, nie jesteśmy złymi ludźmi. Do diabła, mamy rodziny. - Zaśmiał się w sposób, który kazał Kevinowi przypuszczać, że wcale tak nie jest. Potarł palec w miejscu, gdzie był ślad po pierścionku.

- Dlaczego pozwolił mi pan z nim porozmawiać?

- No cóż, to ważne, żeby wiedział, że nic ci nie jest.

- Żeby zrobił to, co mu powiecie.

- Cholera, naprawdę bystry z ciebie dzieciak. Może szukasz pracy? - Znów się zaśmiał, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

- Chcę stąd wyjść! - krzyknął za nim Kevin.

Web nie czytał gazet od kilku dni. W końcu kupił „Washington Post” i przejrzał go, popijając kawę przy stoliku nieopodal wielkiej fontanny w centrum miasteczka Reston. Krążył wolno po aglomeracji Waszyngtonu i obciążał Biuro sporymi już opłatami za motel. Od czasu do czasu podnosił wzrok i uśmiechał się do dzieciaków, które wdrapywały się na obmurowanie fontanny i wrzucały do niej jednocentówki, podczas gdy matki trzymały je z tyłu za koszulki, żeby nie wpadły do wody.

Przerzucił wstecz działy Sport, Metropolia, Moda, aż dotarł do głównej części gazety. Przy stronie A6 jego obojętne nastawienie zniknęło. Przeczytał artykuł jeszcze trzy razy i uważnie popatrzył na dołączone do niego zdjęcia. Oparł się wygodnie, przetrawił to wszystko i stwierdził, że dochodzi do takich wniosków, że aż nie wydawały się one realistyczne. Dotknął uszkodzonej strony twarzy, a potem nacisnął palcem obie dziury od kul. Czy po tak długim czasie będzie musiał znów stawić temu czoło?

Wybrał jeden z zaprogramowanych numerów. Batesa nie było. Web poprosił, żeby przesłano wiadomość na jego pager. Perce oddzwonił po paru minutach. Web powiedział mu o artykule.

- Louis Leadbetter. Był sędzią w Richmond i prowadził sprawę Wolnego Społeczeństwa. Zastrzelony. Watkins był oskarżycielem w tej sprawie. Wchodzi do swojego domu i dom wybucha. Wszystko tego samego dnia. I jest jeszcze Grupa Charlie. To nasza grupa odpowiedzialna na prośbę Biura Regionalnego w Richmond. Sam zabiłem dwóch tamtych, zanim przypieklili mi twarz i zrobili we mnie dwie dziury. I jest jeszcze sam Ernest B. Free. Uciekł z więzienia, kiedy, trzy miesiące temu? Jeden ze strażników był opłacony, wywiózł go w więźniarce i w nagrodę za swój trud skończył z poderżniętym gardłem.

Odpowiedź Batesa była zaskakująca.

- Wiemy o tym wszystkim, Web. Nasze komputery od dawna przetwarzają te dane, a potem zdarzyły się tamte dwa zgony, morderstwa. I jest coś jeszcze.

- Co?

- Lepiej tu przyjedź.

Kiedy Web znalazł się w WFO, zaprowadzono go do sali operacji strategicznych, w której były wszystkie bajery, jakich można by się spodziewać po zamożnym federalnym kolosie walczącym ze zbrodnią: ściany pokryte miedzią, ultranowoczesny wewnętrzny system alarmowy, biały szum we wszystkich zagrożonych wejściach, skanery siatkówki i linii papilarnych, zatrząsienie komputerów o wielkiej mocy, sprzęt wideo i, co najważniejsze, świeża kawa w dużych ilościach i pagórek gorących pączków krispy kreme.

Web nalał sobie kubek kawy i przywitał się z niektórymi facetami biegającymi po wielkiej sali. Popatrzył na komputerowe plany podwórka i jego otoczenia, które przypięto pinezkami do wielkich tablic zawieszonych na ścianach. W różnych miejscach planów powykane były szpilki, oznaczające, jak wiedział Web, istotne dowody albo tropy. Tupot stóp, nieprzerwany klekot komputerowych klawiatur, brzęczenie telefonów, szelest papieru i gwałtownie rosnąca ciepłota ciał powiedziały Webowi, że coś się stało. Swego czasu należał do uczestników takich działań w sali narad wojennych.

- Oklahoma City podniosło poprzeczkę o wiele za wysoko - stwierdził Bates z ironicznym uśmiechem, kiedy Web usiadł naprzeciw niego. - Teraz wszyscy spodziewają się, że zbadamy parę kawałków metalu, przejrzymy parę kaset wideo, sprawdzimy parę numerów rejestracyjnych, postukamy przez chwilę w klawisze komputera i... bingo, mamy faceta po paru godzinach. - Upuścił swój notatnik na stół. - Ale to prawie nigdy nie przebiega tak gładko. Podobnie jak we wszystkim innym, trzeba mieć szczęście. No cóż, właśnie przekazano nam telegraficznie parę przełomowych informacji. Ktoś najwyraźniej chce, żebyśmy wiedzieli, że gdzieś tam jest.

- Dla mnie liczy się każdy trop, nieważne, skąd się wziął, Perce. Ktokolwiek to jest, nie będzie miał wpływu na sposób podążania tym tropem.

- Wiesz, że kiedy odszedłeś z WFO i zacząłeś się wspinać po linach i strzelać z wielkich karabinów, naprawdę nie mogłem się z tym pogodzić. Gdybyś trzymał się mnie, może pewnego dnia stałbyś się niezłym agentem FBI.

- Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz i tak umrzesz. Powiedziałeś, że jest coś jeszcze.

Bates skinął głową i podsunął Webowi wycinek z gazety.

- Scott Wingo... to nazwisko coś ci mówi, prawda?

- Taak, bronił naszego przyjaciela Ernesta B. Freego. Oczywiście nie było mnie w sądzie. Wciąż jeszcze wracałem do zdrowia. Ale faceci, którzy tam byli, mówili o Wingo.

- Sprytny i bystry. Załatwił temu facetowi łagodny wyrok. A teraz nie żyje.

- Został zamordowany?

- Słuchawkę jego telefonu posmarowano atropiną. Podnosisz słuchawkę, oczywiście przyciskasz ją do twarzy, do okolic nozdrzy. Atropina o wiele szybciej wchłaniana jest przez błony niż krwiobieg. Powoduje znaczne przyspieszenie pulsu, zwęża drogi oddechowe, może wywołać halucynacje, wszystko to w ciągu mniej więcej godziny. Gdyby człowiek miał chore nerki albo inne problemy z krążeniem, organizm nie mógłby się szybko pozbyć trucizny i zadziałałaby po krótszym czasie. Wingo był cukrzykiem, miał kłopoty z sercem i był przykuty do wózka inwalidzkiego, a zatem atropina stanowiła doskonały wybór. W soboty tylko on pojawiał się w biurze, więc nie było w pobliżu nikogo, kto by mu pomógł, kiedy zaczął odczuwać działanie atropiny. I wiadomo też było, że w weekendy oddzwania do wielu klientów, tak przynajmniej mówią faceci z Richmond.

- A więc ten, kto go zabił, znał i historię jego chorób, i rozkład zajęć?

Bates skinął głową.

- Leadbetter został zastrzelony, kiedy włączył lampkę w samochodzie, żeby przeczytać artykuł, który rzekomo polecił mu inny sędzia. Policjant, który odebrał ten telefon, mówi, że był to sędzia Mackey. Oczywiście Mackey nie dzwonił.

- Znów telefon.

- To nie wszystko. Sąsiad Watkinsa ruszał z podjazdu w czasie, gdy Watkins szedł do swojego domu. Powiedział policji, że widział, jak Watkins sięga do kieszeni i wyjmuje telefon. Facet nie słyszał melodyjki, ale wydawało mu się, że Watkins odbiera telefon. W domu był gaz, a on stuknął w przycisk mówienia. Bum.

- Czekaj chwilę - rzucił Web. - Telefon komórkowy to nie kontakt. Nie może zapalić gazu, bo nie wytwarza odpowiedniego typu i natężenia iskry elektrycznej.

- Zbadaliśmy telefon czy raczej to, co z niego zostało. Faceci od medycyny sądowej właściwie musieli zeskrobać go z ręki Watkinsa. Ktoś umieścił w telefonie solenoid, który miał wytworzyć dokładnie taką iskrę, jakiej potrzeba, żeby zapalić gaz.

- A więc ktoś musiał zwinąć jego telefon, prawdopodobnie gdy Watkins spał albo był z dala od aparatu przez jakiś czas, umieścił tam solenoid, a potem obserwował prokuratora, skoro to wszystko było tak dokładnie zgrane w czasie.

- Tak. Sprawdziliśmy telefony do Watkinsa i policjanta. W obu przypadkach użyto jednorazowych kart, które kupuje się za gotówkę, a potem wyrzuca. Nie ma żadnego śladu.

- Takich używają tajniacy. Rozumiem, że wasz jeszcze się nie pokazał?

- Zapomnij o naszym tajniaku.

- Nie, po prostu wróć do niego później. A więc jakie są najnowsze wieści o Freem?

- Nie ma nic. Tak jakby facet poleciał na inną planetę.

- Czy ta organizacja nadal istnieje?

- Niestety tak. Prawdopodobnie pamiętasz, że wypierali się uczestnictwa w ataku na tę szkołę w Richmond, a Ernie nie chciał kablować na swoje bratnie dusze, powiedział, że zaplanował tę robotę sam bez ich wiedzy, a więc sprawa potoczyła się w takim kierunku. Pozostali napastnicy nie żyli, dwóch dzięki tobie. Nie udało nam się złamać i skłonić do zeznań żadnego z pozostałych członków grupy, a więc Wolne Społeczeństwo nigdy nie zostało nawet o nic oskarżone. Przycichli na pewien czas z powodu negatywnego rozgłosu w mediach, ale mówią, że wracają ze świeżą krwią.

- Gdzie są teraz?

- Na południu Wirginii, koło Danville. Lepiej uwierz, że mamy to miejsce na oku. Przypuszczaliśmy, że drogi Ernie uda się tam po swojej ucieczce. Ale na razie się nie pokazał.

- Po tym wszystkim nie możemy dostać nakazu przeszukania ich głównej siedziby?

- A co, pójdziemy do sędziego i powiemy, że marny trzy morderstwa, sześć, jeśli wliczy się rodzinę Watkinsa, i myślimy, że może stać za nimi Wolne Społeczeństwo, ale nie mamy absolutnie żadnych dowodów łączących ich z atakiem na HRT czy kogokolwiek innego? Czy Związek Swobód Obywatelskich nie rzuciłby się na to z największą ochotą? - Bates przerwał na chwilę. - A jednak to wszystko ma sens. Prokurator, sędzia, doskonały motyw zemsty.

- Ale dlaczego obrońca? Uratował Erniego od śmiercionośnego zastrzyku. Dlaczego miałby go załatwić?

- To prawda, ale nie mówimy tu o racjonalnie myślących ludziach, Web. Nie wiadomo, może wkurzyło ich to, że ich kumpel, szaleniec jak i oni, w ogóle trafił do więzienia. A może Ernie pokłócił się ze swoim obrońcą i kiedy uciekł, postanowił wykończyć wszystkich.

- Cóż, przynajmniej powinno to oznaczać koniec zabijania. Nie został nikt więcej.

Bates sięgnął do jednej z teczek i wyciągnął kartkę papieru oraz zdjęcie.

- Niezupełnie. Pamiętasz, że w szkole zostały też zastrzelone dwie nauczycielki.

Web zaczerpnął głęboko powietrza, gdy bolesne wspomnienia zaczęły na nowo odżywać.

- I chłopiec, David Canfield.
- Zgadza się. No więc jedna z zamordowanych nauczycielek była zamężna. I wiesz, co się stało? Jej mąż zginął trzy dni temu w zachodnim Marylandzie, kiedy jechał z pracy do domu później niż zwykle.
- Zabójstwo?
- Nie na pewno. To był wypadek samochodowy. Policja prowadzi śledztwo. Wydaje się, że po prostu sprawca uciekł.
- Telefon odegrał w tym jakąś rolę?
- W samochodzie był jeden aparat. Skontaktowaliśmy się z policjantami i powiedzieli, że sprawdzą w wykazach, czy dzwoniło do niego tuż przed wypadkiem.
- A co się dzieje z rodziną drugiej nauczycielki?
- Mąż i dzieciaki przeprowadzili się do Oregonu. Skontaktowaliśmy się z nimi i są teraz chronieni przez całą dobę. Nie poprzestajemy na tym. Pamiętasz rodziców Davida Canfielda? Billa i Gwen?
- Web skinął głową.
- Przez pewien czas leżałem w College'u Medycznym Wirginii. Billy Canfield przyszedł do mnie parę razy w odwiedziny. To dobry facet. Naprawdę zdruzgotała go śmierć syna, ale kto by się tak nie czuł? Nigdy nie poznałem jego żony, a od tamtego czasu nie widziałem też Billy'ego.
- Przeprowadzili się. Mieszkają teraz w okręgu Fauquier, prowadzą stadninę.
- Czy przydarzyło im się coś dziwnego?
- Skontaktowaliśmy się z nimi, jak tylko skojarzyliśmy fakty. Powiedzieli, że nie stało się nic niezwykłego. Wiedzieli o ucieczce Freego. I Bill Canfield powiedział, cytuję, że nie chce naszej pomocy i ma nadzieję, że ten sukinsyn będzie chciał go dopaść, bo z wielką przyjemnością palnie mu w łeb ze strzelby.
- Billy Canfield nie jest łagodnym barankiem. Widziałem to, kiedy przychodził do mnie do szpitala; jest szorstki, twardy i pewny siebie. Paru facetów z mojej jednostki, którzy składali zeznania w czasie procesu, mówiło mi, że na sali sądowej też nie przebierał w słowach. Parę razy groziła mu kara za obrazę sądu.
- Prowadził własną firmę przewozową, a potem ją sprzedał, kiedy zginął jego dzieciak.
- Jeśli Wolne Społeczeństwo stoi za morderstwami w Richmond, to okręg Fauquier jest o wiele bliżej niż Oregon. Canfieldowie naprawdę mogą być w niebezpieczeństwie.
- Wiem. Myślałem o tym, żeby się tam przejechać i spróbować przemówić im do rozsądku.
- Pojadę z tobą.

- Jesteś pewien? Wiem, że wolałbyś nie wracać do tego, co się zdarzyło w tamtej szkole w Richmond.

Web pokręcił głową.

- To nie jest coś, o czym można zapomnieć, Perce, nieważne, ile minie czasu. Te dwie nauczycielki zginęły, zanim tam dotarliśmy. Nie mogłem temu w żaden sposób zapobiec, ale David Canfield został zabity na moich oczach.

- Zrobiłeś więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie, w dodatku sam nieomal zginąłeś. I na twarzy nosisz trwałą pamiątkę po tym. Nie masz żadnych powodów, żeby czuć się winny.

- A więc naprawdę mnie nie znasz.

Bates przyjrzał się uważnie Webowi.

- W porządku, ale nie zapominajmy o tobie, Web. Jeśli sprzątnięcie Grupy Charlie było celem Freech, to jeszcze go nie osiągnęli. Jesteś niedobitkiem.

Ledwie żywym, pomyślał Web.

- Nie martw się, patrzę w lewo i w prawo, zanim przejdę przez ulicę.

- Mówię poważnie, Web. Jeśli spróbowali raz, spróbują znowu. Ci ludzie to fanatycy.

- Taak, wiem. Pamiętaj, że mam „trwałą pamiątkę”.

- I jeszcze jedno. Podczas procesu Wingo wniósł przeciwko HRT i Biuru ten kontrpozew zarzucający nam bezprawne spowodowanie śmierci.

- To był stek bzdur.

- Zgadza się. Ale to im pozwoliło zebrać trochę danych o HRT. Wolne Społeczeństwo prawdopodobnie dowiedziało się czegoś o waszych metodach działania, procedurach i takich rzeczach. To mogło im pomóc zastawić pułapkę.

Web do tej pory nie brał tego pod uwagę. Właściwie miało to sens.

- Obiecuję, że jeśli zacznę odbierać jakieś dziwne telefony, pierwszy się o tym dowiesz. I sprawdzę, czy na słuchawce nie ma atropiny. Teraz opowiedz mi o tym tajniaku. Może Free brali w tym udział, ale musiał im pomagać ktoś z FBI. Wiem, że jest Murzynem, i trudno mi uwierzyć, że Free pracowałiby z człowiekiem, który nie ma białej skóry, ale teraz nie możemy sobie pozwolić na wykluczenie żadnej możliwości. Powiedziałeś mi, że Cove to samotnik. Co jeszcze o nim wiesz? - Web nie otrzymał na razie od Ann Lyle odpowiedzi na swoje pytania o Cove'a, a więc postanowił udać się prosto do źródła.

- Och, całkiem sporo. Materiały są w tamtej teczce, podpisanej: „Tajni Agenci FBI. Wszystko, co zawsze chciałeś wiedzieć”.

- Perce, ten facet może mieć kluczowe znaczenie.

- Nie ma! Uwierz mi na słowo.

- Mówię tylko, że pracowałem nad sprawami tego rodzaju. I wbrew temu, co myślisz, kiedy wstąpiłem do HRT, nie zapomniałem, co robi agent FBI. Miałem wspaniałego nauczyciela, tylko niech ci woda sodowa nie uderzy do głowy. A jeszcze dodatkowa para oczu zawsze się przydaje. Czy nie to zawsze mi wpajałeś?

- To nie tak się odbywa, Web, przykro mi. Przepisy są przepisami.

- Wydaje mi się, że pamiętam, jak mówiłeś mi co innego w tamtych czasach.

- Czasy się zmieniają, ludzie też.

Web usiadł wygodnie i zastanowił się, czy powinien teraz wykorzystać swoją atutową kartę.

- W porządku, co byś powiedział, gdybym poinformował cię o czymś, czego nie wiesz, a co może być ważne?

- Powiedziałbym: „Dlaczego, do diabła, nie poinformowałeś mnie o tym wcześniej?”

- Właśnie na to wpadłem.

- Taak, pewnie.

- Chcesz to usłyszeć czy nie?

- A co ty będziesz z tego miał?

- Dam ci info o tej sprawie, a ty zrobisz to samo dla mnie.

- Agdybym zmusił cię, żebyś mi to powiedział za friko?

- Zgódź się, ze względu na dawne czasy.

Bates stuknął palcem w teczkę, która leżała przed nim.

- Skąd mam wiedzieć, że to naprawdę coś, co mogę wykorzystać?

- Jeśli tak nie jest, nic mi nie będziesz winien. Zdam się na twoją opinię.

Bates przyglądał mu się jeszcze przez kilka chwil.

- Zaczynaj.

Web opowiedział mu o zamianie Kevina Westbrooka na innego chłopca. Gdy mówił, twarz Batesa stawała się coraz czerwiejsza i Web widział, że tętno mężczyzny na pewno nie ogranicza się do sześćdziesięciu czterech uderzeń, a prawdopodobnie znacznie wykracza poza liczby dwucyfrowe.

- Kiedy konkretnie na to wpadłeś? Chcę to wiedzieć z dokładnością do jednej minuty.

- Kiedy piliśmy piwo z Romano i wspominałem, że Kevin Westbrook, którego widziałem, miał dziurę w policzku, ślad po kuli. A on powiedział, że dzieciak, którego pilnował, nie miał nic takiego. Cortez to potwierdził. I nie ścigaj tych facetów. Zapewniłem ich, że powiadomię cię jak najszybciej.

- Nie wątpię. Kto by miał zamienić dzieciaki i po co?

- Nie mam pojęcia. Ale mówię ci, że dzieciak, którego uratowałem

w ulicze, i dzieciak, którego Romano przekazał rzekomemu agentowi FBI, to dwaj różni chłopcy. - Web puknął palcem w stół. - Czas na twoją opinię. Jest to coś warte czy nie?

W odpowiedzi Bates otworzył jedną z teczek, chociaż i tak recytował fakty z pamięci.

- Randall Cove. Czterdzieści cztery lata. W Biurze od początku pracy zawodowej. Był tylnym napastnikiem z Oklahomy, mistrzem USA, ale rozwalił sobie kolana przed naborem do NFL. To niedawno zrobione zdjęcie. - Bates przesunął je po blacie i Web popatrzył na twarz Cove'a. Facet miał krótką brodę, dredy i wzrok, który można było określić tylko jako przeszywający. Liczby mówiły, że jest to wielki mężczyzna: około stu dziewięćdziesięciu centymetrów wzrostu, sto dziesięć kilo wagi. Wydawał się wystarczająco potężny, by zmierzyć się z grizzly i może zwyciężyć. Web pochylił się, udając, że przypatruje się zdjęciu, a tak naprawdę czytał, ile mógł, z teczki, bo Bates jej nie zamknął. Po latach pracy w FBI zostało mu wiele sztuczek, które wspomagały pamięć krótkotrwałą, dopóki nie mógł wszystkiego zapisać. I nabył też wielkiej biegłości w czytaniu tekstów odwróconych do góry nogami.

- Umiał o sobie zadbać - powiedział Bates. - Znał ulicę lepiej niż większość szych z półświatka. I zachowywał spokój w trudnych sytuacjach.

- Taak, wydaje się, że białe bochenki po Princeton o imionach William i Jeffrey po prostu nigdy nie będą pasować do Narkotykowego Miasteczka w USA, zastanawiam się dlaczego - stwierdził Web. - Wspomniałeś wcześniej, że nie ma żony ani dzieciaków. A więc nigdy się nie ożenił?

- Nie, jego żona nie żyje.

- I nie mieli dzieci?

- Mieli.

- Co się z nimi stało?

Bates poruszył się niespokojnie na krześle.

- To się zdarzyło dosyć dawno.

- Zamieniam się w słuch.

Bates odetchnął głęboko i wydawało się, że nie zacznie mówić.

- Straciłem całą moją grupę, Perce, docenię ujawnienie wszystkich danych.

Bates pochylił się i splótł dłonie na stoliku przed sobą.

- Wykonywał pewne zadanie w Kalifornii. Miał mocną przykrywkę, bo chodziło o rosyjską mafię, a ci faceci gotowi są wystrzelić pocisk moździerzowy w twój tyłek za to, że kaszlesz w pobliżu nich. Przy Rosjanach włoska mafia to przedszkolaki - Bates przerwał.

- I?

- I jego przykrywka została zerwana. Wyśledzili jego rodzinę.

- I zabili ich?

- Zarznęli, tak by należało powiedzieć. - Bates odchrząknął. - Widziałem zdjęcia.

- Gdzie był wtedy Cove?

- Celowo zwabili go w odległe miejsce, żeby mieć wolną rękę.

- A jego nie chcieli dopaść?

- Próbowali, później. Poczekali, aż pochowa swoją rodzinę, to byli mili faceci. I Cove czekał na nich, kiedy przyszli.

- I zabił ich?

Bates zaczął szybko mrugać i Web zauważył tik nad lewym okiem mężczyzny.

- Zarznął. Tamte zdjęcia też widziałem.

- I Biuro pozwoliło temu facetowi po prostu dalej pracować? Czyżby nie byli za wcześniejszą emeryturą dla agentów, którym wymordowano rodzinę?

Bates rozłożył ręce z rezygnacją.

- Biuro próbowało do tego doprowadzić, ale Cove nie chciał odejść. Chciał pracować. I prawdę mówiąc, odkąd taki los spotkał jego rodzinę, facet pracował dłużej i ciężiej niż którykolwiek z naszych dotychczasowych tajniaków. Przenieśli go do WFO, żeby ewakuować go z Kalifornii. Powiem ci, że dotarł do miejsc, do których nigdy wcześniej nie udało nam się dotrzeć. Mamy wyroki skazujące na ważnych handlarzy z całego kraju dzięki Randallowi Cove'owi.

- Wygląda na bohatera.

Bates w końcu zapanował nad tikiem.

- Działa nieszablonowo, dużo robi po swojemu, a góra znosi coś takiego tylko do pewnego momentu, nawet w przypadku tajniaków, nieważne, czy zarznięto ich rodzinę. Ale nic z tych rzeczy tak naprawdę nie przyłgnęło do Cove'a. Nie mogę powiedzieć, że to nie zaszkodziło jego karierze, to znaczy Biuro nie ma zajęcia dla takiego faceta poza tajną robotą, i jestem pewien, że on też o tym wiedział. Ale on gra w zespole Biura. Zawsze się zabezpieczał. Zło miesza się tam z dobrem, a facet zawsze robił swoje. Do teraz.

- A wyśledzenie jego rodziny przez Rosjan... czy to nie było w jakiś sposób zawinione przez Biuro?

Bates wzruszył ramionami.

- Nie wydawało się, żeby Cove tak myślał. Zasuwał ostro od tamtego czasu.

- Wiesz, co mówią o zemście, Perce, to jedyne danie, które najlepiej jeść, kiedy jest zupełnie zimne.

Bates znów wzruszył ramionami.

- Możliwe.
 Web zaczynał się właśnie wkurzać.

- Wiesz, po prostu robi mi się gorąco na myśl o tym, że taki facet został w Biurze i mógł poprowadzić moją grupę zdradliwą ścieżką ku zagładzie, żeby pomścić żonę i dzieciaki. Czy nie macie jakiejś kontroli jakości w tym gównie?

- Ziemia do Weba, tajni agenci są innym gatunkiem. Żyją w kłamstwie przez cały czas, niekiedy wchodzą w to za głęboko i zmieniają front albo po prostu dostają świra, działając bez wsparcia. To dlatego Biuro wprowadza ludzi do akcji, a potem ich wycofuje i pozwala im naładować baterie przed innymi zadaniami.

- I zrobili to wszystko w przypadku Cove'a? Wycofali go, pozwolili mu się naładować? Zapewnili mu specjalistyczną pomoc, kiedy pochował rodzinę? - Bates milczał. -A może był taki dobry w tym, co robił, że po prostu pozwolili mu tyrać dalej, aż w końcu wybuchł i wrobił moją grupę?

- Nie będę o tym z tobą rozmawiał. Nie mogę o tym z tobą rozmawiać.

- A gdybym powiedział ci, że to niewiarygodnie głupie?

- A gdybym ja ci powiedział, że zaraz przeholujesz?

Mężczyźni patrzyli na siebie ze złością, dopóki ich gniew nie osłabł.

- A jego informatorzy? Czy też byli zawodowcami? - zapytał Web.

- Cove zawsze zachowywał ich dane dla siebie. Tylko on się z nimi kontaktował, nikt inny. Nasza procedura nie całkiem tak wygląda, ale jak powiedziałem, nie można było kwestionować wyników tego faceta. Takie miał zasady.

- A więc nie wiemy nic więcej o naszym celu? Mówiłeś, że to finansowy aparat jakiegoś interesu narkotykowego. Czyjego?

- Cóż, zdania są podzielone.

- Och, świetnie, Perce. Uwielbiam zagadki.

- To nie jest nauka ścisła, Web. Obszar, na którym rozbito twoją drużynę, jest kontrolowany w dużej części przez jedną ekipę, Wielkiego F.. Już ci o tym mówiłem.

- A więc to w jego interes mieliśmy uderzyć.

- Cove sądził, że nie.

- Nie wiedział tego na pewno.

- Wydaje ci się, że źli faceci noszą legitymacje związkowe albo identyfikatory, na których jest napisane: „Jestem członkiem ekipy X”?

- No więc co o tym myślał Cove?

- Uważał, że są to operacje finansowe znacznie większego gracza. Może grupy dostarczającej narkotyk o nazwie Oxycontin do Dystryktu Columbia. Słyszałeś o nim?

Web skinął głową.

- Faceci z DEA cały czas mówią o tym w Quantico. Nie trzeba produkować tego towaru ani martwić się, jak przenieść go niepostrzeżenie obok celników. Trzeba tylko dostać go w swoje ręce, co można zrobić na dziesięć różnych sposobów, a potem zaczyna się zarabianie pieniędzy.

- Nirwana kryminalisty - zażartował Bates. - To jeden z najskuteczniejszych i najczęściej przepisywanych środków przeciwbólowych dostępnych teraz na rynku. Blokuje sygnały o bólu przekazywane z nerwów do mózgu i wywołuje euforię. Normalnie wydzielany jest stopniowo przez dwanaście godzin, ale jeśli się go rozkruszy albo zapali, mózg odfruva, niektórzy mówią, że prawie tak jak po heroinie. Oxycontin może także spowodować zatrzymanie oddechu u osoby, która nadużywa tego leku, i takie przypadki są częste.

- Przyjemny skutek uboczny. Mówisz, że nie masz pojęcia, kto mógł być wtyczką Cove'a?

Bates stuknął w teczkę leżącą przed nim.

- Mamy pewne przypuszczenia. Ale to jest całkowicie nieoficjalne.

- Na tym etapie interesują mnie nawet plotki i kłamstwa.

- Skoro Cove wszedł tak głęboko, wydaje się nam, że informator musi być w wewnętrznym kręgu, bardzo blisko szefa. Randall zajmował się Westbrookiem, kiedy natknął się na tę sprawę z Oxy. Ale muszę zakładać, że to człowiek, którego używał do penetrowania interesu Westbrooka, pomógł mu się zorientować w tych nowych faktach. Antoine Peebles to główny dyrektor operacyjny Westbrooka, że tak to określe. Cholernie sprawnie wszystko zorganizował i to głównie z tego powodu nie udało się nam niczego znaleźć przeciw Westbrookowi. To Westbrook, a ten drugi to Peebles. - Perce przesunął po blacie stołu dwa zdjęcia.

Web popatrzył na nie. Westbrook był wręcz potworem o wiele potężniejszej budowy niż Cove. Wyglądał jak weteran, jego oczy, nawet kiedy patrzyły z papieru, odznaczały się bystrością, którą zawsze widziało się u tych, co przetrwali w ciężkich warunkach. Peebles prezentował się zupełnie inaczej.

- Westbrook to stary wyjadacz. Peebles wygląda tak, jakby kończył Stanford.

- Zgadza się. Jest młody i wydaje się nam, że to przedsiębiorca narkotykowy nowego typu, nie tak gwałtowny, bardziej praktyczny i cholernie ambitny. Na ulicy mówi się, że ktoś chciałby zrzeszyć wszystkich lokalnych dystrybutorów, aby działali wydajniej. Korzyści obejmowałyby silniejszą pozycję przetargową i obniżenie kosztów dzięki hurtowym zakupom. Prawdziwie biznesowe podejście.

- Może drogi Antoine chce być głównym dyrektorem zarządzającym, a nie operacyjnym.
- Może. Westbrook piał się w górę w swej ulicznej karierze. Widział i zrobił wszystko, czego można by się spodziewać, ale słyszeliśmy, że może będzie chciał się wycofać z biznesu narkotykowego.
- Cóż, Peebles może mieć inne plany, jeśli to on stoi za koncepcją konsolidacji lokalnych ekip. Ale przekazywanie cennych informacji Cove'owi nie całkiem współgra z pozycją następcy tronu. Jeśli zlikwidujemy interes, to czym będzie kierował Peebles?
- To jest problem - przyznał Bates.
- Kto jeszcze się tam liczy?
- Główny cyngiel Westbrooka. Clyde Macy.
- Bates podał Webowi zdjęcie Macy'ego, który, oględnie mówiąc, wyglądał tak, jakby powinien przebywać w celi śmierci. Macy był tak biały, że wydawał się anemiczny; skinhead o spokojnych, a zarazem bezlitosnych oczach, które kojarzyły się Webowi z najgorszymi znanymi mu seryjnymi mordercami.
- Gdyby Jezus zobaczył, że ten facet idzie w jego stronę, z krzykiem szukałby gliniarza.
- Najwyraźniej Westbrook pracuje tylko z najlepszymi - zauważył Bates.
- Jak Macy spiknął się z tymi wszystkimi braciakami? Wygląda jak biały suprematysta.
- Nie jest nikim takim. Najwyraźniej po prostu nie lubi mieć włosów na głowie. Nie wiemy za dużo o tym, co robił, zanim pojawił się w Dystrykcie. Chociaż nigdy nie udało nam się tego udowodnić, uważano go za żołnierza paru bossów, którzy zostali wysłani do federalnego raju w Joliet. Potem przyjechał do Dystryktu i przyłączył się do Westbrooka. Na ulicy ma zasłużoną reputację lojalnego ochroniarza często używającego skrajnej przemocy. Prawdziwy wariat, ale na swój sposób profesjonalista.
- Żaden przestępca nie odniesie sukcesu, jeśli nie zna swojego fachu.
- Jego pierwszym znaczącym wyczynem było wbicie tasaka do mięsa w głowę własnej babci, bo jak twierdził, robiła mu za małe obiady.
- Jak to możliwe, że przebywa na wolności po czymś takim?
- Miał tylko jedenaście lat, więc odsiedział swoje w poprawczaku. Od tego czasu facet popełnił tylko jedną zbrodnię, mianowicie trzy razy dostał mandat za przekroczenie prędkości.
- Sympatyczny gość. Czy mógłbym zatrzymać te zdjęcia?
- Proszę bardzo. Ale jeśli napotkasz Macy'ego w ciemnej uliczce czy nawet na dobrze oświetlonej ulicy, to radziłbym ci uciekać.
- Jestem z HRT, Perce. Zjadam takich facetów na śniadanie.

- Racja. Mów tak dalej.
- Jeśli Cove jest naprawdę taki dobry, jak mówisz, to nie dałby się tak po prostu wciągnąć w zasadzkę. Dzieje się tu coś innego.
- Może, ale każdy popełnia błędy.
- Czy Cove faktycznie nie wiedział, kiedy tam pojedziemy?
- Tak. Cove nie znał daty ataku.
- Jak to możliwe?
- Chcieli uniknąć przecieków, a i tak by go tam nie było, więc nie należał do osób, które musiały to wiedzieć.
- Świetnie, nie ufaliście własnemu tajniakowi. To nie znaczy, że nie mógł uzyskać tej informacji z innego źródła. Na przykład z WFO.
- Albo z HRT - odpalił Bates.
- A obecność w budynku księgowych, potencjalnych świadków, to były meldunki Cove'a? - Bates skinął głową. - Wiesz, Perce, tak miło byłoby wiedzieć to wszystko wcześniej.
- Zasada brzmi: tylko to, co musisz wiedzieć, Web. A nie potrzebowaliście tej wiedzy, żeby wykonać swoją robotę.
- Jak, do diabła, możesz tak mówić, skoro nie masz pojęcia, jak wykonuję swoją robotę?
- Znowu niebezpiecznie zbliżasz się do pewnej granicy, przyjacielu. Pohamuj się!
- Do cholery, czy kogokolwiek interesuje to, że w czasie tej akcji zginęło sześciu ludzi?
- W szerokiej perspektywie, Web, nie jest to ważne. Tylko ludzi takich jak ty i ja to obchodzi.
- No dobrze, czy jest jeszcze coś, czego nie muszę wiedzieć?
- Bates wyciągnął z wielkiej sterty dokumentów bardzo gruby rozkładany segregator, wysunął jeden ze skoroszytów z jasnobrązowego kartonu i otworzył go.
- Dlaczego mi nie powiedziałeś, że Harry Sullivan to twój ojciec?
- Web natychmiast wstał i nalał sobie następną filiżankę kawy. Tak naprawdę nie potrzebował dodatkowej dawki kofeiny, ale przez ten czas mógł pomyśleć o odpowiedniej reakcji albo o jakimś kłamstwie. Kiedy wrócił na miejsce, Bates nadal przeglądał teczkę. Spojrzał na Weba i było jasne, że chce usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie, zanim przekaże mu materiały.
- Właściwie nigdy nie myślałem o nim jako o ojcu. Rozstaliśmy się, kiedy miałem zaledwie sześć lat. Dla mnie jest tylko jakimś facetem. - Po chwili zapytał: - Kiedy się dowiedziałeś, że jest moim ojcem?
- Bates przesunął palcem w dół po jednej z kartek.
- Dopiero kiedy wyciągnąłem całą twoją teczkę z informacjami o pochodzeniu. Szczerze mówiąc, kiedy patrzę na ten wykaz aresztowań

i wyroków skazujących, dziwię się, że miał czas cię spłodzić. Dużo tu różnych rzeczy... - dodał kusząco.

Web miał ochotę wyrwać teczkę z rąk Batesa i wybiec z pokoju. Ale po prostu siedział, wpatrywał się w kartki i czekał. Przestał zwracać uwagę na ogólną krzątaninę. Był tylko on, Bates i, na tych zapisanych stronach, jego ojciec.

- Dlaczego tak nagle zainteresowałeś się tym, jak powiedziałaś, „jakimś facetem”? - zapytał Bates.

- Chyba kiedy osiąga się pewien wiek, takie sprawy zaczynają się liczyć.

Bates włożył teczkę z powrotem do segregatora i przesunął go w stronę Weba.

- Życzę miłej lektury.

Pierwszą rzeczą, jaką Web zauważył, kiedy wrócił do motelu, była świeża plama oleju na miejscu parkingowym, z którego korzystał. Nic niezwykłego, bo ktoś mógł zaparkować na tym miejscu, i tylko przypadkiem znajdowało się ono dokładnie przed pokojem Weba. Zanim otworzył drzwi, obejrzał gałkę, udając, że szuka klucza. Niestety, nawet Web nie mógł stwierdzić, czy zamek został otwarty. Nie był wyłamany, ale ktoś, kto wiedział, co robi, mógł poradzić sobie z tym prostym urządzeniem w czasie, jaki zajmowało kichnięcie, i nie zostawić ani śladu.

Web jedną ręką uchylił drzwi, trzymając drugą na rękojeści pistoletu. Po około dziesięciu sekundach ustalił, że w pokoiku nikogo nie ma. Wszystko było na swoim miejscu, nawet pudełko, które zabrał ze strychu domu matki, nie zniknęło, a każda kartka papieru leżała w nim dokładnie tam, gdzie ją zostawił. Jednak Web przygotował przed wyjściem pięć różnych manipulapek rozsianych po całym pokoju i trzy z nich zostały naruszone. Przez wiele lat Web dopracowywał tę metodę, kiedy podróżował. No cóż, ten, kto przeszukał jego pokój, był dobry, ale nie doskonały. Było to pocieszające, tak jak świadomość tego, że dwustukilogramowy brutal, z którym zaraz się zmierzy, ma szklany podbródek i czasami się moczy.

Jak na ironię, kiedy spotkał się z Batesem, ktoś przeszukał jego pokój. Web nigdy nie miał naiwnego wyobrażenia o życiu, bo widział jego najgorsze strony i jako dziecko, i jako dorosły. A jednak zawsze myślał, że może polegać przynajmniej na Biurze i wszystkich pracujących tam ludziach, którzy ożywiali ten świat suchych formularzy i broni. Po raz pierwszy w jego karierze ta wiara została zachwiana.

Spakował swoje nieliczne rzeczy i po pięciu minutach był już na szosie. Pojechał do restauracji koło Starego Miasta w Alexandria, zaparkował samochód tak, żeby widzieć go przez okno restauracji, a potem jadł lunch i zapoznawał się z życiem Harry'ego Sullivana.

Bates nie żartował. Ojciec Weba był gościem niektórych z najwspanialszych zakładów karnych, jakie kraj miał do zaoferowania, przeważnie na Południu, gdzie, jak Web wiedział, budowano wyjątkowo udane

klatki dla ludzi. Jego rodzic popełnił niezliczone czyny karalne, wszystkie miały podobny charakter: były to zazwyczaj przestępstwa finansowe na małą skalę, przekręty w biznesie, malwersacje i oszustwa. Kiedy Web przeczytał niektóre stare protokoły sądowe i notatki o aresztowaniach z segregatora, odkrył, że główną bronią tego mężczyzny była gładka gadka i więcej hucpy, niż powinno przypadać na jednego człowieka.

W segregatorze znajdowały się różne zdjęcia jego ojca, robione od przodu oraz z prawego i lewego profilu, pod którymi biegł wąski rząddek numerów identyfikacyjnych więźnia. Web widział wiele policyjnych fotografii aresztowanych ludzi i wszyscy oni wydawali się nadzwyczaj podobni do siebie: ponurzy, przerażeni, gotowi odciąć sobie żyły albo strzelić w skroń. A Harry Sullivan na wszystkich zdjęciach się uśmiechał. Ten sukinsyn szczyrzył zęby, jakby nabrał gliniarzy, chociaż to on został zgarnięty. Ale jego ojciec nie starzał się pięknie. Nie był już przystojnym mężczyzną ze zdjęć znalezionych na strychu. Ostatnia seria fotografii ukazywała bardzo starego mężczyznę, który nadal się uśmiechał, choć ubyło mu zębów. Web nie miał żadnego powodu, żeby się tym przejmować, a jednak trudno mu było oglądać fizyczny upadek tego mężczyzny w całej bezosobowej krasie kliszy Kodaka.

Web, czytając niektóre zeznania swojego ojca z rozpraw sądowych, chwilami nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Portret szczerwanego lisa wyłaniał się z kolejnych kwestii dialogu, gdy czujny recydywista walczył z oskarżycielami z determinacją dążącymi do wsadzenia go za kratki.

- Panie Sullivan - zapytał pewien prokurator okręgowy - czy nie jest prawdą, że tamtego wieczoru był pan...

- Przepraszam, chłopcze, ale jaki to był dzień? Pamięć nie służy mi już tak dobrze jak kiedyś.

Web prawie widział, jak prawnik przewraca oczami, odpowiadając:

- Dwudziesty szósty czerwca, proszę pana.

- Ach, racja. Mów dalej, chłopcze, świetnie ci idzie. Jestem pewien, że twoja mama jest z ciebie dumna.

Protokolant wystukał w nawiasie: „Śmiech na sali sądowej”.

- Panie Sullivan, nie jestem pana chłopcem - odparł prawnik.

- Cóż, wybacz mi, synu, bo nie mam doświadczenia w takich sprawach, z pewnością nie miało to nic znaczyć. Prawda jest taka, że nie wiem, jak cię nazywać. Chociaż jadąc z więzienia do tej pięknej sali sądowej, słyszałem, jak inni nazwali cię tak, jak ja nie określiłbym mojego największego wroga. Używali słów, które sprawiłyby, że moja biedna bogobojna mama przewróciłaby się w swoim porządnym katolickim grobie. Podważali twoją uczciwość i prawość, a jaki człowiek może długo znosić coś takiego?

- Nie obchodzi mnie ani trochę, co mówią o mnie przestępcy, proszę pana.

- Przepraszam, synu, ale najgorsze rzeczy wygadali strażnicy.

„Znów śmiech” - napisał na maszynie stenograf. Web wywnioskował z szeregu wykrzykników umieszczonych na końcu, że były to głośne wybuchy wesołości.

- Czy możemy kontynuować, panie Sullivan? - zapytał prawnik.

- Ach, nazywaj mnie Harry. Tak mam na imię, odkąd moja irlandzka dupa wyszła na ten świat.

- Panie Sullivan! - Web przeczytał, że powiedział to sędzia, i wydawało mu się, że wyczuwa za tymi słowami chichot, chociaż prawdopodobnie się mylił. Ale sędzia nosił nazwisko O'Malley, i może on i Harry Sullivan tak samo nienawidzili Anglików, nawet jeśli nie mieli żadnych innych wspólnych zapatrywań.

- Na pewno nie będę nazywał pana Harry- rzucił oskarżyciel i Web niemal widział święte oburzenie malujące się na twarzy tego mężczyzny, który musiał prowadzić taką rozmowę z pospolitym przestępcą i przegrywał starcie.

- Cóż, no więc, chłopcze, wiem, że masz za zadanie wsadzić moją starą, zwiędłą osobę do zimnej, ciemnej celi, gdzie mężczyźni traktują się nawzajem bez odrobiny szacunku. A wszystko to z powodu maleńkiego nieporozumienia, które być może sprowadza się do niewłaściwej oceny sytuacji, a może wypilem wtedy jedno czy dwa piwa za dużo. Ale i tak nazywaj mnie Harry, bo chociaż musisz przeświecić ten straszliwy uczynek, nie ma powodu, żebyśmy nie mogli być przyjaciółmi.

Web, kończąc przeglądać teczkę dotyczącą tego konkretnego rozdziału w życiu swego ojca, zauważył z pewną satysfakcją, że ława przysięgłych uwolniła Harry'ego Sullivana od wszystkich zarzutów.

Za ostatnie udowodnione przestępstwo jego ojciec dostał dwadzieścia lat. Wcześniejsze wyroki były o wiele łagodniejsze. Jak dotąd odsiedział czternaście w więzieniu w Południowej Karolinie, które Web znał ze słyszenia jako przedsionek piekła, i czekało go jeszcze sześć, chyba że zostałby zwolniony warunkowo albo, co wydawało się bardziej prawdopodobne, umarłby za kratkami.

Web zjadł ostatni kęs wędzonej wołowiny i wypił ostatni łyk dominion ale. Miał do zbadania jeszcze jedną teczkę. Przeczytał także te materiały, co nie zajęło dużo czasu, i zdumiał się, a w jego umyśle zaplanował jeszcze większy zamęt.

Biuro było dobre; zajrzeli pod każdy kamień. Kiedy sprawdzali twoje pochodzenie, to, do cholery, człowieku, rzeczywiście byłeś sprawdzony. Jeśli zgłaszałeś się do pracy w Biurze w jakimkolwiek charakterze, rozmawiali ze wszystkimi, z którymi zetknąłeś się w trakcie całe-

go swojego życia. Z twoją nauczycielką z pierwszej klasy, z kierownikiem od rozwożenia gazet, nawet z ładną dziewczyną, którą zabrałeś na szkolny bal i z którą potem się przespałeś. I bez wątpienia rozmawiali też z jej ojcem, przed którym musiałeś się tłumaczyć ze swojego nędznego postętku później, kiedy tajemnica się wydała, chociaż to właśnie owa niewinna dziewczynka zerwała z ciebie spodnie i przyniosła nawilżane prezerwatywy. Komendant drużyny skautów, rodzina żony, kierownik banku, który nie przyznał ci pierwszej pożyczki na kupno samochodu, kobieta, która obcinała ci włosy - nic, absolutnie nic nie było święte, kiedy FBI robiło swoje. I oczywiście zdołali wytropić drogiego Harry'ego Sullivana.

Na krótko przedtem ulokowano go w małej emeryckiej celi w Południowej Karolinie i Harry starał się wzbogacić wiedzę agentów o charakterze Weba Londona, swojego syna. „Mój syn”. Harry Sullivan podczas spotkania użył tego wyrażenia trzydzieści cztery razy, jak starannie policzył Web.

Harry Sullivan wydał o „moim synu” najlepszą opinię, jaką ktokolwiek mógł wyrazić o innej osobie, chociaż znał „mojego syna” tylko przez pierwsze sześć lat jego życia. Ale zdaniem Harry'ego Sullivana prawdziwy Irlandczyk mógł stwierdzić, czy „mój syn” ma to, co trzeba, od niemal pierwszego dnia po zdjęciu pieluch. I jego syn miał to, co trzeba, żeby zostać najznakomitszym agentem FBI, jaki kiedykolwiek istniał i miał kiedykolwiek się pojawić, i mogli przytoczyć jego słowa. A jeśli chcieli, żeby pojechał do Waszyngtonu i powiedział to samo decydentom, chętnie to zrobi, choćby nawet miał wmaszerować tam z kajdanami na nogach i rękach, bo jego serce i tak przepełniałaby dumą. Nie było na świecie niczego, co byłoby zbyt dobre dla „mojego syna”.

Web czytał dalej i jego głowa opadała coraz niżej, i w końcu prawie uderzył czołem o stół przy ostatnim zapisanym oświadczeniu Harry'ego Sullivana: „A czy dobrzy agenci, świetni agenci” - zaczął Harry - mogliby powiedzieć „mojemu synowi”, że jego ojciec myślał o nim każdego dnia przez te wszystkie lata, ani razu nie usuwając go ze swojego serca, i że Harry Sullivan, chociaż prawdopodobnie już się nie spotkają, pragnie, aby „mój syn” wiedział, że on go kocha i chce dla niego tego, co najlepsze? I żeby nie myślał bardzo źle o swoim staruszku dlatego, że tak się wszystko potoczyło? Czy dobrzy agenci zechcieliby powiedzieć to „mojemu synowi”, byłby im wielce zobowiązany, gdyby to zrobili. I czułby się zaszczycony, gdyby mógł kupić każdemu z nich piwo albo dwa, gdyby nadarzyła się kiedyś okazja, chociaż wcale się na to nie zanoszą, biorąc pod uwagę jego obecne warunki mieszkaniowe, jednak nigdy nic nie wiadomo.

Cóż, nigdy nic nie powiedziano Webowi. Nigdy wcześniej nie widział tego raportu. Do cholery z Biurem! Czy nigdy nie mogli nagiąć przepisów? Czy wszystko musiało przebiegać w sztywno ustalony sposób, tak jak oni chcieli, a jak coś się nie podoba, to droga wolna? A jednak Web mógł odkryć te informacje wiele lat wcześniej, gdyby naprawdę chciał. Po prostu nie chciał.

Następna myśl, jaka nagle przyszła Webowi do głowy, sprawiła, że jego twarz przybrała ponury wyraz. Jeśli Biuro przesłało Claire Daniels jego teczkę, to czy zapoznała się już ona z niektórymi albo wszystkimi informacjami dotyczącymi Harry'ego Sullivana? Jeśli tak, dlaczego nie uważała za stosowne mu o tym powiedzieć?

Web pochował teczkę do segregatora, zapłacił rachunek i ruszył do swojego vika. Dotarł do jednego z parków samochodowych Biura, zmienił pojazd i wyjechał nowym modelem grand marquis przez inną bramę, niewidoczną z ulicy, którą wcześniej przyjechał. Biuro nie cierpiało na nadmiar dostępnych bucarów, ale grand zastąpił maszynę po szesnastu tysiącach kilometrów przebiegu i Web przekonał kierownika, że zasługuje na coś ładniejszego niż jakiś dwudziestoletni „weteran” na górze, w kwaterze głównej, do której przydzielony był samochód. „Gdyby ktokolwiek widział w tym problem - dodał Web - niech porozmawia z Buckiem Wintersem, on jest moim najlepszym przyjacielem”.

Bates nadal przebywał w sali operacji strategicznych, kiedy wszedł ten mężczyzna. Perce podniósł wzrok i zrobił, co mógł, żeby nie okazać przerażenia.

Naprzeciwko niego usiadł Buck Winters. Klapy jego garnituru były doskonale zaprasowane, połysk butów regulaminowy. Chusteczka w butonierce wyglądała tak, jakby została ułożona za pomocą linijki. Mężczyzna był wysoki, barczysty, na twarzy miał wypisaną pewność siebie i inteligencję, uosabiał modelowego pracownika FBI. Może to dzięki temu zaszedł tak wysoko.

- Widziałem, jak London wychodził z budynku.

- Zgłosił się zgodnie z rozkazami.

- Och, z pewnością. - Winters położył dłonie na stole i wydawało się, że bada każdy szczegół w twarzy Batesa. - Dlaczego, do diabła, tak cię obchodzi ten facet?

- Jest dobrym agentem. I jak sam powiedziałeś, byłem dla niego kimś w rodzaju mentora.

- Szczerze mówiąc, ja wolałbym zapomnieć o czymś takim.

- Narazał życie dla Biura o wiele więcej razy niż ty czyja.

- To narwaniec. Tak jak wszyscy ci faceci z HRT Nie są częścią naszej struktury. Robią wszystko po swojemu i grają na nosach pozostałym z nas, jakby byli lepsi. Tak naprawdę są gromadką samców alfa z wielkimi karabinami, których aż swędzą ręce, żeby ich użyć.

- Wszyscy jesteśmy w tym samym zespole, Buck. To specjalistyczna jednostka, która zajmuje się tym, czym nie potrafi się zająć nikt inny. Taak, pewnie, są zarozumiali, ale kto by nie był na ich miejscu? Ale wszyscy jesteśmy agentami FBI; wszystkim nam przyświeca ten sam cel.

Winters pokręcił głową.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Tak, naprawdę. Gdybym nie wierzył, nie byłoby mnie tutaj.

- Byli też przyczyną niektórych z najgorszych chwil Biura.

Bates upuścił teczkę na blat.

- W tym całkowicie się mylisz. Biuro wrzuca ich w ogień prawie bez

uprzedzenia, a kiedy coś nie wypała, zwykle na skutek bezmyślnych rozkazów z góry, które - jak mógłby ocenić w mgnieniu oka każdy facet na linii frontu mający je wykonać - nie pasują do sytuacji, wszyscy rzucają się na nich. Właściwie to jestem zaskoczony, że dotąd nie poprosili, aby oddzielono ich od nas.

- Nigdy nie grałeś w gry, w które trzeba grać, żeby tutaj awansować, Perce. Masz nad głową szklany sufit, właściwie w twoim przypadku jest on raczej stalowy. Wyżej nie pójdziesz.

- Cóż, bardzo mi się podoba miejsce, w którym jestem.

- Mała rada: kiedy przestajesz tu awansować, w końcu zaczynasz spadać.

- Dziękuję za troskę o moją karierę - powiedział sucho Bates.

- Dostaję twoje sprawozdania na temat dochodzenia. Szczerze mówiąc, dość rzadko.

- Takie są wyniki dochodzenia.

- Jaka jest sytuacja Cove'a? Jakoś niejasno mi to tłumaczyłeś.

- Nie ma za bardzo o czym meldować.

- Oczywiście przyjąłeś założenie, że każdy tajniak, który nie pokażał się po tak długim czasie, jest martwy, a jeśli nie jest martwy, to zdradził, i powinniśmy go poszukiwać listem gończym.

- Cove nie zdradził.

- A więc rozmawiałeś z nim? Zabawne, nie widziałem tego w żadnym z twoich raportów.

- Ciągłe jeszcze badam tę sprawę. Ale rzeczywiście otrzymałem informacje od Cove'a.

- I co nasz znakomity tajniak powiedział o tym bałaganie?

- Ze jego zdaniem został wrobiony.

- Jezu, to szokujące - skomentował sarkastycznie Winters.

- Że nie chce się zgłosić, bo myśli, że kabel jest gdzieś w Biurze. - Bates wpatrywał się uważnie w Wintersa, kiedy to mówił, chociaż właściwie nie był pewien dlaczego. Przecież Winters nie przekazywał nikomu tajnych informacji, prawda? - Wie wszystko o przeciekach, które się zdarzają, i o nieudanych misjach. Myśli, że to, co się stało z HRT, to kolejny taki przypadek.

- Interesująca teoria, ale zakładam, że Cove nie ma na to żadnych dowodów.

To stwierdzenie wydało się Batesowi dziwne.

- Żadnych, z którymi chciałby mnie zapoznać - odparł. - Panuję nad tym, Buck. Wiem, jaki jesteś zajęty, i nie chcę zaśmiecać twojego przenikliwego umysłu szczegółami. Daję ci słowo, że jeśli pojawi się cokolwiek ważnego, pierwszy się o tym dowiesz. Będziesz mógł wtedy urządzić cyrk dla mediów. Jesteś w tym naprawdę dobry.

Winters nie mógł nie dostrzec w tych słowach ironii, ale najwyraźniej postanowił puścić to mimo uszu.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, ty i Cove naprawdę dobrze się znaliście w pewnym okresie. Kalifornia, zgadza się?

- Pracowaliśmy razem.

- Mniej więcej w tym czasie, kiedy wykończono jego rodzinę.

- Zgadza się.

- Katastrofa dla Biura.

- Właściwie zawsze myślałem, że to była katastrofa dla rodziny Cove'ów.

- Łamię sobie głowę nad przebiegiem ostatnich wydarzeń. Jak rozumiem, Cove odkrył w tamtym budynku centralę finansową ekipy narkotykowej.

- I wezwano HRT, żeby na nią uderzył - powiedział Bates. - W środku mieli być potencjalni świadkowie. HRT specjalizuje się w zgarnianiu te go rodzaju ludzi żywych.

- Chłopie, naprawdę spisali się po mistrzowsku. Nie zdołali samych siebie utrzymać przy życiu.

- Zostali wrobieni.

- Zgoda. Ale jak? Jeśli nie przez Cove'a, to w jaki sposób?

Bates wrócił myślami do swojego spotkania z Randallem Cove'em na cmentarzu. Cove uważał, że w Biurze jest przeciek, który ponosi winę za wszystkie rzeczy, które idą nie tak. Bates przez chwilę przypatrywał się Wintersowi.

- Cóż, przypuszczam, że aby dokonać czegoś takiego, ktoś musiałby mieć poufne informacje najwyższej wagi.

Winters oparł się wygodnie.

- Najwyższej wagi. Z samego środka Biura, mówisz?

- Wiadomo, poufne.

- To bardzo poważny zarzut, Bates.

- Niczego nikomu nie zarzucam. Po prostu wskazuję jedną z możliwości.

- O wiele łatwiej byłoby przekabacić jednego tajnego agenta.

- Nie znasz Randal la Cove'a.

- A ty może znasz go za dobrze. Tak dobrze, że widzisz szczegóły, ale nie pełny obraz. - Winters wstał. - Żadnych niespodzianek, Bates. Nic istotnego nie może się zdarzyć, jeśli nie będę o tym wcześniej wiedział. Jasne?

Gdy Winters wychodził, Bates mruknął pod nosem:

- Jasne jak w Waco, Buck.

Web jechał samochodem, kiedy zadzwoniła Ann Lyle.

- Przepraszam, że zabrało mi to tyle czasu, ale chciałam zdobyć dla ciebie coś konkretnego.

- W porządku. Właśnie dostałem pewne informacje o Cove'em z Biura; oczywiście przypominało to wyrywanie zębów.

- Cóż, ja mam dla ciebie pewną osobę.

- Kogo? Cove'a?

- Jestem dobra, ale nie aż tak, Web. Dotarłam do sierżanta policji z Dystryktu, który regularnie kontaktował się z Cove'em, kiedy pracował w rejonie WFO wiele lat temu.

- Lokalny glina kontaktem tajniaka z FBI? Jak to możliwe?

- To nic nadzwyczajnego, że tajniak wykorzystuje gliniarza, któremu ufa, jako pośrednika, Web. Cove miał takiego współpracownika podczas swojego pierwszego pobytu tutaj i ten facet zgodził się z tobą porozmawiać.

Web zjechał na pobocze, sięgnął po długopis i kartkę, a potem zapisał imię oraz nazwisko Sonny'ego Venablesa, który nadal był mundurowym w Dystrykcie Columbia, w Pierwszym Okręgu. Ann podała mu także jego numer telefonu.

- Ann, czy ktoś jeszcze namierzył Venablesa?

- Sonny nic mi nie mówił, a myślę, że wspomniałby o tym. Był nieformalnym kontaktem Cove'a, gdy ten pierwszy raz służył w Dystrykcie, a to było dawno temu. Niektórzy mogliby nie powiązać tych faktów. Chociaż Sonny Venables rzuca się w oczy - dodała.

- Wydaje się, że go znasz.

- Web, kochany, kiedy ktoś siedzi w branży tak długo jak ja, zna wszystkich. Często pracowałam z gliniarzami z Dystryktu.

- I Venables zgodził się ze mną porozmawiać? Dlaczego?

- Powiedział tylko, że słyszał o tobie. A ja dorzuciłam trochę od siebie, ale nie wiem, czy akurat to go przekonało.

- Ale wciąż nie znamy jego oceny sytuacji?

- Chyba to ty musisz się tego dowiedzieć. - Ann się rozłączyła.

Web zadzwonił na podany numer. Venablesa nie było, więc zostawił swoje nazwisko i numer komórki. Venables oddzwonił do niego po dwudziestu minutach i ustalili, że spotkają się jeszcze tego samego popołudnia. Web zadał mu też pewne pytanie, a Venables odparł, że zobaczy, co się da zrobić. Gdyby ten facet miał wiadomości o Cove'em, Web może zdołałby pójść tym tropem. Jednak niepokoiło go coś dotyczącego Batesa, mianowicie nie powiedział on Webowi, że Cove pracował w WFO przed swoim pobytom w Kalifornii. Tak naprawdę nie miało to jednak znaczenia. Web zajrzał do teczki tego faceta i jak przypuszczał, wychwyciłby to sam. Po prostu nie miał wystarczająco dużo czasu, żeby przeczytać całą historię życia Cove'a. Ale dlaczego Bates mu o tym nie powiedział?

Venables poprosił Weba, żeby spotkał się z nim wczesnym popołud-

niem w barze niedaleko jego rejonu, w czym nie było niczego niezwykłego. Web wiedział, że w takich lokalach można było ugasić pragnienie i przypadkiem podsłuchać jakieś informacje, które mogły później pomóc rozgryźć jakąś sprawę. Gliniarze przede wszystkim maksymalnie wykorzystywali czas.

Sonny Venables był biały, miał około czterdziestu pięciu lat, a kiedy kupowali piwo, powiedział Webowi, że pracuje w policji już prawie od dwudziestu. Miał mniej więcej sto osiemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i był potężnie zbudowany, cechował go ten rodzaj muskulatury, który uzyskuje się dzięki podnoszeniu ciężarów; mężczyzna wyglądał tak, jakby mógł podnieść po sportowemu tira. Nałożył czapkę baseballową, na której było napisane WSZYSCY RYBACY IDĄ DO NIEBA, i skórzaną kurtkę z logo związku rajdowców NASCAR na plecach. Jego szyja miała prawie taki sam obwód jak bardzo szeroka głowa. Jego głos zaś miał nosowe, zdroworoządkowe, południowe brzmienie. Web zauważył okrągły zarys puszki tytoniu do żucia na tylnej kieszeni jego dżinsów, gdy w barze zmierzali w stronę odgradzonego stolika. Znaleźli cichy kącik i usiedli przy piwie.

Venables powiedział Webowi, że pracuje na nocnej zmianie. Podało mu się to, było bardziej ekscytujące.

- Już niedługo odchodzę na emeryturę, dokładnie po dwudziestu latach. Wyjadę i przez resztę życia będę łowił ryby, pił piwo i patrzył, jak szybkie samochody jeżdżą po małym torze, tak jak robi większość porządnych gliniarzy. - Uśmiechnął się i pociągnął spory łyk piwa red dog. Eric Clapton bez końca śpiewał z szafy grającej o Layli. Web rozejrzył się. W bocznym pomieszczeniu dwaj faceci grali w bilard, kupka banknotów dwudziestodolarowych leżała na krawędzi stołu obok ich budweiserów light. Od czasu do czasu rzucali okiem na stolik, ale jeśli rozpoznali Venablesa albo Weba, to nie pokazali tego po sobie w żaden sposób.

Venables przypatrywał się Webowi znad swojego kufła z piwem. Mężczyzna miał dość zmarszczek, by można uznać, że ma pociągającą w swej surowości twarz człowieka doświadczonego. Gość, który dużo w życiu widział, w większości złe rzeczy - ocenił Web. - Tak samo jak on.

- Zawsze mnie ciekawiliście, wy, faceci z HRT.

- Czego tu być ciekawym? Jesteśmy tylko gliniarzami, którzy mają trochę więcej zabawek do dyspozycji.

Venables zaśmiał się.

- Hej, to przesadna skromność. Mam paru kumpli w FBI, którzy próbowali się dostać do HRT i wrócili z podwiniętymi ogonami. Mówili, że woleliby urodzić cholerne dziecko bez znieczulenia, tylko z patykiem między zębami, niż przejść przez to jeszcze raz.

- Widziałem zdjęcie Randalla Cove'a i sądząc z wyglądu, dałby sobie radę w HRT.

Venables przez chwilę wpatrywał się w pianę na swoim piwie.

- Prawdopodobnie zastanawiasz się, co Randy Cove miał wspólnego z takimi jak ja facetami ze wsi?

- Przemknęło mi to przez myśl.

- Dorastaliśmy razem w zapadłej dziurze w Missisipi, tak małej, że właściwie nie miała nazwy Przez cały czas uprawialiśmy razem sport, bo poza tym nie było nic do roboty w tamtej okolicy. I nasza mała zapadła dziura była stanowym mistrzem w futbolu dwa lata z rzędu. Graliśmy też razem w Oklahomie. - Venables pokręcił głową. - Randy był najlepszym biegającym tylnym napastnikiem, jakiego kiedykolwiek widziałem, a przecież z Oklahomy wywodzi się ich całe mnóstwo. Ja byłem cofniętym napastnikiem. Miałem miejsce w podstawowym składzie przez trzy kolejne lata, podobnie jak Cove. Blokowałem dla Randy'ego w każdym meczu. Wrzucałem swoje ciało w kłębowisko facetów jak cholerny pociąg bez maszynisty i uwielbiałem każdą minutę gry, chociaż teraz zaczynam odczuwać skutki tych starć. Widzisz, trzeba było tylko wywalczyć dla Cove'a malutki prześwit i chłopak biegł. Patrzyłem ze sterty ciał, a on już był w strefie końcowej, gdzie zwykle wisiało na nim paru facetów. Byliśmy mistrzami kraju na ostatnim roku, dzięki niemu. Oklahoma nie ceniła w tamtych czasach podania do przodu. Po prostu przekazywaliśmy cholerną piłkę Randy'emu Cove'owi, a on robił swoje.

- Wydaje się, że taka przyjaźń powinna przetrwać.

- Przetrwała. Nigdy nie miałem dość talentu, żeby grać w futbol zawodowo, ale Randy na pewno go miał, do diabła. Wszyscy, dosłownie wszyscy chcieli go mieć w swojej drużynie. - Venables przerwał i przesunął palcami po blacie stolika.

Web postanowił po prostu cierpliwie poczekać, aż facet przystąpi do sedna sprawy.

- Byłem z nim na obozie, kiedy rozwałił sobie kolana. Obaj wiedzieliśmy, co to oznacza, jak tylko to się zdarzyło. Wtedy nie było tak jak teraz, że po prostu idziesz do szpitala, lekarze cię łątają i wracasz na boisko w następnym roku prawie jak nowy. Jego kariera była skończona. Tak po prostu. A futbol, człowieku, futbol to było wszystko, co miał. Siedzieliśmy na tym cholernym boisku i płakaliśmy razem przez prawie godzinę. Nie płakałem nawet na pogrzebie mojej mamy. Ale kochałem Randy'ego. Był dobrym człowiekiem.

- Był?

Venables pobawił się pieprzniczką, a potem usiadł prosto, zsunął czapkę na tył głowy i Web zobaczył, jak wyskakuje spod niej kosmyk kędzierzawych siwych włosów.

- Zakładam, że wiesz, co się stało z jego rodziną - powiedział Venabies.

- Słyszałem trochę o tym. Ale może powiesz mi, co ty wiesz.

- O czym tu mówić? Biuro spieprzyło sprawę. Randy stracił żonę i dzieciaki.

- Widziałeś się z nim wtedy?

Wydawało się, że Venabies ma ochotę chlusnąć Webowi w twarz swoim piwem.

- Nosiłem cholerne trumny na pogrzebach. Niosłeś kiedyś zwłoki czterolatka? - Web pokręcił przecząco głową. - Cóż, powiem ci, że tego się nigdy nie zapomina.

- Czy tak ci powiedział Cove. Że to była wina Biura?

- Nie musiał mi tego mówić. Byłem gliniarzem. Wiem, jak takie rzeczy się rozsypują. Trafiłem w końcu do Dystryktu, bo moja żona jest stąd. Randy zaczynał u federalnych również tutaj. Chyba wiesz o tym. Używał mnie jako pośrednika, bo wiedział, że może mi zaufać, a to rzadkość w jego branży.

- Wydaje się, że to rzadkość w wielu branżach.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia pełne życiowej mądrości, co nastąpiło chyba w odpowiedniej chwili, wzmacniając świeżo powstałą więź.

- Potem Randy został przeniesiony do Kalifornii i to tam wykończył jego rodzinę.

- Rozumiem, że się zemścił.

Venabies popatrzył chłodno na Weba, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że ma wiele tajemnic, którymi nigdy nie zechce się podzielić.

- Ty byś tego nie zrobił?

- Myślę, że może bym się zemścił. Cove musi być naprawdę twardy. Rosjanie to nie jest waga lekka.

- Musiałbyś spróbować dorastać z niewłaściwym kolorem skóry w cholernie biednej części Missisipi. - Venabies pochylił się i opadł łokcie na stole. - Słyszałem o tobie. Czytałem gazety, trochę wiem od Ann Lyle. - Przerwał i wydawało się, że taksuje Weba wzrokiem. Potem Web zdał sobie sprawę, że Venabies wpatruje się w pokiereszowaną stronę jego twarzy.

- W czasie prawie dwudziestu lat służby wyciągnąłem pistolet może ze dwanaście razy, użyłem go w sześciu wypadkach. Cztery razy nie trafiłem w to, w co strzelałem, a dwa razy trafiłem. Nigdy nie zostałem ranny, nigdy nawet nie zadarłem skórki przy paznokciu, i to jest coś, czym można się chwalić w tym mieście, szczególnie w dzisiejszych czasach. Teraz jestem w Pierwszym Okręgu, który choć nie jest czystym i bogatym Północnym Zachodem, to nie jest też miejscem w ro-

dzaju Okręgów Szóstego i Siódmego w Anacostii, gdzie wystrzelano twoją grupę. I mam wielki szacunek dla facetów z cienkiej czerwonej linii, którzy oberwali, ale się podnieśli. Wydajesz się cholerną żywą reklamą właśnie takiej siły ducha.

- Nigdy o to nie prosiłem.

- Chodzi o to, że cię szanuję, bo inaczej nie siedziałbym tutaj i nie rozmawiałbym z tobą. Ale nigdy nie przekonasz mnie, że Randy zrobił coś złego. Wiem, że praca tajniaka mąci człowiekowi w głowie i że Randy nie ma powodu, żeby zachwycać się Biurem, ale nigdy nie przyłożyłby ręki do tego, co się stało z twoją grupą. Chcę, żebyś to zrozumiał.

- A ja chcę, żebyś zrozumiał, że chociaż wydajesz się cholernie szczery i chętnie wypiłbym z tobą kolejne piwo któregoś dnia, to nie mogę bezkrytycznie uwierzyć takim zapewnieniom.

Venables skinął głową ze zrozumieniem.

- Cóż, byłbyś durniem, gdybyś tak zrobił.

- Cove mógł odejść. Sprawdziłem to. Biuro proponowało mu nowe życie, pełną emeryturę. Jak myślisz, dlaczego tego nie przyjął? - zapytał Web.

- I co, przez następne czterdzieści lat kosiłby swój trawnik na nijakim przedmieściu na Środkowym Zachodzie? Randy taki nie jest. Co innego miał zrobić, jeśli nie zasuwać dalej? Może to zabrzmiało zabawnie, ale był dumny ze swojej pracy. Uważał, że czyni dobro.

- Ja też tak o sobie myślę. To dlatego tu jestem. Mam zamiar dowiedzieć się prawdy. Jeśli Cove brał w tym udział, może zemszczę się tak jak on. Nie mogę ci obiecać, że tego nie zrobię, chociaż jesteś jego przyjacielem. Ale jeśli nie miał z tym nic wspólnego, będę jego najlepszym kumplem. I uwierz mi, Sonny, większość facetów wolałaby mieć we mnie przyjaciela niż wroga.

Venables wyprostował się na krześle i wydawało się, że to rozważa. Potem najwyraźniej podjął decyzję. Pochylił się, popatrzył na bilardzistów, którzy nacierali kredą kije, palili papierosy i popijali piwo, a potem bardzo cicho zaczął mówić.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Randy. Ostatni raz odezwał się do mnie, zanim to wszystko się zdarzyło. Właściwie na długo przedtem.

- A więc nie rozmawiał z tobą o tym, nad czym ostatnio pracował?

- Musisz zrozumieć, byłem kontaktem Randy'ego w pierwszym okresie jego służby w Dystrykcie. Widziałem się z nim podczas jego kolejnego pobytu tutaj, ale nie w sprawach zawodowych, że się tak wyrażę. Wiedziałem, że pracuje nad czymś dosyć poważnym, ale nigdy nie powiedział mi nad czym.

- Więc już nie byliście tacy życzliwi?

- Byliśmy tak życzliwi, jak można być z kimś takim jak Randy. Po tym,

co się stało z jego rodziną, cóż, sądzę, że nie potrafił już być z nikim naprawdę blisko. Nawet ze starym Sonnym Venablesem z Missisipi, po tych wszystkich cholernych blokach, które dla niego montowałem.

- Czy wspominał o jakimś innym swoim kontakcie w policji?

- Nie, gdyby kogoś potrzebował, byłbym to ja.

- Kiedy ostatni raz go widziałeś?

- Niewiele ponad dwa miesiące temu.

- Jakie zrobił wtedy na tobie wrażenie?

- Był małomówny, błędził gdzieś myślami. Prawdę mówiąc, nie wyglądał za dobrze.

- Od pewnego czasu nie pojawia się w swoim mieszkaniu. Biuro to sprawdziło.

- Nigdy nie wiedziałem, gdzie ono jest; zawsze spotykaliśmy się na neutralnym gruncie z powodu jego pracy, tak naprawdę rozmawialiśmy o dawnych czasach. Myślę, że po prostu chciał z kimś pogadać. A jeśli miał coś do przekazania, zajmowałem się tym.

- Jak się z tobą kontaktował, kiedy chciał się spotkać?

- Nigdy nie dzwonił do mnie do domu. Dzwonił na posterunek. Za każdym razem używał innego nazwiska. I za każdym razem, kiedy się spotykaliśmy, podawał mi to nowe nazwisko, którym się posłuży, kiedy będzie dzwonił następnym razem, żebym wiedział, że to on.

- I nie zadzwonił po waszym ostatnim spotkaniu? - Web przyjrzał mu się uważnie. Venables zdawał się grać z nim w otwarte karty, ale tak naprawdę nigdy nie można było mieć pewności.

- Nie. Ani słowa. Zacząłem się martwić, czy coś mu się nie stało. Ma taką pracę, że niepokój jest uzasadniony.

Web usiadł prosto.

- A więc pewnie nie możesz mi pomóc go wytropić.

Venables dokończył piwo.

- Przespacerujmy się.

Opuścili bar i ruszyli wolno jedną z ulic, na której nie było wielu przechodniów. Dzień roboczy jeszcze się nie skończył i Web domyślał się, że większość ludzi prawdopodobnie wciąż jeszcze siedzi w swoich biurach i odlicza minuty do chwili, kiedy będzie mogła stamtąd wypaść.

- W pierwszym okresie pracy w WFO Randy używał pewnego mieszkania jako skrzynki kontaktowej, jeśli chciał zostawić mi wiadomość. Mówił mi, że zmieniał tam też ubrania, był to dla niego swego rodzaju azyl.

- Biuro o nim wiedziało?

- Nie. Myślę, że nawet wtedy nie ufał za bardzo szefostwu Biura. Przypuszczam, że to dlatego używał mnie.

- Prawdopodobnie mądrze robił. Byłeś tam ostatnio?

Venables pokręcił głową.

- Chyba trochę się boję tego, co mógłbym znaleźć, ale tak naprawdę nie jestem pewien dlaczego. Nie wiem nawet, czy Randy jeszcze tam bywa. Może tamten budynek wyburzono, a ja nic o tym nie wiem.

- Mógłbyś podać mi ten adres?

- Palisz, prawda?

- Nie.

- Teraz już tak. - Venables wyjął z kieszeni kurtki paczkę winstonów i podsunął ją Webowi, a ten po nią sięgnął. - Lepiej zapal, na wypadek gdyby ktoś patrzył. - Venables podał mu pudełko zapalek.

Web zapalił papierosa i starał się nie zakrztusić, a potem wsunął paczkę do kieszeni.

- Doceniam twoją pomoc. Ale jeśli Cove miał z tym coś wspólnego... - Web celowo nie dokończył.

- Myślę, że gdyby Randy zrobił coś takiego, sam nie chciałby dalej żyć.

Gdy Sonny Venables odszedł, Web wrócił do swojego samochodu, rozerwał paczkę papierosów i wyjął zrolowaną karteczkę, która znajdowała się w środku. Popatrzył na zapisany tam adres. W paczce były także trzy małe zdjęcia owinięte w papier. Web w rozmowie telefonicznej zapytał Venablesa o czarne dzieciaki z jaśniejszym odcieniem skóry mniej więcej w wieku Kevina Westbrooka, których zaginięcie zgłoszono w mieście w ciągu ostatniego miesiąca, i widocznie policjant tyle ich znalazł. Web popatrzył na trzy fotografie; uznał, że na wszystkich są nieco inne „wersje” Kevina. Twarze chłopców powiedziały mu, że wszystkie nadzieje na porządne życie zostały im już wydarto. Odjechał.

Dwadzieścia minut później Web wyglądał przez okno samochodu i doświadczał chyba najgwałtowniejszego w życiu spadku nastroju. Nie dbała uwaga Venablesa okazała się strzałem w dziesiątkę. Tam, gdzie kiedyś stał dom, azyl Randalla Cove'a, teraz rozpościerał się otwarty plac budowy; wysoki dźwig sterczał ze środka dziury, a grupa robotników właśnie zbierała się do domu po, jak mu się zdawało, ciężkim dniu. Na podstawie stopnia zaawansowania prac musiał przyjąć, że Cove nie używał swojej starej bazy w ostatnich czasach. Była to ślepa uliczka. Web zmiął kawałek papieru z zapisanym adresem i rzucił go na podłogę wozu. Ale mógł podejść Randalla Cove'a jeszcze z innej strony.

Zadzwoił z samochodu do Romano.

- Chciałbyś trochę powęszyć?

Zabrał Pauliego i ruszyli na południe w stronę Fredericksburga.

Romano rozejrzył się po wnętrzu samochodu.

- Co za gówniany wóz.

- To grand marquis, takim pewnie wożą dyrektora.

- Tak czy owak to kupa gówna.
- Następnym razem postaram się bardziej cię zadowolić. - Rzucił okiem na Romano i zastanowił się, co Angie mówiła o nim swojemu psychiatrze. Skoro Romano był dla niej najważniejszą osobą, pewnie miała o czym rozmawiać ze specjalistą od zdrowia psychicznego.
- Co słyszać w HRT?
- Po staremu, po staremu. Do niczego nas nie wezwano. Tylko ćwiczymy. Zaczyna mnie to nudzić, człowieku.
- Wytrzymaj, Paulie, już wkrótce będziesz miał okazję postrzelać ze swoich pukawek.
- Może powinienem wstąpić do Legii Cudzoziemskiej czy czegoś takiego.
- Po prostu nie chcesz przyznać, że jest ci dobrze.
- Faceci trochę o tobie rozmawiali, Web.

London powinien był się spodziewać tego wątku, ale i tak poczuł się zaskoczony.

- I co mówią?
- Zdania są podzielone, prawie po równo.
- Jezu, myślałem, że jestem bardziej popularny.
- Nie o to chodzi. Nikt nie myśli, że jesteś tchórzem. Zrobiłeś za dużo szalonych rzeczy przez te lata.
- Ale?
- Ale niektórzy faceci uważają, że jeśli ktoś raz nawalił, to może znów nawalić. Gdybyś wtedy nie zastygł, nie zmieniłoby to losu Grupy Charlie, ale następnym razem mogłoby być inaczej.

Web popatrzył przed siebie.

- Chyba nie mogę temu zaprzeczyć. Może to ja powinienem wstąpić do Legii. Jesteś uzbrojony?
- A czy politycy kłamią?

Randall Cove mieszkał na peryferiach Fredericksburga w Wirginii, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południe od Waszyngtonu, gdzie pracował, czyli mniej więcej dwa razy dalej, niż nakazywałaby praktyczna zasada Ann Lyle dotycząca minimalnej odległości, jaką tajni agenci powinni utrzymywać między swoim miejscem zamieszkania a rejonem działania. Adres domowy Cove'a był jedną z informacji, które Web wyczytał ukradkiem z teczki Batesa.

Ledwie uniknęli jazdy w godzinach szczytu i czterdzieści minut później wjechali na cichą podmiejską ulicę, przy której mieszkał Randall Cove. Stał przy niej szereg jednakowych domów. Na tablicach stojących przed wieloma drzwiami oferowano wynajem. Na dworze nie kręciły się żadne mamy ani dzieciaki, chociaż pogoda była ładna,

a wzdłuż ulicy stało bardzo niewiele samochodów. To osiedle właściwie wyglądało na opuszczone, Web wiedział, że będzie tak, dopóki dojeżdżający do pracy nie zaczną wracać z Dystryktu Columbia i północnej Wirginii. Wszystko w tym miejscu wskazywało, że jest to sypialnia, bez wątplenia zajmowana głównie przez ludzi żyjących samotnie albo bezdzietne pary, którzy mieszkali tu dopóty, dopóki ich zarobki albo potrzeby powiększonej rodziny nie skłaniały ich do przeprowadzki. Rozumiał, dlaczego Cove wybrał takie miejsce. Nie miał tam ciekawskich sąsiadów, ludzie cenili sobie prywatność i w ciągu dnia nikt się nie kręcił w pobliżu, kiedy Cove prawdopodobnie był w domu. Web wiedział, że większość tajniaków zajmujących się narkotykami poluje w nocy.

Przed domem stał bucar na rządowych numerach.

- Federalna niańka - skomentował Romano. Web skinął głową i zastanawiał się, jak najlepiej to rozegrać. Podjechał do bucara i wysiedli z wozu.

Agent opuścił szybę, spojrzął na ich identyfikatory z FBI, a potem na Weba.

- Jest pan teraz sławny, nawet nie musi pan niczego pokazywać - powiedział agent, którego Web nie znał. Był to młody facet, pełen energii i nadziei. Web domyślał się, że prawdopodobnie nienawidzi teraz życia, bo musi obserwować ten dom, a nikt nie wierzył, że Randall Cove jeszcze kiedyś się do niego zbliży. Mężczyzna wysiadł z samochodu i wyciągnął do nich rękę.

- Chris Miller, z Biura Regionalnego w Richmond. - Błysnął identyfikatorem, wyjmując go z prawej kieszeni na piersi, by móc przywitać się silniejszą ręką, tak jak uczono w FBI. Biuro nie było doskonałe, ale skutecznie narzucało swoim agentom ujednolicony sposób wykonywania nawet najdrobniejszych czynności. Web wiedział, nie patrząc, że Miller ma dodatkową warstwę podszewki w marynarce, żeby pistolet, który pod nią nosił, jej nie przetaił. Wiedział też, że kiedy zatrzymał się za Millerem i podchodził do samochodu, agent wpatrywał się we wsteczne lusterko, a potem wbił wzrok w oczy Weba, bo oczy zawsze zdradzały zamiary człowieka.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i Web spojrzął na cichy, ciemny dom.

- Pilnujcie go przez całą dobę?

- Osiem, osiem i osiem - powiedział ze znużeniem Miller. Zerknął na zegarek. - Do końca mojej zmiany zostały jeszcze trzy godziny.

Web oparł się o sedana.

- Przypuszczam, że nie jest to zbyt ekscytujące.

- Nie, jeśli nie liczyć walki kotów, którą oglądałem jakieś dwie go-

dżiny temu - Miller przerwał, przyjrzał się dokładnie Webowi, a potem wyrzucił z siebie:

- Wie pan, myślałem, czy by nie spróbować dostać się do HRT.

- Cóż, zawsze przyda się nam paru dobrych ludzi. - Właściwie to sześcioro, pomyślał Web - żeby odbudować Grupę Charlie.

- Podobno eliminacje są piekielne.

Romano prawie prychnął.

- Zbierz wszystko, co słyszałeś, i pomnóż to przez dziesięć, wtedy zbliżysz się do prawdy.

Sceptyczne spojrzenie Millera powiedziało Webowi, że wyraźnie tego nie kupił. Był młody i za bardzo ufał w swoje zdolności, jak to młodzi.

- Byliście w Waco? - zapytał. Web i Romano skinęli głowami. - Strzelaliście tam?

- Właściwie próbowałem o tym zapomnieć i usunąć to nawet z podświadomości - odparł Web. Czy Claire Daniels nie byłaby dumna? - pomyślał.

- Wiedziałem - stwierdził z powątpiewaniem Miller, a Web zyskał pewność, że młody agent tak naprawdę nie zrozumiał, o co mu chodziło.

- Jak długo jesteś w Biurze? - zapytał Romano.

- Prawie dwa lata.

- Cóż, kiedy uzbierasz wielką trójkę, możesz spróbować dostać się do HRT. Przekręć do mnie kiedyś. Jeśli poważnie myślisz o HRT, mogę ci wszystko pokazać. - Romano dał mu swoją wizytówkę.

Gdy Miller chował kartonik do kieszeni, Romano i Web wymienili rozbawione spojrzenia.

- Człowieku, to byłoby wspaniale - powiedział Miller. - Podobno macie potężne uzbrojenie.

Web wiedział, że dla wielu kandydatów magnesem była broń. Znał paru mężczyzn, którzy zatrudnili się w Biurze tylko po to, żeby móc nosić supersprzęt i strzelać z niego.

- To prawda. I pokażemy ci, dlaczego zawsze jest lepiej, jeśli nie musisz go użyć.

- Pewnie. - Miller wydawał się rozczarowany, ale Web wiedział, że sobie z tym poradzi. Nastąpiła chwila niezręcznej ciszy, a potem Miller zapytał:

- Ee, mogę wam w czymś pomóc?

- Przyjechaliśmy tu tylko dlatego, że chcieliśmy zobaczyć to miejsce. Wiesz coś o tym facecie?

- Nie za dużo. Wiem, że jest wmieszany w to, co was spotkało. Człowiek się zastanawia, jak ktoś może się tak zmienić, to znaczy zwrócić się przeciwko swoim.

- Taak, faktycznie. - Web obejrzał rząd domów. Zaraz za nimi zaczynał się las. - Mam nadzieję, że ktoś pilnuje tyłów.

Miller uśmiechnął się szeroko.

- W każdym razie coś. Na tylnym podwórku jest pies. Jest ogrodzone. Jeśli ktoś spróbuje tamtędy wejść, czeka go niespodzianka. Chyba kosztuje to mniej niż trzymanie tu dwóch agentów.

- Chyba tak. - Web spojrzął na zegarek. - Zbliża się pora obiadu. Jadłeś coś?

Miller pokręcił głową.

- Zabrałem ze sobą trochę krakersów i tym podobnych rzeczy. Da się wytrzymać. I jak mówiłem, dopiero za trzy godziny pokaże się mój zmiennik. Najgorsze jest to, że nie ma gdzie skorzystać z kibla.

- Skąd ja to znam... Prowadziłem parę obserwacji na Środkowym Zachodzie. Zajmowałem się podejrzanymi czterystuhektarowymi farmami, które mogły okazać się ośrodkami dystrybucji narkotyków, i osiedlami przyczep, gdzie wypatrywałem kochanych chłopaków, którzy myśleli, że rabowanie banków i strzelanie do ludzi z obrzynków to także uczciwa praca. Musiałem się wstrzymywać albo sikać do butelki, albo po prostu stawałem na widoku na polach i spuszczałem paliwo.

- Taak - powiedział Romano. - A kiedy byłem w Delcie, kucailiśmy razem z chłopakami w rzędach w tym gównianym miejscu, w którym akurat byliśmy, i waliliśmy kupę. Poznajesz facetów naprawdę dobrze, kiedy srasz koło nich. Raz musiałem zastrzelić faceta akurat wtedy, kiedy stawałem klocka. Człowieku, powiem ci, że to było krępujące.

Wydawało się, że do Millera nie przemawia żaden z tych przynoszących ulgę sposobów. Web zauważył, że młody agent jest ubrany bardzo elegancko, i bez wątpienia sikanie do butelki albo narażanie się na „wykrycie” podczas takiej czynności nie było częścią jego wizerunku.

- Kawalek dalej przy szosie jest Denny's. Jeśli chcesz zjeść obiad, zostaniemy tutaj, dopóki nie wrócisz.

Miller wyraźnie nie mógł się zdecydować, czy opuścić posterunek.

- Takie propozycje nie trafiają się codziennie, Chris. - Web częściowo rozpiął kurtkę, aby Miller zobaczył, że jest uzbrojony. - I taak, strzelałem w Waco. Jedź i kup sobie coś dobrego.

- Na pewno wszystko będzie w porządku?

Romano odpowiedział swoim najbardziej groźnym głosem.

- Jeśli pojawi się ktokolwiek niepożądany, będzie żałował, że nie spotkał psa zamiast nas.

Po tych słowach agent Miller szybko wsiadł do swojego bucara i odjechał.

Web poczekał, aż wóz zniknie im z oczu, a potem podszedł do bagażnika granda, wyciągnął mały przyrząd oraz latarkę, rozejrzał się i ruszył wraz z Romano w stronę drzwi wejściowych domu Cove'a.

- Do cholery, ten gość przetrwałby może ze dwie minuty w HRT - powiedział Romano.

- Nigdy nie wiadomo, Paulie. Tobie się udało, prawda?

- Naprawdę chcesz się tam włamać?

- Taak, naprawdę. Jeśli to dla ciebie problem, to posiedź w samochodzie.

- Mam w życiu niewiele problemów.

Wytrych szybko uporał się z prostym zamkiem i po kilku sekundach byli już w środku. Web zamknął frontowe drzwi i włączył latarkę. Zobaczył przy wejściu alarm, ale nie był włączony. Przypuszczalnie tylko Cove znał kod. Podążyli krótkim korytarzem i weszli do salonu. Web oświetlił wszystkie kąty. Dłonie obu mężczyzn spoczywały na rękojeściach pistoletów. Dom było bardzo skromnie umeblowany. Web zakładał, że Cove i tak nie spędza tu za dużo czasu. Szybko przeszukali parter i nie znaleźli nic ciekawego, co nie zdziwiło Weba. Cove był weteranem, a weterani nieczęsto zostawiali w nieładzie szczegółowe opisy swoich zajęć tam, gdzie ktoś mógł je znaleźć.

Piwnica nie była wykończona. Stało tam parę pudeł. Romano i Web szybko zbadali ich zawartość. Jedynym przedmiotem, który przyciągnął uwagę Weba na dłużej, była oprawiona w ramkę fotografia Cove'a, jego żony i dzieci. Web poświecił latarką pod kątem, tak żeby promień nie odbijał się od szkła. Cove miał na sobie garnitur, na głowie nie było widać dredów, urodziwa twarz wyrażała pewność siebie. Jego uśmiech był zaraźliwy. Web patrzył przecież tylko na zdjęcie, a czuł, jak kąciki jego ust się unoszą. Cove jednym potężnym ramieniem obejmował żonę, a drugim otaczał dwoje dzieci. Jego żona była bardzo piękna, miała włosy do ramion, promienny uśmiech i oczy, które mogły wywołać drżenie u każdego mężczyzny. Chłopiec i dziewczynka wdali się w matkę. Wyrosłiby bez wątpienia na ślicznych ludzi, a w tym czasie ich rodzice zestarzeliby się razem. W każdym razie tak powinno wyglądać życie, ale rzadko tak się działo, przynajmniej w przypadku ludzi, którzy zarabiali w taki sposób jak Cove i Web. Fotografia uchwyciła drugą twarz agenta Randalla Cove'a, skupiając się na jego roli męża i ojca. Web wyobrażał sobie, jak dawny tylny napastnik, mistrz USA, rzuca piłkę futbolową do swojego syna na tylnym podwórku; może chłopiec odziedziczył talent sportowy po tacie. Może zostałby zawodowcem, co nie było dane jego ojcu. W filmie z Hollywood mogłoby się to zdarzyć, ale rzadko działo się tak w niesprawiedliwym prawdziwym życiu.

- Ładna rodzina - skomentował Romano.

- Już nie. - Web nie zechciał udzielić wyjaśnień.

Odłożył zdjęcie do pudełka i ruszyli po schodach na górę. Gdy światło latarki prześlizgnęło się po tylnych przesuwanych drzwiach, coś skoczyło na szkło. Web i Romano jednocześnie wyciągnęli pistolety, ale zaraz usłyszeli szczekanie i zrozumieli, że to czworonożny strażnik wykonuje swoją pracę.

Cóż, pies przynajmniej nigdy nikogo nie podkabluje; Web pomyślał, że może to dlatego uważano te zwierzęta za najlepszych przyjaciół człowieka. Zabierały ze sobą do grobu ludzkie tajemnice.

Popędzili na piętro, pragnąc skończyć na długo przed powrotem Millera. Webowi nie podobało się nabieranie innego agenta, ale zdecydowanie nie chciał, żeby przyłapano go na przeprowadzaniu bezprawnego przeszukania w domu jednego z głównych podejrzanych w śledztwie. Bates postawiłby na nim krzyżyk po czymś takim i Web prawdopodobnie nie mógłby mieć mu tego za złe. Na górze były dwa pokoje połączone łazienką. Pokój frontowy, którego okna wychodziły na ulicę, służył Cove'owi za sypialnię. Łóżko było zasłane, a w szafie znajdowało się niewiele ubrań. Web wyjął jedną z koszul i przymierzył ją do siebie. Jego noga prawie by się zmieściła w rękawie. Nie chciałby grać na obronie przeciw temu facetowi; z takim samym skutkiem można by było próbować powstrzymać półcieżarówkę.

Pokój w tylnej części domu był pusty. Urządzono go jak sypialnię, ale najwyraźniej nigdy nie pełnił takiej funkcji. Na wewnętrznych ściankach malej szafy nie było zadrapań od wieszaków, a na dywanie nie odcisnęły się ślady mebli. Mieli już wyjść, kiedy Web coś zauważył. Popatrzył na okna tego pokoju, a potem dostał się przez łazienkę do frontowej sypialni i też obejrzał tam okna. Dla ochrony prywatności zamontowano w nich żaluzje z wąskimi paskami; logiczne, skoro wychodziły na ulicę. Web wrócił przez łazienkę do drugiego pokoju. Tam też były przesłony, ale jak zauważył, nie żaluzje, tylko staromodne rolety. Okna tylnej sypialni wychodziły na gęste lasy, a więc tam prywatność mieszkańców nie była zagrożona. Web wyjrzał przez okno i zobaczył, gdzie zachodzi słońce. Tylne pokój był zwrócony ku północy, a więc po południu nie docierało tam ani trochę światła, któremu trzeba by zagradzać drogę. A skoro Cove nie używał tego pokoju, to po co w ogóle miał rolety? A jeśli już postanowiło się założyć zabezpieczenia w oknach, to czemu nie takie same w całym domu? W przypadku żaluzji można było przynajmniej wpuścić trochę światła i nadal cieszyć się prywatnością. Rolety zaś dawały albo pełne światło, albo całkowity mrok, a ponieważ w rzeczywistości z tyłu domu światła nie było wiele, a na suficie nie zainstalowano lampy, pokój bezustannie pozostawał w ciemnościach. Nie miało to wielkiego sensu, ale może Cove odzie-

dziczył takie rozwiązanie po poprzednim właścicielu i nie interesowała go jego zmiana.

- Co pobudziło twoje czułki? - zapytał Romano.
- Zasłony wybrane przez tego faceta.
- Wciskasz mi babskie gadki?

Web zignorował uwagę Romano i podszedł do okna. Rolety były podniesione. Web chwycił linkę i szarpnął. Roleta opadła, nie stało się nic niezwykłego. Zbliżył się do drugiego okna i zrobił to samo. Linka nawet nie drgnęła, a roleta się nie rozwinęła. Przez chwilę Web zamierzał po prostu dać sobie spokój i wyjść. Ale potem oświetlił mechanizm zapadkowy przesłony i zobaczył, że został on wygięty w taki sposób, że pociąganie za linkę na nic się nie zdawało. Przywrócił zapadce właściwe położenie i spróbował ponownie. Roleta opadła, Romano z otwartymi ustami patrzył, jak koperta, która była ukryta w zwiniętej zasłonie, wpada w ręce Weba.

Romano utkwiał w nim zdumione spojrzenie.

- Cholera, jesteś w tym dobry.
- Chodźmy, Paulie. - Web podniósł roletę i zbiegli po schodach. Romano sprawdził, czy droga jest wolna, a potem się wymknęli. Web zamknął za sobą drzwi wejściowe.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, Web zapalił górną lampkę i usiadł wygodnie, żeby obejrzeć to, co znaleźli.

Otworzył kopertę i wyjął pożółkły wycinek z gazety. Pochodził on z „Los Angeles Times'a” i informował o śmierci rodziny tajnego agenta z rąk rosyjskiej mafii. Urzędnik wypowiadający się w imieniu Biura ostro zaatakował przestępców i przyrzekł, że nie uciekną przed sprawiedliwością. Urzędnik został przedstawiony jako osoba bardzo dobrze zorientowana w przebiegu śledztwa. To on prowadził tajnego agenta, którego tożsamości nie zgodzili się ujawnić, chociaż dane zamordowanych członków jego rodziny podano do publicznej wiadomości. Web tylko pokręcił głową, odczytując nazwisko urzędnika Biura.

Percy Bates.

Miller przyjechał po kilku minutach, wysiadł i podszedł do ich samochodu. Poklepał się po brzuchu.

- Dziękuję za pomoc, chłopaki.
- Żaden problem - powiedział Romano. - Wiemy, jak to wygląda.
- Coś się działo, kiedy mnie nie było?
- Nie, wszystko gra.
- Hej, kończę służbę za jakieś dwie godziny. Mielibyście ochotę na piwo?
- My... -Web spojrzął za Millera, bo gasnące światło słoneczne właśnie odbiło się w dali od jakiegoś połyskliwego przedmiotu.

- Web, uważaj! - krzyknął Romano, ponieważ najwyraźniej zobaczył to samo.

Web wyciągnął rękę, chwycił Millera za krawat i próbował go pociągnąć w dół. Kula trafiła młodego agenta w sam środek pleców, przebiła mu pierś, świsnęła tuż przed Webem i roztrzaskała szybę po stronie pasażera. Romano był już obok samochodu, kryjąc się za jednym z kół. Wystawił pistolet nad maskę, ale nie strzelił.

- Web, spieprzajmy stąd.

Przez ułamek sekundy Web trzymał krawat Millera, gdy niedoszły kandydat do HRT osuwał się po masce samochodu. W końcu Web zobaczył wpatrujące się w niego martwe oczy, a potem ciało Millera uderzyło o ziemię.

- Web, zabieraj tyłek z wozu albo sam cię zastrzele.

Web schylił się, gdy następny pocisk rozwalił boczne tylne okno granda. Po czym wyślizgnął się i schował za tylnym kołem. W Akademii uczono, że przykucnięcie za kołami samochodu to najlepsza decyzja, bo bardzo niewiele rodzajów amunicji mogło się przedrzeć przez cały ten metal.

- Widziałeś coś? - zapytał Romano.

- Tylko to pierwsze odbicie światła. Od lunety. Cholera, dobre tyś się osiemset metrów stąd, w lasach, między tymi dwoma rzędami domów. Miller nie żyje.

- O kurde. To chyba było coś w rodzaju trzysta ósemki z nabojami w stalowych osłonkach i lunetą Littona powiększającą dziesięciokrotnie.

- Świetnie, taka sama broń, jakiej my używamy - stwierdził Web. - Po prostu nie podnoś swojej cholernej głowy.

- Och, dzięki, że mi powiedziałeś, Web. Właśnie miałem podskoczyć i zawołać mamusię.

- Nie możemy odpowiedzieć ogniem; nasze pistolety nie mają takiego zasięgu.

- Nie mógłbyś powiedzieć mi czegoś, czego nie wiem? Masz jakiś sprzęt w bagażniku?

- Miałbym, gdyby to był mój samochód.

Kolejna kula trafiła w wóz i obaj mężczyźni się skulili. Wkrótce następna przedziurawiła lewą przednią oponę. Po kolejnym strzale z chłodnicy uniosła się para.

- Nie sądzisz, że ktoś mógłby spróbować wezwać gliny? - narzekał Romano. - Czyżby snajperzy co dzień pojawiali się na przedmieściach?

- Mój telefon jest w samochodzie.

- Cóż, nie próbuj go wyjąć. Ten, kto jest w tym lesie, wie, co robi.

Wciągu następnych pięciu minut nie padły kolejne strzały; wtedy wreszcie w oddali usłyszeli syreny. Web powoli wychylił głowę i popa-

trzymał przez okna samochodu. Nie zobaczył w lasach żadnych rozbły-
sków.

Policja w końcu się pokazała i Web z Romano unieśli swoje iden-
tyfikatory, jednocześnie dając znak gliniarzom, żeby się schylili. Po ko-
lejnych paru minutach Web poczołgał się do radiowozu i wyjaśnił sytu-
ację. Nie padły już żadne strzały, a potem najwyraźniej pojawili się
wszyscy gliniarze z okręgu, a z nimi pół tuzina funkcjonariuszy stano-
wych. Lasy zostały przeczesane i nikogo nie znaleziono, chociaż na
polnej drodze prowadzącej do głównej szosy po drugiej stronie dzia-
łek, na których mieszkał Cove, były świeże ślady opon. Znaleziono też
kilka karabinowych łusek. Romano miał rację: naboje do trzysta ósem-
ki w stalowych osłonkach.

Chris Miller został oficjalnie uznany za zmarłego, a potem przyje-
chała karetka i go zabrała. Zanim zapięto worek na zwłoki, Web zauwa-
żył ślubną obrączkę na jego palcu. Cóż, panią Miller odwiedzą wieczo-
rem wysłannicy Biura do tej pory pojawiający się w jej złych snach.
Pokręcił głową i popatrzył na Romano.

- Naprawdę zaczynam mieć dość takiego życia.

Web i Romano złożyli już mniej więcej po trzy raporty. Przyjechał Bates i dobrał się Webowi do tyłka za prowadzenie śledztwa na własną rękę.

- Mówiłem ci, że będą chcieli cię dopaść, Web. Ale ty po prostu mnie nie słuchasz, uparty sukinsynu - prawil mu kazanie Bates.

- Hej, spokojnie - powiedział Romano.

- Czyja cię znam? - Bates naskoczył na niego.

- Paul Romano, szturmowiec z Grupy Hotel. - Wyciągnął dłoń.

Bates zignorował ten gest i znów odwrócił się w stronę Weba.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że Buck Winters szuka pretekstu, żeby cię zmiażdżyć? - Rzucił okiem na Romano. - Żeby oficjalnie skremować cały HRT? A ty ułatwiasz mu sprawę.

- Próbuję tylko się dowiedzieć, co spotkało chłopaków - odpowiedział Web. - Ty robiłbyś to samo na moim miejscu.

- Nie karm mnie tym szajsem. - Bates zamilkł nagle, bo Web uniósł do góry wycinek z gazety.

- Znalazłem to w domu Cove'a.

Bates powoli wyciągnął rękę i wziął wycinek.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał Web.

Bates poprowadził ich na spokojny odcinek ulicy, daleko od miejsca strzelaniny. Spojrzał na Romano, a potem pytająco na Weba.

- On jest w porządku - zapewnił Web. - Jest dopuszczony do wszelkiego rodzaju ściśle tajnych spraw.

- Raz byłem nawet w grupie chroniącej Arafata - powiedział Romano. - Jeśli chodzi o potencjalny cel, to dużo ludzi ściga tamtego faceta.

- Nie wspomniałeś, że pracowałeś z Cove'em w czasie, kiedy jego rodzina została zabita - zauważył Web.

- Nie muszę ci opowiadać historii mojego życia - rzucił sucho Bates.

- Może po prostu jesteś mi winien wyjaśnienie.

Bates złożył wycinek i wsadził go do kieszeni.

- To naprawdę nie była niczyja wina. Cove nie nawalił i my też nie. To był przypadek, a Rosjanie mieli szczęście. Chciałbym cofnąć czas, ale nikt nie może tego zrobić. Randy Cove to cholernie dobry agent.

- A więc Cove nie ma powodu, żeby szukać zemsty?
- Nie. Rozmawiałem z nim. Sam prawie został załatwiony krótko po zasadzce na Grupę Charlie. Mówił, że widział w tamtym budynku biuro wypełnione po brzegi wszystkim, co miało tam być.
- A więc według jego wersji został wrobiony, żeby dostarczyć nam fałszywe info. Wynieśli segregatory, a wnieśli karabiny? - powiedział Web.
- Coś w tym stylu. To była szybka akcja. Cove powiedział, że był w tym budynku na krótko przed waszym uderzeniem. Myślał, że namierzył większy interes narkotykowy.
- Perce, nie mam zamiaru ci mówić, jak masz wykonywać swoją pracę, ale może mądrze byłoby go sprowadzić. Wydaje się, że po zerwaniu przykrywkę potrzebuje ochrony.
- Cove umie się o siebie zatroszczyć. I więcej może zrobić na zewnątrz. Być może zbliża się do dużego dostawcy narkotyków.
- To mnie nie interesuje. Chcę tylko dorwać facetów, którzy nas podpuścili.
- O to właśnie chodzi, Web, to mogą być ci sami goście.
- Cóż, to chyba nie ma wielkiego sensu. Czemu dostawca narkotyków miałby chcieć, żeby Biuro ścigało go do skutku?
- Powodów mogło być wiele. Zemsta, chęć umocnienia kontroli nad dystrybutorami. Nawet wrobienie rywala: nasłali nas na niego, żeby zmniejszyć konkurencję.
- Niech pan mi pozwoli dobrać się do tych facetów - poprosił Romano - to „zmniejszą” coś innego, na przykład długość ich życia.
- Cove pewnie nie zgłasza się regularnie - domyślał się Web.
- Skąd wiesz? - zapytał Bates.
- Jeśli naprawdę jest taki dobry, wie, że wszyscy go podejrzewają. A więc nie wychyla się, nikomu nie ufa i prowadzi własne śledztwo, próbując odkryć prawdę, zanim ktoś go namierzy.
- To całkiem dobra dedukcja.
- Właściwie stwierdzam to na podstawie swojego doświadczenia - wyjaśnił Web.
- Skoro mowa o doświadczeniu, to w końcu oddzwonił do mnie Bill Canfield. Umówiłem się z nim na spotkanie, jutro w jego stadninie. Chciałbyś się do mnie przyłączyć?
- Już mówiłem, że tak. Ty też chcesz jechać, Paulie?
- Bates utkwiał wzrok w Romano.
- Jesteś tym samym Paulem Romano, który był w Delta Force, a potem w nowojorskim SWAT?
- Jest tylko jeden Paul Romano - odpowiedział zapytany bez cienia zrozumiałości.

- Arafat, tak?
- Hej, kiedy chce się wystać najlepszych z najlepszych...
- Dobrze, uważaj się za tymczasowo przydzielonego do innych zadań. Porozmawiam z twoim dowódcą.
- Romano wydawał się zdumiony.
- Co będę robił?
- To, co ci powiem. Do jutra.

Web wysadził Romano przy jego domu.

- Hej, Web, myślisz, że za tę nową robotę więcej zapłacą? - spytał, zanim wysiadł. - Angie mówi, że trzeba by kupić nową pralkosuszarkę i może wykończyć piwnicę.

- Na twoim miejscu nie wspominałbym Angie o niczym. Będziesz miał szczęście, jeśli nie dostaniesz mniej.

Romano pokręcił głową, wysiadając z samochodu.

- I tak przez całe życie.

Web ruszył i jechał bez celu. Czul przygnębienie z powodu Chrisa Millera i nie zazdrościł ludziom, którzy będą musieli powiedzieć o wszystkim jego żonie. Łudził się, że Miller nie miał dzieciaków, ale wyglądał na faceta, który był ojcem. Cholera, po prostu na świecie było za dużo cierpienia. W końcu Web uznał, że potrzebuje „dawki” staromodnej policyjnej pracy.

Dojechał zewnętrzną pętlą Obwodnicy Stołecznej do Autostrady Międzystanowej 395, skierował się na północ i poprowadził mercury'ego, którego załatwił mu Bates, po podniszczonym moście na Czternastej Ulicy, wiele lat wcześniej spadł tu na niego samolot startujący w czasie burzy śnieżnej z Lotniska Narodowego. Wziął kurs na taką część miasta, gdzie niewielu praworządnych obywateli, poza tymi, którzy się zgubili albo nosili broń i odznakę, odważało się zapuszczać, zwłaszcza o takiej porze.

Web znał tę okolicę. Była to ta sama trasa, którą jego oddział przemierzył w czasie swojej ostatniej akcji. Web wiedział, że samochód i jego rządowe tablice po prostu krzyczą „federalny”, ale w ogóle go to nie obchodziło. Przez godzinę krążył po wszystkich ślepych uliczkach, po wszystkich zaułkach, wjeżdżał do każdej dziury, która wydawała się obiecująca. Parę razy minął wozy patrolowe, które węszyły w poszukiwaniu czegoś podejrzanego, co tutaj przypominało sytuację kota w ptaszarni: to, czego szukałeś, było wszędzie cholernie blisko.

Już miał dać za wygraną, kiedy w świetle ulicznej latarni mignęło mu coś czerwonego. Zwolnił, szybko wyjął z worka swoją niezawodną lornetkę i przyjrzał się temu lepiej. To prawdopodobnie nie było nic takiego, bo wielu tutaj nosiło czerwone przepaski na włosach. Czerwone jak krew; nawet w takiej okolicy ludzie podchodzili do swojej pracy

z pełną świadomością jej celu, a także z poczuciem humoru. Po paru sekundach puls Weba przyspieszył. Facet miał nawet na sobie te same ciuchy: ciasny podkoszulek opinający napakowane ramiona i spodenki zwisające z tyłka. To był jego stary znajomy, lokalny dostawca świetnej superczystej kokainy do palenia i innych narkotyków, handlujący w uliczce, gdzie Grupa Charlie przebiegła swoją ostatnią prostą.

Web zgasił silnik samochodu, poczekał, aż koła przestaną się obracać, i po cichu wysiadł. Zastanawiał się, czy nie zabrać karabinu, ale potem uznał, że wystarczy pistolet. Trudno było skoczyć na kogoś z karabinem w rękę. Ścisnął pistolet i powoli skradał się uliczką, pozostając w półmroku. Żeby dotrzeć do gościa, musiał przejść pod uliczną latarnią. Ledwie znalazł się w kręgu światła, skądś rozległ się krzyk. Dzieciak popatrzył w górę, zobaczył go. Web zaklął pod nosem i zaczął biec.

- Wciąż chcesz kupić mój karabin? - krzyknął do niego, pędząc naprzód.

Chłopak dał w długą. Web wiedział, że nie powinien go gonić, bo nie był nawet porządnie uzbrojony, zatrzymał się. Gdyby podążył tą uliczką bez żadnego wsparcia, równie dobrze mógłby zadzwonić, żeby zamówić dla siebie trumnę. Decyzja nie była jednak łatwa, bo Web z całej duszy chciał dorwać „Bandanę”. Kiedy w myślach łączył kropki tworzące pewien wzór, jak to miał w zwyczaju, stwierdzał, że być może to „Bandana” nacisnął guzik pilota, który włączył laser, a ten z kolei uruchomił karabiny maszynowe, które unicestwiły najdroższych przyjaciół Weba. W końcu się zdecydował. Innym razem, przyjacielu. I wtedy nie zatrzymam się, dopóki moje ręce nie zacisną się na twojej cholernej szyi.

Odwrócił się, żeby pójść z powrotem do samochodu. Wtedy zobaczył, że nadchodzą. Miał wrażenie, że im się nie spieszy. Było ich może dwunastu. Wydłużone cienie na murze pokazały mu imponujący arsenał, który ze sobą nieśli. Web, odcięty od swojego samochodu, zaczął biec co sił uliczką. Słyszał, jak grupa znajdująca się za nim robi to samo.

- Cholera - powiedział sam do siebie. - Czy ktoś wyczułby podstęp?

Światło ulicznej latarni szybko zostało w tyle i Web mógł polegać tylko na obecności jakichś strzępków światła z nieba i odgłosach biegnących stóp z przodu i za sobą. Niestety, w tym labiryncie z wysokimi ścianami echo nie było wiarygodnym przewodnikiem. Web kluczył po zaułkach, aż w końcu się zgubił. Jeszcze raz skręcił za jakiś róg i zatrzymał się. Przypuszczał, że połowa ścigających okrążyła go łukiem, by uniemożliwić mu ucieczkę, chociaż sam nie wiedział, czy nie biega w kółko. Zdawało mu się, że wciąż słyszy, jak nadbiegają, ale nie mógł się zorientować skąd. Rzucił się w następną uliczkę i przystanął. Nasłu-

chiwat. Cicho. Była to cisza, która mu się nie podobała. Oznaczała, że się skradają. Spojrzał w lewo, w prawo, a potem w górę. W górę. Ten kierunek wydawał się dobry. Wspiął się po pobliskich schodach pożarowych, a potem zastygł w bezruchu. Kroki były już blisko. Dwaj mężczyźni wyłonili się zza rogu. Byli wysocy szczupli, mieli ogolone głowy, nosili skóry, workowate dzinsy z niskim krokiem pasujące do spacerniaka i toporne więzienne buty na grubych podszwach, którymi niewątpliwie z wielką chęcią zmiażdżyliby twarz Weba.

Stanęli i rozejrzeli się. Byli dokładnie pod nim. Tak jak wcześniej Web, popatrzyli w lewo, a potem w prawo. Wydawało mu się, że już za kilka sekund - podobnie jak on - spojrzą w górę. Zeskoczył więc, uderzając stopami w głowy stojących pod nim mężczyzn, obaj wpadli na ceglany mur. Web wylądował na ziemi trochę niefortunnie, wykręcając kostkę. Ponieważ krzepcy goście jęczeli i próbowali się podnieść, zdzielił każdego w kark ręką pistoletu, po czym zapadli w długą drzemkę. Życie ich broń, wrzucił ją do stojącego w pobliżu śmietnika, a potem pędem się oddalił.

Nadal słyszał tupot biegnących stóp, a od czasu do czasu także strzały. Nie wiedział, czy strzelała grupa pościgowa, czy też była to po prostu zwyczajna kłótnia gangsterów, jaka zdarzała się tutaj co wieczór. Wybiegł zza rogu i został uderzony, nisko i mocno. Siła ciosu zwała go z nóg, zgubił broń, upadając bezwładnie na asfalt. Przeturlał się i wstał, przyjmując postawę do walki.

Wyrósł przed nim „Bandana” z wielkim nożem, prawie tak dużym jak jego ramię. Uśmiechał się szeroko w taki sam gadzi sposób, jaki Web zaobserwował w uliczce tamtej nocy, kiedy przestała istnieć Grupa Charlie.

Web zauważył, że przeciwnik wprawnie trzyma swoją broń. Dzieciak prawdopodobnie stoczył ze sto bójek na noże. Był niższy od Weba, ale bardziej umięśniony, zapewne szybszy. To miała być klasyczna konfrontacja młodości z doświadczeniem.

- Cóż, chodź, nabierz trochę doświadczenia, młody człowieku - wymamrotał Web, przygotowując się do obrony.

Dzieciak rzucił się na niego, błyskając ostrzem noża tak szybko, że Web ledwo mógł nadążyć. Ale właściwie nie musiał się skupiać, wyprowadził półkoliste kopnięcie, które podcięło „Bandanę”, i dzieciak upadł ciężko. Szybko wstał, ale tylko po to, żeby otrzymać potężny cios w głowę. Web skoczył na ogłuszonego przeciwnika. Przycisnął do ziemi rękę trzymającą nóż, a następnie pozbawił „Bandanę” kontroli zarówno nad kosą, jak i nad przedramieniem. Kiedy ostrze przestało zapewniać mu bezpieczeństwo, a wyłamywane ramię zaczęło zbliżać się do jego twarzy, dzieciak wywinął się i uciekł, a okrzyki bólu przesu-

wały się wraz z nim w głąb uliczki, wydawało się, że jego gadzie nastawienie zostało obok noża na zakrwawionej ziemi. Web potrząsnął głową, żeby pozbyć się oszołomienia i zaczął iść chwiejnym krokiem w stronę pistoletu. Nigdy go jednak nie podniósł.

Mógł tylko patrzeć w milczeniu, jak ze wszystkich zakamarków wyłaniają się mężczyźni, odgradzając go od jego broni. Nieśli obrzynki i pistolety. Web czuł, że wszyscy są niezmiernie szczęśliwi, widząc go tutaj, w sytuacji, gdy mają dziesięciokrotną przewagę liczebną. Uznał, że nie zaszkodzi sobie, jeśli zachowa się agresywnie. Pokazał odznakę FBI.

- Mógłbym zgarnąć każdego z was za nielegalne posiadanie broni. Ale coś wam powiem, jestem teraz życzliwie usposobiony i nie palę się do związanej z tym papierkowej roboty, więc po prostu zabierzcie się stąd, zajmijcie swoimi sprawami i zapomnijmy o tym. Przynajmniej na razie. Ale nie wyciągajcie więcej tego gówna.

W odpowiedzi ruszyli do przodu. Wtedy Web cofnął się, aż poczuł za sobą ścianę, dalszy odwrót oraz ucieczka musiały pozostać w sferze wyobraźni. Potem dwaj członkowie nacierającej ekipy, znajdujący się na wprost niego, zostali odrzuceni na boki tak gwałtownie, jakby nagle przestali podlegać działaniu siły ciężenia. Web podniósł wzrok i stwierdził, że w powstałej „wyrwie” stoi najpotężniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widział poza stadionem i meczem zawodowego futbolu. Olbrzym miał jakieś dwa metry wzrostu i Web nie uwierzyłby, że waży on mniej niż sto osiemdziesiąt kilo. Zdał sobie sprawę, że jego nowym przeciwnikiem musi być legendarny Wielki F

Mężczyzna miał na sobie szaroczerwoną jedwabną koszulę z krótkimi rękawami, tak wielką, że Web mógłby używać jej jako koca. Beżowe lniane spodnie okrywały długie nogi, które jednak wydawały się krótkie, tak były grube i masywne. Nie miał skarpetek, jego białe stopy tkwiły w zamszowych mokasynach, a koszula była rozpięta do pępka, chociaż temperatura nie przekraczała dziesięciu stopni i wiał wietrzyk, który szybko wnikał pod ubranie. Czaszkę mężczyzny porastał leciutki puszek. Rysy twarzy pasowały do jego wielkich gabarytów. Miał toporny, bezkształtny nos i stożkowate uszy, każde przekłute mniej więcej tuzinem diamentowych kolczyków, które migotały imponująco nawet w tak kiepskim świetle.

Nie tracił czasu i podszedł prosto do Weba. Kiedy Wielki F wyciągnął rękę, żeby go chwycić, Web zadał facetowi wściekły cios w bębecz, który powaliłby boksera wagi ciężkiej. Wielki F tylko mruknął. Potem podniósł Weba, odchylił się do tyłu, jakby przygotowywał się do pchnięcia kulą, i rzucił dziewięćdziesięciokilogramowego Weba dobre trzy metry w głąb uliczki. Reszta gangu wrzeszczała drwiąco, klęła i na

różne inne sposoby wyrażała swą radość i urządzała sobie małą imprezę z kopaniem w tyłek agenta federalnego jako główną atrakcją, przybijając piątkę, wymieniając warknięcia i poklepując się nawzajem ze zwierzącą radością.

Web nie wstał jeszcze, kiedy mężczyzna znów na niego ruszył. Tym razem wetknął dłoń za pas Weba, dźwignął go w górę i cisnął nim o rząd koszy na śmieci. Web szybko się podniósł, z trudem chwytając powietrze i czując mdłości w wyniku cięgow, jakie zbierał. Zanim Wielki F zdążył do niego dojechać, Web popędził do przodu, opuścił bark i wbił swoje bardzo mocne ciało prosto w brzuch mężczyzny. Z takim samym skutkiem mógłby wałnąć w półciężarówkę. Padł na asfalt, nie przesunawszy Wielkiego F ani o centymetr. Chyba zwichnął bark. Web wstał, udał, że doznał poważnych obrażeń, a potem znieacka kopnął z wysokości i trafił Wielkiego F prosto w bok głowy. Krew pojawiła się w uchu Wielkiego F, Web z zadowoleniem zauważył, że pozbawił mężczyznę paru diamentowych kolczyków, które pozostawiły po sobie poszarpany, zakrwawiony płatek ucha.

A jednak Wielki F nadal stał niewzruszenie, jak jeden z otaczających ich murowanych budynków. Web takim kopnięciem zrzucił czterdziestopięciokilogramowe manekiny z podpórek. Jak to było możliwe? Cóż, nie miał czasu o tym pomyśleć, bo Wielki F, poruszając się szybciej, niż powinien być w stanie mężczyzna o jego tuszy, zadał Webowi potężny cios w bok głowy i prawie go znokautował. Parę sekund później Wielki F na wpół niósł, a na wpół włókł Weba wzdłuż uliczki. Jego buty i kurtka zgubiły się gdzieś po drodze, spodnie się podarły, a nogi i ramiona krwawiły.

Najwyraźniej tylko dla zabawy, bo Web nie stawiał już oporu, Wielki F cisnął nim głową naprzód, o śmietnik. To już naprawdę znokautowało Weba, trwał w stanie zamroczenia, dopóki nie poczuł, że rzucono go na coś miękkiego. Otworzył oczy; było to wnętrze mercury'ego. Wzdrygnął się, kiedy zobaczył, jak Wielki F zatrząskuje drzwiami i odchodzi. Facet nie powiedział ani słowa, a Web nigdy w życiu nie był bardziej upokorzony. Nic dziwnego, że babcia i Jerome tak się zachowywali. Do diabła, Jerome prawdopodobnie wciąż jeszcze uciekał.

Web powoli usiadł i pomacał palcami, czy ma złamane kości. Kiedy otworzył prawą dłoń, wyleciała z niej kartka papieru. Web przeczytał nabazgrane na niej liczby i słowa, a potem popatrzył ze zdumieniem na miejsce, w którym wcześniej stał Wielki F. Włożył karteczkę do kieszeni, wyjął kluczyki, zapalił silnik mercury'ego i z piskiem opon odjechał stamtąd w cholerę, zostawiając w zaułkach kurtkę, buty, pistolet i sporo pewności siebie.

Był wczesny ranek i Web moczył się w wannie w kolejnym nędznym motelu. Bolały go wszystkie części ciała. Zadrapania na ramionach i nogach piekły tak, jakby wypalono na nich piętno. Miał guza na czole, tam, gdzie jego głowa zderzyła się ze śmietnikiem, i podłużną ranę na niepołataną część twarzy, w której prawdopodobnie nadal tkwiły ziarenka piasku. Och, starzał się naprawdę pięknie. Powinien spróbować zostać modelem, kiedy odejdzie z Biura.

Zadzwoił telefon i Web wystawił rękę z wanny, żeby po niego sięgnąć. To był Bates.

- Zabiorę cię i twojego kumpla za godzinę sprzed domu Romano.

Web jęknął.

- Coś ci nie pasuje? - zapytał Bates.

- Byłem do późna na nogach. Mam strasznego kaca.

- Och, tak mi przykro, Web. Masz godzinę. Bądź tam albo przenieś się na inną planetę. - Bates się rozłączył.

Dokładnie po godzinie Bates zabrał Weba i Romano i ruszyli do krainy hodowców koni w Wirginii.

Bates popatrzył na świeże obrażenia Weba.

- Co ci się stało, do diabła? - zapytał. - Mam nadzieję, że nie skasowałeś następnego wozu, bo będziesz jeździł na rowerze. - Spojrzał na samochód Weba zaparkowany przy krawężniku.

- Poślizgnąłem się, wychodząc z wanny.

- Zrobiłeś to sobie, kiedy wychodziłeś z wanny? - Bates najwyraźniej w to nie wierzył.

- Wiesz, co mówią, Perce, większość wypadków zdarza się w domu.

Bates wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, w końcu postanowił porzucić ten temat. Na swojej liście miał dużo innych rzeczy.

Po godzinie jazdy zbiegli z autostrady i przebyli wiele kilometrów krętymi drogami, wijącymi się ostrymi zakrętami wśród gęstych lasów. Musieli przegapić gdzieś skręt, bo w końcu znaleźli się na polnej drodze, niemal zbyt wąskiej dla ich samochodu. Web popatrzył na przekrzywioną metalową bramę i tabliczkę obok niej, na której było napisane: FARMA EAST WINDS ZAKAZ POLOWANIA, ŁOWIENIA

RYB I WKRA CZANIA NA TEREN. OSOBY NARUSZAJĄCE ZAKAZ BĘDĄ ŚCIGANE SĄDOWNIE.

Wiedzieli, że East Winds to nazwa farmy Canfieldów. Web doszedł do wniosku, że zajechali do niej od tyłu. Uśmiechnął się, czytając napis. Cóż, do cholery, ci ludzie nie żartowali; trząsł się ze strachu. Spojrzał na Romano, który patrzył na tabliczkę i też się uśmiechał, bo prawdopodobnie pomyślał o tym samym. Ogrodzenie było tutaj niskie, deski przybite do słupków. Farma znajdowała się na zupełnym odludziu.

- Ludzie, którzy wiedzieliby, co robią, mogliby w sekundę przeskoczyć przez ten płot, dojść do głównego budynku, zabić Canfieldów i wszystkich innych, wypić drinka, pooglądać trochę telewizję, i prawdopodobnie nikt by o niczym nie wiedział aż do wiosennych roztopów - Romano ze znanstwem ocenił sytuację.

-Taak, a ponieważ morderstwo nie jest jednym z przestępstw wymienionych na tej tablicy - dodał Web - chyba nie ścigano by ich sądownie.

- Zatrzymaj te gówniane uwagi dla siebie - warknął Bates. Jednak Web widział, że facet się zaniepokoił. Farma była słabo zabezpieczona.

W końcu znaleźli właściwy skręt i dotarli do głównego wjazdu na teren East Winds. Dwuskrzydłowa brama przypominała Webowi tę przed Białym Domem. Przy takim braku ochrony całej posiadłości wielkie bramy nie zapewniały jednak bezpieczeństwa. Nad wjazdem rozciągał się ozdobiony ślimakowatym ornamentem metalowy łuk z wypisaną ogromnymi literami nazwą farmy. I w dodatku brama była otwarta! Zobaczyli domofon i Bates nacisnął guzik. Czekali, w końcu ktoś się zgłosił.

- Agent specjalny Bates z FBI.

- Zapraszam - powiedział głos. - Proszę jechać główną drogą, a potem skrócić w pierwszą w prawo, która zaprowadzi pana prosto do głównego budynku.

Gdy Bates ruszał, Web zauważył:

- Nie ma kamer. Równie dobrze moglibyśmy być Charliem Manso-
nem i jego ekipą.

Podążyli prosto przed siebie. Pagórkowaty zielony teren rozpościerał się jak okiem sięgnąć, duża jego część była poprzedzielana ogrodzeniami z desek. Wielkie bele siana leżały na polach. W oddali znajdował się mały staw. Główna droga była wyasfaltowana i biegła przez pewien czas prosto, a potem skręcała w prawo, omijając niewielką kępę wyniosłych dębów i orzeszników, przerosniętych karłowatymi sosenkami. Po prawej migały im między drzewami fragmenty ogromnej budowli.

W końcu dojechali do wielkiego piętrowego kamiennego domu

z wysokimi weneckimi oknami i szerokimi przesuwanymi drzwiami, zwieńczonego ogromną kopułą powleczoną warstwą cyny, którą żywióły pokryły patyną, z zamontowaną na czubku chorągiewką w kształcie konia i jeźdźca. Web uznał, że Martha Stewart mogłaby spróbować zastrzec sobie prawa autorskie do koloru kopuły, a potem sprzedawać go ludziom jako coś o wiele bardziej szlachetnego niż zwykła śniedz.

Skręcili w prawo, w bok od wozowni, i wjechali na długi, wyłożony płytami podjazd. Po obu jego stronach rosły w rzędach potężne klony, tworząc naturalny dach z konarów i liści.

Web popatrzył przed siebie i jego oczy się rozszerzyły. Ukazał mu się największy dom, jaki kiedykolwiek widział, cały zbudowany z kamienia. Ogromny frontowy portyk podpierało sześć masywnych kolumn.

- Cholera - powiedział Romano - wydaje się, że ma mniej więcej takie rozmiary jak Budynek Hoovera.

Bates zatrzymał samochód przed wejściem i zaczął wysiadać.

- To jest dom, Romano, więc powściągnij język i postaraj się nie przynieść wstydu FBI.

Ciężkie drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna.

Billy Canfield nie postarzał się pięknie, pomyślał Web.

Był nadal wysoki i szczupły, ale szerokie ramiona i wypukła klatka piersiowa - które Web zapamiętał z kilkakrotnych odwiedzin mężczyzny w szpitalu - pochyliły się i zapadły. Jego włosy były rzadsze i prawie całkiem siwe, a twarz jeszcze bardziej poodały zmarszczki. Gdy Canfield wyszedł im na spotkanie, Web zauważył, że mężczyzna utyka, i zobaczył, że jedno kolano wykręca się do wewnątrz bardziej, niż powinno. Jak wyliczył, Canfield był teraz trochę po sześćdziesiątce. Piętnaście lat temu ożenił się po raz drugi, z Gwen, kobietą o wiele od niego młodszą. Wychował dzieci ze swojego pierwszego małżeństwa, mieli też z Gwen chłopca, właśnie tego dziesięciolatka zabitego przez członków Wolnego Społeczeństwa w szkole w Richmond. Web nadal często widywał w snach twarz Davida Canfielda. Poczucie winy nie osłabło z biegiem lat; a raczej stało się dotkliwsze.

Canfield przypatrywał się przenikliwie każdemu z nich spod krzaczystych brwi. Web zwrócił uwagę na to, że Bates podał gospodarzowi silniejszą rękę i drugą podniósł swój identyfikator, tak jak uczyli w Biurze.

- Agent Bates z Biura Regionalnego FBI w Waszyngtonie, panie Canfield. Dziękuję, że pozwolił nam pan przyjechać.

Canfield zignorował Batesa, spojrzał natomiast na Webę.

- Znam pana, prawda?

- Web London, panie Canfield. Jestem z jednostki ratującej zakład-

ników. Byłem w Richmond tamtego dnia - dodał dyplomatycznie. - Odwiedzał mnie pan w szpitalu. To wiele dla mnie znaczyło. Chcę, żeby pan o tym wiedział.

Canfield skinął głową, potem podał rękę Webowi, a ten ją uściśnął.

- Cóż, doceniam to, co wszyscy próbowaliście wtedy zrobić. Zrobiliście wszystko, co było możliwe, ryzykowaliście życie dla mojego chłopaka - przerwał i popatrzył na Batesa. - Ale mówiłem panu przez telefon, że nic się tu nie zdarzyło i że jeśli ten sukinsyn wejdzie mi w drogę, padnie trupem, a nie odwrotnie.

- Rozumiem to, panie Canfield.

- Billy.

- Dziękuję, Billy, ale musisz zrozumieć, że trzy osoby powiązane z tym, co się zdarzyło w tamtej szkole, a być może też czwarta, zostały zabite. Jeśli stoi za tym Wolne Społeczeństwo, choć muszę ci powiedzieć, że jak dotąd nie znaleźliśmy na to żadnego dowodu, jeśli jednak tak jest, możecie być jednym z celów. To dlatego tu jesteśmy.

Canfield popatrzył na zegarek.

- I co, chcecie mnie trzymać pod kluczem? Prowadzę cholerną stadninę i powiem wam, że ona nie działa automatycznie.

- Rozumiem, ale możemy podjąć pewne dyskretne działania...

- Jeśli chcecie porozmawiać, musicie ze mną pojechać. Mam sporo do zrobienia.

Bates wymienił spojrzenia z Webem i Romano i wrzucił ramionami. Poszli za Canfieldem i wsiedli do czarnego jak węgiel landrovera.

Canfield nie czekał, aż zapną pasy. Wcisnął gaz i pomknęli naprzód. Web siedział z przodu obok niego. W czasie jazdy oglądał farmę.

- Kiedy ostatni raz o panu słyszałem, miał pan firmę przewozową w Richmond. Jak pan trafił do stadniny w okręgu Fauquier?

Canfield wysunął papierosa z kieszeni na piersi i zapalił go, opuścił trochę szybę i wydmuchnął dym.

- Gwen nie pozwala mi palić w domu. Puszczam dymki wtedy, kiedy mogę - wyjaśnił. - No więc, Web, to jest cholernie dobre pytanie: od ciężarówek do koni. Sam siebie o to pytam i czasem żałuję, że nie zostałem w branży przewozowej. Urodziłem się i wychowałem w Richmond, i lubię to miasto. Richmond wchodzi człowiekowi w krew na dobre i na złe, a ja widziałem jedno i drugie.

Ale Gwen zawsze kochała konie, dorastała na farmie w Kentucky. To też chyba wchodzi człowiekowi w krew. Na mnie wywarło to tylko taki wpływ, że ciśnienie krwi strasznie mi podskoczyło. W każdym razie postanowiliśmy spróbować. Nie można jeszcze ocenić, jak nam idzie. Wpakowałem każdego cholernego centa w to miejsce, więc przynajmniej mamy motywację do ciężkiej pracy.

- Co dokładnie się robi w stadninie? - zapytał, pochylając się, Romano. - Widzi pan, jedyne konie, jakie widziałem, to te, które ciągną dorożki w Central Parku. Dorastałem w Niujorku.

- Bardzo mi przykro, jankesie - powiedział Canfield. Popatrzył za siebie na Romano. - Nie usłyszałem twojego nazwiska.

- Romano, Paul Romano. Przyjaciele mówią na mnie Paulie.

- Cóż, nie jesteśmy przyjaciółmi, więc będę cię nazywał po prostu Paul. No więc najważniejszą czynnością w stadninie jest wykładanie pieniędzy, Paul. Przepuszczanie ich przez palce, jakby to był lód w czasie cholernej burzy gradowej. Płacisz krocie za posiadłość i za pracę wszystkich ludzi, którzy pomagają ją prowadzić. Kupujesz sobie trochę koni i one przejadają cały twój majątek. Płacisz wygórowane sumy, żeby jakiś pieprzony napalony ogier z paroma zwycięstwami w wyścigach na koncie zechciał zapłodnić twoje klacze. I wtedy natura daje ci parę źrebaków, które zaczynają skubać resztkę twoich pieniędzy. Gdy źrebięta wyrastają na roczniaki, wydajesz na te małe sukinsyny dość, żeby posłać tuzin dzieciaków na Harvard. A potem karmisz się nadzieją i modlisz, żeby chociaż jeden z nich dobrze się zapowiadał, bo wtedy sprzedasz go jakiemuś biednemu frajerowi i może będziesz miał pięć procent zysku za harowanie przez szesnaście godzin dziennie. A jeśli ci się to nie uda, bank, któremu sprzedałeś swoje życie, przyjdzie i zabierze wszystko, co kiedykolwiek posiadałeś, i umrzesz w nędzy, bez dachu nad głową, strzępka ubrania na grzbiecie i choćby jednej osoby, którą mógłbyś nazwać przyjacielem. - Popatrzył znów na Romano. - Mniej więcej tak to wygląda, Paul. Masz jeszcze jakieś pytania?

- Nie, właściwie wszystkiego się dowiedziałem - odparł Romano, prostując się na siedzeniu.

Dotarli do ogrodzonego kompleksu składającego się ze stodoł, stajni i innych budynków, Canfield przejechał pod drewnianym łukiem z frontonem, który, jak powiedział, był wzorowany na tym z Mount Vernon Jerzego Waszyngtona, tylko że ten więcej kosztował.

- To centrum jeździeckie. Boksy dla koni, duża stodoła na siano, biuro kierownika, centrum pracy ujeżdźaczy, myjnie, ujeżdżalnie i tak dalej. Takie poletko Pana Boga, jeśli kiedykolwiek jakieś istniało - powiedział Canfield i zaśmiał się, wysiadając z rovera. Agenci FBI poszli za nim.

- Hej, Nemo, podejdź tu na sekundkę! - zawołał Canfield do mężczyzny rozmawiającego z paroma innymi, których Web uznał za parobków.

Mężczyzna zbliżył się. Był mniej więcej wzrostu Weba, jednak różniły go od niego szerokie bary i potężna sylwetka kogoś, kto pracuje

fizycznie. Miał krótkie, sztywne jak drut czarne włosy, lekko siwiejące na skroniach, i wyraziste, regularne rysy twarzy. Był ubrany w stylu kowbojskim: luźne dżinsy i wypłowiała koszula z drelichu. Miał też wysokie buty ze spiczastymi czubkami. Nie były wymyślne, nie zrobiono ich ze skóry aligatora czy kangura i nie zamocowano srebrnych blaszek na czubkach. Były zakurzone i pomarszczone od intensywnego używania, wytarte w niektórych miejscach, jak przypuszczał Web, tam gdzie strzemiona stykały się ze skórą. Ubłocone brezentowe rękawice wystawały z tylnej kieszeni jego spodni. Podchodząc, zdjął swoje przepoconego stetsona i otarł czoło ścierką.

- Nemo Strait jest kierownikiem mojej farmy. Nemo, to paru facetów z FBI. Przyjechali tutaj, żeby mi powiedzieć, że jestem w niebezpieczeństwie, bo pozwolili uciec z więzienia dupkowi, który zabił mojego syna i teraz może próbować dopaść mnie.

Strait popatrzył na nich bardzo nieprzyjaźnie.

Web wyciągnął rękę.

- Agent Web London.

Strait uściśnął jego dłoń, Web poczuł siłę, jaką mężczyzna świadomie włożył w ten powitalny gest. Nemo Strait był bardzo mocnym facetem i najwidoczniej chciał, żeby Web o tym wiedział. Przyłapał mężczyznę na przyglądaniu się jego uszkodzonej gębie. U większości ludzi budziła ona współczucie, którego Web nienawidził. Jednak Nemo, odchodząc, sprawiał wrażenie jedynie nieco bardziej rozdrażnionego, jakby odnosił o wiele poważniejsze rany, nawet kiedy miał dobry dzień. Web natychmiast go polubił.

Canfield wskazał na Weba.

- No więc ten człowiek rzeczywiście próbował uratować mojego chłopaka, czego nie mogę powiedzieć o paru innych gościach, którzy brali w tym wszystkim udział.

- Cóż, moim zdaniem rządowi nie wychodzi dużo rzeczy, z wyjątkiem paprania ludziom życia - powiedział Nemo, patrząc na Weba. Mówił z wiejskim akcentem, z małymi spadkami intonacji po każdej sylabie, z którymi współgrało podskakiwanie jego olbrzymiego jabłka Adama. Z jakiegoś powodu Web wyobraził sobie, jak wielki Nemo wykonuje karaoke w stylu country i rozśmiesza wszystkich do łez.

Web popatrzył na Batesa, a ten powiedział:

- Próbujemy ci pomóc, Billy. Jeśli ktoś spróbuje wyciąć ci jakiś brzydki numer, chcemy tu być, żeby to uniemożliwić.

Canfield rozejrzał się po swojej posiadłości, a potem utkwiał wzrok w Batesie.

- Na mojej farmie przez cały czas przebywa dziesięciu ludzi i każdy z nich całkiem dobrze radzi sobie z bronią.

Bates pokręcił głową.

- Wparowaliśmy tutaj i nawet nie wiedziałeś, kim jesteśmy. Wyszedłeś przed główne drzwi nieuzbrojony do tego sam. Gdybyśmy chcieli cię zabić, już byś nie żył.

Canfield uśmiechnął się.

- A gdybym wam powiedział, że paru moich chłopców obserwowało was od chwili, gdy wjechaliście na teren posiadłości? I że celowali do was z czegoś, bynajmniej nie z palców?

Web i Romano niepostrzeżenie rozejrzeli się dokoła. Web miał szósty zmysł, który wykrywał ludzi mierzących z broni w jego kierunku, i zastanawiał się, dlaczego teraz nie zadziałał.

- Wtedy powiedziałbym ci, że twoi chłopcy prawdopodobnie w końcu zastrzelą jakichś niewinnych ludzi - rzucił Bates.

- Cóż, do diabła, chyba po to mam ubezpieczenie - odpalił Canfield.

- Sprawdziłem w aktach, Billy. W czasie procesu grożono ci śmiercią, robił to między innymi Ernest Free. Biuro zapewniło ci wtedy ochronę.

Twarz Canfielda przybrała bardzo ponury wyraz.

- Zgadza się, za każdym razem, kiedy się odwróciłem, gapił się na mnie jakiś facet w garniturze z pistoletem i przypominał mi, że mój chłopczyk leży w grobie. A więc nie obrażcie się, ale miałem już z wami do czynienia i wystarczy mi to na resztę życia. Jaśniej już nie mogę postawić sprawy.

Bates wyprostował się i podszedł do Canfielda.

- Biuro znów proponuje ci ochronę. I dopóki Ernest Free nie zostanie schwytyany i nie będziemy pewni, że nic ci nie grozi, właściwie będę na to nalegał - dodał.

Canfield skrzyżował ręce na piersiach.

- Cóż, a więc mamy problem, bo to są Stany Zjednoczone i człowiek ma prawo decydować, kto wejdzie na jego teren, a kto nie, i proszę, żebyście zaraz zabrali się w cholerę z mojej ziemi. - Strait zbliżył się do szefa, Web zobaczył, że niektórzy pozostali pracownicy też się przysuwają. Zauważył też, jak dłoń Romano wędruje powoli do rękojeści pistoletu.

Jeden facet zrobił naprawdę ogromny błąd, mianowicie położył dłoń na barku Romano. Po chwili mężczyzna leżał na ziemi twarzą w dół, a kolano Romano było oparte na podstawie jego kręgosłupa, przy czym lufa jednej czterdziestki piątki tkwiła w uchu faceta, a z następnej, wyciągniętej z drugiej kabury, którą nosił z tyłu przy pasku, Romano mierzył w innych ludzi Canfielda.

- W porządku, kowboje- powiedział - jeszcze któryś chciałby spróbować?

Web szybko wystąpi! naprzód, zanim Romano pozabijałby ich wszystkich.

- Słuchaj, Billy, zastrzeliłem dwóch „Freech” i gdybym miał wtedy okazję, sprzątnąłbym też Ernesta. Ale skurczysyn miał szczęście i kula tylko przebiła mu bark, a ja wyszedłem stamtąd z połową twarzy i bez paru litrów krwi. Naprawdę sędzę, że wszyscy chcemy tego samego; po prostu widzimy różne drogi do celu. A może ja i Romano pomieszkalibyśmy z wami na farmie? Żadnych garniturów, tylko dżin-sy i wysokie buty. Nawet pomożemy przy pracy. Ale w zamian będziesz musiał z nami współpracować. Będziesz musiał słuchać nas, kiedy ci powiemy, że może jest jakiś problem, i jeśli każemy ci opuścić tyłek, to padniesz. Wydaje się, że „Free” już załatwili paru ludzi i zastosowali przy tym cholernie pomysłowe metody. A więc chociaż jestem pewien, że twoi chłopcy są naprawdę dobrzy w tym, co robią, może to nie wystarczy, jeśli tamci naprawdę zechcą cię załatwić. Widzę, że nie jesteś facetem, który lubi, kiedy inni mówią mu, co ma robić, ale nie wierzę też, że chcesz dać „Free” satysfakcję i pozwolić się zabić. Ty i Gwen przeszliście już przez piekło po stracie syna. Nie wierzę, że chcesz, by musiała znów rozpaczać, tym razem z twojego powodu.

Canfield patrzył na Weba przez dłuższą chwilę. I przez cały ten czas Web nie był pewien, czy mężczyzna nie skoczy na niego albo nie każe swoim ludziom otworzyć ognia. W końcu Canfield opuścił wzrok i kopnął grudkę ziemi.

- Pojedźmy z powrotem do domu i porozmawiajmy o tym. - Gestem polecił Straitowi i jego ludziom, żeby wracali do pracy. Romano pomógł lekkomyślnemu, mężczyźnie wstać i nawet otrzepał go z kurzu.

- To nic osobistego, przyjemniaczku, zrobiłbym tak z każdym, kto by mnie dotknął. Pojmujesz?

Mężczyzna chwycił kapelusz i pospiesznie odszedł. Widząc jego przestraszone spojrzenie, Web uznał, że już nigdy nie „dotknie” on Romano.

Canfield i agenci wsiedli do rovera. Gdy jechali z powrotem, Canfield popatrzył na Weba.

- W porządku, nie zaprzeczam, że to, co mówisz jest bardzo sensowne, ale nie mam ochoty powtarzać tamtej części mojego życia. I nienawidzę tego, że te dupki z powrotem wciągają mnie w to gównno.

- Rozumiem, ale... - Webowi przerwał dzwonek telefonu komórkowego. Sprawdził, czy chodzi o jego telefon, ale nie. Bates i Romano również stwierdzili, że to nie ich aparaty. Canfield wyciągnął telefon ze schowka i sprawdził. Ten też nie dzwonił. Spojrzał na podłogę, sięgnął ręką i podniósł telefon, który tam leżał.

- Na pewno ktoś zostawił tu swój telefon, chociaż nie jest on Gwen, i nie wiem, kto jeszcze, do diabła, jeździ tą terenówką. Prawdopodobnie ktoś chce mi coś sprzedać. - Już miał stuknąć w przycisk, kiedy Web wyrwał mu telefon, opuścił szybę w drzwiach, przy których siedział, i wyrzucił aparat.

Canfield popatrzył na niego.

- Do diabła, co ty wyprawiasz?

Patrzyli, jak telefon leci, a potem uderza o ziemię na środku pustego pola. Nic się nie stało. Canfield zatrzymał samochód.

- Zabieraj tam swój tyłek i przynieś ten cholerny telefon...

Wybuch był tak potężny, że zatrzęsł landroverem i posłał na wysokość trzydziestu metrów chmurę czarnego dymu i płomieni.

Wszyscy wpatrywali się w ten ognisty spektakl przez kilka sekund. W końcu Canfield, poruszony, popatrzył na Weba.

- Kiedy chcecie zacząć, chłopaki?

Web jechał ulicą do domu matki. Nadal nie wiedział, co z nim, do diabła, zrobić. Gdyby chciał go sprzedać, musiałby przeprowadzić remont i to sam, ponieważ stan jego konta bankowego nie pozwoliłby mu na wynajęcie fachowców. A jakoś nie miał ochoty dokręcać ani jednego zawiasu i wymieniać choćby jednego gontu na dachu tego budynku.

Web przyjechał tutaj, bo przyszło mu do głowy, że jeśli ma zostać na farmie przez jakiś czas, będzie potrzebował ubrań, a nie chciał na razie wracać do własnego domu. Dziennikarze prawdopodobnie nadal tam czatowali. Ale Web trzymał też trochę ubrań w domu mamy. Chciał również odnieść na strych pudełko zawierające dużą część życia Harry'ego Sullivana. Był teraz w ciągłym ruchu i nie chciał, żeby gdzieś przepadło. Nie był też pewien, co ma zrobić w sprawie ojca. Czy powinien zadzwonić do więzienia? Czy to było odpowiednie miejsce do zapoznawania się na nowo ze swoim staruszkiem? A jednak istniało prawdopodobieństwo, że ze względu na wiek Harry Sullivan umrze w więzieniu. To mogła być jedyna szansa Weba. Zabawne, jak szybko człowiek prawie rozerwany przez bombę zainstalowaną w telefonie ustala nową kolejność pilnych spraw.

Jego rozmyślania o ojcu przerwał dzwonek telefonu. To była Claire, która wydawała się zdenerwowana, ale stanowcza.

- Dużo myślałam o naszych sesjach, Web. Uważam, że musimy trochę zmienić taktykę. Ciekawi mnie parę spraw i myślę, że lepiej się nimi zająć w inny sposób.

- Cóż, to niewiarygodnie mgliste, Claire. O czym właściwie mówisz?

- Nasze dotychczasowe rozmowy, Web, sugerują, że wiele z twoich problemów ma źródło w relacjach z matką i ojczymem. Podczas naszej ostatniej sesji powiedziałeś mi, że dorastałeś w domu matki i że niedawno odziedziczyłeś go po niej.

- Co z tego wynika?

- Wspomniałeś też, że nigdy byś tam nie zamieszkał. I że twój ojczym tam umarł.

- Zgadza się, ale co z tego?

- Myślę, że może w tym być coś innego. Pamiętasz, jak powiedziałam, że szukam u pacjentów wskazówek? Cóż, jedną ważną od ciebie dostałam.

- Co ma wspólnego stary dom z moimi problemami?

- Nie chodzi o dom, Web, tylko o to, co mogło się w nim stać.

- Co jeszcze mogło się stać w tamtym domu, oprócz tego, że mój ojczym wykorkował, co ma cokolwiek wspólnego ze mną? - upierał się.

- Tylko ty wiesz.

- I mówię ci, że to wszystko, co wiem. I naprawdę nie widzę żadnego związku między tym, że zamarłem w bezruchu podczas akcji, a moim dorastaniem w tamtym domu. To było dawno temu.

- Zdziwiłbyś się, Web, gdybym ci powiedziała, jak długo umysł potrafi trzymać coś w ukryciu, aż pewnego dnia to wybucha. Twoje spotkanie z małym chłopcem w uliczce mogło przywołać coś z twojej przeszłości.

- Cóż, mówię ci, że nie wiem co takiego.

- Jeśli mam rację, to jednak wiesz, Web, tylko twój świadomy umysł nie zdaje sobie z tego sprawy.

Web przewrócił oczami.

- Co to za gówniana psychogadka?

- Web, chciałam cię zahipnotyzować - odparła Claire.

Był zdumiony.

- Nie.

- To naprawdę mogłoby nam pomóc do czegoś dojść.

- Jak może pomóc to, że każesz mi szczekać jak pies, kiedy będę nieprzytomny?

- Stan hipnotyczny jest odmianą wzmożonej przytomności, Web. Będziesz świadomy wszystkiego, co się będzie wokół ciebie działo. Będziesz całkowicie panował nad sytuacją. Nie mogę cię zmusić do niczego, czego nie zechcesz zrobić.

- To nie pomoże.

- Nie możesz tego wiedzieć. Może ci to pomóc zająć się pewnymi problemami, które na co dzień ignorujesz z powodu zahamowań.

- Może w mojej głowie są pewne rzeczy, których nie chcę zrozumieć.

- Nigdy nie wiadomo, Web, dopóki nie spróbujesz. Proszę, pomyśl o tym. Proszę.

- Słuchaj, Claire, jestem pewien, że musisz pomóc wielu wariatom. Może na razie pomyślałabyś o nich. - Rozłączył się.

Wprowadził samochód na podjazd, wszedł do domu, zapakował ubrania do worka, a potem stanął niezdecydowanie pod złożonymi schodami na strych, trzymając pod pachą pudełko z informacjami o Harrym

Sullivanie. Powiedział sobie, że to naprawdę nie powinno być aż takie trudne. Strych to tylko strych. Choć wprawiał Claire co innego, było w tym domu coś, co budziło niepokój w głębi jego duszy. A jednak sięgnął w górę, chwycił linkę i spuścił schody.

Kiedy znalazł się na strychu, położył pudełko i wyciągnął rękę w stronę włącznika światła, ale zaraz ją cofnął. Popatrzył w różne zakamarki, szukając ewentualnych zagrożeń, co obecnie robił bardziej instynktownie niż z przyzwyczajenia. Jego spojrzenie przesunęło się po podłodze ze sklejk, a potem powędrowało ku wszystkim ciemnym kształtom ze smutnej historii jego rodziny, czyli wieszakom z ubraniami, stosom książek, zwałom śmieci, którym pozwolono gnić. Sterta resztek szaro-czerwonego chodnika leżąca tuż obok schodów przyciągnęła jego uwagę. Były ciasno zrolowane i zlepione taśmą. Podniósł jeden kawałek. Był ciężki i bardzo twardy, bo zeszytniał na skutek zimna i upływu czasu. Resztki miały taki sam kolor jak chodnik leżący na piętrze i Web zastanawiał się, dlaczego matka je zachowała.

Z boku leżał kiedyś wielki stos ubrań. Teraz to miejsce było puste. Przed laty Web czasami wchodził na strych, zamykał za sobą drzwi i chował się pod tymi ubraniami podczas licznych ataków szału ojczyma. Stockton miał tu na górze schowek z narkotykami i alkoholem, ponieważ bał się, że w mieszkaniu jego żona by to skonfiskowała. Potykając się, wchodził tutaj w środku nocy, już odurzony, i szukał dodatkowych środków, żeby jeszcze bardziej sobie zaszkodzić. Był początek lat siedemdziesiątych, kraj wciąż jeszcze przeżywał Vietnam i ludzie, tacy jak jego ojczym, którzy nigdy nie chwycili za broń w imię swojego kraju ani żadnej innej sprawy, wykorzystywali powszechny egzystencjalny niepokój i obojętność tamtych czasów dla usprawiedliwienia życia na ciągłym haju. Poza tym część podłogi strychu stanowiła zarazem sufit sypialni Web'a. Kiedy był nastolatkiem i leżał w łóżku, słyszał nad głową kroki ojczyma, gdy szukał on swoich substancji poprawiających nastrój. Miody Web z przerażeniem myślał o tym, że Stockton może spaść z hukiem na dół przez sufit, wylądować na nim i zbić go na kwaśne jabłko. Kobra w twoim łóżku, zabij albo zgiń. Kiedy Stockton rzeczywiście go bił, Web szedł do matki, ale przez większość czasu nie było jej w domu i nie mogła go pocieszyć. Często odbywała długie nocne przejażdżki i wracała do domu rano, wiele godzin po tym, jak Web ubrał się, zrobił sobie coś do jedzenia i pobiegł do szkoły, żeby nie siedzieć twarzą w twarz z ojczymem przy śniadaniu. Skrzypienie schodów denerwowało go po dziś dzień. Zamknął oczy, zaczerpnął chłodnego powietrza i w jego myślach ten nie istniejący już od dawna stos ubrań uniół się wysoko w powietrze. I wtedy, zaraz po tym sygnale, pojawił się czerwony łuk, a potem zalały go dźwięki, które sprawiły, że

Web otworzył oczy, popędził z powrotem na dół i złożył schody na strych. Miał tę wizję tysiąc razy i nigdy nie mógł jej zrozumieć. Docierał do punktu, w którym nie chciał jej odszyfrować, ale teraz czuł, że z jakiegoś powodu jest bliżej jej prawdziwego znaczenia niż kiedykolwiek wcześniej.

Wsiadł do samochodu i wyciągnął swój telefon komórkowy, a także karteczkę, którą poprzedniej nocy wcisnął mu do ręki Wielki F Spojrzał na zegarek. Nakazywano mu zadzwonić właśnie o tej godzinie. Wystukał cyfry i natychmiast odebrano. Otrzymał szereg instrukcji, a potem na linii zapadła cisza. Przynajmniej byli sprawną załogą. Cóż, czekała go pracowita noc.

Odjeżdżając, sparafrazował nieśmiertelne słowa COT:

- Web London do reszty ludzkości, nikt nie kontroluje sytuacji.

Web pojechał do domu Romano i zabrał go. Angie stała w drzwiach, kiedy jej mąż wyszedł z bagażami, i nie wyglądała na zbyt zadowoloną. Przynajmniej tak wydedukował Web, kiedy pomachał jej ręką i w odpowiedzi zobaczył wyprostowany środkowy palec. Romano załadował do bagażnika dwa snajperskie karabiny, MP-5, kevlarowa osłonę i cztery pistolety półautomatyczne z pełnymi magazynkami.

- Chryste, nie ruszamy na Saddama, Paulie.

- Ty rób, jak uważasz, a ja zrobię to po swojemu. Facet, który załatwił Chrisa Millera, wciąż gdzieś tam jest i jeśli zacznie strzelać do mnie z dziewięciuset metrów, chcę móc odpowiedzieć ogniem temu sukinsynowi. Kapujesz? - Odwrócił się i pomachał Angie. - Pa, pa, skarbie.

Angie jemu też pokazała środkowy palec, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi.

- Zdaje się, że jest zła - powiedział Web.

- Miałem trochę urlopu. Pojechalibyśmy w odwiedziny do jej matki do krainy zalewisk. Dokładnie do Slidell w Luizjanie.

- Przykro mi, Paulie.

Romano popatrzył na niego i uśmiechnął się, zanim nasunął na oczy czapkę Jankesów i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

- Mnie nie.

Pojechali do East Winds, gdzie przywitała ich przy bramie dwójka agentów FBI. Pokazali identyfikatory i zostali wpuszczeni. Kręciło się tam mnóstwo ludzi z FBI, przysłanych po próbie zamordowania Billy'ego Canfielda za pomocą materiału wybuchowego umieszczonego w komórce. Minęła ich wyjeżdżająca półciężarówka saperów Biura, którzy bez wątpienia zbierali wszelkie dowody, jakie udało im się wyszperać ze szczątków telefonu. Web był pewien, że agenci Biura przepytują wszystkie osoby obecne na farmie, które mogły być choćby w odległy sposób kojarzone ze źródłem pochodzenia aparatu. Web był też pewien, że Billy Canfield nie jest zbyt podekscytowany całym tym ożywieniem. A jednak Web przynajmniej ocalał mu życie. To dało im wstęp na farmę.

Właśnie to pomyślał, kiedy ukazał się jeździec na koniu. Było to wielkie, lśniące zwierzę pełnej krwi z doskonale zarysowanymi mię-

śniami, ścięgna i kośćmi, a wszystko to poruszało się delikatnie, synchronicznie, tak że koń wydawał się raczej maszyną. Web jechał wierzchem parę razy, ale nigdy go to za bardzo nie pociągało, a jednak musiał przyznać, że ten widok był naprawdę godny uwagi. Jeździec miał na sobie brązowe bryczesy, wysokie, wypastowane czarne buty i jasnoniebieski bawełniany sweter. Dłonie okrywały rękawiczki. Czarny toczek nie całkiem zakrywał długie jasne włosy.

Opuścił szybę, gdy kobieta podjechała do samochodu.

- Jestem Gwen Canfield. Pan to na pewno Web.

- Zgadza się. To Paul Romano. Czy mąż powiedział pani o naszej umowie?

- Tak. Poprosił mnie, żebym pokazała wam drogę do miejsca, w którym zamieszkacie - odparła Gwen.

Zdjęła toczek i odgarnęła włosy, które opadły jej na ramiona.

Web popatrzył na konia i powiedział:

- Piękna klacz.

- To on.

- Przepraszam, nie sprawdziłem wyposażenia. Nie chciałem nikogo wprowadzić w zażenowanie.

Pogłaskała konia po szyi.

- Baron się tym nie przejął, prawda, Baronie? Jesteś pewny swojej męskości, co?

- Wszyscy powinniśmy mieć takie szczęście.

Gwen przesunęła się trochę do tyłu na małym angielskim siodle, trzymając mocno jedną dłonią podwójną pętlę wodzy, i rozejrzała się.

- Billy powiedział mi, co się stało w samochodzie. Chcę ci podziękować za to, co zrobiłeś. Billy prawdopodobnie zapomniał, że należą ci się podziękowania.

- Po prostu wykonuję swoją pracę. - Web nigdy wcześniej nie spotkał Gwen, ale inni członkowie HRT, uczestniczący w procesie w Richmond, opisali ją jako osobę przewrażliwioną i uczuciową. Ta kobieta była bardzo spokojna, wydawała się w pewien sposób nieobecna; mimo że wyrażała wdzięczność, jej głos był przyciszony. Może po prostu zużyła wszystkie emocje, które miała kiedyś.

Web widział zdjęcia Gwen Canfield zrobione przez dziennikarzy w czasie procesu. W przeciwieństwie do męża Gwen bardzo dobrze znosiła upływ czasu. Miała, jak wyliczył, około trzydziestu siedmiu lat. Nie skróciła swych jasnych włosów. Miała figurę kobiety o dziesięć lat młodszej, z krągłościami tam, gdzie mężczyźni lubili je oglądać, i piersiami, które niezawodnie przyciągały spojrzenia. Rysy jej twarzy były śliczne, szczególnie dzięki wystającym kościom policzkowym i pełnym

wargom. Gdyby była aktorką, kamera by się w niej zakochała. Była też wysoka i trzymała się bardzo prosto. Web zakładał, że to postawa jeźdźca.

- Jedziemy do wozowni. Jest dalej przy tej drodze.

Gwen obróciła Barona, spięła konia swoimi wysokimi butami, wydała głośny okrzyk, który Web uznał za niezrozumiały, a jednak w języku koni musiał on oznaczać „galopuj jak diabli”, bo to właśnie zrobił drogi Baron. Koń i amazonka pomknęli drogą. W pewnym momencie Gwen się pochyliła, właściwie stapiając się z tułowiem konia, a Baron oderwał się od ziemi, aby pokonać metrową ukośną belkę - specjalną przerwę w ogrodzeniu, która umożliwiała przejazd koniowi i jeźdźcowi - i wylądował na pastwisku, po czym pogalopował dalej, nie zgubivszy kroku. Czy też kopyta. Web w wyrazie podziwu nacisnął klakson i Gwen pomachała mu, nie oglądając się za siebie.

Jak się okazało, wozownią był budynek z wielkimi weneckimi oknami i pokrytą patyną chorągiewką, który Web widział wcześniej. Gwen zsiadła z Barona i przywiązała go do słupka. Gdy wyjmowali swoje rzeczy z samochodu, Web dał Romano znak, żeby nie wylądowywał broń na oczach kobiety.

Web ocenił położenie wozowni, także względem głównego budynku, który ledwie majaczył na końcu długiej, wysadzonej drzewami alei. Odwrócił się w stronę Gwen.

- Nie chcę wydawać się niewdzięczny, ale czy byłoby możliwe, żebyśmy zamieszkali w głównym budynku? Jeśli coś się stanie, może minąć trochę za dużo czasu, zanim do was dotrzemy.

- Billy powiedział, że macie się ulokować w wozowni. Jeśli widzicie w tym problem, będziecie musieli to omówić z nim.

Cóż, chyba to zrobię, pomyślał sobie Web, a do Gwen powiedział:

- Przykro mi z powodu tego wszystkiego, pani Canfield. Nie powinna pani przechodzić przez to jeszcze raz.

- Już nie zakładam, że świat jest sprawiedliwy. - Popatrzyła na niego uważnie. - Przepraszam, Billy powiedział, że pana znamy, aleja nie pamiętam skąd.

- Byłem w oddziale, który ratował zakładników w szkole tamtego dnia.

Przez chwilę wpatrywała się w ziemię.

- Rozumiem. A teraz ten człowiek znów jest na wolności. Ten, który zabił Davida.

- Niestety tak. Ale miejmy nadzieję, że nie na długo.

- Powinni byli go skazać na śmierć i wykonać wyrok.

- Nie przeczę, pani Canfield.

- Wystarczy Gwen. Nie jesteśmy tu zbyt oficjalni.

- W porządku, Gwen. Do nas możesz mówić Web i Paulie. Jesteśmy tutaj po to, żeby zapewnić bezpieczeństwo tobie i mężowi.

Spojrzała na niego.

- Nie czuję się bezpiecznie już od wielu lat, Web. Nie sędzę, żeby to się miało teraz zmienić.

Wprowadziła ich do środka. Parter wozowni wypełniały odrestaurowane zabytkowe samochody. Web popatrzył na Romano, miłośnika motoryzacji, i odniósł wrażenie, że jego partner dostanie zawału. Gwen wyjaśniła:

- Billy je kolekcjonuje. To takie jego małe prywatne muzeum samochodów.

- Jezu! - wykrzyknął Romano. - To Stutz Bearcat z kierownicą po prawej stronie. - Chodził po wozowni jak chłopiec po Galerii Sław Baseballa. - A to Lincoln Lebaron z 1939 roku. Zrobiono ich tylko dziewięć. I, o mój Boże. - Popędził do najdalszego rogu pomieszczenia i zamarł. - Web, to... to jest Duesenberg SSJ Speedster z 1936 roku. - Popatrzył na Gwen. - Czy się mylę, czy zbudowano tylko dwa takie, jeden dla Clarka Gable'a, a drugi dla Gary'ego Coopera? Proszę, powiedz mi, że się nie mylę.

Gwen skinęła głową.

- Znasz się na samochodach. Ten był Coopa.

Romano spojrzał na Weba tak, jakby miał zemdleć.

- Są piękne - powiedział. Obrócił się w stronę kobiety. - Chcę, żebyś wiedziała, Gwen, że uważam za prawdziwy zaszczyt przebywanie pod jednym dachem z tymi legendarnymi maszynami.

Web pomyślał, że za chwilę zrobi mu się niedobrze.

Gwen popatrzyła na Weba i pokręciła głową, a na jej ustach pojawił się leciutki uśmiech.

- Mężczyźni i ich zabawki. Czy ty masz jakieś zabawki, Web?

- Właściwie nie. Nie miałem też żadnych w dzieciństwie.

Przyjrzała mu się uważnie, a potem powiedziała:

- Na górze są dwie sypialnie, każda z łazienką i w pełni wyposażoną kuchnią oraz salonikiem. To była wozownia majątku w czasach kolonialnych. Posiadłość ma długą historię. W latach czterdziestych właściciel urządził tu punkt strażacki. Billy przerobił budynek na potrzeby gości, kiedy kupił East Winds, chociaż zawsze mi się wydawało, że skoro w głównym budynku mamy dwadzieścia sypialni, to dom gościnny jest nieco zbyteczny.

- Dwadzieścia sypialni! - zdumiał się Romano.

- Wiem, to trochę dużo - powiedziała Gwen. - Dorastałam na farmie koło Louisville. Mieliśmy dwie sypialnie na siedem osób.

- Billy też nie pochodzi z bogatej rodziny, o ile pamiętam - zauważył Web.

- Przewozy to nie jest łatwy biznes, ale jemu się udało.

- Narzekał, że ta farma wsysa każdego centa - powiedział Romano. - Ale takie samochody nie są tanie.

Gwen po raz pierwszy naprawdę się uśmiechnęła i Web też się do niej uśmiechnął.

- Wkrótce się dowiecie, że Billy Canfield lubi narzekać. Na wszystko. A szczególnie na brak pieniędzy. Na pewno powiedział wam, że wpakowaliśmy każdego centa, jakiego mieliśmy, w to miejsce, i rzeczywiście tak było. Ale prawdopodobnie nie powiedział wam, że pierwszy źrebak, którego sprzedaliśmy, wygrał Derby Kentucky i był trzeci w Preakness.

- Jak się nazywał ten koń?

- Król Dawid - odpowiedziała cicho Gwen. - Oczywiście nie zarobiliśmy nic na tych nagrodach, ale to nas umieściło na mapie hodowców, mamy tutaj klacz, która urodziła Króla. Ogier, którego wypożyczyliśmy, żeby ją pokrył, nie był wcale taki wspaniały, co oznacza, że walczność Króla jest w dużej mierze zasługą naszej klaczy.

- To wydaje się nawet właściwe, biorąc pod uwagę, że to samica wykonuje całą pracę - stwierdził Web.

Gwen posłała mu spojrzenie.

- Podoba mi się twój sposób myślenia. A więc ponieważ możemy się pochwalić Królem, wszyscy w tym kraju, którzy wiedzą cokolwiek o wyścigach konnych, wiedzą też o East Winds i nasze konie najczęściej przynoszą spory zysk. Mamy tu też paru zwycięzców wyścigów i opłaty za krycie są imponujące. W dodatku mieliśmy dużo roczniaków przez ostatnie dwa lata i sprawnie organizujemy pracę. Nie zrozum mnie źle, prowadzenie farmy zarodowej faktycznie jest niewiarygodnie kosztowne. Ale chociaż Billy tak narzeka, myślę, że wszystko będzie w porządku.

- Dobrze wiedzieć - odparł Web. - Chyba przyjechaliście tu krótko po procesie.

- Jeśli będziecie czegoś potrzebować, po prostu zadzwońcie do domu, zajmiemy się tym - rzuciła. - Numer jest na górze, na ścianie obok telefonu. - Wyszła tak nagle, że nawet nie zdążyli jej podziękować.

Wspięli się na górę po schodach i popatrzyli dokoła. Wszystkie meble były starodawne, reszta wyposażenia również wysmakowana i elegancka, Web był pewien, że elementy wystroju dobierała głównie Gwen. Billy Canfield po prostu nie wydawał się typem dekoratora wewnątrz.

- Człowieku, ale luksusy - powiedział Romano.

- Taak, luksusy daleko od ludzi, których mamy ochraniać, i to mi się nie podoba.

- Więc zadzwoń do Batesa i powiedz, żeby zadzwonił do Canfielda,

będą mogli na siebie powrzeszczyć. My jesteśmy tylko zwykłymi żołnierzami, robimy, co nam każą.

- Co myślisz o Gwen Canfield?

- Wydaje się dosyć miła. Jest też naprawdę ładna. Dama. Canfield to szczęściarz.

- Niczego sobie nie wyobrażaj, Paulie.

- Taak, akurat Angie pozwoliłaby mi pożycić i się tym nacieszyć.

- Rozpakuj swoje rzeczy i zrobmy obchód. Chcę dołączyć do Canfielda. Jeśli mamy go chronić, to musimy przynajmniej być blisko niego. Prawdopodobnie będziemy musieli się zmieniać, Paulie, więc będziemy spać na zmianę.

- Hej, tak jak za starych dobrych snajperskich czasów.

- Taak, jak za starych dobrych snajperskich czasów, tyle że chrapiesz jak cholerny pociąg towarowy.

- Już nie, Angie mnie oduczyła.

- Wjaki sposób?

- Naprawdę nie mam ochoty opowiadać ci szczegółów, Web.

Wyszli na zewnątrz i natychmiast wpadli na Percy'ego Batesa.

- Udało się coś ustalić w sprawie bomby? - zapytał Web.

- Było to dość wymyślne urządzenie, sądząc z tego, co mówili mi technicy. Rozmawiamy ze wszystkimi, którzy mogą coś wiedzieć, ale jak dotąd nic nie znaleźliśmy. A telefon nie wszedł sam do samochodu.

- A więc może zrobił to ktoś stąd. Może jakiś członek Wolnego Spółczeństwa przebywa na farmie? - zasugerował Web.

Bates skinął głową, wydawał się bardzo zaniepokojony.

- Werbują ludzi właśnie na takich obszarach. Biali faceci ze wsi, którzy lubią broń, ziemię i dawne zwyczaje i krew ich zalewa, bo widzą, że świat szybko się zmienia, a oni nie są już jego panami.

- Coś się dzieje u „Freech” z południowej Wirginii?

- Nasi ludzie ich obserwują, ale jak na razie nic. Teraz może po prostu się nie wychylają po całym tym zamieszaniu. To byłoby mądre. A oni nie są tępi. Na pewno wiedzą, że są podejrzewani o te morderstwa i że ich obserwujemy. Potrzebujemy tylko jednego dowodu i wtedy będziemy mogli się do nich dostać.

- Gdzie jest Canfield? Jakoś lubię wiedzieć, co robi człowiek, którego mam ochraniać.

- Ochraniać też Gwen - powiedział Bates. - Grożono jej śmiercią tak samo jak jej mężowi.

Web zastanawiał się nad tym.

- Cóż, Paulie i ja możemy się rozdzielić, ale byłoby miło, gdyby zajmowało się tym więcej ludzi. East Wnds wydaje się dosyć dużą farmą.

- Dokładnie osiemset dziesięć hektarów i sześćdziesiąt osiem budynków. Rozmawiałem o tym z Canfieldem. Powiedział, że jeśli zechcę sprowadzić tu więcej ludzi, to zobaczymy się w sądzie, a potem w piekle, i traktuję dosłownie to, co mówi ten facet. Musicie sobie poradzić we dwójkę, ale nie będziemy zbyt daleko, Web.

- Liczę na to, Perce.
- Web?
- Taak?
- Dziękuję, że uratowałeś mi życie.

Znaleźli Billy'ego Canfielda w centrum jeździeckim, gdzie badał przednią nogę jednego z ogierów, czemu przypatrywał się Nemo Strait i dwaj młodzi mężczyźni ubrani w stroje jeździeckie.

- Lepiej wezwij weterynarza - powiedział Canfield do jednego z młodych mężczyzn. - Może to tylko zwichnięcie, ale może złamanie. Mam cholerną nadzieję, że tak nie jest. - Gdy mężczyzna odchodził, Canfield zawołał za nim: - I powiedz temu cholernemu żelaziakowi, że jeśli nie znajdzie lepszych podków, to pójde do konkurencji. Mamy trochę zwierząt z miękkimi kopytami i naklejki są dla nich całkiem niezłe, a on w ogóle ich nie sprzedaje.

- Tak, proszę pana.

Canfield poklepał konia po boku, wytarł ręce i podszedł do ludzi z HRT.

- Żelaziak? - zapytał Romano.

- Podkuwacz - odpowiedział Canfield. - Zwykły kowal. Dawniej w stadninach taki człowiek był zatrudniony na pełnym etacie. Teraz przyjeżdżają raz na tydzień swoimi półciężarówkami z kuźnią umieszczoną za siedzeniami, kowadłem, miotem i przygotowanymi podkowami i wykonują swoją pracę. Nie są tani, ale kto chciałby robić coś takiego? Ciężka robota, gorąco i niebezpiecznie, bo zdenerwowane konie próbują kopnąć cię w głowę.

- Co to są te naklejki, o których wspomniałeś? - dopytywał się Web.

Wyjaśnień udzielił Strait.

- Czasami ścianki kopyt konia stają się zbyt cienkie dla gwoździ i rozpadają się podczas podkuwania, szczególnie w przypadku koni importowanych z Europy, z powodu różnic w warunkach klimatycznych i glebowych; ich kopyta stają się łamliwe. Miękka podkowa nie wymaga użycia gwoździ, jest jak torebka na kopytach. Wytrzymuje parę miesięcy, jeśli jest dobrze zrobiona. A naklejki, jak wskazuje ich nazwa, to przyklejane podkowy, bez gwoździ.

- Chyba trzeba się dużo nauczyć o tym biznesie.
- Cóż, zawsze szybko się uczyłem - powiedział Billy, spoglądając na

Straita. Potem utkwiał wzrok w Batesie. - Skończyliście rozmawiać z moimi chłopakami? Muszę prowadzić farmę.

- Już niedługo stąd odjedziemy.

Canfield popatrzył na Weba, a potem wskazał palcem Batesa.

- Opowiedział mi o telefonicznych zabójstwach i o wszystkim innym. Ale i tak uważam, że zachowałeś się bardzo przytomnie.

- Ja też szybko się uczę - odparł Web.

Canfield przypatrywał mu się z ciekawością.

- Cóż, o czym teraz chciałbyś się pouczyć?

- O East Winds. Chciałbym obejrzeć każdy centymetr farmy.

- Muszę namówić Gwen, by została twoim przewodnikiem. Różne sprawy wymagają mojej uwagi.

Web popatrzył na Romano.

- Paulie pójdzie z tobą.

Canfield wyglądał tak, jakby miał zaraz wybuchnąć, ale najwyraźniej się pohamował.

- W porządku. - Popatrzył na Romano. - Paul, jak radzisz sobie w siodle?

Romano drgnął, zamrugał i popatrzył na Weba, a potem na Canfielda.

- Nigdy nie siedziałem na koniu.

Canfield objął go ramieniem i uśmiechnął się.

- Cóż, mam nadzieję, że uczysz się tak samo szybko jak twój partner.

Gwen była akurat w centrum jeździeckim z Baronem, kiedy mąż poprosił ją, żeby pokazała Webowi całą farmę. Zaprowadziła gościa do boksów dla koni.

- Farmę najlepiej ogląda się z siodła. Jeździsz konno? - zapytała.
- Trochę. Na pewno nie tak jak ty.
- A więc mam konia w sam raz dla ciebie.

Boo, jak powiedziała mu Gwen, był przedstawicielem niemieckiej rasy trakenów, ciepłokrwistych koni wyhodowanych jako pierwszorzędne rumaki bojowe, będące krzyżówką gorącokrwistego, żywego i kapryśnego araba oraz zimnokrwistego, spokojnego i pracowitego konia pociągowego. Boo ważył około ośmiuset kilo, był wysoki na sto osiemdziesiąt centymetrów i gdy stali obok niego w boksie, patrzył na Weba tak, jakby chciał mu odgryźć kawałek głowy.

- Boo był wspaniałym koniem konkursowym, ale wykonał już swoją pracę i tak naprawdę nie bardzo lubi się ruszać. Przytył i stał się bardziej zadowolony. Nazywamy go „starym zrzędą”, bo przeważnie sprawia wrażenie, jakby nim był. Ale w głębi serca jest przyjacielski, jest też bardzo elastyczny. Można na nim jeździć w siodle angielskim albo kowbojskim.

- Taak, z pewnością - powiedział Web, patrząc w górę na zwierzę. Boo nie wydawał się ani troszeczkę zadowolony z tego, że Web wkroczył na jego teren.

Gwen ułożyła na grzbiecie konia kwadratową poduszkę pod siodło, a następnie poprosiła Weba, żeby pomógł jej umieścić na poduszce ciężkie kowbojskie siodło.

- Teraz spójrz, kiedy będę podciągać popręg, on zrobi wydech i wypnie brzuch. - Web patrzył z fascynacją, jak Boo robi dokładnie to, co zapowiedziała Gwen.

- Kiedy myślisz, że popręg jest ciasno dopięty, koń wciąga powietrze i go poluźnia. Potem próbujesz wsiąść, a siodło ześlizguje się na kłęb konia. Zwierzę ma niezły ubaw, a jeździec nabija sobie parę siniaków.

- Dobrze wiedzieć, że zwierzaki są takie bystre - stwierdził Web.

Gwen pokazała mu, jak zdjąć kantar i nasunąć uzdę na łeb Boo, założyć ją prawidłowo, a potem zapiąć. Wyprowadzili Boo na zewnątrz, do kamiennego stopnia służącego wsiadającym.

Web poprawił skórzane ochraniacze, które Gwen dała mu, żeby siodło nie ocierało się o jego nogi i żeby lepiej się w nim trzymał, wszedł na stopień i wdrapał się na konia, a Boo stał cierpliwie.

- I jak? - zapytała Gwen.

- Do ziemi jest daleko.

Gwen zauważyła pistolet w kaburze Weba.

- Musisz zabierać broń?

- Tak - odpowiedział stanowczo.

Podążyli do ujeżdżalni i Gwen poprowadziła konia i jeźdźca po kolistym torze. Potem pokazała Webowi, jak za pomocą wodzy wstrzymywać, obracać i cofać konia, jakie wydawać dźwięki i jak naciskać nogami, żeby zwierzę ruszyło albo stanęło.

- Boo zna całą farmę, tak że jeśli mu pozwolisz, trafi tam, gdzie trzeba. Jazda będzie przyjemna i spokojna.

Kiedy oni pracowali z Boo, pomocnik przyprowadził Barona. Gwen wsiadła na swojego konia.

- Boo jest patriarchą stadniny, a Baron nigdy wcześniej mu nie towarzyszył. A więc Boo może próbować udowodnić swoją przewagę nad Baronem, żeby mu pokazać, kto jest szefem.

- Tak zachowują się faceci, którzy mają za dużo testosteronu - skomentował Web.

Gwen spojrzała na niego dziwnie.

- Boo jest wałachem, Web. - Patrzył na nią z zakłopotaniem, nie rozumiejąc tego słowa. - Gdyby był mężczyzną, nazwalibyśmy go eunuchem.

- Biedny Boo.

Wydawało się, że konie, choć niechętnie, zawarły rozejm. Web zobaczył, jak Gwen wyjmuje przenośny radiotelefon Motoroli z tylnej kieszeni i włącza go.

- Na wypadek, gdyby pojawił się jakiś problem - wyjaśniła.

- Tak, mądrze jest zadbać o łączność - powiedział Web. - Ja też mam swój telefon komórkowy.

- Chociaż po tym, co się przydarzyło Billy'emu, nie jestem pewna, czy kiedykolwiek jeszcze będę ich używać.

Web popatrzył na swój telefon i również zaczął mieć pewne wątpliwości.

Wyruszyli, ścigani przez golden retrievera o imieniu Opie i innego niedużego, ale mocno zbudowanego reprezentanta psiego gatunku, którego Gwen nazywała Tuff.

- Strait też ma psa, który biega po farmie - powiedziała. - Mówi na niego Stary Łajdak i jest to trafne określenie, bo ten pies to same kłopoty. - Niebo było czyste i gdy tak jechali w górę i w dół po pagórkach na terenie posiadłości, Webowi wydawało się, że widoczność sięga prawie do Charlottesville. Boo zadowolony się podążaniem w ślad za Baronem i utrzymywał spokojne tempo, które nie wymagało od Weba nadmiernego wysiłku.

Gwen osadziła Barona w miejscu. Web zatrzymał łagodnie Boo obok niej.

- Jak już mówiłam, East Winds istnieje od bardzo dawna. W siedemnastym wieku król Anglii nadał lordowi Culpeperowi ziemię o powierzchni milionów akrów. Jeden z potomków lorda Culpepera dał czterysta hektarów tej ziemi swojej najstarszej córce, kiedy wyszła za człowieka, który nazwał się Adam Rolfe. Główną część tego domu wznosił od 1765 do 1781 roku sam Rolfe, doświadczony budowniczy, a także kupiec. Widziałeś z zewnątrz główny gmach? - Web skinął głową. - Cóż, został zbudowany w stylu georgiańskim. A elementy drewniane, szczególnie ząbkowane listwy, należą do najładniejszych, jakie widziałam.

- Styl georgiański, tak przypuszczałem. - Web kłamał; nie wiedziałby, że ma do czynienia ze stylem georgiańskim, nawet gdyby ten wyskoczył i go ugryzł.

- Majątek pozostawał w rękach rodziny Rolfe'ów do początku dwudziestego wieku. Przez ten czas była to prawdziwa plantacja i uprawiano tu tytoń, soję, konopie, tego typu rośliny.

- I pewnie pracowały tu całe pokolenia niewolników - powiedział Web. - Przynajmniej do końca wojny secesyjnej.

- Właściwie to nie, ta plantacja była na tyle blisko Waszyngtonu, że jej właściciele sympatyzowali z północą. East Winds było nawet przystankiem na trasach przerzutowych abolicjonistów. W^T1910 roku - ciągnęła Gwen - majątek został sprzedany poza rodzinę. Przeszedł przez wiele rąk, aż wreszcie pod koniec drugiej wojny światowej kupił go Walter Sennick. Był wynalazcą i ogromnie się wzbogacił na sprzedaży swoich pomysłów producentom samochodów. Zrobił z East Winds małe samowystarczalne miasteczko, w szczytowym okresie miał tutaj trzystu pełnoetatowych pracowników. Był też firmowy sklep, centrala telefoniczna, punkt strażacki i tak dalej.

- Nie ma to jak nie musieć nigdy wychodzić z domu. - Przez cały czas, kiedy Gwen mówiła, Web oglądał posiadłość, oceniał, skąd mogłaby zostać zaatakowana i jak najlepiej byłoby się wtedy bronić. A jednak jeśli na farmie działał szpieg, to tego rodzaju strategia mogła się okazać nieskuteczna. Współcześnie koń trojański pełnił swoją funkcję równie dobrze jak przed tysiącami lat.

Gwen skinęła głową.

- Teraz na farmie jest razem sześćdziesiąt osiem budynków i czterdzieści trzy kilometry ogrodzenia z desek. Dziewiętnaście wygonów. Piętnastu pełnoetatowych pracowników. I nadal zajmujemy się uprawą roślin - głównie kukurydzy - ale najważniejsza jest dla nas hodowla koni czystej krwi. Spodziewamy się dwudziestu dwóch źrebaków w przyszłym roku. I mamy mnóstwo roczniaków, które już bardzo niedługo zostaną wystawione na sprzedaż. To wszystko jest bardzo ekscytujące.

Pojechali dalej i wkrótce dotarli do strumienia z wysokimi brzegami, gdzie Gwen wytłumaczyła Webowi, jak pozwala się koniowi wybrać oparcie dla nóg przy wchodzeniu w muł. Poleciała gościowi odchylić się bardzo mocno do tyłu, tak że jego głowa prawie leżała na zadzie Boo, kiedy koń zstępował do wody. Potem kazała mu przyłgnąć ciałem do szyi zwierzęcia i chwycić grzywę Boo, kiedy koń wdrapywał się na brzeg po drugiej stronie. Web bez problemu przebył strumień i otrzymał wielką pochwałę od Gwen.

Minęli stary budynek z kamienia i drewna, który, jak powiedziała mu Gwen, był dawnym szpitalem z czasów wojny secesyjnej. Myśleli z mężem o utworzeniu tam muzeum.

- Odnowiliśmy go, założyliśmy centralną wentylację i ogrzewanie, w środku jest kuchnia, sypialnia, więc kustosz mógłby tu mieszkać - powiedziała mu Gwen. - Jest tam też stół operacyjny i narzędzia chirurgiczne z epoki.

- O ile wiem, żołnierz z czasów wojny secesyjnej zdecydowanie wolałby kulę od wycieczki do szpitala.

Przejechali obok dwustuletniej piętrowej „stodoły na stoku”, nazywanej w ten sposób, bo została zbudowana na tak stromej pochyłości, że miała dwa wejścia na różnych poziomach. Była tam też ujeżdżalnia, gdzie koń i jeździec ćwiczyli do konkursów. Jazda konkursowa, jak wyjaśniła Gwen, składała się z układu specjalnych kroków oraz ruchów konia i jeźdźca, podobnych do programu łyżwiarza figurowego. Minęli wysoką drewnianą wieżę z kamienną podstawą, która, jak powiedziała Gwen, była kiedyś używana do wypatrywania pożarów, a także podczas wyścigów konnych organizowanych tutaj przed stu laty.

Web przypatrzył się tej konstrukcji i wiejskiemu krajobrazowi rozciągającemu się wokół. Jako były snajper stale szukał najlepszej pozycji strzeleckiej i uznał, że wieża na pewno byłaby dobrym punktem obserwacyjnym, ale nie miał ludzi, aby właściwie ją wykorzystać.

Przejechali obok piętrowego drewnianego budynku, który Gwen określiła jako dom kierownika farmy.

- Wydaje się, że Nemo Strait dobrze dla was pracuje.

- Ma doświadczenie i wie, co robi, sprowadził też ze sobą doborową ekipę, a to jest plus - powiedziała Gwen z niewielkim zainteresowaniem, jak wydawało się Webowi.

Obejrzeni bramy na tyłach posiadłości i Web każdą z nich zapisał sobie w pamięci. W pewnym momencie spośród drzew wypadł jeleń i Opie z Tuffem ruszyły za nim. Konie nie zareagowały na ten zgiełk, chociaż Weba tak zaskoczył przemykający przed nim jeleń, że prawie spadł z Boo.

Potem Gwen pojechała z Webem do zacienionej dolinki. Web słyszał płynącą w pobliżu wodę, nie był przygotowany na to, że za niewielkim zakrętem zobaczy mały, otwarty budynek, pomalowany na biało, kryty cedrowymi balikami, który wyglądał na altanę, dopóki Web nie zobaczył krzyża na jego szczycie i małego ołtarza w środku z klęcznikiem i krucyfiksem.

Popatrzył pytająco na Gwen. Kobieta wpatrywała się w małą świątynię jak w transie, a potem spojrzała na niego.

- To moja kaplica, tak by chyba trzeba powiedzieć. Jestem katoliczką. Mój ojciec był ministrantem, a dwaj z moich wujów to księża. Religia dużo znaczy w moim życiu.

- Więc zbudowano ją dla ciebie?

- Tak, dla mojego syna. Przyjeżdżam tutaj i modłę się za niego prawie każdego dnia, nie zważając na deszcz czy zimno. Mogę o coś zapytać?

- Proszę.

- Jesteś osobą religijną?

- Na swój sposób chyba tak - odparł niejasno Web.

- Ja tak naprawdę byłem kiedyś o wiele bardziej religijna niż teraz. Nadal próbuję zrozumieć, dlaczego to, co się stało, mogło się przydarzyć komuś tak niewinnemu. Nigdy nie udało mi się znaleźć odpowiedzi.

Zsiadła z konia i weszła do kaplicy, przeżegnała się, wyjęła z kieszeni różaniec, a potem uklękła i zaczęła się modlić. Web patrzył na nią w milczeniu.

Po kilku minutach wstała i znów do niego dołączyła.

Pojechali dalej i w końcu dotarli do wielkiego budynku, który najwyraźniej od dawna nie był używany.

- Dawna małpamią - powiedziała Gwen. - Zbudował ją Sennick i trzymał tam różne gatunki małp - szympanse, pawiany, nawet goryle. Nie wiem po co. Według opowieści, kiedy jakieś zwierzęta uciekały z klatek na drzewa, ganił je ze strzelbami lubiący piwo miejscowi wieśniacy, którzy nie chcieli mieć w pobliżu małp. Z tego powodu okoliczny las nazywano małpią dżunglą. Na myśl o tym, że banda pijanych kretynów zabijała te biedne zwierzęta, robi mi się niedobrze.

Zsiedli z koni i weszli do budynku. Web widział niebo przez ogromne dziury w dachu powstałe na skutek niszczycielskiego działania czasu i żywiołów. Stare klatki, zardzewiałe i połamane, wciąż stały rzędami przy ścianach, pod nimi były podłużne doły, do których przypuszczalnie miały wpadać odchody zwierząt i inne obrzydliwe rzeczy. Śmieci i stare popsute maszyny wały się na betonowej posadzce, razem z gałęziami drzew i zbutwiałymi liśćmi. Na zewnątrz korzenie drzew przywierały do ścian, przy których było coś, co wyglądało na rampę załadowniczą. Web próbował sobie wyobrazić, do czego wynalazca akcesoriów samochodowych mógł potrzebować stada małą. Żadna z jego teorii nie była przyjemna. Przychodziły mu na myśl tylko zwierzęta przywiązane do stołów operacyjnych, linie elektryczne przechwytyjące energię błyskawic i stary Sennick w stroju chirurga gotowy do wykonania swojej brudnej roboty na przerażonych naczelnych. W tym miejscu wyczuwało się atmosferę melancholii, beznadziejności, nawet śmierci, Web chętnie stamtąd wyszedł.

Kontynuowali przejażdżkę i Gwen sumiennie wskazywała wszystkie budynki i opowiadała ich historię, aż wreszcie Webowi trudno było za tym wszystkim nadążyć. Był bardzo zaskoczony, kiedy spojrzął na zegarek i zobaczył, że minęły trzy godziny.

- Chyba powinniśmy wracać - stwierdziła Gwen. - Jak na twoją pierwszą konną przejażdżkę, trzy godziny to bardzo długo. Na pewno będziesz trochę obolały.

- Wszystko w porządku - powiedział Web. - Naprawdę mi się podobało. - Przejażdżka była spokojna, sielska, odprężająca, dała mu wszystko, czego nie doświadczał praktycznie przez całe życie. Jednak kiedy znaleźli się znów w centrum jeździeckim i Web zsiadł z Boo, ze zdziwieniem odkrył, jak zeszywniałe są jego nogi i plecy. Ledwie mógł chodzić prosto, kiedy stanął na ziemi. Gwen zauważyła to i uśmiechnęła się ironicznie.

- Jutro będzie cię boleć inna część ciała.

Web już rozcierał pośladki.

- Czuję, o czym mówisz.

Dwóch pracowników wyszło na dwór i przejęło od nich konie. Gwen powiedziała Webowi, że zdejmą uzdy i siodła, a potem wyszczotkują i umyją konie. Dodała, że zwykle zajmuje się tym osoba, która jechała na koniu. Pomagało to zacieśnić więź ze zwierzęciem.

- Ty troszczysz się o konia, a koń troszczy się o ciebie - podsumowała.

- Trochę tak, jakby to był partner.

- Dokładnie tak, jakby to był partner. -Gwen popatrzyła na małe biuro i powiedziała: - Wrócę za minutę, Web, chcę sprawdzić parę rzeczy.

Gdy odeszła, Web zaczął zdejmować ochraniacze.

- Pierwszy raz na koniu od jakiegoś czasu? - Web podniósł wzrok i zobaczył, że w jego stronę idzie Nemo Strait. Dwóch innych facetów w czapkach baseballowych siedziało w kabinie pikapa, na którego platformie leżały wielkie bele siana. Przyglądali się uważnie Webowi.

- Cholera, skąd wiedziałeś?

Strait zbliżył się do Weba i oparł nogę o kamienny stopień. Popatrzył w kierunku, w którym odeszła Gwen.

- Ona dobrze jeździ.

- Też bym tak powiedział. Ale co ja tam wiem?

- Jednak czasem wymaga od koni więcej, niż powinna.

Web popatrzył na niego ciekawie.

- Wydaje się, że naprawdę je kocha.

- Można coś kochać, a jednak to ranić, prawda?

Web nie spodziewał się tego rodzaju przemyśleń po Straicie. Sądził, że wyczuł tego wielkiego, tępego neandertalczyka, a teraz facet okazywał się myślący i może nawet wrażliwy.

- Rozumiem, że zajmujesz się końmi od dawna.

- Przez całe życie. Ludzie myślą, że potrafią je zrozumieć. Ale to niemożliwe. Trzeba po prostu iść z prądem i nigdy nie myśleć, że się je rozgryzło. To błąd i wtedy robisz sobie krzywdę.

- Wydaje się, że ta zasada sprawdza się też w przypadku ludzi. - Web zauważył, że Strait prawie się uśmiechnął. Prawie.

Strait spojrział na półciężarówkę, skąd jego ludzie nadal bacznie się im przypatrywali.

- Naprawdę myślisz, że pan Canfield może być w niebezpieczeństwie?

- Nie mam stuprocentowej pewności, ale ostrożność nie zawadzi.

- To twardy stary maruda, ale wszyscy go szanujemy. Nie odziedziczył swoich pieniędzy tak jak większość ludzi w tej okolicy; zarobił je w pocie czoła. Trzeba to uszanować.

- Tak, trzeba. Domyślasz się, jak ten telefon mógł się znaleźć w jego samochodzie?

- Zastanawiałem się nad tym. Widzisz, przede wszystkim nikt nie jeździ tym samochodem poza nim i panią Canfield. My wszyscy mamy własne pojazdy.

- Kiedy Canfield wsiadał do wozu, zamek był otwarty. W nocy Canfieldowie trzymają swoje pojazdy w garażu?

- Mają dużo samochodów i półciężarówek, a garaż przy domu ma tylko dwa miejsca, w dodatku jedno z nich zajmują zapasy.

- A więc ktoś, szczególnie w nocy, mógłby się dostać do rovera, zostawić telefon i prawdopodobnie nikt by go nie zobaczył.

Strait podrapał się po karku.

- Chyba tak. Musisz zrozumieć, że tutaj wielu ludziom nie chce się zamykać na klucz nawet drzwi własnych domów.

- Cóż, powiedz wszystkim, żeby zamykali na klucz wszystko, co się da, dopóki to się nie skończy. Musisz zrozumieć, że zagrożenie może nadejść z każdej strony, od środka i z zewnątrz.

Strait wpatrywał się w Weba przez dłuższą chwilę.

- Ta sprawa z Wolnym Społeczeństwem, słyszałem o tym.

- Znasz kogoś, kto może jest albo był członkiem tej grupy?

- Nie, ale mógłbym popytać.

- Cóż, jeśli się zdecydujesz, zrób to po cichu. Nie chcemy nikogo wystraszyć.

-Wszyscy mamy tutaj dobrą robotę, nie chcemy, żeby coś się stało Canfieldom.

- Dobrze. Czy jest jeszcze coś, o czym twoim zdaniem powinienem wiedzieć?

- Posłuchaj, jeśli ktoś stąd przyłożył do tego rękę, to trzeba zdawać sobie sprawę, że farma może być bardzo niebezpiecznym miejscem. Wielkie traktory, ostre narzędzia, zbiorniki z propanem, sprzęt do spawania, konie, które mogą kopnąć człowieka w głowę, jeśli przestanie uważać, węże, strome zbocza. Można zostać zabitym na wiele sposobów tak, żeby wyglądało to na wypadek.

- To też naprawdę dobrze wiedzieć. Dziękuję, Nemo. - Web nie bardzo rozumiał, czy to była rada, czy groźba.

Strait splunął na ziemię.

- Hej, jeśli częściej będziesz jeździł konno, to już niedługo będziesz jak Roy Rogers.

Gwen ponownie przyłączyła się do Weba i oprowadziła go po centrum jeździeckim. Składało się na nie jedenaście budynków.

Ich pierwszym przystankiem były boksy do żrebień, Gwen pokazała Webowi, że są wyposażone w system telewizyjny, co umożliwiało obserwację ciężarnych klaczy. Podłogi były wyłożone gumowymi mata-
mi, a te pokryte słomą, żeby się nie kurzyło.

- Wiążemy naprawdę wielkie nadzieje z niektórymi żrebakami, które urodzą się w przyszłym roku. Kilka naszych klaczy pokryły w Kentucky ogiery ze znakomitymi rodowodami.

- Ile się za to płaci?

- Czasami nawet sześciocyfrową sumę za jeden raz.

- To drogi seks.

- Oczywiście ta opłata obwarowana jest wieloma zastrzeżeniami, najważniejsze jest takie, że żrebak urodzi się żywy i będzie mógł stać

i ssać mleko. Roczniak o wspaniałym wyglądzie, spłodzony przez odnoszącego sukcesy konia wyścigowego, może przynieść ogromną ilość pieniędzy. Kupcy są jednak bardzo wybredni. Trzeba myśleć o wszystkich ewentualnych problemach, a i tak zwyczajny pech może pozbawić cię szans.

Web pomyślał, że bardzo podobne rzeczy można by powiedzieć o pracy w HRT.

- Taak, Billy opisał nam sytuację i nie wygląda to na interes dla mięczaków.

- Cóż, pieniądze są miłe, Web, ale nie dlatego to robię. Chodzi o podniecenie, jakie czujesz, kiedy widzisz, że koń, którego wyhodowałeś, wyżywiłeś i wytrenowałeś, pędzi po torze jak burza; najpiękniejsza, najdoskonalsza maszyna wyścigowa, jaką kiedykolwiek stworzono. I kiedy widzisz linię mety i patrzysz, jak to szlachetne zwierzę wkracza tanecznym krokiem w krąg zwycięzcy, wiesz, że przynajmniej przez kilka minut wszystko w twoim życiu układa się idealnie. Cóż, nie ma wspanialszego uczucia.

Web zastanawiał się, czy hodowanie koni zastąpiło utraconego syna. Jeśli tak, to cieszył się, że Gwen Canfield znalazła w swoim życiu coś, co sprawiało jej radość.

- Pewnie ty tak samo traktujesz swoją pracę.

- Może kiedyś tak było - odparł.

- Nie połapałam się wcześniej. Nie wiedziałam, że dotyczy cię to, co spotkało tych ludzi w Waszyngtonie. Bardzo mi przykro.

- Dzięki, To bardzo trudna sytuacja pod wieloma względami.

- Nigdy tak naprawdę nie rozumiałam, jak można wykonywać tego rodzaju pracę.

- Cóż, chyba najłatwiej spojrzeć na to tak, Gwen, że wykonujemy tę pracę, bo na świecie są ludzie, którzy zmuszają nas do jej wykonywania.

- Ludzie tacy jak Ernest Free?

- Właśnie.

Kiedy skończyli oglądać centrum jeździeckie, Gwen zapytała, czego chciał Strait.

- Po prostu dał mi trochę przyjacielskich rad. A propos, Nemo był tu już, kiedy kupiliście farmę, czy to wy go zatrudniliście?

- Billy go przyjął. On i jego ekipa zgłosili się z dobrymi referencjami. - Rozejrzała się. - Co teraz?

- Może główny budynek?

Gdy otwartym jeepem jechali do rezydencji, Web usłyszał jakiś łoskot nad głową i popatrzył w górę. Mały helikopter, który leciał nisko i szybko, zniknął w dali nad wierzchołkami drzew.

Web spojrzął na Gwen.

- Dokąd on leci?

Kobieta miała niezadowoloną minę.

- Na sąsiednią farmę. Southern Belle. Oprócz lądowiska dla helikopterów mają też małe lotnisko. Kiedy zjawia się ich odrzutowiec, śmiertelnie przeraża konie. Billy rozmawiał z nimi o tym, ale dalej robią, co im się podoba.

- Kim oni są?

- Czym oni są, to byłoby lepsze pytanie. Jakiegoś rodzaju firmą. Też prowadzą stadninę, ale jest ona dosyć dziwna.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że nie mają zbyt wielu koni, a ludzie, którzy tam pracują, nie wyglądają mi na takich, co to znają różnicę między źrebakiem a źrebicą. Ale musi być coś, co robią dobrze. Dom w Southern Belle jest jeszcze większy niż nasz.

- Pewnie mają tam dużo różnych budynków, tak jak wy.

- Tak, ale te, które my mamy, stały już, kiedy kupowaliśmy grunty. Oni zbudowali u siebie parę nowych, masywnych, wielkości magazynów, chociaż nie wiem, co mogliby składować w takich ilościach. Przyjechali tutaj dopiero mniej więcej dwa i pół roku temu.

- Byłaś tam?

- Dwa razy. Raz z sąsiedzką wizytą, ale nie byli grzeczni. Drugi raz, żeby poskarżyć się na ich nisko latające samoloty. Nie wyrzucono nas stamtąd, ale była to dosyć niezręczna sytuacja, nawet dla Billy'ego, a zwykle to on sprawia, że ludzie czują się skrępowani.

Web oparł się wygodnie i zastanawiał się nad tym wszystkim, spoglądając tam, gdzie zniknął helikopter.

Zajął im to trochę czasu, ale obeszlą rezydencję od piwnic po dach. Pod ziemią znajdowała się sala bilardowa, piwnica z winem i przebieiralnia dla amatorów kąpieli. Basen miał dziewięć na osiemnaście metrów i, jak powiedziała Gwen, został w całości wykonany ze stali po wycofanym okręcie wojennym z czasów drugiej wojny światowej. Była tam też dolna kuchnia z kuchenką Vulcan, która miała wielki chromowany okap z 1912 roku, działające ręczne windy i pralnia. W kotłowni Web miał okazję zobaczyć wielkie bojłery McLaina wytwarzające parę grzewczą, znajdowała się tam również komora nie zawierająca niczego oprócz drewnianych skrzyń do składowania drewna opałowego. Każda skrzynia była oznaczona nazwą kogoś z pomieszczeń.

W jadalni na parterze zwracały uwagę głowy angielskich jeleni na ścianach i żyrandol z poroży. Kuchnia wyłożona holenderskimi kafelkami i z szafką ze srebrami miała imponujące rozmiary. Były tam też trzy sale balowe, rozmaite gabinety, salony i pokoje dzienne oraz pomieszczenie do ćwiczeń. Na górnych piętrach znajdowało się siedem-

naście łazienek, dwadzieścia sypialni, biblioteka, która wydawała się nie mieć końca, i liczne inne pomieszczenia. Dom był naprawdę ogromny, Web wiedział, że nie jest w stanie zapewnić w nim całkowitego bezpieczeństwa.

Gdy kończyli wycieczkę, Gwen rozejrzała się z zadumą.

- Naprawdę pokochałam ten dom. Wiem, że jest za duży, a wystrój miejscami ma pretensjonalny, ale jest też bardzo kojący, wiesz?

- Chyba to rozumiem. Ilu pracowników macie w domu?

- Cóż, trzy kobiety przychodzą sprzątać, piorą i tak dalej, a potem idą do domu, chyba że mamy dużo gości wieczorem na kolacji, wtedy zostają i pomagają. Wszystkie są z okolicy.

- Kto zajmuje się gotowaniem?

- Ja. To kolejne zajęcie, które sprawia mi przyjemność. Mamy jeszcze kogoś w rodzaju majstra do wszystkiego. Wygląda, jakby miał milion lat, ale po prostu żył naprawdę intensywnie. Przychodzi prawie codziennie. Nemo i jego ludzie prowadzą farmę. Konie wyścigowe potrzebują codziennie ruchu, a więc zatrudniamy też jeźdźców, trzy młode kobiety i jednego mężczyznę. Wszyscy oni mieszkają w centrum jeździeckim.

- I jest system bezpieczeństwa. Zauważyłem tablicę alarmową, kiedy wchodziliśmy.

- Nigdy go nie używamy.

- Teraz będziecie.

Gwen nic nie odpowiedziała. Wprowadziła Web'a do ostatniego pomieszczenia.

Główna sypialnia była obszerna, ale jakoś słabo umeblowana. Web zauważył przylegający do niej przedpokój, gdzie też stało łóżko.

- Billy często pracuje do późna i nie chce mi przeszkadzać, kiedy kładzie się spać - wyjaśniła Gwen. - Zawsze o mnie pamięta.

Wyraz jej twarzy, kiedy to mówiła, kazał Webowi podejrzewać, że Billy wcale nie jest zbyt delikatny.

- Większość ludzi widzi tylko twardą stronę charakteru Billy'ego - ciągnęła - i chyba wielu odnosiło się trochę sceptycznie do naszej decyzji o małżeństwie. Pewnie połowa z nich myślała, że wychodzę za Billy'ego dla pieniędzy, a druga połowa, że on „wykrada dziecko z kołyński”. Ale w rzeczywistości po prostu coś między nami zaiskrzyło. Lubiemy swoje towarzystwo. Moja matka miała raka płuc w ostatnim stadium, kiedy zaczęliśmy się spotykać, i Billy codziennie przez cztery miesiące przychodził do hospicjum. I nie siedział tam, patrząc tylko, jak moja matka umiera. Przynosił jej różne rzeczy, rozmawiał z nią, spierał się z nią na temat polityki i sportu i, jak przypuszczam, czuła wtedy, że wciąż jeszcze żyje. Dzięki temu było to o wiele łatwiejsze

dla nas wszystkich, nigdy o tym nie zapomnę. Miał ciężkie życie i z tego powodu skóra mu zgrubiała. Ale jako mąż ma wszystkie cechy, jakich może pragnąć kobieta. Wyjechał z Richmond, z miejsca, które kochał, i rzucił jedyny biznes, na którym się znał, żeby zacząć od nowa w stadninie, bo ja go o to poprosiłam. Jak myślę, wiedział, że musimy uciec od tego wszystkiego, od zbyt wielu złych wspomnień.

I był cudownym ojcem dla Davida, zajmował się nim. Nie rozpieszczę go, bo sądził, że to może uczynić go słabym, ale kochał tego chłopca z całej duszy. Myślę, że utrata Davida zdruzgotała Billy'ego nawet bardziej niż mnie, bo chociaż ma dzieci z pierwszego małżeństwa, to David był jego jedynym synem. Jeśli Billy uważa kogoś za przyjaciela, nie ma absolutnie niczego, czego by dla tej osoby nie zrobił. Wydałby ostatnie dziesięć centów, żeby jej pomóc. Niewielu jest takich ludzi.

Web zauważył zdjęcia na ścianie i na wbudowanej w nią szafce. Wiele przedstawiało Davida. Był przystojnym chłopcem, bardziej podobnym do matki niż do ojca. Web odwrócił się i zobaczył, że stojąca obok niego Gwen patrzy na fotografie syna.

- Minęło już dużo czasu - powiedziała.

- Wiem. Czas tak naprawdę nie zatrzymuje się chyba dla nikogo ani dla niczego.

- Czas ma też pomagać. Ale nie robi tego.

- David był twoim jedynym dzieckiem?

Skinęła głową.

- Billy wychował swoje córki z pierwszego małżeństwa, a moim jedynym dzieckiem był David. Dziwne, jako dziewczynka byłam pewna, że będę mieć wielką rodzinę. Miałam czworo rodzeństwa. Trudno uwierzyć, że mój chłopczyk byłby teraz w szkole średniej. - Gwen nagle odwróciła się od Weba i zobaczył, jak unosi dłoń do twarzy.

- Chyba na razie wystarczy, Gwen. Naprawdę doceniam to, że poświęciłaś mi tyle czasu.

Znów zwróciła się w stronę Weba, jej policzki były wilgotne.

- Billy chciał, żebym zaprosiła ciebie i twojego przyjaciela na drinka i obiad dziś wieczorem.

- Nie musicie tego robić.

- Cóż, chcemy. W końcu uratowałaś mu życie, a jeśli mamy spędzać razem czas, prawdopodobnie powinniśmy trochę lepiej się poznać. Powiedzmy o piątej trzydzieści?

- Pod warunkiem, że na pewno podoba ci się ten pomysł.

- Na pewno mi się podoba, Web, ale dziękuję, że zapytałeś.

- Uprzedzam, że nie przywieźliśmy żadnych eleganckich ubrań.

- Takie rzeczy nie są dla nas ważne.

Claire szła do swojego samochodu w podziemnym garażu biurowca, w którym pracowała, kiedy zagadnął ją dobrze zbudowany mężczyzna w garniturze.

- Doktor Daniels?

Popatrzyła na niego uważnie.

- Tak.

Trzymał w wyciągniętej ręce swój identyfikator.

- Agent Phillips z FBI. Chcielibyśmy z panią porozmawiać... zaraz, jeśli to pani odpowiada.

Claire wydawała się zdezorientowana.

- Kto chce ze mną porozmawiać?

Agent Phillips odwrócił się i wskazał czekającą za bramą garażu czarną limuzynę o przyciemnionych szybach, silnik wozu pracował.

- Wszystko zostanie wyjaśnione, proszę pani. - Delikatnie ujął ją pod ramię. - Tędy, pani doktor, to nie zajmie wcale dużo czasu i przywieziemy panią tutaj z powrotem.

Claire pozwoliła się wyprowadzić z garażu. Phillips otworzył przed nią drzwi samochodu, a potem usiadł na przednim siedzeniu obok kierowcy. Jeszcze zanim Claire oparła się o poduszkę, limuzyna szybko odjechała.

Claire drgnęła nerwowo, kiedy mężczyzna siedzący na przeciwległej kanapie, odwrócony plecami do kierunku jazdy, pochylił się ku niej.

- Dziękuję, że zgodziła się pani z nami porozmawiać, doktor Daniels.

- Nie zgodziłam się z nikim rozmawiać. Nie wiem nawet, dlaczego tutaj jestem.

Zauważyła, że szklana przegroda oddzielająca tylną część samochodu od przedniej została uniesiona.

- Kim pan jest?

- Nazywam się John Winters. Jestem dyrektorem Biura Regionalnego FBI w Waszyngtonie.

- Cóż, panie Winters... - zaczęła Claire.

- Przyjaciele mówią na mnie Buck.

- Cóż, panie Winters, nie wiem, dlaczego chcecie ze mną rozmawiać.

Winters wyprostował się na siedzeniu.

- Och, przypuszczam, że się pani domyśla. Jest pani bardzo inteligentną kobietą. - Stuknął palcem w wielki skoroszyt leżący obok niego. - Ten życiorys zawodowy robi duże wrażenie.

Claire utkwiała wzrok w skoroszycie.

- Nie jestem pewna, czy powinno mi pochwlebiać, czy głęboko irytować to, że zbieraliście informacje o mnie.

Winters uśmiechnął się.

- Na razie po prostu przyjmijmy, że to pani pochlebiam. Musi pani sobie także zdawać sprawę, że z racji wykonywanego zawodu spotyka się pani z licznymi pracownikami Biura, ich małżonkami, członkami personelu pomocniczego.

- Wszystkie moje zaświadczenia o dopuszczeniu do współpracy z Biurem są ważne. Zresztą nie mam dostępu do ściśle tajnych informacji. Wszystkie teczki są dokładnie cenzurowane, zanim trafiają do mnie.

- A jak cenzuruje pani ludzki umysł, pani doktor?

- To, co mówią mi moi pacjenci, jest całkowicie poufne.

- Och, z pewnością. Jestem przekonany, że zestresowani ludzie, osoby z poważnymi problemami psychicznymi i emocjonalnymi, prawdopodobnie otwierają przed panią swe serce.

- Niektórzy bardziej niż inni. Do czego właściwie pan zmierza, panie Winters?

- Doktor Daniels, niewątpliwie ma pani możliwość słuchania bardzo ważnych informacji przekazywanych pani przez zupełnie bezbronnych ludzi.

- Dobrze to rozumiem. I nie wychodzą one poza mój gabinet.

Winters znów się pochylił.

- Jednym z obecnych pani pacjentów jest Web London. Zgadza się?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

Winters uśmiechnął się.

- Ależ, pani doktor...

- Kiedy powiedziałam, że nie ujawniam poufnych informacji, nie rzucałam słów na wiatr. Nie mogę zdradzać, czy ktoś jest moim pacjentem.

- Cóż, proszę pamiętać, że jako szef WFO orientuję się, kto z Biura chodzi do guru, w porządku?

- Wolimy określenie „psychiatra” albo przynajmniej „specjalista od zdrowia psychicznego”.

- A więc wiem, że Web London chodzi do pani - rzucił Winters. - I wiem, że w przeszłości kilka razy spotkał się z innym psychiatrą.

Z niejakim Edem O'Bannonem. - Claire znów nie odpowiedziała. -
A więc chcę wiedzieć między innymi, dlaczego przeniósł się do pani.

- I znów nie mogę odpowiedzieć na te...

Patrzyła, jak Winters wyjmuje z segregatora kartkę. Wzięła ją i przeczytała. Był to formularz zezwolenia podpisany przez Weba Londona i poświadczony notarialnie. Stwierdzał między innymi, że każda osoba zapewniająca opiekę psychiatryczną Webowi Londonowi może omawiać diagnozę i postępy w leczeniu z Johnem Wintersem, dyrektorem WFO. Claire nigdy wcześniej nie widziała takiego formularza, ale był to oryginalny dokument na papierze firmowym Biura.

- Teraz nie musi się już pani wzbraniać.

- Skąd się wziął ten dokument i dlaczego wcześniej go nie widziałam?

- To nowy przepis. Właściwie to w przypadku Weba pierwszy raz go zastosowaliśmy. Mój pomysł.

- To naruszenie poufności relacji lekarz-pacjent.

- Nie, jeśli pacjent sam z niej zrezygnował.

Claire przeczytała dokument bardzo uważnie - robiła to tak uważnie i zabrało jej to tak dużo czasu, że Winters w końcu zaczął się denerwować. Oddała mu kartkę.

- W porządku, chciałabym zobaczyć jakiś dowód tożsamości - powiedziała.

- Słucham?

- Tu jest napisane, że mogę ujawnić pewne informacje Johnowi Wintersowi, dyrektorowi WFO. Wiem o panu tylko tyle, że jeździ pan po mieście limuzyną i mówi, że jest Johnem Wintersem.

- Myślałem, że mój współpracownik udowodnił, kim jest.

- On tak. Ale pan nie.

Winters uśmiechnął się, wyjął swój identyfikator i pokazał go Claire. Oglądała go dłużej, niż to było konieczne, wyłącznie po to, aby dać temu mężczyźnie do zrozumienia, że ani trochę jej się to nie podoba i że nie będzie niczego ułatwiała.

Mężczyzna wyprostował się na siedzeniu.

- Teraz pomówmy o Webie Londonie.

- Wybrał mnie dlatego, że doktor O'Bannon nie był dostępny. Mieśliśmy udaną sesję i postanowił zostać u mnie.

- Jak jest diagnoza?

- Nie jestem pewna, czy już ją postawiłam.

- Czy zaproponowała mu pani jakieś leczenie?

- To byłoby trochę przedwczesne - powiedziała ironicznie - skoro nie postawiłam diagnozy. To trochę tak, jakby operowano kogoś jeszcze przed zbadaniem.

- Przepraszam, ale większość mózgowców... to znaczy psychiatrów, których znam, po prostu przepisuje jakieś pigułki.

- Cóż, chyba jestem inna niż wszyscy psychiatrzy, których pan zna.

- Może mi pani powiedzieć, co się z nim stało na tamtym podwórku?

- Nie, nie mogę.

- Nie może pani czy nie chce? - Uniósł w górę formularz zezwolenia. - Wszystko może pójść gładko, ale możemy też niezwykle utrudnić pani życie.

- Ten formularz stwierdza też, że mogę zachować dla siebie wszelkie informacje przekazane mi w zaufaniu przez pacjenta, a także własne wnioski, jeśli według mojego zawodowego rozeznania ich ujawnienie zaszkodziłoby pacjentowi.

Winters podniósł się i usiadł obok Claire.

- Doktor Daniels, czy wie pani, co się zdarzyło na tamtym podwórku?

- Tak. Czytałam gazety i rozmawiałam o tym z Webem.

- Widzi pani, to coś więcej niż zamordowanie sześciu agentów, chociaż sam ten fakt jest straszny. To podważa wiarygodność Biura. A bez niej jesteśmy niczym.

- Nie bardzo rozumiem, w jaki sposób to, że ktoś wciągnął w zasadzkę grupę agentów FBI, zmniejsza wiarygodność Biura. Powinno to raczej budzić współczucie.

- Niestety, nie w takim świecie pracujemy. Powiem pani, jakie są skutki tej zasadzki. Po pierwsze, przestępcy wystrzelali tam naszą elitarną jednostkę uderzeniową i sądzą teraz, że jesteśmy całkiem bezbronni. Po drugie, prasa rozdmuchała ten przykry incydent do tak niewiarygodnych rozmiarów, posługując się tak prowokacyjnym językiem, że społeczne zaufanie do nas zostało poważnie zachwiane i nawet prawodawcy na Kapitolu, którzy powinni lepiej się orientować w sytuacji, wątpią w nasze możliwości. I wreszcie morale w całym Biurze jest teraz z tego powodu najniższe w historii. To naprawdę potrójne nieszczęście.

- Chyba to do mnie dotarło - powiedziała ostrożnie Claire.

- A więc im wcześniej sprawa zostanie rozwiązana, im wcześniej zrozumiemy, jak to się stało, tym wcześniej będziemy mogli znów wszystko uporządkować. Jestem pewien, że nie chce pani, aby w tym kraju przestępcy myśleli, że mogą sobie używać na uczciwych obywatelach.

- Jestem pewna, że tak się nie stanie.

- Naprawdę? - Posłał jej surowe spojrzenie. - Cóż, ja tkwię w samym środku tego zamieszania i nie mam bynajmniej takiej pewności jak pani.

Claire poczuła, jak po jej plecach przechodzi zimny dreszcz, wywołany słowami mężczyzny.

Poklepał ją po ramieniu.

- No dobrze, co może mi pani powiedzieć o Webie, bez, według pani rozeznania, naruszania jakichkolwiek zawodowych norm etycznych?

Claire zaczęła wolno mówić, czując obrzydzenie do całej tej procedury.

- Ma pewne problemy. Uważam, że sięgają one dzieciństwa, jak to często bywa z takimi sprawami. Zastygł w bezruchu w tamtej uliczce. Jestem pewna, że powiedział o tym śledczym w FBI. - Popatrzyła na swego rozmówcę, żeby to potwierdził, ale Winters nie chwycił przynęty.

- Proszę kontynuować - rzucił po prostu.

Claire poinformowała go szczegółowo o wszystkim, co Web widział i słyszał w uliczce, także o słowach wspomnianych do niego przez Kevina Westbrooka, o ich wpływie na niego, o jego późniejszym dwukrotnym uczuciu paraliżu i o tym, jak walczył z nim i ostatecznie zwyciężył.

- Tak, zwyciężył - powiedział Winters. - Padł na chwilę przed tym, jak karabiny zaczęły strzelać, i zdołał ująć z życiem.

- Mogę panu powiedzieć, że Web ma ogromne poczucie winy z powodu tego, że jako jedyny ocalał.

- I powinien je mieć.

- Nie stał się nagle tchórzem, jeśli nad tym się pan zastanawiał. Jest jednym z najodważniejszych ludzi, jakich spotkałam. Właściwie jest być może zbyt odważny, za bardzo skłonny do podejmowania ryzyka.

- Nie pomyślałem, że stchórzył; nawet jego najgorszy wróg nie mógłby powiedzieć, że Web London jest tchórzem.

Popatrzyła na niego ciekawie.

- Więc o co chodzi?

- Są gorsze rzeczy niż tchórzostwo - przerwał na chwilę. - Na przykład zdrada.

- Jako psychiatra nie sądzę, żeby w tym przypadku chodziło o zdradę. Zastygnięcie Weba w tej uliczce stanowi przejaw głęboko ukrytych problemów, powstałych w bardzo trudnym dzieciństwie, z którymi Web próbuje sobie poradzić.

- Rozumiem. Może więc nie powinien być w HRT. Może wcale nie powinien pracować w Biurze.

Teraz Claire poczuła, że zastyga. Co właśnie zrobiła?

- Nie powiedziałam nic takiego.

- Nie, pani doktor, to ja powiedziałem.

Tak jak obiecali, odwieźli ją do garażu. Gdy wysiadła, Buck Winters Pochylił się i chwycił ją za ramię. Claire instynktownie się cofnęła.

- Oczywiście nie będę mógł pani przeszkodzić, jeśli postanowi pani opowiedzieć Webowi o naszym spotkaniu, pani doktor, ale proszę, żeby

pani tego nie robiła. Dochodzenie FBI jest w toku i jego wyniki, jakiegokolwiek się okażą, wstrząsną Biurem bardziej niż cokolwiek dotychczas. A więc proszę panią, jako dobrą obywatelkę, aby to wszystko na razie pozostało tajemnicą.

- Nie mogę tego panu zagwarantować. Ufam Webowi.
- Jestem pewien. Z wielu powodów ten facet wzbudza zaufanie.

Czy wie pani, ilu ludzi zabił w swojej karierze?

- Nie, a czy jest ważne, żeby to wiedzieć?
- Jestem pewien, że krewni tych ludzi uznaliby to za ważne.
- Brzmi to tak, jakby był kryminalistą. Zakładam, że jeśli zabijał ludzi, to w ramach swojej pracy, której wykonania od niego oczekujecie.
- Cóż, chyba zawsze można to różnie rozumieć, prawda? -Winters pociął jej ramię i na pożegnanie dodał z przekąsem: - Jestem pewien, że jeszcze się spotkamy.

Kiedy Romano i Web wybrali się na obiad do rezydencji, Paulie szedł w trochę dziwny sposób. Powiedział Webowi, że Billy wsadził go na konia, a on natychmiast spadł.

- Nie wiem, dlaczego, do diabła, nie mogę jeździć za tym facetem półciężarówka. Konie to po prostu nie moja działka.
- Cóż, ja jeździłem dzisiaj konno po prawie całej posiadłości, do wielu jej zakątków nie można się dostać nawet półciężarówka.
- Ty też spadłeś?
- Tak, dwa razy - zapewnił Web. Pomyślał, że będzie lepiej, jeśli nie powie prawdy, bo Romano znów by się wystraszył.
- Z kim jeździłeś? - zapytał Romano.
- Z Gwen. Było przyjemnie. A ty? Rozerwałeś się trochę?
- Taak, nie wiedziałem, jaką świetną rozrywką może być wyrzucanie gnoju z boksu. Powinieneś tego kiedyś spróbować.

Billy czekał na nich we frontowych drzwiach domu. Miał na sobie starą sztruksową marynarkę z łatami na łokciach, spodnie koloru kha-ki, marszczoną białą koszulę z guzikami przy kołnierzyku i mokasyny na bosych stopach. I już trzymał kieliszek w ręku. Poprowadził ich przez hol i w dół zakrzywioną klatką schodową z drewna orzecha włoskiego, która wyglądała na tak starą, że mogła przyplynieć do kolonii jako prezent od dawno zmarłego króla albo królowej. Web, chociaż już wcześniej chodził po tym budynku, nadal od czasu do czasu przyłapywał się na tym, że pochłania wzrokiem wielkie pokoje, bogato zdobione drewniane elementy wystroju, ciężkie draperie i wspaniałe dzieła sztuki, które wydawały się mieć wartość muzealną i prawdopodobnie faktycznie ją miały. Potem dotarli na dolny poziom. Romano rozglądał się i ciągle mruzczał pod nosem „Cholera”.

Web zauważył, że Billy utyka.

- Miałeś wypadek? - zapytał, wskazując nogę mężczyzny.

-Taak, ważący tonę koń pociągowy postanowił się wytarzać, kiedy siedziałem na jego grzbiecie.

Podłogę na dolnym poziomie wyłożono kamiennymi płytami, mury nie były otynkowane, a strop podpierały potężne belki. Były tam duże skórzane kanapy i krzesła, rozstawione starannie tak, by zachęcały do utworzenia się kilku grup rozmówców, a może nawet konspirujących frakcji, bo w oczach Weba pokój zdecydowanie wyglądał na miejsce zawiązywania spisków, chociaż Canfieldowie nie wydawali się ludźmi tego rodzaju. Jeśli kogoś nie lubili, prawdopodobnie bez skrępowania to okazywali, szczególnie Billy. Ściany były przyozdobione rogami angielskich jeleni, a także licznymi łbami innej zwierzyny, po jednej stronie geparda, lwa, nosorożca oraz łosia i wypchanymi ptakami i rybami przeróżnych gatunków. Na innej ścianie zawieszono bardzo dużego sandacza. Był tam także naturalnej wielkości grizzly szykujący się do ataku i ogromny miecznik, który wydawał się bezustannie wyskakiwać w powietrze. Na jednym ze stołów leżał zwinięty grzechotnik i kobra królewska, z oczami niby to płonącymi złością i odsłoniętymi zębami jadowymi, które były gotowe do wyrządzenia poważnej krzywdy. Web ominął szerokim łukiem oba wypchane gady. Nie czuł zbytniej sympatii do węży po tym, jak niemal został ukąszony przez rozwścieczoną żmiję wodną podczas misji w Alabamie.

Przy jednej ze ścian stała dobrze wyposażona szafka z bronią. Web i Romano z zazdrością oglądali kolekcję strzelb firm Churchill, Rizzini i Piotti, egzemplarze, które mogły kosztować ponad dziesięć tysięcy. Naprawdę nie można było pracować w HRT i nie być miłośnikiem takich eksponatów, chociaż większość agentów FBI z braku środków finansowych mogła co najwyżej przyciskać nos do szyby. Web zastanawiał się, czy broń jest tylko na pokaz, czy też ktoś jej używa. Billy wydawał się człowiekiem, który dobrze by się czuł ze strzelbą w rękę, Gwen może też. Jeśli to gospodarz zabił wszystkie te zwierzęta, musiałby cholernie dobrze posługiwać się bronią palną.

Przy innej ścianie miał swoje miejsce pełen rozmaitych trunków bar z ciemnego drewna wiśniowego. Wyglądał tak, jakby został zabrany prosto z jakiegoś londyńskiego pubu. Kiedy Web po raz pierwszy zobaczył ten pokój, odniósł wrażenie, że panuje tam atmosfera angielskiego klubu doprawiona odrobiną Dzikiego Zachodu.

Gwen siedziała na kanapie, która wydawała się wystarczająco solidna, by dało się na niej przepłynąć Atlantyck. Wstała, kiedy weszli do pokoju. Miała na sobie sięgającą kostek beżową letnią sukienkę z głębokim dekoltem, który ukazywał sporą część zagłębienia między pier-

siami. Wąski pasek białego stanika wystawał spod cienkich ramiączek sukienki. Jej nagie ramiona, zbrązowiałe na słońcu, były kształtne i mocne. Web przypuszczał, że od jazdy konnej, ponieważ jego trochę bolały ręce właśnie od trzymania wodzy przez trzy godziny. Na stopach miała czarne skórzane pantofle na płaskim obcasie. A jednak była tylko o pięć centymetrów niższa od Romano. Gdy na powrót usiadła i założyła nogę na nogę, sukienka uniosła się mniej więcej o trzy centymetry i Web był lekko zaskoczony, kiedy zobaczył złoty łańcuszek na jej kostce, ponieważ zdawał się on trochę nie pasować do jej wytwornych manier. Twarz też miała ładnie opaloną, co mocno kontrastowało z jej jasnymi włosami. Web pomyślał, że Billy Canfield to naprawdę szczęściarz, chociaż zastanawiał się, ile życia umarło w ich małżeństwie wraz z synem.

Web ze zdziwieniem zobaczył, że na jednym z krzesel siedzi Nemo Strait. Kierownik farmy doprowadził się do porządku i włożył koszulę polo, która uwydatniała jego muskularną sylwetkę, a do tego bawełniane spodnie i mokasyny. Web musiał przyznać, że mężczyzna przykuwa uwagę.

Strait uniósł swoją szklankę w stronę Weba i Romano.

- Witajcie w Casa Canfield - powiedział z szerokim uśmiechem.

Web popatrzył na liczne trofea myśliwskie.

- Były tu już, kiedy kupiliście dom? - zapytał Billy'ego.

- Do diabła, nie. Mniej więcej cztery lata temu poczułem powołanie, tak by chyba trzeba powiedzieć, do podróży i strzelania. Polowałem na grubego zwierza i łowiłem w głębinach oceanów. Pokazywali mnie nawet parę razy w telewizji w jakichś programach sportowych. Jeździłem po świecie i załatwiałem takie stworzenia. - Wskazał łeb dzika z zachowanymi szablami, a potem niedźwiedzia grizzly, wysokiego na przynajmniej dwieście siedemdziesiąt pięć centymetrów i ustawionego na specjalnie dla niego zbudowanym postumencie, miał obnażone kły i długie pazury, wyglądał tak, jakby był gotów rozszarpać kogoś na strzępy.

Billy podszedł do niego i pogłaskał gruby kark ogromnego niedźwiedzia.

- To zwierzę ze wszystkich sił starało się mnie zabić, dwukrotnie. Za drugim razem prawie mu się udało, ale go kropnąłem. - Potem wskazał nosorożca. - Te cholery wyglądają na powolne i niezdarne. Tak się wydaje, dopóki któryś nie pędzi na ciebie z prędkością około pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, a pomiędzy tobą a Stwórcą nie ma nic oprócz twoich nerwów, pewnego oka i spokojnego palca na spuście. Celujesz w mózg. Jeśli spudłujesz i trafisz w róg nosorożca, jesteś trupem.

- Biedne zwierzęta - powiedziała Gwen.

– Do diabła, te cholerstwa kosztowały mnie majątek - odparł sucho jej mąż. Popatrzył na jedno z jelenich poroży, a potem skinął głową w stronę Weba. - Wiesz, jeleni jest odwiecznym symbolem męskości, mądrości i życia. A teraz proszę, wisi na mojej ścianie, martwy na amen. Jakos podoba mi się ta ironia. Sam je wszystkie wypycham. Stałem się cholernie dobrym taksydermistą, skoro nawet ja sam tak twierdzą.

Web zastanawiał się, kiedy Billy zapragnął zabijać. Musiało się to stać wkrótce po zakończeniu procesu w wyniku ugody między adwokatem a prokuratorem, która bez wątpienia uratowała życie Ernestowi Freemu.

- Zaraz wam wszystko pokażę - ciągnął Billy. - Chcesz iść z nami, Nemo?

- Nie ma mowy. Widziałem już twoją małą pracownię, a nie jadłem jeszcze obiadu.

Billy poprowadził ich korytarzem i otworzył kluczem jedno z drzwi. Owen też im nie towarzyszyła. Weszli do środka i Web się rozejrzał. Było to wielkie pomieszczenie zapchane stołami roboczymi i półkami, na których znajdowały się puszkami z płynami i pastami, ostre noże i skalpele, dziesiątki innych narzędzi, także wielkie imadła, z sufitu zaś zwisały liny i skomplikowane zespoły krążków. W jednym rogu była skóra łosia częściowo rozciągnięta na formie, a w innym stał dziki indyk w całej swojej pośmiertnej krasie. W innych kątach znajdowały się wypchane ptaki i ryby oraz parę dużych i małych zwierząt, których Web nawet nie rozpoznawał. Znał zapach rozłożonych zwłok i tutaj nie było tak źle, ale i tak nie chciałby oddychać tym powietrzem codziennie.

- To ty zabiłeś je wszystkie? - zapytał Romano.

- Każdą sztukę - powiedział Billy z rozkoszą. - Wypycham tylko to, co zabiłem. Nie wyświadczam nikomu przysług w tym zakresie. - Podniósł szmatę, strzyknął na nią jakimś płynem i zaczął pocierać jedno z narzędzi. - Inni faceci grają dla relaksu w golfa, ja zabijam i wypycham.

- Wszystko jest względne - uznał Web.

- Przekonałem się, że to mnie uspokaja. Ale Gwen patrzy na to inaczej. Nigdy tu nie weszła i podejrzewam, że nigdy nie wejdzie. Tak... taksydermia znacznie się rozwinęła. Nie trzeba już robić własnych form, można kupić naprawdę dobre z prasowanego korka, laminowanego papieru i tym podobnych rzeczy, a potem dopasowywać je do tego, co wypychasz. To nadal nie jest łatwa sprawa, dużo planowania i mierzenia, musisz być po trosze rzeźnikiem i artystą. Podstawowe kroki to wypatroszenie zwierzęcia, a potem przygotowanie skóry. Wie-

lu ludzi używa boraksu, ale konserwatyści tacy jak ja nadal zatrują skórę arsenikiem. W ten sposób zapewnia się jej największą trwałość. I nawet częściowo sam garbuję.

- Trzymasz tu arsenik? - zapytał Romano.

- Mnóstwo. - Billy spojrział mu w oczy. - Nie martw się, zawsze myję ręce, kiedy kończę tu pracować, i niczego nie gotuję. - Zaśmiał się i Romano mu zawtórował, chociaż trochę nerwowo.

- Potem przygotowujesz czaszkę, montujesz druty i tak dalej, a później napełniasz skórę i przystępujesz do końcowego montażu.

Web obejrzał wyposażenie pomieszczenia. Wydawało się prawie takie samo jak w rzeźni.

- Dużo tu sprzętu.

- Cóż, potrzebuję dużo narzędzi, żeby wykonać tę robotę jak należy. - Wskazywał różne przedmioty. - Jak już mówiłem, istnieją prawidłowe pod względem anatomicznym, nasączone uretanami formy dla zwierząt, ale ja nadal robię niektóre sam, używając gipsu modelarskiego, plasteliny, owiniętej sznurkiem wełny drzewnej i innych tego typu materiałów. Nie muszę wszystkiego brać od innych, racja?

- Racja - potwierdził Romano.

- Dalej idą chemikalia, trucizny i sól, dużo soli, żeby zakonserwować skórę. Miarki i macki pomiarowe są potrzebne do pomiarów długości i dla osiągnięcia symetrii. A skalpele z oczywistego powodu; używam tak zwanego doskonałego noża produkcji niemieckiej, ci cholerni Niemcy umieją robić noże. Służą do zdejmowania skóry i wykańczania... wiesz, na przykład do oddzielenia szyi od skóry tułowia... do pracy nad szczegółami wokół oczu i warg. Tam są noże do zdejmowania skóry, noże do skrobania, piła do przecinania kości, strugarki, dwojarki do skóry, nawet odmięszarka. Ta ostatnia jest cholernie wspaniałym wynalazkiem.

Web powiedział półszeptem:

- Szczęśliwy, szczęśliwy świat.

- Kupiłem rękawice do odmięszania z kevlaru, żeby sobie nie odkroić palca. Nożyce, cęgi do skóry, przyrządy do zawijania warg, szczypce, kleszcze, sondy i igły chirurgiczne. Wydaje się to czymś pośrednim między balsamowaniem a chirurgią plastyczną, prawda? - Wskazał miski do mieszania, pędzle, sprężarkę i kilka puszek. - To artystyczna część tego zajęcia. Ostatnie poprawki, żeby zwierzę wyglądało tak jak przed śmiercią.

- To dziwne — powiedział Web. - Taka dbałość o wygląd czegoś, co się zabiło.

- Chyba to odróżnia facetów takich jak ja od sukinsynów, którzy zabijają, a potem idą sobie dalej - odpalił Billy.

- Chyba tak - powiedział Web.

Billy podszedł do skóry jelenia, która suszyła się na dużym stole.

- Wiesz, co odcina się najpierw, kiedy patroszy się jelenia? - zapytał, patrząc na Weba.

- Co?

- Jego penisa.

- Dobrze wiedzieć - rzucił sucho Web.

- Jelenie umierają tak jak ludzie - ciągnął Billy. - Z otwartymi oczami. Stają się one szkliste prawie natychmiast. Jeśli jelen ma zamknięte oczy albo mruga, lepiej strzelić jeszcze raz. - Znów spojrzął na Weba. - Przypuszczam, że często macie z tym do czynienia w waszej branży.

- Czasami w przypadku ludzi nie ma takiej możliwości.

- Pewnie nie, chociaż wolałbym darować życie dowolnemu zwierzęciu, które wystawiam tu na pokaz, niż ludzkim szumowinom, którymi musicie się zajmować. - Pociągnął łyk drinka. - Myślę, że to między innymi dlatego tak bardzo lubię ten dom - powiedział. - To cholerna sprzeczność, bo ja sam wydaję się jak najbardziej żywy. Urodziłem się w nędzy, ledwo skończyłem dziewiątą klasę, zarobiłem duże pieniądze w niezbyt ekscytującym biznesie, na wożeniu papierosów i innych śmieci po autostradach tego wspaniałego kraju, i poślubiłem piękną, inteligentną młodą kobietę z dyplomem college'u. A teraz jestem tutaj, jako właściciel posiadłości w samym środku dziwacznych terenów łowieckich w Wirginii i wypycham zwierzęta. Szczęściarz ze mnie. Chętnie bym się teraz upił, więc chodźmy jakoś temu zaradzić.

Poprowadził ich z powrotem korytarzem i znów przyłączyli się tło Gwen. Uśmiechnęła się słabo do Weba, jakby chciała powiedzieć: „Wiem i jest mi przykro”.

Billy wszedł za bar i zwrócił się do żony:

- Szkocka, kochanie? - Skinęła głową. - Dołączę do ciebie przy następnej - obiecał. - Chłopcy? I nie wciskajcie mi kitu, że jesteście na służbie. Jeśli ze mną nie wypijecie, wyrzucę stąd wasze tyłki.

- Piwo, jeśli macie.

- Mamy tu wszystko, Web.

Web zapisał sobie w pamięci, że mężczyzna powiedział to w taki sposób, jakby naprawdę tak myślał, do cholery.

- To samo dla mnie - odezwał się Romano.

- Ja też wypiję jedno, Billy - oświadczył Strait. Podszedł do baru i wziął butelkę piwa od swojego szefa, a potem dołączył do Weba i Romano.

- Jestem o wiele bardziej przyzwyczajony do piwa niż do wymyślnych mieszanych drinków.

- Chłopak ze wsi? - zapytał Romano.

- Tak, proszę pana, dorastałem na wzgórzach u stóp Błękitnego Pasma w stadninie - odparł Strait. - Ale chciałem zobaczyć świat. - Podwinął rękaw i pokazał im wytatuowany symbol Korpusu Piechoty Morskiej. - Cóż, zobaczyłem, za pieniądze Wuja Sama. Właściwie widziałem tylko mały kawałek świata zwany Południowo-Wschodnią Azją, i trudno cieszyć się czymś takim, kiedy ludzie do ciebie strzelają.

- Byłeś w Wietnamie? Wydajesz się za młody - stwierdził Web.

Strait uśmiechnął się szeroko.

- Chyba dlatego, że jestem taki przyzwoity. - Po chwili dodał: - Prawda jest taka, że dostałem powołanie na samym końcu, miałem wtedy tylko osiemnaście lat z niewielkim hakiem. Podczas pierwszego roku w dżungli po prostu trzymałem głowę nisko i robiłem, co mogłem, żeby została na moim karku. Potem mnie złapali i przez trzy miesiące byłem jeńcem wojennym. Cholerny Wietkong miał chore pomysły, miesza ci w mózgu, próbowali zrobić z ciebie zdrajcę.

- Nie wiedziałem tego o tobie, Strait - zauważył Billy.

- Cóż, to nie jest coś, co umieszczam w swoim życiorysie. - Zaśmiał się. - Ale w końcu uciekłem i wojskowy psychiatra pomógł mi się otrząsnąć. On, dużo wódki i innych rzeczy, o których nie mogę wspomnieć - dodał, szczerząc zęby. - Zostałem zdemobilizowany, wróciłem do Stanów i miałem robótkę jako strażnik w poprawczaku. Powiem wam, że przy części dzieciaków, których pilnowałem, cholerny Wietkong wyglądałby jak gromadka maminsynków. Potem się ożeniłem, ale moje eks nie podobały się moje zarobki, sześć dolców za godzinę, więc załatwiłem sobie inną pracę i przez pewien czas siedziałem za biurkiem, ale to po prostu nie byłem ja. Jak już mówiłem, dorastałem na świeżym powietrzu, przez całe życie byłem blisko koni. To wchodzi człowiekowi w krew. - Popatrzył na Billy'ego. - Lepiej, żeby weszło, bo nie umieścisz tego na swoim koncie bankowym.

Rozśmieszyło to wszystkich oprócz Gwen. Webowi, który obserwował ją uważnie, wydawało się, że drażni ją sama obecność tego kowboja w jej domu.

- No więc wróciłem do koni - ciągnął Strait. - Żona odeszła ode mnie i zabrała syna i córkę.

- Często się z nimi spotykasz? - zapytał Web.

- Kiedyś tak było, ale teraz już nie. - Znów wyszczerzył zęby. - Myślałem, że mój syn pójdzie w ślady swojego staruszka i zaciągnie się do wojska albo może zainteresuje się końmi. - Klepnął się po udzie. - Do diabła, i wiecie co?

- O co chodzi? - zapytał Romano.

- Okazało się, że odrzuca go od tych rzeczy. Życie naprawdę jest czasami zabawne.

Web przypatrywał się mężczyźnie i nie wydawało mu się, żeby Strait uważał życie za choć trochę zabawne. Początkowo widział w nim tępego faceta, który robi, co mu każą. To wymagało ponownego przemyślenia.

- Potem pojawił się Billy i teraz pomagam jemu - spojrzał na Gwen - i pani Canfield zbudować tutaj małe imperium.

Billy uniósł swoją szklanekę z piwem w stronę mężczyzny.

- I świetnie ci idzie, Strait.

Web zauważył, że po tych słowach Gwen odwróciła wzrok, mimo pochwały Billy'ego wydawało się, że wcale nie jest zbyt zachwycony jego brygadziwą. Web postanowił pchnąć rozmowę na inne tory.

- Na dolnym poziomie budynku zwykle jest chłodno - powiedział do Billy'ego. - A tutaj w dodatku są same kamienne mury. A jednak wydaje się, że tu na dole jest cieplej niż na górze.

- Mamy tu najlepsze ogrzewanie na świecie - wyjaśnił Billy, który radził sobie przy barze tak, jakby się do tego urodził. - Parowe. Gwen mówi, że oprowadziła cię po domu. Cóż, te trzy bojlerowe Weila McLaina, które widziałeś, podgrzewają wodę do temperatury stu stopni i oczywiście zmieniają ją w parę. Para płynie rurami do żeliwnych kaloryferów Gurneya, które znajdują się we wszystkich pomieszczeniach w domu. Potem para stygnie, na powrót się skrapla, woda znów płynie przez instalację, jest jeszcze raz zmieniana w parę i tak bez końca. I masz nie tylko ciepło, ale i wbudowany nawilżacz. - Podał Webowi piwo. - Wiele rur z parą biegnie pod tą podłogą, dlatego tu na dole jest tak przyjemnie. Uwielbiam to. A o tej porze roku zdarza się, że na dworze jest trzydzieści stopni w dzień, a cztery w nocy. Ale dzięki bojlerom McLaina Gwen może zejść tutaj na dół z odkrytymi ramionami i mimo to czuć miłe ciepło, prawda, kochanie?

- Właściwie to było mi gorąco przez cały dzień.

Web przesunął dłonią po blacie baru.

- Przydatny mebel.

- Pochodzi z 1910 roku - powiedział Billy. - Ówczesny właściciel włożył dużo pracy w ten dom. Jednak było to konieczne. Niestety, do czasu, gdy my tu przyjechaliśmy, pojawiło się o wiele więcej nowych potrzeb. To typowe dla mojego życia. - Przyniósł drinki na tacy i rozdał je. Wszyscy usiedli.

- Gwen mówiła mi, że macie trochę obiecujących roczniaków.

- Taak, być może jest wśród nich zdobywca Potrójnej Korony - przyznał Billy. - No więc to by było miłe. Pieniądzy starczyłoby na zapłacenie co najmniej miesięcznych rachunków za tę cholerną farmę.

Gwen i Web wymienili uśmiechy po tej uwadze.

- Zawsze możemy mieć nadzieję - powiedziała Gwen. - Ale pozostawanie przez cały czas o krok od schroniska dla bezdomnych jest przynajmniej ekscytujące.

- Cóż, dobrze nam tu idzie - zauważył Strait, patrząc na nią.

Dobór zaimków wydał się Webowi interesujący. Zaczynał się zastanawiać, kto jest faktycznie właścicielem posiadłości.

Billy pociągnął łyk szkockiej.

- Taak, to nie jest takie złe miejsce. Mamy tu nawet polowania na lisy.

Na twarzy Gwen odmalowała się odraza.

- To obrzydliwe - stwierdziła.

- Cóż, to j e s t kraina polowań na lisy, a w Wirginii trzeba robić to, co robią nadęci Wirgińczycy. - Billy uśmiechnął się do Weba. - Właściwie to nasi cholerni sąsiedzi potrafią nieźle zaleźć człowiekowi za skórę. Wkurzyli się na mnie, bo nie pozwoliłem im przejechać przez moją ziemię, kiedy ścigali tego cholernego lisa. Powiedziałem im, że w Richmond nie polowało się na lisy, a poza tym wydawało się, że zwierzak nie ma żadnych szans, a ja zawsze miałem skłonność do kibicowania słabszemu. Cóż, te dupki pozwały mnie do sądu. I wygrali. Z tytułem własności łączy się jakieś stare zobowiązanie, które najwyraźniej umożliwia tutaj polowanie na lisy na prywatnych gruntach.

Romano wydawał się zde gustowany.

- To dopiero skubaństwo. A podobno żyjemy w wolnym kraju.

- Cóż, już nie jeżdżą przez East Winds - powiedział Strait.

- Dlaczego? - zapytał Web.

- Billy zastrzelił im jednego psa... przepraszam, ogara. - Nemo klepnął się po udzie i zaśmiał.

Billy kiwał głową, jakby przypominał sobie coś przyjemnego.

- Zaczął gonić jednego z moich koni. Ten akurat był wart około trzydziestu tysięcy dolarów. Cholernych ogarów jest od groma. Do diabła, pewnie, że go zastrzeliłem.

- Znów pozwali cię do sądu? - zapytał Web.

- Tak, i tym razem skopałem im dupę. - Uśmiechnął się, upił trochę drinka i popatrzył na Weba. - Podobają ci się mała wycieczka, na którą zabrała cię Gwen?

- Twoja żona byłaby wspaniałym przewodnikiem. Zainteresowało mnie to, że farma była przystankiem na trasach przerzutowych niewolników w czasie wojny secesyjnej.

Billy wskazał szafkę z bronią.

- A ten przystanek jest właśnie tam.

Web popatrzył na szafkę i powiedział:

- Nie rozumiem.

- Pokaż mu, Billy - odezwał się Strait.

Billy dał znak Webowi i Romano, żeby za nim poszli. Zbliżył się do szafki i nacisnął coś, co według przypuszczeń Weba było dźwignią ukrytą w konstrukcji mebla. Web usłyszał lekki trzask i szafka obróciła się na osi w jego kierunku, odsłaniając mały otwór.

- Nie ma tu prądu ani okien, tylko dwa twarde łóżka, ale kiedy uciekasz z niewoli, nie możesz być zbyt wybredny - powiedział Billy. Podniósł latarkę, która wisiała na kołku, i podał ją Webowi. - Zajrzyj.

Web wziął latarkę, wetknął głowę do środka i omiół promieniem światła pomieszczenie. Prawie upuścił latarkę, kiedy światło wyłoniło z mroku mężczyznę siedzącego tam w bujanym fotelu z giętego drewna. Gdy oczy Weba przyzwyczały się do słabego oświetlenia, zobaczył, że tak naprawdę jest to manekin ubrany jak niewolnik, z kapeluszem i bokobrodami, a białka jego oczu niepokojąco kontrastują z pomalowaną czarną skórą.

Billy zaśmiał się i powiedział:

- Masz cholernie mocne nerwy. Większość ludzi wrzeszczy.

- Billy to tam wsadził, nie ja, Web - wtrąciła szybko Gwen z odrobiną wstrętu w głosie.

- To jeden z moich chorych żarcików- dodał Billy. - Ale, do diabła, jeśli nie można śmiać się z życia, to z czego człowiek ma się śmiać?

Po tych słowach dokończyli drinki i poszli na obiad.

Nie zjedli go w oficjalnej jadalni. Jak wyjaśnił Billy, tamta sala była tak wielka, że kiedy chciało się z kimś porozmawiać, trzeba było krzyczeć, a on w dodatku miał trochę osłabiony słuch. Jedli w małym pomieszczeniu przy kuchni. Gwen odmówiła krótką modlitwę, a potem się przeżegnała, co zrobił też Romano. Strait, Web i Billy tylko się przypatrywali.

Gwen przygotowała sałatkę cesarską, polędwicę, świeże szparagi w sosie śmietankowym i coś, co pachniało i smakowało jak bułki domowego wypieku. Placek z wiśniami i kawa zakończyły posiłek, Romano oparł się wygodnie, pocierając swój płaski, twardy brzuch.

- Znacznie lepsze niż pemmikan - ocenił, mając na myśli amerykańskie wojskowe racje gotowe do spożycia.

- Dziękuję, Gwen, to było wspaniałe - powiedział Web.

- W Richmond często przyjmowaliśmy gości - odparła. - Teraz zdarza się to tylko od czasu do czasu. - Mówiąc to, rzuciła mężowi szybkie spojrzenie.

- Wielu rzeczy już nie robimy - stwierdził Billy Canfield. - Ale to był świetny posiłek i wznoszę toast za szefa kuchni. - Podeszedł do kredensu i przyniósł karafkę brandy oraz cztery szklanki z rżniętego kryształu. - Jestem miłośnikiem Jima beama, jak każdy dżentelmen z Południa, a porządny toast wymaga odpowiedniego napoju. - Rozlał

beama do szklanek gości, a potem napełni! swoją i wypili zdrowie Gwen.

Uśmiechnęła się i uniosła szklankę w ich stronę.

- Cóż, to miłe, kiedy jest się tak lubianą przez tylu mężczyzn.

Gdy się żegnali, Web odciągnął Billy'ego na bok.

- Chcę tylko ustalić podstawowe zasady. Nie zapomnij włączyć alarmu, kiedy wyjdziemy, i włączaj go co wieczór, zanim pójdziesz spać. Można na wiele sposobów wejść do tego domu i wyjść z niego, a ja chcę, żebyście z Gwen wchodzili i wychodzili jedną wybraną drogą. Dzięki temu nie zostawicie przez nieuwagę otwartego zamka w jakichś drzwiach. Jeśli postanowicie wyjść, nawet jeśli miały to być tylko spacer, zadzwońcie do nas wcześniej, pójdziemy z wami. Jeśli cokolwiek przestraszy ciebie albo Gwen, zadzwońcie do nas. Nic nie jest błahe, w porządku? To numer mojego telefonu komórkowego. Będzie włączony przez cały czas. I chcę, żebyś mocno się zastanowił, czy nie pozwolić mnie i Romano zamieszkać tu w domu. Jeśli coś się zdarzy, naprawdę będą się liczyć sekundy.

Billy popatrzył na karteczkę z numerem Weba.

- Więźniowie we własnym domu, chyba do tego doszło. Dranie. - Pokręcił ze znużeniem głową.

- Ta broń w twojej szafce jest tylko na pokaz czy używasz jej podczas polowań?

- To w większości strzelby. Nie mógłbym ich używać przeciw zwierzętom, które chcę wypchać, bo amunicja ze strzelby niszczy skórę i odrywa łby. Moją broń na grubego zwierza trzymam w zamkniętej na klucz szafce na górze. Mam też dwunastkę i Magnum .357. Oba są naładowane. Czekają na wkroczenie jakichś dwunożnych sukinsynów na moją ziemię. Gwen też cholernie dobrze strzela. Prawdopodobnie lepiej ode mnie.

-W porządku, ale pamiętaj, żeby strzelać tylko do złych facetów. Zaplanowaliście jakieś podróże w najbliższym czasie?

- Zabieramy tylko partię koni do Kentucky za parę dni. Jade ze Strai-tem i niektórymi chłopakami.

- Porozmawiaj z Batesem, może on ma inne zdanie na ten temat.

- Posłuchaj Weba - doradził Nemo, który podszedł i przypadkiem usłyszał część ich rozmowy. - Ktoś chce cię dopaść, Billy. Zostań na miejscu, żeby federalni mogli cię chronić.

- Myślisz, że jestem mięczakiem, Nemo? - zapytał Billy.

- Do diabła, nie. Jeśli coś ci się stanie, stracę robotę.

- Spodziewacie się jakichś gości? - zapytał Web.

Billy pokręcił głową.

- Większość naszych przyjaciół z Richmond nie jest już naszymi

przyjaciółmi. Być może to głównie nasza wina. Wystarcza nam własne towarzystwo.

- Ci wasi sąsiedzi w Southern Belle, co o nich wiesz?

- Tylko tyle, że są bardziej niegrzeczni niż ja. - Zaśmiał się. - Prawdę mówiąc, nie wiem o nich za dużo. Nie włączają się za bardzo w lokalne sprawy, co nie znaczy; że ja to robię. Widziałem się tylko z facetem, który jest tam chyba brygadzystą.

- A ten helikopter i samolot?

Billy wykrzywił twarz.

- To cholernie denerwujące. Płoszy konie.

- Jak często widzisz, że samolot i helikopter dokądś lecą?

Billy zastanowił się.

- Często.

- Co to znaczy „często”? Co wieczór, co tydzień?

- Nie co wieczór, ale częściej niż raz w tygodniu.

- Zawsze lecą w tym samym kierunku czy w różnych?

- W różnych. - Billy popatrzył czujnie na Weba. - O czym myślisz?

Web uśmiechnął się nieznacznie.

- Myślę, że po prostu będziemy mieć na oku te linie lotnicze za płotem.

Kiedy wrócili do wozowni, Web zdał partnerowi relację ze swojej rozmowy z Billym.

- Myślisz, że coś się dzieje w sąsiedniej posiadłości? - zapytał Romano.

- Myślę, że coś stamtąd wylatuje.

- Cóż, to był interesujący wieczór. Muszę ci powiedzieć, że to hobby Canfielda jest trochę niesamowite.

- Taak, to nie całkiem to samo co klejenie modeli samolotów. A co sądzisz o Nemo Straicie?

- Robi wrażenie raczej porządnego faceta.

- Trochę się zdziwiłem, że został zaproszony do wielkiego domu na obiad z szefem.

- Cóż, pamiętaj o pochodzeniu Billy'ego. Prawdopodobnie lepiej się czuje wśród ludzi takich jak Strait niż z paroma bogaczami, którzy polują na lisy.

- Prawdopodobnie masz rację. Wydaje się jednak, że Gwen za nim nie przepada.

- Ona jest damą. A Nemo jest trochę nieokrzesany. - Po czym dodał z uśmiechem: - Tak jak ja. Nie wiedziałem, że ona jest katoliczką.

- Taak, ma kapliczkę w lasach, gdzie codziennie jeździ się modlić za swojego syna, tego, którego nie potrafiłem uratować.

- To nie tak było, Web. Do diabła, gdyby negocjatorzy pozwolili wam zrobić swoje od początku, chłopak prawdopodobnie by żył.

- Słuchaj, Paulie, jestem dziś wieczorem umówiony na spotkanie, a więc będziesz musiał poradzić sobie w pojedynkę. Wyjeżdżam dopiero za jakiś czas, więc możesz się zdrzemnąć. Bates będzie trzymał agentów przy tylnych i frontowych bramach posiadłości przez następne kilka dni, więc tak naprawdę nie zostaniesz zupełnie sam.

- Spotkanie? Jakie?

- Opowiem ci wszystko, kiedy wrócę.

- Czy to ma coś wspólnego z tym, co się stało z Grupą Charlie?

- Może.

- Cóż, do cholery, Web, chciałbym jechać z tobą.

A ja chciałbym, żebyś mnie osłaniał.

- Nie możemy porzucić posterunku. Powinienem wrócić przed świtem. Na twoim miejscu patrolowałbym troszeczkę okolicę. Nie zdziwiłbym się, gdyby Canfield na początek chciał nas sprawdzić, a więc może się wymknąć z domu. Myślę wprawdzie, że po tym, jak prawie zginął, trochę się przestraszył, ale nie możemy ryzykować.

- Nie martw się, powęszę co nieco.

- Jeśli zobaczysz, że przelatuje ten samolot albo helikopter, zapisz to. Przywiozłem parę noktowizorów, możesz ich używać.

- Od tego cholerstwa zawsze boli mnie głowa, noktowizor za bardzo zaburza percepcję głębi.

- Taak, cóż, pamiętaj, że to „cholerstwo” uratowało nam życie w Kosowie.

- W porządku, w porządku, idę w kimę.

- Paulie?

- Taak?

- Nie otacza nas grupa facetów z wielkimi karabinami, ale to nie znaczy, że nie jest niebezpiecznie. Zachowaj nadzwyczajną ostrożność. Nie chcę stracić nikogo więcej, w porządku?

- Hej, Web, pamiętaj, z kim rozmawiasz.

- Nie zawsze się zgadzaliśmy przez te wszystkie lata, ale też robiliśmy razem wypadki do piekła. Jakoś lubię, kiedy jesteś w pobliżu. Słyszysz mnie?

- Jezu, Web, naprawdę cię obchodzę.

- Jesteś prawdziwym kutasem, Romano, wiesz?

Kiedy Web zadzwonił na numer zapisany na kartce, którą dał mu Wielki F, usłyszał męski głos. Web nie wiedział, czy należy on do Wielkiego F, ponieważ jego pierwsze spotkanie z olbrzymem wiązało się raczej ze wstrząsami mózgu niż z rozmową. Web miał nadzieję, że to właśnie Wielki F jest na linii, bo głos był cienki i przenikliwy. Cóż za wspaniałego figla Bóg spletałby temu mężczyźnie, dając mu tak piskliwy głosik. A jednak śmieszny głos nie umniejszał strachu Weba przed ponownym zatańczeniem fokstrota z żywym dębem. Wielki F nie uderzał migdałkami.

Mężczyzna powiedział Webowi, żeby jechał na północ przez Most Woodrowa Wilsona dokładnie o jedenastej tego wieczoru. Miał wtedy Otrzymać dodatkowe instrukcje, zapewne przez telefon komórkowy. Jego numeru nie było w spisie, ale wydawało się, że w tych czasach nic nie jest święte.

Web oczywiście rozsądnie zapytał, dlaczego w ogóle miałby tam jechać.

- Jeśli chcesz wiedzieć, co się stało z twoimi kumplami, będziesz na moście - powiedział mężczyzna. - I jeśli chcesz dalej żyć - dodał. Po tej groźbie, a więc w dość odpowiednim momencie, na linii zapadła cisza.

Web pomyślał, że mógłby wpaść do Quantico i zgarnąć z pomieszczenia ze sprzętem karabin Barrett .50 oraz parę tysięcy naboju. Jedną z zalet HRT było to, że kupowano tam dla pracowników najnowocześniejsze rodzaje broni i pozwalano im z nimi robić, co chcieli. Magazyn SC sprzętem HRT był dla entuzjastów przemocy tym, czym olbrzymi sklep ze słodyczami dla miłośników słodkości. Ale w końcu uznał, że nawet zafascynowani bronią członkowie HRT mogliby unieść brwi w zdziwieniu, gdyby wypożyczył pięćdziesiątkę i tyle amunicji, że wystarczyłoby jej do zdemolowania sporego miasta. Zastanawiał się krótko, czy nie wezwać ludzi Batesa jako wsparcia, ale potem zdał sobie sprawę, że mogłoby to mieć katastrofalne następstwa. Wielki F nie przetrwał tak długo na ulicach, bo był głupi albo miał nieprawdopodobne szczęście. Wyniuchałby na pewno chłopców z Biura, a czy to by PO prostu nie doprowadziło do szału tego wielkiego faceta? A jeśli po-

siadał on informacje o tym, kto wrobił jego grupę, Web musiał się dowiedzieć jakie.

Przejechał obok wjazdu na farmę Southern Belle. Dwuskrzydłowa brama nie była tak bogato zdobiona jak ta w East Winds i Web zauważył, że jest zamknięta na kłódkę. Wydawało mu się, że dostrzega mężczyznę patrolującego teren w pobliżu wjazdu, ale nie był tego pewien ani nie potrafił powiedzieć, czy mężczyzna jest uzbrojony. Interesujące miejsce. W chwili, gdy to myślał, usłyszał nadlatujący helikopter. Popatrzył w górę i zobaczył, jak maszyna przelatuje, a potem znika mu z oczu. Może lądowała w Southern Belle. Może terroryści wylądowali w Ameryce. Web tylko częściowo żartował sobie.

Zatrzymał się, żeby zatankować. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Claire, ale potem postanowił tego nie robić. Co by jej powiedział? „Może spotkam się z tobą jutro, a może nie”.

Most Woodrowa Wilsona od dawna był wąskim gardłem ruchu drogowego w systemie międzystanowych autostrad. Większość miejscowych kierowców reagowała na imię i nazwisko dwudziestego ósmego prezydenta Stanów Zjednoczonych napadami wściekłości. Co za pamiętka - pomyślał Web - po życiu wypełnionym bezinteresowną służbą społeczeństwu. Lepiej już, żeby twoim nazwiskiem ochrzczono przydrożny parking. Przynajmniej ludzie myśleliby wtedy o tobie w związku z upragnionym spełnieniem naturalnej potrzeby.

Wjechał na starzejący się most i spojrzął na zegarek. Za trzydzieści sekund jedenasta. Potomac był tego wieczoru spokojny, Web nie widział płynących łodzi. Ciągła linia drzew po stronie Marylandu ostro kontrastowała z jasnymi światłami Starego Miasta w Alexandrii po stronie Wirginii oraz kopułą Kapitolu i narodowymi zabytkami na północy. Minął oznaczony środek mostu. Ruch był stosunkowo słaby i pojazdy przesuwały się gładko. Wóz policji stanu Wirginia minął Weba, zderżając w przeciwnym kierunku. Web miał ochotę wrzasnąć za nim: Hej, chcesz być moim przyjacielem dziś wieczorem? Jestem umówiony na spotkanie z doktorem Śmiercią!

Web zjechał z mostu i ruszył dalej. Rozejrzał się. Nic. Takie było to ich dokładne zgranie w czasie. Potem uderzyła go myśl przyprawiająca o lodowaty dreszcz. Czy był wrabiany, żeby mogli go trafić? Czy gdzieś tam był snajper, który właśnie teraz brał go na muszkę? Czy facet regulował w tej chwili kompensator trajektorii, umieszczał nabój w komorze, kładł palec na spuście, po raz ostatni przed strzałem wydychał powietrze? Czy Web London był największym idiotą na świecie?

- Skręć w następną w prawo. TERAZ! TERAZ!

Głos wydawał się dochodzić zewsząd i znikąd, zaskoczył Weba tak bardzo, że prawie obrócił on mercury'ego o sto osiemdziesiąt stopni.

- Cholera! - krzyknął, przecinając błyskawicznie trzy pasy ruchu, podczas gdy trąbiono na niego, a pozostali kierowcy starali się uniknąć kolizji. Przemknął się tak ryzykownie, że wóz otarł się o barierkę ochronną.

Był teraz na zjeździe na Międzystanową 295.

- Jedź do Dystryktu - powiedział głos już spokojniej.

- Cholera, zawiadomcie mnie trochę wcześniej następnym razem - odparł Web, a potem się zastanowił, czy tamten facet w ogóle go słyszy. Zastanawiał się też, w jaki sposób zdołali ukryć urządzenie komunikacyjne w jego samochodzie, tak że nikt ich nie widział. Web skierował samochód na północ, do Dystryktu Columbia. Oddychał głęboko, Żeby się uspokoić. Teraz akurat pragnął nigdy więcej nie usłyszeć żadnego głosu, nie widząc twarzy rozmówcy.

- Jedź dalej - powiedział ten sam głos. - Powiem ci, gdzie skrócić.

Cóż, pragnienia się nie spełniły. To nie był Piskliwy Głos. Może to był Wielki F To mógłby być jego głos, bo był basowy, szorstki, groźny. basowałby do niego.

Web bardzo dobrze znał tę okolicę. Nieznana powszechnie prawdą o tym odludnym odcinku autostrady biegnącym przez las było to, że jeśli komuś zepsuł się tam samochód, to właściciel nie znajdował go już, kiedy po niego wracał. A gdyby właściciel został przy swoim zepsutym samochodzie, on też by stamtąd nie wrócił. Chłopcy, którzy tu polowali, byli w ścisłej czołówce przestępców. Znajdował się tutaj także szpital psychiatryczny świętej Elżbiety dla fanatycznych wielbicieli gwiazd, takich jak John Hinckley, i dla tych, którzy próbowali przejść przez płot otaczający Biały Dom, ale też dla wielu innych.

- Skorzystaj z następnego zjazdu - powiedział głos. - Skręć w lewo na światłach, przejedź jeden i trzy czwarte kilometra, a potem skręć W prawo.

- Powinienem to zapisać czy mi to przefaksujecie? - zapytał Web, tak dla hecy.

- Zamknij się, do diabła!

Cóż, przynajmniej go słyszeli. I widzieli. Popatrzył we wsteczne lusterko, ale zobaczył sporo reflektorów. Jeśli istniało coś, czego Web nie mógł znieść, to brak poczucia humoru u przestępcy. Wsunął to w myślach do swojej teczki z napisem „odwet”. Zastosował się do Wskazówek i wkrótce znalazł się w samym środku stref śmierci północno-wschodniej i południowo-wschodniej części Dystryktu Columbia, które sięgały rzeki Anacostii, w ciągu ostatnich siedmiu lat zamordowanych zostało tam ponad tysiąc osób. Dla porównania za rzeką, a jak się wydawało kilka galaktyk dalej, w zamożnym rejonie północno-zachodnim w tym samym czasie odnotowano niewiele ponad dwadzie-

ścia zabójstw. Jednak złośliwie została zachowana pewna równowaga, bo w północno-zachodniej ćwiartce Dystryktu popełniano z kolei o wiele więcej kradzieży rozmaitego kalibru, a działa się tak z bardzo prostego powodu: biedacy rzadko mieli rzeczy, które przestępcy chcieliby sobie przywłaszczyć, podczas gdy bogaci mieli ich oczywiście mnóstwo. Przy trasie Weba stało Narodowe Muzeum Fredericka Douglasa, London przypuszczał, że poprzednik Martina Luthera Kinga nie byłby wcale zadowolony z rozwoju sytuacji.

Web dostał następny zestaw wskazówek i wkrótce jechał polną drogą wijącą się pomiędzy drzewami o gęstym listowiu. Web trafił tu już kiedyś. Było to ulubione śmietnisko mieszkańców bardziej nacechowanych przemocą połaci Waszyngtonu, którzy nie lubili zapaskudzać swoich dzielnic częściami ciał. Właściwie formacja HRT przeprowadziła tutaj dwie akcje. Pierwsza przebiegła idealnie, bez choćby jednego strzału. Po drugiej pozostały trzy trupy. Wszyscy zabici byli złymi facetami, którzy po prostu nie potrafili pogodzić się z faktem, że są już bezsilni, i dlatego bezrozumnie wyciągnęli pistolety, zamiast podnieść ręce. Może spodziewali się strzałów ostrzegawczych. Cóż, w podręczniku HRT nie było rozdziału o takich strzałach. Za każdym razem, kiedy Web pociągał za spust, ktoś padał martwy.

- Zatrzymaj samochód - powiedział głos - i wysiądź. Połóż pistolet na przednim siedzeniu.

- Skąd wiesz, że mam pistolet?

- Jak nie, to masz gówno zamiast mózgu.

- A jak oddam pistolet, to co powiesz o moim mózgu?

- Jak go nie oddasz, to zostaniesz bez mózgu.

Web umieścił pistolet na przednim siedzeniu, powoli wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Nie widział nic oprócz drzew i bezksiężycowego nieba. Czuł zapach wody z rzeki i nie było to bynajmniej pokrzepiające. Nieliczne ruchy, jakie zauważał, nie były z pewnością typowe dla Wielkiego F, najprawdopodobniej to wiewiórki, lisy albo pomniejsi kryminaliści próbowali złowić coś na kolację. W tej chwili Web żałował tylko jednego, że nie schował Romano w bagażniku. Cóż, pomyśl o tym teraz.

Zesztywniał lekko, kiedy usłyszał, jak nadchodzą. Gdy wyłonili się zza drzew, Web dostrzegł trzech wielkich mężczyzn idących w rzędzie. Wszyscy byli wyżsi od niego i wszyscy celowali w niego z porządnego sprzętu. Web tak naprawdę nie skupiał jednak na nich uwagi, bo o wiele potężniejszy mężczyzna szedł zaraz za nimi. Był pewien, że zobaczy olbrzyma tego wieczoru, a jednak widok Wielkiego F i tak był dość przerażający. Miał na sobie inne ubranie, ale w tym samym stylu Club Med. Koszula tym razem nie była rozpięta. Wszystkie rany Weba zadane przez tego ogromnego faceta wydawały się swędzieć w jego

obecności, jakby zapoczątkowana została właśnie jakaś chemiczna reakcja. Obok Wielkiego F kroczył biały facet, co zdziwiło Weba, dopóki nie rozpoznał Clyde'a Maceyego we własnej osobie. Na żywo jeszcze bardziej przypominał szkielet niż na zdjęciu. Web przypomniał sobie rozmowę z Batesem, podczas której się zastanawiali, kto może być wtyczką Cove'a. Macy? Peebles? Macy nie wyglądał na donosiciela, ale kto to tak naprawdę wiedział? Gdy Web zatrzymał na nim wzrok, zauważył, że garnitur, który włożył Macy, i słuchawka w uchu nadają mu wygląd członka prezydenckiej ochrony. Może kiedyś miał ambicję, by wstąpić do Tajnej Służby, dopóki sobie nie uświadomił, że bardziej lubi zabijać ludzi. Peeblesa nigdzie nie było widać. Kryminalni przedsięwzięcy nowego typu najwyraźniej nie lubili sobie brudzić rąk.

Trzej pachółkowie otoczyli Weba, a Wielki F stał i patrzył na niego. Macy trzymał się z boku. Wydawał się zarazem czujny i rozluźniony. Ale łatwo było zauważyć, że traktuje swoją pracę bardzo poważnie. Pozostali mężczyźni robili wrażenie trochę znudzonych, jakby byli drużyną uniwersytecką zaproszoną na sparing. Cóż, to naprawdę dodawało mu pewności siebie. Jeden z mężczyzn wyciągnął z kieszeni marynarki krótki przedmiot, który wyglądał jak mikrofon. Przejechał nim w górę i w dół po ciele Weba, a w tym czasie inny mężczyzna sprawdzał, czy Web nie ma dodatkowej broni. Niczego takiego nie znalazł, ale skonfiskował telefon komórkowy. Trzeci mężczyzna obadał jego samochód takim samym przedmiotem, elektroniczną różdżką, która miała wyszperać wścibskie urządzenia podsłuchowe. Różdżka odezwała się tylko raz, obok tylnego siedzenia, ale to najwyraźniej nie zainteresowało mężczyzn. Odwrócił się i skinął głową w stronę Wielkiego F. Web zrozumiał wymowę tego gestu: mężczyzna wykrył urządzenie elektroniczne, które sami umieścili w samochodzie Weba. Ochroniarze cofnęli się, a Wielki F podszedł i oparł swoje cielsko o maskę samochodu Weba. Webowi się zdawało, że słyszy, jak samochód jęknął, czy można było się temu dziwić?

- Jak tam twarz?

Głos mężczyzny nie był ani piskliwy, ani bardzo niski. Był zwyczajny, opanowany, nie zabarwiony groźbą. To nie był ten nie zidentyfikowany głos rozbrzmiewający w samochodzie Weba. Web czuł się tak, jakby zaczął z nim rozmowę jego makler - co nie znaczy, że miał maklera.

- Jedyne, co wtedy ucierpiało, to moja duma. Rozumiem, że jesteś Wielki F.

Mężczyzna uśmiechnął się, a potem klepnął się po udzie. W uszach Weba zabrzmiało to jak złowieszczy huk grzmotu. Wszystko, co robił ten facet, było „duże”. Pozostali mężczyźni też się zaśmiali, niewątpliwie za przykładem szefa.

- Ja pieprzę! Wielki F. Cholera, pewnie, że jestem Wielki F. To dobre. Czy to nie jest dobre, chłopaki?

Wszyscy skinęli głowami i przyznali, że to dobre. Cholernie dobre. Macy nawet się nie uśmiechnął. Po prostu stał i wpatrywał się w Weba tak, jakby próbował go zabić siłą woli.

- Bo jeśli istnieje ktoś jeszcze większy od ciebie, to nie wydaje mi się, żebym chciał go poznać. - Web wiedział, że zawsze dobrze jest przypodobać się złemu facetowi, pokazać, że się nie boisz. Porywczy przestępcy po prostu uwielbiali czyjś strach. Uwielbiali podrzynać gardła bojaźliwym ludziom.

Wielki F znów się zaśmiał. A kiedy zamilkł i przybrał poważny wyraz twarzy, tak samo zachowali się wszyscy inni. Natychmiast, jak zauważył Web.

- Mam problem.

- Jestem tutaj, żeby ci pomóc. - Web przesunął się nieznacznie do przodu. Teraz mógł załatwić dwóch facetów kopnięciami. Wielki F to co innego, równie dobrze mógł uderzać pięściami w Mount Rushmore, ale pierwszeństwo miał punkt najmniejszego oporu.

- Ktoś mnie wrabia, żebym beknął za coś, czego nie zrobiłem.

- Wiesz, co się stało z moją grupą?

- Nie potrzebuję tego gówna, rozumiesz mnie? - Stał prosto, górując nad wszystkimi, i pod wpływem jego spojrzenia serce Weba zabiło gwałtownie. - Jak myślisz, ile mam lat?

Web obrzucił go wzrokiem.

- Dwadzieścia dwa.

- Trzydzieści dwa - powiedział z dumą Wielki F. - I są to lata czarnych. - Odwrócił się w stronę Macy'ego. - Ile to będzie porządnego czasu białasów?

- Sto dwadzieścia lat - oświadczył Macy uczonym tonem, jakby był jedynym doktorem w tej znakomitej gromadce.

Wielki F znów popatrzył na Weba.

- Mam sto dwadzieścia lat. Jestem starym człowiekiem w biznesie dla młodych. Nie potrzebuję tego gówna. Powiedz to swojej ekipie. Nie polujcie na mój tyłek, bo ja tego nie zrobiłem.

Web skinął głową.

- A więc muszę wiedzieć, czyja to robota. Bez tego niczego nie mogę ci zagwarantować.

Wielki F oparł się znów o samochód i wyjął dziewięćmilimetrową Berettę z tłumikiem, jak zauważył Web. Sytuacja zdecydowanie nie wyglądała dobrze.

- Posłanica łatwo znaleźć - powiedział Wielki F, patrząc spokojnie na Weba.

- Informacja będzie znaczyć o wiele więcej, kiedy ja ją przekażę. Poświęcam tej sprawie dużo czasu. -Web zrobił malutki krok do przodu, udając, że tylko przenosi ciężar ciała na drugą nogę. Teraz mógł trafić Wielkiego F kopnięciem z półobrotu prosto w tyłomózgowie. Jeśli mężczyzna zdołałby się po tym otrząsnąć, należałby mu się tytuł pana świata. - Pomyśl też o tym, że jesteś mi coś winien za uratowanie Kevina. Jest twoim młodszym bratem i tak dalej.

- To nie jest mój brat.

Web bardzo się starał nie okazać zdziwienia.

- Na pewno?

- To mój syn. - Wielki F potarł nos, kaszlnął, a potem splunął. - Oczywiście mamy tę samą matkę.

Web drgnął, a potem popatrzył na pozostałych mężczyzn. Najwyraźniej o tym wiedzieli i wydawało się, że uznają to za rzecz normalną, przynajmniej w ich pojęciu normalności. A właściwie czemu miałyby być inaczej? - pomyślał Web. Czym było trochę kazirodztwa w rodzinie? Właściwie nie można było tego robić z obcymi. Babcia powiedziała, że Kevin jest trochę opóźniony. Cóż, przy tak pokrzywionym drzewie genealogicznym to było zrozumiałe.

- Cóż, mam nadzieję, że Kevin czuje się dobrze - powiedział Web.

- Chłopak nie ma z tobą nic wspólnego - rzucił ostro Wielki F

W porządku, pomyślał Web, a więc Kevin coś jednak znaczy dla tego faceta. To była cenna informacja.

- Kto załatwił moją grupę? Powiedz mi, i rozejdziemy się każdy w swoją stronę. Bez urazy.

- To nie takie proste.

- Pewnie, że proste - nalegał Web. - Nazwiska. To mi wystarczy.

Wielki F obejrzał swój pistolet.

- Wiesz, jaki jest mój największy problem?

Web patrzył na Berettę i zastanawiał się, czy to on jest największym problemem Wielkiego F Przygotował się do skoku.

- Gospodarce za dobrze idzie. Nie mogę utrzymać u siebie dobrych ludzi. - Rzucił okiem na swoich podwładnych. - Toona-man, do przodu i na środek.

Web zobaczył, jak jeden z mężczyzn występuje naprzód. Miał ponad sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, był szeroki w barach, miał na sobie garnitur, który wydał się Webowi bardzo drogi, a jego szyję, nadgarstki i palce zdobiło wystarczająco dużo złota i srebra, by mógł założyć własną giełdę metali wartościowych.

- Myślisz, że mógłbyś poradzić sobie z tym facecikiem gołymi rękami, Toona?

Toona uśmiechnął się drwiąco.

- Nie będę potrzebować obu rąk przy tym chłopcu.
- No, nie wiem - powiedział Wielki F. - Ten chłopiec kopnął mnie tak, że to poczułem. Cóż, jeśli myślisz, że ci się uda, odłóż broń i weź się do tego.

Toona wysunął pistolet zza paska i położył go na ziemi. Był przynajmniej o piętnaście lat młodszy od Weba i o wiele masywniejszy. A ponieważ porusza się lekko, Web był pewien, że mężczyzna jest równie zwinny, co silny. A kiedy Toona przyjął klasyczną postawę sztuki walki, Web wiedział, że czeka go poważna przeprawa, a jeszcze nawet nie doszedł do siebie po poprzednim wieczorze. Podniósł ręce.

- Słuchaj, nie musimy tego robić. Ty myślisz, że możesz mi skopać tyłek, ja myślę, że mogę skopać twój. Po prostu zgódźmy się na remis.

Wielki F pokręcił głową.

- Ee, faceciku. Albo walcz, albo dostaniesz kulkę.

Web popatrzył na olbrzyma i jego pistolet, westchnął, a potem uniósł pięści.

Dwaj mężczyźni okrążali się przez kilka chwil. Web oceniał swojego przeciwnika i dostrzegł niewiele słabości, zobaczył też jednak coś, co mogło okazać się pomocne. Spróbował kopnąć Toonę, ale ten z łatwością złapał jego nogę, przytrzymał ją przez chwilę, a potem wykręcił kończynę i rzucił Weba na ziemię. Web szybko wstał i został kopnięty z boku w przedramię. Zabolało jak diabli, ale lepiej dostać cios w ramię niż w głowę. Walczący pozorowali i parowali uderzenia jeszcze kilka razy, zanim Toona wyskoczył i trafił Weba z półobrotu, ten znów upadł, ale zerwał się od razu.

- Nie pokażesz czegoś lepszego, Toona? - szydził Web. - Człowieku, masz ode mnie dwadzieścia parę kilo więcej i piętnaście lat mniej. Gdybym był na twoim miejscu, twoja dupa byłaby już znokautowana.

Toona przestał się głupio uśmiechać i zadał Webowi staromodny prawy prosty, ale w zamian zaliczył mocny lewy sierpowy w głowę. Wydawało się, że Toona nie lubi, jak ktoś naznacza mu twarz, co Web szybko zauważył.

- Hej, Toona, rozpaprana twarz to nie koniec świata. Żadne panie nie będą przejadać twojej wypłaty, więc będziesz mógł odłożyć parę dolców na emeryturę.

- Upadniesz, człowieku - powiedział Toona. - I będziesz leżał.

- Nie przez takiego mięczaka jak ty, o nie.

Rozwścieczony Toona rzucił się na Weba i trafił go pięścią prosto w nerkę. Web prawie upadł od tego ciosu, ale otoczył przeciwnika ramionami w pasie i zaczął go ścisnąć. Toona uderzył Weba dwa razy w głowę, ale ten nie puszczał. Jak wąż dusiciel, za każdym razem, kiedy Toona zaczerpywał powietrza, Web ścisnął go trochę bardziej, nie

pozwalając, by przepona mężczyzny powróciła do pierwotnego położenia.

Po kolejnych ciosach w głowę i zaciskaniu żelaznego uchwytu Web poczuł, że większy od niego mężczyzna się chwieje. Przyjemnie było słyszeć, jak z trudem chwyta powietrze. Wtedy Web troszeczkę rozluźnił mięśnie, co pozwoliło Toonie też go chwycić, a o to właśnie Webowi chodziło. Szczepieni mężczyźni obracali się, dysząc ciężko, a strumyczki ich potu mieszały się ze sobą.

Toona próbował odrzucić Weba, ale ten mocno go trzymał, miał bowiem inne plany. W końcu Toona przekreślił Weba, odrywając od siebie jego ręce. London padł jak długi. Tak naprawdę przetoczył się celowo po ziemi, chwycił porzucony pistolet Toony, stanął prosto, rzucił się do przodu, pewnym chwytem unieruchomił głowę zdumionego Toony i przyłożył do niej pistolet, a wszystko to zrobił błyskawicznie.

- Musisz sobie załatwić lepszą ochronę - powiedział do Wielkiego F. - Prawda, Toona?

Wielki F uniósł pistolet i strzelił. Kula trafiła Toonę w sam środek czoła. Mężczyzna upadł i umarł, nie wydawszy nawet jęku. Web wiedział, że większość strzałów w głowę tak się kończy, u ofiary zdolność mówienia zanika, zanim mózg zdoła przygotować krzyk. Kule i ludzie byli jak eks-małżonkowie. Ich spotkania po prostu nigdy się nie udawały.

Web wytrzeszczył oczy, a Wielki F niedbale wsunął pistolet z powrotem za pas, jakby właśnie pozbył się uprzykrzonego kreta w ogródku warzywnym. Jego ludzie wydawali się tak samo oszołomieni jak Web. Najwyraźniej Wielki F nie uprzedził nikogo, że zamierza wyeliminować Toonę. Jednak Macy po prostu stał i celował z pistoletu w Weba; gwałtowna śmierć kolegi zdawała się go wcale nie interesować. Był zawodowcem, trwał tam w klasycznej postawie strzeleckiej Weavera, nie odrywając oczu od pistoletu trzymanego przez Weba. Web się zastanawiał, gdzie ten facet został przeszkolony. Prawdopodobnie w jakiejś paramilitarnej organizacji zatrudniającej dawnych dobrych facetów, którzy z tego czy innego powodu zeszli na złą drogę.

Ponieważ zabito jego zakładnika i mierzono do niego z różnej broni, Web upuścił pistolet.

- Dobrzy pomocnicy - powiedział Wielki F do Weba - nie mogę ich znaleźć. Daję mojej ekipie forszę, ubrania, samochody i dziwki. Tłumaczę im, jak się to wszystko kręci, uczę ich biznesu, bo nie będę robił tego główna przez całe życie. Zgarnę wygraną i zniknę na zawsze. I myślisz, że są lojalni? Cholera, nie. Stale kasają rękę, która ich karmi. Toona robił własne interesy na boku i myślał, że nic o tym nie wiem. Skubał przez cały czas dolary i prochy. Myślał, że jestem głupi i nie

sprawdzam tego gówna. Ale to nie jest najgłupsze, co zrobił. Najgłupszą rzeczą, jaką ten chłopak robił, było to, że używał towaru. Kiedy wpakujesz w siebie to gówno, gadasz z każdym o wszystkim. Na haju paplałby przy całej ekipie z DEA, a potem nawet by o tym nie wiedział. Sprzedałby nas wszystkich. Cóż, ja się nie dam sprzedać. Nie będę jakimś bossem narkotykowym, który kieruje swoim biznesem z więzienia bez najmniejszej szansy na to, że kiedyś wyjdzie. Nieee. Nie ma mowy, kochany. Nie ma mowy. Tak się to dla mnie nie skończy. Prędeż zjem parę kulek, niż trafię do wielkiego domu białasów. Spojrzał surowo na swoich ludzi.

- Po prostu zostawicie tam Toonę czy jak? Okażcie trochę cholernego szacunku zmarłemu.

- Co, do diabła, chcesz, żebyśmy z nim zrobili? - zapytał jeden z nich, rozkładając ręce. Miał gniewny wyraz twarzy, ale Web łatwo wyczuł, jak bardzo boi się szefa, i był pewien, że Wielki F też potrafi wywahać ten strach. Bez wątpienia liczył na to, prowadząc swój „biznes”. Jeśli chciał nauczyć swoich ludzi lojalności, to jeden bardzo przekonujący powód leżał niedaleko w coraz większej czerwonej kałuży. Załatwienie Toony miało być też prawdopodobnie ostrzeżeniem dla Weba. Cóż, wydawało się ono bardzo skuteczne.

Wielki F pokręcił głową z widocznym obrzydzeniem.

- Muszę wam mówić o każdej cholernej rzeczy, którą macie zrobić, jakbyście byli dzieciakami? Czuję wodę, wy pewnie też. Wrzucicie go do rzeki. I przywiążcie coś do niego, żeby nie wypłynął!

Mężczyźni ostrożnie podnieśli swojego martwego towarzysza, narzekając przez cały czas, że krew Toony brudzi ich wspaniałe garnitury od Versacego. Macy nadal stał dokładnie w tym samym miejscu. Web pomyślał, że najwyraźniej jest on wśród zaufanych szefa i dlatego wolno mu obserwować kolejne etapy rozgrywki.

Kiedy dwaj ochroniarze zniknęli za zakrętem dróżki, Wielki F popatrzył na Weba.

- Widzisz, o co mi chodzi z tymi dobrymi pomocnikami? Żadnych nie mogę znaleźć. Każdy chce zostać bogaczem w jedną noc. Nikt nie chce już na nic pracować, do cholery. Tylko zaczynać na szczycie. Wszyscy chcą zaczynać na szczycie. Ja zaczynałem jako ośmiolatek, sprzedając po dolarze torebki koki. Zasuwałem przez ponad dwadzieścia lat, a ci dzisiejsi braciszczkowie myślą, że należy im się każde dziesięć centów, jakie mam, bo robią to gówno od paru miesięcy. Nowa gospodarka, a niech mnie!

Gdyby Wielki F siedział w celi więzienia o zastrzonym rygorze w stroju Hannibala Lectera, a Web byłby bezpieczny po drugiej stronie krat, może zaczęłyby się śmiać do rozpuku z tej ekonomicznej tyra-

dy. Teraz jednak zastanawiał się tylko, kiedy Wielki F skupi w końcu uwagę na tym, że Web był naocznym świadkiem morderstwa.

- Toona zabił pięciu albo sześciu ludzi. A więc po prostu oszczędziłem wam kłopotu ze smażeniem jego tyłka. Nie musisz mi dziękować.

Web nie podziękował. Właściwie nic nie powiedział. Mógłby rzucić jakąś dowcipną uwagę, ale bycie świadkiem morderstwa z zimną krwią, nieważne, jak bardzo ofiara na to zasługiwała, nie było dla Weba wielkim powodem do wesołości.

- Chyba wszyscy mają kłopoty. - Wielki F potarł sobie oko. - Ale Pan zasypał mnie dodatkowymi ich porcjami. Mam mnóstwo krewnych i każdy z nich szuka forsy. Moja dziewięćdziesięcioletnia cioteczna babka, której wcześniej nawet nie znałem, przysłała i tak zaczęła mówić. - Specjalnie modulował głos na cieńszy. - „No więc, Francis, czy nie możesz zająć się moimi oczami? Mam w obu zaćmę, kochany, nie mogę już grać w bingo, bo nie widzę cyferek. Zrób z tym coś, dobrze, kochany? Kołysałam cię na kolanie. Zmieniałam twoje zasrane pieluchy”. A ja wydzielam trochę forsy, i tak to wygląda. A ona wraca za tydzień w sprawie swojej cholernej kotki, która ma kobiece problemy. - Popatrzył na Weba, jakby ciągle nie mógł uwierzyć w coś takiego. - Pieprzona kotka z kobiecymi problemami. „I to będzie tylko tysiąc dolarów, Francis - mówi - to będzie wszystko, kochany, i pamiętaj, że prałam twoje zasrane pieluchy, kiedy twoja mama była w pace albo robiła sobie zastrzyki swoją małą igłą”. I wiesz, co robię? Wydzielam dziesięć setek i daję te pieniądze jej i jej kotu.

- F to skrót od Francis?

Wielki F uśmiechnął się szeroko. I Webowi wydało się, że po raz pierwszy widzi rysy małego Kevina w tym ciężkim, zdolnym do morderstwa dorosłym facecie.

- Taak, a myślałeś, że to skrót od czego?

Web pokręcił głową.

- Nic nie przychodziło mi do głowy.

Wielki F wyjął małe pudełeczko, odwinął tabletkę z papierka i włożył ją do ust. Zaproponował jedną Webowi, ale ten odmówił.

- Tagamet, Pepcid AC, Zantac - powiedział Wielki F - Jem je jak orzeszki. Zrobiłem sobie prześwietlenie górnej części przewodu pokarmowego. Cholerny brzuch wygląda tak, jakby kopał tam kret. Ten gówniany biznes mnie wyniszcza, to nie kłamstwo.

- Więc czemu się nie wycofasz?

- Łatwo się mówi, nie tak łatwo to zrobić. W tej branży nie czeka na mnie pożegnalny lunch i złoty zegarek.

- Niestety, muszę ci powiedzieć, że gliniarze nigdy nie przestają szukać.

- Z gliniarzami sobie poradzę. To niektórzy goście w biznesie są moim problemem. Myślą, że jeśli chcesz skończyć pracę, to na nich nakablujesz. Nie mogą zrozumieć, że ktoś chciałby zostawić takie życie jak moje. Pieniądzy jak lodu, tyle że ciągle musisz je chować, przenościć się z miejsca na miejsce, a i tak zawsze się zastanawiasz, kiedy ktoś, może twoja dziwka albo twój brat, albo twoja kochająca koty cioteczna babka, zrobi ci dziurę w głowie, kiedy będziesz spał. - Znów wyszczerzył radośnie zęby. - Ale nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze. - Połknął następną tabletkę, a potem uważnie przyjrzał się Webowi. - Jesteś jednym z tych facetów z HRT?

- Podobno jesteście jakimiś większymi sukinsynami. Kiedy kopnąłeś mnie wczoraj wieczorem, chłopie, to zabołało. Powiem ci, że to się rzadko zdarza, człowieczku, rzadko. Musicie być jakimiś cholernymi sukinsynami.

- Tak naprawdę jesteśmy bardzo sympatyczni, kiedy się nas bliżej pozna.

Ta uwaga Weba nie rozbawiła Wielkiego F

- A więc jak to się stało, że nie zginąłeś?

- Anioł stróż mnie uratował.

Teraz Wielki F uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie, a to dobre. Powiedz mi, gdzie mogę sobie takie go załatwić. - Zmienił ułożenie swojego cielska na masce samochodu i zarazem temat rozmowy.

- Chcesz wiedzieć, którzy wnieśli karabiny do tamtego budynku?

Web zeszywniał.

- Zgodziłbyś się złożyć zeznania?

- Taak. Wybiorę się do sądu. Jedź przodem i poczekaj na mnie.

- W porządku, jak wnieśli tam karabiny?

- Wiesz, od kiedy stoją te budynki?

Web przymrużył oczy.

- Od kiedy? Nie wiem. Czy to ważne?

- Od lat pięćdziesiątych. Nie jestem w takim wieku, żebym mógł to pamiętać, ale moja mama była. Powiedziała mi.

- Była?

- Za dużo kokakoli. Nie mówię o napoju gazowanym. Taak, lata pięćdziesiąte. Myśl, HRT. Myśl.

- Nie rozumiem.

Wielki F pokręcił głową i popatrzył na Macy'ego, a potem znów na Weba.

- Myślałem, że wy, cholerni federalni, wszyscy chodziliście do college'u.

- Niektóre college są lepsze od innych.
- Jeśli nie można spuścić jakiegoś gówna z helikoptera przez dach i nie można wnieść go drzwiami wejściowymi, to co zostaje?
Web myślał przez chwilę, zanim go olśniło.
- Podziemia. Lata pięćdziesiąte. Zimna wojna. Podziemne schrony przeciwlotnicze. Tunele?
- Cholera, jednak jesteś bystry. Zgadza się.
- Ale i tak nie na wiele się to przyda.
- To twój problem. Dałem ci coś, teraz ty powiedz swoim, żeby się odczepili od mojego tyłka. Nie miałem żadnego powodu, by skasować paru federalnych. Wróc i dopilnuj, żeby to zrozumieli. - Przerwał i roztarł trochę sosnowych igieł swoją ogromną stopą, a potem popatrzył Webowi prosto w oczy. - Nie prowadzicie jakichś gierek ze mną? Nie jest tak, że macie Kevina, ale tego nie mówicie, co?
- Web zastanowił się, jak najlepiej odpowiedzieć na to pytanie. Jak na ironię, biorąc pod uwagę jego obecne towarzystwo, uznał, że prawda będzie najlepsza.
- Nie mamy Kevina.
- Widzisz, lokalnym gliniarzom w ogóle nie ufam. Zbyt wielu braciszków idzie do piachu, kiedy miejscowe gliny się do nich dobierają. Federalni też nie są za wiele warci w moich oczach, ale wy nie zabijacie ludzi bez powodu.
- Dzięki.
- Więc widzisz, w takim układzie, jeśli macie Kevina, to wiem, że nic mu się nie stanie. I może, chłopaki, po prostu trzymajcie go przez jakiś czas, dopóki to gówno nie minie.
- Po sposobie, w jaki mężczyzna popatrywał na niego, Web poznał, że Wielki F naprawdę chętnie widziałby Kevina pod dozorem FBI, gdzie byłby on dosyć bezpieczny.
- Chciałbym, żebyśmy go mieli, ale nie mamy. Gram z tobą w otwarte karty. - Potem dodał: - Ale myślę, że Kevin mógł być w to jakoś wmieszany.
- Pieprzenie! - ryknął Wielki F. - To dzieciak. Nic nie zrobił. Nie pójdzie do więzienia, nie ma mowy Nie Kevin.
- Nie powiedziałem, że wiedział, co robi. Masz rację: to tylko dzieciak, przestraszony dzieciak. Ale ten, kto go zabrał, stoi za tym, co się zdarzyło. Przynajmniej ja tak myślę. Nie wiem, dlaczego Kevin był w tamtej uliczce, ale to nie był przypadek. Chcę go znaleźć tak samo mocno jak ty. I też chcę, żeby był bezpieczny. Uratowałem go w tamtej uliczce i nie chcę, żeby to poszło na marne.
- Racja, żeby mógł złożyć zeznania i spędzić resztę życia jako świadek pod ochroną. To ci dopiero życie.

- Przynajmniej by żył - odpali! Web.

Długo i intensywnie się w siebie wpatrywali, aż w końcu olbrzym odwrócił wzrok.

- Zrobię wszystko, co będę mógł, żeby odzyskać Kevina całego i zdrowego, Francis. Obiecuję ci to. Ale jeśli on coś wie, będzie musiał nam to powiedzieć. Będziemy go chronić.

- Taak, jasne. Naprawdę dobrze sobie z tym poradziliście przedtem, prawda?

Usłyszeli, że wracają pozostali mężczyźni.

- Jakieś nazwisko byłoby ładnym dodatkiem do informacji o tunełach - powiedział Web, ale Wielki F pokręcił głową.

- Nie znam żadnego.

Kiedy dwaj ochroniarze się pokazali, Wielki F skinął na jednego z nich.

- Dopilnuj, żeby krótkofalówka w tym samochodzie nie działała.

Mężczyzna kiwnął głową, wsunął się na przednie siedzenie samochodu Weba i strzelił dwa razy w wydaną przez rząd radiostację, a potem wyrwał ręczny mikrofon. Wysunął też magazynek z amunicją z pistoletu Weba, wpakował w ziemię nabój, który był w komorze, i oddał mu broń. Drugi mężczyzna wyjął Webowi telefon komórkowy z kieszeni, uroczyście roztrzaskał go o drzewo, po czym oddał go Webowi z szerokim uśmiechem.

- Nie robią już takich jak kiedyś.

- Musimy jechać- powiedział Wielki F. —A jeśli myślisz o tym, żeby ścigać mnie za zabójstwo Toony, zastanów się - przerwał i wpatrzył się ponuro w Weba. - Kiedy tylko będę chciał, żebyś umarł, nie żyjesz. Kiedy będę chciał, żeby twoi przyjaciele umarli, nie żyją. Jeśli masz zwierzaka, a ja będę chciał, żeby umarł, to nie żyje.

Web popatrzył pewnie na mężczyznę.

- Nie chcesz iść tą drogą, Francis. Naprawdę nie chcesz.

- Co? Kopniesz mnie w tyłek? Zrobisz mi wielką krzywdę? Zabijesz mnie? - Rozpiął koszulę i zbliżył się do Weba. Web wiele widział w swoim fachu, a jednak nigdy nie miał do czynienia z czymś podobnym.

Klatka piersiowa i brzuch mężczyzny były pokryte ranami od noża, dziurami od kul, grubymi, wyglądającymi na zaognione bliznami, śladami po oparzeniach i czymś, co wydawało się źle zagojonymi tunelami, które pozostały po wydartym mięsie. Na Webie zrobiło to wrażenie obrazu stworzonego przez obłąkany świat.

- Sto dwadzieścia miłych krótkich, porządnych lat białasów - powiedział spokojnie Wielki F. Zapiął koszulę i w odczuciu Weba na jego twarzy odmalowała się duma z tego, że przetrwał mimo wszystkiego, co upamiętniały te blizny. I w tej chwili Web nie mógł mu odmówić prawa do tego uczucia.

- Jeśli będziesz mnie ścigać, lepiej zabierz coś, żeby załatwić to dobrze - powiedział Wielki F. - Ale i tak obetnę ci kutasa i wepchnę ci go do gardła.

Wielki F odszedł i Web ze wszystkich sił musiał się powstrzymać, żeby nie skoczyć mu na plecy. Nie był to odpowiedni moment na porachunki, ale jakoś nie mógł tego tak po prostu zostawić.

- Wydaje mi się, że szykujesz Kevina na dziedzica twojego imperium - zawołał za Wielkim F. - Twój brato-syn. Jestem pewien, że jest z ciebie naprawdę dumny.

Wielki F odwrócił się.

- Mówiłem, że Kevin to nie twój biznes.

- Pogadaliśmy sobie dłużej w tamtej uliczce. Powiedział mi o wielu rzeczach. - Wszystko to było blefem, ale użytecznym, jeśli Web właściwie odczytywał sygnały. Ten, kto dzięki podmiianie przejął Kevina, mógł być wrogiem Wielkiego F. Jeśli tak to wyglądało, dodatkowe nastawianie ich przeciwko sobie mogło nie być takim złym pomysłem. Web nie wykluczał, że Wielki F kłamie, wypierając się udziału w wystrzeleniu Grupy Charlie, ale nie znaczyło to, że uliczny przedsiębiorca nie zdecydował się na takie przedsięwzięcie w porozumieniu z kimś innym. Jeśli tak, to Web chciał dorwać ich wszystkich. Wszystkich.

Wielki F podszedł do Weba i obejrzał go od stóp do głów, jakby oceniał albo jego odwagę, albo głupotę.

- Jeśli chcesz odzyskać Kevina, oczekuję pewnej współpracy - rzucił Web. Nie wspomniał o tym, co już powiedział mu Wielki F. Wydawało mu się, że olbrzym chciał, aby informacja o tunelach pod budynkiem, który był celem ataku, pozostała między nimi, i to dlatego wysłał towarzyszących mu mężczyzn z zadaniem pochowania Toony w rzece.

- Spodziewaj się tego - powiedział Wielki F

Web zdołał częściowo zablokować cios przedramieniem, ale siła uderzenia w szczękę ciężkiej jak kula do kręgli pięści Wielkiego F i jego własnej ręki i tak rzuciła go na maskę samochodu, a jego głowa trzasnęła w przednią szybę i lekko ją rozbiła.

Web ocknął się pół godziny później, wolno zsunął się z maski samochodu i pochodził chwiejnie w kółko, trzymając się za ramię, masując szczękę i głowę oraz przeklinając. Gdy się uspokoił, stwierdził, że jego szczeka i ramię nie są chyba złamane, a głowa rozbita, i zastanawiał się, jak to możliwe. Zastanawiał się też, ile jeszcze wstrząśnień może znieść, zanim mózg wyleci mu z czaszki.

Nagle obrócił się gwałtownie i wycelował z pistoletu w mężczyznę, który właśnie wyłonił się zza drzew. Mężczyzna również mierzył z pistoletu do Weba.

- Szybko się orientujesz - powiedział - ale w twoim pistolecie nie ma kul. - Postąpił do przodu i Web mógł lepiej mu się przyjrzeć.

- Cove?

Randall Cove schował pistolet i oparł się o samochód.

- Ten facet to naprawdę niebezpieczny typ - stwierdził. - Rozwalił swojego człowieka ot tak, to było coś nowego nawet dla mnie. - Popatrzył na twarz Weba. - Będziesz miał jutro trochę sporych siniaków, ale lepsze to od wizyty u koronera.

Web schował swój pistolet bez naboju i pomasował tył głowy.

- Rozumiem, że miałeś miejsce przy ringu. Dzięki za pomoc.

Cove popatrzył na niego ponuro.

- Słuchaj, człowieku, też jestem agentem, nieważne, że tajniakiem. Noszę taki sam identyfikator, składałem tę samą przysięgę, pracuję nad tym samym gównem co wy w Biurze. Gdyby próbowali cię załatwić, dowiedziałbyś się o mojej obecności. Ale nie próbowali, więc się nie ujawniłem. Może poczujesz się lepiej, jeśli ci powiem, że kiedy byłeś nieprzytomny, przepłoszyłem paru braciszków, którzy przyszli obwąchać twoje szczątki.

- Dzięki, bo te szczątki będą mi jeszcze potrzebne.

- Musimy porozmawiać, ale nie tutaj. Niektórzy chłopcy Wielkiego F mogą się tu jeszcze kręcić. Poza tym to miejsce nie jest bezpieczne, nawet dla uzbrojonych obrońców prawa.

Web się rozejrzył.

- Więc gdzie? Wyburzyli twoje stare biuro.

Cove uśmiechnął się.

- Rozmawiałeś z Sonnym, wiem. Jeśli drogi Sonny Venables myśli, że jesteś w porządku, to chyba jesteś. Chłopak wyczuwa zepsute mięso jak najlepszy pies gończy spośród tych, które miałem w Missisipi.

- Dzieje się dużo złego. Kontaktowałeś się ostatnio z Batesem?

- Rozmawiamy, ale żaden z nas nie mówi drugiemu wszystkiego, no i świetnie. Wiem, o co chodzi Perce'owi, a on wie, jak oceniam sytuację. - Podał Webowi kartkę. - Spotkajmy się tam za trzydzieści minut.

Web popatrzył na zegarek.

- Wykonuję zadanie specjalne. Muszę wracać.

- Nie martw się, to nie zajmie dużo czasu. Och, jeszcze jedno. - Wsiadł do samochodu Weba i szuka! czegoś przez kilka chwil, a potem wyszedł, trzymając coś w ręku.

- Satelitarne urządzenie namierzające. Tak dobre jak sprzęt, którego my używamy - wyjaśnił.

- Mają satelitę - powiedział Web. - To pocieszające.

- Jest w nim też bezprzewodowy komunikator.

A więc Web prawidłowo wydedukował, w jaki sposób przekazywali mu wskazówki, kiedy zjechał z mostu Wilsona.

Cove wyłączył urządzenie i włożył je do kieszeni.

- Dowód to dowód. Jestem zdziwiony, że tego nie wzięli - dodał, zanim zniknął w lasach.

Web oprzytomniał na tyle, że mógł jednocześnie otworzyć oboje oczu, i teraz widział tylko podwójnie, a nie przez mgiełkę i potrójnie, więc wrzucił bieg i odjechał. Miał spotkać się z Cove'em w śródmiejskim parku, na ławce niedaleko Zamku Smithsoniańskiego. Kiedy tam usiadł, usłyszał czyjś głos, ale nie zareagował. Wszystkie instrukcje były na kartce. Wywnioskował, że Cove jest za kępą krzewów obok ławki.

- Bates powiedział, że dał ci informacje o mnie.

- Zgadza się. Przykro mi z powodu tego, co się stało z twoją rodziną.

- Taak - odparł lakonicznie Cove.

- Znalazłem w twoim domu wycinek z gazety, artykuł o tobie i o Batesie.

- Jesteś dobry. Ta kryjówka istnieje od wielu lat.

- Czemu to schowałeś?

- Dla zmyłki. Ktoś przeszukuje dom i znajduje coś, co tak naprawdę nie ma znaczenia. Jeśli coś jest naprawdę ważne, trzymam to w swojej głowie.

- A więc ten wycinek to była tylko sztuczka? Nic ważnego?

Cove nie odpowiedział, więc Web zaczął z innej beczki:

- Bates mówił, że dobierasz się do tyłka jakimś wielkim handlarzom i że to właśnie oni mogli zrobić moją grupę.

- To prawda. Ale ta historia nie skończy się prędko. Słyszałem, jak Westbrook mówił ci o tunelach. Na to nigdy nie wpadłem. Dobry sposób na zabranie stamtąd komputerów i wniesienie broni.

- Dam o tym znać Batesowi jak najszybciej i pójdziemy to obejrzeć. Chcesz się przyłączyć?

Cove nie odpowiedział i Web dopiero po chwili zorientował się dlaczego. Po drugiej stronie ulicy szedł mężczyzna. Był ubrany jak bezdomny, lekko się zataczał, jakby był pijany, bardzo możliwe, że faktycznie stoczył się na samo dno. Jednak Web nie mógł ryzykować i Cove też nie. Web sięgnął po pistolet i zdał sobie sprawę, że w magazynku nie ma ani jednego naboju. Miał zapasowy magazynek w bagażniku samochodu, ale wóz był zaparkowany dobre trzydzieści metrów dalej, a on zapomniał wyjąć amunicję. Co za idiotyzm. Jakby w odpowiedzi na jego myśli, Web poczuł, że jakiś przedmiot jest wsuwany przez oparcie ławki. Życie pistolet, który właśnie podał mu Cove, podziękował szeptem i siedział tam z pistoletem przy boku, przesu-

wajac wylot lufy w ślad za mężczyzną po drugiej stronie ulicy, dopóki ten się nie oddalił.

- Po prostu nigdy nie wiadomo, jaki męt się napatoczy - podsumował Cove.

- Bates mówił, że może pracowałeś poprzez jednego z facetów Westbrooka, może Peeblesa albo Macy'ego, i że to oni mogli cię zrobić.

- Macy i Peebles nie byli moimi kontaktami. Myślę, że mój facet mnie nie oszukiwał, przynajmniej przeważnie, myślę też, że to on został wrobiony.

- A więc jeśli ten facet nie wprowadzał cię w błąd, czy istnieje jakaś szansa, żebyśmy przy jego pomocy mogli dojść prawdy?

- Już nie.

- Jak to?

- Moją wtyczką był Toona.

- Żartujesz.

- Ludzie Wielkiego F skubią forszę i towar przez cały czas. Wcisnął ci tylko kit. Zabił Toonę za najcięższy grzech, za współpracę z glinami.

- Czy Toona sądził, że oprócz Westbrooka brali w tym udział inni?

- Toona był mięśniakiem, ale miał trochę oleju w głowie. Pracowałem z nim od około sześciu miesięcy. Zwiniliśmy go za coś małego, a on już odsiedział cztery lata w więzieniu na początku swojej kariery i nie chciał znów tam trafić. Opowiedział mi o tej nowej grupie, która wkrótce po wejściu na rynek stała się jednym z hurtowników zaopatrujących miejscowe ekipy i nawet prała ich brudne pieniądze poprzez pewne legalne interesy. Ta usługa nie była tania, ale większość ekip najwyraźniej na to poszła - oprócz Westbrooka. On nikomu aż tak nie ufa. Ale nawet handlarzy narkotyków męczy w końcu strzelanie do siebie. A konsolidacja operacji i obniżenie kosztów dają tak samo dobre efekty w nielegalnych firmach jak w legalnych. Wgryzałem się głęboko w tę grupę, ale nie mogłem jej rozpracować. Przedstawiałem się jako szef ekipy narkotykowej, która chce się przenieść z Arizony na wiejskie obszary Wirginii. Usłyszeliśmy o tej grupie i załatwiłem sobie zaproszenie do obejrzenia ich interesu. Na początku myślałem, że jest powiązany z działalnością Westbrooka. Ale kiedy zobaczyłem, co tam jest, wiedziałem, że to coś większego.

- Bates wspomniał o Oxycontinie.

- Dlatego jest to tak wyjątkowe. Myślę, że głównym towarem, który ta grupa dostarczała miejscowym, były lekarstwa na receptę, takie jak Oxy, Percocet i tym podobne. Niskie ryzyko i ogromne marże zysku. Toona nie zajmował się tym biznesem od strony organizacyjnej, ale wydawało się, że też tak ocenia sytuację. To byłby całkiem nowy model handlu narkotykami w Dystrykcie. A ta nowa grupa nie poprze-

stawała na Waszyngtonie. Uważam, że rozprowadzają towar na całym Wschodnim Wybrzeżu.

- Oxy pojawił się najpierw na wsi.

- Taak, słyszałeś o haju z Gór Skalistych? Cóż, to jest haj z Appalachów. Ale Appalachy ciągną się przez mniej więcej dwadzieścia stanów, od Alabamy aż do granicy kanadyjskiej. I jest tam mnóstwo miejsca, żeby wykroić sobie nowe krajowe imperium narkotykowe dzięki legalnym lekarstwom. To dlatego wezwałem WFO, jak tylko zdałem sobie sprawę, że interes w tym magazynie jest o wiele za duży jak na Westbrooka. Mogłem dalej w tym grzebać i może dowiedziałbym się jeszcze czegoś, ale istniało ryzyko, że się zwiną. Wydawało mi się, że jeśli uda się nam skłonić księgowych do zeznań, to może zgarniemy całą tę ekipę od Oxy. Człowieku, wspominam to teraz i wiesz, co myślę?

- Ze to było zbyt piękne, żeby było prawdziwe?

- Właśnie. - Cove zamilkł na chwilę. - Słuchaj, Web, przykro mi z powodu tego, co was spotkało. Do końca nie wyczułem podpuchy. Ale przyznaję się do winy, bo to ja spieprzyłem sprawę. I poświęcę wszystko, co mi zostało, nawet życie, żeby to naprawić.

- Nie mógłbym zarabiać na utrzymanie tak jak ty. Nie wiem, jak wy to robicie.

- Zabawne, myślałem to samo o tobie. Teraz idźcie do tych tuneli i dowiedzcie się, jak wnieśli i wynieśli cały ten sprzęt. Może zobaczycie coś, co podpowie wam, kto to był. I nie sądzę, żeby to był Westbrook. Jest ktoś inny, kto dobrze się bawi naszym kosztem.

- Masz jakieś konkretniejsze domysły?

- Wciąż jeszcze poruszam się po omacku. Kimkolwiek są, mają wtyczkę w jakimś ważnym miejscu, bo wydaje się, że potrafią nieustannie wyprzedzać wszystkich o krok.

- Mają wtyczkę w Biurze?

- Ty to powiedziałaś, nie ja.

- Masz na to dowody?

- Przeczucie. Słuchasz swojego?

- Cały czas. Przypuszczam, że czujesz się nikomu niepotrzebnym facetem.

- Chodzi ci o to, że wszyscy myślą, że zdradziłem i pomogłem załatwić grupkę swoich? Taak, zaprzętałem sobie tym ostatnio głowę.

- Nie jesteś sam, Cove.

- Hej, Web, w pewnym sensie jesteśmy złączeni braterstwem krwi. Napiętnowani jako zdrajcy za coś, czego nie zrobiliśmy, i niektórzy ludzie po prostu nie chcą tego przyjąć do wiadomości.

- To dlatego się nie zgłaszasz?

- Widzisz, tak czy inaczej, zostałem nabrany, wrobiony, wkopany, nazwij to, jak chcesz. Nie jestem zdrajcą, ale spaprałem sprawę, a w mojej branży to jest prawie tak samo złe jak przejście na stronę wroga.
- Jesteśmy więc braćmi krwi, bo ja zrobiłem to samo, do cholery.
- Cóż, może obaj będziemy tańczyć do końca, co ty na to?
- Powiem, że będę robił, co się da.
- Nie podnoś głowy, London, te sukinsyny strzelają nisko.
- Hej, Cove?
- Taak?
- Przyjmuję przeprosiny.

Web zatrzymał się kolo ronda DuPonta. Wyjął z bagażnika zapasowy magazynek do swojego pistoletu i zatknął broń, którą dał mu Cove, z tyłu za pasek, a potem pojechał taksówką do WFO. Bates dawno już skończył pracę i Web postanowił skontaktować się z nim dopiero rano. Pomyślał, że facetowi się przyda dobrze przespana noc, a tunele nie znikną. Zamiast wypożyczyć następnego bucara, Web zdecydował się zrobić coś naprawdę szalonego. Zamierzał odzyskać własny samochód.

Armia reporterów nie koczowała już przed jego domem, ale Web nadal nie chciał ryzykować. Wszedł do domu od tyłu, wślizgnął się do macha, otworzył drzwi garażu i powoli wyjechał z wyłączonymi światłami. Przejechał spory odcinek ulicy, zanim je włączył, a potem dodał gazu, cały czas patrząc we wsteczne lusterko. Nic. Ruszył do East Winds.

Kiedy Web znalazł się w wozowni, Romano tam nie było; Web obejrzał nawet zabytkowe samochody na dole, na wypadek, gdyby jego partner wsiadł do jednego z nich, żeby go podziwiać, i zasnął. Była prawie czwarta rano i Paulie prawdopodobnie skradał się gdzieś na zewnątrz w poszukiwaniu zdobyczy. W snajperskich czasach Romano rozsadzał nadmiar energii, chociaż od początku uczono ich, żeby robili wszystko powoli i metodycznie, chyba że okoliczności nakazują co innego. A jednak kiedy przychodził czas akcji, prawie nikt nie mógł się równać z Paulem Romano. Ponieważ komórka Weba została roztrzaskana, zadzwonił do Romano z telefonu dla gości i westchnął z ulgą, kiedy mężczyzna odebrał.

- Jak poszło twoje spotkanie? - zapytał Romano.
- Nudne. Opowiem ci później. Gdzie jesteś?
- Wszędzie było spokojnie, więc węszę trochę tu i tam. Na zachód od wozowni jest stara wieża strażnicza. Widać z niej na wiele kilometrów w każdym kierunku.
- Wiem, byłem tam.
- Cóż, ja jestem właśnie teraz. Miałem ochotę na jogging.
- To niezła wycieczka, Paulie.
- Spacerok. Może chciałbyś tu przyjść i przynieść dwa noktowizory.
- Co obserwujesz?
- Zobaczysz.

Web wyszedł z wozowni tylnymi drzwiami, nałożył hełm, przymocował do niego swój noktowizor korzystający ze światła szczątkowego, włączył zasilanie i dopasował ten pożyteczny wynalazek do oczu. Świat natychmiast zatonął w eterycznej, płynnej zieleni. Nie można było używać tego przyrządu zbyt długo, bo gogle były tak ciężkie, że wywoływały przeszywający ból szyi, a następnie łupanie w głowie, które pozwalało zapomnieć o bólu szyi. Web zawsze zamykał jedno oko, kiedy badał teren za pomocą noktowizora, chociaż to jeszcze bardziej zaburzało percepcję głębi; jeśli jednak ktoś tego nie robił, to kiedy zdejmował gogle, miał błyszczącą pomarańczową kulę w każdym oku. A w tej sytuacji nawet dziewięćdziesięciolatek na wózku inwalidzkim mógł go zwyciężyć w pojedynku strzeleckim.

Snajper musiał posługiwać się różnym sprzętem, żeby wykonać swoją pracę, od najnowocześniejszego do najprostszego ze wszystkich: służącego do kamuflażu. Webowi bardzo by się teraz przydał jego kombinezon ghillie, mieszanka materiału jutowego i sztruksu, którą cierpliwie pokrywał zwierzęcymi odchodami i innymi cuchnącymi substancjami, aby wtapiała się w dzikie otoczenie w lesie czy w dżungli. Każdy snajper z HRT przygotowywał swoją ghillie w indywidualny sposób i Web całymi latami udoskonalał własną, to znaczy jeszcze bardziej ją brudził. Ghillie została wymyślona przez Szkotów przed ponad czterystu laty, kiedy toczyli niezliczone wojny partyzanckie przeciw tym, którzy chcieli podbić ich kraj. Współcześnie pełniła swoją funkcję tak samo dobrze jak wtedy. Web leżał pod swoją ghillie w sercu środkowoamerykańskiej dżungli, a wokół niego chodzili handlarze narkotyków z półautomatami i nie wiedzieli, że Web tam jest, dopóki nie przytknął im swojej broni do pleców i nie przeczytał im ich praw.

Web znów ruszył do przodu i przyspieszył, a potem przestawił noktowizor na podczerwień, co włączyło wewnętrzne źródło światła, znacznie poprawiające widoczność. Web chciał się upewnić, że sprzęt działa, bo baterie gogli noktowizorów znane były z tego, że wysiadały w najmniej odpowiednich chwilach. Nie lubił korzystać z podczerwieni zbyt długo, bo miało to jedną poważną wadę. Każdy, kto obserwowałby jego przez gogle noktowizyjne, zobaczyłby snop światła wysyłany przez wzmacniacz podczerwieni, jakby wielką latarkę na jego twarzy. Web byłby łatwym celem. Wyłączył podczerwień i schował hełm do plecaka. Od teraz miał polegać tylko na swoich oczach, tak jak to robił przy każdym strzale, jaki kiedykolwiek oddał. Czasami nic nie mogło przewyższyć natury.

Powietrze było rześkie, a z farmy i okolicznych lasów dobiegało wiele różnych odgłosów. Web utrzymywał dobre tempo i pokonał odległość dzielącą go od wieży strażniczej w czasie godnym pozazdroszczenia. Dobrze było wiedzieć, że nadal jest w przyzwoitej kondycji. Wywnioskował, że po ośmiu latach bezlitosnego szkolenia nie traciło się formy w krótkim czasie. Podobał mu się ciemny las; czuł się w nim tak swobodnie jak przeciętny amerykański mężczyzna na kanapie la-z-boy przed telewizorem z wielkim ekranem.

Dostrzegł wieżę i zatrzymał się. Ponieważ nie miał telefonu komórkowego, podniósł ręce do ust, stworzył rodzaj prymitywnej trąbki i wydał okrzyk, sygnał, jakiego on i Romano używali jako snajperzy. To mógł być podmuch wiatru albo ptak pospolicie występujący prawie wszędzie. Web był pewien, że Romano to pamięta, i po paru sekundach usłyszał odzew. Droga wolna.

Web wyskoczył spośród drzew i popędził do wieży strażniczej, chwycił drewnianą drabinkę i wspiął się bezszelestnie. Romano przywitał go przy zamontowanych w podłodze małych drzwiach na zawiasach. Web wiedział, że Romano nie widzi jego świeżych ran, które zawdzięczał Toonie i Wielkiemu F, i to mu pasowało, bo nie chciał teraz wyjaśniać, co się stało. I oczywiście Romano surowo by go osądził. Już słyszał, jak Paulie wypowiada słowa: „Cholera, pozwoliłeś, żeby ci to zrobili?”

Web patrzył na Romano, wyjmując z plecaka dziesięciokrotnie powiększającą lunetę Littona, która zwykle była przymocowana do snajperskiego karabinu kalibru .308.

- Dzieje się coś niezwykłego? - zapytał.

- Sam rzuć okiem, patrz przez tę przerwę między drzewami na północnym zachodzie.

Web popatrzył przez lunetę.

- Rozumiem, że patrzę na Southern Belle.

- Dzieją się tam ciekawe rzeczy, jak na stadninę.

Web wyregulował ostrość i spojrzął jeszcze raz. Rzeczywiście, między drzewami była przerwa, która pozwalała objąć wzrokiem część sąsiedniej posiadłości.

Stały tam dwa spore budynki, które wydawały się stosunkowo nowe. Obok nich zaparkowano wielkie ciężarówki i Web patrzył, jak mężczyźni z krótkofalówkami biegają w różnych kierunkach. W bocznej ścianie jednego z budynków otworzyły się drzwi i Web zobaczył, że to, co działo się w środku, najwyraźniej wymagało dużej ilości światła. Przy innych, podnoszonych drzwiach typowych dla magazynów ustawiony był tyłem tir i mężczyźni wywozili z budynku wielkie pudła na ręcznych wózkach, a potem wjeżdżali z nimi po pochylni do środka naczepy.

- To coś poważnego - powiedział Web. - Dziupła, narkotyki, skradzione części samolotowe, szpiedzy, piractwo technologiczne, możliwości wcale się na tym nie kończą. Cholera.

- Fascynująca okolica. A ja myślałem, że w krainie stadnin w Wirginii mieszka tylko gromada starych fajtlapów, którzy jeżdżą sobie konno po pijanemu i polują na liski, a kobiety piją herbatę po południu. Chłopie, muszę się wiele nauczyć. - Popatrzył na Weba. - Co o tym myślisz?

- Myślę, że ponieważ tyle się dzieje, Southern Belle będzie musiała poczekać. Ale jeśli coś się zdarzy, przynajmniej będziemy na miejscu i coś z tym zrobimy.

Romano uśmiechnął się szeroko. Najwyraźniej uszczęśliwiła go myśl o przyszłej akcji, a może nawet zamęcie.

- Teraz mówisz moim językiem.

Kevin Westbrook zapełnił już wszystkie szkicowniki i teraz siedział, wpatrując się w ściany. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś stanie w stońcu. Przyzwyczyił się do odgłosów maszyn i płynącej wody. Już nie przeszkadzało mu to spać, chociaż żałował, że przywykł do tej cechy swojego więzienia, jakby to był znak, że obecne warunki staną się trwałe.

Mimo różnych dźwięków dostyszał kroki i wycofał się na swoje łóżko jak zwierzę w zoo w kącie klatki, kiedy zbliżają się zwiedzający.

Drzwi otworzyły się i wszedł ten sam mężczyzna, który zaglądał do niego wcześniej. Kevin nie wiedział, kto to jest, a mężczyzna nie zechciał się przedstawić.

- Jak się czujesz, Kevin?

- Głowa mnie boli.

Mężczyzna sięgnął do kieszeni i wyciągnął buteleczkę z Tylenolem.

- Pracuję w takiej branży, że zawsze mam trochę tego pod ręką. - Dał chłopcu dwie tabletki i nalał mu szklanek wody z butelki stojącej na stole.

- Pewnie z braku słońca - dodał Kevin.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Cóż, niedługo zobaczymy, czy uda się nam coś zrobić w tej sprawie.

- To znaczy, że niedługo stąd wyjdę?

- Może to znaczyć właśnie to. Sprawy posuwają się naprzód.

- Więc nie będziecie mnie już potrzebować. - Kevin zaraz pożałował tych słów. Z pewnością mogły mu zaszkodzić.

Mężczyzna utkwiał w nim wzrok.

- Całkiem dobrze się spisałeś, Kev. Naprawdę dobrze, jeśli wziąć pod uwagę to, że jesteś tylko dzieciakiem. Będziemy o tym pamiętać.

- Będę mógł niedługo wrócić do domu?

- Tak naprawdę nie ode mnie to zależy.

- Nic nikomu nie powiem.

- Nikomu takiemu jak Francis?

- Nikomu to znaczy nikomu.

- Cóż, to nie będzie ważne.

Na twarzy Kevina natychmiast pojawiła się nieufność.

- Nie zrobicie chyba krzywdy mojemu bratu.
Mężczyzna podniósł ręce, niby to się poddając.

- Nie powiedziałem nic takiego. Właściwie, jeśli wszystko dobrze się ułoży, krzywda stanie się tylko ludziom, którzy muszą zostać skrzywdzeni, w porządku?

- Zrobiliście krzywdę wszystkim tym ludziom na podwórku. Taką krzywdę, że umarli.

Facet usadowił się na stole i skrzyżował ramiona na piersiach. Chociaż jego ruchy nie były groźne, Kevin trochę się cofnął.

- Jak powiedziałem, skrzywdzeni zostaną tylko ludzie, którzy na to zasługują. Chociaż nie zawsze tak jest, wiesz o tym, wielu niewinnych ludzi stale doznaje krzywd. Spotykało mnie to wystarczająco często i wydaje się, że ciebie też. - Przyjrzał się bliznom na twarzy chłopca.

Kevin nie znalazł żadnej odpowiedzi. Mężczyzna otworzył jeden ze szkicowników i popatrzył na kilka rysunków.

- To Ostatnia Wieczerza? - zapytał.

- Taa. Jezus. Zanim go ukrzyżowali. To ten w środku - wyjaśnił Kevin.

- Chodziłem do szkółki niedzielnej - powiedział mężczyzna z promiennym uśmiechem. - Wiem wszystko o Jezusie, synu.

Kevin narysował tę scenę z pamięci. Zrobił to z dwóch powodów: dla zabicia czasu i dla zwykłej pociechy wynikającej z bliskości Syna Bożego. Może Pan otrzyma wiadomość i wyśle aniołów stróżów na ziemię, żeby pomogli pewnemu Kevinowi Westbrookowi, który rozpaczliwie potrzebował jakiejś interwencji, boskiej albo innej.

- To dobre rzeczy, Kevin. Naprawdę masz talent.

Popatrzył na inny rysunek i pokazał go.

- Co na nim jest?

- Mój brat mi czyta.

Za drzwiami pokoju zostawali mężczyźni z bronią, a Francis kładł pistolet na nocnym stoliku, otaczał swojego brata Kevina wielkim ramieniem, przyciągał go do swojej masywnej klatki piersiowej i siedzieli, czytając do późna w nocy, aż Kevin zasypiał. Budził się rano i żadnego z mężczyzn już nie było, nie było też jego brata. Ale miejsce, do którego doczytali w książce, było zaznaczone; pewny znak, że jego brat zamierza wrócić i skończyć mu ją czytać.

Mężczyzna wydawał się zaskoczony.

- Czyta ci?

Kevin skinął głową.

- Taak, czemu nie? Panu nikt nie czytał, kiedy był pan mały?

- Nie - odpowiedział tamten. Odłożył szkicownik na stół. - Ile masz lat, Kevin?

- Dziesięć.

- To dobry wiek, całe życie przed tobą. Chciałbym tyle mieć.
- Wypuście mnie kiedyś? - zapytał Kevin.
- Spojrzenie mężczyzny zupełnie pozbawiło Kevina nadziei.
- Lubię cię, Kevin. Jakoś przypominasz mi mnie samego z czasów, kiedy byłem mały. Ja też tak naprawdę nie miałem rodziny.
- Ja mam brata!
- Wiem. Ale mówię o normalnym życiu, wiesz, mamusia, tatuś, siostry i bracia mieszkający pod jednym dachem.
- To, co jest normalne dla jednych, nie musi być takie dla wszystkich.
- Mężczyzna wyszczerzył zęby w uśmiechu i pokręcił głową.
- Masz dużo mądrości w tej małej główce. Chyba nic w życiu nie jest normalne, kiedy się bliżej przyjrzeć.
- Znasz mojego brata. Nie jest kimś, kogo można robić w konia.
- Nie znam go osobiście, ale robimy razem trochę interesów. Jestem pewien, że nie jest kimś, kogo chciałoby się zrobić w konia, i dziękuję ci za radę. Tyle że teraz pracujemy razem, w pewnym sensie. Poprosiłem go naprawdę ładnie, żeby zrobił dla mnie coś, co dotyczy tego faceta, Weba Londona, i zrobił to.
- Jasne, że zrobił, bo powiedzieliście mu, że mnie macie. Robi to, bo nie chce, żeby coś mi się stało.
- Jestem o tym przekonany, Kevin. Ale musisz wiedzieć, że odwdzięczymy się za tę przysługę. Pewni ludzie naprawdę blisko związani z twoim bratem chcą mu się wciąć w interes. My mu pomożemy.
- Dlaczego mu pomożecie? - zapytał podejrzliwie Kevin. - Co z tego będziecie mieli?
- Mężczyzna zaśmiał się.
- Ludzie, gdybyś tylko był trochę starszy, zostałbyś moim współnikiem. Cóż, zapewnię cię po prostu, że wszyscy na tym skorzystają.
- Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Wypuście mnie?
- Mężczyzna wstał i podszedł do drzwi.
- Po prostu trzymaj się dzielnie, Kev. Dobre rzeczy zwykle przydarzają się cierpliwym ludziom.

Po powrocie do wozowni Web zadzwonił do domu Batesa, czym go obudził, i opowiedział mu o swoim emocjonującym spotkaniu z Wielkim F. Opowiedział mu też o Toonie. Po godzinie spotkał się z Batesem i zespołem agentów na tamtym podwórku w południowo-wschodniej części Dystryktu Columbia. Słońce właśnie wschodziło i Web tylko pokręcił głową. Nawet się jeszcze nie przespał, a już nastał kolejny dzień pracy. Bates dał mu nowy telefon, w miejsce tego, który roztrząsał człowiek Westbrooka; ten sam numer, więc było to dogodne.

Web podziękował Batesowi, który nie skomentował świeżych obrażeń na jego twarzy, chociaż wyraźnie nie był w dobrym nastroju.

- Jeśli nadal będziesz w takim tempie kasował rządowy sprzęt, będzie to potrącanie z twojej cholery wyplaty. I zostawiłem ci w twoim starym telefonie wiadomości, na które w ogóle nie odpowiedziałeś.

- Cóż, do cholery, Perce. Wiadomości z poczty głosowej wyskakują czasem na moim wyświetlaczu dzień po tym, jak je dostałem.

- Ja nigdy nie miałem takich problemów.

- To mi za bardzo nie pomoże.

Zostawili jednego agenta przy samochodach, żeby ich pilnował. W tej dzielnicy nic nie było bezpieczne ani święte, szczególnie własność Wuja Sama. Właściwie niektórym przedsiębiorczym młodym ludziom nic nie sprawiłoby większej przyjemności niż rozebranie na części bucara i w dodatku sporo by na tym zarobili.

Gdy zmiierzali w stronę budynku, w Batesie najwyraźniej narastała złość.

- Masz szczęście, że żyjesz, Web - rzucił oschle, przy czym wcale nie wydawał się zadowolony z tego, że Web miał tyle szczęścia. - Tak się kończą wypadki na własną rękę. Nie mogę uwierzyć, że pojechałeś tam bez żadnego wsparcia. Nie posłuchałeś moich rozkazów. Mógłbym dobrać ci się do tyłka, i to porządnie.

- Ale się nie dobierzesz, bo daję ci to, czego potrzebujesz. Przełom w śledztwie.

Bates w końcu się uspokoił i pokręcił głową.

- Naprawdę rozwalil tego faceta na twoich oczach za to, że był informatorem?

- To nie jest coś, co można niedokładnie zobaczyć.

- Jezu, ale ten facet musi mieć jaja.

- Jaja jak kule do kregli, i pasują do reszty.

Weszli do budynku, który był celem Grupy Charlie, i zeszli do piwnicy. Było tam ciemno, wilgotno i śmierdziało. Zmiana otoczenia z rezydencji w krainie hodowców koni w Wirginii na lochy w Anacostii sprawiła, że Webowi chciało się śmiać. A jednak musiał przyznać, że lepiej się czuł w lochach.

- Tunele, jak powiedział ten człowiek - zauważył Bates, rozglądając się. Na dole nie działały światła, więc agenci zabrali ze sobą latarki. - Widzisz, chodzi o to, że sprawdziliśmy, czy nie ma czegoś takiego, Web.

- Cóż, musimy sprawdzić jeszcze raz, bo wydawało się, że Wielki F wie, o czym mówi, a te karabiny nie mogły zostać wniesione w żaden inny sposób, tak żeby nikt niczego nie widział. Czy w Wydziale Robót Publicznych nie mają planów, które pokazywałyby położenie tuneli?

- To jest Dystrykt Columbia. Jeśli chcesz spróbować coś znaleźć w miejskim urzędzie, proszę bardzo. Dostyc trudno wyszperać tam dokumenty z wczoraj, a co dopiero sprzed pół wieku.

Przeszukali całe piwnice, aż wreszcie Web doszedł do wielkiego składowiska dwustulitrowych beczek na olej w odległym kącie. Było ich dziesięć wszcz i dziesięć w głąb.

- Po co to wszystko tu leży?

- Do ogrzewania używano oleju. Zapasy po prostu zostawiono, kiedy budynek został zamknięty. Ich transport byłby zbyt kosztowny.

- Czy ktoś sprawdził, co jest pod spodem?

W odpowiedzi jeden z agentów podszedł do składowiska i popchnął nogą jedną z beczek. Nawet nie drgnęła.

- Nic nie ma pod spodem, Web. Nie przywaliłbyś milionem ton oleju wylotu tunelu, gdybyś musiał do niego wchodzić i z niego wychodzić.

- Na pewno? -Web obejrzał beczkę, którą próbował przesunąć mężczyzna. Przyłożył do niej stopę i rzeczywiście okazała się pełna. Spróbował ruszyć sąsiednią i jeszcze następną. Potem zbadał beczki w drugim rzędzie. Wszystkie były pełne.

- Przekonało cię to? - zapytał Bates.

- Daj mi jeszcze chwilę.

Gdy Bates i pozostali agenci się przypatrywali, Web wdrapał się na beczki i zaczął przechodzić z jednej na drugą. Na każdej się zatrzymywał i kołysał całym ciałem w przód i w tył. Kiedy dotarł do środka składowiska, rozbijał się na jednym ze zbiorników i prawie spadł.

- Ta jest pusta. - Przeszedł na sąsiednią beczkę. - Ta też. - Wytyczył kwadrat z czterema beczkami wzdłuż każdego boku. - Te są puste. Pomóżcie mi.

Agenci podbiegli i bardzo szybko razem usunęli puste beczki. Latarki oświetliły drzwi w podłodze.

Bates utkwiał w nich zdumiony wzrok, a potem popatrzył na Weba.

- Sukinsyn. Jak na to wpadłeś?

- Trafiła mi się jedna taka sprawa, kiedy pracowałem w Biurze Regionalnym w Kansas City. Facet oszukał paru bankierów, wypełniając magazyn beczkami, które miały zawierać olej opałowy, będący zabezpieczeniem ogromnego kredytu. Bankierzy wysłali tam swoich kontrolerów, ci oczywiście otworzyli parę beczek i wszystkie były wypełnione olejem opałowym. Ale sprawdzili tylko zewnętrzne, bo faceci w garniturach nie lubią się wdrapywać na brudne beczki z olejem. Okazało się, że dziewięćdziesiąt procent beczek było pustych. Wiem to, bo sprawdzałem każdą cholerną sztukę po tym, jak nas tam wezwano, kiedy facet zwiął z miasta.

Bates wydawał się zmartwiony.

- Coś ci jestem winien, Web.

- Wierz mi, będę cię trzymał za słowo.

Trzymając pistolety w ręku, otworzyli drzwi, zeszli do tunelu i podążyli nim, przekonując się, że biegnie prosto, a potem skręca pod ostrym kątem.

Web skierował promień latarki na podłogę.

- Ktoś tędy niedawno wędrował. Popatrzcie, ile śladów.

Tunel kończył się klatką schodową. Po cichu weszli na górę, byli czujni, gotowi do oddania strzału. Powoli otworzyli nie zamknięte na klucz drzwi i znaleźli się w innym budynku, bardzo podobnym do tego, który dopiero co opuścili. W tej części miasta było dużo porzuconych nieruchomości. Ruszyli, skradając się, w górę po schodach. Pomieszczenie, które odkryli, było wielkie i puste. Wrócili na dół, wyszli z budynku i rozejrzeli się.

- Chyba jesteśmy teraz mniej więcej dwa kwartały dalej na zachód - powiedział jeden z agentów i Web się z nim zgodził. Wszyscy popatrzyli na budynek, do którego prowadził tunel. Wyblakłe litery na jednej ze ścian informowały, że kiedyś miała tu swoją siedzibę firma zajmująca się dystrybucją żywności, nie brakowało tam rampy, która ułatwiała wyładunek bananów. Albo karabinów maszynowych. Przy rampie stały dwie porzucone ciężarówki bez opon i drzwi.

- W środku nocy podjeżdżasz ciężarówką i wciskasz ją między te dwie, wyjmujesz swoje skrzynki, przenosisz je tunelem i to wszystko - powiedział Web. Omiótł spojrzeniem okolice. - I nie ma tu w pobliżu

żadnych mieszkań, nikt niczego nie może zobaczyć, prawdopodobnie dlatego wybrali taki sposób.

- W porządku, ale zgarniemy Wielkiego F za zabójstwo pierwszego stopnia. Dzięki twoim zeznaniom trafi do pułki na zawsze.

- Trzeba go najpierw znaleźć, a jak dotąd zaobserwowałem, że jest bardzo dobry w tym, co robi.

- Będziemy musieli zastosować wobec ciebie areszt ochronny.

- Nie, nie musicie. Nic mi nie będzie.

- Co to, do diabła, znaczy, że nic ci nie będzie? Ten facet ma mnóstwo powodów, żeby cię sprzątnąć.

- Gdyby chciał to zrobić, zrobiłby to wczoraj wieczorem. Byłem wtedy troszeczkę bezradny. Poza tym mam zadanie do wykonania - ochraniam Billy'ego i Gwen Canfieldów - i zamierzam dokończyć tę pracę.

-Tego właśnie nie rozumiem. Morduje faceta na twoich oczach i pozwala ci odejść.

- Żebym mógł przekazać wiadomość o tunelach.

- Co, nigdy nie słyszał o cholernym telefonie? Nie żartuję, Web, chcę ci zapewnić ochronę.

- Powiedziałeś, że jesteś mi coś winien. Nadszedł czas zapłaty.

- Co, do diabła, jest ważniejsze niż pozostanie przy życiu?

- Nie wiem, Perce, to taka branża, że nigdy tak naprawdę nie myślałem o tym za dużo. I nie dam się zamknąć.

- Jestem twoim przełożonym, mogę cię do tego zmusić.

- Taak, chyba możesz - powiedział Web, patrząc spokojnie na Batesa.

- Do cholery, więcej z tobą kłopotów niż jesteś wart, London.

- Myślałem, że wiesz o tym od dawna.

Bates rozejrzał się po rampie.

- Nic nie łączy „Freech” z tym magazynem ani z karabinami. Bez czegoś konkretniejszego nie możemy na nich uderzyć. Teraz są aniołkami, nie dają nam żadnego pretekstu do złożenia im wizyty.

- Nie pojawił się jakiś dowód, że „Free” mają związek z zabójstwami w Richmond? Trudno zatrzeć tyle śladów.

- Dowiedzieliśmy się, pod jakim kątem strzelano do sędziego Leadbettera, i to nas doprowadziło do budynku po drugiej stronie ulicy, który jest dopiero budowany. Setki ludzi pracują tam przez cały czas, robotnicy, którzy przychodzą i wychodzą.

- A telefon do sędziego?

- Automat w południowej części Richmond. To nam nic nie daje.

- Ale sędzia był w śródmieściu. A więc brały w tym udział przynajmniej dwie osoby i miały łączność, żeby kierowca Leadbettera odebrał telefon w odpowiednim czasie.

- Zgadza się. Nigdy nie myślałem, że mamy tu do czynienia z amatorami.
- A Watkins i Wingo?
- Wszyscy pracownicy kancelarii Winga zostali sprawdzeni.
- A ludzie, którzy sprzątają? Ktoś z nich mógłby posmarować słuchawkę telefonu atropiną.
- To też sprawdziliśmy. Ci ludzie wchodzą i wychodzą, ale nie znaleźliśmy żadnych tropów.
- Watkins?
- Nieszczelna instalacja gazowa. To był stary dom.
- Przestań, zadzwoniono do niego akurat w chwili, kiedy wchodził do środka. To też było zgrane w czasie co do ułamka sekundy. I to przez kogoś, kto znał rozkład dnia wszystkich trzech facetów. A Watkins po prostu przypadkiem miał w telefonie solenoid, który wytworzył iskrę potrzebną do wysadzenia go w powietrze?
- Wiem, Web, ale wielu innych ludzi też miało powody, żeby zabić tych facetów. Jedno albo dwa z tych morderstw mogły mieć związek z Wolnym Społeczeństwem, ale może nie wszystkie. Jak na razie wszystko, co je łączy, to telefony i sprawa Ernesta Freego.
- To była seria, Perce, uwierz mi.
- Racja, ale trzeba przekonać ławę przysięgłych, a to w dzisiejszych czasach staje się coraz trudniejsze.
- Wiadomo coś o tej bombie w East Winds?
- Bardzo nowoczesne urządzenie C4. Sprawdziliśmy przeszłość wszystkich pracujących tam ludzi. Większość z nich przyszła ze Strai-tem, kiedy miejsce, w którym pracowali, zamknięto. Ogólnie są raczej czysti. Paru ma na koncie wykroczenia, głównie zakłócenia porządku po pijanemu, coś, czego można się spodziewać po grupie wieśniaków.
- A Nemo Strait?
- Tak jak ci opowiadał. Dorastał w małej stadninie, której kierownikiem był jego ojciec. Tak poznał tę branżę. Walczył w Wietnamie i był doskonałym żołnierzem. Dużo medali i dużo ciężkich bojów. Spędził trzy miesiące w niewoli.
- Twardy facet, skoro udało mu się przeżyć. Kong nie był znany z gościnności.
- Kiedy wrócił do Stanów, znajdował jakieś dorywcze zajęcia, strażnik więzienny, sprzedaż komputerów. Po drodze się ożenił, ma dzieciaki, znów zaczął pracować przy koniach i rozwiódł się. Przyjechał do Canfieldów mniej więcej wtedy, kiedy kupili East Winds.
- A drogi Ernest B. Free?
- Ani razu go nie widziano, do cholery, i to mnie zdumiewa, szczerze mówiąc. Zwykle mamy tysiące telefonów. W dziewięćdziesięciu

dziewięciu procentach przypadków informacje są błędne, ale zwykle dostajemy jeden czy dwa solidne tropy. Tym razem nic.

Bardzo zawiedziony Web rozejrzał się. Jego spojrzenie przesunęło się po pewnym urządzeniu, a potem wróciło do niego i zatrzymało się na nim.

- Cholera - powiedział.
- Co? O co chodzi, Web? - zapytał Bates.

Web wskazał ręką.

- Myślę, że może mamy swego rodzaju naoczego świadka.

Bates popatrzył na sygnalizację świetlną na rogu usytuowanym po przekątnej względem rampy magazynu. Nad światłami była zamontowana kamera nadzorująca. I tak jak inne kamery, które Web widział w tym rejonie podczas swojej ostatniej wycieczki, ta została skierowana w niewłaściwą stronę, zapewne przez psotne ręce, i przypadkiem jej oko obserwowało właśnie rampę.

- Cholera - zawtórował Bates. - iMyślisz o tym co ja?

- Taak - powiedział Web. - Wygląda na jeden ze starszych modeli, które kręcą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nowsze włączają się tylko wtedy, kiedy uruchamia je szybkość samochodu, i rejestrują tylną tablicę rejestracyjną.

- Cóż, miejmy nadzieję, że policja z Dystryktu nie nagrała nic nowego na pewnym fragmencie.

Bates dał znak jednemu ze swoich ludzi, żeby natychmiast zadzwonił na posterunek.

- Muszę wracać na farmę - powiedział Web. - Romano prawdopodobnie zaczyna się czuć samotny.

- Naprawdę mi się to nie podoba, Web. A jeśli stracisz życie?

- Masz Cove'a. On też widział moje spotkanie z Wielkim F.

- A jeśli on też zginie? To jest tak samo prawdopodobne, biorąc pod uwagę to wszystko, co się dzieje.

- Masz długopis i kawałek papieru?

Web napisał pełną relację o morderstwie Toony. Dowiedział się wcześniej od Batesa, że Toona naprawdę nazywał się Charles Towson, i nikt nie wiedział, skąd się wzięła ta ksywką, najwyraźniej każdy, kto pracował na ulicach, jakąś miał. Cóż, ten kto wyciągnie ciało Charliego Towsona z rzeki, jeśli ktoś to kiedyś zrobi, pozbędzie się wszystkiego, co będzie miał w żołądku. Web jednoznacznie zidentyfikował zabójcę jako Francisa „Wielkiego F” Westbrooka. Podpisał się zamasyście i dwóch innych agentów poświadczyło jego autograf.

- Stroisz sobie żarty? Obrońca to rozszarpie! - wściekał się Bates.

- Nic lepszego nie mogę teraz zrobić. -Web oddalił się.

Po powrocie do East Winds Web zgłosił się u Romano, a potem poszedł do wozowni i wskoczył do wanny z gorącą wodą. Zakładał, że po drzemce w kąpeli będzie jak nowo narodzony. Wystarczało mu nieraz o wiele mniej snu w ciągu tych wszystkich lat.

Romano zobaczył świeże rany Weba i skomentował je w łatwy do przewidzenia sposób.

- Znowu pozwoliłeś, żeby ktoś ci obił pysk? Psujesz reputację HRT, Web.

Web powiedział mu, że następnym razem dopilnuje, aby bito go tak, żeby nie było widać obrażeń.

Przez kilka następnych dni rutynowymi zajęciami jego i Romano były właśnie rutynowe zajęcia. Kiedy Gwen i Billy zobaczyli obrażenia Weba wyniesione ze spotkania z Wielkim F, Gwen wykrzyknęła:

- Mój Boże! Wszystko w porządku?

- Wygląda to tak, jakby kochany stary Boo kopnął cię w twarz - stwierdził Billy, cmokając nie zapalonego papierosa.

- Właściwie wolałbym, żeby to był Boo - odpowiedział Web.

Gwen nalegała na posmarowanie skaleczeń Weba jakimś lekarstwem. Jej palce dotykały jego skóry i było to bardzo przyjemne uczucie. Gdy go pielęgnowała, Billy zauważył:

- Wy, federalni, chyba nigdy się nie nudzicie.

- Chyba tak - odparł Web.

On i Romano lepiej poznali Canfieldów i przekonali się, ile pracy trzeba włożyć w prowadzenie farmy. Zgodnie z obietnicą obaj pomagali gospodarzom, chociaż Romano co wieczór uskarżał się na to przed Webem. Farma East Winds była rozległa i wspaniała, Web zaczął nawet przemyśliwać, że może powinien spróbować jakoś inaczej zarabiać na życie. Domyślał się, że te uczucia znikną, jak tylko opuści East Winds na stałe. Gwen Canfield była interesującą kobietą, fascynującą pod wieloma względami i równie inteligentną i powściągliwą jak piękną i dobrze wychowaną. Ona i Billy byli jak przysłowiowy ogień i woda.

Web codziennie jej towarzyszył podczas przejażdżek, żeby ją ochraniać, pozwalało mu to też lepiej poznać topografię terenu. I musiał

przyznać, że istnieją o wiele gorsze sposoby spędzania czasu niż jeżdżenie konno po malowniczej okolicy z piękną kobietą. Codziennie zatrzymywała się i modliła w kaplicy, a Web siedział na Boo i obserwował ją. Nigdy nie poprosiła, żeby się do niej przyłączył, a on nigdy tego nie zaproponował. Fakt, że David Canfield zginął podczas jego służby, był dla niego wystarczającym powodem, żeby zachowywać dystans wobec tej kobiety.

Każdego wieczoru agenci FBI chodzili do wielkiego domu i spędzali czas w towarzystwie jego mieszkańców. Billy miał fascynujące życie i uwielbiał o nim opowiadać. Za każdym razem obecny był Nemo Strait i Web odkrył, że ma więcej wspólnego z dawnym marines, niż sądził. Strait robił w życiu wiele rzeczy, wszystko - od żołnierki do ujeżdżania mustangów.

- Chleb dają mi szare komórki i mięśnie, chociaż wydaje się, że z biegiem czasu mam coraz mniej jednego i drugiego.

- Jesteśmy w trochę podobnej sytuacji - uznał Web. - Chcesz pracować przy koniach, dopóki nie padniesz?

- Cóż, muszę powiedzieć, że myślę o dniu, w którym zostawię za sobą nawóz i krnąbrne zwierzęta. - Spojrzał na Canfieldów, zniżył głos i dodał z szerokim uśmiechem: - Mówię o gatunkach dwu- i czworonoznych. - Zwykłym tonem powiedział: - Ale jak już mówiłem, to wchodzi człowiekowi w krew. Czasami wyobrażam sobie, jak kupuję własny kawałek ziemi i gospodarzę tam porządnie.

- Ładne marzenie - odezwał się Romano. - A ja czasami chcę mieć własny zespół w NASCAR.

Web popatrzył na swojego partnera.

- Nie wiedziałem o tym, Paulie.

- Hej, facet musi mieć jakieś tajemnice.

- Zgadza się - potwierdził Strait. - Moja eks powiedziała mi raz, że nigdy nie wie, co myślę. Wiecie, co jej odpowiedziałem? Ze to jest właśnie różnica między mężczyznami i kobietami. Kobiety mówią ci dokładnie, co o tobie myślą. Mężczyźni po prostu zachowują to dla siebie. - Spojrzał na Billy'ego Canfielda, który stał po drugiej stronie wielkiego pokoju, gdzie oglądał uważnie swojego wypchanego grizzly i wlewał w siebie trzecie piwo w ciągu ostatnich trzydziestu minut. Gwen poszła przed chwilą na górę, żeby dopilnować obiadu. - Chociaż bywa odwrotnie - powiedział Strait.

Web popatrzył na Canfielda, a potem znów na Straita.

- Naprawdę?

Stawało się coraz bardziej oczywiste to, że Gwen i Billy spędzają dużo czasu osobno. Web nigdy nie zapytał o to Gwen wprost, ale sądząc z jej sporadycznych uwag, był to bardziej wybór Billy'ego niż jej.

Web pomyślał, że może toczą grę w obwinianie się nawzajem o śmierć Davida.

Mimo wcześniejszych sugestii Gwen było także jasne, że pomoc Nemo Straita jest niezbędnym warunkiem właściwego funkcjonowania East Winds. Kilka razy Web widział, jak Billy zwraca się do brygadzysty o rozstrzygnięcie w sprawach związanych z końmi albo prowadzeniem farmy.

- Robię to od niemowlaka - powiedział kiedyś Strait Webowi. - Nie ma wielu rzeczy, których nie widziałem, jeśli chodzi o konie, farmy i tak dalej. Ale Billy szybko to załapuje.

- A Gwen?

- Ona wie więcej niż Billy, ale ma też swoje przyzwyczajenia. Próbowaliśmy nałożyć miękką podkowę Baronowi, bo niektóre jego kopyta są łamliwe, ale jej to nie zainteresowało. „Znam swojego konia”, powiedziała. Jest uparta. Prawdopodobnie Billy ożenił się z nią między innymi z tego powodu.

- Między innymi, w każdym razie - rzucił Web.

Strait westchnął.

- Zgadza się, jest piękna. Ale wiesz co, przy pięknych kobietach mężczyźni mają nieszczęśliwe życie. Wiesz dlaczego? Bo wtedy zawsze jakiś inny facet próbuje ci zabrać żonę. Moja eks nie wygrałaby żadnego konkursu piękności nawet w swoim najlepszym dniu, ale do diabła, nie siedziałem i nie martwiłem się, że jakiś inny lis grasuje w tym samym kurniku.

- Billy wydaje się tym nie martwić.

- Tego faceta czasem trudno przeniknąć. Ale na pewno myśli o wszystkim. Dużo się dzieje w tej jego starej głowie.

- Z tym się zgadzam - odpowiedział Web.

Web kontaktował się z Batesem codziennie, ale jak na razie nie znalazł tam z tamtej kamery.

Pewnego dnia wcześniej rano Web właśnie wyszedł spod prysznicza, kiedy zadzwonił jego telefon. Sięgnął i zgarnął go z klapy sedesu. Dzwoniła Claire Daniels.

- Zastanowiłeś się nad hipnozą?

- Słuchaj, Claire, wykonuję teraz zadanie.

- Web, jeśli naprawdę chcesz posunąć się naprzód, to uważam, że hipnoza jest kluczem.

- Nikt nie będzie się rozglądał po mojej głowie.

- Możemy tylko zacząć, jeśli nie będziesz się dobrze czuł, przestaniemy - nalegała. - Czy to jest wystarczająco uczciwe?

- Claire, mam dużo pracy. Nie mogę akurat teraz się tym zajmować.

- Web, przyszedłeś do mnie po pomoc. Robię, co mogę, ale potrzebuję twojej współpracy. Uwierz mi, przeszedłeś wiele gorszych rzeczy niż hipnoza.

- Pewnie. Przykro mi, ale nie pójdę na to.

Przerwała na chwilę, a potem zmieniła temat.

- Słuchaj, Web, spotkałam się z kimś, może chciałbyś o tym wiedzieć.

Nie zareagował.

- Buck Winters. Czy to nazwisko coś ci mówi?

- Czego chciał?

- Podpisałeś dokument, który pozwolił mu wypytywać mnie o twoje leczenie. Pamiętasz, że to zrobiłeś?

- Chyba tak. Podpisałem wtedy dużo papierów.

- Jestem pewna. Po prostu cię wykorzystali.

- Czego chciał i co mu powiedziałaś?

- Cóż, była wielka różnica między tym, co on chciał uzyskać, a tym, co mu dałam. Próbował przekonująco wyjaśnić, dlaczego powinnam wyznać mu wszystko, ale formularz zezwolenia dawał mi na tyle duże pole manewru, że się wykręcałam. Prawdopodobnie kiedyś będę miała z tego powodu kłopoty, ale tak to już jest.

Web zastanawiał się przez kilka sekund.

- Nadstawiłaś za mnie karku, Claire. Doceniam to.

- Ale to między innymi dlatego do ciebie dzwonię. Wintersowi najwyraźniej mocno zależy na udowodnieniu ci winy. Użył nawet słowa „zdrajca”.

- Właściwie to nie jest wielka niespodzianka. Buck i ja nie zgadzamy się ze sobą od czasu Waco.

- Ale gdyby udało się nam dotrzeć do źródła twoich problemów, Web, i wykazać jasno jemu i wszystkim innym, że nie jesteś zdrajcą... cóż, nie widzę, w jaki sposób mogłoby ci to zaszkodzić. Ty myślisz inaczej?

Web westchnął. Nie chciał przyznać jej racji, ale nie chciał też, żeby ludzie już zawsze w niego wątpili. Sam nie chciał mieć wątpliwości, czy jest w stanie wykonywać swoją pracę w HRT.

- Naprawdę myślisz, że hipnoza mi pomoże?

- Nie dowiemy się tego, dopóki nie spróbujemy Web. Kiedy hipnotyzuję innych pacjentów, odnoszę wielkie sukcesy.

W końcu powiedział:

- W porządku, może moglibyśmy porozmawiać o tym trochę dłużej. I nie przez telefon.

- Tutaj, w moim gabinecie?

- Wykonuję zadanie.

- Mogę przyjechać tam, gdzie jesteś?

Web zastanawiał się. Czy naprawdę chciał to zrobić? Zachowałby się mądrze, gdyby powiedział Claire Daniels, żeby poszła do diabła, i żył dalej. Problem polegał na tym, że nigdy wcześniej tak naprawdę nie otrzymał pomocy, której, jak teraz zaczynał uważać, faktycznie potrzebował. W pewnym momencie musiałyby zapłacić za te zaniedbania. I coraz bardziej rozumiał, że Claire naprawdę chce mu pomóc.

- Przyślę kogoś po ciebie.

- Kogo?

- Nazywa się Romano, Paul Romano. Jest z HRT. Ale nie mów mu nic, bo czasami nie potrafi dochować tajemnicy.

- Świetnie, Web. Gdzie jesteś?

- Zobacz pani, pani doktor. Zobacz pani.

- Będę wolna mniej więcej za godzinę. Potrzebujecie więcej czasu?

- To mnóstwo czasu.

Web wytarł się, ubrał, znalazł Romano i poprosił go o przysługę.

- Kim jest ta kobieta? - zapytał podejrzliwie Paulie. - To twój guru?

- Lubią być nazywani psychiatrami.

- Nie jestem twoim szoferem. Mam tu robotę, Web.

- Paulie, przestań. Ja zgłoszę się u Billy'ego i Gwen. Wcześniej ty robiłeś wszystko sam, więc teraz możesz mnie tu zostawić na jakiś czas. Jeśli zaraz wyruszysz, ona będzie gotowa do drogi, zanim tam dojedziesz.

- A jeśli coś się stanie, kiedy mnie nie będzie?

- Wtedy ja się tym zajmę.

- A jeśli cię załatwią?

- Co, nagle zacząłeś się o mnie martwić?

- Nie, nie chcę, żeby moja dupa trafiła potem do wyżymaczki. I muszę myśleć o rodzinie.

- Chodzi ci o to, że Angie cię zabije.

- Właśnie o to mi chodzi.

- Słuchaj, po prostu to zrób, a ja przyrzekam ci, że przykleję się do Canfieldów, dopóki nie wrócisz.

Romano wyraźnie się to nie podobało, ale w końcu się zgodził i Web podał mu nazwisko oraz adres Claire.

- Posłuchaj, tak naprawdę zrobię to po to, żeby móc zabrać moje własne cztery kółka.

- To znaczy vetkę?

- Taak, vetkę. Billy na pewno z przyjemnością by ją obejrzał, bo obaj jesteśmy miłośnikami samochodów.

- Po prostu jedź, Paulie, zanim się zrzygam.

Romano powiedział mu, że Canfieldowie są w głównym budynku, więc Web potruchtął tam i zapukał do drzwi. Otworzyła je starsza ko-

bieta ubrana w dżinsy i T-shirt, z jaskrawą opaską we włosach, i zaprowadziła go do małego nasłonecznionego pomieszczenia przy kuchni, gdzie Gwen i Billy właśnie jedli.

Gwen wstała i zapytała:

- Chciałbyś trochę kawy albo coś do zjedzenia?

Web wypił trochę kawy, zjadł jajka i tosty.

- Parę wieczorów temu patrolowaliśmy z Romano farmę i widzieliśmy, że coś ciekawego dzieje się za płotem - zagaił.

Mażonkowie wymienili spojrzenia i Billy powiedział:

- W Southern Belle? Cholera, pewnie, że to ciekawe.

- Więc wy też coś widzieliście?

- Billy - odezwała się Gwen - nie masz żadnych dowodów.

- Dowodów na co? - zapytał szybko Web.

- Może nie mam żadnych dowodów, ale mam zdrowy rozsądek - powiedział Billy - i to, co się tam dzieje, jest mniej więcej tak samo sensowne przy prowadzeniu stadniny, jak to, co robię ja, byłoby przy kierowaniu żeńskim klasztorem.

- A więc co widziałeś?

- Ty powiedz mi pierwszy.

Web opowiedział, co widzieli, i Billy potwierdził, że wszystko to zgadza się z tym, czego on był świadkiem.

- Dziwi mnie to - powiedział Billy - że są tam ciężarówki z naczepami. Zajmowałem się spedycją przez dwadzieścia lat, takich wozów używa się tylko do przewożenia wielkich ładunków do odległych miejsc.

- Czy ktoś z pozostałych sąsiadów się skarżył? - zapytał Web.

Billy pokręcił głową.

- Wszyscy mieszkają o wiele dalej. Właściciele gruntów po drugiej stronie przebywają albo w swoim domu w Naples, albo w drugim, w Nantucket. Kupili tę farmę tylko po to, żeby móc jeździć konno, kiedy chcą. Możesz to sobie wyobrazić? Wybulić osiem milionów dolarów za trzysta sześćdziesiąt hektarów tylko po to, żeby móc pojeździć dwa razy w roku? Te tępe sukinsyny nigdy nie słyszały o stajni? - Potrząsnął głową i ciągnął: - A ciężarówki przyjeżdżają i odjeżdżają tylko w nocy. To trochę ryzykowne jeździć tymi kolosami po ciemku po tych wąskich drogach, na których hula wiatr. Nie ma tutaj latarni ulicznych. I jest coś jeszcze.

Web nadstawił uszu.

- Co to takiego?

- Pamiętasz, jak mówiłem ci, że to jakaś firma kupiła Southern Belle?

- Zgadza się.

- Cóż, jakiś czas temu, po wszystkich tych przelotach samolotów, helikopterów i tak dalej, poszedłem do sądu i pogrzebałem trochę

w papierach. Firma - spółka z ograniczoną odpowiedzialnością - jest własnością dwóch facetów z Kalifornii. Harvey i Giles Ransome, chyba są braćmi, a może małżeństwem, wiesz, w końcu są z Kalifornii... - Pokręcił głową.

- Wiesz coś o nich?

- Nee. Ale ty jesteś detektywem, pomyślałem, że gdybyś chciał, mógłbyś coś szybko wyszperać.

- Zbadam to.

- Zaprosiłem ich tutaj, kiedy dowiedziałem się, jak się nazywają. Poszedłem tam osobiście.

- Co z tego wynikło?

- Ich ludzie podziękowali mi naprawdę grzecznie, ale powiedzieli, że ich nie ma i że przekażą zaproszenie. Taak, pewnie! A ja jestem Chińczykiem.

Gwen nalała sobie następną filiżankę kawy. Miała na sobie dzinsy, jasnobrązowe pulower i wysokie buty na płaskim obcasie. Zanim wróciła na swoje miejsce, upięła włosy i odsłoniła bardzo długą szyję, od której Web przez kilka chwil nie mógł oderwać oczu. Usiadła i patrzyła niespokojnie to na jednego, to na drugiego mężczyznę, aż w końcu zatrzymała spojrzenie na Webie.

- Jak myślisz, co to może być, Web?

- Mam pewne podejrzenia, ale to wszystko.

Billy, przyglądając mu się uważnie, zjadł ostatni kęs grzanki, a potem otarł usta serwetką.

- Myślisz, że to może być jakiś mafioso przewożący kradzione towary czy coś takiego. Wierz mi, to gównie działa się w biznesie transportowym. Gdybym dostał dolara za każdego italiańca, który przeszedł przez moje drzwi i proponował walizkę pełną pieniędzy w zamian za przewiezienie ich towarów w moich ciężarówkach, cóż, nie musiałbym się zaharowywać na farmie.

- Boże - powiedziała Gwen, uderzając ręką w stół - wyjeżdżamy z Richmond, żeby uciec od krwiożerczych białych suprematystów, i zamieszkujemy w sąsiedztwie grupy przestępców. - Wstała, podeszła do zlewu i zapatrzyła się w okno.

- Słuchaj, Gwen, kimkolwiek są, nie mają wpływu na nasze życie - powiedział Billy. - Robią swoje, a my robimy swoje. Jeśli chodzi tam o coś nielegalnego, to nie nasz problem, bo Web ich zgarnie. My prowadzimy stadninę, tak jak chciałaś. W porządku?

Odwróciła się i popatrzyła na niego niespokojnie.

- Ale ty tego nie chciałaś?

Uśmiechnął się szeroko.

- Och, pewnie, że tak. Do diabła, chyba nawet polubiłem wyrzuca-

nie nawozu z boksów. - Spojrzał krótko na Weba. - Popychanie nawozu jest jakby kojące. - Web miał wrażenie, że mężczyzna wcale tak nie myśli. Billy odwrócił wzrok i powiedział:

- Patrzcie, kogo tu przyniosło.

Web rzucił okiem na drzwi i zobaczył stojącego tam ze stetsonem w rękę Nemo Straita. Brygadzysta wpatrywał się w Billy'ego, a wyraz jego twarzy wydawał się Webowi trochę nieprzyjazny.

- Jesteście gotowi do wyjazdu? - zapytał Billy.

- Tak, przyszedłem tylko dać znać, zanim wyruszymy.

Wszyscy wyszli na zewnątrz i dotarli do głównej drogi, gdzie Web zobaczył karawanę dziesięciu połączonych z półciągarówkami przyczep do przewozu koni, każda była ozdobiona logo East Winds.

- Większość to nowiutkie przyczepy - powiedział Billy. - Kosztowało to majątek, do cholery, bo musieliśmy niektóre specjalnie zamówić, ale chyba trzeba się dobrze prezentować, przynajmniej ludzie stale mi to powtarzają. Prawda, Nemo?

- Jeśli tak mówisz, Billy.

Canfield wskazał przyczepy.

- Te trzy zostały wyprodukowane na zamówienie, w każdej mieszczą się trzy konie, boksy są ukośne. -Wskazywał dalej. - Potem mamy dwa sundownery pro stock mp, jedną „gęsią szyję” z prostymi bokсами, w której jest ubieralnia dla koni, trzymetrowego townsmanda doczepianego do zderzaka, jedzie w nim tylko młody Bobby Lee, dwie przyczepy sunlite 760 i tę dużą tam. - Wskazał na ostatnią przyczepę, wymyślny pojazd bardziej przypominający autobus dla ludzi niż dla koni. - No więc to jest mały klejnot w tej grupie, chociaż pod względem rozmiarów na pewno nie jest mały. To classic coach Silverado. Z przodu przedział mieszkalny dla chłopców, miejsce na siodła, uzdy i inny sprzęt w środku, a z tyłu przestrzeń dla dwóch koni. Coś pięknego. Zamknięta całość.

- Dokąd jadą? - zapytał Web.

- Do Kentucky - odpowiedziała Gwen. - Odbywa się tam wielka aukcja roczniaków. -Wskazała na przyczepy. -To nasze najlepsze roczniaki, łącznie dziewiętnaście.

Jej głos wydał mu się trochę smutny. Może dla niej było to tak, jakby traciła kolejne dzieci.

- To właśnie różni mężczyzn od chłopców - stwierdził Billy. - Jeśli na aukcji pójdzie nam dobrze, rok będzie można uznać za udany. Zwykle też jeżdżę, ale FBI przekonało mnie, żebym tym razem został. - Rzucił spojrzenie Webowi. - A więc jeśli ceny nie będą takie, jak powinny, chyba wy pokryjecie różnicę.

- Ja o tym nie decyduję.

Billy pokręcił głową.

- Taak, pewnie. Ci chrzanieni kupcy nie zostawiają na koniach suchej nitki i proponują śmieszne ceny, jakbyśmy sprzedawali ołówki na chodniku. Jak dotąd to jedne z naszych najlepszych roczniaków. Ale ci faceci będą wybrzydzać i znajdą każdą najmniejszą skazę, a wtedy będą próbowali kupić konie za parę procent wartości, a potem się dowiesz, że wygrali następny Secretariat. Cóż, to się nie zdarzy. Przerabiałem to już. Przywieziesz ich tyłki z powrotem, Strait, jeśli nikt nie zapłaci za nie minimalnych cen, które ci podałem. Pieprzyć ich.

Nemo skinął głową.

- Tak, proszę pana.

Web patrzył, jak Gwen podchodzi do jednej z mniejszych przyczep i zagląda do środka.

- To Bobby Lee - powiedział Billy, wskazując ukrytego w przyczepie konia, którego obserwowała Gwen. - Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ten koń przyniesie nam ładną kupkę forsy. Jest wyjątkowy, więc nie musi jechać razem z jakimś innym koniem. Cholera, sam chciałbym mieć takie warunki. To właśnie mój problem, za dużo ludzi wokół.

Web był ciekaw, kogo Billy miał na myśli.

- Dlaczego nie przygotowujecie tych koni tutaj i nie wystawiacie ich sami w wyścigach? - zapytał Web.

- Trzeba wydać furę pieniędzy, żeby wyhodować i utrzymać konie wyścigowe czystej krwi, dlatego stadniny, które odnoszą największe sukcesy, są prowadzone głównie przez spółki i konsorcja. Stoi za nimi dużo kapitału, więc mogą przetrwać kiepskie czasy. Nie możemy z nimi konkurować. East Winds to stadnina zarodowa i naprawdę nie chcemy robić niczego więcej. Wierz mi, to już wystarczająco dużo kłopotów. Prawda, Gwen?

Nie odpowiedziała i odsunęła się, kiedy Web podszedł do Bobby'ego Lee i zajrzał do trzymetrowej przyczepy townsmenda. Okna z tyłu były otwarte i Web zobaczył w środku najpierw gęsty ogon, a potem całego konia. Strait zbliżył się i stanął obok Weba.

- Z przykrością pożegnam się z Bobbym Lee, to dobry koń. Już półtora metra wzrostu, piękna, lśniąca kasztanowata sierść, cholernie imponujące mięśnie, spójrz na tę pierś; jeszcze długo będzie rosnąć.

- Ładne zwierzę. -Web popatrzył na mocne skrzynie przyspawane do wewnętrznych ścian przyczepy.

- Po co są te pudła?

Strait otworzył przyczepę i wszedł do środka, łagodnie nakłaniając Bobby'ego Lee do odstąpienia na bok. Otworzył jedną ze skrzyń.

- Konie są gorsze niż kobiety, jeśli chodzi o podróże. -Wyszczerzył zęby i odsunął się nieco. Web zobaczył w skrzyni kantary, uzdy, koce i cały sprzęt, jakiego mógł potrzebować koń.

Strait przeciągnął dłonią po miękkiej gumie, którą od zewnątrz obciążone były pudła.

- Objamy czymś boki, żeby koń nie poranił się o krawędzie.
- Wszystko przewidziane - powiedział Web, gdy Strait zamykał skrzynię.

- Jest dużo szczegółów, które mogą nie wydawać się oczywiste ludziom nie zajmującym się końmi. Na przykład kiedy wiesz jednogo konia w przyczepie z dwoma boksami, musisz trzymać zwierzę po stronie kierowcy, żeby obciążenie nie ciągnęło cię na bok drogi. Te przyczepy są naprawdę uniwersalne. Wszystkie przegrody można wyjmować i wstawiać w innych miejscach. Na przykład możesz trzymać klacz z tyłu, a żrebaka z przodu. - Postukał w ściany. - To galwanoalutowany metal, wytrzymuje znacznie dłużej niż ludzie. - Wskazał podłużny, otwarty pojemnik zaraz przed koniem. - A tutaj jest żłób na paszę i wodę. A tam — wskazał na drzwi w bocznej ścianie - jest wyjście awaryjne, jeśli musisz szybko wyprowadzić konia i nie chcesz, żeby cię kopnął.

- Gdzie jest telewizor?

Strait zaśmiał się.

- Wiem, wiem. Chciałbym podróżować choć w połowie tak komfortowo jak te zwierzęta, chociaż dzięki Silverado będziemy teraz żyć jak panowie. Ten wóz ma nawet toaletę i kuchnię, a więc mogę zapomnieć o przenośnym kibelku i szybkim jedzeniu. Billy naprawdę przeszedł samego siebie przy tym zakupie, a ja i chłopcy to doceniamy.

Web przyjrzał się sufitowi przyczepy. Bobby Lee prawie sięgał do niego głową.

Strait, który przyglądał się swemu rozmówcy, uśmiechnął się.

- Bobby Lee to duży roczniak, a sufit nie może być wyżej.

- Dlaczego?

- Daj koniom dość miejsca, to z niego skorzystają. Do diabła, widziałem, jak jeden koń, któremu nie podobała się jazda w przyczepie, fiknął koziołka za siebie, jeśli możesz w to uwierzyć, i wyskoczył na autostradę, gdzie uderzyła w niego ciężarówka. To nie był piękny widok, prawie straciłem wtedy pracę. To dlatego konie są ustawiane pyskiem do przodu przyczepy, bo inaczej próbowałyby wyskoczyć na zewnątrz. Mamy też boczne drzwi i boczną rampę we wszystkich przyczepach, żeby w razie konieczności można było wyprowadzić konie przodem. To szybszy sposób, a jeśli na autostradzie spróbujesz wyprowadzić przestraszonego konia tyłem, możliwe, że po prostu twoja głowa wpadnie ci do rąk, jeśli zwierzę postanowi kopnąć. Rozumiesz, o czym mówię?

- Kapuję.

- Tak, to skomplikowane maszyny. Coś jak moja była żona. - Strait znów się zaśmiał.

Web skrzywił się i pomachał ręką przed nosem.

- Ludzie, w tych przyczepach nieźle cuchnie.

- Ha - powiedział Strait, głaszcząc Bobby'ego Lee po karku, po czym wyszedł na zewnątrz i zamknął drzwi na zasuwę. - Poczekaj tylko, aż koń pobędzie tam kilka godzin, wtedy naprawdę coś poczujesz. Psy uwielbiają zapach końskiego nawozu, ale ludzie nie. Chyba to dlatego mówi się, że jesteśmy cywilizowani. Z tego powodu zastąpiliśmy podłogi aluminiowe drewnianymi, lepiej schną, rozsypaliśmy na nich trociny. Po prostu zamiatasz je do czysta, nawóz i wszystko. Są lepsze niż słoma.

Zostawili Bobby'ego Lee i poszli z powrotem do Billy'ego.

- Macie wszystkie nalepki na przyczepy do kontroli stanowej i papiery koni? - zapytał Billy.

- Tak, proszę pana. - Strait popatrzył na Weba. - Kiedy przekraczasz granice stanów ze stadkiem zwierząt, policja zatrzymuje cię wiele razy i nie pozwolą ci pojechać ani metr dalej, dopóki nie sprawdzą twojego przewozowego prawa jazdy, świadectw weterynaryjnych koni i tak dalej. Obawiają się rozprzestrzeniania końskich chorób i tego typu rzeczy.

- Czy można im się dziwić? - rzuciła Gwen, znów do nich dołączając.

- Nie można, proszę pani - zgodził się Strait. Uniósł rękę, w której trzymał kapelusz. - Cóż, obyśmy zarobili dla East Winds dużo dolców.

Strait wsiadł do jednego z wozów i Web patrzył razem z Canfieldami, jak karawana rusza, jedzie główną drogą i opuszcza East Winds. Web spojrzął na Gwen, która wydawała się bardzo zasmucona. Billy poszedł z powrotem do domu.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nigdy nie będzie lepiej, Web. - Skrzyżowała ręce na piersiach i oddaliła się, ale kierowała się gdzieś w bok, nie do domu.

Web po prostu stał, patrząc, jak małżonkowie zmierzają w różnych kierunkach.

Romano zabrał Claire i jechał z nią do East Winds, bardzo uważając, żeby ich nie śledzono.

Claire zerknęła na dłoń mężczyzny i zapytała:

- Kiedy skończył pan Columbię?

Romano spojrział na nią ze zdziwieniem, a potem zauważył, że kobieta wpatruje się w pierścionek na jego palcu.

- Bystre oczy. Skończyłem szkołę tak dawno, że wolę nie odpowiadać.

- Ja też tam studiowałam. To całkiem miło chodzić do college'u w Nowym Jorku.

- Rzeczywiście - zgodził się Romano.

- W czym się pan specjalizował?

- Czy to nie wszystko jedno? Ledwo się dostałem i ledwo dobrnąłem do końca.

- Tak naprawdę, Paulu Amadeo Romano Juniorze, wstąpił pan na Columbię w wieku siedemnastu lat i skończył ją pan po trzech latach z wynikiem dającym panu miejsce w czołówce pańskiego rocznika i stopniem naukowym w dziedzinie nauk politycznych. Pana praca magisterska nosiła tytuł: „Pochodna filozofia polityczna Platona, Hobbesa, Johna Stuarta Milla i Francisa Bacona”. I został pan przyjęty do Szkoły Administracji imienia Kennedy'ego na Harvardzie, ale nie podjął pan nauki.

Spojrzenie Romano było lodowate.

- Nie jestem wdzięczny ludziom, którzy wyszukują o mnie informacje.

- Zadaniem terapeuty jest nie tylko zrozumienie pacjenta, ale także poznanie ludzi, którzy wiele znaczą w jego życiu. Web musi panu ufać i mieć o panu bardzo dobre zdanie, jeśli wysłał pana, żeby mnie pan tu przywiózł. A więc kliknęłam parę razy myszką i poczytałam o panu. Nic tajnego, oczywiście.

Romano nadal patrzył na nią podejrzliwie.

- Niewielu ludzi zrezygnowałoby z Harvardu.

- Cóż, nikt mnie nigdy nie oskarżał o to, że jestem taki jak większość ludzi.

- Przyznano panu stypendium, więc nie chodziło o pieniądze.

- Nie poszedłem tam, bo miałem już dość szkoły.

- I wstąpił pan do wojska.

- Wielu ludzi tak robi.

- Wielu ludzi po średniej szkole tak robi, ale nie ci z czołówki swojego rocznika w Columbii z darmowym biletem do Harvardu.

- Proszę posłuchać, pochodzę z wielkiej włoskiej rodziny, pewne sprawy są dla nas najważniejsze. Tradycje. - Po czym dodał cicho: - Czasami ludzie przekonują się do nich trochę za późno. To wszystko.

- A więc jest pan najstarszym synem?

Rzucił jej kolejne nieufne spojrzenie.

- Jeszcze jedno kliknięcie myszką? Cholera, nienawidzę komputerów.

- Nie, ale jest pan juniorem, a tak zwykle nazywa się najstarszego syna. Pana ojciec nie żyje, nie był absolwentem college'u, prawda?

Romano prawie zatrzymał samochód na poboczu.

- Denerwuje mnie pani, niech to się lepiej skończy.

- Nie jestem czarodziejką, panie Romano, tylko skromnym psychiatrą. Wspomniał pan o wielkiej włoskiej rodzinie, tradycjach i najważniejszych sprawach. Ale nie wspomniał pan o oczekiwaniach. W takich rodzinach najstarszym synom zwykle stawia się wymagania, którym muszą sprostać. Powiedział pan, że czasami ludzie przekonują się do tradycji za późno. Myślę, że poszedł pan do college'u wbrew pragnieniom swojego ojca, on umarł, a pan opuścił świat akademicki, żeby wykonywać zawód, który ojciec dla pana wybrał. A jednak nadal nosi pan pierścionek z college'u. Prawdopodobnie w ten sposób pokazuje pan, że nie całkiem pogodził się pan z realizowaniem planów, które miał co do pana ojciec. To tylko obserwacja i dedukcja, panie Romano, a właśnie tymi narzędziami obrońcy prawa posługują się na co dzień.

- Nie jest przez to łatwiej tego znieść.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Czy zdaje pan sobie sprawę, że czasami mówi pan jak człowiek niewykształcony?

- Uderza pani w moje czule struny całkiem nie tak jak trzeba.

- Przepraszam. Ale jest pan niezwykle interesujący. Właściwie obaj jesteście interesujący, to znaczy pan i Web. Przypuszczam, że to nie przypadek. Zarabiać na życie w ten sposób mogą tylko bardzo, bardzo wyjątkowe osoby.

- Proszę nie próbować wykręcić się podlizywaniem, pani doktor.

- Wydaje mi się, że moja wrodzona ciekawość poznawania bliźnich ma związek z moją pracą. Nie chciałam pana urazić.

Jechali przez pewien czas w milczeniu.

- Mój staruszek - powiedział Romano - chciał w życiu tylko jednej rzeczy. Chciał być jednym z bohaterów Nowego Jorku.

- To znaczy policjantem?
Romano skinął głową.
- Tylko że nigdy nie skończył szkoły średniej i miał chorą pompkę. Przez całe życie woził na nabrzeżach skrzynki z rybami i nienawidził tam każdej sekundy. Ale pragnął tego munduru jak niczego innego w życiu.
- A ponieważ nie mógł go włożyć, chciał, żeby pan to zrobił zamiast niego?
Romano popatrzył na nią i skinął głową.
- Ale moja mama myślała inaczej. Nie chciała, żebym pracował w porcie, ale na pewno też, do diabła, nie chciała, żebym przypasywał sobie pistolet dla zarobku. Byłem zdolnym uczniem, błysnąłem na egzaminach wstępnych, dostałem się na Columbię, świetnie mi tam szło i przymierzałem się nawet do zawodu nauczycielskiego.
- I wtedy umarł pana ojciec?
- Pompka w końcu mu wysiadła. Zdążyłem do szpitala na chwilę przed tym, zanim umarł. - Romano przerwał i spojrzał w boczne okno. - Powiedział, że przyniosłem mu wstyd. Powiedział, że przyniosłem mu wstyd, a potem umarł.
- I razem z nim umarły pana marzenia o nauczaniu?
- Nigdy nie mogłem się zdobyć na to, żeby starać się o pracę w nowojorskiej policji. Mogłem ją dostać, z łatwością. Zaczepiłem się w wojsku, przyjęto mnie do Delty, przeskoczyłem do FBI, a potem do HRT Nic z tych rzeczy mnie nie przerosło. Im bardziej starali się dać mi w kość, tym silniejszy się stawałem.
- A więc w końcu został pan jednak swego rodzaju policjantem.
Wbił w nią wzrok.
- Ale zrobiłem to po swojemu. - Przez chwilę milczał. - Kochałem ojca, proszę mnie źle nie zrozumieć. Ale nigdy nie przyniosłem mu wstydu. I każdego dnia przypominam sobie, że jednak z taką myślą umarł. I mam wtedy ochotę albo się rozplakać, albo kogoś zabić.
- Potrafię to zrozumieć.
- Naprawdę? Ja, do diabła, nigdy nie potrafiłem.
- Nie jest pan oczywiście moim pacjentem, ale dam panu po prostu przyjacielską radę: od pewnego momentu trzeba żyć tak, jak się chce. Inaczej narastające urazy i inne negatywne czynniki mogą bardzo zaszkodzić psychice. Okaze się, że nie tylko siebie będzie pan krzywdził, ale też tych, których pan kocha.
Popatrzył na nią z takim smutkiem, że głęboko ją poruszył.
- Myślę, że może być na to trochę za późno. - Potem dodał: - Ale ma pani rację co do pierścionka.

- Opowiedz mi o hipnozie - poprosił Web.

Romano wysadził Claire przy wozowni i pojechał dalej, żeby czuć nad Canfieldami. Claire i Web siedzieli w saloniku, wpatrując się w siebie.

- Wiem, że nie zgodziłeś się, żeby O'Bannon cię zahipnotyzował, ale czy nie wyjaśnił ci wszystkiego?

- Chyba zapomniałem.

- Po prostu się rozluźnij i płyn z prądem, Web. Wiesz, jak facet kierujący się intuicją. Należysz do tej grupy.

- Och, tak myślisz?

Uśmiechnęła się do niego znad filiżanki herbaty, którą dla niej zrobił.

- Nie muszę być psychiatrą, Web, żeby to zobaczyć. -Wyjrzała przez okno. - Wspaniałe miejsce.

- To prawda.

- Pewnie nie możesz mi powiedzieć, co tutaj robicie?

- Prawdopodobnie łamię wszystkie przepisy już przez to, że cię tu ściągnąłem, ale uznałem, że Romano zorientowałby się, gdyby ktoś go śledził. - A przecież ci, którzy stoją za morderstwami, i tak wiedzą, gdzie mieszkają Canfieldowie, pomyślał Web, bo podłożyli tu bombę w telefonie.

- Romano to interesujący przypadek. Rozpoznałam około pięciu poważniejszych psychoz, klasyczną postawę bierno-agresywną i niezdrowe zamiłowanie do bólu i przemocy, tylko jadąc z nim tutaj samochodem.

- Naprawdę? Dziwi mnie, że to wszystko.

- Jest także inteligentny, wrażliwy, bardzo uczuciowy, niewiarygodnie niezależny, ale zdumiewająco lojalny. Niezły koktajl.

- Jeśli potrzebujesz kogoś, kto będzie cię ubezpiecza! podczas akcji, nie ma nikogo lepszego niż Paulie. Facet wydaje się szorstki, ale ma wielkie serce. Ale jeśli cię nie lubi, uważaj. Jego żona Angie jest jeszcze bardziej skomplikowana. Dowiedziałem się niedawno, że chodzi do O'Bannona. Żony niektórych innych kolegów też. Widziałem tam nawet Deb Riner. To wdowa po Teddym Rinerze, był dowódcą naszej grupy.

- Bardzo wielu naszych klientów to pracownicy FBI i inni obrońcy prawa. Przed laty doktor O'Bannon pracował na etacie w Biurze. Kiedy rozpoczął prywatną praktykę, zostało u niego sporo pacjentów. To specjalistyczna praktyka, bo ludzie pilnujący porządku publicznego mają jedyną w swoim rodzaju pracę, stres oraz problemy osobiste związane

z tym zajęciem mogą być wyniszczające, jeśli nie nastąpi leczenie. Ja osobiście uważam, że wszystko to jest fascynujące. I ogromnie podziwiam was za to, co robicie. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Web skrzywił się i popatrzył na nią badawczo.

- Coś cię niepokoi? - zapytała cicho.

- To, że dostałaś moją teczkę z Biura. Czy przypadkiem nie było w niej zapisu rozmowy agentów sprawdzających moje pochodzenie z Harrym Sullivanem?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Tak. Zastanawiałam się, czy ci o tym nie powiedzieć, ale pomyślałam, że lepiej będzie, jeśli znajdziesz to sam. Rozumiem, że właśnie tak się stało.

- Taak - potwierdził ze ściśniętym gardłem. - Mniej więcej czternaście lat za późno.

- Twój ojciec nie miał żadnego powodu, żeby powiedzieć o tobie cokolwiek dobrego. Czekają go jeszcze dwadzieścia lat więzienia. Nie widział cię od niepamiętnych czasów. A jednak...

- A jednak powiedział, że byłbym najlepszym cholernym agentem FBI, jaki kiedykolwiek istniał i kiedykolwiek się pojawi, i że mogą cytować jego słowa.

- Tak - odezwała się cicho.

- Może powinienem się z nim spotkać pewnego dnia.

Claire spojrzała mu w oczy.

- Myślę, Web, że to mogłoby okazać się bolesne, ale sądzę też, że to może być dobry pomysł.

- Głos z przeszłości?

- Coś takiego.

- Jeśli chodzi o głosy, to myślałem o tym, co Kevin Westbrook powiedział w tamtej uliczce.

Claire wyprostowała się.

- „Niech ich diabli”?

- Co wiesz o wudu?

- Niewiele. Myślisz, że Kevin rzucił na ciebie klątwę?

- Nie on, ludzie, którzy go wysłali. Nie wiem, po prostu głośno myślę.

Mina Claire wyrażała powątpiewanie.

- Chyba to możliwe, Web, chociaż nie liczyłam na to, że taka jest odpowiedź.

Web wyłamywał palce.

- Prawdopodobnie masz rację. W porządku, pani doktor, proszę wyjąć zegarek na łańcuszku i zacząć nim kołysać.

- Używam niebieskiego pióra, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Chcę, żebyś usiadł na tamtym fotelu i przechylił się do tyłu. Nie pod-

daje się hipnozie ludzi stojących na baczność, Web. Musisz się rozluźnić, a ja ci w tym pomogę.

Web zagłębił się w fotelu, a Claire usadowiła się naprzeciw niego na otomanie.

- Pierwszą sprawą, którą musimy się zająć, są mity dotyczące hipnozy. Jak już ci mówiłam, nie jest to stan nieświadomości, tylko odmienny stan świadomości. Twój mózg w rzeczywistości będzie przejawiał taką samą aktywność jak w stanie relaksu, to znaczy wejdzie w stan alfa. W transie jesteś niewiarygodnie odprężony, ale jest to też stan wzmożonej świadomości i podatności na sugestie, masz pełną kontrolę nad tym, co się dzieje. Wszelka hipnoza w rzeczywistości jest autohipnozą, a ja jestem tu tylko po to, żeby pomóc ci dojść do punktu, w którym będziesz wystarczająco zrelaksowany. Nie można zahipnotyzować nikogo, kto tak naprawdę nie chce być zahipnotyzowany, nie można cię zmusić do zrobienia czegoś, czego tak naprawdę nie chcesz zrobić. A więc jesteś całkowicie bezpieczny. Nie będzie żadnego szczekania na rozkaz. - Uśmiechnęła się uspokajająco. - Wszystko zrozumiałeś?

Web skinął głową.

Uniosła pióro.

- Uwierzyłybyś, że jest to pióro, którego używał sam Freud?

- Nie.

Znów się uśmiechnęła.

- Dobrze, bo tak nie jest. Używamy tego typu przedmiotów, kiedy hipnotyzujemy pacjentów. Teraz chcę, żebyś całkowicie skupił wzrok na czubku tego pióra. - Przytrzymała je około piętnastu centymetrów od twarzy Web, nad jego naturalną linią widzenia. Uniósł głowę, żeby na nie popatrzeć. - Nie, Web, możesz tylko wodzić wzrokiem. - Położyła dłoń na jego głowie, żeby pozostała nieruchoma. Teraz Web zobaczył czubek pióra, dopiero kiedy skierował spojrzenie w górę.

- Bardzo dobrze, Web, bardzo dobrze. Większość ludzi męczy się bardzo szybko, ale jestem pewna, że z tobą tak nie będzie. Wiem, że jesteś bardzo silny i bardzo zdecydowany, po prostu się wpatruj, wpatruj się w czubek pióra. - Niezauważalnie głos Claire opadł do spokojnego tonu, choć nie stał się monotony, i słowa zachęty wychodziły z jej ust miarowo, cały czas w taki sam kojący sposób.

Upłynęła minuta. Potem, gdy Web nadal wpatrywał się w czubek pióra, Claire powiedziała:

- Mrugnij. - I Web mrugnął. Claire widziała, że jego oczy z trudem wpatrują się w jeden punkt pod bardzo niewygodnym kątem, a potem zaczęły łzawić. I tak naprawdę najpierw on mrugnął, a potem ona natychmiast powiedziała „Mrugnij”. Ale Web nie mógł być pewien kolej-

ności zdarzeń. Był zbyt zajęty koncentrowaniem się na czubku pióra, niezamykaniem oczu. Ale dzięki temu uwierzył, że coś się stało, że ona powoli zdobywa nad nim władzę. Nawet jeśli stwierdził to już wcześniej, nadal musiał się zastanawiać, czy ta cała hipnoza naprawdę coś daje. Claire chciała najpierw wywołać zmęczenie oczu, a następnie rozkojarzenie. Wszystko po to, by Web zrelaksował się na tyle, żeby się otworzyć.

- Tak dobrze ci idzie, Web - powiedziała - lepiej niż innym. Stajesz się coraz bardziej odprężony. Po prostu nieustannie wpatruj się w czubek pióra. - Widziała, że bardzo chciał nadal się wpatrywać, nadal słuchać zachęt. Z łatwością wywnioskowała, że jest klasycznym przodownikiem pracy; pragnął sprawiać innym przyjemność i otrzymywać pochwały. Potrzebował troski i miłości, bo wyraźnie nie otrzymywał ich zbyt wiele jako dziecko.

- Mrugnij. - I zrobił to znowu, Claire wiedziała, że to dla niego bardzo przyjemne uczucie, złagodzenie wysiłku. Wiedziała, że czubek pióra zaczyna mu się wydawać coraz większy i że odechciewa mu się już na niego patrzeć.

- Mam wrażenie, że bardzo chcesz zamknąć oczy - powiedziała Claire. - Twoje powieki stają się coraz cięższe. Trudno utrzymać je uniesione, mam wrażenie, że bardzo chcesz je zamknąć. Zamknij oczy. - I Web zamknął oczy, ale natychmiast je otworzył. Claire wiedziała, że to się zdarza prawie zawsze. - Wpatruj się nadal w czubek pióra, Web, po prostu nadal się w niego wpatruj, idzie ci naprawdę dobrze. Znakomicie. Po prostu pozwól, żeby twoje oczy w naturalny sposób się zamknęły, kiedy będą do tego gotowe.

Powieki Weba powoli opadły.

- Chcę, żebyś powiedział głośno słowo „dachy” dziesięć razy, szybko. Możesz zaczynać.

Web zrobił to i wtedy Claire zapytała:

- Z czego robi się aluminiowe puszki?
- Z blachy - powiedział Web dumnym głosem i uśmiechnął się.
- Z aluminium.

Jego uśmiech zgasł.

- Wiesz, co to jest „szneka”? - ciągnęła Claire kojącym głosem. - Słodka bułka z orzechami i cynamonem w kształcie ślimaka. Chcę, żebyś powiedział słowo „szneka” dziesięć razy, bardzo szybko. Możesz zaczynać.

Web, teraz bardzo czujny, powtórzył to słowo dziesięć razy.

- Co się robi na zielonym świetle?
- CZEKA! - powiedział głośno.
- Na zielonym świetle się jedzie. - Ramiona Weba obwisły, co świad-

czyło o frustracji, ale Claire szybko go pochwaliła. - Idzie ci naprawdę dobrze. Prawie nikt nie odpowiada prawidłowo na te pytania. Wydasz się już bardzo rozluźniony. Teraz chcę, żebyś policzył głośno do tyłu od trzystu co trzy liczby.

Web zaczął to robić. Doszedł do 279, wtedy powiedziała mu, żeby zaczął liczyć do tyłu co pięć liczb. Liczył, a ona kazała mu skakać o siedem, a potem o dziewięć liczb.

Claire przerwała mu i powiedziała:

- Przestań liczyć i po prostu się odpręż. Teraz jesteś na szczycie ruchomych schodów, ten punkt oznacza odprężenie. A dół ruchomych schodów to najgłębsze możliwe odprężenie. Zjedziesz w dół po tych schodach, w porządku? Będziesz bardziej rozluźniony, niż kiedykolwiek byłeś. Dobrze? - Web skinął głową. Głos Claire był tak przyjemny i tak delikatny jak słabiutki letni wietrzyk.

- Zjeżdżasz wolno po ruchomych schodach. Suniesz w dół, jakby w powietrzu. Coraz głębiej w rozluźnienie. - Claire zaczęła odliczać wstecz od dziesięciu i wypowiadała przy tym kojące słowa. Gdy doszła do jedynki, stwierdziła:

- Sprawiasz wrażenie bardzo rozluźnionego.

Przypatrzyła się dokładnie twarzy Weba i kolorowi jego skóry. Jego ciało, wcześniej napięte, zrobiło się wiotkie. Jego twarz była czerwona wskutek zwiększonego przepływu krwi. Powieki były opuszczone, a jednak trzepotały. Powiedziała mu, że podniesie jedną z jego rąk - zanim to zrobiła, żeby go nie przestraszyć. Łagodnie ją ujęła. Ręka była bezwładna. Puściła ją.

- Jesteś niedaleko dolnego końca ruchomych schodów. Zaraz z nich zjeździesz. Najgłębsze odprężenie, nigdy jeszcze nie czułeś czegoś takiego. To jest wspaniałe.

Jeszcze raz podniosła jego rękę, uprzedziwszy go najpierw, że to zrobi.

- Jaki jest twój ulubiony kolor?

- Zielony - powiedział cicho Web.

- Zielony, miły uspokajający kolor. Kolor trawy. Wkładam balon, zielony balon, w twoją dłoń. Robię to właśnie w tej chwili. Czujesz to? - Web skinął głową. - Teraz napompuję do niego helu. Jak wiesz, hel jest lżejszy od powietrza. Pompuję zielony balon. Napełnia się coraz bardziej. Zaczyna się unosić. Jeszcze bardziej się napełnia.

Claire patrzyła, jak dłoń Weba unosi się z poręczy fotela, jakby rzeczywiście ciągnął ją w górę balon.

- Gdy doliczę do trzech, twoja ręka opadnie z powrotem na poręcz. - Policzyła do trzech i ręka Weba spoczęła na podłokietniku. Claire odczekała około trzydziestu sekund i powiedziała:

- Twoja ręka robi się teraz zimna, bardzo zimna, wydaje mi się, że widzę odmrożenia.

Patrzyła, jak ręka Weba skręca się i dygocze.

- W porządku, już ich nie ma, ręka wygląda normalnie, jest ciepła. - Ręka się rozluźniła.

Zwyczajnie Claire nie poddałaby Weba aż tylu próbom, przechodząc od prostych technik relaksacyjnych do skomplikowanych. Poprze stałaby na balonie. Coś ją jednak ciekawiło i ta ciekawość została zaspokojona, bo wywnioskowała, że Web prawdopodobnie jest somnambulikiem. Większość specjalistów zgodziłaby się, że pięć do dziesięciu procent ludzkości to osoby wysoce podatne na hipnozę, a taki sam odsetek jest na nią bardzo odporny. Somnambulicy szli krok dalej. Byli tak podatni na hipnozę, że po wprowadzeniu w trans można było ich zmusić do odczuwania wrażeń fizycznych, co przed chwilą stało się z Webem. Można też było spodziewać się po nich rzetelnego wypełniania sugestii pohipnotycznych. I o dziwo, bardzo inteligentnych ludzi często było najłatwiej zahipnotyzować.

- Web, słyszysz mnie? - Kiwnął głową. - Web, słuchaj bardzo uważnie mojego głosu. Skup się na moim głosie. Balonu już nie ma. Po prostu nadal się odprężaj. Teraz trzymasz w ręku kamerę wideo. Jesteś kamerzystą. Ty i ja możemy zobaczyć tylko to, co widzisz w swoim obiektywie, rozumiesz mnie, panie kamerzysto? - Kolejne skinienie głową. - W porządku, moją jedyną rolą jest wskazywanie ci punktów w czasie, ale ty kontrolujesz wszystko inne. Przez obiektyw kamery będziesz patrzył na innych ludzi, żeby zobaczyć, co robią. W kamerze jest mikrofon, a więc będziesz też słyszał. W porządku? - Skinął głową. - Idzie ci tak dobrze, panie kamerzysto. Jestem z ciebie taka dumna.

Claire usiadła prosto i myślała przez chwilę. Jako terapeutka, która zapoznała się z kolejami życia Weba, dobrze wiedziała, na jakim obszarze jego przeszłości powinna się skupić, żeby mu pomóc. Jego najważniejsze problemy nie miały źródła w śmierci kolegów z HRT. Wynikały bezpośrednio z relacji między jego matką, ojczymem i nim samym. A jednak postanowiła zatrzymać się po raz pierwszy w przeszłości Weba Londona jeszcze wcześniej.

- Chcę, żebyś się cofnął do ósmego marca 1969 roku, panie kamerzysto. Możesz mnie tam zabrać?

Web nie reagował przez moment. Potem powiedział:

- Tak.

- Opowiedz mi, co widzisz, panie kamerzysto. - Wiedziała, że Web urodził się 8 marca. W 1969 roku skończył tego dnia sześć lat. To był prawdopodobnie ostatni rok, kiedy mieszkał z nimi Harry Sullivan. Chciała wyznaczyć Webowi punkt wyjścia, a przyjemne wspomnienie

przyjęcia urodzinowego dla małego chłopca stworzyłyby odpowiedni nastrój. - Zrelaksowany pan kamerzysta skupi się i poobraca swoją kamerę. Kogo widzisz? - dociekała.

- Widzę dom. Widzę pokój, w którym nikogo nie ma.

- Skoncentruj się i skup, poobracaj kamerę. Nikogo nie widzisz?

Ósmy marca 1969 roku. - Nagle zaczęła się obawiać, że nie było przyjęcia urodzinowego dla Weba.

- Chwileczkę - powiedział Web. - Chwileczkę, widzę coś.

- Co widzisz?

- Mężczyznę... nie, kobietę. Jest ładna, bardzo ładna. Ma na głowie kapelusz, zabawny kapelusz, i niesie ciasto ze świeczkami.

- To pewnie czyjeś przyjęcie. Chłopca czy dziewczynki, panie kamerzysto?

- Chłopca. Tak, teraz pokazują się inni ludzie, jakby przedtem się chowali. Krzyczą coś, krzyczą: *Happy Birthday*.

- To wspaniałe, Web, mały chłopiec obchodzi urodziny. Jak wygląda?

- Ma ciemne włosy, jest raczej wysoki. Zdmuchuje świeczki na torcie. Wszyscy śpiewają *Happy Birthday*.

- Czy chłopiec słyszy, jak śpiewa tatuś? Co z tatusiem, panie kamerzysto?

- Widzę go. Widzę. - Twarz Weba zaczerwieniła się, oddychał teraz szybciej. Claire obserwowała uważnie jego reakcje. Nie naraziłaby Weba na niebezpieczeństwo pod względem fizycznym ani emocjonalnym. Nie posunęłyby się tak daleko.

- Jak on wygląda?

- Jest duży, naprawdę duży, większy niż ktokolwiek z gości. Olbrzym.

- A co się dzieje między chłopcem a jego olbrzymim tatusiem, panie kamerzysto?

- Chłopiec podbiega do niego. I mężczyzna sadza go sobie na ramionach, jakby w ogóle nic nie ważył.

- Och, silny tatuś.

- Całuje chłopca, tańczą dokoła pokoju i śpiewają jakąś piosenkę.

- Posłuchaj uważnie, panie kamerzysto, wyreguluj mikrofon. Słyszysz chociaż część słów piosenki?

Web najpierw pokręcił głową, a potem skinął potakująco.

- Oczy, pełne blasku oczy.

Claire przeszukała pamięć, a potem nagle ją oświeciło: Harry Sullivan, Irlandczyk.

- Irlandzkie oczy. Irlandzkie oczy się uśmiechają?

- Zgadza się! Ale nie, wymyślił własne słowa do tej piosenki, są zabawne, wszyscy się śmieją. A teraz ten mężczyzna daje coś chłopcu.

- Prezent? Czy to jest prezent urodzinowy?

Twarz Weba wykrzywiła się i pochylił się do przodu. Claire wydawała się zaniepokojona i też się nachyliła.

- Odpręż się, panie kamerzysto. To tylko film, na który patrzysz, to wszystko. Tylko film. Co widzisz?

- Widzę mężczyzn. Jacyś mężczyźni weszli do domu.

- Jacy mężczyźni? Jak wyglądają?

- Są ubrani na brązowo, w kowbojskich kapeluszach. Mają pistolety.

Teraz serce Claire pominęło jedno uderzenie. Czy powinna to przerwać? Przyjrzała się uważnie Webowi. Chyba się uspokajał.

- Co robią ci mężczyźni, panie kamerzysto? Czego chcą?

- Zabierają go, zabierają tatusia. On wrzeszczy. Krzyczy, wszyscy krzyczą. Kowboje nakładają błyszczące rzeczy na ręce mężczyzny. Mamusia krzyczy, chwyciła chłopczyka.

Web zakrył uszy rękami i kołysał się w przód i w tył tak gwałtownie, że prawie przewróci! fotel.

- Wrzeszczą, wrzeszczą. Mały chłopiec wrzeszczy: „Tatusiu! Tatusiu!” - Web teraz też krzyczał.

O cholera, pomyślała Claire. Błyszczące rzeczy na jego rękach? Policja przysłała aresztować Harry'ego Sullivana akurat w trakcie przyjęcia z okazji szóstych urodzin Weba. Boże!

Claire znów popatrzyła na Weba.

- W porządku, panie kamerzysto - powiedziała swoim najłagodniejszym, najbardziej pokrępiającym głosem. - Po prostu się odpręż, pójdziemy gdzie indziej. Zabierz swoją kamerę i wyłącz ją na razie, dopóki nie ustalimy, dokąd mamy iść. W porządku, w obiektywie twojej kamery robi się teraz ciemno, zrelaksowany panie kamerzysto. Nic nie widzisz. Jesteś rozluźniony i nic nie widzisz. Wszyscy zniknęli. Nikt już nie krzyczy. Wszystko zniknęło. Całkowita ciemność.

Web powoli się uspokoił, położył ręce na podłokietnikach i przechylił się do tyłu.

Claire usiadła prosto i też próbowała się rozluźnić. Prowadziła wcześniej intensywne sesje hipnozy i odkrywała zaskakujące fakty z przeszłości swoich pacjentów, ale za każdym razem przeżywała to wciąż na nowo, zawsze budziło to jej emocje. Przez minutę albo dłużej Claire się wahała. Czy powinna kontynuować? Istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że już nigdy nie wprowadzi Weba w stan hipnozy.

- W porządku, panie kamerzysto, ruszamy do przodu. - Spojrzała na notatki, które wyjęła z teczki ukrytej wcześniej pod poduszką na kanapie. Czekwała, aż Web będzie zahipnotyzowany, żeby je wyjąć. Podczas ich poprzednich sesji zauważyła, że wykorzystywanie teczek go niepokoiło. Nie było to niezwykle, bo ludzi ogólnie nie cieszyło opisywanie ich życia na papierze, gdzie wszyscy mogli je zobaczyć i zbadać. I pa-

miętała, jak się czuła, kiedy Buck Winters zastosował tę samą taktykę wobec niej. Na zapisanych przez nią kartkach nabazgrane były daty. Uzyskała je z teczki Weba i z rozmów z nim. - Przechodzimy do... - Znow się zawahała. Czy on sobie z tym poradzi? Czy ona sobie z tym poradzi? Zdecydowała się i powiedziała Webowi, do jakiej daty teraz przejdą. Był to dzień śmierci jego ojczyma. - Co widzisz, panie kamerzysto?

- Nic.

- Nic? - Claire uświadomiła sobie dlaczego. -Włącz swoją kamerę. Co teraz widzisz?

- Dalej nic. Jest ciemno, całkowicie czarno.

Claire pomyślała, że to dziwne.

- Czy jest noc? Włącz światło w swojej kamerze, panie kamerzysto.

- Nie, nie ma światła. Nie chcę żadnego światła.

Claire pochylała się do przodu, bo Web zaczął mówić w pierwszej osobie. To komplikowało sprawę, bo pacjent znalazł się dokładnie w centrum własnej podświadomości. A jednak postanowiła przeć na przód.

- Dlaczego kamerzysta nie chce światła?

- Bo się boję.

- Dlaczego chłopczyk się boi? - Musiała zadbać o obiektywizm, podczas gdy Web nadal wędrował ku urwisku subiektywizmu. Claire dobrze wiedziała, że przepaść może się okazać głęboka.

- Bo on tam jest.

- Kto? Raymond Stockton?

- Raymond Stockton - powtórzył Web.

- Gdzie jest matka chłopczyka?

Piers Weba zaczęła unosić się i opadać. Ścisnął poręcz fotela tak mocno, że trzęsły mu się ręce.

- Gdzie jest twoja matka?

Web mówił wysokim głosem, jak chłopiec przed mutacją.

- Wyjechała. Nie, wróciła. Kłóć się. Zawsze się kłóć.

- Twój ojczym i twoja matka się kłóć?

- Zawsze. Ciiii! - syknął Web. - On idzie. On idzie.

- Skąd wiesz? Co widzisz?

- Opuszczają się drzwi. Zawsze skrzypią. Zawsze. Właśnie tak. Idzie na górę po stopniach. Trzyma to tutaj na strychu. Swoje lekarstwa. Widziałem go. Widziałem go.

- Rozluźnij się, Web, wszystko w porządku. Wszystko w porządku. - Claire nie chciała go dotykać, bo bała się, że go przestraszy, ale siedziała bardzo blisko Weba. Czuwała nad Webem tak, jak by czuwała nad swoją matką w ostatniej minucie jej życia. Claire przygotowywała się

do zakończenia sesji, zanim wszystko wymknie się spod kontroli, a jednak... gdyby mogli pójść tylko trochę dalej. Tylko trochę dalej.

- Jest na szczycie schodów. Słyszę go. Słyszę moją matkę. Jest tam na dole. Czeka.

- Ale ty tego nie widzisz. Wciąż przebywasz w ciemnościach.

- Widzę. - Ton jego głosu zaskoczył Claire, bo był niski i złowrogi. Web już nie krzyczał jak śmiertelnie przestraszony chłopiec.

- Jak możesz to widzieć, panie kamerzysto? Co widzisz?

Web wyrzeszczał następne słowa tak gwałtownie, że Claire prawie spadła na podłogę.

- Do cholery, już to wiesz!

Przez ułamek sekundy była pewna, że zwrócił się bezpośrednio do niej. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło podczas sesji hipnotycznej. O co mu chodziło? Myślał, że ona ma już te informacje? Ale potem uspokoił się i mówił dalej.

- Zagrzebałem się w stosie ubrań. Jestem pod stosem ubrań. Chowam się.

- Przed ojczymem małego chłopca?

- Nie chcę, żeby mnie zobaczył.

- Bo mały chłopiec się boi?

- Nie, nie boję się. Nie chcę, żeby mnie zobaczył. Nie może mnie zobaczyć, jeszcze nie.

- Dlaczego? O czym mówisz?

- Stoi dokładnie przede mną, ale odwrócony do mnie plecami. Jego schowek jest właśnie tam. Pochyliła się, żeby coś wziąć.

Głos Weba stawał się coraz bardziej basowy, jakby w tym momencie chłopiec wyrastał na mężczyznę.

- Wychodzę z kryjówki. Nie muszę się już chować. Ubrania podnoszą się razem ze mną. Tb ubrania mojej matki. Ułożyła tam dla mnie ten stos.

- Ona? Dlaczego?

- Żebym się pod nim chował, kiedy on przychodzi. Stanałem. Stoję. Jestem wyższy od niego. Jestem większy od niego.

W głosie Weba pobrzmiwał teraz ton, który bardzo zdenerwował Claire. Zdała sobie sprawę, że sama gwałtownie chwyta powietrze, chociaż Web się uspokoił. Odczuwała zimny lęk przed tym, co czekało na końcu wspomnienia. Powinna wyprowadzić Weba z hipnozy. Wszystkie zawodowe instynkty mówiły jej, żeby to przerwać, a jednak po prostu nie mogła.

- Zrolowane kawałki dywanu. Twarde jak żelazo - powiedział Web swoim basowym, męskim głosem. - Mam jeden, miałem go pod ubraniami. Stoję teraz, jestem większy od niego. On jest małym człowieczkiem. Takim małym.

- Web - zaczęła Claire. Zrezygnowała z udawania, że udziela wskazówek kamerzyście. Przystawała nad tym panować.

- Trzymam go w ręku. Przypomina kij baseballowy. Jestem wspinałym baseballistą. Potrafię odbić piłkę na kilometr. Uderzyć mocniej niż ktokolwiek. Jestem wielki i silny. Jak mój tata. Mój prawdziwy tata.

- Web, proszę.

- On nawet nie patrzy. Nie wie, że tam jestem. Pałkarz na stanowisku. Claire znów zmieniła taktykę.

- Panie kamerzysto, chcę, żeby wyłączył pan kamerę.

- Nadlatuje piłka. Maksymalna szybkość. Widzę ją. Spokojnie. Przygotowuję się.

- Panie kamerzysto. Chcę, żeby pan...

- Jest już prawie tutaj. On się odwraca. Chcę, żeby to zrobił. Chcę, żeby to zobaczył. Żeby zobaczył mnie.

- Web! Wyłącz kamerę.

-Widzi mnie. Widzi mnie... Biorę taki zamach, żeby piłka wylądowała za płotem.

-Wyłącz kamerę. Przestań, nie widzisz tego. Przestań!

- Biorę zamach. Widzi mnie, wie, jak mocno potrafię uderzyć. Jest teraz przestraszony. Jest przestraszony! Jest przestraszony, a ja nie! Już nie! Już nie!

Claire patrzyła bezradnie, jak Web ścisną wymyślony kij i bierze potężny zamach, żeby posłać piłkę za płot.

- Trafiłem. Trafiłem. Czerwony łuk, czerwony łuk. Piłka opada. Opada. To pełen obieg, bardzo dalekie odbicie. Jest za boiskiem. Jest za boiskiem. Do widzenia, do widzenia, panie dupku. - Ucichł na długą chwilę, a Claire obserwowała go uważnie.

- Wstaje. Wstaje z powrotem. - Web przerwał. - Tak, mam - powiedział. - Tu jest kij, mam. - Wyciągnął rękę, jakby coś podawał. Claire prawie sięgnęła po to, zanim zrozumiała, że za bardzo się wczuła w sytuację.

- Mama go uderza. W głowę. Dużo krwi. Już się nie rusza. Nie rusza się. To koniec.

Zamilkł i umościł się w fotelu. Claire też oparła się wygodnie, serce biło jej tak mocno, że położyła rękę na lewej piersi, jakby chciała zapobiec jej rozsadzeniu. W wyobraźni widziała, jak Raymond Stockton, ugodzony twardym zrolowanym kawałkiem dywanu, spada ze schodów prowadzących na strych i uderza głową o podłogę na dole, a potem zostaje dobity przez żonę za pomocą zwiniętego dywanu.

- Chcę, żebyś się całkowicie rozluźnił, Web. Chcę, żebyś spał, spał, to wszystko.

Patrzyła, jak zagłębia się w fotelu. Gdy podniosła wzrok, przeżyła wstrząs. W pokoju stał Romano, wpatrując się w nią i trzymając dłoń obok rękojeści pistoletu.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał.
- Jest w stanie hipnozy panie Romano. Wszystko w porządku.
- Skąd mam to wiedzieć?
- Chyba po prostu będzie musiał mi pan zaufać. - Wciąż jeszcze była zbyt przejęta, by się z nim spierać. - Ile pan słyszał?
- Szedłem tu, żeby sprawdzić, co u niego, kiedy usłyszałem, jak wrzeszczy.
- Przeżywa na nowo pewne bardzo delikatne wspomnienia z przeszłości. Nie jestem jeszcze pewna, co to wszystko znaczy, ale dotarcie do tego miejsca to wielki postęp.

Doświadczenia Claire w dziedzinie medycyny sądowej skłaniały ją do rozważenia kilku teorii. Najwyraźniej zaplanowano, że ciosy zostaną zadane zrolowanym kawałkiem dywanu. Po uderzeniu głową w podłogę Stockton przypuszczalnie miał w ranie włókna z dywanu. A gdyby dywan na podłodze był taki sam jak resztką na strychu, to policja założyłaby po prostu, że włókna utkwiły w jego głowie, kiedy uderzył o podłogę. Nie podejrzewano by, że ktoś walnął go zrolowanym kawałkiem ze strychu. Po tylu skargach na mężczyznę prawdopodobnie wszyscy, w tym i policja, byli zadowoleni, kiedy wreszcie umarł. Skończywszy roztrząsać kwestię ojczyma, Claire zaczęła zastanawiać się nad matką.

Web powiedział, że to Charlotte London umieściła na strychu stos ubrań. Czy dostarczyła też zrolowany dywan? Czy przyuczyła swojego wysokiego, silnego nastoletniego syna do wykończenia poniewierającego ich mężczyzny? Czy właśnie w taki sposób kobieta postanowiła to załatwić? I sama też włączyła się do akcji, żeby dokończyć robotę, i pozostawiła Webowi odzyskanie równowagi, pozwoliła, by stłumił poczucie winy do tego stopnia, że nie potrafił sobie nawet przypomnieć tego wydarzenia, chyba że poddany hipnozie? Ale takie stłumione wspomnienie skaziłoby każdy aspekt osobowości i przyszłości Weba. Uzewnętrzniłoby się na wiele sposobów, a żaden z nich nie byłby pozytywny. Claire rozumiała teraz jasno, dlaczego Web jest właśnie taki. Został obrońcą prawa nie po to, żeby zapłacić za przestępcze zachowania Harry'ego Sullivana, ale z powodu własnego poczucia winy. Chłopiec pomagający zabić swojego ojczyma na polecenie rodzonej matki; jeśli chodzi o zdrowie psychiczne, nic nie mogło wyrzeć gorszego wpływu.

Claire popatrzyła na Weba, który po prostu siedział bardzo spokojnie, z zamkniętymi oczami, czekając na jej następne polecenie. Rozumiała teraz także przyczyny jego somnambulizmu. Dzieci, które strasz-

nie maltretowano w domu rodzinnym, często wycofywały się do świata wyobraźni, chroniąc się tam przed przerażającą rzeczywistością, laskie dzieci wymyślały sobie przyjaciół, żeby zwalczyć samotność, roiły też o wspaniałym życiu i przygodach, żeby poradzić sobie z brakiem poczucia bezpieczeństwa i przygnębieniem. Claire leczyła już somnambulików, którzy potrafili kontrolować swoje wyższe funkcje mózgowe do takiego stopnia, że mogli albo ubarwić, albo zupełnie wymazać dłuższe fragmenty swoich wspomnień, tak jak to zrobił Web. Chociaż London pozornie był człowiekiem dynamicznym, niezależnym, samodzielnym, doszła do wniosku, że w głębi duszy jest posłuszny i zdaje się na innych; stąd wynikało jego przywiązanie do kolegów z grupy HRT i wyjątkowa umiejętność wykonywania rozkazów. Pragnął sprawiać innym przyjemność, pragnął akceptacji.

Pokręciła głową. Ten mężczyzna miał w głowie bałagan. A jednak zniósł psychologiczny wycisk zarówno w Biurze, jak i w HRT. Powiedział, że domyślił się, o co chodzi w teście MMPI, i udawało mu się kłamać. Nie wiedział, jak trafnie to ujął.

Popatrzyła na Romano, bo przyszło jej coś do głowy. Musiała sformułować pytanie delikatnie, ponieważ nie mogła ujawniać żadnych zwierzeń pacjentów. Web zapewniał ją kiedyś, że nie bierze żadnych leków, i uwierzyła mu na słowo. Ale po tym, czego właśnie się dowiedziała, zastanawiała się, czy jednak nie bierze on czegoś, co by mu pomagało w zwalczaniu psychicznych urazów, które go dręczyły. Pokazała gestem Romano, żeby przeszedł do odległego kąta, poza zasięg słuchu Weba.

- Nie wie pan, czy Web bierze jakieś lekarstwa?
- Czy Web powiedział, że bierze jakieś tabletki?
- Tylko się zastanawiałam. To pytanie jest czymś w rodzaju standardowej procedury operacyjnej dla guru - odpowiedziała wymijająco.
- Wielu ludzi bierze tabletki, które pomagają im spać - stwierdził obronnym tonem Romano.

Nie było mowy o żadnych konkretnych tabletkach. A więc Romano rzeczywiście o nich wie, pomyślała Claire.

- Nie mówię, że to niedobrze, tylko zastanawiałam się, czy kiedykolwiek wspomniał panu o tym, że bierze jakieś leki, a jeśli tak, to jakie.

- Myśli pani, że może być uzależniony, o to chodzi? Cóż, mówię pani, że chyba pani zwariowała.

- Wcale tego nie sugeruję. Po prostu muszę o tym wiedzieć, na wypadek, gdybym chciała mu coś zapisać. Nie chcę, żeby działania różnych leków niebezpiecznie się nałożyły.

Romano tego nie kupował.

- Dlaczego nie zapyta pani Weba?
- Cóż, na pewno zdaje pan sobie sprawę z tego, że ludzie nie zawsze mówią swoim lekarzom prawdę, szczególnie lekarzom mojej specjalności. Chcę się tylko upewnić, że nie będzie problemów.

Romano popatrzył na Weba, najwyraźniej po to, żeby sprawdzić, czy nadal jest on uśpiony. Przeniósł wzrok na Claire i wydawało się, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło.

- Parę dni temu widziałem, że trzymał coś, co wyglądało jak butelczka jakiegoś lekarstwa na receptę. Ale proszę posłuchać, Web teraz cierpi i pewnie jest trochę zagubiony, może potrzebuje pomocy, jeśli chodzi o tabletki, ale w Biurze obowiązują naprawdę sztywne reguły. Wyrzucają cię za burtę i nie obchodzi ich, czy dasz sobie radę. Więc faceci muszą nawzajem na siebie uważać. - Romano przerwał, popatrzył na Weba i powiedział nieco smutno: - Jest najlepszym agentem w historii HRT.

- Wie pan, że on też wysoko pana ceni.

- Chyba faktycznie o tym wiedziałem.

Romano opuścił pokój. Claire podeszła do okna i patrzyła, jak przechodzi przez drogę i znika jej z oczu. Musiało mu być bardzo trudno wyjawić coś tak poufnego o swoim przyjacielu, prawdopodobnie czuł się z tego powodu zdrajcą. Ale ostatecznie miało to pomóc Webowi o wiele bardziej, niż mu zaszkodzić.

Usiadła naprzeciw Weba, pochyliła się i zaczęła mówić powoli, żeby nie uronił ani słowa. Zazwyczaj hipnozę stosowano w celu ominięcia zahamowań i warstw przykrywających stłumione wspomnienia, które nie pozwalały pacjentom szczerze rozmawiać o własnych problemach. Na ogół wyprowadzało się pacjenta z hipnozy w taki sposób, że pamiętał wszystko, co się działo, kiedy był uśpiony. W tym przypadku Claire nie mogła tak postąpić. Byłoby to dla Weba zbyt bolesne. Zamiast tego przekazała Webowi sugestię pohipnotyczną. Nakazywała mu ona pamiętać po wyjściu z hipnozy tylko tyle, by mógł poradzić sobie z tą sytuacją. To jego podświadomość miała zdecydować, co, jeśli cokolwiek, zapamięta. Ze względu na okoliczności Claire była pewna, że nie będzie pamiętał prawie nic. Nie był jeszcze gotowy, by sobie z tym poradzić, bo tak głęboko było to zagrzebane w jego podświadomości. Powoli wywindowała go na szczyt ruchomych schodów, krok po kroku. Zanim w pełni się ocknął, uspokoiła się i przygotowała do spojrzenia mu w oczy.

Kiedy w końcu uniósł powieki, rozejrzał się po pokoju, a potem popatrzył na nią. Uśmiechnął się:

- Hipnoza coś dała?

- Najpierw muszę zadać ci pewne pytanie, Web. - Przerwała, żeby się opanować, a potem spytała: - Bierzesz jakieś lekarstwa?

Jego oczy się zwały.

- Czy nie pytałaś mnie już o to?

- Pytam cię teraz.

- Dlaczego?

- Wspomniałaś o wudu jako możliwej przyczynie twojego zneruchomienia. Chciałabym zaproponować inne wyjaśnienie: negatywne wzajemne oddziaływanie leków.

- Nie brałem żadnego leku przed naszym wejściem w tę uliczkę, Claire. Nigdy bym tego nie zrobił.

- Oddziaływanie leków są dziwne - odpowiedziała Claire. - Zależnie od tego, co bierzesz, skutki mogą dać o sobie znać jakiś czas po tym, jak przestałeś zażywać leki. - Ponownie przerwała i dodała: - To ważne, abyś był całkowicie szczery w tej sprawie, Web. Naprawdę ważne, jeśli chcesz dowiedzieć się prawdy.

Wpatrywali się w siebie przez długą chwilę, a potem Web wstał i poszedł do swojej łazienki. Po minucie wrócił i podał Claire małą buteleczkę z tabletkami. Usiadł, gdy badała jej zawartość.

- Jako że masz je ze sobą, czy powinnam zakładać, że brałeś je ostatnio?

- Jestem w pracy, Claire. Żadnych tabletek. Tak radzę sobie z bezsennością i bólem, które czasami dopadają człowieka, kiedy ma on w ciele dwie wielkie dziury i tylko pół twarzy.

- Więc po co zabrałeś je ze sobą?

- Czuję się dzięki nim bezpieczniej. Jesteś psychiatrą... rozumiesz coś takiego, ssanie kciuka i tak dalej, prawda?

Claire wyjęła tabletki i obejrzała wszystkie po kolei. Każda była inna. Większość rozpoznała, niektórych nie. Podniosła jedną.

- Wiesz, skąd ją masz?

- O co chodzi? - zapytał podejrzliwie. - Coś jest z nią nie tak?

- Może. Dostałeś te tabletki od O'Bannona? - spytała z powątpiewaniem.

- To chyba możliwe. Chociaż myślałem, że dawno zużyłem wszystko, co mi zapisał.

- Cóż, jeśli nie O'Bannon, to kto?

Web zaczął się bronić.

- Słuchaj, musiałem odstawić środki przeciwbólowe, które dawali mi z powodu moich obrażeń, bo uzależniałem się od nich. A potem nie mogłem spać, przez jakiś rok. Niektórzy faceci z HRT mają ten sam problem. Nie bierzemy przecież narkotyków czy jakiegoś gówna, ale tylko tak długo można wytrzymać bez snu, nawet w HRT. Czasami chłopacy dawali mi tabletki w ciągu tych lat. Po prostu zbieram je w buteleczce i biorę, kiedy tego potrzebuję. Może dostałem tę tabletkę od jednego z nich. Czy to ważne?

- Nie widzę nic złego w tym, że bierzesz lekarstwa, które pomagają ci spać, Web. Ale to głupie i niebezpieczne czerpać z dziwacznej kolekcji tabletek, nawet otrzymanych od przyjaciół, kiedy nie masz pojęcia, jakie ich działania mogą się nakładać. Masz wielkie szczęście, że nie stało ci się coś poważnego. A może się stało. W tamtej uliczce. Może zastygłeś właśnie z powodu tej niezwykłej metody zażywania tabletek. - Claire myślała także, że bolesne wspomnienia związane ze śmiercią Raymonda Stocktona mogły wykipieć w najgorszej możliwej chwili - kiedy Web był w tamtej uliczce. Może, tak jak myślała wcześniej, widok Kevina Westbrooka obudził jakieś wspomnienie w Webie, obezwładniając go.

Web ukrył twarz w dłoniach.

- Cholera! To niewiarygodne. Niewiarygodne!

- Nie mogę powiedzieć, że na pewno tak było, Web. - Popatrzyła na niego ze współczuciem, ale musiała się jeszcze czegoś dowiedzieć. - Zgłosiłeś lekarstwa, które zażywałeś, swojemu zwierzchnikowi?

Odsłonił twarz, ale nie patrzył na nią.

- W porządku - podsumowała wolno.

- Powiesz komuś? - spytał.

- Nadal je bierzesz?

- Nie. O ile pamiętam, przed misją ostatni raz wziąłem jedną tydzień wcześniej. To wszystko.

- Więc nie mam czego zgłaszać. - Podniosła znów tę samą tabletkę. - Nie rozpoznaję tego lekarstwa, a jako psychiatra widziałam prawie wszystkie. Chciałabym oddać ją do analizy. To będzie zrobione po cichu - dodała szybko, bo wydawał się zaniepokojony. - Mam pewnego przyjaciela. Nie podam mu twojego nazwiska.

- Naprawdę myślisz, że zaszkodziły mi tabletki, Claire?

Wpatrywała się w tabletkę, a potem włożyła do kieszeni buteleczkę i spojrzała na niego.

- Web, obawiam się, że nigdy nie będziemy wiedzieli tego na pewno.

- A więc hipnoza nie wypaliła? - zapytał w końcu Web, chociaż Claire widziała, że jego umysł zaprzętają tabletki i ich możliwy związek z tym, co spotkało Grupę Charlie.

- Przeciwnie. Dowiedziałam się wielu rzeczy.

- Na przykład?

- Na przykład że Harry Sullivan został aresztowany podczas przyjęcia z okazji twoich szóstych urodzin. Pamiętasz, jak o tym mówiłeś? - Była prawie pewna, że Web może to sobie przypomnieć z sesji hipnotycznej. Ale nie wydarzenie ze Stocktonem.

Powoli skinął głową.

- Właściwie to tak. Przynajmniej częściowo.

- Choć może nie ma to dla ciebie znaczenia, przed aresztowaniem ty i Harry świetnie się bawiliście. Wyraźnie bardzo cię kochał.

- Dobrze wiedzieć - odparł Web bez entuzjazmu.

- Często bolesne wspomnienia są tłumione, Web, to rodzaj zaworu bezpieczeństwa. Psychika nie może sobie z tym poradzić, z takim poziomem konfrontacji, i człowiek po prostu to zagrzebuje, żeby nie musieć stawiać temu czoła.

- Ale to jest jak zakopywanie odpadów toksycznych - powiedział półszepem.

- Zgadza się. I czasami trujące wyziewy przesączają się i powodują znaczne szkody.

- To wszystko? - zapytał.

- Przypominasz sobie coś jeszcze?

Pokręcił głową.

Claire odwróciła na chwilę wzrok. Wiedziała, że Web z uwagi na swój ogólny stan nie może teraz usłyszeć prawdy o śmierci ojczyma. Popatrzyła na niego i zdołała się leciutko uśmiechnąć.

- Cóż, myślę, że to wystarczy.

Spojrzała na zegarek.

- Muszę wracać.

- A więc mój tata i ja naprawdę dobrze się rozumieliśmy?

- Śpiewaliście piosenki, nosił cię na barana. Tak, świetnie się bawiliście.

-Zaczyna mi się to przypominać. A więc wciąż jeszcze jest dla mnie nadzieja, prawda? - Web uśmiechnął się, jakby chcąc pokazać, że nie mówi całkiem poważnie.

- Zawsze jest nadzieja, Web - odpowiedziała Claire.

Sonny Venables nie był na służbie i nie miał na sobie munduru, siedział jednak w nie oznakowanym samochodzie i obserwował okolicę. Tylne siedzenie zatrzęszczało, kiedy wielki mężczyzna, który leżał na podłodze wozu rozprostował swoje długie nogi.

- Nie wierć się, Randy - powiedział Venables. - To jeszcze trochę potrwa.

- Uwierz mi, że czekałem już na facetów o wiele dłużej niż teraz i to w miejscach o wiele bardziej gównianych niż tylne siedzenie samochodu.

Venables wysunął papierosa z paczki, którą miał w kieszeni, zapalił go, opuścił trochę szybę i wydmuchnął dym.

- Mówiłeś mi o swoim spotkaniu z Londonem.

- Osłaniałem jego tyłek, ale on wtedy o tym nie wiedział. No i dobrze, chociaż myślę, że Westbrook by go jednak za to nie zabił.

- Słyszałem o tym facecie, ale nigdy się na niego nie natknąłem.

- Masz szczęście. Ale powiem ci, że jest tam ktoś o wiele gorszy. Westbrook przynajmniej ma swój mały kodeks honorowy. Większość tych facetów to po prostu całkowite świry. Zabiją cię tylko po to, żeby cię zabić i chęć się tym. Westbrook robi wszystko z naprawdę ważnych powodów.

- Na przykład sprzątnął ludzi z HRT?

- Nie wydaje mi się. Przekazał Londonowi wiadomość o tunelach pod budynkiem, który był celem HRT. Najwyraźniej to tamtą drogą wniesiono karabiny. London sprawdził to z Batesem. Podobno Westbrook mówił prawdę.

- Sądząc z tego, co mi o nim powiedziałaś, nie jest chłopcem na posyłki.

- Jest, jeśli osoba, która kazała mu dostarczyć tę wiadomość, ma kogoś, na kim mu zależy, na przykład jego syna.

- Kapuję. A więc to ta osoba stała za tym, co spotkało ludzi z HRT?

- Moim zdaniem tak.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Oxy?

- To interes, który widziałem w tym budynku tamtej nocy. Mieli tam nawet trochę towaru. Nie cegiełki koki, tylko torebki z tabletkami.

mi. I widziałem komputerowe zestawienia, które jasno to wszystko pokazywały. Wielomilionowe obroty. A po dwóch dniach nie było po tym ani śladu.

- Po co tak się wysilali, żeby cię podpuścić? Po co skasowali ludzi z HRT? Nie wiedzieli, że tylko ściągną sobie na kark całe Biuro?

- Nie ma w tym za dużo sensu - zgodził się Cove. - Ale wydaje się, że właśnie to się stało.

Venables zeszywniał i przytknął papierosem za okno.

- Przedstawienie się zaczyna, Randy.

Venables patrzył, jak pewien mężczyzna opuszcza budynek, który obserwowali, idzie ulicą, skręca w prawo i podąża jakąś uliczką. Venables zapalił silnik i samochód ruszył powoli naprzód.

- Czy to jest facet, którego się spodziewałeś? - zapytał Cove.

-Taa. Jeśli potrzebujesz info o nowych narkotykach wchodzących na rynek w mieście, ten chłopak będzie to wiedział. Nazywa się Tyrone Walker, ale mówią na niego T. Bardzo oryginalne. Działa od lat i należał już do trzech albo czterech różnych ekip. Odsiadka, szpital, odwyk. Ma około dwudziestu sześciu lat, a wygląda dziesięć lat starszej ode mnie, a przecież ja nie wyglądam świetnie jak na swój wiek.

- Dziwne, że nigdy wcześniej nie trafiłem na T.

- Hej, nie masz monopolu na informacje w tym mieście. Może jestem tylko skromnym ulicznym gliniarzem, ale mam swoje kontakty.

- To dobrze, Sonny, bo ja jestem teraz zepsutym towarem. Nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

- Cóż, drogi T zechce, po odpowiedniej perswazji.

Venables pojechał za róg, dodał gazu, potem skręcił w prawo, w ulicę równoległą do tej, przy której samochód stał wcześniej. Ledwo skręcili za róg, T wyłonił się z uliczki łączącej te dwie ulice.

Venables rozejrzał się.

- Wydaje się, że nie ma przeszkód. Chcesz zrobić swoje?

Cove był już poza samochodem. Zanim T zorientował się, co się dzieje, został wprawnie przeszukany i leżał twarzą w dół na tylnym siedzeniu samochodu Venablesa, a jedna z wielkich rąk Cove'a spoczywała na jego karku, przytrzymując go. Venables odjechał, a T głośno obrzucał ich wyzwiskami. Kiedy się uspokoił, byli już trzy kilometry dalej, w lepszej części miasta. Cove posadził T prosto. Mężczyzna popatrzył najpierw na niego, a potem na Venablesa.

- Hej, T - powiedział Venables. - Dobrze wyglądasz. Szanujesz się ostatnio?

Cove czuł, że T zamierza wyskoczyć drugimi drzwiami, więc ścisnął ramieniem jego barki.

- Hej, chcemy tylko z tobą porozmawiać, T. Po prostu porozmawiać.

- A jeśli nie chcę rozmawiać?
- Wtedy możesz po prostu wysiąść z wozu - powiedział Cove.
- Na pewno? W porządku, zatrzymajcie się, to wysiądę.
- Chwileczkę, T, on nie powiedział, że zatrzymam samochód, za-
nim wysiądziesz. - Venables skręcił ostro w zjazd i wtoczyli się na Mię-
dzystanową 395, a potem przejechali przez most na Czternastej Ulicy
i byli w Wirginii. Venables przyspieszył do setki.

T przypatrywał się przez okno nieprzerwanej rzece pojazdów zmie-
rzających w przeciwnym kierunku, a potem usiadł niedbale z ramiona-
mi skrzyżowanymi na piersi.

- Mój przyjaciel... - zaczął Venables.
- Czy twój cholerny przyjaciel ma jakieś nazwisko?

Cove chwycił mocniej barki T.

- Taak, mam nazwisko. Mów na mnie T-Rex. Powiedz mu dlaczego,
Sonny.

- Bo zjada małych T na śniadanie, lunch i obiad - wyjaśnił Sonny.

- I potrzebuję tylko paru informacji o pewnym towarze, który poja-
wił się w mieście. Które ekipy go kupują i tak dalej. Nie będziesz miał
żadnych problemów. Po prostu parę nazwisk i wypuścimy cię w miej-
scu, z którego cię zabraliśmy.

- I uwierz mi, T, nie chcesz wkurzyć tego faceta - dodał Venables.

- Wy, gliniarze, nic mi nie zrobicie, chyba że chcecie dostać po du-
pie w sądzie.

Cove wpatrywał się w niego przez chwilę, a potem powiedział:

- Teraz akurat, T, lepiej bądź dla mnie naprawdę miły. Z różnych
powodów nie czuję się dobrze i gównie mnie obchodzi, czy ktoś mnie
pozwie czy nie.

- Odpieprz się.

- Sonny, skręć w następną po prawej. Weź kurs na Aleję GW. Jest
tam dużo spokojnych miejsc - dodał złowieszczo.

- Robi się.

Po kilku minutach byli na Alei George'a Washingtona, zwanej Aleją
GW, i kierowali się na północ.

- Skręć w następny zjazd - powiedział Cove.

Zatrzymali się przy punkcie widokowym dla turystów, skąd rozta-
czał się piękny widok na Georgetown i płynącą daleko w dole rzekę
Potomac. Murek z kamieni odgradzał platformę od stromego zbocza.
Zapał już zmierzch i nie parkowały w tym miejscu inne samochody.
Cove rozejrzał się, otworzył drzwi i wyciągnął T.

- Jeśli mnie aresztujecie, chcę mieć адвоката.

Venables też wysiadł i omiół wzrokiem okolicę. Przyjrzał się skar-
pie, zerknął do tyłu na Cove'a i wzruszył ramionami.

Cove chwycił niedużego T w pasie i podniósł go.

- Co ty, do diabła, robisz, człowieku?

Cove przeszedł przez kamienny murek, a T szarpał się na próżno. Był tam wąski pasek ziemi, a potem mniej więcej trzydziestometrowa stromizna opadająca ku rzece pełnej kamieni. Trochę dalej, na przeciwległym brzegu stało kilka budynków pomalowanych na jaskrawe kolory, zajmowanych przez miejscowe kluby wioślarskie. Ich członkowie pływali po wodach rzeki w czółnach, skullach, kajakach i rozmaitych innych jednostkach poruszanych siłą mięśni. Kilka z nich było w tej chwili na wodzie i T miał okazję zobaczyć odwrócony widok tego malowniczego krajobrazu, bo Cove trzymał go za nogi nad urwiskiem.

- Ja pierdolę! - wrzasnął miotający się T, spoglądając w dół, gdzie mógł się stoczyć ku zapomnieniu.

- No więc tak, możemy to zrobić w łatwy albo w trudny sposób i musisz się zdecydować naprawdę szybko, bo nie mam już czasu ani cierpliwości - powiedział Cove.

Venables kucnął na murku i patrzył, czy nie nadjeżdżają jakieś samochody.

- Lepiej słuchaj uważnie, T, ten facet nie kłamie.

- Ale wy jesteście gliniarzami - jęczał T. - Nie możecie zrobić czegoś takiego. To jest, kurwa, niezgodne z konstytucją.

- Wcale nie mówiłem, że jestem gliniarzem - zauważył Cove.

T zeszywniał, a potem rzucił okiem na Venablesa.

- Ale, do cholery, on jest z policji.

- Hej, nie odpowiadam za tego gościa - powiedział Venables. - Poza tym i tak przygotowuję się do przejścia na emeryturę. Olewam to.

- Oxy - odezwał się spokojnie Cove. - Chcę wiedzieć, kto to kupuje w Dystrykcie.

- Jesteś jakimś pojebem czy co?! - wrzasnął T

- Tak, jestem. - Cove przesunął trochę dłonie i T opadł o jakieś piętnaście centymetrów. Teraz Cove trzymał mężczyznę tylko za kostki.

- O Boże, o słodki Jezu, pomóż mi - pisał T.

- Nie mów do Jezusa, T, nie po tym, co robiłeś w życiu - odpowiedział Venables. - Jeszcze pośle piorun, a ja stoję o wiele za blisko.

- Mów - nakazał Cove spokojnie. - Oxy.

- Nie mogę ci niczego powiedzieć. Wtedy będą chcieli mnie dopaść.

Cove znów przesunął dłonie. Teraz trzymał tylko stopy mężczyzny.

- Jesteś w mokasynach, T - powiedział. - Mokasyny łatwo się zdejmują.

- Idź do diabła.

Cove puścił jedną nogę 'T' i teraz trzymał go tylko za jedną stopę obiema rękami. Popatrzył za siebie na Venablesa.

- Sonny, chyba będzie lepiej, jak go wrzucimy do rzeki i pojedziemy znaleźć kogoś innego, kto jest trochę bystrzejszy.

- Znam odpowiednią osobę. Jedźmy.

Cove zaczął rozluźniać uchwyt.

- Nie! - wrzasnął T. - Będę mówił. Powiem wam.

Cove zastygł w bezruchu.

- Nie, to znaczy postaw mnie i ci powiem.

- Sonny, idź zapalić silnik, a ja wrzucę to gównu do Potomacu.

- Nie! Będę mówił, tutaj. Przysięgam.

- Oxy - przypomniał Cove.

- Oxy - powtórzył T i zaczął szybko mówić, o wszystkim, co interesowało Cove'a.

Claire wprowadziła volvo na podjazd i zgasiła silnik. Mieszkała na ładnym osiedlu, położonym niezbyt daleko od jej gabinetu, i na szczęście kupiła tu dom, zanim ceny nieruchomości gwałtownie wzrosły. Zarabiała dość dobrze, ale koszty utrzymania stały się w północnej Wirginii absurdalnie wysokie. Przedsiębiorcy budowlani upychali domy na każdym skrawku ziemi, jaki udało im się znaleźć, a jednak nie brakowało ludzi gotowych je kupić.

Ona mieszkała w domku typu Cape Cod z trzema sypialniami, ładnym trawnikiem od frontu, kwiatami w skrzynkach na parapetach, dachem z cedrowych balików i garażem na dwa samochody połączonym z domem zadaszonym przejściem. Ulica była wysadzana drzewami i osiedle skupiało spokojną mieszankę młodych i starych, przedstawicieli prestiżowych zawodów i robotników.

Claire od lat pozostawała rozwódką i prawie pogodziła się z tym, że resztę życia spędzi samotnie. W kręgach towarzyskich, w których się obracała, było niewielu wolnych mężczyzn i żaden z nich nie wzbudził jej zainteresowania. Miała czujne przyjaciółki, które zawsze pragnęły ją umówić z kolejnym minipotentatem z branży technicznej albo prawnikiem, ale okazywali się oni tak egocentryczni, że w jej odczuciu małżeństwo z jednym z nich nie różniłoby się zbyt od pozostawania bez pary. Kiedyś na przyjęciu, chcąc upomnieć pewnego bardzo zapatrzonego w siebie faceta siedzącego w nowoczesnej technologii, zapytała go, czy słyszał o Narcyzie. Chciał wiedzieć, czy to nowy typ oprogramowania internetowego, a potem zaczął dalej mówić o tym, jaki jest fantastyczny.

Zabrała teczkę z samochodu i ruszyła w stronę drzwi wejściowych. Nie wstawiła volvo do garażu, bo zamierzała jeszcze dokąś jechać.

Mężczyzna wychodzący z podwórka na tyłach domu przestraszył Claire. Był czarnoskóry i potężnie zbudowany, chyba miał ogoloną głowę, ale skrywała to czapka. Claire skupiła uwagę na jego uniformie firmy gazowniczej i elektronicznym gazomierzu, który trzymał w ręku. Miął ją, uśmiechnął się i przeszedł przez ulicę. Czuła się zakłopotana tym, że automatycznie wzbudza w niej podejrzenia czarnoskóry mężczyzna, chociaż musiała przyznać, również z pewnym zakłopotaniem, że na jej osiedlu mieszka niewiele kolorowych osób. Ale kto mógł się dziwić, że jest paranoiczką, skoro spędziła trochę czasu z Webem Londonem i ludźmi jego pokroju?

Otworzyła drzwi i weszła do środka, myśląc o swojej sesji z Webem. Była ona szokująca pod wieloma względami, ale też bardzo poszerzyła jej wiedzę. Postawiła teczkę i poszła do sypialni, żeby się przebrać. Na dworze wciąż jeszcze było widno i uznała, że wykorzysta ładną pogodę i pójdzie na spacer. Przypomniała sobie o tabletkach, które wsunęła do kieszeni, wyjęła je i obejrzała. Ta nieznana bardzo ją zaintrygowała. Miała przyjaciela, który pracował w dziale farmacji szpitala w Fairfax. Mógł poddać pigułkę różnym badaniom i powiedzieć jej, co to takiego. Tabletki nie wyglądały na żaden ze środków nasennych, jakie dotychczas widziała, ale mogła się mylić. Miała też nadzieję, że się myli, wyjaśniając paraliż Weba w tamtej uliczce wzajemnym oddziaływaniem leków. Być może nigdy nie pozbierałby się po czymś takim. Choć jego hipoteza o wudu była szalona, wolałaby kląć od czegoś, co Web nieumyślnie wprowadził do swojego organizmu i co spowodowało, że jego przyjaciele zginęli, a on przeżył. Nie, odpowiedź musiała tkwić w jego przeszłości, była o tym przekonana.

Usiadła na łóżku i zsunęła buty, weszła do małej głębokiej garderoby, rozebrała się i włożyła T-shirt oraz szorty, bo wrócił upał. Boso wyszła stamtąd i popatrzyła na telefon. Może powinna zadzwonić do Weba i porozmawiać z nim. Kiedyś będzie musiała mu powiedzieć, jakie zdobyła informacje o śmierci Stocktona. Wybór właściwego momentu miał jednak ogromne znaczenie. Konsekwencje zbyt wczesnego albo zbyt późnego ujawnienia faktów mogły okazać się katastrofalne. Postanowiła odłożyć ten problem na później. Może spacer pomoże jej podjąć decyzję. Podeszła do szuflady i wyjęła czapkę baseballową. Miała właśnie ją nałożyć, kiedy ktoś zakrył jej usta dłonią. Upuściła czapkę i instynktownie zaczęła się wyrywać, ale poczuła na policzku lufę pistoletu i znieruchomiała. Jej oczy były rozszerzone ze strachu, z trudem chwytając powietrze. Pamiętała, że nie zamknęła drzwi na klucz, kiedy weszła do domu. To było takie bezpieczne osiedle, przynajmniej przedtem. Zastanawiała się w szaleńczym tempie, czy gazownik był przebiegającym i wrócił, i teraz ma zamiar ją zgwałcić, a potem zabić.

- Czego chcesz? - zapytała głosem, który był stłumiony przez dłoń na jej ustach i nie brzmiał jak jej własny. Z powodu siły wiedziała, że to mężczyzna, chociaż dłoń była w rękawiczce. Ręka oddaliła się od jej ust i ramię otoczyło jej szyję.

Mężczyzna nie odpowiedział i Claire zobaczyła, jak do jej oczu zbliża się opaska, a w następnej chwili znalazła się w całkowitej ciemności. Czuła, że jest prowadzona do łóżka, i z przerażeniem myślała o mogącym zaraz nastąpić gwałcie. Czy powinna wrzeszczeć albo walczyć? Pistolet był nadal przyciśnięty do jej prawego policzka. Milczenie napastrnika było bardziej niepokojące niż jego głos, który w końcu usłyszała.

- Po prostu się nie denerwuj - powiedział mężczyzna. - Chcemy od ciebie tylko informacji. I niczego innego. - Te słowa wydały się jej dość jasne. Jej ciało było bezpieczne. Przynajmniej mogła mieć taką nadzieję.

Pokierował nią tak, że usiadła na brzegu łóżka. Powiedziała sobie, że jeśli popchnie ją do tyłu i wejdzie na nią, będzie walczyła, mimo że miał pistolet.

Ale zorientowała się, że odsuwa się od niej. W tym momencie wyчуła, że weszła inna osoba. Zesztywniała, gdy usiadła ona obok niej na łóżku. „Ciężki mężczyzna” - wydedukowała, bo łóżko zapadło się dość mocno. Nie dotknął jej, chociaż nawet przez opaskę czuła na sobie jego spojrzenie.

- Spotykasz się z Webem Londonem?

Drgnęła nieznacznie po tym pytaniu, bo nie przyszło jej wcześniej do głowy, że napaść ma coś wspólnego z Webem, chociaż teraz się zastanawiała, dlaczego na to nie wpadła. Prowadziła całkiem zwyczajne, uporządkowane życie, bez pistoletów i zabitych ludzi. Takie było jednak życie Weba. Czy jej się to podobało, czy nie, była teraz częścią tego życia.

- To znaczy? - zdołała powiedzieć.

Usłyszała, jak mężczyzna chrząka, wydawało jej się, że z irytacją.

- Jesteś psychiatrą, a on jest twoim pacjentem, prawda?

Claire chciała powiedzieć, że ze względów etycznych nie może ujawnić tej informacji, ale była pewna, że gdyby tak zrobiła, ten mężczyzna by ją zabił. Akurat obchodziły go etyczne ograniczenia. Umocniła się w tym przekonaniu, kiedy usłyszała coś, co wyraźnie zabrzmiało jak odcignięcie kurka pistoletu. Jako konsultantka w dziedzinie psychiatrii sądowej miała do czynienia z bronią i знаła ten dźwięk bardzo dobrze. Wielka zimna bryła powstała w jej żołądku, a jej kończyny zdrętwiały. Zastanawiała się, jak Web wytrzymuje codzienne kontakty z takimi ludźmi.

- Spotykam się z nim, tak.
- No, teraz dokądś dochodzimy. Czy wspomniał ci o chłopcu, który ma na imię Kevin?

Skinęła głową, bo w ustach zaschło jej tak, że nie sądziła, by mogła mówić.

- Czy on przypadkiem wie, gdzie ten chłopiec teraz jest?

Claire pokręciła głową i zeszywniała, gdy lekko ścisnął jej ramię.

- Rozluźnij się, moja pani, nikt ci nie zrobi krzywdy, o ile będziesz współpracować. Jeśli nie będziesz współpracować, to będziemy mieli spory problem - dodał złowieszczo.

Claire usłyszała, jak mężczyzna pstryka palcami, mniej więcej minutę trwali w milczeniu, a potem poczuła, że coś dotyka jej ust. Cofnęła się.

- Woda - powiedział mężczyzna. - Zaschło ci w ustach. To normalne u ludzi umierających ze strachu. Pij.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak rozkaz i Claire natychmiast go wykonała.

- Teraz mów, koniec z kiwaniem czy potrząsaniem głową, rozumiesz mnie?

Zaczęła kiwać głową, ale zaraz się na tym przyłapała.

- Tak.

- Co on powiedział o Kevinie? Wszystko, muszę wiedzieć wszystko.

- Dlaczego? - Nie była całkiem pewna, jak się jej wymknęło to śmiałe pytanie.

- Mam swoje powody.

- Chcesz zrobić krzywdę chłopcu?

- Nie - zapewnił cicho mężczyzna. - Chcę tylko, żeby wrócił! cały i zdrowy.

Wydawał się szczery, ale przypomniała sobie, że przecież kryminaliści często sprawiali takie wrażenie. Ted Bundy był mistrzem gładkiej gadki, a zabijał metodycznie dziesiątki kobiet, przez cały czas się uśmiechając.

- Wiesz, nie mam żadnego powodu, żeby ci wierzyć.

- Kevin to mój syn.

Zeszywniała, gdy to do niej dotarło, a później się rozluźniła. Czy to mógł być ten Wielki F, o którym mówił jej Web? Ale powiedział, że mężczyzna jest bratem, a nie ojcem Kevina. Ten człowiek sprawiał wrażenie zaniepokojonego rodzica, a jednak coś nie do końca jej pasowało. Claire musiała po prostu kierować się zawodowym instynktem. Ale była też przekonana, że ci mężczyźni ją zabiją.

- Web powiedział, że widział Kevina w uliczce. Mówił, że Kevin powiedział coś i że to wpłynęło na niego w dziwny sposób. Zobaczył go

znów później, kiedy strzelały karabiny. Dał mu wiadomość i wysłał go z nią. Nie widział go potem. Ale go szukał.

- To wszystko?

Skinęła głową i zaraz się na tym przyłapała. Czuła, że napastnik przysuwa się bliżej, i zamknęła oczy, chociaż miała na nich opaskę. Czuła, jak pod powiekami wzbierają łzy.

- Podstawowe zasady są takie: koniec z kiwaniem czy potrząśaniem głową, muszę usłyszeć słowa, ostatni raz ci to mówię, kapujesz?

- Tak. - Wstrzymywała łzy.

- No więc powiedział coś jeszcze, o czymś niezwykłym, co się stało, kiedy zobaczył Kevina drugi raz?

- Nie - odparła, ale wahała się o sekundę za długo. Wyraźnie to czuła, jakby ta chwila ciszy trwała cały dzień. I wydawało jej się, że on też to zauważył. Przypuszczenie okazało się słuszne, bo natychmiast poczuła zimną lufę pistoletu na policzku.

- Mamy tu poważne nieporozumienie, może nie wyrażam się jasno. Wszystko musi być jasne, więc wyłożę ci to, suko. Żeby odzyskać mojego chłopca, rozwałę łeb tobie i każdemu, na kim ci w życiu zależy. Widziałem w całym domu zdjęcia takiej ślicznej dziewczyny. To na pewno twoja córka, prawda? - Claire nie odpowiedziała, poczuła, że jego ramię oplata jej szyję. Dłoń była w rękawiczce, co ją dziwiło, dopóki nie pomyślała o odciskach palców i DNA, które można byto znaleźć na zwłokach. Jej zwłokach! Na myśl o tym zrobiło jej się słabo.

- Prawda?

- Tak!

Dalej trzymał rękę na jej szyi.

- Widzisz, twoja mała dziewczynka jest zupełnie bezpieczna. Doskonały mały domek na doskonałym małym osiedlu. Ale widzisz, ja nie mam mojego chłopca, a on jest dla mnie wszystkim. Dlaczego ty masz swoją dziewczynkę, a ja nie mam mojego chłopca? Myślisz, że to sprawiedliwe? Tak myślisz? - Ścisnął trochę jej szyję i Claire poczuła, że zaczyna się dusić.

- Nie.

- Co nie?

- Nie, nie myślę, że to jest sprawiedliwe - zdołała powiedzieć zniekształconym głosem.

- Taak? Cóż, trochę za późno na to, kotku.

Claire została pchnięta na łóżko. Jej wcześniejsza gotowość do walki, jeśli spróbują ją zgwałcić, teraz wydawała się śmieszna. Była tak przestraszona, że ledwie mogła oddychać. Poczwała na twarzy poduszkę, a potem coś twardego wgniotło jej środek. Po kilku sekundach

uświadomiła sobie, że twardy przedmiot to pistolet, a poduszka posłuży jako prowizoryczny tłumik.

Pomyślała o swojej córce, Maggie, zastanowiła się, jak znalezione zostanie jej ciało. Łzy pociekły jej po policzkach. A potem cudem ochłonęła na jedną sekundę.

- Powiedział, że ktoś zamienił dzieciaki w tej uliczce.

Poduszka nadal przykrywała jej twarz i pomyślała, że mimo wszystko przegrała.

Potem miękki ciężar został powoli zdjęty i Claire szarpnięto w górę tak mocno, że prawie zwichnięto jej ramię.

- Powiedz to jeszcze raz.

- Powiedział, że Kevin został zamieniony w uliczce na innego chłopca. Chłopiec, który poszedł do policjantów, to nie był Kevin. Jego zabrano w uliczce, zanim dotarł do policjantów.

- London wie dlaczego?

- Nie. I nie wie, kto to zrobił. Tylko tyle, że to się stało.

Znów poczuła pistolet na policzku. Z jakiegoś powodu za drugim razem nie budziło to już takiego lęku.

- Jak kłamiesz, to nie spodoba ci się to, co ci zrobię.

- To mi właśnie powiedział. - Czuła się tak, jakby zdradziła Weba, żeby się uratować, i zastanawiała się, czy on raczej dałby się zabić, niż zrobiłby coś takiego. Prawdopodobnie tak. Łzy znów zaczęły napływać jej do oczu, jednak tym razem nie wywołał ich strach, ale jej własna słabość.

- On myśli, że Kevin był w tamtej uliczce, bo zaplanował to ktoś, kto stał za tym, co się zdarzyło. Myśli, że Kevin brał w tym jakiś udział. - Po czym szybko dodała: - Ale nieświadomie. Jest tylko dzieckiem.

Pistolet przestał naciskać jej policzek i wielka sylwetka zadającego pytania mężczyzny, którą wyczuwała, także trochę się oddaliła.

- To tyle?

- Nic więcej nie wiem.

- Jak powiesz komuś, że tu byliśmy, to wiesz, co ci zrobię. I mogę znaleźć twoją córkę. Przeszukaliśmy twój dom, wiemy wszystko, co można o was wiedzieć. Rozumiemy się?

- Tak - zdołała wykrztusić.

- Robię to tylko po to, żeby odzyskać syna, to wszystko. Nie lubię wpadać do domów innych ludzi i ich poniewierać, to nie w moim stylu, zwłaszcza jeśli chodzi o kobiety, ale to, co muszę zrobić, żeby odzyskać mojego chłopca, zrobię.

Claire uświadomiła sobie, że bezwiednie mu przytakuje, a potem znieruchomiła.

Nie usłyszała, jak odchodzą, chociaż jej słuch nie mógłby być bardziej wyostrzony.

Odczekała kilka minut, żeby się upewnić, że jest sama, a potem powiedziała „Halo?” Powtórzyła to jeszcze raz. Powoli uniosła ręce, żeby rozwiązać opaskę. Czekala na ramiona, które ją powstrzymają, ale nic takiego nie nastąpiło. W końcu ściągnęła opaskę i szybko rozejrzała się po pokoju, niemal się spodziewając, że ktoś na nią skoczy. Chętnie padłaby na łóżko i płakała przez resztę dnia i noc, ale nie mogła tu zostać. Powiedzieli, że przeszukali cały dom. Wrzuciła trochę ubrań do torby, chwyciła torebkę i tenisówki i poszła w stronę drzwi wejściowych. Wyjrzała na zewnątrz, ale nikogo nie zobaczyła. Szybko podeszła do samochodu i wsiadła. Odjeżdżając, patrzyła stale we wsteczne lustro, żeby dowiedzieć się, czy ktoś będzie ją śledził. Nie była ekspertem, ale wydawało jej się, że nikt za nią nie jedzie. Wjechała na Obwodnicę Stołeczną i przyspieszyła, nie mając pewności, dokąd właściwie zmierza.

Antoine Peebles zdjął rękawiczki i rozsiadł się wygodnie z szerokim uśmiechem na inteligentnej twarzy. Popatrzy! na Macy'ego, który kierował. Mężczyzna miał nieprzenikniony wyraz twarzy, jak zawsze.

- Cholernie dobry występ, skoro sam tak uważam - stwierdził Peebles. - Myślę, że idealnie naśladowałem głos, dykcję i słownictwo tego faceta. Nigdy w życiu tyle nie slangowałem. Co o tym myślisz?

- Mówiłeś jak szef- zgodził się Macy.

- A ta kobieta się wkurzy, pójdzie do Weba Londona i do gliniarzy i będą szukać Francisa.

- I może nas.

- Nie, wytłumaczyłem ci wszystko. Musisz myśleć na poziomie makro i mikro, Mace - powiedział Peebles jak wykładowca do studenta. - Już się od niego odłączyliśmy. A w dodatku nie ma towaru i połowa jego ekipy odeszła z tego powodu. Jego płynność finansowa spadła prawie do zera. W tym biznesie ma się co najwyżej dwudniowe zapasy. Schował trochę towaru, nie można go nie doceniać, ale to już poszło. i kiedy zastrzelił Toonę, stracił jeszcze czterech facetów tylko z tego powodu. - Peebles pokręcił głową. - I co on robi, kiedy to wszystko się dzieje? W każdej sekundzie myśli tylko o dzieciaku. Co wieczór go szuka, poniewiera ludzi, pali za sobą mosty, nikomu nie ufa.

- To chyba mądre z jego strony, że nikomu nie ufa - powiedział Macy, spoglądając na Peeblesa. - Szczególnie tobie i mnie.

Peebles zignorował te słowa.

- Mógłby napisać książkę o głupich technikach zarządzania. Żeby zabić jednego ze swoich ludzi w taki sposób, na oczach wszystkich. Na oczach agenta FBI! Pragnie własnej śmierci.

- Trzeba trzymać w ryzach swoich ludzi - powiedział spokojnie Macy. - Przywódca musi być silny. - Popatrzył na Peeblesa, a jego mina jasno pokazywała, że jego zdaniem towarzyszowi brakuje tej cechy, ale Peebles nie zauważył tego, bo nadal rozkoszował się swoim triumfem. - nie możesz mieć facetowi za złe, że próbuje znaleźć swojego syna.

- Nie można mieszać spraw zawodowych z prywatnymi - uznał Peebles. -Już się załatwił, roztrwoniał swój szeroko pojęty kapitał, z powo-

du czego? Czegoś, co się nigdy nie stanie. Ten dzieciak nigdy nie wróci. Bez względu na to, kto go zabrał, ten chłopak jest dwa metry pod ziemią, jeśli cokolwiek z niego zostało. Dobra, mam już nowe kanały dostaw i przyłączyli się do mnie rozczarowani Wielkim F. - Popatrz na Macy'ego. - Prawdopodobnie tego nie wiesz, ale mój manewr to klasyczny makiawelizm. Podbierałem najlepszych członków innych ekip przez ostatnie sześć miesięcy. Jesteśmy już prawie gotowi do działania i tym razem zrobimy wszystko tak, jak ja chcę. Będziemy prowadzić ten interes jak prawdziwą firmę. Obowiązek rozliczania się, płace i awanse powiązane z wydajnością, premie za wzorową pracę i nagrody za innowacje, które będą trafiać prosto do ksiąg firmy. Przejmiemy pranie naszych pieniędzy i obetniemy koszty tam, gdzie muszą zostać obcięte. Nie każda ekipa musi mieć biżuterię i dziwki po pięćset dolarów za noc. Przewiduję nawet program emerytalny zamiast wyrzucania przez braciszków pieniędzy na samochody i karaty. Nie będą mieli nic, kiedy będą za starzy, żeby dłużej pracować. I wprowadzę regulaminowy ubiór na poziomie kierownictwa, koniec z tym gównianym wyglądem. Człowiek o wysokiej pozycji zawodowej musi się odpowiednio prezentować. Popatrz na siebie, wyglądasz elegancko, o to mi właśnie chodzi.

Macy uśmiechnął się, co robił rzadko.

- Niektórym chłopcom to się nie spodoba.

- Muszą kiedyś dorosnąć. - Peebles popatrz na Macy'ego. - Muszę ci powiedzieć, że czułem się kapitalnie, kiedy miałem w ręku pistolet.

- Zastrześliłbyś ją?

- Zwariowałeś? Tylko ją straszylem.

- Cóż, jak wyciągasz pistolet, to w pewnym momencie może będziesz musiał go użyć - powiedział Macy.

- To twoja praca. Ty jesteś szefem ochrony, Macy. Moją prawą ręką. Pokazałeś, co potrafisz, kiedy wymyśliłeś plan zgarnięcia Kevina. I odwaliłeś brudną robotę podczas namawiania pozostałych ekip do połączenia sił. Teraz dotrzemy do różnych miejsc, człowieku; o wiele dalej, niż zabierał nas Francis, i o wiele szybciej. On jest ze starej szkoły, nowe sposoby są najlepsze. To dlatego wyginęły dinozaury.

Wjechali w jakąś uliczkę i Peebles popatrz na zegarek.

- W porządku, czy miejsce spotkania jest przygotowane?

- Są tam wszyscy, tak jak chciałeś.

- Nastrój?

- Dobry, ale są podejrzliwi. Zaniepokoiłeś ich, ale też zdecydowanie zainteresowałeś.

- To właśnie chciałem usłyszeć. Teraz wyznaczmy granice naszego

terytorium, Mace, i powiadomimy pozostałych, że Francis już się nie liczy. Nadszedł nasz czas. Zrobmy to. - Przerwał, bo nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

- O czym, do diabła, mówiła ta kobieta? Ze ktoś zamienił Kevina na innego dzieciaka w tej uliczce?

Macy wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Masz dzieciaka, zgadza się?

- Jest cały i zdrowy. Na razie. Chcesz go zobaczyć?

- Nie chcę się do niego zbliżać. On mnie zna, coś pójdzie nie tak i znajdzie Francisca... - Na twarzy Peeblesa odmalował się strach.

Samochód się zatrzymał, Macy wysiadł i omiół wzrokiem uliczkę w obu kierunkach, a potem popatrzył na dachy. W końcu dał znak swojemu nowemu szefowi, że droga jest wolna. Peebles opuścił wóz, poprawił krawat i zapiął swoją dwurzędową marynarkę. Macy przytrzymał drzwi budynku i Peebles przeszedł przez nie energicznie. Wspinali się po schodach, a z każdym stopniem Peebles wydawał się przeobrażać w kogoś coraz ogromniejszego. To była jego wielka chwila, czekał na nią od lat. Precz ze starym, wkracza nowe.

Dotarł do szczytu schodów i zaczekał na Macy'ego, żeby ten otworzył dla niego drzwi. A więc czekało tu na niego siedmiu mężczyzn, każdy zajmował się częścią dystrybucji narkotyków w Dystrykcie. Nigdy nie pracowali razem; każdy zagarnął swój mały udział w rynku i kontrolował własne księstwo. Nie dzielili się ani informacjami, ani zasobami. Kiedy wynikały spory, rozstrzygali je, strzelając do siebie. Dostarczali policji informacje o innych ekipach, kiedy im to pasowało, i gliniarze przyjeżdżali i zabierali kogo trzeba. Francis też tak robił, a chociaż byta to skuteczna doraźna metoda, która wydawała się mieć zalety, Peebles wiedział, że żaden błąd w zarządzaniu nie mógł mieć bardziej katastrofalnych skutków na dłuższą metę. I dlatego Antoine Peebles postanowił interweniować i objąć kierownictwo.

Otworzył drzwi i wszedł do pomieszczenia, w którym miał zacząć tworzyć własną legendę.

Rozejrzał się. I nikogo tam nie zobaczył.

Nie miał nawet szansy się odwrócić, bo pistolet był już przy jego głowie i kula wbiła się w jego mózg. Upadł na podłogę, krew spłynęła po jego wspaniałym krawacie i stroju, bardzo odpowiednim dla człowieka o wysokiej pozycji zawodowej.

Macy schował pistolet i pochylił się nad martwym.

- Czytałem Machiavellego, Twan - powiedział bez cienia zarożumiałości. Zgasił światło i zszedł w dół schodami. Musiał złapać samolot, bo sprawy naprawdę miały teraz nabrać tempa.

Web pokierował Boo na pagórek i ściągnął wodze, przystając obok Gwen, która jechała na Baronie.

Romano ochraniał Billy'ego w centrum jeździeckim; Web zostawił ich, kiedy podziwiali corvette Romano. Ponieważ większość pracowników farmy pojechała na aukcję koni, Web zauważał wiele nie zabezpieczonych miejsc i przekonał Canfielda o konieczności wezwania na farmę paru innych agentów, żeby patrolowali teren i trzymali straż, przynajmniej dopóki jego ludzie nie wrócą.

- Jest tak pięknie o tej porze roku - powiedziała Gwen. Popatrzyła na Weba. - Pewnie myślisz, że będziemy tutaj bardzo łatwe życie. Wielki dom, dużo pomocników, po prostu całymi dniami jeździmy sobie konno i podziwiamy widoki.

Uśmiechnęła się, ale Web wyczuł, że mówiła poważnie. Zastanawiał się, dlaczego kobieta taka jak Gwen Canfield, która tyle przeszła, miałaby potrzebować aprobaty kogokolwiek, a szczególnie kogoś obcego.

- Myślę, że oboje wiele przeszliście, ciężko pracowaliście i teraz korzystacie z owoców swojego trudu. To zniszczenie amerykańskiego snu, prawda?

- Chyba tak- odparła bez przekonania. Popatrzyła na słońce. - Gorąco dzisiaj. - Web widział, że kobieta chce z nim o czymś porozmawiać, ale nie bardzo wie, jak poruszyć ten temat.

- Jestem agentem FBI od tak dawna, Gwen, że słyszałem już prawie wszystko, i zwykle jestem bardzo uważnym słuchaczem.

Posiała mu spojrzenie.

- Nie otwieram serca nawet przed ludźmi, których dobrze znam, Web, już nie.

- Nie proszę cię o to. Ale jeśli chcesz porozmawiać, jestem tutaj.

Jechali przez pewien czas, a potem Gwen się zatrzymała.

- Myślałam ostatnio o procesie w Richmond. Ci okropni ludzie nawet pozwalają FBI, prawda?

- Próbowali, ale sąd odrzucił pozew. Adwokat, Scott Wingo, ten, który niedawno został zabity, próbował zaciemnić w ten sposób sprawę podczas procesu Ernesta Freego, ale sędzia zorientował się, o co chodzi, i położył temu kres. Ale prawdopodobnie wzbudziło to u przysięgłych dość wątpliwości, by prokurator się przestraszył i przystał na ugodę. - Web przerwał, a potem dodał: - Oczywiście on też już nie żyje, sędzia również.

Gwen wpatrywała się w niego swoimi wielkimi smutnymi oczami.

- A jednak Ernest Free jest żywy i wolny, po tym wszystkim, co zrobił.

- Życie czasami jest bezsensowne, Gwen.
- Wiedliśmy z Billym cudowne życie, zanim to wszystko się zdarzyło. Bardzo go kocham. Ale odkąd David został zabity, nie jest tak samo. Wina prawdopodobnie leży bardziej po mojej niż po jego stronie. To był mój pomysł, żeby zapisać Davida do tamtej szkoły. Chciałam, żeby zdobył najlepsze wykształcenie i stykał się z wieloma różnymi ludźmi - to znaczy także z ludźmi o innym kolorze skóry, z innych grup etnicznych. Billy jest dobrym człowiekiem, ale urodził się i wychował w Richmond, nie w bogactwie czy w uprzywilejowanym środowisku, ale w dzielnicy, w której nie widywało się ludzi różnych od siebie. - Dodała szybko: - On nie jest rasistą czy kimś takim. Połowa kierowców i dokerów w jego firmie przewozowej miała czarną skórę i traktował ich tak samo jak innych. Jeśli ciężko pracowałeś, miałeś stałe zajęcie z przyzwoitą pensją. Chodziłam z nim nawet do domów kierowców, którzy zaczęli pić. Przynosił ich rodzinom jedzenie i pieniądze, doradzał mężczyznom, załatwiał im fachową pomoc i płacił za nią albo spotkania anonimowych alkoholików, stawiał ich z powrotem na nogi. I chociaż mógł ich zwolnić, nawet według przepisów związkowych, nie robił tego. Powiedział mi raz, że przypadła mu na tym świecie rola Króla Jeszcze Jednej Szansy, bo sam dostawał ją wystarczająco wiele razy. Zdaję sobie sprawę, że niektórzy ludzie mogą patrzeć na niego i na mnie i nie widzieć wzajemnego zauroczenia, ale wiem, że nie ma czegoś takiego, czego Billy by dla mnie nie zrobił. Stał przy moim boku w dobrych i złych czasach, a oboje poznaliśmy i jedno, i drugie.

- Hej, Gwen, nie musisz mnie przekonywać. Ale jeśli masz jakieś problemy, to czy szukałaś pomocy u specjalisty? Właściwie to znam kogoś.

Popatrzyła na Weba bez nadziei, spojrzała znów na rozjarzone słońce i powiedziała:

- Idę popływać.

Pojechali z powrotem do stajen i Web zawiózł Gwen do domu jedną z półciężarówkek. Przebrała się w kostium kąpielowy i spotkała się z Webem przy basenie. Powiedział jej, że nie będzie pływał, bo jego pistolet by zamókł. Uśmiechnęła się, przeszła w inne miejsce i przekręciła klucz, który tkwił w urządzeniu wmurowanym w kamienną ścianę stojącą obok basenu. Szara pokrywa basenu przesunęła się po szynach.

- Zamontowaliśmy ją, bo ciągle znajdowaliśmy w basenie żółwie, żaby, a czasami nawet czarnego węża - wyjaśniła.

Gdy pokrywa całkiem zsunęła się na drugi, głębszy koniec basenu, Web kucnął i obejrzał wbudowaną w dno maszynę do wytwarzania nurtu. Podniósłszy głowę, zobaczył, jak Gwen zdejmuje sandały i płaszcz kąpielowy. Miała na sobie jednoczęściowy kostium, który był wycięty

trochę nisko na piersiach i trochę wysoko na biodrach i pośladkach. Jej ciało było ładnie opalone, a mięśnie ud i łydek dorównywały mięśniom ramion i barków, które Web miał okazję podziwiać już wcześniej. Po co kobietom przyrządy modelujące pośladki i uda, powinny po prostu jeździć konno.

- Jak to działa? - zapytał.

Gwen wsunęła swoje długie włosy pod czepek kąpielowy i podeszła do niego.

- Woda jest pompowana z basenu do armatki, którą tam widzisz. Wystrzeliwuje ona wodę ze stałą szybkością, zapewniając opór, który można zwiększać albo zmniejszać, kiedy się chce. Mieliśmy przez jakiś czas przenośną maszynę, bardzo ciężką. Używałam jej tak często, że miało sens wbudowanie tej. Basen jest podgrzewany, więc pływam prawie przez cały rok.

- Pewnie to dlatego jesteś w takiej wspaniałej kondycji.

- Dziękuję, miły panie. Na pewno nie chcesz ze mną popływać?

- Prawdopodobnie tylko bym cię spowalniał.

- Akurat. Nie ma na tobie ani grama tłuszczu. - Podeszła do tablicy rozdzielczej, która była przyśrubowana do kamiennej ściany przy boku basenu najmniej oddalonym od domu, otworzyła skrzynkę i nacisnęła parę guzików.

Web usłyszał, że ciśnienie wody rośnie, popatrzył na basen i zobaczył, jak biała spieniona woda wylewa się z podwodnej armatki, tworząc prąd, z którym miała zmagać się Gwen.

Nałożyła okulary do pływania i zanurkowała. Web patrzył, jak wypływa na powierzchnię i zaczyna poruszać ramionami oraz nogami. Obserwował ją przez mniej więcej dziesięć minut. Kobieta nawet na chwilę nie zmieniła tempa ani stylu. Przypominała maszynę i Web był właściwie zadowolony z tego, że odrzucił propozycję popływania razem z nią. Każdy pracownik HRT musiał umieć pływać i wiedzieć, jak się używa sprzętu do nurkowania, Web był dobrym pływakiem, ale nie miał pewności, czy nadażyłby za Gwen Canfield.

Po jakichś dwudziestu minutach spieniona woda przestała się wydobywać z armatki i Gwen podpłynęła do boku basenu.

- Skończyłaś? - zapytał Web.

- Nie, ustawiłam ją na czterdzieści pięć minut. Może obwód się wyłączył.

- Gdzie jest skrzynka z bezpiecznikami?

Wskazała na podwójne drzwi osadzone w kamiennej ścianie, którą wzniesiono przy małym zboczu.

- W magazynku basenu.

Ponieważ teren był tutaj mocno pochyły, Web przypuszczał, że ma-

gazynek znajduje się częściowo pod ziemią. Podeszedł do drzwi i przekręcił gałkę.

- Są zamknięte na klucz.

- To dziwne, nigdy tego nie robimy.

- Wiesz, gdzie jest klucz?

- Nie. Jak powiedziałam, nigdy ich nie zamykamy, po prostu zakładałam, że nie ma klucza. Chyba będę musiała przerwać pływanie.

- Nie. - Uśmiechnął się. - FBI jest firmą zapewniającą pełną obsługę i zadowolony klient jest naszym najlepszym klientem. - Sięgnął po swoje kółko z kluczami, przy którym zawsze nosił bardzo cienki kawałek metalu. Dzięki niemu radził sobie z dziewięćdziesięcioma dziewięcioma procentami zamków na świecie w ciągu około trzydziestu sekund. Otworzył magazynek basenu w czasie o połowę krótszym.

Wszedł do środka, znalazł kontakt i włączył światło, w dobrym momencie, bo chociaż zrobiło się jasno, i tak prawie stoczył się po paru schodkach czekających zaraz za drzwiami. Cóż, pomyślał, wymarzona sprawa prawnika. Panował tam hałas, mieszały się odgłosy płynącej wody oraz szcękającej i pompującej maszynierii. Zszedł po schodach. W magazynku były półki, które zappełniały przedmioty potrzebne właścicielowi basenu, czyli wielkie puszkę chloru w proszku, cedzidła, skrobaczki, wodny robot do czyszczenia basenu i przeróżny złom, prawdopodobnie nie używany przez nikogo od lat. Na dole było zimno i Web ocenił, że obecnie jest jakieś trzy metry pod ziemią, bo podłoga nadal opadała łagodnie, kiedy zszedł z ostatniego stopnia.

Znalazł skrzynkę z bezpiecznikami i stwierdził, że obwód rzeczywiście się wyłączył. Maszyna do wytwarzania nurtu została dokupiona później, więc jeśli nie ulepszyli okablowania, mogła nadmiernie obciążać instalację. Chyba powinni poprosić kogoś o sprawdzenie tego, zanim wszystko wybuchnie i spowoduje pożar. Zapisał sobie w pamięci, żeby powiedzieć o tym Gwen. Gdy przestawił wyłącznik, usłyszał, że maszyna znów zaczęła działać. Tu na dole było naprawdę strasznie głośno. Web odwrócił się z zamiarem wyjścia, nie zauważywszy drzwi na końcu krótkiego korytarza. Ruszył w kierunku schodów, wspiął się po nich, zgasił światło i opuścił magazynek.

Za tamtymi drzwiami, na końcu kolejnego krótkiego korytarza, były następne drzwi, bo krył się tam mały labirynt. W ostatnim pokoju Kevin Westbrook wstrzymał oddech. Najpierw słyszał odgłosy kroków, a potem nie. Słyszał, jak cholerna maszyna włącza się, wyłącza, a potem znów się włącza. I zapach chloru, bo już dawno wydedukował, co to jest, i przyzwyczał się do tego. Ale oddalające się odgłosy kroków zdziwiły go. Przedtem każdy, kto tu schodził, zaglądał do niego. Zastanawiał się, dlaczego tym razem tak się nie stało.

Kiedy Gwen brała prysznic, Web czekał w bibliotece. Jedną ścianę pomieszczenia zajmowały wbudowane piękne regały z wielkoekranowym telewizorem. Było tam też pięć półek wypełnionych kasetami wideo i Web leniwie wodził po nich spojrzeniem, dopóki liczby napisane ręcznie na jednej z nich nie sprawiły, że znieruchomiał. Wyciągnął rękę i zdjął kasetę z półki. Liczby, które zobaczył, składały się po prostu na datę, a jednak tej daty Web nie miał nigdy zapomnieć. Rozejrzał się, ale nikogo nie było w pobliżu.

Wsunął kasetę do magnetowidu. Pokazały się obrazy, które tak często odtwarzał w swojej głowie. Szkoła w Richmond była wypełniona bystrymi, chętnymi do nauki dziećmi ze wszystkich środowisk społeczno-ekonomicznych. Gazety podkreślały wówczas symboliczne znaczenie tego, że dawna stolica Konfederacji wypróbowuje odważny program reintegrowania swoich szkół, bo przecież wcześniej większość sądów federalnych i większość stanów z rezygnacją uznała istniejący system za najlepszy z możliwych. Cóż, Richmond spróbowało zrobić więcej i odnosiło sukcesy, co przyciągało uwagę całego kraju do realizowanych tam programów. Wtedy Ernest B. Free i kilku członków jego bandy zabójców weszli frontowymi drzwiami, mieli osłony na ciałach i wystarczającą ilość broni automatycznej, by pokonać Unię w wojnie secesyjnej.

Powstał chaos, gdy dwie nauczycielki zostały zastrzelone, a ponad czterdziestu zakładników, w tym trzydzieścioro dzieci w wieku od sześciu do szesnastu lat, zostało zmuszonych do wzięcia udziału w wydaniach, z którymi nikt z nich nie chciał mieć nic wspólnego. Negocjatorzy bez przerwy rozmawiali telefonicznie z otoczonymi mężczyznami, próbując ich uspokajać, a także sprawdzić, czego chcą i czy można to dla nich uzyskać. I przez cały ten czas Web i reszta Grupy Charlie stali w pogotowiu, a snajperska broń Grupy Zulu była wymierzona w każde dostępne miejsce ataku. Potem w środku rozległy się odgłosy strzałów i Web został wezwany wraz z kolegami na linię frontu. Każdy mężczyzna miał zakarbowany w pamięci plan bitwy, chociaż został on ułożony na przedce podczas jazdy z Quantico. Web pamiętał, że tak niewiele brako-

wało, by rozkazano im uderzyć na cel, że nawet potarł swoje 45-ki na szczęście.

Niewielka wiedza o „Freech”, jaką wtedy miał, nie poprawiała mu wcale nastroju. Byli agresywni, ale zdyscyplinowani i dobrze uzbrojeni. Byli też ukryci i decydowali o losie wielu niewinnych ludzi.

Kontaktowali się z negocjatorami za pomocą telefonów, które prowizorycznie zamontowali. Powiedzieli, że strzały były przypadkowe. Webowi od razu się to nie spodobało. Czuł, że zbliża się coś złego, z bardzo prostego powodu: ludzie tacy jak „Free” nie działają w dobrej wierze. A jednak Grupa Charlie została wycofana. Po Waco podejście FBI do ratowania zakładników uległo zmianie. Podstawą było teraz cierpliwe czekanie i Biuro pokazało w różnych sytuacjach, że jest gotowe zwlekać do początku nowego roku, zanim rozwiąże problem siłą, tak głęboko wrył się wszystkim w pamięć wstrząsający obraz dzieci płonących w Teksasie. Ale kiedy „Free” zerwali negocjacje, formacja HRT znów została wezwana i tym razem Web wiedział, że wtargną do środka.

Ponieważ przed drzwiami frontowymi pracowały kamery telewizyjne, cały świat mógł patrzeć, klatka po klatce, jak rozwija się dramat. Web i reszta Grupy Charlie posuwali się ostrożnie w stronę małego używanego wejścia z tyłu budynku. Dokładne rozmieszczenie zakładników i napastników nie było znane, więc aby zmaksymalizować zaskoczenie, postanowili nie wysadzać drzwi wejściowych za pomocą ładunku przełamującego, tylko wkraść się niepostrzeżenie. Po cichu dostali się do środka i podążyli korytarzem ku sali gimnastycznej, gdzie według dostępnych informacji prawdopodobnie przebywali zakładnicy.

Grupa z HRT podkrađła się do podwójnych drzwi. Web zajrzał przez szybę i metodycznie policzył zakładników i przetrzymujących ich suprematystów. Wydawało się, że wszyscy tam są. Gdy miał już schylić głowę, nawiązał kontakt wzrokowy z pewnym chłopcem; próbował go uspokoić, żeby nie zdradził obecności swoich przyjaciół, nawet pokazał mu uniesione kciuki. Nie wiedział wtedy, że chłopak to David Canfield.

Członkowie HRT zaczęli odliczanie. Każdy szturmowiec wiedział dokładnie, gdzie ma strzelać. Byli przekonani, że mogą załatwić każdego z „Freech”, nie tracąc kolejnych zakładników, chociaż wiedzieli także, że szybko może się tam rozpętać piekło w wyniku rzeczy nieoczekiwanych.

I tak się stało.

Na moment przed tym, jak wpadli do sali, rozległ się głośny, ostry dźwięk. Nie mógł rozbrzmieć w bardziej nieodpowiednim czasie. Po dziś dzień Web nie znał jego źródła.

Szturmowcy wkroczyli, strzelając, ale „Free”, uprzedzeni, natychmiast odpowiedzieli ogniem.

I mierzyli starannie. Jedna kula przebiła Davidowi Canfieldowi lewe płuco i wyszła piersią. Chłopiec padł na parkiet. Przy każdym oddechu rannego krew tryskała z wielkiej dziury w jego ciele. Choć nie mogło to trwać dłużej niż parę sekund, David Canfield wpatrywał się w Weba z wyrazem twarzy, którego mężczyzna nigdy nie miał zapomnieć. Było to tak, jakby chłopiec pokładał całą nadzieję w Webie, swojej ostoi pośród całego tego szaleństwa, a Web go zawiódł. Kciuki w górę.

To wtedy zaczęła się prawdziwa walka, Web musiał zapomnieć o Davidzie Canfieldzie i skupić uwagę na pozostałych zakładnikach i na próbujących go zabić facetach. Trafiła go mieszanka zapalająca, kiedy ratował Lou Pattersona, potem kule dosięgły jego szyi i tułowia. Wtedy przeobraził się w jednoosobową ekipę wyburzeniową i żaden z „Freech” nie został na nogach. Web nie mógł uwierzyć, że Ernest Free zdołał przetrwać.

Przeżywanie tego na nowo przyprawiało go o mdłości, a jednak Web pochylił się do przodu, gdy kamery zainteresowały się nim jeszcze raz. Opuszczał budynek na noszach, otaczali go sanitariusze. Po jego lewej stronie był Lou Patterson. Po prawej zwłoki przykryte prześcieradłem. Przed Davidem Canfieldem żaden zakładnik nie zginął podczas akcji HRT. Web dalej oglądał siebie w telewizorze, gdy kamery pokazywały na przemian to jego walkę o życie, to nieruchome ciało Davida Canfielda. Lampa jednej z kamer telewizyjnych nieustannie świeciła na chłopca, aż w końcu ktoś ją wyłączył. Web często się zastanawiał, kto to zrobił. I wtedy taśma stała się ciemna.

- To ja wyłączyłem tę lampę w kamerze.

Web odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że w pokoju stoi Billy Canfield, wpatrując się w telewizor i najwyraźniej czytając w myślach gościa. Zbliżył się, utykając, palcem wskazywał ekran.

Web wstał z kanapy.

- Boże, Billy, przykro mi. Nie powinienem był...

- Widzisz - ciągnął Billy - ta cholerna lampa świeciła prosto na mojego chłopca. Nie musieli tego robić. - W końcu skupił uwagę na Webie. - Nie musieli tego robić, to nie było w porządku. Mój mały Davy zawsze źle znosił jaskrawe światło.

Wtedy weszła Gwen, ubrana w dżinsy i różową bluzkę. Jej stopy były białe, a włosy nadal mokre. Web rzucił jej przeproszające spojrzenie i kobieta szybko wydedukowała, co się stało. Ujęła rękę męża, ale on natychmiast się odsunął. Web zobaczył w jego oczach niemal nienawiść do niej.

- A może wy dwoje usiądziecie tutaj i pooglądacie to sobie?! - krzyknął do Gwen. - Do cholery. Wiem, Gwen. Nie myśl, że nie wiem.

Wyszedł z godnością, a Gwen, nie popatrzawszy nawet na Weba, uciekła w przeciwnym kierunku.

Web z ogromnym poczuciem winy wyjął taśmę i już odkładał ją na półkę, gdy nagle znieruchomiał. Spojrzał na drzwi, wsunął kasetę do kieszeni kurtki i udał się z powrotem do wozowni. Włożył kasetę do magnetowidu i włączył telewizor. Obejrzał nagranie jeszcze pięć razy i było tam coś, czego po prostu nie mógł zrozumieć, dźwięk w tle. Zwiększył siłę głosu i zbliżył się do ekranu, ale nic to nie dało. W końcu zadzwonił do Batesa i wytłumaczył mu, o co chodzi.

- Mam tutaj tę taśmę - dodał.

- Znam ją - odparł Bates. - Nakręcił ją lokalny współpracownik dużej sieci. Mamy jedną w archiwach. Powiem naszym ludziom, żeby dokładnie ją zbadali.

Web wyłączył telewizor i wyjął taśmę z magnetowidu. Później odkryto także, że dwie czarnoskóre nastolatki zostały zgwałcone przez „Freech”; najwyraźniej nienawiść do osób o innym kolorze skóry nie przeszkodziła im w wymuszeniu seksu na tych dziewczętach.

Ale co znaczyły słowa Billy'ego, kiedy powiedział Gwen, że wie? Wie o czym?

Dzwonek telefonu komórkowego przerwał rozmyślenia Weba. Odebrał. Kobieta prawie histeryzowała.

- Claire, co jest nie tak?

Słuchał jej przestraszonego głosu, a potem powiedział:

- Zostań dokładnie tam, gdzie jesteś. Zaraz przyjadę. - Rozłączył się, zadzwonił do Romano, zapoznał go z sytuacją i za kilka minut był już w drodze.

Claire udała się do bardzo bezpiecznego i publicznego miejsca - na posterunek policji w centrum handlowo-usługowym na przedmieściu. Kiedy Web się zjawił, powiedziała mu, że nie złożyła zawiadomienia o przestępstwie.

- Do diabła, dlaczego nie?
- Chciałam najpierw porozmawiać z tobą.
- Słuchaj, Claire, z twojego opisu wynika, że to był mój kumpel Francis Westbrook i jeden z jego pomagierów, prawdopodobnie Clyde Macy. Kiedy ich widziałem ostatnim razem, ktoś stracił życie. Nie zdajesz sobie sprawy, ile miałaś szczęścia.
- Ale nie mogę powiedzieć, że to na pewno byli oni, opaska zakrywała mi oczy.
- Rozpoznałabyś ich głosy?
- Prawdopodobnie. - Przerwała na chwilę i wydawało się, że coś jest dla niej niezrozumiałe.
- O co chodzi, Claire, co cię męczy?
- Ten Francis, jak oceniałbyś poziom jego wykształcenia?
- Pod względem ulicznego sprytu jest doktorem. Pod względem wiedzy książkowej zerem. Czemu pytasz?
- Mężczyzna, który mi groził, mówił w dziwny sposób. Slang i akcent z getta przeplatały się z dykcją i słownictwem człowieka wykształconego. Czułam, że mówi z wysiłkiem, bo chwilami wydawało się to sztuczne, jakby próbował znaleźć odpowiednie słowa, tłumiąc swoje naturalne preferencje, chociaż od czasu do czasu się mylił i używał słów, które, wiesz...
- Bardziej pasowałyby do osoby, którą starał się udawać?
- Właśnie: udawać.

Web zaczerpnął głęboko powietrza. Cóż, to robiło się interesujące. Myślał o tym, jak zastępca szefa próbuje przeprowadzić zamach stanu albo wbić nóż trochę głębiej, zależy jak na to spojrzeć. Antoine Peebles, który chciał zostać królem narkotyków z dyplomem. Web popatrzył na Claire ze wzmożonym podziwem.

- Masz dobry słuch, Claire, zawsze czekasz na wskazówki od nas, biednych znerwicowanych czubków.

- Boję się, Web. Naprawdę się boję. Doradzam ludziom od lat, żeby stawiali czoło temu, co budzi w nich strach, żeby byli aktywni, a nie reaktywni, a teraz przydarza mi się coś takiego i czuję się sparaliżowana.

Gdy prowadził ją do swojego samochodu, zauważył, że opiekuńczo obejmuje ją ramieniem.

- Cóż, masz prawo odczuwać strach. To, co ci się przydarzyło, przestraszyłoby większość ludzi.

- Ale nie ciebie. -Zauważył, że powiedziała to prawie z zazdrością.

Gdy wsiadali do jego macha, Web wyjaśnił:

- To nieprawda, że nigdy się nie boję, Claire, bo zdarza mi się bać.

- Cóż, nigdy tego nie okazujesz.

- Tak, czasem się boję, tylko że w inny sposób. - Zamknął drzwi samochodu i myślał przez chwilę, potem zerknął na nią i ujął ją za rękę. - Można sobie poradzić z własnym strachem na dwa różne sposoby. Zamknąć się jak ślimak w skorupie i ukryć się przed światem albo coś z nim zrobić.

- Teraz mówisz jak psychiatra - uznała ze znużeniem.

- Cóż, uczyłem się od najlepszych. - Ścisnął jej dłoń. - Może pomożesz mi rozgryźć tę sprawę? Co ty na to?

- Ufam ci, Web.

To go zaskoczyło, głównie dlatego, że nie o to ją zapytał.

Wrzucił bieg.

- Cóż, jedźmy zobaczyć, czy uda się nam znaleźć małego chłopca o imieniu Kevin.

Web zaparkował w uliczce za bliźniakiem, w którym mieszkał kiedyś Kevin, i podeszli z Claire do tylnych drzwi, tak na wszelki wypadek, bo ktoś mógł obserwować front budynku, na przykład ludzie Batesa. Zdecydowanie nie potrzebował teraz konfliktu z Biurem. Zapukał.

- Taak, kto tam? - Był to głos mężczyzny, a nie babci, i nie brzmiał przyjaźnie.

- Jerome, czy to ty?

Web wyczuwał, że ktoś stoi zaraz za drzwiami.

- Kto, do diabła, chce to wiedzieć?

- Web London z FBI. Jak się masz, Jerome?

Web i Claire usłyszeli wymamrotane głośno słowo „Cholera”, ale drzwi się nie otworzyły.

- Jerome, nadal tu jestem i zostanę tutaj, dopóki nie otworzysz

drzwi. I nie próbuj uciec głównym wejściem tak jak ostatnim razem. Tam też są nasi.

Usłyszał, jak przesuwają się łańcuszki i zamki otwierają się z trzaskiem, a potem stanął oko w oko z Jerome'em. Web z wielkim zdziwieniem zobaczył, że ma on na sobie białą koszulę, eleganckie spodnie i krawat, co kontrastowało z jego ponurą miną.

- Masz randkę?

- Cholera, jesteś naprawdę zabawny jak na federalnego. Czego chcesz?

- Chcę po prostu porozmawiać. Jesteś sam?

Jerome cofnął się o krok.

- Już nie. Słuchaj, powiedzieliśmy wam wszystko, co wiemy. Człowieku, czy nie możecie przestać zawracać nam głowę?

Web puścił Claire przodem, wszedł za nią i zamknął drzwi. Rozejrzeli się po małej kuchni.

- Próbuujemy tylko znaleźć Kevina. Chyba też tego chcesz, prawda? - zapytał Web.

- Co to niby znaczy?

- To znaczy, że nie mam zwyczaju komukolwiek ufać. Chcę tylko porozmawiać, to wszystko.

- Słuchaj, jestem zajęty. Jeśli chcesz z kimś porozmawiać, to możesz pogadać z moim adwokatem. - Jerome popatrzył na Claire. - Kim ona jest, masz z nią randkę?

- Nie, jest moim psychiatrą.

- Taak, to dobre.

- Nie, Jerome, naprawdę jestem psychiatrą - powiedziała Claire, występując naprzód. - I obawiam się, że pan London ma pewne problemy.

- Co jego problemy mają wspólnego ze mną?

- Cóż, poświęca tyle czasu tej sprawie, że jak sądzę, stała się ona prawie jego obsesją. Jeśli nie zadziała się wystarczająco szybko, tego rodzaju obsesja może niebezpiecznie się nasilać, czasami przybierając agresywne formy.

Jerome popatrzył na Weba i zrobił krok do tyłu.

- Jeśli ten człowiek jest wariatem, to ja nie mam z tym nic wspólnego. Był już wariatem, kiedy przyszedł tu pierwszy raz.

- Ale nie chcesz, żeby coś się komuś stało, na przykład tobie albo innym. Pan London próbuje tylko odkryć prawdę, a jako specjalista uważam odkrycie prawdy za bardzo ważny cel dla kogoś, kto ma problemy takie jak on. I tym, którzy pomogą mu ją odkryć, będzie, w sensie psychologicznym, bardzo wdzięczny. Ale naprawdę nie chciałbyś się dowiedzieć, co się dzieje, kiedy ktoś mu przeszkadza. - Popatrzyła na Weba ze smutkiem zmieszonym z dokładnie taką jak trzeba odrobi-

ną strachu. - Widziałam wcześniej skutki obsesji pana Londona; to między innymi dlatego tu jestem. Aby zapobiec kolejnej tragedii.

Web po prostu nie mógł nie podziwiać strategii tej kobiety.

Jerome wpatrywał się to w Claire, to w Weba. Potem o wiele spokojniejszym tonem zapewnił:

- Słuchaj, powiedziałem ci wszystko, co wiem. Naprawdę.

- Nie, Jerome, nie powiedziałeś - stwierdził bardzo stanowczo Web. - Chcę wiedzieć o Kevinie rzeczy, o których może nawet wcale nie pomyślałeś. Teraz skończmy z tym gównem i weźmy się do roboty.

Jerome pokazał im gestem, żeby podążyli za nim, odwrócił się i poszedł korytarzem do małego pokoju dziennego, w którym Web rozmawiał z nim i babcią podczas pierwszej wizyty. Zanim opuścili kuchnię, Web zauważył, że jest tam bardzo czysto. Na zlewach nie uświadczył nawet plamki, podłoga została wyszorowana. Na korytarzu i w pokoju dziennym zobaczył, że zabrano śmieci, wytarto na mokro podłogi, oczyszczono ściany. Czuł wszędzie zapach środka dezynfekcyjnego. O ścianę przy łazience oparte były drzwi, prześcieradło zniknęło. Zwisający fragment sufitu podparto, a brzegi otworów szepiono. Zasluga babci, pomyślał i sądził tak, dopóki Jerome nie podniósł miotły i nie zaczął zgarniać sterty odpadków do wielkiego worka na śmieci.

Web rozejrzał się po „nowym” domu.

- To twoja zasługa?

- Nie musimy mieszkać w chlewie.

- Gdzie jest twoja babcia?

- Pracuje. W szpitalu. W barze samoobsługowym.

- Dlaczego ty nie jesteś w pracy?

- Będę za godzinę, mam nadzieję, że nie zamierzacie mnie długo zatrzymywać.

- Wyglądasz zbyt elegancko, żebyś planował skok na bank.

- Człowieku, ale z ciebie żartowniś.

- A więc gdzie pracujesz? - Nie masz pracy, Jerome, po prostu się do tego przyznaj, pomyślał Web.

Jerome skończył napełniać worek, zawiązał go i cisnął w stronę Weba.

- Mógłbyś to wyrzucić za drzwi wejściowe?

Claire otworzyła drzwi i Web wystawił worek na frontową werandę, gdzie było już sporo innych. Jeszcze zanim zamknął drzwi, Jerome wyciągnął z komórki skrzynkę z narzędziami. Wyjął śrubokręt, obcęgi i młotek. Położył narzędzia obok otworu drzwiowego łazienki i chwycił drzwi.

- Bądź tak dobry i pomóż mi.

Wspólnie unieśli drzwi do otworu, a potem Web trzymał je i patrzył, jak Jerome umacnia poluzowane zawiasy i za pomocą obcęgow wysuwa kołki. Podnieśli drzwi, osadzili je w futrynie i Jerome wbił zawiasy

młotkiem. Zamknął i otworzył drzwi kilka razy, żeby zobaczyć, czy są dobrze dopasowane.

- Zręczny gość. Ale to nie jest twoja praca, chyba że stolarze tną deski w krawatach.

Jerome odłożył narzędzia, zanim odpowiedział.

- Pracuję nocami w pewnej firmie, obsługuję ich system komputerowy. Dostałem tę posadę ledwie parę miesięcy temu.

- Znasz się na komputerach? - zapytała Claire.

- Dostałem licencjat z informatyki w naszym college'u. Taak, wiem o nich dużo.

Na Webie nie zrobiło to wrażenia.

- Aha. Znasz się na komputerach?

- Masz problemy ze słuchem? Właśnie powiedziałem, że tak.

- Kiedy ostatni raz tu byłem, nie wyglądałeś na kogoś, kto zarabia pieniądze.

- Jak mówiłem wcześniej, pracuję nocami.

- Pewnie.

Jerome utkwiał wzrok w Webie, a potem podszedł do kanapy i wysunął spod niej przenośny komputer. Otworzył go i włączył.

- Surfujesz, człowieku? - zapytał Jerome.

- Rozmawiamy o wakacjach czy co?

- Cha, cha. O komputerach. O Internecie. Wiesz, co to jest, prawda?

- Nie, przez ostatnie dziesięć lat podróżowałem po galaktyce, jestem bardzo do tyłu.

Jerome wcisnął kilka klawiszy i usłyszeli głos, który powiadomił go, że otrzymał wiadomość na AOL.

- Chwileczkę, jak można się połączyć z Internetem, nie używając telefonu? - zapytał Web.

- Mój komputer wykorzystuje technologię bezprzewodową, jest w nim karta, która pozwala mi to robić. To tak, jakby miał wbudowany telefon komórkowy. - Uśmiechnął się do Weba i pokręcił głową z wyraźnym zdumieniem. - Człowieku, mam nadzieję, że większość federalnych nie jest takimi ignorantami w dziedzinie komputerów jak ty.

- Nie przeciągaj struny, Jerome.

- Wiesz, co to jest ciasteczko?

- Coś słodkiego, co zwiększa miłośne szanse.

- Nigdy nie przestajesz, co? Ciasteczko, plik cookie, to prosty tekst. Nagłówek HTTP z ciągiem znaków, wyłącznie tekstowych. W tym ciągu jest nazwa domeny, ścieżka, wartość zmienna ustalana przez witrynę internetową i czas przechowywania pliku. Wiele firm używa ciasteczek do indywidualizowania informacji, badania popularności linków albo w celach demograficznych. Dzięki temu zawartość witryny jest zawsze

świeża i interesująca dla użytkowników. Na przykład. - Stuknął w kilka klawiszy i ekran zmienił wygląd. - Ostatnio często odwiedzałem tę witrynę i ona o tym wie. A więc nie pokazuje mi tego samego, chyba że właśnie o to poproszę. Teraz zaczyna się używać ciasteczek w wewnętrznych interakcjach, takich jak zapisywanie danych personalnych, które użytkownik podał witrynie, to znaczy haseł i tym podobnych.

- Zapisywanie danych personalnych. Wydaje się to trochę podobne do systemu nadzoru Wielkiego Brata - powiedziała Claire.

- Cóż, można zbierać informacje, ale ciasteczka to tylko tekst, bez programów, nie są podatne na wirusy. Nie mogą nawet dostać się na twardy dysk użytkownika, chociaż jego przeglądarka może tam zapisywać wartości plików cookie, jeśli to konieczne, ale to wszystko. Niektórzy ludzie myślą, że ciasteczka zapełnią cały twardy dysk, ale to prawie niemożliwe. Większość dostawców usług ogranicza liczbę plików cookie. Netscape akceptuje ich trzysta, więc kiedy dochodzi się do tej liczby, automatycznie usuwa starsze. Microsoft umieszcza je w folderze „Tymczasowe pliki internetowe” i maksymalne domyślne ustawienie pozwala im zająć dwa procent twardego dysku. Ciasteczka są zwykle tak małe, że dopiero około dziesięciu milionów takich plików zapełniłoby gigabajtowy twardy dysk. Właściwie to piszę teraz kilka milionów linii kodu, który udoskonalił ciasteczka, eliminując wady i sprawiając, że będą o wiele użyteczniejsze. I może zarobię przy okazji parę milionów dolarów. - Uśmiechnął się szeroko. - To byłoby najsmaczniejsze ciasteczko.

Wyłączył komputer i popatrzył na Weba.

- Masz jeszcze jakieś pytania?

Podziw na twarzy Weba był wyraźnie widoczny.

- Wporządku, przekonałeś mnie, znasz się na komputerach.

- Taak, zasuwam w szkole, w końcu dostaję pracę, w której nie muszę nosić siateczki na włosach, a mili ludzie w opiece społecznej mówią nam, że zarabiamy za dużo cholernych pieniędzy i że musimy wyprowadzić się z naszego domu, gdzie mieszkaliśmy przez ostatnie pięć lat.

- System opieki jest do kitu.

- Nie, ludzie, którzy nigdy nie korzystali z systemu, myślą, że jest do kitu. Ale my, ludzie, którym pomaga, nie mielibyśmy gdzie mieszkać, gdyby go nie było. Ale i tak wkurza mnie to, że wyrzucili nas, bo zarabiam trochę więcej, niż płaci cholerny Burger King. Przecież mój pracodawca nie obdarował możliwością zakupu akcji kogoś takiego jak ja.

- Słuchaj, to wciąż dopiero początek, Jerome. I to jest lepsze niż druga możliwość w tej okolicy, wiesz o tym.

- Będę dalej piął się w górę. Będę harował i wtedy się stąd wydestynuemy i nigdy nie będziemy oglądać się za siebie.

- Ty i twoja babcia?
- Wzięła mnie do siebie, kiedy umarła moja mama. Guz mózgu i brak ubezpieczenia zdrowotnego to naprawdę nie jest dobra kombinacja. Mój tata wsadził sobie czterdziestkę piątkę do ust i załatwił się, kiedy był na haju po czymś. Masz cholerną rację, zaopiekuję się nią, tak jak ona zaopiekowała się mną.
- A Kevin?
- Zaopiekuję się też Kevinem. - Popatrzył z gniewnym wyrazem twarzy na Weba. - Jeśli uda się wam go znaleźć.
- Próbujemy. Wiem trochę o jego rodzinie. O jego pokrewieństwie z Wielkim... to znaczy z Francisem.
- Jest ojcem Kevina. I co z tego?
- To ma znaczenie. Spotkałem się z Francisem osobiście. Właściwie to poznałem go zbyt blisko. - Web wskazał ślady rozmaitych obrażeń twarzy, które zawdzięczał Wielkiemu F.
Jerome popatrzył na niego z ciekawością.
- Masz szczęście, że to wszystko, co ci zrobił.
- Taak, mam takie wrażenie. Powiedział mi, skąd Kevin wziął się na świecie. Ze ze swoją matką i tak dalej.
- Macochą.
- Co takiego?
- Była macochą Francisca. Przez większość czasu miała odloty. Nie wiem, co się stało z jego prawdziwą matką.
Web odetchnął z ulgą. To nie było kazirodztwo. Spojrzał na Claire, a ona powiedziała:
- A więc tak naprawdę nie są braćmi. To ojciec i syn. Czy Kevin o tym wie?
- Nigdy mu nic nie mówiłem.
- Ale myśli, że Francis to jego brat? Czy Francis chciał, żeby tak było? - zapytała Claire, a Web patrzył na nią uważnie.
- Francis dostaje wszystko, czego chce. Czy taka odpowiedź ci wystarczy?
- Dlaczego Francis miałby chcieć, by Kevin wierzył, że są braćmi?
- Może nie chciał, żeby Kevin wiedział, że pieprzył swoją macochę, mamę Kevina. Nazywała się Roxy. Brała narkotyki i tak dalej, ale była dobra dla Kevina, zanim umarła.
- Kiedy Kevin został postrzelony? - zapytał Web.
- Był z Francisem, znalazł się w samym środku jakiejś gangsterskiej strzelaniny. Francis przywiózł go tutaj i wtedy jedyny raz widziałem, jak ten facet płacze. Sam zabrałem Kevina do szpitala, bo gliny po prostu aresztowałyby Francisca, gdyby się tam pojawił. Kevin wcale nie płakał, w ogóle, i cholernie krwawił. Ale od tamtego czasu nie był już taki

sam. Inne dzieciaki dokuczają mu, mówią, że jest opóźniony w rozwoju.

- Dzieci potrafią być okrutne, a potem dorastają i stają się jeszcze bardziej okrutne, tyle że wbijają o wiele cieńsze szpilki - zauważyła Claire.

- Kevin nie jest głupi. To bystrzak. I umie rysować, człowieku, rysować tak, że byście nie uwierzyli.

Claire wyglądała na zaintrygowaną.

- Mógłbyś mi pokazać te rysunki?

Jerome popatrzył na zegarek.

- Nie mogę się spóźnić do pracy. I muszę złapać autobus.

- Jedziesz do swojego wielkiego sklepu z ciasteczkami? - zapytał

Web.

Po raz pierwszy Jerome i Web wymienili uśmiechy.

- Powiem ci, co zrobimy, Jerome. Pokażesz nam prace Kevina i porozmawiasz z nami jeszcze trochę, a ja osobiście zawiozę cię do pracy supermaszyną, która sprawi, że wszyscy twoi koledzy będą ci piekielnie zazdrościć. Co ty na to?

Jerome zaprowadził ich na górę po schodach i poszli za nim krótkim korytarzem, na którego końcu znajdował się bardzo mały pokój. Kiedy Jerome zapalił światło, Web i Claire rozejrzeli się ze zdumieniem. Każdy centymetr ścian i nawet sufitu pokrywały rysunki na papierze. Niektóre były wykonane węglem, inne kolorowym ołówkiem, a jeszcze inne piórem i tuszem. A obok materaca, na małym stole, leżały uporządkowane stosy szkicowników. Claire podniosła jeden i zaczęła go kartkować, a Web przypatrywał się rysunkom na ścianie. Część z nich przedstawiała rzeczy, które potrafił rozpoznać, krajobrazy i ludzi; Jerome i jego babcia byli sportretowani zadziwiająco szczegółowo. Inne rysunki miały abstrakcyjną treść i Web nie widział na nich niczego konkretnego.

Claire uniosła wzrok znad szkicownika i powiodła spojrzeniem dookoła pokoju, a potem skupiła uwagę na Jeromie.

- Wiem trochę o grafice, Jerome, bo głównym przedmiotem mojej córki jest historia sztuki. Kevin ma spory talent.

Jerome popatrzył na Weba jak dumny ojciec.

- Kevin mówi, że czasami tak widzi różne rzeczy. „Rysuję po prostu to, co widzę”, tłumaczy mi.

Web popatrzył na przybory i szkicowniki ułożone na stoliku. W rogu stała też mała sztaluga z czystym płótnem.

- Wszystkie te rzeczy kosztują. Francis się dokłada?

- Ja kupuję Kevinowi przybory do rysowania. Francis płaci za ubrania, buty, podstawowe sprawy.

- Proponował kiedyś, że pomoże tobie i twojej babci?

- Proponował. Ale my nie przyjmujemy tych pieniędzy. Wiemy, skąd je bierze. Kevin to co innego. On jest jego tatą. Ojciec ma prawo utrzymywać swojego syna.

- Tata często przychodzi?

Jerome wzruszył ramionami.

- Kiedy chce.

- Myślisz, że to on może przetrzymywać Kevina? Powiedz mi to otwarcie.

Jerome pokręcił głową.

- Chociaż nie lubię Francisa, to moim zdaniem prędzej odciąłby sobie głowę, niż pozwolił, żeby cokolwiek przydarzyło się temu chłopcu. Zabić człowieka to dla niego to samo co spojrzeć na kogoś. Ale przy Kevinie był łagodny. Łagodny olbrzym, chyba można by tak powiedzieć. Nie chciał, żeby Kevin z nim mieszkał, bo wiedział, że to by było zbyt niebezpieczne.

- Przypuszczam, że to było wielkie poświęcenie ze strony Francisa, kiedy zrezygnował z czegoś, co kochał tak bardzo. Ale właśnie poświęcenie jest rzeczywistą próbą miłości - powiedział Web.

- Cóż, facet ciągle zmienia miejsce, w którym śpi, bo różne typy chcą go zabić. Co to za życie. Ale jacyś jego ludzie mieli oko na Keviną, pilnowali, żeby nikt nie znalazł Francisa, idąc za nim. Nie było tak, że wszyscy wiedzieli o ich pokrewieństwie, ale nie ryzykował ani trochę.

- Widziałeś go, odkąd Kevin zniknął? - zapytał Web.

Jerome cofnął się o krok po tym pytaniu i włożył ręce do kieszeni, Web natychmiast wyczuł, że znów wyrasta między nimi mur.

- Nie chcę, żebyś miał kłopoty, Jerome. Po prostu bądź ze mną szczerzy, a obiecuję, że zostanie to między nami. Idzie ci naprawdę dobrze, kontynuuj.

Wydawało się, że Jerome zastanawia się nad tym. Bawił się krawatem, jakby się zastanawiał, dlaczego ma tę rzecz na szyi.

- Tej nocy, kiedy Kevin nie wrócił do domu. Było późno, może trzecia w nocy. Właśnie przyjechałem do domu z pracy, babcia nie spała, była roztrzęsiona. Powiedziała mi, że Kevin zaginął. Potem przebierałem się na górę i przygotowywałem się do wyjścia, bo chciałem poszukać Keviną, i zastanawiałem się, czy powinniśmy wezwać gliny. Słyszałem, jak babcia rozmawia z kimś na dole, a raczej że ktoś mówi, to znaczy wrzeszczy na nią. To był Francis. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby był taki wściekły. - Przerwał i przez moment wydawało się, że może znowu rzucić się do ucieczki. - On też szukał Kevina. Był pewien, że babcia go gdzieś schowała, może miał nadzieję, że tak jest. Mówił w taki sposób, jakby chciał zaatakować babcie. Niewiele brakowało, a zszedł-

bym na dot. Nie jestem tchórzem, ale nie jestem też głupi; do diabła, zabicie mnie prawdopodobnie zajęłoby temu człowiekowi tylko sekundę, ale nigdy nie pozwolę jemu ani komukolwiek wejść tutaj i ją skrzywdzić, będę wtedy próbował coś zrobić. Rozumiesz mnie?

- Tak, Jerome.

- Francis w końcu się uspokoił, zrozumiał, że Kevina tu nie ma. Wyszedł. Wtedy widzieliśmy go ostatni raz. Taka jest prawda.

- Doceniam to, że mi tyle powiedziałaś. Teraz chyba trudno ufać ludziom.

Jerome obejrzał Weba od stóp do głów.

- Uratowałaś życie Kevinowi. To jest coś warte.

Web popatrzył na niego czujnie.

- Czytam gazety, panie Webie London z jednostki ratującej zakładników. Kevin byłby martwy, gdyby nie ty. Może to dlatego Francis nie rozwalił ci czaszki.

- Naprawdę nie myślałem o tym w ten sposób.

Web popatrzył znów na stosy szkicowników.

- Powiedziałaś o tym innym agentom, którzy tu przyszli?

- Tak naprawdę nie pytali o to.

- A przeszukali pokój Kevina?

- Dwóch się rozejrzało, nie zajęło im to za dużo czasu.

Web popatrzył na Claire. Wydawało się, że czytają nawzajem w swoich myślach.

- Miałbyś coś przeciwko temu, żebym pożyczyła te szkicowniki? - odezwała się. - Chciałabym pokazać je mojej córce.

Jerome popatrzył na bloki, a potem na Weba.

- Musisz obiecać, że je odniesiesz. Całe życie Kevina jest właśnie tam - powiedział.

- Obiecuję. Obiecuję, że zrobię wszystko, co będę mógł, żeby przyprować też z powrotem Kevina. - Web zebrał szkicowniki, a potem położył rękę na ramieniu Jerome'a. - Teraz już czas zawieźć cię do pracy. Zobaczysz, że jestem całkiem niedrogim szoferem.

Gdy schodzili na dół, Web zadał jeszcze jedno pytanie.

- Kevin był w tamtej uliczce sam w środku nocy. Często tak się działo?

Jerome odwrócił wzrok i nic nie powiedział.

- Przestań, Jerome, nie udawaj niemowy.

- Do diabła, Kevin chciał nam pomóc, wiesz, zarobić trochę pieniędzy, wtedy moglibyśmy się stąd wyprowadzić. Martwiło go to, że nie mógł za dużo zrobić w tym celu. Był tylko dzieciakiem, ale o niektórych sprawach myślał jak dorosły.

- Chyba pewne środowisko może tak wpływać na człowieka.

- Cóż, Kevin włóczył się czasami po ulicach. Babcia jest za stara,

żeby za nim nadażyć. Nie wiem, z kim się trzymał, a kiedy tylko go gdzieś złapałem, zabierałem jego tyłek do domu. Ale może próbował zarobić trochę forsy na boku. A w tej okolicy możesz zdobyć pieniądze, obojętne, jaki jesteś mały, rozumiesz?

Podrzucili Jerome'a do pracy i ruszyli do domu Claire.

- Nawiasem mówiąc, poradziłaś sobie jak zawodowiec - stwierdził Web.

- To chyba bardziej umysłowe niż fizyczne zajęcie, a to jest właśnie moja działka. - Spojrzała na niego. - Wiesz, byłeś dosyć szorstki dla Jerome'a.

- Prawdopodobnie dlatego, że widziałem w życiu milion facetów dokładnie takich jak on.

- Stereotypy są niebezpieczne, Web, nie wspominając już o tym, że są krzywdzące dla osoby, która jest szufladowana. Rzecz w tym, że możesz znać tylko jednego Jerome'a w danym czasie. I widziałam, że dzisiaj Jerome podważył twój z góry wyrobiony sąd.

- Tak było - przyznał Web. - Zdaje mi się, że kiedy się wykonuje pracę taką jak moja od tylu lat, łatwiej jest przyklejać ludziom etykiety.

- Na przykład ojcom?

Web nie odpowiedział.

- To smutne, że Francis i Kevin nie mogli mieszkać razem - ciągnęła Claire. - Sądząc z tego, co mówił Jerome, Francis na pewno bardzo kocha swojego syna. A musi żyć w taki sposób.

- Też nie wątpię, że ten wielki facet kocha Kevina, ale widziałem, jak ten sam wielki facet zabił z zimną krwią człowieka, który stał tuż przed nim, i dwa razy naznaczył mi facjatę, tak że moje współczucie ma pewne granice - powiedział bardzo stanowczo Web.

- Zwykle jednak to środowisko narzuca człowiekowi decyzje, Web.

- Do pewnego stopnia mogę się z tym zgodzić, ale widziałem zbyt wielu facetów z jeszcze gorszych środowisk, którym poszło całkiem dobrze w uczciwej pracy.

- W tym może siebie?

Zignorował jej pytanie i powiedział:

- Myślę, że spakujesz trochę rzeczy i znajdziemy dla ciebie bezpieczne miejsce pilnowane przez agentów, żeby ci faceci nie mogli wrócić.

- Nie jestem taka pewna, czy to dobry pomysł.

- Chcę, żebyś była bezpieczna.

- Ja też chcę być bezpieczna, wierz mi, nie pragnę własnej śmierci. Ale jeśli masz rację i ta osoba tylko udawała Francis, żeby mnie przestraszyć i rzucić na niego podejrzenie, to prawdopodobnie nie jestem w prawdziwym niebezpieczeństwie.

- Prawdopodobnie to dobre słowo. To tylko jedna z teorii, Claire, i może okazać się błędna.

- Myślę, że jeśli mój rozkład zajęć pozostanie taki sam, nie będą mieli powodu, żeby uważać mnie za zagrożenie. I jest coś, nad czym naprawdę muszę popracować.

- Co?

Popatrzyła na niego i Web nigdy wcześniej nie widział, żeby była tak zaniepokojona.

- Myślę o tym, jak bardzo odważny mężczyzna wchodzi w pewną uliczkę, słyszy, że mały chłopiec mówi coś dosyć niezwykłego, a potem nie jest w stanie wykonać swojej pracy. - Rzucił jej spojrzenie. - Nie możesz mieć pewności, że między tym istnieje jakiś związek.

Uniosła stronę w szkicowniku, żeby mógł ją zobaczyć.

- Och, jestem zupełnie pewna, że istnieje związek.

Rysunek był prosty, dopracowany, cechowała go dobitna przejrzystość, która wydawała się przekraczać możliwości małego chłopca. Postać, tak podobna do Kevina, że mógł to być autoportret, stała w miejscu, które wyglądało na uliczkę z wysokimi murami po obu stronach. Mężczyzna, który mógłby być Webem w pełnym rynsztunku bojowym, przebiegał pędem obok Kevina. Chłopiec wyciąga rękę. To, co trzymał w dłoni, przykuło uwagę Weba. Urządzenie było małe, łatwe do ukrycia w kieszeni spodni. Strumień światła, który wysyłało, przecinał całą kartkę i kończył się na marginesie. Wyglądało to tak, jakby chłopiec miał jakąś futurystyczną broń, która wystrzeliwuje promienie światła, coś z *Gwiezdnych wojen* albo *Star Treka*. Tak naprawdę w obecnych czasach z takim urządzeniem umieli się obchodzić wszyscy, a zwłaszcza dzieci. Był to pilot, a na rysunku wysyłał promień światła. Mógł być dodatkiem do telewizora, wieży albo jakiegoś innego sprzętu elektronicznego. Ale Web wiedział, że tak nie było. Nie widział nawet telewizora w domu Kevina, a już na pewno nie było go w pokoju chłopca. Web powziął przekonanie, że to ten pilot włączył na podwórku laser, który z kolei uruchomił minidziałka, kiedy Web i reszta Grupy Charlie wpadli tam jak burza. To dzieciak włączył to wszystko. I ktoś przygotował chłopca na to, co zobaczył tamtej nocy: widok przebiegających uzbrojonych mężczyzn w kamizelkach kuloodpornych, bo przecież Kevin Westbrook nie wrócił do domu, żeby narysować tę scenę po fakcie.

Kim był ten ktoś?

Dwa samochody za machem Weba Francis Westbrook osobiście prowadził lincolna navigatora. Ponieważ nie miał towaru do sprzedania, znaczna część jego ekipy już zdezerterowała. W branży narkotykowej ludzie nie marnowali czasu, a trawa zawsze wydawała się zieleńsza gdzieś indziej. Oczywiście kiedy się docierało do tego nowego miejsca, było tam tylko to samo stare gównno. Żyło się dzięki własnym kom-

binacjom i umierało w ich wyniku. Głupcom nie udawało się przetrwać zbyt długo, a jednak kiedy zabijano jakiegoś dealera, pojawiał się tuzin braciaków gotowych zająć jego miejsce; biznes narkotykowy silnie przyciągał mimo wysokiego wskaźnika zgonów, bo w świecie Francisca Westbrooka ludzie raczej nie mogli przebierać w możliwościach. Kto potrzebował socjologów z ich wykresikami? Westbrook mógłby prowadzić najdoskonalsze, obrazowe wykłady na ten temat.

Pokręcił głową, powracając myślami do swojego trudnego położenia. Peeblesa nigdzie nie można było znaleźć i nawet lojalny przedtem Macy zniknął. Ludzie, którzy z nim zostali, nie byli tymi, którym Westbrook naprawdę ufał, a więc postanowił wykonać to zadanie w pojedynkę. Obserwował dom, w którym mieszkał Jerome, w nadziei, że Kevin może tam przyjdzie. Zamiast tego dostał miłą nagrodę. London z HRT i kobieta. Była psychiatrą Weba, przynajmniej tego się dowiedział, zanim jego ludzie go opuścili. Kierował tylko czubkiem palca, a jego prawa dłoń spoczywała na rękojeści pistoletu leżącego na przednim siedzeniu. Patrzył, jak London i kobieta wchodzi do domu, a potem wychodzą z Jerome'em. Kobieta niosła szkicowniki Kevina i Francis zastanawiał się dlaczego. Czy bloki zawierają wskazówki co do miejsca pobytu chłopca? Osobiście przeczesał całe miasto w poszukiwaniu syna, grożąc ludziom, łamiąc im kości i poskramiając niejedno rozbuchane ego, wyłożył tysiące w gotówce na robotę informatorów, i nic to wszystko nie dało. Federalni na pewno, do diabła, go nie mieli; nie prowadzili z nim gry, nie próbowali na przykład skłonić Kevina do zeznawania przeciw ojcu, tego był pewien. Francis naprawdę na to uważał; Kevin nie wiedział nic o tym, co robił jego staruszek, a przynajmniej nie znał szczegółów, które były potrzebne, aby zostać świadkiem. Ale gdyby jednak coś wiedział, Francis po prostu przyjąłby to spokojnie i poniósłby konsekwencje. Przede wszystkim musiał robić to, co było najlepsze dla Kevina. Pod wieloma względami on już zaliczył pełne, urozmaicone życie, mniej więcej takie, o jakim mógł snuć realistyczne marzenia ktoś taki jak on. Ale Kevin miał do przeżycia o wiele więcej. London był bystrym facetem. Francis zamierzał pojechać za nim i zobaczyć, dokąd go to zaprowadzi. Miał oczywiście nadzieję, że do Kevina.

Web zawiózł Claire do domu, spakowała tam trochę ubrań i innych rzeczy, a potem zaprowadził ją do jej samochodu i pojechał za nią do pewnego hotelu, gdzie się zameldowała. Obiecali sobie, że będą się kontaktować, jeśli wydarzy się coś nowego, i Web popędził z powrotem do East Winds.

Romano był w wozowni.

- Canfieldowie są w domu. Nie wiem, co się stało, ale coś nimi wstrząsnęło. Są biali jak płótno, oboje.

- Wiem, z czego to wynika, Paulie. - Web wyjaśnił mu sytuację z kasetą.

- Wiesz, że nic nie mogłeś wtedy zrobić, Web. Wkurza mnie tylko to, że byłem w tym czasie za granicą, z chęcią rozwaliłbym tych facetów. - Pstryknął palcami. - Och, zanim zapomnę, dzwoniła Ann Lyle i powiedziała, że musi z tobą porozmawiać.

- Dlaczego nie zadzwoniła bezpośrednio do mnie?

- Rozmawiałem z nią parę dni temu. Tylko się zgłosiłem. Dałem jej numer naszego telefonu tutaj, na wypadek gdyby był nam potrzebny stały kontakt.

Web wyjął komórkę i wybierając numer Ann, zapytał Romano:

- Jak Billy'emu podobała się twoja vette?

- Był zachwycony, człowieku, zachwycony. Powiedział, że miał okazję kupić jedną parę lat temu za - czy jesteś na to gotowy? - za pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Pięćdziesiąt kawałków.

- Lepiej, żeby Angie się o tym nie dowiedziała. Widzę, jak cztery kółka i składany dach zmieniają się w nowe meble i rachunki za college.

Romano zbladł.

- Cholera, wcale o tym nie pomyślałem. Musisz przysiąc, że jej nie powiesz, Web. Musisz przysiąc.

- Chwileczkę, Paulie. Ann, tu Web, o co chodzi?

Głos Ann był bardzo cichy.

- Coś się dzieje. To dlatego jestem tutaj, chociaż jest już tak późno.

Web zeszywniał. Wiedział, co to znaczy.

- Operacja?

- Chłopacy zbudowali nowy cel w obiekcie szkoleniowym dwa dni temu i jak szaleni przerabiają tam scenariusze. Szturmowcy sprawdzali dzisiaj swój sprzęt na dziesięć sposobów, a drzwi gabinetu dowódcy były zamknięte przez cały ranek, niektórzy snajperzy już zostali rozmieszczeni. Wiesz, jak to jest, Web.

- Taak, wiem. Masz jakieś informacje o celu?

Głos Ann stał się jeszcze cichszy.

- Pewna taśma z kamery nadzorującej trafiła tu kilka dni temu. Widać na niej, że jakaś ciężarówka stała przy rampie załadowniczej opuszczonego budynku niedaleko miejsca, w którym doszło do masakry. Podobno kamera nie kręciła pod najlepszym kątem, ale chyba widać, jak karabiny są wyładowywane z ciężarówki.

Web o mało nie rozerwał telefonu na dwie części. Bates ukrył to przed nim.

- Na kogo zarejestrowana była ciężarówka, Ann?

- Na Silasa Freego. To jeden z twórców Wolnego Społeczeństwa, Web. To bardzo głupie z jego strony, że użył prawdziwego nazwiska. Sukinsyn. Uderzą na „Freech”.

- Jak się tam dostaną?

- Wojskowe samoloty zabiorą ich z bazy Andrews na dawne lotnisko Korpusu Piechoty Morskiej koło Danville. Wyjadą o dwunastą zero zero. Furgonetki już zostały wysłane w ciężarówce.

- Kto weźmie udział w ataku?

- Hotel, Zatoka, Rentgen i Whisky.

- Nikt więcej? To nie są wszystkie grupy z HRT.

- Echo, Jankesi i Zulu ochraniają VIP-ów poza krajem. Grupa Charlie nie istnieje. W dodatku jeden szturmowiec z Grupy Hotel złamał nogę podczas ćwiczeń, a Romano wykonuje razem z tobą zadanie specjalne. Teraz mamy trochę mało ludzi.

- Ruszam w drogę. Nie pozwól temu pociągowi odjechać beze mnie. Popatrz na Romano.

- Powiedz facetom przy bramach, żeby zajęli pozycje wokół domu i przejęli nasze obowiązki.

- Dokąd jedziemy?

- Pora uderzyć na nich i powiesić ich, Paulie.

Kiedy Romano dzwonił do strażników z obrzeży farmy, Web wybiegł na zewnątrz, otworzył bagażnik swojego macha i sprawdził, co tam ma. Okazało się, że ma wszystkiego aż za dużo. Życie pracownika HRT wymagało, aby trzymał w bagażniku samochodu ubrania na kilka dni, a także rozmaite inne przedmioty niezbędne w sytuacji, gdyby właściwie bez uprzedzenia został wysłany za granicę na tydzień albo mie-

siąc. Web uzupełnił swój normalny zestaw wieloma cudeńkami, które zabrał z pomieszczenia ze sprzętem HRT, i zapasami, które ukrywał w domu, obejmującymi potężny arsenał. Chociaż miał identyfikator z FBI, trudno by mu było wyjaśnić przeznaczenie tego bagażu stowemu policjantowi podczas rutynowej kontroli drogowej. Kiedy Romano wrócił, Web powiedział:

- Bates ukrył to przede mną. Co za menda. Znaleźli bezpośredni dowód wiążący „Freech” z atakiem na Charliego, korzystając z choleryjnej wskazówki, którą ja im dałem. I nie miał nawet zamiaru zaprosić nas na tę imprezę. Prawdopodobnie myśli, że dostaniemy świra i niepotrzebnie załatwimy jakichś ludzi.

- Wiesz - powiedział Romano - to naprawdę godzi w mój profesjonalizm.

- Cóż, powiedz swojemu profesjonalizmowi, żeby się ruszył, nie mamy za dużo czasu.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego wcześniej? - Chwyci! Weba za ramię. - Jeśli musimy być szybcy, to nie bierzemy tej kupy złomu.

- O czym ty, do diabła, mówisz?

Pięć minut później załadowana bronią vette z wielkokadłubowym silnikiem wyprysnęła przez otwartą dwuskrzydłową bramę East Winds i znalazła się na szosie.

Do Quantico jechało się głównie bocznymi drogami, ale Romano utrzymywał stałą prędkość, sto dziesięć kilometrów na godzinę, prawie przez cały czas, biorąc zakręty tak ostro, że Web chwycił brzeg swojego siedzenia i miał nadzieję, że Romano tego nie zauważy. Kiedy dotarli do Międzystanowej 95, Romano zaczął gładko naciskać sprzęgło i zmieniać biegi. Web patrzył na wskazania licznika, które szybko przekroczyły sto sześćdziesiąt kilometrów. Romano nieoczekiwanie wsunął do magnetofonu kasetę z ośmioma utworami i puścił głośno muzykę. Najlepsze kawałki zespołu Bachman-Turner Overdrive wkrótce rozrywały nocną ciszę, bo jechali z opuszczonym dachem. Romano prowadził, a Web sprawdzał broń. Chociaż wzdłuż autostrady świeciły lampy, było bardzo ciemno, ale jego palce znały każdy centymetr tego sprzętu.

Popatrzył na Romano, który uśmiechał się i śpiewał razem z BTO, kiedy „zajmowali się pilnymi sprawami”. Facet potrząsał głową, jakby był znów w szkole średniej i szalał na koncercie Springsteena.

- W dziwny sposób przygotowujesz się do walki, Paulie.

- Co, a ty nie pocierasz swoich pistoletów na szczęście? - Web popatrzył na niego zaskoczony. - Riner mi powiedział. Uważał, że to bardzo zabawne.

- Chyba nie ma nic świętego - mruknął Web.

Dojechali do Quantico w rekordowym czasie. Obaj znali wartownika pilnującego wschodniego wjazdu przy Alei Biura i Romano nie raczył zwolnić.

- Trzy ósemki, Jimbo! - wrzasnął, mijając go z rykiem silnika, a chodziło mu o pojawiającą się na pagerze w krytycznych momentach wiadomość w postaci trzech ósemek, która nakazywała członkom HRT zapieprzać do Quantico.

- Dorwijcie ich, chłopaki! - krzyknął w odpowiedzi Jimbo.

Romano zaparkował samochód; wyjęli sprzęt i zataszczyli go do budynku administracji. Romano otworzył bramę za pomocą swojej elektronicznej przepustki i skierowali się ku głównym drzwiom, znad których obserwowała ich nadzorująca kamera wideo. Przed wejściem zasadzono sześć drzew, by uczcić pamięć zabitych członków Grupy Charlie. W środku minęli biuro Ann Lyle. Podeszła do drzwi i wymieniła spojrzenia z Webem, ale to było wszystko. W myśl przepisów Ann nie powinna była dzwonić i mówić Webowi o planowanym ataku. A on nigdy nie wpędziłby jej w kłopoty. Ale oboje wiedzieli, że postąpiła właściwie, do diabła z przepisami.

Web spotkał na korytarzu swojego dowódcę, Jacka Pritcharda. Mężczyzna patrzył ze zdumieniem na Weba, Romano i cały ich sprzęt.

- Zgłaszamy się na służbę, sir - zaczął Web.

- Skąd, do diabła, o tym wiedzieliście? - zapytał Pritchard.

- Nadal jestem członkiem HRT. Potrafię wyczuć takie rzeczy na kilometr.

Pritchard nie naciskał, chociaż spojrzał w kierunku biura Ann Lyle.

- Chcę wziąć w tym udział - powiedział Web.

- To niemożliwe - odparł Pritchard. - Wciąż jeszcze jesteś na urlopie SRB, a jego tyłek - wskazał na Romano - został stąd wysłany w związku ze specjalnym zadaniem, z którym mnie nawet nie zapoznano. Teraz brykajcie.

Dowódca odwrócił się na pięcie i poszedł z powrotem do sali z wyposażeniem. Web i Romano pobrykali, tuż za nim. Zgromadzeni tutaj szturmowcy i ci snajperzy, którzy nie zostali jeszcze rozmieszczeni w terenie, zapinali wszystko na ostatni guzik. Snajperzy sprawdzali, czy każdy z nich skompletował ustaloną liczbę niezawodnych kul. Uaktualniali dzienniki, dociskali zespoły spustowe i czyścili lunety oraz lufy. Szturmowcy oglądali swoją broń i przygotowywali sprzęt do robienia wyłomów, worki taktyczne i osłony na ciało. Pracownicy komórki logistycznej HRT biegali tu i tam, ładując wyposażenie do półciężarówek i starając się pamiętać o wszystkim, co było potrzebne, żeby ta miniinwazja zakończyła się sukcesem. Wszyscy przestali robić to, co robili, kiedy Pritchard, a potem Web i Romano wparowali do pomieszczenia.

- Przestań, Jack - powiedział Web - grupy porozjeżdżały się w cholerę i nawet jeśli liczyć Pauliego, masz o jednego człowieka za mało w Grupie Hotel. Przydadzą ci się dodatkowe ręce do pracy.

Pritchard obrócił się gwałtownie.

- Skąd, do diabła, wiecie, że brakuje nam jednego człowieka? - szef HRT najwyraźniej miał już dość przecieków.

Web rozejrzał się po pomieszczeniu.

- Potrafię liczyć. I naliczyłem pięciu szturmowców w Hotelu. Dodaj mnie i Pauliego, a będziesz miał pełen skład.

- Nie byliście na odprawie, nie rozpracowywaliście imitacji celu i nawet nie ćwiczyście od pewnego czasu. Nie jedziecie.

Web zastąpił drogę mężczyźnie. Jack Pritchard miał niecałe sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, Web był od niego cięższy może nawet o piętnaście kilo i młodszy o mniej więcej pięć lat, ale wiedział, że gdyby doszło do bójki, miałby kłopoty. Ale nie chciał walczyć, w każdym razie nie z jednym ze swoich.

- Zrób nam odprawę po drodze. Pokaż nam miejsca ataku. Mamy własny sprzęt i potrzebujemy tylko kevlarowych osłon, kombinezonu lotniczego i hełmu. Ile razy Paulie i ja robiliśmy takie rzeczy, Jack? Nie traktuj nas jak jakichś zagubionych dupków zaraz po szkole. Nie zasługujemy na to.

Pritchard cofnął się o krok i wpatrywał się w Weba przez bardzo długą chwilę. Im dłużej to trwało, tym bardziej Web przypuszczał, że Pritchard po prostu go wyrzuci. W HRT, tak jak w innych quasi-militarnych jednostkach, patrzono z dezaprobatą na takie przejawy nie-subordynacji.

- Powiem ci, co zrobię, Web. Zostawię decyzję im. - Wskazał na szturmowców.

Web nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Ale wystąpił naprzód i popatrzył po kolei na każdego faceta grup Hotel i Zatoka. Walczył u boku większości z nich, najpierw jako snajper, a potem jako jeden z nich, szturmowiec. Jego spojrzenie w końcu zatrzymało się na Romano. Wszyscy bez zastrzeżeń zaakceptowaliby powrót Pauliego. Ale Web był uszkodzonym towarem, facetem, który zamarł w najgorszym możliwym momencie akcji, i każdy obecny w tej sali zastanawiał się, czy zrobi to znów, a ktoś z nich zapłaci za to życiem.

Web uratował Romano życie podczas nalotu na siedzibę organizacji paramilitarnej w Montanie. Romano odwdzieczył się za tę przysługę rok później, kiedy chronili VIP-ów na Bliskim Wschodzie i bojownik z ekstremistycznego ugrupowania rebelianckiego próbował najechać na nich wszystkich skradzionym pustym autobusem. Partyzantowi udałoby się stuknąć przynajmniej w Weba, ale Romano odepchnął ko-

legę na bok i wpakował kierowcy kulę między oczy ze swojej czterdziestki piątki. A jednak mimo tego wszystkiego i spędzonego ostatnio wspólnie czasu Web nigdy tak naprawdę nie potrafił rozgryźć tego człowieka. Gdy rozejrzał się po pokoju, wydało mu się, że mężczyźni oczekują, że tę kwestię rozstrzygnie Romano, i chociaż ten facet przywiózł go tutaj, aby obaj wzięli udział w ataku, Web nie miał pojęcia, co teraz powie.

Romano położył rękę na jego ramieniu. Patrzając na swoich kolegów z grupy, Paulie powiedział:

- Web London może mnie ubezpieczać zawsze i wszędzie.

A w HRT, społeczności samców alfa, wystarczyło, że człowiek taki jak Paul Romano - którego bali się nawet niektórzy jego koledzy z grupy - powiedział właśnie coś takiego. Kiedy skończyli się ubierać, Pritchard wezwał wszystkich do małej sali zebrań. Stał z przodu, wpatrując się w nich, a oni wpatrywali się w niego. Webowi wydawało się, że dowódca przygląda mu się dłużej niż komukolwiek z pozostałych.

- Nie muszę wam mówić - zaczął Pritchard - że ta misja jest niebezpieczna. Wszystkie nasze misje są niebezpieczne. Wiem, że każdy z was zachowa się profesjonalnie i będzie wykonywał swoją pracę najlepiej, jak potrafi. - Ton Pritcharda był sztuczny, męczyzna wyglądał na zdenerwowanego, a zrobił w życiu wystarczająco dużo ryzykownych rzeczy, by Web od dawna zakładał, że jego dowódca w ogóle nie ma nerwów.

Web i Romano wymienili spojrzenia. Tego rodzaju przemowa dla dodania odwagi była czymś trochę niezwykłym. Nie chodziło przecież o grupkę dzieciaków ze szkoły średniej przygotowujących się do meczu futbolowego.

Surowa mina Pritcharda zniknęła.

- W porządku, skończę z tym oficjalnym gównem. Faceci, których chcemy dorwać dziś w nocy, są podejrzani o załatwienie Grupy Charlie. Wszyscy o tym wiecie. Mamy nadzieję, że uderzymy na nich z zaskoczenia. Krótka, przyjemna akcja, bez żadnych strzałów. - Przerwał na chwilę i jeszcze raz przyjrzał się podkomendnym. - Znacie zasady zaangażowania. Zetknęliśmy się już kiedyś z Wolnym Społeczeństwem, w Richmond. Wtedy to też była Grupa Charlie i niektórzy myślą, że to, co się stało na tamtym podwórku, było zemstą „Freech”.

O ile wiemy, nie ma żadnych zakładników. Sytuacja logistyczna jest trochę skomplikowana, ale radziliśmy sobie już w o wiele gorszych warunkach. Lecimy tam, półciężarówki czekają, i wykonujemy zadanie. - Pritchard chodził teraz tam i z powrotem, a potem się zatrzymał. - Jeśli będziecie musieli strzelić dziś w nocy, zróbcie to. Jeśli odpowiedzą ogniem, nie muszę mówić nikomu, co ma robić. Ale nie

podejmujecie głupich decyzji. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, są media wrzeszczące jutro rano, że formacja HRT sprzątnęła facetów, których nie trzeba było sprzątnąć. Jeśli mieli coś wspólnego z rozszarpaniem Grupy Charlie, zgarnijmy ich i niech staną przed sądem. Powtarzam: nie strzelajcie dlatego, że myślicie o tym, co ci faceci być może zrobili sześciu kolegom z naszej jednostki. Nie działajcie z takich pobudek. Zaslugujecie na coś lepszego. I wiem, że spełnicie oczekiwania. - Znów przerwał i wydawało się, że obserwuje uważnie twarz każdego mężczyzny, ponownie chyba najdłużej zatrzymując wzrok na Webie.

- W drogę - powiedział na zakończenie.

Gdy mężczyźni wychodzili w rzędki, Web podszedł do Pritcharda.

- Jack, rozumiem twój punkt widzenia, ale jeśli tak cię niepokoi to, że ktoś mogą ponieść emocje, to dlaczego właśnie HRT ma przeprowadzić ten atak? Powiedziałeś, że nie ma żadnych zakładników, a więc któraś grupa SWAT z FBI mogłaby to załatwić z pomocą miejscowych. Dlaczego my?

- Nadal jesteście częścią FBI, Web, chociaż nie wskazuje na to sposób, w jaki niektórzy ludzie się tu zachowują.

- To znaczy masz rozkazy z góry, żeby HRT się tym zajęła?

- Taka jest procedura, wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Czy ze względu na okoliczności poprosiłeś o zwolnienie nas z tej akcji?

- Właściwie to tak, bo osobiście uważam, że nie powinniśmy tego robić. Nie w tak krótkim czasie po utracie naszych ludzi. I zgadzam się z tobą, że mogłaby nas zastąpić grupa ze SWAT.

- I góra odmówiła?

- Jak powiedziałem, jesteście częścią FBI i robię, co mi każą. Chciałeś wziąć w tym udział, czy teraz się wycofujesz?

- Zobaczymy się w O.K. Corral.

Parę minut później byli już w drodze do Bazy Sił Lotniczych w Andrews, gotowi iść na wojnę.

Biuro, jak dowiedział się Web od jednego ze swoich kolegów, rozważyło wcześniej możliwość przeprowadzenia rewizji w kompleksie „Freech”, ale zdecydowało, że najpierw HRT zabezpieczy to miejsce, a potem oni przeszukają budynki. Ostatnią rzeczą, jakiej chciało Biuro, była śmierć paru agentów, kiedy będą próbowali doręczyć nakaz rewizji. Poza tym taśma z zarejestrowanym wyładunkiem karabinów maszynowych, z których zabito agentów federalnych, z ciężarówki wynajętej przez Silasa Freego stanowiła poważny dowód obciążający.

W czasie krótkiego, pełnego wstrząsów lotu w wojskowym transportowcu Web przeczytał składający się z pięciu akapitów rozkaz opera-

cyjny, a potem jego i Romano zapoznano ze szczegółami. Nie miało być negocjacji z suprematystami ani żadnych ostrzeżeń i poleceń, żeby wyszli z uniesionymi rękami. Wspomnienia wypadków ze szkoły w Richmond i masakry Grupy Charlie wykluczyły te posunięcia. Mniej ludzi miało umrzeć tej nocy, jeśli HRT po prostu uderzy bez ostrzeżenia, przynajmniej tak uznało szefostwo i Webowi bardzo odpowiadała ta decyzja. Nie stwierdzono obecności zakładników, co zarazem ułatwiało, jak i komplikowało sprawę. Komplikowało w tym sensie, że Web nadal się zastanawiał, dlaczego któraś grupa SWAT z FBI nie została wezwana do przeprowadzenia tej akcji. Miał nadzieję, że chodziło o złą sławę „Freech”, uznawanych za niezwykle niebezpiecznych i dobrze uzbrojonych, a także o to, że nawet dobrzy faceci mieli prawo do wymierzenia sprawiedliwości raz na jakiś czas. Ale coś tu po prostu nie pasowało.

Informacje zebrane przez WFO w ciągu ostatnich kilku miesięcy wskazywały jako siedzibę „Freech” kompleks, który zbudowali oni dziesięć lat wcześniej mniej więcej sześćdziesiąt pięć kilometrów na zachód od Danville w Wirginii, w bardzo odludnej części stanu, gdzie z trzech stron otaczały go lasy. Snajperzy z Whisky i Rentgena oraz agenci WFO rozpoczęli przed dwudziestoma czterema godzinami obserwację i dostarczali cennych informacji. Plany celu zaś znajdowały się w bazie danych HRT już od pewnego czasu. Członkowie HRT skopiowali wnętrza szkółki w swoim studiu i jednostka ćwiczyła tam z większą niż zwykle energią i determinacją. Choć żaden członek HRT nie otworzyłby świadomie ognia, gdyby niebezpieczeństwo nie groziło jemu samemu, koledze albo niewinnej osobie, to nie było wśród nich ani jednego, który by przynajmniej trochę nie pragnął, żeby „Free” próbowali stawić opór. Web pomyślał, że może do tej grupy należy też Jack Pritchard, chociaż dowódca wygłosił żarliwą przemowę o zupełnie innej treści.

Wylądowali, wsiedli do półciężarówek właśnie wylądowanych ze specjalnej przyczepy, dojechali do wstępnego obszaru przygotowawczego i spotkali się z miejscowymi policjantami oraz ludźmi z WFO, którzy przygotowywali grunt dla ich akcji. Kiedy Web zobaczył, że Percy Bates wysiada z jednego z bucarów i rozmawia z Pritchardem, odwrócił się i zaczął manipulować przy swoim sprzęcie. Nie potrzebował teraz kłótni z Batesem z wielu powodów, a główny był taki, że nie wiedział, czy zdołałby się powstrzymać od trzaśnięcia tego faceta pięścią między oczy za to, że nie powiedział mu o ataku. Bates prawdopodobnie tylko starał się chronić Weba, może przed nim samym, ale Web woląby podjąć decyzję samodzielnie.

Dojechali do końcowego punktu przygotowawczego i otrzymali ostatni zestaw rozkazów. Nadszedł czas, żeby ruszyć w stronę celu.

Przemieszczali się szybko po pogrążonych w ciemnościach wiejskich drogach. W jednym suburbanie jechała Grupa Hotel i zbliżała się do kompleksu „Freech” od tyłu, a Zatoka podjeżdżała w drugim wozie od lewej strony. Było wiadomo, że topografia zmusi grupy szturmowe do wyszukiwania drogi w mrocznych, gęstych lasach. Nie stanowiło to jednak problemu, bo mieli noktowizory. Na chwilę przedtem, nim otworzyły się drzwi pościężarówki, Romano się przeżegnał. Web omal nie powiedział tego, co zawsze mówił Danny'emu Garcii, że Bóg się tu nie zjawi i że mogą liczyć tylko na siebie, ale nie zrobił tego. A jednak czułby się lepiej, gdyby Romano nie nakreślił znaku krzyża. Wszystko to zaczynało wyglądać za bardzo znajomo i po raz pierwszy Web zaczął się zastanawiać, czy jest w takim stanie psychicznym, że może uczestniczyć w ataku. Drzwi otworzyły się nagle, zanim zdążył dłużej o tym pomyśleć, i wysypali się do lasów, a potem się zatrzymali, przykucnęli i obserwowali teren przed nimi.

Web słuchał w odbiorniku kostnym, jak snajperzy informują ich, co czeka z przodu. Rozpoznał głos Kena McCarthy'ego z Rentgena. McCarthy miał sygnał wywoławczy Sierra Jeden, co znaczyło, że znajdował się na najwyższym położonym posterunku obserwacyjnym snajperów. Web domyślał się, że prawdopodobnie siedział on okrakiem na grubej gałęzi jednego z wielkich dębów, które rosły na obrzeżach kompleksu. To pozwalałoby mu widzieć całą okolicę, a także zapewniało dobrą ścieżkę strzelecką i maksymalną ochronę przed ogniem, czyli pozycję osłony i ukrycia. „Free” na pewno byli w kompleksie. Właściwie to większość z nich tam mieszkała. Snajperzy naliczyli ich w środku przynajmniej dziesięciu. Ogrodzony kompleks składał się z czterech budynków. Trzy służyły do celów mieszkalnych, a w jednym, wielkim i przypominającym magazyn, mężczyźni odbywali zebrania i wykonywali całą swoją pracę, na przykład, myślał Web, produkowali bomby i przygotowywali plany zabicia niewinnych ludzi. Często w takich miejscach trzymano psy. Zwierzęta zawsze były problemem - nie tyle jako bezpośrednie zagrożenie dla członków HRT, bo nawet najzacieklejszy pies nie mógł przegryźć osłony z kevlaru ani przeciwstawić się kulce, ale stanowiły znakomity system wczesnego ostrzegania. Na szczęście - przynajmniej jak dotąd - tutaj nie pokazały się psy; może niektórzy z „Freech” byli alergikami. Jeśli chodziło o broń, snajperzy widzieli głównie pistolety i strzelby, chociaż McCarthy powiedział, że jeden młody chłopak w wieku około siedemnastu lat nosi MP-5.

Na zewnątrz było dwóch wartowników, jeden z przodu i jeden z tyłu, uzbrojonych tylko w pistolety i znudzone miny, jak zauważył ironicznie McCarthy. Zgodnie ze zwyczajem HRT każdy wartownik dostał przydomek identyfikacyjny od snajpera, który pierwszy go dostrzegł.

Strażnik z przodu został nazwany Błady Shaq, ze względu na pewne podobieństwo do tego wysokiego koszykarza grającego na centrze, ale oczywiście był biały, bo „Free” na pewno nie chcieliby mieć w swoim otoczeniu osób o innym kolorze skóry. Ten z tyłu otrzymał przezwisko Gameboy, bo McCarthy zauważył, że gra Gameboy wystaje z przedniej kieszeni jego spodni. Snajperzy stwierdzili też, że obaj wartownicy mają telefony komórkowe z funkcją walkie-talkie. To stwarzało problem, bo mogli szybko dać znać o kłopotach swoim towarzyszom w budynku.

Grupa Hotel rozwinęła się w tyralierę i szła przez lasy z wielką ostrożnością. Na kombinezonach lotniczych mieli kamuflaż podczerwieni, zielone fartuchy z wzorami wizualnymi, które nocą rozbiły sylwetkę. A więc nawet jeśli „Free” mieli noktowizory, nie zobaczyliby czystego obrazu. Chociaż kompleksu nie było jeszcze widać, „Free” mogli rozstawić w gęstym listowiu dodatkowe czujki albo nawet umieścić tam pułapki, które umknęły uwadze snajperów, jednak takie niespodzianki były mało prawdopodobne. Gogle noktowizyjne Weba zmieniły noc w dzień, ale trzymał jedno oko zamknięte i zakładał, że wszyscy pozostali robią to samo, aby uniknąć późniejszego pomarańczowego blasku. Dotarli do następnego przystanku i Web naciągnął gogle na czoło i mrugał szybko, żeby zmniejszyć skutki stosowania nowoczesnego noktowizora. Głowa już zaczynała go boleć. Podczas ataku Romano miał wysunąć się do przodu, a Web zabezpieczać tyły. Chociaż Romano nie ćwiczył tego uderzenia z resztą jednostki, i tak był najlepszym szturmowcem, jakiego mieli. Web przesunął dłonią po krótkiej lufie półautomatu MP-5, który niósł. Nie zabrał nieodłącznego wcześniej karabinku SR75, bo po użyciu go na tamtym podwórku odkrył, że nie może się zmusić do chwycenia tej cholernej broni. Najpierw dotknął czterdziestki piątki w swojej kaburze taktycznej, a potem takiego samego pistoletu znajdującego się na wysokości ramienia w specjalnym pasie, przewieszonym ukośnie przez jego płytę ochronną; zmusił się do uśmiechu, kiedy zobaczył, że Romano przygląda się jego czynnościom i pokazuje mu uniesione kciuki.

- Teraz jesteśmy kuloodporni, wielki facecie - powiedział Romano. Web pomyślał, że prawdopodobnie wciąż jeszcze odtwarza on sobie kawałki BTO.

Serce Weba na razie nie biło sześćdziesiąt cztery razy na minutę i dokładał wszelkich starań, żeby przestawić je na ten rytm. Potarł palcami dłoni i ze zdziwieniem poczuł pot, bo była bardzo chłodna noc. Jednak prawie trzydzieści kilogramów wyposażenia i osłona na ciało wytwarzały temperaturę miłej małej sauny. Miał magazynki do pistoletów zawieszane na pasie z bronią i zapasową amunicję do MP-5

w wyścielanych kieszeniach na udach, a także granaty błyskowo-hukowe, przyklejane ładunki wybuchowe i inne cudeńka, których mógł tej nocy potrzebować albo nie, nigdy nie wiadomo. Miał nadzieję, że pot nie jest oznaką zdenerwowania, które sprawi, że nawali właśnie w chwili, kiedy musiał być doskonały.

Znów ruszyli naprzód i zbliżyli się do skraju lasów. Przez gogle Web wyraźnie widział kompleks „Freech”. Aby mieć pewność, że wiadomości będą krótkie i wszyscy będą się nawzajem rozumieć, w języku HRT parter celu zawsze nazywał się Alfa, a pierwsze piętro Bravo. Przód budynku był biały, prawa strona czerwona, lewa zielona, a tył czarny. Wszystkie drzwi, okna i inne otwory oznaczano kolejnymi cyframi, zaczynając od najdalszego otworu z lewej. A więc Gameboy pełnił rolę poza ogrodzeniem, mniej więcej w rejonie poziomu Alfa i czarnego trzeciego otworu, a Blady Shaq znajdował się w rejonie poziomu Alfa i białego czwartego otworu. Web obejrzał uważnie Gameboya przez gogle i wkrótce ocenił go jako faceta niewyszkolonego, a przy tym całkowicie nieostrożnego. Trafność tej opinii potwierdziła się, kiedy facet wyjął grę z kieszeni i naprawdę zaczął grać.

W głównym budynku kompleksu paliły się światła. Prądu dostarczały na pewno przenośne generatory, bo w górze nie było widać żadnych przewodów elektrycznych. Gdyby istniały, znalazłby transformator i odciąłby dopływ kilowatów na chwilę przed atakiem. Nagłe zapadnięcie ciemności byłoby dezorientujące i dałoby HRT lekką przewagę, której formacja potrzebowała, żeby zwyciężyć bez rozlewu krwi.

Ponieważ w akcji brały udział tylko dwie grupy szturmowe, snajpery byli przez cały czas gotowi do wskoczenia w swoje czarniaki, czyli kombinezony lotnicze Nomex, i dołączenia do atakujących. Każdy z tych wyborowych strzelców miał oprócz karabinu snajperskiego automatyczny karabin szturmowy CAR-16 z powiększającym trzykrotnie noktowizorem Littona. Plan przewidywał błyskawiczne uderzenie od frontu i z boku oraz unieszkodliwienie tych spośród „Freech”, którzy będą akurat przebywać w głównym budynku. Wtedy miało wkroczyć zwykłe FBI, przeczytać prawa, przeprowadzić przeszukania i następnym przystankiem „Freech” byłby sąd, a potem więzienie.

Web pomyślał, że jest dokładnie tyle niebezpieczeństw, by akcja stała się interesująca. „Free” niewątpliwie wiedzieli, że FBI ich obserwuje. To była typowa wiejska okolica i wiadomości o obcych rozchodziły się szybko, a Biuro inwigilowało ich już od pewnego czasu. Członkowie HRT musieli zakładać, że ich główna broń, element zaskoczenia, w tym przypadku zadziała słabiej.

Ponieważ klęska Grupy Charlie czegoś ich nauczyła, przywieźli ze sobą dwa wielgachne i bardzo skuteczne termolokatory. Romano włą-

czył jeden z nich i obracając głowę, zbadał wnętrze każdego budynku od ich strony. Zatoka robiła to samo od frontu. Ten termolokator pozwalał zajrzeć za przyciemnione szyby, a nawet ściany, i wyłapywał wypełniony ciepłem obraz każdej osoby czającej się tam z procą albo minidziałkiem. Romano zakończył obserwację i dał znać, że droga jest wolna. Tym razem nie czekało na nich żadne automatyczne gniazdo ogniowe. Wszystkie budynki oprócz głównego były puste. Istniała szansa, że wszystko przebiegnie gładko.

Web rozejrzał się, korzystając z gogli noktowizyjnych, i zauważył światła mrugające w gąszczu drzew. Te rozbłyski wskazywały na obecność snajperów, którzy mieli świetliki, emitujące podczerwień świece żarowe wielkości zapalniczki. Świetliki migwały co dwie sekundy w widmie optycznym dostrzegalnym wyłącznie za pomocą noktowizora. W ten sposób snajperzy mogli utrzymywać ze sobą kontakt, nie ujawniając swojego położenia. Jeśli podejrzewano, że cel też ma noktowizory, świetlików z oczywistych powodów nie używano. Szturmowcy nie używali ich nigdy. Każde mrugnięcie światła oznaczało, że wspiera go przyjazny człowiek wyposażony w karabin kalibru .308 z tłumikiem. Dodało to otuchy, kiedy nie miało się pewności, czy wejdzie się do lodziarni czy do gniazda szerszeni. Web zakładał, że tego wieczoru ktoś spróbuje go użądlić.

Szybkim ruchem kciuka ustawił przełącznik rodzaju ognia w swoim MP-5 na serie, a potem popracował nad zmniejszeniem częstotliwości tętna. Wszędzie wokół słychać było odgłosy wydawane przez zwierzęta - głównie wiewiórki - i szelest skrzydeł przelatujących z jednej gałęzi na drugą ptaków, którym zakłócili spokój mężczyźni przykucnięci na ich terytorium z całym swoim wymyślnym sprzętem. Stąpanie zwierzęcych łap i trzepotanie ptasich skrzydeł było w jakiś sposób pokrząpające, nawet jeśli upewniało Weba tylko o tym, że nadal znajduje się na planecie Ziemia i nadal jest powiązany z żywymi, oddychającymi istotami, chociaż jego umysł zaprzątnięty był perspektywą zabijania.

Plan był w tym miejscu trochę ryzykowny. Snajperzy mieli nie otwierać ognia do wartowników. Likwidowanie z zimną krwią facetów, którym jeszcze niczego nie udowodniono, nie było czymś, na co bardzo często pozwalano obrońcom prawa; Web nigdy tego nie zrobił. Tylko jakaś sytuacja z przetrzymywaniem zakładników, kiedy gra toczyłaby się o bardzo wysoką stawkę, mogłaby usprawiedliwić zgodę Waszyngtonu na takie rozwiązanie. Operację tego rodzaju musiałby pobłogosławić dyrektor FBI, a przypuszczalnie też prokurator generalny. Tutaj zamierzali zająć strażników z dwóch stron, skoczyć na nich i dopilnować, żeby nie mieli czasu ani okazji ostrzec swoich towarzyszy w bu-

dynku o zbliżającym się ataku. Szturmowcy mogli wprawdzie posłużyć się odwracającą uwagę ładunkiem wybuchowym albo jakoś zwabić strażników do lasów, gdzie inni szturmowcy w kombinezonach ghillie czekali, żeby na nich skoczyć, ale plan zajścia ich z boków został obmyślony na podstawie zebranych wcześniej informacji o „Freech”. Te informacje okazały się prawdziwe w przypadku nieostrożnych zachowań wartowników. Może jednak wszystko pójdzie jak z płatka - pomyślał Web.

Jeśli zewnętrzne punkty wyłomu byłyby zamknięte na klucz, miały zostać oczywiście wysadzone. To ostrzegłoby resztę „Freech”, ale wtedy szturmowcy byłiby już w środku i bitwa byłaby prawie zakończona, chyba że zdarzyłyby się coś nadzwyczajnego, a tego Web nie mógł już wykluczać, nigdy więcej. Hotel miał uderzyć od tyłu, a Zatoka z boku, w bardzo gwałtowny sposób. Grupy szturmowe zawsze starały się uderzać pod kątem względem swoich pozycji, nigdy w układzie przód-tył albo bok-bok, żeby uniknąć strat w wyniku wzajemnego ostrzału.

Web zeszytniał, kiedy Romano poprosił COT o upoważnienie do kompromisowych rozwiązań i szybko je dostał. Teraz Web wziął ostatni oczyszczający oddech i skupił się całkowicie na swej roli szturmowca z jednego z najbardziej elitarnych zespołów obrońców prawa stworzonych w historii. Tętno sześćdziesiąt cztery, Web naprawdę świetnie znał swój organizm.

Romano dał znak i Web poszedł z nim na lewo, a pozostali dwaj pracownicy HRT zaczęli skradać się na prawo. Po minucie byli po obu bokach Gameboya, który wciąż interesował się tylko ekranem wideo i najwyraźniej świetnie się bawił, dając w tyłek komputerowi. Kiedy podniósł wzrok, w oba uszy miał już wetknięte pistolety kalibru .45. Zanim zdążył powiedzieć choćby „cholera”, leżał na ziemi z kajdankami Peerless na rękach i kostkach, a pasek plastiku spajał bransoletki, tak że facet był całkiem unieruchomiony, jak cielę spętane lassem podczas rodeo. W tym samym czasie zakleili mu usta plastrem. Zabrali mu pistolet, telefon komórkowy i nóż, który znaleźli w pochwie przywiązanej do jego kostki. Web zostawił jednak mężczyźnie jego cennego Gameboya.

Minęli domy mieszkalne grupy, doszli do miejsca krytycznego, zewnętrznych tylnych drzwi głównego budynku, i przykucnęli skuleni. Romano dotknął ostrożnie drzwi, a potem chwycił klamkę i spróbował je otworzyć. Web zobaczył przez jego maskę, jak się krzywi. Były zamknięte od środka. Romano wezwał przełamującego, który szybko ruszył naprzód, podłożył dwudziestopięciogramowy giętki ładunek, rozwinął kabel i przygotował detonator, podczas gdy reszta grupy osłaniała go, jednocześnie się chowając.

Wtedy Romano poinformował COT, że są na zielonej linii, i Web słuchał potwierdzającej odpowiedzi centrum. Trzydzieści sekund później członkowie Zatoki zrobili to samo, więc Web wiedział, że udało im się bez problemów zgarnąć Bładego Shaqę stojącego od frontu i potem dotarli do boku budynku, aby przypuścić swój bardzo specjalny szturm. GOT oznajmiło, że kontroluje sytuację, i ta kwestia rozdrażniła teraz Weba jeszcze bardziej niż zwykle. Taak, właśnie to powiedzieliście Charliemu, prawda?

Trzej snajperzy przyłączyli się do chłopców z Zatoki przyczajonych z boku, a Ken McCarthy zszedł ze swojego stanowiska Sierra Jeden i stał się szturmowcem, tak samo jak dwaj inni snajperzy z Whisky, którzy wsparli Weba i Grupę Hotel. Kiedy Ken zobaczył Weba, to chociaż ten nie widział wyrazu jego twarzy, był pewien, że pojawiło się na niej zdziwienie. Wszyscy zdjęli gogle noktowizyjne, bo płomienie wyłotowe i wybuchy i tak uczyniłyby je bezużytecznymi i właściwie stali-by się przez nie ślepi i bezbronni w takim wypełnionym światłem otoczeniu. Odtąd każdy musiał po prostu posługiwać się swoimi zwykłymi pięcioma zmysłami i Webowi to pasowało.

Zaczęło się odliczanie. Z każdą wypowiedzianą liczbą serce Weba wydawało się bić wolniej. Kiedy GOT doszło do trójki, jego tętno miało już odpowiednią częstotliwość. Przy dwójce szturmowcy odwrócili wzrok od miejsca krytycznego, żeby wybuch ich nie oślepił. W tej samej chwili palce wszystkich mężczyzn ześlizgnęły się z bezpieczników broni, a potem palce wskazujące przesunęły się do spustów. No to jazda, chłopaki, pomyślał Web.

Ładunek eksplodował, drzwi wpadły do środka i Web oraz pozostali wtargnęli do budynku.

- Huknie! - krzyknął Romano, wyjmując granat błyskowo-hukowy z torby z elastycznego sztruksu, wyciągając zawleczkę i rzucając granat łukiem. Po trzech sekundach wybuch o głośności stu osiemdziesięciu decybeli zagrzmiał na korytarzu, a następnie ukazał się błysk o natężeniu miliona kandel.

Web był na prawo od Romano i szukał zagrożeń. Jego spojrzenie pobiegło najpierw do dalekich kątów, a potem się cofnęło. Był tam mały pokój i odchodzący od niego po lewej korytarz. Otrzymali informacje, potwierdzone teraz przez obrazy termiczne, że „Free” są zgromadzeni w głównej sali, która znajdowała się w lewej tylnej części budynku. Była to rozległa przestrzeń, może dwanaście na dwanaście metrów, w większej części otwarta, a więc nie musieli się martwić, że będzie tam dużo zakamarków, potencjalnych kryjówek, gdyby ktoś stawiał opór, ale i tak trudno zabezpieczało się tak dużą przestrzeń, bez wątpienia były tam też meble i inne wyposażenie, więc „Free” mieli się za

czym schować. Zostawili jednego faceta, żeby pilnował pierwszego pomieszczenia. Zasady zaangażowania były takie, że nigdy nie oddawało się terenu, który się zajęło, i nigdy nie pozwalało się zejść od tyłu. Reszta szturmowców pognęła dalej.

Jak na razie nikogo nie widzieli, chociaż z przodu słychać było krzyki. Web i pozostali pędzili korytarzem. Za następnym zakrętem miały czekać na nich podwójne drzwi prowadzące do sali, która była celem.

- Huknie! - wrzasnął Web. Wyciągnął zawleczkę i rzucił łukiem granat błyskowo-hukowy za ostatni zakręt. Teraz każdy, kto chciałby zaatakować ich stamtąd z zasadzki, musiałby to zrobić, będąc ślepym i głuchym.

Kiedy dotarli do podwójnych drzwi, nikt nie zawracał sobie głowy sprawdzaniem, czy są zamknięte na klucz. Romano szybko przykleił na futrynie ładunek. Składał się on z kawałka dętki o szerokości dwudziestu pięciu milimetrów i długości piętnastu centymetrów oraz paska materiału wybuchowego typu C4 o nazwie Detasheet. Na spodzie urządzenia znajdowała się rurka wstrząsowa i spłonka. Mężczyźni cofnęli się i Romano zaszeptał do swojego mikrofonu. Po paru sekundach ładunek wybuchł i drzwi runęły do środka.

Dokładnie w tej samej chwili boczna ściana głównej sali eksplodowała do wewnątrz i Grupa Zatoka natarła przez otwór. Wcześniej umieścili giętki ładunek - pasek ołowiu i pianki w kształcie litery V nafaszerowany materiałami wybuchowymi - wokół ściany. Wybuch całkowicie ją zniszczył i wrzucił gruz do środka. Jeden z „Freech” leżał już na podłodze, trzymał się za zakrwawioną głowę i wrzeszczał.

Członkowie Grupy Hotel rzucili się do ataku przez główne drzwi i błyskawicznie opanowali strefy zagrożenia, to znaczy wszystkie miejsca, w których mógł się ukryć ktoś z bronią i zrobić im krzywdę.

- Huknie! - zawołał Romano, pędząc wzdłuż prawego boku sali. Parę sekund później rozległ się hałas eksplozji granatu błyskowo-hukowego. Salę wypełnił dym i oślepiające światło. „Free” próbowali uciekać i przewracali się na siebie, czemu towarzyszyły ogłuszające wrzaski. Jednak nie było strzałów i Web zaczął myśleć, że wszystko może się zakończyć pokojowo, przynajmniej według kryteriów HRT. Web pobiegł za Romano, omiótł wzrokiem teren, zajrzał nawet w najdalsze kąty, sprawdził, czy nie ma zagrożeń, a potem jego spojrzenie wróciło do punktu wyjścia. Zobaczył zarówno młodych, jak i starych mężczyzn chowających się za przewróconymi krzesłami, leżących twarzą w dół na podłodze albo przyciśniętych do ścian. Wszyscy oni usiłowali zasłonić oczy i zatkać uszy, wszyscy byli oszołomieni starannie przeprowadzonym szturmem. Światła na suficie zostały zgaszone przez szturmowców, gdy tylko wpadli do sali. Działali teraz w ciemnościach, tyle że od czasu do czasu wybuchał granat błyskowo-hukowy.

- FBI! Na podłogę. Ręce za głowę. Palce splecione. Zróbcie to! Zaraz! Albo, kurwa, umrzecie! - Romano wyrzeszczał to wszystko staccato, z brooklyńskim akcentem.

Nawet Weba zainteresowały te ważne słowa.

Większość „Freech” w zasięgu wzroku Weba zaczęła wykonywać polecenia, choć byli na wpół sparaliżowani. To wtedy usłyszał pierwszy strzał. A po nim padł następny, tym razem kula trafiła w ścianę tuż przy głowie Weba. Kątem oka Web zobaczył, jak jeden z „Freech” wstaje z podłogi, trzymając MP-5, i celuje w niego. Romano zapewne zauważył to samo. Strzelili równocześnie, a oba ich MP-5 były ustawione na serie. Każda z ośmiu kul dosięgła albo głowy, albo tułowia mężczyzny, który padł znowu na podłogę ze swoim karabinem i już tam został.

Pozostali, oślepieni i zdezorientowani, ale też rozszoszczeni śmiercią jednego ze swoich towarzyszy, wyciągnęli broń i otworzyli ogień zza takich osłon, jakie udało im się znaleźć. Szturmowcy zrobili to samo. Ale po jednej stronie były pistolety, strzelby, nie osłonięte ciała i ludzie bawiący się w żołnierzy, a po drugiej panczerze, półautomaty i mężczyźni wyćwiczeni w walce i zabijaniu. Strzelanina nie trwała zbyt długo. „Free” popełnili głupi błąd, mianowicie patrzyli w oczy swoim przeciwnikom. Web i reszta oddziału szturmowego spokojnie koncentrowali się na rękach i trzymanej w nich broni, wystrzeliwując nabój za nabojem, przesuając się do przodu, nie spuszczać z oczu swoich celów. Czerwone laserowe kropki z szukaczy przymocowanych do ich półautomatów znajdowały się dokładnie w punktach, w które mierzyli. Utrzymywali pola ostrzału, siekąc dokoła i nad sobą nawzajem, jakby prezentowali taniec pełen wspaniałych układów choreograficznych. Oszalali „Free” strzelali chaotycznie i bez żadnej dyscypliny, więc często pudłowali. Szturmowcy celowali precyzyjnie i zaliczali trafienie po trafieniu. Dwa razy pracownicy HRT oberwali, bardziej dlatego, że „Free” mieli trochę szczęścia, bo umiejętności raczej im brakowało, ale były to trafienia w tułów, zwykła amunicja pistoletowa napotkała na swojej drodze kevlar najnowszej generacji; i chociaż uderzenia pocisków powodowały cholernie ostry ból, jedynym skutkiem był głęboki siniak. Członkowie HRT celowali w głowy i klatki piersiowe i za każdym razem, kiedy kula trafiała, kolejny „Free” umierał.

Suprematystów wyraźnie czekała druzgocąca klęska, więc Web, który miał już dość tej rzezi, przestawił swój MP-5 na pełny automat i ostrzelał poprzecznie górne części tanich stołów i krzeseł, posyłając w powietrze kawałki płyt wiórowych, fornir i paski metalu i faszeringując przeciwległe ściany ołowiem, a jego broń wyrzucała naboje w tempie prawie dziewięciuset na minutę. Formacja HRT nie dawała strzałów ostrzegawczych, ale ani w podręcznikach, ani podczas żadnego szkole-

nia, jakie przeszedł Web, nikt nie nakazywał masakrować nie mających szans wrogów. Pozostali przy życiu „Free” nie stanowili już dla nikogo zagrożenia; potrzebowali po prostu nieco dodatkowej perswazji, żeby się poddać. Romano również użył swojej broni jako rozpylacza. Rozpętała się taka niszczycielska zadymka, że przeciwnicy położyli się płasko na brzuchach, z rękami na głowach, a ich myśli o walce i może o zwycięstwie najwyraźniej zniknęły. Web i Romano, sprawnymi ruchami i z szybkością maszyn, jednocześnie wsunęli świeże magazynki z nabojami dziesięciomilimetroowymi.

Znów otworzyli ogień, teraz także celując tuż nad głowami przywarłych do ziemi, przestraszonych wrogów, i zasypywali pomieszczenie gradem kul, aż ostatni żywi „Free” w końcu dokonali jedyne rozsądnego wyboru. Dwóch wyczołgało się spod zwał martwych ciał oraz zniszczonych krzeseł i stołów, z uniesionymi rękami, zostawiwszy broń na podłodze. Wydawało się, że są w szoku bitewnym, szlochali. Inny po prostu siedział, wpatrując się w swoje dłonie, zakrwawione od dotknięcia wielkiej rany na nodze, która nasączała materiał krwią, a na jego koszuli były wymiociny. Jeden z pracowników HRT podszedł do niego, nałożył mu kajdanki, a potem delikatnie ułożył go na plecach, naciągnął rękawice chirurgiczne i maskę i zaczął zajmować się raną; tak więc uzbrojony napastnik pospieszył na ratunek swojemu wrogowi. Wezwano pielęgniarzy z półciężarówki medycznej, która towarzyszyła HRT podczas każdego szturm, żeby ranni mieli opiekę. Web uznał po obejrzeniu rany, że facet prawdopodobnie przeżyje, nawet jeśli tylko po to, żeby resztę życia spędzić w więzieniu.

Gdy Romano i inny szturmowiec obrączkowali pierwszych dwóch „Free”, którzy się poddali, kilku członków HRT szybko obeszło salę, sprawdzając, czy zabici naprawdę nie żyją. Web czuł pewność, że mężczyźni leżący na podłodze są już tylko trupami. Człowiek nie wytrzymał choćby jednego strzału w głowę, a co dopiero sześciu.

Web w końcu opuścił swój karabin i zaczerpnął głęboko powietrza. Zbadał wzrokiem pole bitwy, przypatrzył się ocalałym. Niektórzy, ubrani w za duże farmerskie dżinsy i T-shirty, w brudnych wysokich butach, wydawali się za młodzi nawet na to, żeby się starać o prawo jazdy. Jeden z nich miał kozią bródkę, a jego zarost był podobny do puchu na brzoskwini; inny miał trądzik. Dwaj z nieżywych mężczyzn mogli być dziadkami i może namówili swoich wnuków, żeby przyłączyli się do „Freech”, a teraz chłopcy umarli razem z nimi. Nie można ich było określić jako godnych przeciwników. Była to tylko grupka głupich ludzi z bronią i spiesznymi życiorysami, których spotkało urzeczywistnienie ich najgorszych koszmarów i którzy niemądrze wybrali złe rozwiązanie. Web naliczył osiem martwych ciał. Gęsta krew płynęła i była

szybko wchłaniana przez tani dywan. I chociaż „Free” by to kwestionowali, krew każdego człowieka, bez względu na jego przynależność etniczną czy rasową, ciekła z ciała czerwonym strumykiem. Pod tym względem wszyscy byli tacy sami.

Oparł się o ścianę i wtedy usłyszał coraz bliższe wycie syren. To nie była uczciwa walka. Ale ostatnim razem walka też nie była uczciwa. W głębi duszy powinien czuć przynajmniej pewne zadowolenie. Jednak jedyne, co czuł Web London, to mdłości. Zabijanie nigdy nie było dla niego łatwą sprawą, i może to odróżniało go od Ernestów B. Freech tego świata.

Podszedł do niego Romano.

- Skąd, do diabła, padły pierwsze strzały?

Web tylko pokręcił głową.

- Cholera - powiedział Romano. - Niezupełnie tak sobie wyobrażałem tę akcję.

Web zauważył w kamuflażowym fartuchu Romano wielką dziurę od kuli, która ukazywała kevlar pod spodem. Dziura była blisko pępka. Romano zobaczył, co zainteresowało Weba, i zbagatelizował to, jakby chodziło o ukąszenie komara.

- Jeszcze ze trzy centymetry niżej i Angie musiałaby szukać emocji gdzie indziej - stwierdził.

Web usiłował sobie przypomnieć, co i kiedy widział i słyszał. Jedno wiedział na pewno: wszystkich ich czekało dużo pytań i na żadne z nich nie było prostej odpowiedzi. Ostrzeżenie Pritcharda odżyło gwałtownie w jego pamięci. Właśnie zgładzili licznych członków Wolnego Społeczeństwa, organizacji podejrzewanej o skasowanie jednej z grup HRT. Tak naprawdę jednak Web i pozostali szturmowcy otworzyli ogień i sprzątnęli grupkę młodych chłopców i starszych mężczyzn dlatego, że padły strzały ze źródła, którego tylko się domyślali, i dlatego, że Web zobaczył, jak jeden z nich podniósł karabin i wycelował w niego. Reakcja Weba była w pełni usprawiedliwiona, ale nie potrzeba było mistrza przeinaczania faktów, żeby przyrządzić z tego coś niewiarygodnie smrodliwego. A w Waszyngtonie było więcej specjalistów od wykrecania kota ogonem niż gdziekolwiek indziej na ziemi.

Web słyszał ciężkie kroki ludzi zmierzających w ich stronę. Wkrótce mieli się pokazać zwykli agenci, Batesowie tego świata. Mieli się zająć ustalaniem, co się, do diabła, zdarzyło. Tak jak mówił Romano, do obowiązków HRT należało tylko uderzenie i wieszanie. Cóż, istniała pewna możliwość, że tym razem powiesili samych siebie. Web zaczął doświadczać uczucia, którego nigdy nie zaznał, kiedy latały kule: poczuł strach.

#

#

#

Coś poruszyło się w lasach mniej więcej kilometr od miejsca akcji, za kompleksem budynków i kręgiem stworzonym przez HRT. Ziemia wydawała się unosić w górę i ukazał się przykucnięty mężczyzna trzymający w prawej ręce snajperski karabin z przymocowaną lunetą. Był to ten sam karabin, z którego zabił Chrisa Millera, kiedy agent stał obok domu Randalla Cove'a w Fredericksburgu. FBI prawdopodobnie myślało, że to Web London był celem, ale w tym wypadku się mylili. Śmierć Millera była tylko kolejnym sposobem sprowadzenia nowych nieszczęść na Weba Londona. A to, co mężczyzna właśnie zrobił, czyli sprowokowanie walki między nieszczęsnymi „Freemi” a HRT, było po prostu następną metodą powiększenia kumulujących się kłopotów Londona. Mężczyzna odłożył na bok płachtę materiału pokrytą ziemią, błotem, zwierzęcymi odchodami, liśćmi i innymi rzeczami, które miały mu pomóc zlać się z otoczeniem, jego własny kombinezon ghillie. Już dawno doszedł do wniosku, że powinno się naśladować tylko najlepszych. A przynajmniej na razie to formacja HRT była najlepsza. A Weba Londona uważano za najlepszego z tej elitarnej grupy. Ten zaszczyt umieszczał go dokładnie na celowniku mężczyzny. To była dla niego sprawa osobista. Bardzo osobista. Clyde Macy złożył płachtę, przyczepił ją do plecaka i po cichu uciekł. Mimo swojej stoickiej natury po prostu nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zadanie wykonane.

Randall Cove nie mógł wykryć pochodzenia grupy dostarczającej Oxy i inne lekarstwa na receptę do Dystryktu Columbia, więc zmienił strategię i postanowił dobrać się do nich od strony odbiorców, a nie dostawców. Wykorzystał to, co powiedział mu informator T, żeby podłączyć się do ekipy narkotykowej, która według T ostatnio handlowała tymi narkotykami. Można było uzyskać zdumiewające rezultaty, kiedy przytrzymało się kapusia do góry nogami nad trzydziestometrowym urwiskiem. Cove przypuszczał, że w pewnym momencie handlarze będą musieli wziąć następną partię towaru. Ta nowa taktyka sprowadziła go tutaj tego wieczoru i miał nadzieję, że przyniesie mu ogromne korzyści.

Lasy były gęste i Cove szedł przez nie najciszej, jak mógł poruszać się człowiek. Zatrzymał się przy ostatnim rzędzie drzew, kucnął i obejrzał teren. Pojazdy stały na polnej drodze, która wiała się przez lasy niedaleko granicy między Kentucky a Zachodnią Wirginią. Cove wezwałby wsparcie, gdyby jakieś miał. Zastanawiał się wcześniej, czy nie przywieźć Venablesa, ale Sonny zrobił już dość, poza tym miał żonę i dzieciaki i przygotowywał się do emerytury. Cove nie zamierzał się w to wchrzaniać. Był dzielnym człowiekiem, przyzwyczajonym do niebezpiecznych sytuacji, ale istniała subtelna różnica między odwagą a idiotyzmem, i Cove zawsze trzymał się po właściwej stronie tej cieniutkiej linii.

Schylił głowę, kiedy kilku mężczyzn zgromadziło się wokół jednego z pojazdów. Wyjął powoli lunetę noktowizyjną, żeby się im lepiej przypatrzeć. Przedmioty w plastikowych opakowaniach, które nieśli mężczyźni, potwierdziły podejrzenia Cove'a. Nie cegiełki koki, tylko coś, co wyglądało na dziesiątki tysięcy tabletek. Wyciągnął aparat bez flesza i zrobił trochę zdjęć, a potem namyślił się, co robić dalej. Widział przynajmniej pięciu mężczyzn i wszyscy oni byli uzbrojeni. Nie mógł dokonać aresztowania, nie narażając się na poważne niebezpieczeństwo. Zastanawiając się nad następnym krokiem, nie zauważył, że kierunek wiatru lekko się zmienił. Właściwie zdał sobie z tego sprawę dopiero, kiedy pies, który leżał po drugiej stronie ciężarówki, poza zasięgiem wzroku Cove'a, wypadł zza pojazdu i pomknął prosto w jego stronę.

Cove zaklął pod nosem, odwrócił się i zaczął uciekać przez lasy. Pies szybko skracał jednak dzielącą ich odległość, a uszkodzone kolana Cove'a po prostu już się nie nadawały do takiego biegu. Usłyszał też coś innego, co również nie wzbudziło w nim wielkiej nadziei. Zbliżały się do niego dwunożne zwierzęta.

Zapędzili go w kozi róg na bagnistym terenie. Pies rzucił się na Cove'a z obnażonymi kłami, więc wycelował z pistoletu i zastrzelił go. To był jego ostatni strzał, bo wymierzono w niego wiele pistoletów. Uniósł broń w powietrze na znak, że się poddaje.

- Rzuć go - powiedział jeden ze ścigających i Cove rzucił pistolet.

Mężczyźni podeszli, jeden z nich obszukał Cove'a i znalazł drugi pistolet, schowany w rękawie kurtki. Zabrali mu też aparat.

Nemo Strait ukląkł przy psie i dotknął go delikatnie. Potem podniósł oczy i popatrzył na Cove'a tak, jakby ten właśnie poderzwał gardło jego matce. Uniósł swój pistolet i postąpił naprzód.

- Miałem Starego Łajdaka przez sześć lat. Cholernie dobry pies. Cove nic nie powiedział. Inny mężczyzna uderzył go w plecy pistoletem, ale uzyskał tym od Cove'a tylko chrząknięcie.

Strait przybliżył się i plunął Cove'owi w twarz.

- Do cholery, czemu się nie upewniłem, że nie żyjesz, kiedy zepchnęliśmy twój samochód ze zbocza. Powinieneś być po prostu uznać tamten dzień za najszczęśliwszy w twoim życiu i wynieść się z miasta.

Cove nic nie powiedział, ale przysunął się o malutki krok do Straita. Zerkał na niektórych z pozostałych mężczyzn. Nabywcy tych lekarstw na receptę przyjechali z Waszyngtonu i wszyscy byli czarnoskórzy. Cove nie mógł jednak liczyć na pomoc przedstawicieli swojej rasy. Pieniądze przebijają wszystko inne w świecie przestępczym.

Strait spojrział przez ramię na przyczepę do przewozu koni z Bobbym Lee, a potem znów popatrzył na swojego jeńca i uśmiechnął się.

- Człowieku, zawsze musisz wtykać nos w cudze sprawy? Co? - Stuknął Cove'a pistoletem w policzek, a potem zdzielił go mocno lufą w to samo miejsce. - Odpowiadaj mi, kiedy zadaję ci pytanie.

W odpowiedzi Cove plunął mu w twarz.

Strait wytarł się i przystawił pistolet do skroni Cove'a.

- Możesz po prostu pocałować swój tyłek na do widzenia.

Cove wyciągnął nóż z tego samego rękawa, w którym wcześniej miał ukryty drugi pistolet. Nigdy mu się nie zdarzyło, żeby ktoś szukał broni tam, gdzie jedna sztuka już została znaleziona. Celował w serce, ale poślizgnął się w błocie, a Strait był odrobinę szybszy, niż Cove przewidywał, i ostrze noża wbiło się głęboko w ramię Straita. Strait upadł na plecy w błotnistą wodę, nóż tkwił w jego ramieniu.

Cove stał, wpatrując się w otaczających go mężczyzn.

Przez ułamek sekundy wszystkie dźwięki świata wydawały się Cove'owi ciszą. W myślach widział, jak jego żona i dzieci biegną do niego przez pole, na którym rosną tylko piękne kwiaty, a ich uśmiechy wraz z niecierpliwym oczekiwaniem na uściski usunęły z jego pamięci wszystkie obrzydliwe rzeczy, które spotkały go w ciągu całego życia. A było co wymazywać.

I wtedy pistolety zaczęły strzelać. Cove został trafiony kilka razy i upadł. W tym samym momencie wszyscy mężczyźni popatrzyli na niebo, bo usłyszeli warkot helikoptera. Po paru sekundach nad wierzchołkami drzew ukazały się światła.

Strait zerwał się na równe nogi.

- Spadajmy stąd.

Mimo rany potężny Strait zdołał przytulić do piersi martwego psa i zabrać go stamtąd. Nie minęła minuta, a już wszyscy zniknęli. Helikopter leciał dalej, a jego załoga najwyraźniej nie wiedziała o tym, co się zdarzyło na dole. Strait mylił się - helikopter po prostu przewoził grupę biznesmenów wracających z bardzo późnego spotkania.

Gdy odgłosy nocy znów stały się słyszalne, w ciemności rozległ się jęk. Randall Cove próbował się podnieść, ale chociaż był silny, nie udało mu się tego zrobić. Osłona na ciało, którą nałożył, zatrzymała trzy z pięciu kul. Dwa pociski, które trafiły go bezpośrednio, zrobiły jednak swoje. Opadł z powrotem na ziemię, a jego krew barwiła wodę na czerwono.

Claire Daniels pracowała w swoim gabinecie, chociaż było już bardzo późno. Drzwi zewnętrzne były zamknięte na klucz i budynku pilnował ochroniarz, więc właściwie czuła się tu bezpieczniej niż w hotelu, w którym mieszkała. Jej przyjaciel farmaceuta zadzwonił do niej z informacjami o dziwnej tabletki, którą wzięła od Weba. Claire sądziła wcześniej, że jest to jakiś silnie działający barbituran, bo nadal uważała za możliwe to, że Weba sparaliżowało w tamtej uliczce niekorzystne wzajemne oddziaływanie lekarstw, które nastąpiło z opóźnieniem. Takie rozumowanie mogło się wydawać naciągane, łączyło jednak ze sobą wszystkie fakty, które знаła, a innym teoriom jakoś dużo do tego brakowało. Rozmowa telefoniczna wszystko zmieniła.

- To placebo - powiedział jej przyjaciel. - Takie, jakich używają w grupach kontrolnych podczas badań nad nowymi lekami.

Placebo? Claire była zdumiona. Wszystkie inne tabletki były tymi lekami, które w nich rozpoznała.

Siedząc teraz w swoim gabinecie, próbowała to wszystko rozwikłać. Jeśli nie chodziło o działanie lekarstw, to o co? W każdym razie nie wierzyła, że Kevin Westbrook rzuci! na Weba kłótnię, wypowiadając

słowa „niech ich diabli”. A jednak te słowa niewątpliwie jakoś na niego zadziałały. A może po prostu się załamał?

Claire popatrzyła na szkicowniki Kevina, które Web pozwolił jej zatrzymać. Ten z Kevinem trzymającym pilota trafił prosto do FBI, w żadnym z pozostałych bloków nie było innych takich rysunków. Claire oglądała uważnie rysunki, które miała, często wykonane bardzo fachowo. Chłopiec miał duży talent.

W notatnikach nie znalazła nigdzie napisanych słów „niech ich diabli”. Claire przypuszczała, że nie mogło to być takie łatwe. Zastanowiła się znów nad tymi słowami. Brzmiały staroświecko - wojna secesyjna, może wcześniej. „Niech diabli wezmą torpedy, cała para naprzód” czy coś takiego powiedział podobno admirał Farragut podczas jednej z bitew morskich wojny między stanami.

Claire napisała te słowa na kartce. Czasy wojny secesyjnej zdaniem Web'a. Niewolnictwo. Murzyni i biali. Biali suprematysty. Zmarszczyła czoło, gdy o tym pomyślała, a później coś zaświtało jej w głowie. Jednak następna myśl Claire była taka, że to niemożliwe.

Wolne Społeczeństwo? Niech ich diabli. Popatrzyła na swój komputer. Istniało niewielkie prawdopodobieństwo. Kilka kliknięć myszą dało jej odpowiedź po paru minutach. Wolne Społeczeństwo miało witrynę w sieci. Ohydne, pełne nienawiści narzędzie propagandowe, za którego pomocą przypuszczalnie werbowali nieświadomych i demonicznych członków w swoje szeregi. Kiedy zobaczyła główną stronę, zaparło jej dech w piersi.

Właśnie w tej chwili w jej gabinecie zrobiło się całkowicie ciemno. Nagłe zgaśnięcie światła w połączeniu z tym, czego się właśnie dowiedziała, sprawiło, że krzyknęła. Natychmiast podniosła słuchawkę telefonu i zadzwoniła do ochroniarza przy frontowych drzwiach.

Usłyszała uspokajający głos strażnika i wyjaśniła mu, co się stało.

- Nie jest tak w całym budynku, doktor Daniels. Tu na dole mamy światła. Prawdopodobnie zadziałał któryś z automatycznych wyłączników. Chce pani, żebym wjechał na górę?

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, że w okolicznych budynkach też się palą światła.

- Nie, wszystko w porządku. Chyba mam latarkę. Jeśli to tylko wyłącznik, potrafię przestawić go z powrotem.

Odłożyła słuchawkę, przetrząsnęła szuflady biurka i w końcu znalazła latarkę, a potem wyszła z gabinetu i dotarła do pogrążonej w ciemnościach recepcji. Podeszła do komórki, w której była skrzynka z bezpiecznikami i przekręciła gałkę. Zamknięte na klucz. Wydało jej się to trochę dziwne, ale zaraz sobie przypomniała, że skupia się tam też linia telefoniczna i alarmowa poradni, i linie te trzeba było chronić przed rękami niepowołanych osób. Ale w takim razie jak miała prze-

stawić wyłącznik? Zastanawiała się, czy nie skończyć pracy i nie jechać do hotelu, ale wszystkie jej notatki były tutaj i w hotelu nie miała laptopa, z którego mogłaby połączyć się z Internetem.

Oświetliła latarką zamek. Wydawał się dosyć prosty. Weszła do małej kuchni i znalazła śrubokręt. Cofnęła się do drzwi komórki, przytrzymała latarkę pod pachą i popracowała nad zamkiem. Trwało to około pięciu minut i bardziej za sprawą szczęścia niż umiejętności zamek w końcu ustąpił, i Claire otworzyła drzwi. Poświeciła latarką w środku i rozejrzała się. Szybko znalazła skrzynkę z bezpiecznikami, rzeczywiście, główny obwód był wyłączony. Przetawiła bezpiecznik i lampy się zapaliły. Kiedy miała już zamknąć drzwi, coś przyciągnęło jej uwagę. Do przewodów elektrycznych, które biegły w górę po ścianie, było podłączone małe urządzenie. Claire nie wiedziała za dużo o takich rzeczach, jednak nie pasowało jej to tutaj i wyglądało prawie jak pluskwa.

Może z powodu tego, co właśnie odkryła, albo dlatego, że nagle stała się sparanoizowaną osobą, w ułamku sekundy doznała olśnienia. Wypadła z komórki, nie zauważając malutkiego bezprzewodowego czujnika na framudze, który włączał się, ilekroć ktoś otwierał drzwi pomieszczenia.

Pobiegła do swojego gabinetu i rozejrzała się. Jej spojrzenie przesunęło się z podłogi na ściany, a w końcu na sufit, i zatrzymało się. Chwycała krzesło stojące przy jej biurku, zsunęła buty i stanęła na nim, bo chciała dosięgnąć wykrywacza dymu. Stykała się w swojej pracy z obrońcami prawa od wystarczająco wielu lat, by wiedzieć, że wykrywacze dymu są ulubionymi miejscami ukrywania urządzeń podsłuchowych. Odczepiła skrzynkę od sufitu i odniosła wrażenie, że są tam przewody, których nie powinno być. Czy chodziło tylko o jej gabinet, czy w innych też był podsłuch?

Zostawiła zwisający z sufitu wykrywacz, zeskoczyła z krzesła i pobiegła do sąsiedniego gabinetu O'Bannona. Był zamknięty na klucz; w drzwiach był jednak taki sam zamek jak ten w komórce. Poradziła sobie i z nim za pomocą śrubokrętu, weszła do środka, zapaliła światło i popatrzyła w górę. Tu również był wykrywacz dymu. Oderwała go i znalazła takie same podejrzane przewody. Miała już pognać do kolejnego gabinetu, kiedy zobaczyła otwartą teczkę leżącą na biurku.

Wszystkie zawodowe instynkty zakazywały jej badania teczek kolegi po fachu, ale powiedziała sobie, że okoliczności są nadzwyczajne.

Podniosła teczkę. Napisane było na niej Deborah Riner. Web wspominał o tej wdowie po jednym z mężczyzn z jego grupy. Przebiegła wzrokiem wielostronicowe dossier. Riner przychodziła do O'Bannona regularnie od dosyć dawna. Claire zdziwiła liczbą notatek o sesjach hipnotycznych, które odbyli. O'Bannon hipnotyzował tę kobietę prawie za każdym razem, kiedy przychodziła się z nim spotkać.

Naprawdę okropna myśl zaświtała Claire, gdy zauważyła niektóre daty wizyt Riner. Trzy dni przed masakrą grupy Weba na podwórku, między innymi taka data rzuciła się w oczy Claire.

Odłożyła papiery i podeszła do szafki z teczkami. Też była zamknięta na klucz, ale tandetnie wykonana, więc szybko otworzyła ją śrubokrętem, nie dbając już o zawodowy kodeks etyczny. Zaczęła wyjmować te czki. Leczyło się tu wielu agentów FBI i ich małżonków z wielu oddziałów Biura. Przejrzała niektóre te czki. Podobnie jak w przypadku Riner, zawierały zapisy o nieumiarkowanej wprost liczbie sesji hipnotycznych.

Umysł Claire pracował na najwyższych obrotach. Hipnoza była czymś osobliwym. Można było, w bardzo rzadkich przypadkach, skłonić kogoś za jej pomocą do zrobienia czegoś, czego normalnie by nie zrobił. Można też było uśpić jakąś osobę, sprawić, że stałaby się zrelaksowana, ufna i czuła się swobodnie, a potem wydobyć z niej informacje o tym, co robi jako agent - albo, kiedy chodziło o małżonków agentów, o tym, co robi mąż czy żona. Claire mogła sobie wyobrazić, jak O'Bannon przymilnie uzyskuje od zahipnotyzowanej, bezbronnej i zapewne zatroskanej Debbie Riner wszystkie szczegóły dotyczące pracy jej męża, jakie znała, także to, jaki cel zostanie zaatakowany przez HRT i kiedy, jeśli Teddy Riner dzielił się takimi wiadomościami z żoną. A niektórzy mężczyźni to robili, mimo że zawodowe zasady tego zabraniały. Claire wiedziała, że wiele małżeństw łamało takie przepisy, choćby po to, żeby utrzymać spokój w domu. Albo mogło chodzić o coś tak prostego jak przejęzyczenie jednego z pracowników HRT, które zahipnotyzowana żona nieświadomie przekazała dalej.

Wszystko to byłoby całkiem proste dla kogoś tak doświadczonego jak Ed O'Bannon. I, podobnie jak ona zrobiła to w przypadku Weba, O'Bannon zawsze mógł przekazać starannie przemyślaną sugestię pohipnotyczną, która usunęłaby z pamięci danej osoby wszelkie podejrzone rzeczy, które mogły się wydarzyć w czasie sesji hipnotycznej - nawet fakt, że w ogóle została zahipnotyzowana. Mój Boże, pomyślała Claire, możliwe, że Debbie Riner nieświadomie pomogła zamordować swojego męża.

A w dodatku urządzenia podsłuchowe nagrywały wszystkie poufne informacje przekazywane przez pacjentów. Cenne informacje, które mogły później posłużyć do szantażowania ich albo wrobienia innych, co spotkało grupę Weba. Nie wdając się w szczegóły, Web wspomniał, że w Biurze źle się dzieje. Jeśli Claire miała rację co do poczynąń O'Bannona, psychiatra mógł stać za wieloma z tych problemów.

Gdy wpatrywała się w te czki w szafce, jej spojrzenie zatrzymało się na pewnym pustym miejscu. Pod literą L znajdowało się kilka teczek ludzi o nazwiskach, które zaczynały się na tę literę. Ale zobaczyła tam też wielką, pustą zwisającą kieszeń. Claire ciekawiło, czy to w tym

miejscu była wcześniej teczka Weba. A jednak ta, którą dał jej O'Bannon, nie była choćby w przybliżeniu tak duża jak kieszeń, na którą patrzyła, chyba że nie dał jej całej teczki. Czy był zdolny do ukrycia przed nią części materiałów? Wiedziała, że O'Bannon jest bardzo pewnym siebie, a nawet aroganckim człowiekiem. Nikogo nie uważał za bystrzejszego ani bardziej doświadczonego od siebie. Istniało pewne prawdopodobieństwo, że nie udostępnił jej wszystkich informacji, aby do niczego nie doszła. Może oprócz zawodowej próżności miał jeszcze ważniejszy powód, żeby pozostać lekarzem Weba.

Od razu zaczęła rewidować gabinet. Przeszukała biurko mężczyzny i wszelkie inne miejsca, w których mogły zostać ukryte materiały, ale nic nie znalazła. Potem jeszcze raz spojrzała w górę. W pomieszczeniu był podwieszany sufit. Wdrapała się na krzesło z latarką w rękę i uniosła jeden z paneli. Gdy wspięła się na palce, sięgnęła wzrokiem ponad sufit. Poświeciła latarką dookoła i prawie od razu zobaczyła małe pudełko ustawione na metalowej kratownicy podtrzymującej sufit. Przesunęła tam krzesło i szybko zdjęła pudełko. Wewnątrz znajdowała się reszta teczki Weba. Claire usiadła, żeby zbadać znalezisko, i odkryła, że są to skarby. Nieustannie kręciła głową, bo każda nowa strona zawierała zdumiewającą rewelację.

Wiedziała, że O'Bannon jest zorganizowany aż do granic obsesji, z czego nieraz oboje się śmiali. Prowadził więc skrupulatne notatki. Chociaż laikowi wydałyby się one tajemnicze i niemożliwe do odczytania, Claire ujawniły, że lekarz hipnotyzował Weba wielokrotnie, jeszcze częściej niż Debbie Riner, kiedy Web przychodził do niego po śmierci matki. Za każdym razem O'Bannon stosował sugestię pohipnotyczną, bardzo podobną do polecenia Claire, aby wymazać sesję ze świadomości Weba. Wstrząśnięta Claire wyprostowała się na krześle, kiedy odkryła, że podczas jednej z sesji hipnotycznych Web wyjawiał O'Bannonowi cały epizod ze śmiercią swojego ojczyma. Notatki były prawie zaszyfrowane, ale Claire widziała wzmianki o „Stocktonie”, „strychu” i napisaną wielkimi literami o „NAJDROŻSZYM TATUSIU”, co wystarczyło, by nabrała przekonania, że O'Bannon usłyszał od Weba tę samą historię co ona. Teraz krzyk Weba w czasie sesji hipnotycznej „Już to wiesz!” stał się całkowicie zrozumiały. Jego podświadomość rzeczywiście już kiedyś to wszystko ujawniła, tylko że O'Bannonowi, a nie jej. Zalecanie obojętnych dla organizmu tabletek też było omawiane w notatkach. Claire domyślała się, że prawdopodobnie miało to pomóc określić, jak mocno rozkazy O'Bannona wryły się w podświadomość Weba. Faktycznie, dalej O'Bannon zanotował, że placebo zostało połączone z jego pohipnotyczną sugestią dla Weba, że są to najskuteczniejsze tabletki nasenne dostępne na rynku, a Web

zgłosił, że tabletki działają. Opowiedział też O'Bannonowi o rywalizacji za pomocą pistoletów Taser między członkami HRT

W końcu Ciare zrozumiała, co naprawdę stało się z Webem w tamtej uliczce. Stwierdziła, że było to pomysłowe, bo uniknięto problemów ze zmuszeniem Weba do zrobienia czegoś, czego nie chciałby zrobić, na przykład zabicia kogoś z zimną krwią, co Claire uważała za niemożliwe, rozkazano mu natomiast czegoś nie robić.

Namyślała się, czy zadzwonić do Weba, żeby mu powiedzieć, co odkryła, i poprosić go o pomoc, ale nie mogła zatelefonować stąd, skoro otaczała ją tyle urządzeń podsłuchowych. Będzie musiała wyjść z poradni, żeby do niego zadzwonić.

Nadal kartkowała materiały. Najokrutniejszy aspekt tej relacji lekarz-pacjent został ujawniony na ostatniej stronie i polegał na tym, że O'Bannon postarał się zyskać pewność, że Web będzie wykonywał polecenia. Napisał w swój tajemniczy sposób, że zdobył całkowite zaufanie Weba. Zauważył, że psychiatra (O'Bannon mądrze nie twierdził, że to on tak zrobił) mógłby wbudować w swoją sugestię pohipnotyczną informację, że zastąpi ojca pacjentowi takiemu jak Web i że będzie go chronił przed jego ojczymem. A jeśli Web zlekceważy rozkazy psychiatry, to ojczym wróci i go zabije; w istocie Web mógł się czuć bezpiecznie, tylko jeśli posłusznie robił to, co mu kazano. Na koniec O'Bannon uznał, że Web jest podatny na sugestie pohipnotyczne i dlatego stanowi zagrożenie. Tylko specjalistyczna wiedza Claire i jej znajomość przypadku Weba pozwoliły jej czytać między wierszami raportu O'Bannona. Claire rozumiała konstrukcję psychiczną Weba, więc wiedziała, że nie byłby w stanie sprzeciwić się temu rozkazowi. A jednak mimo to Web i tak zdołał na pewien czas przezwyciężyć sugestię pohipnotyczną, wejść na podwórko i ostrzelać karabiny, chociaż w jego umyśle potężnie napierały myśli zakazujące mu tego. To z pewnością był najbardziej niezwykły wyczyn Weba tamtej nocy.

Claire musiała przyznać, że O'Bannon napisał swój raport bardzo zręcznie i wyraźnie zacierał ślady, a zatem miała jeszcze jeden powód, by zachować ostrożność. O'Bannon przewidział prawie wszystkie ewentualności, tylko nie to, że Claire będzie leczyć Weba i penetrując jego podświadomość, dowie się tego, co on już odkrył, a potem znajdzie i pluskwy, i tę teczkę. Nic dziwnego, że O'Bannon robił wszystko, aby Web pozostał jego pacjentem.

Nadszedł czas, żeby wezwać ludzi, którzy wiedzieli, jak się załatwia takie sprawy. Claire była daleko poza swoją działką.

Claire okręciła się na krześle, chcąc wstać, wrócić do swojego gabinetu, zabrać rzeczy i wyjść. W drzwiach stał mężczyzna i przyglądał się jej. Podniosła śrubokręt, ale on celował do niej z pistoletu.

Wydawało się, że Ed O'Bannon nie zawahałby się go użyć.

Po powrocie do Quantico Web odłożył na miejsce swój sprzęt i razem z resztą oddziału został przesłuchany w sprawie wykonania zadań. Niewiele potrafili wyjaśnić. Web uważał, że pierwsze dwa strzały padły spoza budynku. W takim wypadku kule musiałyby być gdzieś w sali, jednak w ścianach tkwiło mnóstwo pocisków i trzeba było je posortować oraz dopasować do poszczególnych sztuk broni. Przesłuchano też snajperów, ale Web nie wiedział, co oni widzieli albo słyszeli. Jeśli strzały padły z zewnątrz, to snajperzy na pewno coś zauważyli; otaczali prawie cały kompleks. O ile Web wiedział, nikt nie wyszedł z budynku. Jeśli jednak źródło tych strzałów było na zewnątrz, to strzelec musiał już tam czekać, kiedy pojawiły się grupy HRT — i to, ponownie, oznaczało prawdopodobny przeciek w sprawie ataku HRT. Żadna z tych wiadomości nie była dobra.

WFO przeszukiwało kompleks, szukając dodatkowych śladów łączących „Freech” z uderzeniem na Grupę Charlie. Web miał nadzieję, że uda im się znaleźć dość, by wyjaśnić to wszystko, chociaż w to wątpił. Jak można było wyjaśnić tak wielką nienawiść w sercach młodych chłopców i starszych mężczyzn?

Kiedy po prysznicu i przebraniu się Web i Romano zmierzali korytarzem budynku administracyjnego do wyjścia, zastąpił im drogę Bates i dał znak, żeby podążyli za nim do pustego gabinetu.

- Chyba przynoszę pecha, Perce - powiedział Web tylko na wpół żartobliwie. Naprawdę się zastanawiał, czy nagle nie zaczął w jakiś sposób powodować nieszczęść.

- Nie, gdybyśmy mieli pecha, to my stracilibyśmy ludzi, a nie oni - sprzeciwił się stanowczo Romano. - Nigdy nie będę przeproszał za to, że wyszedłem skądś żywy. To jak z lataniem samolotem, człowieku, każde lądowanie jest dobrym lądowaniem.

- Zamknijcie się obaj - nakazał im Bates. - Prasa nas za to rozszarpie, ale poradzimy sobie z tym. Jednak nie mogę sobie poradzić z dwoma facetami, którzy nie słuchają rozkazów.

- Mieli za mało ludzi, Perce - odparł Web. - I nie mogę uwierzyć, że nic mi nie powiedziałaś. To ja ci pokazałem tę kamerę.

Bates naskoczył na niego.

- Nie powiedziałem ci, Web, właśnie po to, żeby zapobiec temu, co się stało.

Web nie ustąpił ani o centymetr.

- Gdyby mnie tam nie było, rezultat byłby taki sam. Jeśli do ciebie strzelają, odpowiadasz ogniem. I nie miałem zamiaru pozwolić, żeby moi koledzy poszli tam osłabieni. Możesz mnie wyrzucić z Biura, jeśli chcesz, ale zrobiłbym to samo jeszcze raz.

Dwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie, aż w końcu ich twarze złagodniały.

Bates usiadł i pokręcił głową. Podniósł wzrok i dał znak Webowi i Romano, żeby też usiedli.

- Co mi tam, do diabła - powiedział. - Gorzej nie może już być, więc dlaczego miałbym się martwić?

- Jeśli tak się obawiałeś, że coś takiego może się zdarzyć, dlaczego nie wysłałeś zamiast nas grupy ze SWAT? - zapytał Web.

- To nie była moja decyzja. Rozkazy przyszły z góry.

- Z jak wysoka?

- To nie powinno cię interesować.

- Interesuje, jeśli mój tyłek ma trafić do wyżymaczki z tego powodu.

Bates tylko kręcił głową.

- Jeśli strzały padły z zewnątrz, to ktoś wiedział, że uderzymy na to miejsce - stwierdził Romano.

- To genialne, Romano, przypomnij mi, żeby przedstawił cię do awansu — rzucił sucho Bates.

- Do przecieków może dochodzić w dowolny sposób - powiedział Web - od spodu albo od góry, zgadza się, Perce?

- Przestań, Web.

- Czy jest coś, co możesz nam powiedzieć?

- Właściwie ta noc nie jest całkowicie zmarnowana. - Odwrócił się i otworzył teczkę leżącą za nim na biurku. - Znaleźliśmy trochę interesujących materiałów o „Freech”. Jeden z zabitych to Silas Free. Było z nim paru panów po sześćdziesiątce i czterech chłopaków, którzy nie mogliby jeszcze głosować. „Free” chyba naprawdę stracili zwolenników po tej strzelaninie w szkole - problemy z rekrutacją.

- Ale nie było tam Ernesta B. Freego - zauważył Web. - Sprawdziłem.

- Nie. Ernego nie było. - Bates wyciągnął jakieś papiery z teczki. - Ale w jednym z domów w kryjówce pod podłogą znaleźliśmy pewną ilość materiałów do produkcji bomb i trzy teczki z informacjami, o sędzim Leadbetterze, Scotcie Wingo i Fredzie Watkinsie.

- Bardzo czysty trop - uznał Romano.

- To nie wszystko. Znaleźliśmy też Oxycontin, Percocet i Percodan warte na ulicy około dziesięciu tysięcy dolarów.

Web wydawał się zdziwiony.

- „Free” działali na czarnym rynku lekarstw na receptę?

- Liczba członków spadała, prawdopodobnie fundusze się wyczerpywały. Oxy to źródło wielkich dochodów na terenach wiejskich. To ma sens - powiedział Bates.

- Cholera, myślisz, że to jest powiązanie z tym, co badał Cove? „Free” tworzą fałszywą centralę interesu narkotykowego w Dystrykcie, nabierają Cove'a i grupa HRT zostaje wezwana, a potem sprzątnięta.

Bates potakująco kiwał głową.

- I może to oni naciskają Westbrooka i pozostałe ekipy narkotykowe, żeby się połączyli - dodał.

Chociaż Web także skinął głową, zgadzając się z tym, coś mu tu po prostu nie pasowało.

- Znaleźliśmy też to - ciągnął Bates. - Lista dawnych i obecnych członków Wolnego Społeczeństwa. - Popatrzył na Web'a. - Chcesz spróbować zgadnąć, kto kiedyś był wśród nich?

Web pokręcił głową.

- Jestem za bardzo zmęczony, żeby myśleć. Powiedz mi.

- Clyde Macy.

Web zapomniał o Oxycontinie.

- Żartujesz.

- Przysłał do nich dziesięć lat temu, a odszedł mniej więcej dwa miesiące po strzelaninie w Richmond. „Free” zapisywali wszystko dokładnie; może po to, żeby szantażować byłych członków ujawnieniem tych danych później, kiedy płynność finansowa organizacji się zmniejszy. Ku-Klux-Klan prawdopodobnie robi coś takiego.

- Macy był „Freem”, a potem nagle został cynglem czarnego faceta w gettach Dystryktu. Doznał olśnienia czy po prostu szuka pracy tam, gdzie może ją dostać?

- Nie wiem. Teraz straciliśmy go z oczu. I oczywiście jest jeszcze to ciało.

- Jakie ciało?

- Antoine'a Peeblesa. Śmiertelny postrzał w głowę. Znaleźliśmy go wczoraj wieczorem.

- Myślisz, że stał za tym Westbrook?

- To ma sens, chociaż jak na razie nic w tej sprawie nie miało sensu.

Web zastanawiał się, czy powiedzieć Batesowi o nieprzyjemnym spotkaniu Claire z kimś, kto udawał Wielkiego F, ale w końcu się na to nie zdecydował. Sądził, że olbrzym nie stał za śmiercią Peeblesa. Ale nie miał żadnego powodu, żeby pomagać Wielkiemu F, i może tylko wszystko by zagmatwał.

Wyciągnął rękę po teczkę.

- Mógłbym do niej zajrzeć?

Bates wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- Pewnie. Ale jeśli zobaczysz cokolwiek, co wyda ci się dziwne, chętnie bym się o tym dowiedział, zanim wyjdiesz z tego gabinetu.

Romano opuścił pokój, żeby porozmawiać z innym członkiem Grupy Hotel, który akurat przechodził korytarzem, a Web przewracał strony. Było tam zdjęcie upozowanego młodszego Clyde'a Macy'ego w stroju bojowym z karabinem maszynowym w jednej ręce i strzelbą w drugiej, i z groźną miną, która prawdopodobnie wystraszyłaby niedźwiedzie. Czytając materiały, Web zobaczył mandaty za przekroczenie prędkości, które dostał Macy i o których wcześniej wspomniał Bates. Spojrzał na mandaty i podniósł wzrok.

- Taki facet, a ma na koncie tylko mandaty za przekroczenie prędkości?

- Hej, takie jest życie. Sukinsyn ma szczęście albo uważa, albo i jedno, i drugie - powiedział Bates.

- A co z wynajętą ciężarówką, z której wyładowano tamte karabiny maszynowe?

-Silas Free faktycznie ją wynajął. Sprawdziliśmy w agencji. Pamiętali go. Ale mniej więcej po tygodniu złożył zawiadomienie o kradzieży wozu.

- W bardzo dogodnym dla siebie momencie - uznał Web.

- To standardowa procedura dla ludzi szykujących coś poważniejszego. Wynajmujesz samochód, a potem mówisz, że został skradziony. Chowasz go gdzieś i wypełniasz po brzegi materiałami wybuchowymi albo, w tym przypadku, karabinami maszynowymi.

- Ta wynajęta ciężarówka to bezpośredni dowód, że „Free” mają coś wspólnego z tym, co się stało z Grupą Charlie - powiedział Web.

- A po dzisiejszej nocy będziemy potrzebować takiego dowodu - zauważył złowieszczo Bates.

Następna rzecz, jaką Web znalazł w teczce, sprawiła, że zaschło mu w ustach. Podniósł wzrok na Batesa i pokazał mu kartki.

- Co to jest?

- Och, to naprawdę śliczne. Biuletyn „Freech”. Chyba chcą, żeby członkowie byli na bieżąco informowani o rozmaitych morderstwach i zadymach organizacji. Ukazuje się od niedawna, bo nie słyszałem o nim nigdy wcześniej. Mają teraz nawet witrynę w Internecie, jeśli możesz w to uwierzyć.

Web nie słyszał uwagi Batesa. Wpatrywał się tylko w nazwę biuletynu wypisaną u góry pierwszej strony.

Niech Ich Diabli. Taki był tytuł biuletynu Wolnego Społeczeństwa. Były to dokładnie te słowa, które wypowiedział do niego Kevin Westbrook w uliczce.

Web i Romano poszli do vetty. Web nadal był pogrążony w myślach, zastanawiał się nad tym, czego się dowiedział. Wszystko to było jednak mroczne, jak koszmarny sen. Człowiek wiedział, że coś strasznego czai się w pobliżu, a jednak nie mógł tego wyraźnie zobaczyć.

Web schował swój sprzęt do vetty i zaczął wsiadać po stronie pasażera.

Romano patrzył na niego z prawdopodobnie najbardziej zbliżonym do współczującego wyrazem twarzy, na jaki go było stać.

- Hej, Web, wiesz, pracujemy razem od tylu lat, a nigdy nie pozwoliłem ci kierować tą maszyną.

Web wydawał się zdezorientowany.

- Co?

- A może zawieszysz nas z powrotem na farmę? Wierz mi, kiedy człowiek czuje się podle, nic nie poprawia mu humoru tak jak przejażdżka takim wozem.

- Dzięki, Paulie, ale chyba nie.

W odpowiedzi Romano rzucił Webowi kluczyki, a ten je złapał.

- To jak butelka wspaniałego wina, Web, musisz usiąść wygodnie i po prostu pozwolić się unieść doznaniom. - Romano wsiadł od strony pasażera i popatrzył na niego. - Pięknej kobiecie nie każe się czekać, Web.

- Nie mów mi, że samochodowi też dałeś imię, tak jak swoim pistoletom.

- Po prostu wsiadaj. - Romano mrugnął do Weba i dodał: - Jeśli sądzisz, że jesteś wystarczająco męski.

Pojechali w stronę autostrady. Zanim się na niej znaleźli, Romano powiedział:

- W porządku, zasada numer jeden, zrobisz na niej choćby jedno zadrażnienie, to dobiore ci się do tyłka.

- Myślałem, że po ośmiu latach wyskakiwania ze mną z helikopterów w środku nocy z materiałami wybuchowymi przywiązany do zadków bez obaw przekazesz mi kierownicę swojego głupiego samochodu.

- Zasada numer dwa, jeszcze raz nazwiesz vette głupim samochodem, to rozkwaszę ci twarz. Ona nazywa się Destiny.

- Destiny?

- Destiny.

Kiedy dotarli do Międzystanowej 95, Web skierował się na południe i minął policjanta stanowego, który wypisywał mandat. Pora była dość wczesna, jechali w przeciwną stronę niż większość samochodów, a więc byli prawie sami na swoim pasie.

- W porządku, mamy teraz trochę miejsca i długą prostą. A więc daj czadu albo zawsze już powstrzymuj swoje gonady - powiedział Romano.

Web spojrzął na niego, a potem nacisnął pedał gazu. Samochód z rykiem silnika rozpędził się do stu sześćdziesięciu kilometrów tak szybko, że Web poczuł, jak wgniata go w fotel siła przyspieszenia. Przemknęli obok jedyne go samochodu na ich pasie autostrady, jakby stał bez ruchu.

- Nieźle, Paulie, a do podłogi zostało drugie tyle. Zobaczmy, co ten wóz naprawę potrafi.

Web znów przygazował i samochód pognął jeszcze szybciej. Zbliżali się teraz do łuku drogi. Kątem oka Web obserwował Romano. Facet patrzył spokojnie przed siebie, jakby codziennie jeździł tak prędko. Do diabła, może tak było. Web doszedł do dwustu dziesięciu, a potem dwustu dwudziestu pięciu kilometrów. Po obu stronach drzewa stały się jedną zieloną plamą, a łuk był wprost przed nimi. Web w żaden sposób nie poradziłby sobie z nim przy takiej prędkości. Znów rzucił okiem na Romano i zobaczył kropelkę potu na jego czole. Już samo to było warte około dziesięciu milionów dolców.

Za dwie sekundy mieli pocałować ścianę sosen.

- W porządku, w porządku - powiedział Romano. - Jedź wolniej tym cholerstwem.

- To znaczy mam jechać wolniej Destiny?

- Po prostu to zrób!

Web dał po hamulcach i pomknęli po długim łuku z ledwie stu trzydziestoma kilometrami na liczniku.

- Zwolnij jeszcze trochę, właśnie wymieniłem olej.

- Założę się, że Destiny odczuwała wielką przyjemność, kiedy w niej byłeś. Ty też się dobrze bawiłeś? - Web ograniczył prędkość do stu dziesięciu, znalazł zjazd i zatrzymali się przed przydrożną restauracją. Zamówili kawę.

Gdy kelnerka odeszła, Web się pochylił.

- Mam nadzieję, że jesteś przygotowany na baty, jakie dostaniemy z powodu „Freech”. - Romano wzruszył ramionami i nic nie powiedział. - Wiesz, teraz się zacznie.

- Niech się zaczyna. Te kutasy same się o to prosiły. Rozwalili Charliego.

- Nie zostali jeszcze skazani, Paulie.

- Dowództwo w Biurze nie zezwoliłoby na uderzenie, gdyby nie mieli cholernej pewności, że to te włóczęgi to zrobiły. Przynajmniej mam taką nadzieję, do diabła - dodał już z mniejszym przekonaniem.

Web usiadł prosto.

- W całym tym scenariuszu niepokoi mnie to, że musimy uwierzyć, że faceci, których właśnie sprzątnęliśmy, mieli dość wiedzy i możliwości, aby stworzyć automatyczne gniazdo ogniowe, używając minidzia-

łek ukradzionych armii, i zrobili to tak dobrze, że nikt niczego nie zauważył. I że w dodatku zamordowali sędziego, prokuratora i adwokata za pomocą najnowocześniejszych materiałów wybuchowych i o mały włos nie załatwili też Billy'ego Canfielda, ciebie i mnie? A teraz rzekomo kierują interesem narkotykowym na wielką skalę, który obejmuje swoim zasięgiem Dystrykt? I to ma być zemsta za coś, co zdarzyło się przed laty? Do diabła, większość facetów, których właśnie zastrzeliliśmy, była dopiero w szóstej klasie, kiedy Ernie i jego kumple zaatakowali tamtą szkołę. Ich głupi wartownicy grali w gry wideo i mieli jeden półautomat na całą grupę. To gównu nie układa się w sensowną całość, Paulie, a może coś przegapiłem?

- Nie, to się nie trzyma kupy- zgodził się Romano. - Ale są bezpośrednie dowody, Web, dość, by iść z nimi do sądu i wygrać. A kogo obchodzą „Free”? To śmieci.

- Zgadza się. Kogo obchodzą „Free”? Doskonale nadają się na koszty ofiarne. I wszyscy myślą, że wyciągnęli Ernesta Freego z więzienia o zaostrozonym rygorze trzy tysiące kilometrów stąd, ale faceta nie było w tym kompleksie. A ja myślę, że te cieniasy miałyby takie same szanse na wydobycie Erniego z więzienia jak na obrabowanie Białego Domu.

Romano wpatrzył się w Weba.

- W porządku, zamieniam się w słuch. Co o tym myślisz?

- Zastanawiam się, dlaczego naprawdę brutalny handlarz prochami chciałby mi powiedzieć o tych tunelach. Zastanawiam się też, dlaczego ciężarówka zarejestrowana na Silasa B. Freego i jak zgłoszono, później skradziona, jest nagrana na taśmie dokładnie w miejscu, które uznaliśmy za początek drogi ludzi wnoszących karabiny, kiedy już się dowiedzieliśmy o tunelach. Wyszedłeś z pokoju, więc nie słyszałeś, jak Bates mówił, że Silas może powiedział prawdę. Może ciężarówkę faktycznie ukradziono. Ale masz rację, czas połączyć poszczególne punkty, wydaje się, że wszystko pasuje. To może być ładne i czyste z punktu widzenia prokuratora, ale nie sądzę, żeby nawet stary Silas był taki głupi, i nie sądzę, żeby mój dobry kumpel Francis Westbrook był taki bezinteresowny. - Web wyrżał przez brudne okno restauracji, gdy blask słońca zaczął wlewać się do środka. Czy nie byłoby przyjemnie, gdyby tak idealnie rozjaśniło mu się w głowie? Popatrzył znów na Romano. - Objadałeś się przysmakami, kiedy byłeś mały, Paulie?

- Taak, pewnie, jako jeden z dziesięciorga dzieciaków w blokowiskach Brooklynu? Do diabła, miałem własnego służącego.

- Cóż, ja też rzadko jadłem smakołyki, ale przecucie mówi mi, że właśnie nakarmiono nas najstodszyim cholernym torcikiem, jaki kiedykolwiek widziałeś, i połknęliśmy każdy kąsek. Myślę, że jacyś ludzie chcieli sprzątnąć „Freech”, a my tylko zrobiliśmy to za nich.

Kiedy znaleźli się znów w East Wnds, Web zadzwonił do Claire na numer jej telefonu komórkowego, ale nie odebrała. Próbował złapać ją w pracy, ale bez powodzenia. Zadzwonił do hotelu, w którym mieszkała. Tam też mu się nie poszczęściło. Odłożył telefon i nie podobało mu się to wszystko ani trochę. Namyslał się, czy jechać do hotelu, czy nie. Może po prostu brała akurat prysznic. Postanowił spróbować później.

Następnie on i Romano zrobili coś, czego żaden z nich nie mógł dłużej odkładać: przesпали kilka godzin. Potem podjechali do głównego budynku i zlurowali patrolujących ten teren agentów. Gwen powitała ich w drzwiach. Była blada.

- Widzieliśmy wiadomości - powiedziała. Zaprowadziła ich do salonu przy głównym korytarzu.

- Gdzie jest Billy? - zapytał Web.

- Na górze. Cały czas leżał w łóżku. Nie oglądał tej taśmy od lat. Nie wiedziałam nawet, że ona jest na tej cholernej półce. - Web widział, że jej twarz jest wilgotna od łez.

- To moja wina, Gwen, nie wiem, do diabła, co to był za pomysł, żeby puścić tę taśmę w waszym domu.

- To nie miało znaczenia, Web, to musiało się kiedyś zdarzyć.

- Możemy coś zrobić?

- Zrobiliście już dość i to cholernie dobrze.

Wszyscy się odwrócili i popatrzyli na drzwi, w których stał Billy w starych dżinsach, boso, z koszulą na wierzchu. Włosy miał w nieładzie i Web uznał, że ogólnie wygląda strasznie. Billy zapalił papierosa, stulił dłoń, aby używać jej jako popielniczki, i podszedł bliżej. Web zauważył, że Gwen nie zrobiła nic, by przeszkodzić mu w paleniu.

Usiadł naprzeciw Weba i Romano, a jego świdrujące oczy obserwowały ich zza obłoczków dymu. Web czuł od niego zapach alkoholu z miejsca, w którym stał, i zakładał, że Gwen też go czuje. Wstała z krzesła, żeby podejść do męża, ale on pokazał jej gestem, żeby usiadła z powrotem.

- Oglądaliśmy telewizję - powiedział Billy.

- Gwen mówiła nam o tym - odparł Web.

Billy spojrział na niego z ukosa, jakby odległość trzydziestu centymetrów, która ich dzieliła, była za duża dla jego wzroku.

- Zabiliście ich wszystkich?

- Nie wszystkich. Większość. - Web patrzył mężczyźnie prosto w oczy. Po części myślał, że Billy być może opija upadek „Freech”, a po części, że mężczyzna wyrzuci jego i Romano za darowanie któremuś z nich życia.

- Jakie to było uczucie?

- Billy! - odezwała się Gwen. - Nie masz prawa o to pytać. Mówimy o zabitych ludziach.

- Wiem wszystko o zabitych ludziach, kochanie - stwierdził Billy, posyłając jej zdawkowy uśmiech. Popatrzył znów na Weba w oczekiwaniu odpowiedzi.

- To było gówniane uczucie. To zawsze jest gówniane uczucie. Większość z nich wyglądała na uczniów szkoły średniej albo dziadków.

- Mój syn miał dziesięć lat. - Billy powiedział to bez emocji, po prostu stwierdzając fakt.

- Wiem o tym.

- Ale słyszę, co mówisz. W ogóle nie jest łatwo kogoś zabić, jeśli nie jesteś mocno porąbany. Trudne jest to tylko dla dobrych facetów. - Wskazał na Weba, a potem na Romano. - Dla ludzi takich jak wy.

Gwen pospiesznie podeszła do męża, zanim zdążył ją znów powstrzymać. Objęła ramieniem jego barki.

- Chodźmy z powrotem na górę.

Billy zignorował ją.

- W telewizji mówią, że drogiego Ernesta B. Freego nie było między zabitymi. To prawda?

Web skinął głową i Billy się uśmiechnął.

- Sukinsynowi po prostu dalej dopisuje szczęście, co?

- Na to wygląda. Ale jeśli zamierzał wrócić do domu do swojej małej ekipy, to będzie musiał sobie znaleźć gdzie indziej dach nad głową.

Billy pomyślał o tym.

- Cóż, to już coś. - Popatrzył na Gwen. - Gdzie jest Strait?

Wydawało się, że Gwen z wielką ulgą przyjęła zmianę tematu.

- Wraca z aukcji. Będzie tutaj dziś wieczorem. Zadzwoił z drogi. Wszystkie roczniaki sprzedane i za każdego dostaliśmy cenę, jakiej chcieliśmy.

- Do cholery, trzeba to uczcić. - Przyjrzał się Webowi i Romano. - Chcecie poświętować, przyjaciele? Powiem wam, co zrobimy, poczekamy, aż drogi Nemo wróci wieczorem, a potem urządzimy sobie tutaj małą imprezę. Co wy na to?

- Wątpię, czy mają wielką ochotę na świętowanie, Billy - zauważyła Gwen.

- Cóż, ja na pewno ją mam, do diabła. Sprzedaliśmy roczniaki, „Free” nie żyją i musimy zaprosić Weba i Paula na pożegnalne przyjęcie, bo skoro tamci nie żyją, nie potrzebujemy już ochrony, prawda? Możecie wszyscy skończyć pracę i zaraz się stąd wynieść - rzucił głośno.

- Billy, proszę - odezwała się Gwen.

Web miał już powiedzieć, że nie można jeszcze ocenić, czy Gwen i Billy są bezpieczni, ale się powstrzymał.

- Powiem ci, jak zrobimy, Billy. Jeśli pozwolisz nam zostać jeszcze parę dni, to przyjdziemy na twoje przyjęcie dziś wieczorem.

Gwen popatrzyła na niego ze zdumieniem, a Billy tylko skinął głową, wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaciągnął się mocno resztką papierosa. Zgasił go w swojej twardej jak podeszwa dłoni, przy czym nawet się nie skrzywił. Web po raz pierwszy zwrócił uwagę na ręce mężczyzny. Były wielkie, umięśnione i poplamione czymś, co wyglądało na kwas albo coś takiego. Wtedy przypomniał sobie o warsztacie taksydermicznym. Zabijanie i wypychanie.

- Zobaczymy się dziś wieczorem, panowie - pożegnał ich Billy.

Gwen odprowadziła ich do wyjścia i powiedziała Webowi cichym głosem, że nie musi przychodzić.

- Zobaczymy się wieczorem, Gwen - odparł tylko, a ona powoli zamknęła za nimi drzwi.

- O co w tym wszystkim chodziło, do diabła? - zapytał Romano. - To znaczy, po co była ta gadka o dziwnym gównianym uczuciu?

Zanim Web zdążył odpowiedzieć, zadzwonił jego telefon. Wyjął go błyskawicznie, z nadzieją, że to Claire, ale był to Bates.

- Chyba czas zwinąć obóz w East Winds - powiedział Perce.

- Możesz wycofać swoich ludzi, ale Canfieldowie poprosili Romano i mnie, żebyśmy zostali.

- Żartujesz sobie?

- Nie, i właściwie myślę, że to dobry pomysł. „Free”, którzy byli w tamtym kompleksie, są już nieszkodliwi, ale kto wie, czy nie ma gdzieś innych członków ich organizacji? I Ernie jest nadal na wolności.

- To prawda. W porządku, słuchaj, siedźcie tam, ale dajcie mi znać, jeśli coś się zdarzy, i mówię o sekundzie, w której się to zdarzy, a nie o czasie Weba Londona.

- Zgoda. Cove się odezwał?

- Nie. Jakby się zapadł pod ziemię.

Web pomyślał o Claire.

- Taak, ja też mam jeden taki przypadek.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Web załatwiał członków Wolnego Społeczeństwa w południowej Wirginii, Claire Daniels siedziała w opasce na oczach, z kneblem wepchniętym boleśnie w usta. Słyszała w tle dyskusje, a raczej kłótnie mężczyzn, w których przypuszczalnie chodziło o nią. Rozpoznawała głos Eda O'Bannona i jeżyła się za każdym razem, kiedy go słyszała. Sukinsyn mierzył do niej z pistoletu przez całą drogę na podziemny parking, a potem skleił jej ręce i nogi taśmą i wrzucił ją do bagażnika swojego samochodu. Nie miała pojęcia, gdzie teraz jest. Mrugając oczami, wstrzymywała łzy, i wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć, że pracowała obok tego człowieka przez cały czas i nigdy nie podejrzewała, że dzieje się coś takiego.

Głosy umilkły i poczuła, że zbliżają się do niej ludzie. Domyślała się, że znowu pistolet zostanie przystawiony do jej głowy, i tym razem ktoś z pewnością strzeli i zabije ją. Nagle pociągnięto ją w górę tak brutalnie, że prawie zwichnięto jej rękę. Poczowała, że jest unoszona i przrzucana przez czyjeś ramię. Ten, kto ją niósł, był silny; mężczyzna nawet nie oddychał ciężko, a Claire pod swoim brzuchem wyczuwała mięśnie twarde jak żelazo.

Po paru minutach zastała położona, a potem usłyszała brzęknięcie metalu o metal. Następny samochodowy bagażnik. Przerzucana z miejsca na miejsce w opasce na oczach, Claire straciła poczucie równowagi i dostała mdłości. Silnik zapalił i wkrótce byli w drodze. Próbowwała wyłapać dźwięki, które dostarczyłyby jakiejś wskazówki, dokąd jadą, ale wkrótce zrezygnowała, bo dobiegało po prostu za dużo różnych odgłosów, poza tym wszystkie one były stłumione. Oceniała, że jadą mniej więcej godzinę, kiedy ruchy samochodu zaczęły wskazywać, że nie są już na prostych, równych drogach, tylko na krętych i pagórkowatych. Czy pojechali na wieś? Czy wieźli ją do jakiegoś odległego lesistego rejonu, aby ją zabić i zostawić jej ciało, żeby powoli zniszczyły je zwierzęta, owady i żywioły? Pracując z obrońcami prawa, Claire widziała szczątki kobiety, która została zgwałcona i zamordowana, po czym zwłok leżały w lesie przez dwa tygodnie. Poza kośćmi właściwie nic z niej nie zostało. Ten widok wywołał u niej mdłości. Czy tak będzie wyglądać, kiedy ktoś ją znajdzie?

Samochód zwolnił, poczuła, że wzięli ostry zakręt, i wtedy prędkość znów się zmniejszyła. Teraz jechali wyboistymi polnymi drogami i rzucało nią w bagażniku. Dwa razy uderzyła się w głowę, raz wystarczająco mocno, żeby w oczach stanęły jej łzy. Samochód się zatrzymał, usłyszała, jak silnik gaśnie i otwierają się drzwi. Przygotowała się na najgorsze. Usłyszała kroki zbliżające się do bagażnika. Zesztywniała jeszcze bar-

dziej, rozpacz i uczucie bezradności były o wiele głębsze niż kiedykolwiek wcześniej. Co odczuwa się w czasie umierania? Kula w głowę, czy doznałaby jakiegoś bólu? Web został postrzelony, dwukrotnie. Wiedział, jak to jest, kiedy się myśli, że się umiera. Przeżył jednak, bo wszystko potrafił przetrwać. Jego życie było o wiele trudniejsze niż jej. Doradzała ludziom w sprawie ich kłopotów, a we własnym życiu, poza rozwodem, który przebiegł w dość przyjaznej atmosferze, nie miała żadnych istotnych zawirowań. Po raz pierwszy zastanawiała się, co poza wszystkimi stopniami naukowymi, daje jej prawo do mówienia ludziom, jak mogą sobie poradzić ze swoimi problemami. Tak, Web przetrwał wiele rzeczy; Claire sądziła, że nie jest taka silna jak on. Zacerpnęła głęboko powietrza, gdy bagażnik został otwarty i silne ramiona otoczyły ją, a potem podniosły. To nie był O'Bannon. Claire wiedziała, że jest on mężczyzną o bardzo niewielkiej sile fizycznej. Ze wszystkich stron słyszała odgłosy lasu i żyjących tam zwierząt, drapieżników, które może wkrótce znajdą jej zwłoki. Na początku powstrzymywała łzy, a potem postanowiła, że po prostu pozwoli im płynąć. Tych ludzi to przecież nie obchodziło.

Poczuła, że mężczyzna kroczy po nierównym terenie, potknął się kilka razy, ale zaraz odzyskał równowagę. Po chwili zaczął stąpać po innym podłożu niż ziemia, po drewnie, cegle albo po kamieniach, nie była pewna, ale usłyszała tę zmianę, i wtedy kluczem otworzono jakieś drzwi. To ją zaskoczyło, bo zakładała, że są na odludziu. Może to była leśna chata, ale potem usłyszała odgłosy pracujących maszyn i czegoś, co wydawało jej się płynącą wodą. Czy byli blisko strumienia albo rzeki? Czy niedaleko znajdowała się zaporą, a może stacja uzdatniania wody? Czy to tam miało trafić jej ciało? Potem miała wrażenie, że idą albo w górę, albo w dół, tego też nie była pewna, bo wraz z poczuciem równowagi straciła poczucie kierunku. Właściwie to myślała, że może zwymiotuje, a nacisk jej brzucha na twarde, kościsty bark mężczyzny nie łagodził mdłości. Czowała też silny zapach chemikaliów, który wydawał się znajomy, ale nie do końca potrafiła go zidentyfikować, tak rozregulowane były wszystkie jej zmysły. Przez chwilę myślała, że zwymiotowanie na niosącego ją mężczyznę sprawiłoby jej jakąś małą przyjemność, dało uczucie triumfu, ale mogłoby też skłonić go do szybszego zadania jej śmierci.

Otworzyły się kolejne drzwi i przeszli przez nie, zapewne do następnego pomieszczenia. Mężczyzna kucnął i położył ją na czymś miękkim, może na łóżku. Jej spódnica uniosła się krępująco wysoko, kiedy mężczyzna ją niósł, a ponieważ ręce miała sklezione, w żaden sposób nie mogła pociągnąć jej w dół. Zesztywniała, kiedy poczuła, jak jego dłonie przesuwają się po jej nogach, i pomyślała, że ściągnie jej

majtki i doda gwałt do listy swoich przestępstw. Jednak zrobił tylko tyle, że szarpnięciem opuścił jej spódnicę.

Następnie przeciągnął jej sklezione ręce nad głowę i brzęk metalu kazał jej myśleć, że przykuł je do czegoś kajdankami, może do łóżka albo do kółka zamocowanego w ścianie. Gdy tylko się odsunął, próbowała opuścić ręce, ale nie mogła nimi ruszyć. Bez względu na to, do czego ją przykuto, nie była w stanie się uwolnić.

- Dostaniesz później trochę jedzenia i wody. Na razie spróbuj się po prostu rozluźnić. - Nie rozpoznała tego głosu. Mężczyzna nie zaśmiał się po swoich niedorzecznych słowach, ale Claire z łatwością wyczuła kryjące się za nimi rozbawienie.

Drzwi zamknęły się i znów była sama. Tak myślała, dopóki nie wyczuła ruchu w przeciwległej części pomieszczenia.

- Wszystko w porządku, proszę pani? - zapytał Kevin Westbrook.

Web zaczynał się martwić. Claire nie oddzwoniła, zatelefonował do hotelu, ale nie odebrała. Zadzwoił do jej domu i tam też nie podniosła słuchawki. W poradni jej nie widziano; nie była umówiona z żadnymi pacjentami, bo i tak był to jej wolny dzień. Pomyślał, że może po prostu wybrała się na przejażdżkę wzdłuż Błękitnego Pasma albo robiła coś w tym rodzaju. Nie wspomniała mu o wycieczce, a nawet jeśli dokądś pojechała, to czemu nie odbierała, kiedy dzwonił na jej komórkę? Wszystkie zawodowe instynkty mówiły mu, że coś jest nie tak.

Zostawił Romano w East Winds i pojechał do hotelu. Nie było to miejsce, w którym ktoś zauważałby wyjścia i powroty gości, ale Web pomyślał, że spróbuje. Jednak pracownicy, którzy mogli widzieć, jak przyszła wieczorem, nie pełnili jeszcze dyżuru. I nikt, z kim rozmawiał, nie przypominał sobie, żeby ktokolwiek podobny do Claire przeszedł poprzedniego dnia przez hol. Na parkingu nie było też jej samochodu. Pojechał do domu Claire, znalazł z tyłu otwarte okno i dostał się przez nie do środka. Przeszukał dokładnie dom, ale nie znalazł nic, co mogłoby mu powiedzieć, gdzie się podziała. Znalazł jednak notes, w którym był numer telefonu i adres jej córki. Uczyła się w Kalifornii, a więc jednodniowe odwiedziny Claire nie wchodziły w grę. Web zastanawiał się, czy zadzwonić do dziewczyny, ale być może po telefonie z FBI niepotrzebnie wpałaby w histerię, gdyby potem się okazało, że nic się nie stało. Opuścił dom Claire i pojechał do poradni. O'Bannona nie było, ale zastał inną osobę, która tam pracowała, kobietę. Nie rozmawiała z Claire i nie wiedziała, gdzie ona może być.

- Trzy szanse zmarnowane i po pałkarzu - mruknął Web.

Zszedł po schodach na parter, błysnął odznaką przy biurku ochroniarza i zapytał, czy coś niezwykłego zdarzyło się poprzedniego wieczoru. Wynajęty gliniarz stanął na baczność na widok odznaki FBI i przejrzał zapiski pozostawione przez zmiennika pracującego w nocy. Weba sprawdzano tutaj, kiedy przychodził do Claire, bo goście musieli wpisywać się do książki, ale tego strażnika nie rozpoznawał. Prawdopodobnie pilnowali kolejno wielu budynków.

- Taak, w dzienniku jest mowa o telefonie od doktor Daniels o dwunastej trzydzieści w nocy. Powiedziała, że zgasły światła w jej gabinecie, i strażnik poinformował ją, że wszystkie instalacje elektryczne działają i że to może być bezpiecznik, zapytał ją, czy potrzebuje pomocy. - Młody mężczyzna przeczytał to wszystko sztucznym i trochę drżącym głosem, prawdopodobnie nie za bardzo różniącym się od tego, którym mówił w okresie dojrzewania. - Odpowiedziała przecząco, to wszystko. - Spojrzał na Weba znad papieru. - Czy chce pan, żebym coś zrobił?

Wielkie oczy młodzika po prostu błagały Weba, aby znalazł dla niego zadanie. Web zauważył, że facet jest uzbrojony i że prawdopodobnie nie powinno tak być.

-Wiem, że odnotowujecie w książce każde wejście i wyjście gościa. Przed chwilą sam się podpisałem, kiedy wchodziłem do budynku.

- Zgadza się.

Web czekał cierpliwie przez parę sekund, ale chłopak po prostu nie załapał.

- Mogę zobaczyć ten wykaz? - spytał w końcu Web.

Facet prawie podskoczył na krześle. Web zauważył, że młodzik przyjrzał się jego twarzy i być może rozpoznał w nim gościa ze wszystkich tych niedawnych programów telewizyjnych. Prawdopodobnie myślał, że Web jest na wpół obłąkany i trzeba spełniać jego życzenia za wszelką cenę, jeśli chce się uniknąć gwałtownej śmierci. I akurat teraz Webowi doskonale odpowiadało takie postrzeżenie jego osoby.

- Tak, proszę pana.

Podał mu książkę i Web szybko przejrzał ostatnie strony. Poprzedniego dnia pojawiło się mnóstwo gości w godzinach pracy, ale skończyli przychodzić o szóstej. Popatrzył na strażnika.

- A po godzinach pracy? Jaka jest procedura z wpisami?

- Cóż, to jest system na karty z szyfrem i zamek w drzwiach automatycznie zamyka się o szóstej. Jeśli ktoś chce wejść później, jeden z użytkowników lokali musi zadzwonić na dół i powiadomić o tym ochronę, a kiedy gość tu dociera, dzwoniemy na górę i ta osoba musi zejść na dół i zająć się nim. Gość może też skorzystać z telefonu na zewnątrz, podać swoje nazwisko i powiedzieć, z kim ma się tu spotkać. Dzwonimy na górę i pracownik schodzi tutaj. Jeśli nie odbiera albo nie spodziewa się tego gościa, nie wchodzi on, taka jest zasada. Są tu jakieś urzędy państwowe i podobne instytucje. Myślę, że mogą nawet mieć coś wspólnego z Pentagonem - dodał z odrobiną dumy. -To bardzo bezpieczny obiekt.

- Jestem pewien - powiedział z roztargnieniem Web, nadal studiując książkę. - Czy w tym budynku jest podziemny parking? - Web zawsze zostawiał samochód przed wejściem.

- Tak, proszę pana, ale system na karty z szyfrem działa tam dwa-dzieścia cztery godziny na dobę, a mają je tylko użytkownicy lokali.

Web zapisał sobie w pamięci, żeby sprawdzić, czy na parkingu stoi volvo Claire.

- A więc użytkownicy mogą wchodzić i wychodzić, używając windy parkingowej, i omijać ochronę?

- Zgadza się, ale tylko użytkownicy.

- Na parkingu jest zwykła podnoszona brama?

Strażnik skinął głową.

- A gdyby ktoś się wkradł do garażu bez samochodu? Czy może wejść na górę windą, nie mając karty?

- Nie po godzinach pracy.

- A jak to wygląda w godzinach pracy? - nalegał Web.

- Ehm, to mogłoby się udać - powiedział strażnik słabym głosem, jakby spostrzeżenie Weba właśnie zniszczyło jego karierę zawodową.

- No tak. Proszę posłuchać, czy mógłbym pomówić z facetem, który miał dyżur wczoraj wieczorem i rozmawiał z Claire?

- Tommy Gaines. To mój przyjaciel; właściwie to zaczęliśmy służbę w tym samym czasie, zaraz po szkole średniej. Pracuje na zmianie od dziesiątej do szóstej. - Uśmiechnął się szeroko. - Tommy prawdopodobnie jest w domu i śpi jak zabity.

- Niech pan do niego zadzwoni - nakazał Web tonem, który sprawił, że młodzik chwycił słuchawkę i zaczął wybierać numer.

Tommy odebrał, Web przejął słuchawkę i podał swoje nazwisko. Usłyszał, że senny Gaines w jednej chwili stał się czujny.

- Jak mogę panu pomóc?

Web wyjaśnił, czego szuka.

- Rozumiem, że nie widział pan, jak Claire Daniels wychodzi?

- Nie, myślałem, że po prostu wyjechała z parkingu, tak jak zawsze. Pracowałem tam na dziennej zmianie przez rok, a więc wiem, kto to taki. To była naprawdę miła kobieta.

- Jeszcze nie umarła, synu — powiedział Web.

- Nie, proszę pana, nie to miałem na myśli.

- Tutaj jest napisane, że zadzwoniła do pana o dwunastej trzydzięści dziś w nocy. Często pracowała do późna?

- Cóż, niekoniecznie bym o tym wiedział, skoro nie musiała przychodzić i wychodzić przez hol.

- Rozumiem; próbowałem się dowiedzieć, czy kiedykolwiek wcześniej widział ją pan tutaj o tak późnej porze.

- Nie, nie widziałem.

- Czy mówiła dziwnym głosem, kiedy zadzwoniła?

- Wydawała się wystraszona, ale myślę, że gdyby światła zgasły wo-

kół mnie, też bym się przestraszył, a ona jest kobietą, była tam sama i w ogóle.

- Racja. - Web znał agentki FBI, Tajnej Służby i DEA, które mogły przegryźć młodego pana Gainesa na pół i nawet się nie spocić. - Powiedziała, że jest całkiem sama?

- Co takiego? Cóż, właściwie przypominam sobie, że nie, nie powiedziała tego. Ale odniosłem takie wrażenie, bo zadzwoniła na dół i w ogóle.

- A tu na dole światła działały?

- Tak. I widziałem parę innych budynków. Tam też paliły się światła. To dlatego powiedziałem jej, że być może zadziałał konkretny wyłącznik. Widzi pan, w każdej części tego budynku są osobne skrzynki kontrolne. W ten sposób jeśli jedno biuro naprawia instalację elektryczną albo musi odciąć prąd z jakiegoś powodu, nie ma to wpływu na resztę budynku. Istnieje główny wyłącznik zasilania dla całego budynku, ale jest zamknięty, a klucz ma inżynier budynku.

- I powiedział jej pan, że wejdzie pan na górę, ale ona odpowiedziała, że wszystko w porządku i że sama sprawdzi skrzynkę z wyłącznikami.

- Zgadza się.

- I później już nie dzwoniła do pana?

- Zgadza się.

Web pomyślał przez chwilę. Teraz w poradni światła działały. Ale może warto było jeszcze coś sprawdzić.

- Och, agencie London - powiedział Gaines. - Przypomniałem sobie, że mniej więcej dwadzieścia minut po telefonie doktor Daniels coś jednak zauważyłem.

Web zeszywniał.

- Co? Podaj mi wszystkie szczegóły, które pamiętasz, Tommy.

- Cóż, jedna z wind ruszyła w górę. To może się zdarzyć po godzinach pracy, tylko jeśli ktoś ma kartę i aktywuje ją.

- Skąd wyjechała winda?

- Z parkingu w górę. Zobaczyłem to na wskaźniku piętra. Była na P2, a potem pojechała w górę. Robiłem właśnie obchód i wyraźnie to widziałem.

- Może to Claire Daniels chciała zjechać na dół - odezwał się głośno do Weba drugi strażnik.

Web pokręcił głową.

- Większość wind, szczególnie po godzinach pracy, jest zaprogramowana tak, że wracają na poziom holu. Gdyby Claire nacisnęła guzik, przywołując windę, ruszyłaby ona z holu, a nie z poziomu parkingu.

- Och, zgadza się - potwierdził przygnębiony młodzik.

Tommy Gaines najwyraźniej usłyszał tę wymianę zdań, bo powiedział:

- Chyba też pomyślałem, że to pani Daniels, bo dzwoniła tak niedawno, sądziłem, że zgaśnięcie świateł ją zdenerwowało i że postanowiła pojechać do domu. Ale ma pan rację co do wind. Kabina musiała zostać wezwana przez kogoś, kto był na poziomie P2, a ja przypadkiem przechodziłem obok niej, kiedy jechała z powrotem w górę, i wbiłem sobie do głowy, że to pani Daniels ją wezwała.

- Widział pan, gdzie się zatrzymała? - zapytał Web. - Jeśli dobrze pamiętam, poradnia, w której ona pracuje, zajmuje większość tamtego piętra.

- Nie, po prostu dalej robiłem obchód. A więc nie widziałem tego i nie widziałem też, kiedy winda zjechała z powrotem na dół. Ale kogośkolwiek to był, nie wyszedł przez hol, bo to bym zobaczył. Przykro mi, to wszystko, co wiem - dodał.

- Nie, w porządku, Tommy, bardzo mi pomogłeś. - Popatrzył na młodzika za biurkiem. - I pan też.

Gdy Web naciskał guzik windy i jechał z powrotem do poradni, miał o czym myśleć. Albo był to przypadek, albo ktoś wjechał na górę dwadzieścia minut po tym, jak Claire zadzwoniła na dół, może po prostu inna osoba pracująca po nocy, a może działo się coś innego. W tych okolicznościach Web po prostu musiał przyjąć, że chodziło o tę drugą możliwość.

Kiedy znalazł się w poradni, zapytał tę samą kobietę, która pomogła mu wcześniej, czy może zobaczyć węzeł elektryczny.

- Zdaje mi się, że jest tam - odpowiedziała niepewnie.

- Dziękuję.

- Myśli pan, że coś się stało Claire? -zapytała niespokojnie kobieta.

- Jestem pewien, że ma się dobrze.

Web podszedł do komórki i stwierdził, że jest zamknięta na klucz. Odwrócił się, ale kobieta wróciła już do swojego gabinetu. Wyjął swój mały wytrych i wkrótce otworzył komórkę. Rozejrzał się. Zauważył zaraz, że coś zostało oderwane od ścianki. Na tablicy rozdzielczej była wyraźna luka, a na podłodze leżały izolacje przewodów i resztki kabli. Web nie miał pojęcia, czy zrobiono to ostatnio, czy dawno temu. Miał nadzieję, że nie stało się to tej nocy. Gdy obrócił głowę, jego doświadczone oczy dostrzegły to, co przegapiła Claire: bezprzewodowy czujnik na wewnętrznej stronie futryny, podobny do tych instalowanych w domach, które uruchamiały alarm, kiedy ktoś otwierał drzwi i styki się rozłączały. Web widział mnóstwo takich urządzeń, ale nigdy w komórce z węzłem elektrycznym w biurowcu. Podszedł do drzwi poradni i otworzył je. Nie było tam żadnego czujnika; właściwie to nie widział w ogóle tablicy alarmowej. Czemu system alarmowy miałby zabezpieczać tylko węzeł elektryczny, a nie całą poradnię? Chłodny dreszcz

lęku przeszedł Weba, kiedy popatrzył na wszystkie zamknięte drzwi wzdłuż korytarza. Claire powiedziała mu, że wielu agentów FBI, ich małżonków i innych obrońców prawa szukało tutaj fachowej pomocy. Za tymi drzwiami ujawniano dużo prywatnych, poufnych informacji.

- Cholera! - Web pobiegł do gabinetu Claire. Drzwi były zamknięte na klucz. Otworzył zamek wytrychem i wszedł. Zobaczył latarkę na podłodze, miał już przeszukać jej biurko, kiedy przypadkiem spojrzął w górę i zobaczył zwisający z sufitu wykrywacz dymu. Sięgnął do niego, ale cofnął rękę, jego wyszkolenie z FBI wzięło górę nad ciekawością. Być może to miejsce popełnienia przestępstwa, odciski palców; nie zanieczyszczając dowodów. Zadzwoił do Batesa, wyjaśnił mu sytuację i FBI rozeszło rysopis Claire; Bates pojawił się z ekipą techników po trzydziestu minutach.

W ciągu trzech godzin cała poradnia została skrupulatnie przeszukana i przesłuchano obecnych tam ludzi. Web siedział przez cały ten czas w poczekalni. Bates wyszedł w końcu, był blady.

- Nie wierzę w to, Web, naprawdę.

- Wykrywacze dymu były urządzeniami podsłuchowymi, zgadza się?

Bates skinął głową.

- I wideo. Kamery z obiektywami otworkowymi.

- Technologia PLC?

Bates znów kiwnął głową.

- Takich używają szpiegów. Nowoczesny sprzęt.

- Cóż, chyba właśnie znaleźliśmy nasz przeciek.

Bates popatrzył na listę, którą trzymał w rękach.

- Chyba tak, patrzysz na poszczególne nazwiska i widzisz, że jest jakiś agent tutaj, czyjś małżonek tam, nic wielkiego. Ale sprawdziliśmy w centrali, gdzie mają wykazy z poradni, bo ubezpieczenie Biura pokrywa rachunki. Uwierzysz, że prawie dwie setki agentów, ich małżonków i innych pracowników związanych z Biurem są tu pacjentami? Mówię o ludziach na wszystkich szczeblach, aż do samej góry. A kto wie, ile leczy się tu osób z innych agencji, takich jak DEA, Tajna Służba, Policja Kapitolu?

- Cóż, chodzenie do mózgowców tak naprawdę nigdy nie było popularne wśród agentów. Teraz chyba trzeba będzie z tym po prostu skończyć.

- O'Bannon miał wszelkie najważniejsze zaświadczenia. Był kiedyś w wojsku, pracował na etacie w Biurze jako doradca, solidny jak skała. Tak przynajmniej myśleliśmy.

- Ocean informacji. - Web tylko pokręcił głową. - Debbie Riner, Angie Romano i inne. Faceci nie powinni rozmawiać ze swoimi żonami o pracy, ale to się zdarza. Wszyscy są ludźmi.

- To na pewno stąd wiedzieli, że uderzycie na tamten budynek wtedy w nocy i nawet gdzie będzie która grupa. To był zaplanowany szturm, przygotowania trwały długo. Jeden z facetów mógł powiedzieć trochę ślubnej, ona wygadała się z tym przed O'Bannonem i bam, pluskwy to zarejestrowały. - Bates ukrył twarz w dłoniach. - Cholera, jak powiem Debbie Riner, że być może pomogła zabić swojego męża?

- Nie powiesz, Perce. Nie powiesz - odparł stanowczo Web.

- Ale jeśli tego nie zrobię, dowie się z jakiegoś innego źródła. I, Boże, pomyśl o możliwościach szantażu. Skąd mamy wiedzieć, czy to już się nie zdarzyło?

- Pogódź się z tym, Perce, że to ośmiornica z mackami, która nigdy nie przestaje rosnąć. - Web rozejrzał się po poradni. - Można doliczyć się wszystkich psychiatrów?

- Wszystkich oprócz Claire Daniels.

- A O'Bannon?

Bates usiadł.

- Wydaje się, że zdecydowanie brał w tym udział. Jego teczki zniknęły. Sprawdziliśmy jego dom. Też został wysprzątnięty. Rozesłaliśmy rysopisy, ale jeśli to wszystko zdarzyło się dziś w nocy, ma wielką przewagę czasową. Mógł wsiąść do prywatnego samolotu i już opuścić kraj. - Bates potarł czoło. - To koszmar. Wiesz, co się stanie, kiedy media się do tego wezmą? Wiarygodność Biura zostanie zrujnowana.

- Cóż, jeśli zdołamy zgarnąć ludzi, którzy za tym stoją, może uda się nam częściowo ją odzyskać.

- O'Bannon nie kręci się w pobliżu, czekając, aż przyjdziemy i go aresztujemy, Web.

- Nie mówię o O'Bannonie.

- A więc o kim?

- Pozwól, że najpierw zadam ci pytanie, po którym prawdopodobnie będziesz miał ochotę mi przyłożyć, ale potrzebuję jednoznacznej odpowiedzi, jeśli mam być w stanie ci pomóc.

- Pytaj, Web.

- Czy istnieje możliwość, że O'Bannon współpracował w tej sprawie z Biurem, a w gabinetach były podsłuchy, by kierownictwo wiedziało, jakie problemy mają szeregowi pracownicy?

- Właściwie przemknęło mi to przez myśl. I odpowiedź brzmi: nie. Rzecz w tym, że niektórzy naprawdę wysoko postawieni ludzie też tu przychodzą, nie tylko zwykli agenci. I mówię o takich zawodnikach wagi ciężkiej - a także ich żonach - którzy mogliby załatwić prawie każdego w Biurze, gdyby działało się takie gównno.

- W porządku, a więc przyjmijmy po prostu, że to O'Bannon zorganizował całe to potajemne gromadzenie danych. Po co? Nie dla zaba-

wy. Dla zysku. Zawsze chodzi o dolce. Sprzedaje informacje wielu różnym ludziom i dlatego wszędzie zdarzają się nieudane operacje obrońców prawa. I może ktoś kupić info od O'Bannona, żeby przeprowadzić atak na Charliego. Tak jak powiedziałaś, mógł uzyskać szczegóły od jednej z żon, które spotykały się z nim jako pacjentki. Ktokolwiek za tym stoi, chcę go dopaść.

- Cóż, myślałem, że wiemy kto. „Free”. Już ich rozbiliśmy.

- Och, naprawdę tak myślisz?

- A ty nie?

- Wydaje się, że wszystko pasuje, nawet zbyt doskonale. Czy mamy jeszcze jakieś informacje o tym, co mogło się stać z Claire?

- Taak, i nie są dobre. Mniej niż pół godziny po zgaśnięciu światel w jej gabinecie, O'Bannon przyjechał na parking. Użył swojej karty, żeby dostać się do środka, dzięki temu znamy jego nazwisko i wiemy, kiedy się pojawił.

Web skinął głową i nastrój jeszcze mu się pogorszył.

- Ona uruchomiła alarm, O'Bannon prawdopodobnie miał zdalne urządzenie w domu i dostał sygnał. Pognał tutaj.

- I znalazł Claire.

- Taak.

- Przykro mi, Web.

Web pojechał z powrotem do East Winds, tak przygnębiony jak nigdy przedtem. Chociaż sytuacja Biura wyglądała źle, w ogóle go to nie obchodziło. Interesowało go tylko to, żeby znaleźć żywą Claire.

Romano czyścił jeden ze swoich pistoletów w wozowni, popatrzył na Weba, kiedy ten wszedł po schodach na górę.

- Człowieku, chyba jesteś w dołku.

Web usiadł naprzeciw niego.

- Spieprzyłem sprawę, Paulie.

- Do diabła, nie pierwszy raz. - Romano uśmiechnął się, ale Web wyraźnie nie miał nastroju do żartów. Romano odłożył pistolet i popatrzył na przyjaciela. - Porozmawiaj ze mną.

- Claire Daniels.

- Twój mózgołog.

- Mój psychiatra. - Web przerwał na chwilę, a potem dodał: - I moja przyjaciółka. Pewni faceci jej grozili, ale potem ją puścili. Są powiązani z moją sprawą, więc znalazła się w niebezpieczeństwie z mojego powodu. Zwróciła się do mnie o pomoc, a ja co zrobiłem? Nie pomogłem jej.

- Zaproponowałaś jej ochronę?

- Tak, ale nie chciała się zgodzić. Uważała, że tak naprawdę nic jej nie grozi; tłumaczyła to bardzo logicznie. Teraz okazuje się, że ten

O'Bannon, z którym pracowała, założył podsłuch w gabinetach wszystkich psychiatrów i zdobywał informacje od pacjentów podczas sesji. Wielu z tych pacjentów to ludzie pracujący w Biurze. I ludzie z nimi związani - dodał. Romano być może nie wiedział, że Angie spotykała się z O'Bannonem. A jeśli o tym nie wiedział, Web nie chciał być osobą, która mu o tym powie. - Potem prawdopodobnie sprzedawał informacje chętnym oferującym najwyższą cenę, a oni dzięki nim udaremniali operacje obrońców prawa.

- Jasna cholera! Myślisz, że Claire była w to zamieszana?

- Nie! Wygląda na to, że przypadkiem odkryła prawdę, a teraz zniknęła.

- Może się ukrywa.

- Zadzwoń! - Web zacisnął pięści. - Cholera, jestem idiotą, bo nie zapewniłem jej całodobowej ochrony. Teraz jest już za późno.

- Nie bądź taki pewny. Chociaż widziałem się z nią krótko, wiem, że umie o sobie zadbać. Kiedy jechaliśmy na farmę, rozmawiałem z nią trochę, jest bystrą kobietą.

- To znaczy próbowałeś zasięgnąć darmowej porady psychiatrycznej.

- Nie chodziło mi o nic takiego, ale hej, wszyscy mają problemy, racja? Rozmowa z Claire sprawiła, że uświadomiłem sobie pewne rzeczy. Na przykład ja i Angie.

Web wpatrzył się w niego z wielkim zainteresowaniem, ale chyba tylko po to, żeby na parę chwil przestać myśleć o ciężkim położeniu Claire.

- W porządku, co z tobą i Angie?

Romano wydawał się ogromnie skrupowany teraz, kiedy już poruszył ten temat.

- Ona nie chce, żebym dalej pracował w HRT. Ma dość tego, że ciągle gdzieś wyjeżdżam. To chyba nie jest wielka niespodzianka. Poza tym chłopcy rosną i zasługują na ojca, który jest w pobliżu dłużej niż przez jeden miesiąc w roku - dodał cicho.

- Tak powiedziała?

Romano odwrócił wzrok.

- Nie, ja to powiedziałem.

- Naprawdę myślisz o zawieszeniu na kołku swoich czterdziestek piątek?

Romano rzucił mu spojrzenie.

- Ty nigdy o tym nie myślisz?

Web oparł się wygodnie.

- Rozmawiałem niedawno z Debbie Riner i powiedziała mniej więcej to samo o Teddym. Ale moja sytuacja jest inna, nie mam żony ani dzieciaków, Paulie.

Romano zgarbił się.

- Widzisz, chodzi o to, że w ciągu ostatnich ośmiu lat opuściłem cztery Boże Narodzenia, pierwsze komunie obu moich synów, każde cholerne Halloween, dwa Święta Dziękczynienia i narodziny mojego syna Robbiego! A do tego nie wiem, ile przegapiłem urodzin, meczów baseballu i piłki nożnej, wyjątkowych okazji tego rodzaju. Do diabła, teraz moi chłopcy są zaskoczeni, kiedy jestem w domu, Web, a nie kiedy mnie nie ma, bo to, że mnie nie ma, jest dla nich całkiem naturalne.

Dotknął miejsca koło pępka, w którym kula trafiła w kevlarowa osłonę.

- A to trafienie, które zaliczyłem w nocy? Mam paskudnego siniaka i piekielnie mnie bolało przez jakiś czas, ale co by było, gdyby kula trafiła dwa centymetry niżej albo sześćdziesiąt wyżej i przebiła mi głowę? Byłoby po mnie. Ale wiesz co? Nie za wiele by to zmieniło, że bym nie żył, przynajmniej u Angie i chłopców. I wtedy co by się stało? Angie pewnie wyszłaby drugi raz za męża, a chłopcy być może dostaliby prawdziwego tatę i zapomnieliby całkiem o tym, że Paul Romano był kiedyś ich staruszkiem. Wolałbym dostać w głowę cholerną kulą Barretta, naprawdę, Web. Za każdym razem kiedy o tym myślę... psia-krew!

Web zobaczył, że oczy Romano zwilgotniały, i widok jednego z najtwardszych ludzi, jakich kiedykolwiek znał, zmuszonego do uległości z powodu miłości do rodziny uderzył Weba mocniej, niż był w stanie nawet Francis Westbrook. Romano szybko się odwrócił i otarł twarz.

Web chwycił go za ramię.

- Tak się nie stanie, Paulie; jesteś dobrym ojcem. Twoje dzieciaki nigdy by o tobie nie zapomniały. - Gdy tylko to powiedział, zdał sobie sprawę, że on zapomniał o swoim ojcu, całkowicie i kompletnie. Przyjęcie urodzinowe, sześć lat. Claire powiedziała, że Web i jego staruszek naprawdę dobrze się bawili. Dopóki nie pojawili się gliniarze. - I działasz też dla dobra swojego kraju, nie zapominaj o tym - dodał. - Teraz już nikogo ani trochę nie obchodzi służenie własnemu krajowi. Wszyscy tylko narzekają, jaki on jest beznadziejny, ale nie robią nic, żeby go ulepszyć. Ale, człowieku, kiedy gdzieś cię potrzebują, lepiej, żebyś tam był jeszcze w tej samej sekundzie.

- Taak, służenie mojemu krajowi. I sprzątnięcie grupki wiejskich dzieciaków i starych dupków, którzy z odległości jednego metra nie trafiliby w Statuę Wolności z pancernownicą.

Web usiadł prosto i nic nie powiedział, bo nie miał nic więcej do powiedzenia na ten temat.

Romano spojrział na niego.

- Claire się znajdzie, Web, i kto wie, może ty i ona moglibyście zostać kimś więcej niż przyjaciółmi. Zacząć prawdziwe życie.

- Nie uważasz, że jest już za późno? - Wszystko to wydawało się niemożliwe do osiągnięcia.

- Do diabła, jeśli dla mnie nie jest za późno, to z pewnością nie jest za późno dla ciebie - odparł Romano.

Web nie usłyszał w jego głosie zbyt wielkiego przekonania i mężczyźni popatrzyli na siebie smutno.

Web wstał.

- Wiesz, Paulie, obaj czujemy się kiepsko. I wiesz, co z tego wynika?

- Co?

- Teraz naprawdę nie mogę się doczekać tego wieczornego przyjęcia.

Percy Bates siedział w centrum operacji strategicznych w WFO, kiedy ktoś wszedł. Buck Winters nie był sam. Miał ze sobą jak zwykle swoich podobnych jak dwie krople wody ochroniarzy, ale towarzyszyło mu też parę innych osób. Bates rozpoznał w jednej z nich młodą prawniczkę z Biura, a w innej śledczego z Wydziału Odpowiedzialności Zawodowej Biura, komórki badającej wszelkie karygodne czyny popełnione przez członków FBI. Wszyscy usiedli naprzeciw Batesa z przesadnie poważnymi twarzami.

Winters stuknął w blat jednym ze swoich długich palców.

- Czy jest postęp w dochodzeniu, Perce?

- Naprawdę duży - odpowiedział Bates. Popatrzył na pozostałych ludzi. - O co tu chodzi? Zaczynasz własne śledztwo?

- Miałeś ostatnio wiadomości od Randalla Cove'a? - zapytał Winters.

Bates jeszcze raz spojrzął na pozostałych.

- Wiesz, Buck, z całym szacunkiem, ale czy to w porządku, że ci ludzie słyszą to nazwisko?

- Wszyscy oni mają stosowne zezwolenie, Perce. Wierz mi. Są dopuszczeni do wielu spraw. - Winters wbił w niego wzrok. - Wiesz, to całkowita katastrofa.

- Słuchaj, chłopcy z HRT zostali tam wysłani, strzelano do nich i odpowiedzieli ogniem. Chyba nie ma uczciwszych zasad zaangażowania. W konstytucji nie jest napisane, że nasi ludzie muszą stać bezczynnie i dać się wykończyć.

- Nie mówiłem konkretnie o masakrze Wolnego Społeczeństwa.

- Cholera, Buck, to nie była masakra. „Free” też mieli broń i użyli jej.

- Ośmiu zabitych, starszych mężczyzn i młodych chłopców, a po stronie HRT nikt nie zginął. Jak według ciebie rozegra to prasa?

Bates upuścił na dół teczkę, którą trzymał w ręku, i stracił tę odrobinę cierpliwości, jaka mu jeszcze została.

- Cóż, jeśli Biuro tak jak zwykle schowa głowę w piasek i pozwoli wszystkim innym kontrolować sytuację i sposób przedstawiania faktów, to chyba niezbyt korzystnie. Co musimy zrobić, żeby mieć dobry „image”, tracić paru facetów podczas każdej akcji?

- Następne Waco - powiedziała prawniczka o świeżej twarzy, kręcąc głową.

- Akurat, do diabła! - wrzasnął Bates. - Nie wie pani, o czym pani mówi. Była pani jeszcze w szkole prawniczej, nie mając na nic wpływu, kiedy zdarzyło się Waco.

- Jak już powiedziałem - odezwał się spokojnie Winters - nie mówiłem konkretnie o „Freech”.

- A więc o czym? - zapytał Bates.

- Och, nie wiem, może o tym, że bezpieczeństwo FBI zostało narażone.

Bates zaczerpnął głęboko powietrza.

- Z powodu tej poradni psychiatrycznej?

Winters wybuchnął.

- Taak, Perce, zgadza się, bo przez Bóg wie ile czasu agencji, sekretarki, technicy i kto tam jeszcze, do diabła, ale najwyraźniej wszyscy w Biurze, którzy mają jakiś problem z głową, wywnętrzali się tam. A ktoś to wciągał do odkurzacza i używał tych informacji do Bóg wie czego. Nazwałbym to narażeniem bezpieczeństwa.

- Szukamy teraz O'Bannona.

- Szkody zostały już wyrządzone.

- Lepsze to, niż gdybyśmy nigdy się o tym nie dowiedzieli.

- Nie o wiele lepsze. Chyba wiesz, że już dawno temu sprzeciwiałem się oficjalnie współpracy z psychiatrami i psychologami z zewnątrz z powodu właśnie takiego zagrożenia dla bezpieczeństwa.

Bates przyjrzał się czujnie mężczyźnie. A więc zamierzasz posłużyć się tą katastrofą, żeby wspiać się po paru szczeblach kariery, co, Buck? Może interesuje cię stanowisko dyrektora?

- Nie, Buck, właściwie nie wiedziałem o tym.

- Wszystko to jest na piśmie - powiedział pewny siebie Winters. - Sprawdź.

- Jestem tego pewien, Buck. Zawsze byłeś najlepszym z najlepszych w kochanej papierkowej robocie. - I niewiele miałeś wspólnego z życiem prawdziwego agenta FBI.

- Cóż, za to polecą głowy.

Ale nie twoja.

- Dlaczego czytam w raporcie, że London brał udział w szturmie? Proszę, powiedz mi, że to tylko ogromna literówka.

- Był tam - przyznał Bates.

Winters wyglądał tak, jakby znów miał się unieść gniewem. Potem Bates dostrzegł bardzo nieznaczny przejaw zadowolenia na jego twarzy i w końcu zrozumiał, jaki cel ma ta rozmowa.

- Cóż, teraz prasa może po prostu rzucić się na to i nas skatować - powiedział Winters. - HRT mści się na staruszkach i młodych chłop-

cach. Taki będzie jutro najważniejszy nagłówek w serwisach. Teraz posłuchaj, Bates, i posłuchaj dobrze, London idzie w odstawkę, z natychmiastowym skutkiem. - Aby jego słowa zrobiły większe wrażenie, Winters podniósł ołówek ze stołu i przełamał go na pół.

- Buck, nie możesz tego zrobić. Sprawa dopiero jest w toku.

- Tak, mogę to zrobić. Oficjalnie był na urlopie z powodu dochodzenia SRB. - Winters dał znak jednemu ze swoich pomocników i ten podał mu jakąś teczkę. Winters, nie spiesząc się, nałożył okulary do czytania, a potem rzucił okiem na teczkę. - A teraz odkryłem także, że podczas gdy przebywał na płatnym urlopie, przydzielono mu zadanie. Miał ochraniać niejakiego Williama Canfielda, który prowadzi stadnię w okręgu Fauquier. Kto na to zezwolił?

- Ja. Syn Canfielda został zabity przez „Freech” w Richmond. Trzy osoby związane z tym wydarzeniem zostały zamordowane, przypuszczamy, że przez „Freech”. Wiesz o tym wszystkim. Nie chcieliśmy, żeby Canfield był ofiarą numer cztery. Web miał wolny czas, a Canfield mu ufa. Właściwie to Web ocalił mu życie. I mnie też. A więc wydawało się, że dobrze tam pasuje.

- W takim razie nie mogę powiedzieć wiele dobrego o rozsądku Canfielda.

- I mieliśmy bezpośredni dowód łączący ciężarówkę wynajętą przez Silasa Freego z karabinami maszynowymi, których użyto w zasadzce na HRT. Mieliśmy pełne prawo na nich uderzyć. I atak został zaaprobowany przez wszystkie odpowiednie osoby. Sprawdź, wszystko jest na piśmie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Właściwie to sam wyraziłem na to zgodę.

- Naprawdę? - zapytał Bates z ciekawością. - Właściwie to chciałem dostać grupę ze SWAT, Buck. Chyba nie nalegałeś na wyznaczenie HRT? - Winters nie odpowiedział i właśnie wtedy Bates zrozumiał, dlaczego to formacja HRT została wysłana. Winters chciał, żeby coś takiego się zdarzyło i uzasadniło jego krucjatę przeciw całej jednostce. I Bates wiedział także, że nigdy nie udałoby mu się tego udowodnić przebiegłemu Wintersowi.

- Nie powiadomiono mnie, że Web London weźmie udział w szturmie - ciągnął Winters.

- Cóż, to nastąpiło później - powiedział wolno Bates. Nie mógł odeprzeć tego zarzutu i wiedział o tym.

- Och, dzięki za wyjaśnienie, to naprawdę wszystko tłumaczy. A kto zezwolił, żeby London uczestniczył w akcji?

- Jego dowódca, Jack Pritchard, musiał się na to zgodzić.

- A więc odejdzie. Ze skutkiem natychmiastowym.

Bates wstał.

- Mój Boże, Buck, nie możesz tego zrobić. Pritchard przepracował

dwadzieścia trzy lata w Biurze. Jest jednym z najlepszych ludzi, jakich kiedykolwiek mieliśmy.

- Nie, już nie. Teraz akurat jest jednym z najgorszych. I zostanie to odpowiednio odnotowane w oficjalnych aktach. I zalecę, żeby odebrano mu wszystkie świadczenia, w tym emeryturę, za niesubordynację, działanie szkodliwe dla Biura i mniej więcej pół tuzina innych rzeczy. Wierz mi, to będzie łatwo sprzedać, kiedy już wszystko wyjdzie na jaw. Będzie ogromne zapotrzebowanie na kozły ofiarne.

- Buck, proszę, nie rób tego. W porządku, może przekroczył trochę granice w tym wypadku, ale ma listę pochwał dłuższą od mojego wzrostu. Ryzykował życie więcej razy, niż mogę policzyć. I ma żonę i piątkę dzieci, dwójka z nich jest w college'u. To go zniszczy. To go zabije.

Winters odłożył teczkę.

- Powiem ci, co zrobimy, Perce, zawrę z tobą układ, bo lubię cię i szanuję.

Bates usiadł, natychmiast nieufny, bo kobra rozpoczęła zabójczy atak.

- Jaki układ?

- Jeśli Pritchard zostaje, to London odchodzi. Bez zbędnych pytań. Żadnych sporów, żadnych obrońców. Po prostu odchodzi. To jak będzie?

Percy Bates siedział w milczeniu, a Buck Winters przypatrywał mu się, czekając na odpowiedź.

Claire od lat zgrzytała zębami, i to tak mocno, że dentysta zrobił dla niej specjalny ochraniacz, który zakładała na noc, aby zabezpieczyć swoje zęby przed starciem się do dziąseł. Zastanawiała się czasem, co wywołuje ten objaw niepokoju, może słuchanie o problemach pacjentów. Teraz była wdzięczna za swoje zgrzytanie, bo tak przetarła knebel, że w końcu się rozdarł, i go wypluła. Jej ręce były jednak sklezione nad głową w sposób uniemożliwiający zdjęcie opaski z oczu. Próbowowała pocierać głową o ścianę, żeby przesunąć materiał w górę, aż wreszcie miała uczucie, że pozbawiła się większości włosów. Padła bez sił.

- W porządku, proszę pani, ja będę pani oczami - powiedział Kevin.- Mnie też skuli, ale pracuję nad tym.

Nie miała już w ustach knebla, więc zaczęły rozmawiać i Claire dowiedziała się, kim jest współwięzień.

- Web London mówił mi o tobie - powiedziała. - Byłam też w twoim domu. Rozmawialiśmy z Jerome'em.

Kevin wydawał się zaniepokojony.

- Na pewno się martwią. Na pewno babcia zamartwia się na śmierć.

- Wszystko u nich w porządku, Kevin. Ale rzeczywiście się martwią. Jerome bardzo cię kocha.

- On jest zawsze dla mnie dobry. On i babcia.

- Wiesz, gdzie jesteśmy?

- Nie.

Claire zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Zapach chemikaliów. Jakbyśmy byli w pobliżu pralni chemicznej albo jakiejś fabryki. - Usiłowała przypomnieć sobie szczegółowo, jak się tu dostała. Drogi, po których wiózł ją mężczyzna, i teren pod jego stopami kojarzyły się bardziej z wsią niż z miastem.

- Od jak dawna tu jesteś?

- Nie wiem. Dni jakby zlewają się ze sobą.

- Ktoś przychodził do ciebie?

- Jakiś facet. Nie wiem, kto to jest. Traktuje mnie dobrze. Ale zabije mnie, widzę to w jego oczach. To na tych miłych trzeba uważać. Wolę sto razy facetów, którzy wrzeszczą i potraszają pięścią, od tych spokojnych.

Gdyby Claire nie była tak wystraszona myślą, że grozi jej egzekucja, może zareagowałaby uśmiechem na dojrzałe wejście chłopca w naturę ludzką.

- Jak się w to wszystko wplątałeś?

- Pieniądze - powiedział po prostu Kevin.

- Widzieliśmy twój szkic, z pilotem.

- Nie wiedziałem, co się stanie. Nikt mi tego nie powiedział. Dali mi tylko tę rzecz i powiedzieli, jak mam się odezwać.

- „Niech ich diabli”?

- Tak. Później miałem iść za nimi tą uliczką i potem, kiedy będę już wystarczająco blisko podwórka, nacisnąć guzik pilota. Widziałem tego faceta, Weba, on całkiem znieruchomiał, a wszyscy jego kumple wbiegli na to podwórko. Web wcale mnie nie widział. Wstał i chciał dogonić swoich kumpli, ale szedł tak, jakby był pijany czy coś takiego. Nacisnąłem guzik, a potem nie uciekłem.

- Bo chciałeś zobaczyć, co się stanie?

- Ci ludzie nic mi nie mówili o żadnych karabinach. Przysięgam na grób mojej mamy, przysięgam!

- Wierzę ci, Kevin.

- Miałem wrócić tam, gdzie byłem przedtem, ale nie mogłem, bo widziałem, jak wszyscy ci faceci umierają, ot tak. I wtedy Web wrzasnął do mnie. Prawie dostałem ataku serca. Uratował mi tyłek. Pobiegłbym tam, gdyby nie on, i wtedy też bym nie żył.

- Web powiedział, że ktoś zamienił cię na innego chłopca.

- Zgadza się. Nie wiem dlaczego.

Claire zrobiła głęboki wdech i silna woń substancji chemicznej znów wtargnęła do jej płuc. Teraz ona też, podobnie jak Kevin, rozpoznała w niej chlor, ale nie miała pojęcia, jakie jest źródło tego zapachu. Czuli się całkowicie bezradni.

Web i Romano spotkali Nemo Straita, gdy szli na przyjęcie do rezydencji.

- Co ci się stało? - zapytał Romano. Strait miał rękę na temblaku.
- Pozwoliłem, żeby jeden cholerny koń był szybszy ode mnie. Kopnął mnie. Czułem się tak, jakby obojczyk utkwiał mi w gardle.
- Coś się złamało? - zapytał Web.
- W szpitalu w Kentucky zrobili rentgena i niczego nie wykryli, ale na razie nałożyli mi to. Teraz jestem jednorękim kierownikiem farmy i Billy pewnie będzie wkurzony z tego powodu.

W domu powitał ich właśnie Billy. Web był zaskoczony jego strojem. Miał na sobie ładne, wyprasowane spodnie i niebieską sportową kurtkę, był porządnie uczesany i nawet się ogolił. Ale gdy weszli do środka, Web poczuł w oddechu mężczyzny, że zaczął on przyjęcie już jakiś czas temu.

Billy poprowadził ich na dolny poziom.

Przy barze stali dwaj mężczyźni, których Web nie znał. Byli ubrani kosztownie, ale luzacko, w garnitury od Armaniego i buty od Bruna Magliego na bosych stopach, mieli zegarki Tag Heuer i złote naszyjniki, widoczne, bo ich koszule były rozpięte o mniej więcej dwa guziki za dużo. Byli mocno opaleni, krzepcy i zadbani, z fachowo zrobionym manikiurem i doskonałymi fryzurami; z wielu powodów pierwsze wrażenie Weba było takie, że są gejami.

Billy podszedł do nich z Webem i Romano.

- Chcę wam przedstawić moich dwóch nowych przyjaciół. Giles i Harvey Ransome'owie, są braćmi, a nie małżeństwem. - Tylko Billy zaśmiał się po tej uwadze. - Są moimi sąsiadami. W końcu ich namówiłem, żeby przyszli na drinka.

Web i Romano wymienili szybkie spojrzenia.

- To Web London i Paul... nie, niech będzie Paulie - dodał Billy, mrugając porozumiewawczo. - Z Federalnego Biura Śledczego. Obaj bracia Ransome wyglądali na gotowych do ucieczki po tych słowach. Webowi wydawało się, że Harvey Ransome może zemdleć. Wyciągnął dłoń.

- Nie jesteśmy na służbie dziś wieczorem.

Bracia Ransome ostrożnie podali mu ręce, jakby się obawiali, że istnieje realna groźba nałożenia na nie kajdanek.

- Billy nie mówił nam, że będzie tu dziś wieczorem FBI - powiedział Giles, wpatrując się nieprzyjaźnie w gospodarza.

- Uwielbiam niespodzianki - odparł Billy. - Od dziecka. - Popatrzył na Straita. - Co ci się, do diabła, stało?

- Koń mnie pokonał.

- To kierownik mojej stadniny, Nemo Strait - powiedział Billy do braci Ransome. - Właśnie zarobił dla mnie mająteczek w Kentucky, sprzedając parę kawałów końskiego mięsa jakimś nowym naiwniakom.

- Poszło nam naprawdę dobrze - przyznał cicho Strait.

- Gdzie, do diabła, podziały się moje dobre maniere? - odezwał się Billy. - Chłopcy, potrzebujecie czegoś do picia. - Wskazał na Weba i Romano. - Wiem, że wy wybieracie piwo. A ty, Nemo?

- Whisky z wodą, najlepszy środek przeciwbólowy, jaki istnieje.

Billy wszedł za bar.

- Wezmę z ciebie przykład. - Popatrzył ku schodom. - Cóż, zejdź na dół i przyłącz się do nas.

Web popatrzył w stronę schodów, spodziewając się, że zobaczy Gwen. Zamiast niej stał tam Percy Bates.

- Billy był tak uprzejmy i mnie zaprosił - wyjaśnił, gdy znalazł się wśród nich. Uśmiechnął się do Weba, ale w jego uśmiechu Web widział coś, co mu się niespecjalnie podobało.

Kiedy już wszyscy mieli szklanki w rękach, utworzyły się małe grupki. Web podszedł do braci Ransome i zaczął delikatnie ich wypytywać, chcąc odkryć, co się dzieje w Southern Belle, ale mężczyźni byli wyjątkowo małomówni, co tylko wzmogło podejrzenia Weba. Nemo i Romano oglądali kolekcję strzelb Canfielda, a Billy stał całkiem sam i patrzył groźnie na rozdrażnionego niedźwiedzia grizzly stojącego w rogu.

Po kolei głowy wszystkich obróciły się, kiedy Gwen schodziła po stopniach. Billy był bardziej elegancko ubrany niż zwykle, ale jego żona wyglądała tak, jakby miała wziąć udział w premierze w Hollywood; jej wygląd tak bardzo odbiegał od jej zwyczajnego wizerunku amazonki w wysokich butach i dżinsach, jak tylko to było możliwe. Czerwona suknia była długa, obcisła i opadała jej do kostek; rozcięcie dochodziło do połowy uda, dokładnie do tego miejsca, gdzie choć granice przyzwoitości nie zostały przekroczone, męska wyobraźnia była zmuszona do szaleńczego pędu. Buty nie miały palców, a ich paski na kostkach nasuwały skojarzenia, przynajmniej Webowi, z sadomasochistycznym wiązaniem postronkami. Suknia nie miała ramiączek, nagie ramiona Gwen były opalone i umięśnione, ale ciągle zachowywały dużo kobie-

cego powabu. Stanik sukni miał wycięcie na tyle głębokie, że utrudniało gwałtowniejsze ruchy, ale nie odsłaniało zbyt wiele, i zapewne taki był cel. Miała wysoko upięte włosy, gustowną biżuterię i potrzebowała bardzo niewiele makijażu.

Zapanowała całkowita cisza, gdy Gwen zstępowała do nich, aż w końcu Web usłyszał, jak Romano szepcze „Amore”, i upił łyk piwa.

- Teraz przyjęcie może się naprawdę zacząć - powiedział Billy. - Co ci podać, Gwen?

- Napój imbirowy.

Billy zrealizował to zamówienie. Popatrzył na braci Ransome.

- Jest oszłamiająca - stwierdził Harvey.

- Bogini - zawtórował mu Giles.

- Jest też moją żoną. - Przyniósł jej szklanekę z napojem. - Koń całym pokopał Nemo - poinformował ją.

Web zauważył, że ledwo spojrzała w kierunku Straita.

- Widzę. - Skinęła głową Ransome'om. - Sądzę, że dotąd się nie spotkaliśmy - powiedziała chłodno.

Każdy z braci koniecznie chciał przywitać się z nią jako pierwszy.

Web tylko stał z boku i przyglądał się temu wszystkiemu. Kobieta była bez wątpienia wyjątkowo piękna, ale jej strój i wyniosłe zachowanie zdawały się zupełnie nie pasować do Gwen Canfield, a przynajmniej do jego wyobrażenia o niej. Może było błędne.

Web nie zauważył Batesa, który stanął przy nim, dopóki ten się nie odezwał.

- Rozumiem, że to przyjęcie pożegnalne.

- Taak, sprawa zamknięta. Dobrzy faceci znów wygrywają - dodał ironicznie Web. - Czas się upić i pogratulować sobie dobrze wykonanej roboty, przynajmniej dopóki całe to gówno nie wróci jutro.

- Musimy później porozmawiać. To ważne.

Web spojrzał na niego. Ktoś, kto nie znał Batesa dobrze, odniósłby wrażenie, że nie ma on żadnych trosk. Webowi, który znał go jak mało kto, wydawało się, że mężczyznę zaraz rozsadzi to, co w sobie nosi.

- Nie mów mi, że wygrałem na loterii.

- Chyba wszystko zależy od tego, jak na to spojrzysz. Pozwolę ci zdecydować. Chcesz wymknąć się na zewnątrz i pomówić o tym teraz?

Web popatrzył spokojnie na Batesa. A więc było bardzo źle.

- Nie, Perce, teraz akurat chcę tylko nacieszyć się moim piwem i podejść do bardzo pięknej kobiety, żeby z nią porozmawiać.

Zostawił Batesa i zdołał odciągnąć Gwen od przymilających się braci Ransome. Usadowili się w bliźniaczych obitych skórą fotelach klubowych. Gwen tuliła szklanekę z napojem na kolanach i patrzyła na męża.

- On już ostro imprezuje od jakichś sześciu godzin.
- Zauważyłem. - Web przyjrzał się jej dyskretnie. Przynajmniej sądził tak, dopóki nie posłała mu spojrzenia.
- Trochę inny strój od tego, do którego się przyzwyczaiłeś, wiem - powiedziała. Jej policzki zaczerwieniły się lekko.
- Hej, masz to, to się chwal. Jestem tylko zadowolony, że nie ma tu innych kobiet, bo zupełnie byś je przyćmiła. Podpierałyby tylko ściany, byłyby częścią ścian w oczach mężczyzn, którzy tu są.
- Poglaskała go po rękę.
- Jesteś miły. Tak naprawdę jest mi w tej sukni strasznie niewygodnie; martwię się, że w każdej chwili mogę zemdleć, a stopy naprawdę mnie dobijają. Te włoskie buty ładnie wyglądają, ale w ogóle nie daje się ich nosić, jeśli ktoś ma rozmiar powyżej czwórki.
- Więc po co się tak ubierać?
- Billy to dla mnie wybrał. Nie jest mężczyzną, który mówi swojej żonie, co ma robić czy włożyć na siebie - dodała szybko. - Wręcz przeciwnie. To ja zwykle wybieram dla niego ubrania. Ale, jak powiedział, chciał, żebym wyglądała naprawdę zabójczo.
- Web uniósł swoją szklankę.
- Uznaj swoje zadanie za wykonane. Ale dlaczego?
- Nie wiem, Web, naprawdę nie wiem, co się teraz dzieje w jego głowie.
- Może to ma coś wspólnego z tą cholerną taśmą. Jeszcze raz przepraszam.
- Gwen tylko pokręciła głową.
- To nie tylko to. To narasta od jakiegoś czasu. Billy zmienia się od mniej więcej kilku miesięcy, a ja nie jestem pewna dlaczego.
- Webowi wydawało się, że kobieta jednak wie dlaczego, ale nie jest jeszcze gotowa wyjawiać tego prawie obcemu człowiekowi takiemu jak on.
- Zachowuje się coraz dziwniej.
- Popatrzył na nią ciekawie.
- To znaczy?
- Cóż, dostał obsesji na punkcie swoich wypchanych zwierząt, zawsze jest tam na dole i babcze się w tym. Mój Boże, nie ma nic bardziej obrzydliwego.
- To dosyć makabryczne.
- I dużo pije, nawet jak na niego. - Popatrzyła na Weba i ciszej dodała: - Wiesz, co mi powiedział, kiedy się ubieraliśmy? - Wypiła łyczek napoju imbirowego. - Powiedział, że powinno się nadziać głowy wszystkich członków Wolnego Społeczeństwa na tyczki i wystawić je na pokaz, tak jak to robiono przed wiekami.
- Po co? Żeby przestrzec innych?

- Nie.

Oboje podnieśli wzrok i zobaczyli przed sobą Billy'ego.

Wypił duszkiem resztę swojej whisky.

- Nie, robi się to, bo najlepiej jest umieścić swoich wrogów tuż przed sobą, żeby przez cały czas wiedzieć dokładnie, gdzie są.

- Nie zawsze łatwo to zrobić - zauważył Web.

Billy uśmiechnął się przez szklanę.

- Zgadza się. I to dlatego ludzie najczęściej dają się zaskoczyć swoim wrogiom. - Web był prawie pewien, że Billy popatrzył na Nemo Straita, kiedy to mówił, chociaż było to ledwie przelotne spojrzenie.

Billy uniósł swoją szklanę.

- Gotowy na powtórkę?

- Wciąż jeszcze pracuję nad pierwszym piwem.

- Cóż, daj mi znać, kiedy skończysz. Gwen, jesteś gotowa na prawdziwy trunk?

- Myślę, że ubrana w taki sposób w pokoju pełnym mężczyzn musisz mieć jasny umysł dziś wieczorem - powiedziała ze skromnym uśmiechem.

Web spostrzegł, że zawiedziony Billy nie odwzajemnił jej uśmiechu.

Na chwilę przed tym, zanim poszli na górę, żeby zjeść obiad, Web usłyszał wrzask i sprawdził, co się dzieje. Szafka z bronią była obrócona i tajemne pomieszczenie stało otworem. Zarówno Harvey, jak i Giles trzymali się za pierś po tym, jak zaskoczył ich niewolnik-manekin Billy'ego. A sam gospodarz opierał się o ścianę, śmiejąc się tak mocno, że aż się krztusił. Web po prostu nie mógł się nie uśmiechnąć.

Po obiedzie, kawie i kieliszkach brandy, której po naleganiach Billy'ego wszyscy spróbowali, goście się pożegnali. Gwen uściśliła Weba, który poczuł, jak miękkie piersi kobiety napierają na jego twardą pierś. Miał wrażenie, że jej palce przytrzymują go kurczowo o sekundę za długo. Nie wiedział, jak właściwie ma to rozumieć, więc zdołał tylko powiedzieć „do widzenia”.

Wyszli na zewnątrz, Strait wsiadł do swojej półciężarówki i kierując jedną ręką, pojechał do swojego domu. Na podjeździe rezydencji zatrzymała się limuzyna i Harvey i Giles Ransome'owie usadowili się w środku. Web uważał, że obaj zbłąźnili się z powodu Gwen, ale jej to nie przeszkadzało. Niewątpliwie była teraz na górze i w tej chwili zdejmowała ciasne buty i niewygodną suknię. Właściwie prawdopodobnie była naga, Web przyłapał się na tym, że spogląda w stronę okien na piętrze... W nadziei na co? - zapytał sam siebie. Dostrzeżenie jej? Nic takiego nie nastąpiło.

Bates podszedł do niego i Romano.

- Romano, Web i ja musimy porozmawiać.

Mężczyzna powiedział to takim tonem, że Romano natychmiast się odwrócił i ruszył do wozowni.

Web i Bates stanęli twarzą w twarz.

- W porządku - odezwał się Web. - O co chodzi?

Bates powiadomił go o wszystkim i Web słuchał w milczeniu, dopóki mężczyzna nie skończył.

- A co z Romano? - zapytał.

- Buck nie wspominał o nim, więc zakładam, że nic mu nie grozi.

- Niech tak zostanie.

- Nie wiem, co zrobić, Web. Znalazłem się między młotem a kowadłem.

- Nie, nie jest tak. Ułatwię ci sprawę. Zwolnię się.

- Wciskasz mi kit?

- Czas już, żebym odszedł, Perce, zajął się czymś innym. Nie robię się młodszy i prawdę mówiąc, chciałbym się dowiedzieć, jak to jest mieć pracę, w której ludzie do ciebie nie strzelają.

- Możemy powalczyć, Web. Winters nie ma ostatniego słowa w tej sprawie.

- Jestem zmęczony walką, Perce.

Bates patrzył na niego bezradnie.

- Nie chciałem, żeby to się skończyło w ten sposób.

- Zrobimy tu swoje z Romano i wtedy się zwolnię.

- Wiesz, jaką wrzawę wywoła to, co się stało z „Freemi”. A jeśli odejdziesz z HRT w takim momencie, wszyscy będą cię uważać za kozła ofiarnego. Sytuacja się skomplikuje. Media zaczną cię ścigać. Właściwie to już się zaczyna.

- Kiedyś bym się tym martwił. Ale nie teraz.

Mężczyźni stali w milczeniu przez kilka chwil, ich wieloletnia wspólna walka w słusznej sprawie nagle dobiegła końca i wydawało się, że żaden z nich nie jest na to przygotowany. Web w końcu odwrócił się i odszedł.

Było około drugiej w nocy. W East Winds poruszały się tylko konie na pastwiskach i dzikie zwierzęta w nigdy nie zasypiającym lesie. Po-tem rozległy się odgłosy kroków kogoś, kto skradał się po ścieżce bie-gnącej między drzewami.

W domu w jednym pomieszczeniu paliło się światło i męska sylwet-ka odznaczała się wyraźnie w prostokącie okna. Nemo Strait trzymał zimną puszkę piwa przy zranionym barku, krzywiąc się, bo lodowaty metal drażnił uszkodzoną skórę. Miał na sobie T-shirt i bokserki; jego masywne, umięśnione nogi rozdarły materiał na udach. Położył się na łóżku, podniósł z niego pistolet półautomatyczny i zręcznie napełnił magazynek, ale miał kłopoty z przesunięciem za pomocą tylko jednej dłoni rączki zamkowej do tyłu, żeby wprowadzić nabój do komory. W końcu sfrustrowany Strait umieścił pistolet na nocnym stoliku, wy-ciągnął się na plecach na łóżku i upił łyk piwa.

Nemo Strait z natury wiecznie się czymś martwił. A teraz miał wie-le powodów do niepokoju. Nadal myślał o helikopterze, który pojawił się nie wiadomo skąd nad pogrążonymi w mroku lasami. Strait śledził lot maszyny. Nie wylądowała w lasach i nie wyglądało na to, żeby to była policja. Zastanawiał się, czy nie wrócić tam, gdzie zastrzelili Co-ve'a, by się upewnić, że ten facet nie żyje. Ale na pewno tak było. Wpakowali w niego pięć kul, nikt nie mógł czegoś takiego wytrzymać, a nawet jeśli mężczyzna zdołałby jakoś przeżyć, byłby roślinką, nie potrafiącą nikomu powiedzieć, co się wydarzyło. A jednak Straitowi się to nie podobało i oglądał wszystkie programy informacyjne, na ja-kie trafiał, w nadziei, że dowie się o znalezieniu zwłok tajnego agenta FBI. Chciał także usłyszeć, że nie ma żadnych tropów prowadzących do zabójców. Potarł się po ramieniu. Oczywiście została tam jego krew, ale musieli do czegoś dopasować jego DNA, a nigdzie nie przechowy-wano próbki, o ile sobie przypominał. Oprócz wojska! Ale czy nadal ją mieli po ponad dwudziestu pięciu latach? Czy ten materiał do czegoś by się nadawał? Wątpił w to. A jednak czuł, że już niedługo zacnie żyć inaczej. Osiągnął wszystkie zakładane cele, a transakcja z ostatniej nocy przyniosła mu tyle pieniędzy, że mógł się wycofać z interesów

i zamieszkać prawie wszędzie, gdzie tylko by zechciał. Najpierw myślał o kupnie jakiejś farmy na wyżynie Ozark, gdzie przez resztę życia nie robiłby nic poza łowieniem ryb i stopniowym wydawaniem takich sum pieniędzy, które nie wzbudzałyby podejrzeń. Teraz rozważał wszystko na nowo. Pomyślał, że inny kraj mógłby być o wiele lepszym miejscem dla emeryta. Słyszał na przykład, że w Grecji świetnie się wędkuje.

Jeśli Strait usłyszał, jak otwierają się tylne drzwi, nie pokazał tego po sobie. To był długi dzień i środek przeciwbólowy, który zażywał, przestawał działać. Wypił następny jego łyk i otarł usta.

Drzwi jego sypialni powoli się otworzyły. Strait i tego zdawał się nie zauważać. Ktoś wszedł do pokoju. Strait włączył radio stojące przy łóżku i nastawił jakąś muzykę. Postać zbliżyła się. W końcu Strait przestał zajmować się innymi rzeczami i powoli się odwrócił.

- Nie sądziłem, że przyjdiesz dziś wieczorem - powiedział. - Myślałem, że z jednym ramieniem nie będę już dość dobry. - Wypił trochę piwa, a potem odstawił puszkę.

W pokoju stała Gwen i patrzyła na niego. Miała na sobie tę samą czerwoną suknię co na przyjęciu, ale buty na wysokich obcasach zastąpiła zwykłymi pantoflami; złota bransoleta na jej kostce połyskiwała lekko w strumieniu światła.

Podeszła do niego i jej wzrok powędrował w stronę jego ramienia.

- Bardzo boli?

- Tylko przy każdym oddechu.

- Który koń to zrobił?

- Bobby Lee.

- Nie jest znany z tego, że kopie.

- Każdy koń potrafi kopnąć.

- Zapomniałam, jesteś ekspertem. - Uśmiechnęła się z udaną powagą, ale za tą minką kryło się coś, co wcale nie było żartobliwością.

- Nie, ale dorastałem przy tych cholerach. To znaczy, nie można się tego nauczyć w rok ani nawet w dziesięć lat. Popatrz na Billy'ego, szybko się uczy, ale wciąż właściwie gównu wie o prowadzeniu stadniny.

- Masz rację. To dlatego najęliśmy ciebie i twoich wspaniałych chłopaków. - Przerwała na chwilę. - Jesteś naszym wybawcą, Nemo.

Strait zapalił papierosa.

- Taak, to dobre. - Zdziwiła go, kiedy wyciągnęła rękę po puszkę i wypiła łyk piwa.

- Nie masz czegoś mocniejszego? - zapytała.

- Bourbona.

- Daj.

Kiedy wyjmował butelkę i szklanki, usiadła na łóżku i pomasowała sobie łydkę. Dotknęła bransolety na kostce, prezentu od Billy'ego.

Były na niej wygrawerowane ich imiona. Strait podał jej pełną szklankę i wychyliła ją do dna jednym haustem, po czym oddała mu ją do ponownego napełnienia.

- Spokojnie, Gwen. To nie są cukierki.

- Dla mnie tak. Poza tym nie piłam na przyjęciu. Byłam grzeczną dziewczynką.

Spojrzenie Straita przesunęło się w dół po jej wysmukłym ciele, objęło obnażone nogi, obfity biust.

- Wszyscy mężczyźni, którzy tam byli, mieli ochotę się na ciebie rzucić.

Gwen nie uśmiechnęła się po tym komplementcie.

- Nie wszyscy.

- Hej, Billy się starzeje, nie może już tego robić na żądanie. Do diabła, ja sam zbliżam się do tego punktu szybciej, niżbym chciał.

- To nie ma nic wspólnego z wiekiem. - Zaciągnęła się papierosem, a potem oddała go Straitowi. - A kiedy mąż nie dotyka kobiety przez lata, zwykle popycha ją to do szukania innych źródeł zaspokojenia. - Spojrzała na niego. - Mam nadzieję, że rozumiesz, jak ograniczona jest twoja rola.

Wzruszył ramionami.

- Mężczyzna musi brać wszystko, co może dostać. Ale to nie jest w porządku, że on wciąż jeszcze wini cię za to, co się stało z waszym synem.

- Ma pełne prawo. To ja chciałam, żeby David uczył się w tamtej szkole.

- Ale przecież nie kazałaś tym szalonym „Freem” się tam zjawić, żeby sobie postrzelali, prawda?

- Nie, nie prosiłam też FBI o przysłanie ludzi, którzy byli zbyt tchórzliwi albo nieudolni, żeby uratować mojego syna.

- Trochę dziwnie się czuję, mieszkając tu z FBI.

- Wiedzieliśmy, że to jest bardzo prawdopodobne.

Strait uśmiechnął się.

- Przyjechali tutaj, żeby was chronić.

- Przed nami samymi - powiedziała ironicznie Gwen.

- Cóż, mała bomba w telefonie, którą zdetonowałem, kiedy Web wyrzucił go z samochodu, zmyliła ich na dobre. Nie patrzą w naszym kierunku.

- Web London jest o wiele bystrzejszy, niż myślisz.

- Och, wiem, że jest naprawdę bystry. Ta bomba to nie powód, żebym kogoś nie doceniał.

Gwen wypiła łyk swojego drugiego drinka, zdjęła pantofle i przesunęła się do tyłu na łóżku.

Strait zanurzył rękę w jej włosach.

- Brakowało mi ciebie, moja pani.
- Billy'ego wcale to nie obchodzi, ale trochę trudno się poruszać, kiedy FBI patroluje całą posiadłość.
- Cóż - powiedział Strait - teraz są tu tylko Web i Romano. Na Romano też trzeba uważać. Ten facet był w SWAT i Delcie, może narobić nam kłopotów. Widzę to w jego oczach.

Gwen położyła się na brzuchu, podparła łokciami i wpatrzyła się w Nemo. Wzrok Straita przykuły jej piersi, które teraz wypadały z sukni. Zauważyła to spojrzenie, ale najwyraźniej jej to nie zainteresowało.

- Chciałam zapytać cię o przyczepy do przewozu koni.

Pytanie Gwen sprawiło, że spojrzenie mężczyzny przeniosło się z jej biustu ku twarzy.

- Co z nimi?
- Ja też dorastałam w stadninie, Nemo. Kazałeś przystosować niektóre przyczepy w bardzo szczególny sposób, chcę, żebyś mi powiedział dlaczego.

Uśmiechnął się szeroko.

- Czy mężczyzna nie może mieć żadnych tajemnic?

Uklękła i przysunęła się do niego. Zaczęła całować go po szyi, a jego ręka powędrowała najpierw do jej piersi, a potem do pośladków. Podciągnął jej suknię do pasa i odkrył, że nie ma na sobie bielizny.

- Prawidłowe myślenie. Jestem taki napalony, że i tak po prostu zerwałbym z ciebie majteczki.

Jęczała mu do ucha, gdy jego palce gładziły jej ciało. Jej dłoń dotykała jego twarzy, a potem zsunęła się do wycięcia T-shirta. I wtedy Gwen błyskawicznie rozdarła przód koszulki i usiadła prosto.

Jej ruch zaskoczył Straita tak bardzo, że niemal spadł z łóżka.

Zobaczył, że przygląda się pokrwawionemu bandażowi na jego barku.

- Bardzo dziwny siniak po kopnięciu przez konia - powiedziała Gwen.

Wpatrywali się w siebie. I zanim Strait zdołał ją powstrzymać, Gwen podniosła pistolet, wprowadziła nabój do komory i zaczęła celować w różne punkty pokoju. Potem popatrzyła na broń.

- Równowaga jest zachwiana. Poza tym powinieneś mieć przyrządy celownicze z litową baterią, Nemo. Bardzo pomagają, kiedy strzela się w nocy.

Kropelka potu pojawiła się na czole Straita.

- Radzisz sobie z nim naprawdę dobrze.
- Nie tylko z końmi dorastałam w Kentucky. Mój ojciec i bracia byli bardzo aktywnymi członkami Krajowego Związku Strzeleckiego. Ja też bym do niego wstąpiła, ale rodzice uważali, że nie byłoby to odpowiednie dla młodej damy.

- Hej, naprawdę dobrze to wiedzieć. Ja też należę do związku. - Odetchnął z ulgą, kiedy zabezpieczyła broń. Nie odłożyła jej jednak.

- A więc co to jest? - zapytała. - Narkotyki?

- Posłuchaj, kotku, może po prostu wypijemy po drinku i weźmiemy się do...

Kobieta uniosła i odbezpieczyła pistolet.

- Przyszłam tutaj, żeby cię wydymać, Nemo, a nie żebyś mi mydlił oczy. Jest późno i zaczynam się czuć zmęczona. Jeśli chcesz dostać jakieś cukierki dziś wieczorem, lepiej skończ z tym chrzaniem.

- W porządku, w porządku. Cholera, ale z ciebie numer. - Wypił szybko łyk piwa i otarł usta ręką. - To narkotyki, ale nie takie, jak myślisz. Towar na receptę o dwa razy większym kopie niż morfina. Nie trzeba mieć żadnych laboratoriów, unika się problemów na granicach. Po prostu kradniesz to albo ubijasz interes ze sprzedawcą z apteki, który zarabia osiem dolców na godzinę. Handel Oxycontinem zaczął się na wsi. Ale ja dostarczam to do wielkich miast. Do cholery, już czas, żebyśmy my, ludzie ze wsi, spili trochę tego miodku. Jest słodki.

- I używasz East Winds jako swojej bazy, a w naszych przyczepach przewożysz towar.

- Cóż, przedtem również rozprowadzaliśmy te lekarstwa, wykorzystując głównie pikapy, wcześniej przygotowane punkty zrzutu, a nawet pocztę. Potem wpadłem na pomysł, żeby użyć przyczep do przewozu koni. Stale przejeżdżamy z końmi granice stanów. A jeśli gliniarze zatrzymują nas, żeby sprawdzić zezwolenia i dokumenty dotyczące przyczep i koni, z powodu zapachu trzymają się z daleka od miejsc, gdzie jest towar, a o ile wiem, niewiele psów nauczono wywąchiwać lekarstwa na receptę. Przemieszczałem ludzi i przyczepy, żebyście ty i Billy się nie zorientowali. Transport, który zawieźliśmy do Kentucky, był naszym największym jak dotąd.

Uniósł puszkę, najwyraźniej na znak szacunku dla samego siebie.

Gwen popatrzyła na jego ranę.

- Ale nie był to pełny sukces.

- Cóż, kiedy ktoś robi coś nielegalnego, musi być przygotowany na pewne niebezpieczeństwa.

- Czy tutaj źródłem niebezpieczeństwa byli twoi odbiorcy, czy może gliny?

- Przestań, skarbie, jakie to ma znaczenie?

- Masz rację. Chyba w każdym wypadku oznacza to, że nas naraziłeś. Miałeś pracować dla nas, Nemo, na pełnym etacie.

- Cóż, człowiek musi się troszczyć o siebie. A to był za dobry interes, żeby go sobie odpuścić. I nie będę tyrał w stadninach do końca życia, w porządku?

- Wynajęłam cię w ściśle określonym celu z powodu twoich wyjątkowych zalet i doświadczenia.

- Racja, dlatego, że mam cholernie sprawną głowę na karku, znam facetów, którzy bez oporów zabijają ludzi, i umiem montować pomysły ładunki wybuchowe. Cóż, zrobiłem, co chciałaś, kotku. - Wyliczał na palcach. - Sędzia federalny, prokurator, adwokat.

- Leadbetter, Watkins i Wingo. Sędzia bez charakteru, prokurator bez jaj i adwokat, który chętnie broniłby zabójcy własnej matki, jeśli facet miałby dość pieniędzy. Uważam, że wyświadczyliśmy społeczeństwu przysługę, kończąc ich marne życie.

- Racja, i wykończyliśmy grupę z HRT, a potem nabraliśmy ich i sprzątnęli cholernych „Freech”. Człowieku, skołowaliśmy doświadczonego tajniaka, myślał, że natrafił na największy możliwy interes narkotykowy. Urządziliśmy to miejsce jak coś prosto z filmu *Żądło*. - Popatrzył na nią i jego twarz przybrała surowy wyraz. —Wykonałem zadanie, moja pani. Więc to moja sprawa, co robię w wolnym czasie. Nie jestem twoim cholernym niewolnikiem, Gwen.

Nadal mierzyła do niego z pistoletu.

- Web London wciąż żyje.

- Cóż, do diabła, powiedziałaś, że tak ma być. Żeby wyglądał na tchórza. Poszczęściło się nam, kiedy się dowiedziałem, że psychiatra, do którego chodzi, to mój stary znajomy z Wietnamu. Wszyscy teraz myślą, że Web jest zły do szpiku kości. Wszystko to wymagało dużo planowania, było bardzo ryzykowne i powiem ci, że przeprowadziliśmy to niemal perfekcyjnie, do cholery, no i dostałaś to za parę procent wartości, bo myślę, że to, co się stało z twoim synem, śmierdzi. - Popatrzył na nią z urazą. - I nie pamiętam nawet, żebyś powiedziała „dziękuję”.

- Dziękuję. Ile pieniędzy zarobiłeś na tych narkotykach? - Jej ton był rzeczowy, a wyraz twarzy nieprzenikniony.

Zaskoczony Strait opuścił puszkę.

- Dlaczego pytasz?

- Po tym, jak ci zapłaciłam i jak wpakowaliśmy tyle w tę farmę, jesteście z Billym w finansowym dołku. Niedługo przyjadą zabrać jego kolekcję starych samochodów, bo zaciągnęliśmy pożyczkę pod ich zastaw. Przydałoby się nam trochę wolnego kapitału, bo zamierzamy wszystko wyprzedać i też się gdzieś przenieść, zwłaszcza że twoja rana, chociaż nie wiem, skąd się wzięła, mówi mi, że pewnego dnia ktoś zapuka do naszych drzwi i zada pytania, na które nie znam odpowiedzi. I szczerze mówiąc, mam już dość krainy polowań w Wirginii. Myślę, że naszym następnym miejscem pobytu będzie wysepka, na której nigdy nie robi się zimno i na której nie ma cholernych telefonów.

- Chcesz, żebym dał ci część moich pieniędzy z narkotyków? - zapytał z niedowierzaniem.

- Właściwie słowo „żądaś” lepiej by tu pasowało. Nemo rozłożył ręce.

- Cóż, nie bujałem, kochanie, uzyskaliśmy dobre ceny za te piękne roczniki - powiedział tonem pełnym szczerości.

Wyśmiała go.

- Ta farma nigdy nie przynosiła dochodów, zanim ją kupiliśmy, i nie będzie ich przynosić teraz. Piękne roczniki tego nie zmieniają.

- Więc czego chcesz ode mnie?

- To bardzo proste. Chcę, żebyś mi powiedział, ile zarobiłeś na narkotykach.

Wahał się przez chwilę.

- Właściwie nie tak dużo.

Uniosła pistolet i wycelowała w niego.

- Ile?

- W porządku, jakiś milion. I co, jesteś zadowolona?

Chwyliła pistolet obiema rękami i wymierzyła bardzo starannie w jego głowę.

- Ostatnia szansa. Ile, Nemo?

- W porządku, w porządku, nie podniecaj się tak. - Odetchnął głęboko. - Dziesiątki milionów.

- A więc chcę dwudziestu procent. A potem każde z nas pójdzie w swoją stronę.

- Dwadzieścia cholernych procent!

- Prześlesz pieniądze na zagraniczne konto. Zakładam, że taki wielki biznesmen założył gdzieś jakieś tajne konta, żeby ukryć swoje miliony. Przepraszam, d z i e s i ą t k i milionów.

- Ale posłuchaj, mam wydatki.

- Pewnie, prawdopodobnie płaciłeś swoim pomocnikom tabletkami, bo większość z nich jest zbyt głupia, żeby wiedzieć, co jest dla nich dobre. A ponieważ handlowanie lekarstwami na receptę oznacza niskie koszty i mniejsze ryzyko, przypuszczam, że twoje marże zysku są całkiem spore, i myślę też, że nie płacisz podatku od tych dochodów. A co więcej, do przewożenia towaru używasz naszego sprzętu, za który zapłaciliśmy, i robią to dla ciebie ludzie, którym płacimy za pracę na farmie. A więc bardzo niewiele wykladałeś z własnej kieszeni i to jeszcze powiększa twój zysk. A więc, tak, chcę dostać swoją działkę. Nazwiemy to opłatami za wynajęcie sprzętu i siły roboczej. I masz szczęście, że to tylko dwadzieścia procent. - Uwodzicielsko powiodła palcami po swojej twarzy. —Właściwie to ci się udało, bo jestem akurat we wspaniałomyślnym nastroju.

Strait tylko pokręcił głową.

- Co, twój tata był też cholernym doktorem ekonomii?
- Billy i ja dostajemy po głowie już od wystarczająco długiego czasu. Ale przynajmniej nadal żyjemy. Mój syn miał tylko dziesięć lat. Czy to wydaje ci się sprawiedliwe?
- A jeśli powiem nie?
- Zastrzelę cię.
- Z zimną krwią. Taka religijna kobieta?
- Modłę się za mojego syna codziennie, ale nie mogę powiedzieć, że moja wiara w Boga pozostała niezachwiana. I zawsze mogę wezwać gliny.

Nemo uśmiechnął się i pokręcił głową.

- I co im powiesz? Ze handluję narkotykami? I że, och, taak, zabiłem dla ciebie paru ludzi? Jaką masz mocną kartę przetargową?
 - Moją mocną kartą, Nemo, jest to, że nie obchodzi mnie już ani trochę, co się ze mną, do cholery, stanie. To najmocniejsza ze wszystkich kart przetargowych. Nie mam nic więcej do stracenia, bo już straciłam wszystko.
 - A co z Billym?
 - On nic o tym nie wie. A teraz to będzie dwadzieścia pięć procent.
 - Zaraz, do diabła.
- Gwen nadal w niego celując, wstała, rozpięła zamek sukni i pozwoliła jej opaść na podłogę, a potem stanęła całkowicie naga.
- A to jest dodatkowa zachęta - powiedziała. - Po raz pierwszy, po raz drugi...
 - Umowa stoi! - odparł Nemo Strait, wyciągając do niej rękę.

Seks był ostry i gdy skończyli, obojgu brakowało tchu. Strait opadł na plecy, masując bolące ramię, a Gwen opuściła nogi i wyciągnęła je. Nemo prawie przepchnął ją przez sprężyny łóżka i wykręcił jej nogi do wręcz nienaturalnej pozycji. Czuła, że będzie obolała przez kilka dni, ale był to cudowny ból, którego mąż odmawiał jej od tak dawna. I nie chodziło tylko o seks, ale też o miłość, a to było o wiele gorsze. Przy ludziach udawał czułość, gdy byli sami, w ogóle się nie starał. Nigdy się nad nią nie znęcał - przeciwnie, cechowała go skrajna niewiara we własne siły połączona z nieodwracalnym przygnębieniem; nigdy wcześniej tak jej nie bolało to, że jest ignorowana.

Gwen oparła się o wezłowie łóżka, zapaliła papierosa i wydmuchiwała grube kółka dymu w stronę sufitu. Leżała tak przez mniej więcej godzinę, a potem wyciągnęła rękę i położyła ją na włochatej piersi Straita. Powoli go obudziła.

- To było cudowne, Nemo.
- Aha - zamruczał w odpowiedzi.
- Myślisz, że będziesz mógł to zrobić jeszcze raz przed wschodem słońca?

Otworzył jedno oko.

- Cholera, kobieto, nie jestem dziewiętnastolatkiem, poza tym mam zranione skrzydło. Jak zdobędziesz dla mnie trochę tej gównianej Viagry, to może mi się uda.

- Myślałam, że pracując w takiej branży, znudziłeś się tabletkami.

Uniósł lekko głowę i popatrzył na nią.

- Hej, pewnie nie chciałybyś się zastanowić nad przeprowadzką do Grecji razem ze mną, co? To byłaby kupa zabawy. Gwarantuję.

- Nie wątpię, ale moje miejsce jest przy mężu, nawet jeśli on o tym nie wie.

Opadł z powrotem na plecy.

- Taak, myślałem, że to powiesz.

- I tak naprawdę chcesz mi tylko zabrać moje dwadzieścia pięć procent.

- Dobra, poddam się.

- Nemo?

- Taak?

- Jak myślisz, co się stało z Ernestem B. Freem?

Usiadł, odpalił od niej papierosa, a potem oparł się o wezgielnie obok niej i objął ją ramieniem.

- Do diabła, nie wiem. To naprawdę zabiło mi klina. Myślałem, że będzie w kompleksie, na który uderzyła HRT, ale go tam nie było. Chyba że federalni kłamią, ale dlaczego mieliby to robić? Gdyby go zgarnęli, wrzeszczeliby o tym na cały świat. A facet, którym się posłużyłem do zrobienia „Freech”, powtykał tam też narkotyki i inne rzeczy, w tym jakieś spreparowane teczki z informacjami o sędzim i tych dwóch prawnikach. On nawet zna drogiego Erniego, więc zobaczyłby go i rozpoznał, gdyby ten facet tam był. Nawet gdyby go naprawdę dobrze schowali.

Przegarnęła palcami jego włosy.

- Web i Romano niedługo wyjeżdżają.

- Taak, wiem. Szerokiej drogi. Ograniczają mi swobodę, chociaż całkiem przyjemnie wywoziło się stąd pięćdziesiąt tysięcy ukradzionych tabletek tuż pod nosem federalnych. Ale prawdę mówiąc, jakoś lubię tych facetów. Gdyby się dowiedzieli, co zrobiliśmy, próbowaliby nas wsadzić do cel śmierci, ale poza tym nie miałbym nic przeciwko chlapięciu z nimi paru browarów od czasu do czasu.

Strait spojrział na Gwen i wyraz jej twarzy nim wstrząsnął.

- Web London budzi we mnie wstręt - powiedziała.
- Słuchaj, Gwen, wiem, co się stało z twoim synem, i w ogóle...
Wybuchła i zaczęła walić pięściami w materac.
- Robi mi się niedobrze, kiedy widzę jego twarz. Oni są gorsi niż „Free”. Wpadają do budynku, żeby uratować świat, i niewinni ludzie giną. Ci ludzie przyrzekli mi, że kiedy zostanie wezwana formacja HRT, nikt więcej nie umrze. A potem pokazywali wszędzie Weba Londona jako wielkiego bohatera, chociaż mój syn leżał w grobie. Z chęcią sama bym ich wszystkich powystrzelała.
Wściekłość w jej tonie i słowach spowodowała, że Gwen klęczała na łóżku, a włosy opadały jej na twarz. Jej szczupłe, nagie ciało z napiętymi mięśniami sprawiało, że wyglądała jak pantera gotująca się do skoku. Popatrzył na pistolet, który położyła na nocnym stoliku, i zamierzał się na niego rzucić, ale ona była szybsza. Celowała w różne punkty, a Strait obserwował ją niespokojnie. W końcu wymierzyła broń w samą siebie. Spojrzała na lufę, jakby nie była pewna, co to jest. Jej palec powoli zbliżał się do spustu.
- Dlaczego nie zrobisz tego sama? - zapytał Strait, patrząc na pistolet. - To znaczy, dlaczego nie zabijesz Weba. Jak powiedziałaś, wypadki się zdarzają. Szczególnie w stadninach.
Gwen pomyślała o tym i w końcu jej twarz straciła gniewny wyraz, uśmiechnęła się do Straita, odkładając broń.
- Może to zrobię.
- Tylko czegoś nie sknoć, bo jesteśmy na ostatniej prostej.
Wślizgnęła się pod przykrycia, przytuliła się do niego, pocałowała go w policzek i włożyła rękę pod prześcieradło. Potarła jego członek.
- Jeszcze tylko raz - powiedziała niskim, gardłowym głosem, patrząc mu prosto w oczy. Zsunęła prześcieradło, spojrzała w dół i uśmiechnęła się.
- Mój Boże, kto potrzebuje Viagry, Nemo?
- Kobieto, grasz na mnie jak Charlie Daniels na skrzypcach.
Nawet bez lekarstwa na potencję Strait zdołał zaspokoić ją jeszcze raz, chociaż prawie go to wykończyło.
Później, gdy Gwen się ubierała, obserwował ją.
- Cholera, jesteś kocią z piekła rodem.
Zapięła suknię, w jednej ręce trzymała buty. Strait wstał i zaczął ostrożnie naciągać koszulę na zranione ramię. Popatrzyła na niego.
- Jakies plany na wczesny poranek?
- Ach, wiesz, jak wygląda życie w stadninie, zawsze jest coś do zrobienia.
Odwróciła się, żeby odejść.

- Wiesz, nie czepiam się ani nic takiego, Gwen, ale niedobrze jest, kiedy ktoś nosi w sercu tyle nienawiści. W pewnym momencie musisz po prostu ją odrzucić, bo inaczej cię zniszczy. Czułem się tak, kiedy moja eks zabrała dzieciaki. W pewnym momencie musisz po prostu odrzucić to uczucie.

Kobieta wolno się odwróciła i popatrzyła na niego.

- Kiedy zobaczysz, jak twoje jedyne dziecko leży martwe tuż przed tobą z krwawą dziurą w piersi, Nemo, a potem z tego powodu stracisz jedyną inną osobę, którą kochasz; kiedy poznasz samo dno rozpacz, a potem stwierdzisz, że opadasz jeszcze niżej - wtedy możesz przyjść i powiedzieć mi o odrzucaniu nienawiści.

51

Claire ocknęła się nagle z głębokiego snu, w który mimo przerażenia zapadła z powodu wyczerpania. Poczula, że dotykają ją czyjeś palce, i już miała uderzyć napastnika, kiedy jego głos ją powstrzymał.

- To tylko ja, Claire - powiedział Kevin, przesuając w górę opaskę, która zakrywała jej oczy.

Pomieszczenie nie było oświetlone, więc Claire musiała dać swoim oczom czas na przyzwyczajenie się do ciemności. Popatrzyła na Keviną, który siedział obok niej i manipulował przy kajdankach trzymających jej ręce przy ścianie.

- Myślałam, że ty też jesteś skuty.

Uśmiechnął się i uniósł mały kawałek metalu.

- Byłem. Ale zdjąłem to z jednego z markerów, które dali mi do rysowania. Otworzyłem zamek sposobem. Mam sprawne ręce.

- Widzę to.

- Daj mi jeszcze minutę, to ciebie też uwolnię.

Zrobił to szybciej. Roztarła nadgarstki i usiadła prosto, rozejrzała się i skierowała wzrok na drzwi.

- Rozumiem, że drzwi są zamknięte na klucz?

- Zawsze tak było. Może nie teraz, jeśli myślą, że jesteśmy przykuci.

- Słusznie. - Wstała i przez chwilę chwyciła równowagę po tak długim czasie spędzonym prawie bez ruchu, tym bardziej że przykre doznania potęgowała ciemność. Znów się rozejrzała. - Czy jest tu cokolwiek, czego moglibyśmy użyć jako broni, w razie gdyby ktoś był po drugiej stronie tych drzwi? - szepnęła.

Kevin podszedł do łóżka polowego, przewrócił je na bok i odśrubował dwie metalowe nogi. Jedną zatrzymał, a drugą podał Claire.

- Ty walniesz ich wysoko, a ja nisko - powiedział.

Claire skinęła głową, jednak bez zbytnej pewności siebie. Nie była przekonana, że potrafiłaby kogoś walnąć.

Wydawało się, że Kevin wyczuł jej obawy, bo dodał:

- Walniemy ich, tylko jak będą próbowali zrobić nam krzywdę, zgoda?

- Zgoda - powiedziała Claire znacznie bardziej stanowczo.

Małutkimi krokami zbliżyli się do drzwi i spróbowali je otworzyć.

Były zamknięte na klucz. Nasłuchiwali uważnie przez chwilę, ale nikt nie dawał znaków życia po drugiej stronie, chociaż odgłosy maszyn nie były już takie głośne. - Chyba nie wyjdziemy stąd, dopóki nie będą tego chcieli - stwierdziła Claire.

Kevin popatrzył na drzwi i cofnął się.

- Nigdy wcześniej tego nie zauważyłem.

- Czego?

- Że zawiasy są z tej strony.

Na twarzy Claire pojawiła się nadzieja, jednak tylko na moment.

- Ale potrzebowałibyśmy śrubokrętu i młotka, żeby je wyjąć.

- Cóż, mamy młotek. - Podniósł metalową nogę. A tutaj jest śrubokręt.

Podszedł tam, gdzie kajdanki, którymi skuto Claire, były przymocowane do skobla tkwiącego w ścianie. Z pomocą Claire zdołał w końcu odśrubować skobel i zsunął kajdanki. Uniósł jedną z obręczy.

- Ma ładną krawędź, jak w śrubokręcie.

- Znów dobrze pomyślałeś, Kevin - powiedziała Claire z podziwem. Ona czuła się zupełnie bezradna, a Kevin wyciągał jeden cud po drugim, jak z kapelusza.

Zajął im to trochę czasu, ciągle przerywali pracę i słuchali, czy ktoś nie nadchodzi, ale zawiasy w końcu ustąpiły. Udało im się wyważyć drzwi i wyszli. Za drzwiami też było ciemno i potykali się, zmierzając naprzód, wymacywali ściany wąskiego korytarza, żeby znaleźć drogę. Zapach chloru był teraz bardzo silny. Natrafili na kolejne drzwi zamknięte na klucz i Kevinowi udało się je otworzyć za pomocą nasadki markera. Napotkali jeszcze jedne drzwi, które na szczęście nie były zamknięte na klucz.

Claire zaczerpnęła głęboko powietrza, to samo zrobił Kevin. Uśmiechnął się do niej.

- Przyjemnie być w końcu na dworze.

- Cóż, ruszajmy, zanim przyjdą i zamkną nas znowu.

Minęli zakryty basen, skradali się przez krzaki, a potem po krętej trawiastej ścieżce. Gdy zbliżali się do końca ścieżki, Claire zobaczyła jakiś wysoki budynek daleko przed nimi. To była ta rezydencja. Widziała ją przelotnie podczas swojego pobytu tutaj. Byli na farmie East Winds!

- O mój Boże! - wykrzyknęła.

- Ciii - powiedział Kevin.

- Wiem, gdzie jesteśmy - szepnęła mu do ucha. - Są tu moi przyjaciele, musimy tylko do nich dotrzeć. - Problem polegał na tym, że w ciemnościach trudno było określić, z której strony znajduje się dom, w którym mieszkali Web i Romano, nawet mając punkt orientacyjny w postaci rezydencji.

- Jeśli są tutaj, gdzie byliśmy zamknięci, to skąd wiesz, że to naprawdę twoi przyjaciele?

- Po prostu wiem. Chodź. - Wzięła go za rękę i skierowali się tam, gdzie według Claire była wozownia. Wkrótce jednak oboje zeszywnieli, kiedy usłyszeli, że zbliża się jakiś pojazd. Pobiegli z powrotem w krzaki i wyjrżeli stamtąd. Nastrój Claire gwałtownie się pogorszył. To była półciężarówka, a nie mach czy corvette Romano. Zaparło jej dech w piersiach, kiedy samochód się zatrzymał i wysiadło z niego kilku mężczyzn z bronią. Najwyraźniej odkryto ich ucieczkę. Pognali z Kevinem głębiej w lasy, w wyniku czego Claire całkowicie straciła orientację.

W końcu się zatrzymali, złapali oddech. Kevin rozejrzał się.

- Nigdy nie widziałem tylu drzew w jednym miejscu, Claire. Nie wiem, jak stąd wyjść.

Claire odetchnęła głęboko, usiłując uspokoić oddech i zapanować nad nerwami. Skinęła głową.

- Ja wiem. - Zbadała nieznany teren i próbowała właśnie zdecydować, w jakim kierunku powinni podążyć, kiedy usłyszeli odgłosy kroków. Claire przyciągnęła do siebie Kevina i kucnęli w zaroślach.

Ktoś kroczył ścieżką i przeszedł tuż obok Claire i Kevina, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z ich obecności. Claire wyjrzała zza krzaka. Nie знаła Gwen Canfield, a więc nie miała pojęcia, dlaczego kobieta w długiej czerwonej sukni przemierza boso gęste lasy o tej porze. Claire chciała do niej krzyknąć, ale w końcu postanowiła tego nie robić. Nie miała pojęcia, kim są ludzie, którzy ją wzięli. Kobieta mogła do nich należeć.

Kiedy Gwen zniknęła im z oczu, ruszyli dalej. Doszli do pogrążonego w ciemnościach domu, ale stała przed nim inna półciężarówka. Claire zastanawiała się, czy nie spróbować wkraść się do budynku i zadzwonić na policję, kiedy jakiś mężczyzna wypadł ze środka, wskoczył do półciężarówki i odjechał z rykiem silnika.

- Myślę, że właśnie się dowiedział, że uciekliśmy - szepnęła do Kevina. - Chodź.

Pobiegli w stronę domu. Claire zauważyła wcześniej, że w pośpiechu mężczyzna zostawił otwarte drzwi. Już mieli wejść do środka, kiedy usłyszeli dźwięk, który sprawił, że Claire żołądek podszedł do gardła.

- On wraca! - krzyknął Kevin. Popędzili z powrotem do lasu, a półciężarówka niebezpiecznie się zbliżała.

Przedzierając się przez gęste podszycie, Claire szybko zgubiła buty, a ubrania jej i Kevina były szarpane na strzępy przez cierniste pnącza i twarde gałęzie. Gdy dotarli do małej polany, zatrzymali się, żeby zła-

pać oddech, ale znów zaczęli pędzić, kiedy usłyszeli chrzęst stóp przebijających się przez zarośla.

Dobiegli do otwartej przestrzeni i Claire zobaczyła, że w ciemnościach mający jakiś budynek.

- Szybko - powiedziała do Kevina - Wejdzimy tam.

Wdrapali się na rampę załadowniczą i przez dziurę w ścianie dostali się do małpiarni. Rozejrzeli się po zniszczonym wnętrzu. Claire zadygotała, kiedy zauważyła zardzewiałe klatki. Kevin zatkał nos.

- Cholera, śmierdzi tu - stwierdził.

Kroki mężczyzn i ujadanie psów zbliżały się coraz bardziej.

- Tam - powiedziała z przerażeniem Claire. Wspięła się na skrzynkę, podsadziła Kevina i ukryła go w dziurze w ścianie, gdzie kiedyś prawdopodobnie mieścił się klimatyzator. - Nie podnoś głowy i bądź cicho - poleciła mu.

- Gdzie idziesz?

- Niedaleko - odparła. - Ale jeśli mnie znajdą, nie wychodź; cokolwiek powiedzą, że mi zrobią, nie wychodź. Rozumiesz?

Kevin wolno skinął głową.

- Claire - powiedział. Odwróciła się. - Proszę, bądź ostrożna.

Uśmiechnęła się słabo, uściśnięła dłoń chłopca i zeszła na dół. Rozglądała się przez chwilę, a potem wymknęła się przez podłużny otwór w tylnej ścianie. Kiedy znalazła się na zewnątrz, psy czekały jeszcze bardziej zajadle. Musieli dać zwierzętom coś z zapachem jej i Kevina. Oderwała kawałek sukienki, chwyciła mały kamień, obwiązała go paskiem materiału i rzuciła najdalej jak mogła od małpiarni. Potem pobiegła w przeciwnym kierunku. Dotarła znów do lasów, zsunęła się po skarpie i zatrzymała się na dole. Rozejrzała się, próbując ustalić, z której strony dochodzą odgłosy pogoni. Niestety, z powodu topografii echo zwielokrotniało hałasy. Postanowiła przeprowić się przez mały strumień, ale w połowie upadła i przemokła. Z wysiłkiem wstała, zdołała się wspiąć po małym wale na drugim brzegu. Była tak zmęczona, że częściowo chciała po prostu leżeć tam i czekać, aż ją znajdą. A jednak poderwała się i pobiegła. Kiedy dotarła do kolejnego stromego zbocza, przytrzymała się młodego drzewa i podciągnęła się na górę. Stamtąd obejrzała okolicę. W oddali zobaczyła światło, a potem jeszcze jedno i kolejne, wszystkie w parach. Droga. Wzięła kilka głębokich wdechów i ruszyła równomiernym truchtem. Jej stopy były pokaleczone i krwawiły, ale nie dopuszczała do tego, żeby ból ją spowalniał. Musiała znaleźć pomoc. Musiała znaleźć pomoc dla Kevina.

Nie słyszała już głosów mężczyzn i szczekania psów, pozwoliła więc sobie na odrobinę nadziei, że rzeczywiście udało się jej uciec. Ostatnie dwa metry, które dzieliły ją od drogi, przebyła na czworakach, przez

chwilę siedziała w rowie, zalewając się łzami, co wynikało z wyczerpania, strachu i szczęścia po odzyskaniu wolności. Kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód, wstała i wybiegła na drogę, machając rękami i głośno wzywając pomocy.

Początkowo wydawało się, że auto w ogóle się nie zatrzyma. I Claire zdała sobie sprawę, że z pewnością wygląda jak jakaś wariatka. Ale samochód w końcu zwolnił, a potem się zatrzymał. Popędziła w stronę drzwi przy przednim fotelu pasażera i otworzyła je szarpnięciem. Najpierw zobaczyła Kevina siedzącego właśnie na tym miejscu z kneblem w ustach, ze sklejonymi taśmą ramionami i nogami. Następnie zobaczyła, że Nemo Strait mierzy do niej z pistoletu.

- Hej, pani doktor - powiedział. - Podwieźć panią?

Mężczyzna rozciągnął swoje długie ciało, a potem mimowolnie zdrzął. Kończąca się noc była trochę chłodna i wydawało się, że wilgoć wniknęła do jego kości. Owinął się szczelniej kocem. Francis Westbrook nie był przyzwyczajony do nocowania pod gołym niebem. Prawdopodobnie nigdy nie miał się znaleźć w warunkach bardziej podobnych do namiotowych i nie sprawiały mu one przyjemności. Wypił trochę wody, a potem powoli wysunął głowę ze swojej kryjówki. Oceniał, że wkrótce wszędzie słońce. Nie spało mu się szczególnie dobrze; do diabła, nie spał tak naprawdę, odkąd zniknął Kevin. Jeden nędzny telefon, to wszystko, co dostał. Spotkał się z Londonem, tak jak mu kazali, i przekazał mu informację o tunelach, też tak jak mu kazali. Po drodze powierzył małe niedokończone zadanie Toonie, pewnie. Wbrew temu, co Westbrook powiedział Webowi, mógł znieść skubaczy, a nawet tych, którzy używali towaru, bo w biznesie narkotykowym nikt nie chciałby pracować dla kogoś, kto by na takie rzeczy reagował inaczej, to było proste. Ale w żadnym razie nie mógł tolerować kapusia. Macy dał mu znać, co robi Toona, on sam to sprawdził i okazało się, że Macy się nie mylił. A więc Toona-Tuńczyk stał się, zgodnie ze swoim przydomkiem, jedzeniem dla ryb. Czasami życie jest sprawiedliwe, pomyślał Francis.

Na ulicach dowiedział się, że Peebles został zabity. Chłopak po prostu nie miał tego, co było potrzebne. Ale Westbrook dowiedział się też, chociaż za późno, że Peebles przygotowywał się do przejęcia kontroli nad jego interesem i połączenia wszystkich miejscowych ekip. To go zaskoczyło. Nie przypuszczał, że drogi Twan miał takie pomysły. Macy po prostu zniknął. Nielojalność tego drugiego naprawdę go wkurzyła. Westbrook wzruszył ramionami. Został ukarany za obdarzenie zaufaniem białego chłopaka.

Teraz ten, kto zabił Twana, być może chciał dopaść i jego. Westbrook będzie musiał po prostu się przyciąć i polegać tylko na sobie, dopóki

sytuacja się nie wyklaruje. Polegać tylko na sobie - całkiem tak jak w dawnych czasach. Miał dwa pistolety, parę magazynków z amunicją, około tysiąca dolarów w kieszeni. Porzucił navigatora, kiedy tu przyjechał, i gliniarze nadal go szukali. Cóż, niech szukają. Widział, że federalni patrolują teren, ale spędził dość czasu na unikaniu spotkań z gliniarzami, by wiedzieć, jak ukryć nawet swoje bardzo wielkie ciało, tak żeby wtopiło się dokładnie w otoczenie. Widział, jak działały się tutaj pewne dziwne rzeczy. I słyszał wcześniej w oddali szczekanie psów. Psy oznaczały kłopoty. Schował się wtedy głębiej w swojej kryjówce i naciągnął na siebie koc, który przykrył gałęziami i liśćmi. Leżał bez ruchu, dopóki te odgłosy się nie oddaliły. O ile się orientował, London nadal był w pobliżu, a jeśli London uważał, że to miejsce jest ważne, to Westbrook też tak myślał. Sprawdzał swój pistolet i usadowił się wygodnie, wypił jeszcze trochę wody, słuchał świerszczy i zastanawiał się, co przyniesie nowy dzień. Może przyniesie Kevina.

Ed O'Bannon chodził w kółko po małym, pustym pomieszczeniu. Nie palił od lat, a jednak w ciągu ostatnich dwóch godzin wypalił prawie całą paczkę. Odkrycie jego działalności było czymś, co zawsze brał pod uwagę, ale z biegiem czasu, gdy wszystko szło gładko, jego obawy się zmniejszały, a konto bankowe pęczniało. Usłyszał, że ktoś nadchodzi, i odwrócił się w stronę drzwi. Były zamknięte na klucz, a więc zdziwił się, kiedy gałka się przekreśliła, i cofnął się. Kiedy zobaczył, kto wchodzi do środka, odetchnął z ulgą.

- Dawno się nie widzieliśmy, doktorze.

O'Bannon wyciągnął rękę i Nemo Strait ją uściśnił.

- Nie byłem pewien, czy się pojawisz, Nemo.

- Czy kiedyś cię zawiodłem?

- Muszę jak najszybciej wyjechać. Federalni korkują kraj.

- Wyluzuj się. Mamy wiele sposobów, żebyś wyjechał, i samoloty, papiery i ludzi, dzięki którym dotrzesz na miejsce. - Strait podniósł plik dokumentów. - Przez Meksyk do Rio i dalej do Johannesburga. Tam możesz wybrać Australię, Nową Zelandię, wielu poszukiwanych właśnie tam się udaje. Albo może wolisz nasze dawne rewiry w Azji Południowo-Wschodniej.

O'Bannon popatrzył na dokumenty i znów odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się i zapalił następnego papierosa.

- Wydaje się, że to było sto lat temu.

- Hej, nigdy tego nie zapomnę. Uratowałeś mi tyłek po tym, jak Wietkong rozpaprał mi umysł.

- Deprogramacja, nie taka trudna rzecz dla kogoś, kto wie, co robi.

- Miałem szczęście, że ty wiedziałeś - stwierdził Strait. Przerwał na

chwilę i uśmiechnął się szeroko. - I zajmowałeś się trochę narkotykami na boku. To była dla ciebie przyjemna mała uboczna korzyść z praktyki.

O'Bannon wzruszył ramionami.

-Wszyscy to wtedy robili.

- Do diabła, tak, wszyscy, w tym ja, chociaż miałem je tylko na własny użytek.

- Muszę przyznać, że pomysł założenia podsłuchu w moich gabinetach i sprzedawania informacji na ulicach był naprawdę genialny.

Strait wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cóż, federalni dysponują takimi środkami, musieliśmy więc troszeczkę wyrównać szanse. Ale obaj na tym wygraliśmy. Ty miałeś informacje, ja miałem facetów, którzy ich potrzebują, żeby móc spokojnie prowadzić interesy, nie wyłączając mnie samego. Ty zarabiałeś pieniądze, ja zarabiałem pieniądze, a federalni dostawali ucho od śledzia. Co mogłoby być lepsze?

Kiedy Gwen przedstawiła Straitowi swój plan zemsty na ludziach mających związek ze śmiercią jej syna, wziął on pod lupę zarówno HRT, jak i Weba Londona. Strait już dawno zdał sobie sprawę, że dorastając w stadninie, człowiek po prostu stawał się taki metodyczny. Zdobywał wszystkie dostępne informacje, układał plan i go wykonywał. Strait, dopóki nie został wzięty do niewoli przez Wietkong, był znakomitym żołnierzem, wielokrotnie w piekielnych okolicznościach wprowadzał do walki i wyprowadzał swoją kompanię, i mógł to udowodnić, bo pierś miał obwieszoną medalami, ale nigdy nie miało to dla niego znaczenia. Potem odkrył, że Ed O'Bannon, którego poznał w Wietnamie, to ten sam O'Bannon, który leczy Weba Londona. To podsunęło mu pomysł, żeby wrobić i Londona, i HRT, bo wiedział z pierwszej ręki, co Ed O'Bannon potrafi zrobić z ludzkim umysłem. Jednak początkowo psychiatra nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Ale kiedy Strait dowiedział się, ilu obrońców prawa jest pacjentami O'Bannona, znów skontaktował się z drogim doktorem i ponowił swoją propozycję, żeby założyć podsłuch w poradni, sprzedawać informacje przestępcom i dzielić się zyskami po połowie. Po takiej zachęcie O'Bannon natychmiast się zgodził. Upływ lat nie zmniejszył jego chciwości. Kilka podsłuchanych sesji psychiatrycznych dostarczyło też Straitowi wszystkich informacji, których potrzebował do wrobienia HRT. Nigdy nie powiedział O'Bannonowi, że sprzedaje Oxycontin, bo ten bez wątpienia z tego też chciałby brać swoją dolę. A teraz Strait miał już współnika, Gwen Canfield. Dwadzieścia pięć procent, do cholery! Ale musiał przyznać, że ostatnia noc była tego warta.

- Byłem cholernie zaskoczony, kiedy przywiozłeś do nas Claire Daniels - ciągnął Nemo. - Chociaż chyba nie powinienem. Kiedy powie-

działał mi, że London do niej chodzi, wiedziałem, że kiedyś w przyszłości to będzie problem.

- Próbowałem go przekonać, żeby został u mnie. Ale, jak już mówiłem, nie mogłem naciskać za mocno, nie wzbudzając podejrzeń. Oczywiście ukryłem przed nią większość notatek z jego teczki. I tylko do was mogłem się zwrócić.

- Dobrze zrobiłeś. Mogę ci to zagwarantować: ona nigdy nie będzie zeznawać przeciw tobie w sądzie.

O'Bannon pokręcił głową.

- Trudno uwierzyć, że to już koniec.

- Cóż, robiliśmy świetne interesy.

- „Robiliśmy”, zgadza się - powiedział ponuro O'Bannon.

- Ty chyba też nie kochasz naszego rządu.

- Po tym, co widziałem w Wietnamie? Nie. A praca na etacie w Biurze nie bardzo skłaniała mnie do zmiany zdania.

- Cóż, na pewno uskładałeś ładny mająteczek, który wystarczy ci na resztę twoich dni.

O'Bannon skinął głową.

- Byłem zapobiegliwy. Teraz mam tylko nadzieję, że uda mi się nim nacieszyć.

- Chcę ci podziękować, doktorze, za twoją pomoc. Przygotowałeś Londona doskonale.

- Wierz mi, z powodu swojej przeszłości był łatwym przypadkiem. Nawet nie musiałem przepisywać mu lekarstw. - Uśmiechnął się. - Ten człowiek mi ufał. Jak to świadczy o potężnym FBI?

Strait ziewnął i przetarł oczy.

- Późno poszedłeś spać? - zapytał O'Bannon.

- Można tak powiedzieć. Krótka noc, a i tak z przerwą.

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

- Wejdz - powiedział Strait. Popatrzył na O'Bannona. - To z nim pojedziesz. Jest moim najlepszym człowiekiem. Wszystkim się zajmie.

Clyde Macy wszedł i utkwiał wzrok najpierw w O'Bannonie, a potem w Straicie.

- Od bardzo dawna znam tego chłopaka. Chyba pokazałem mu, jak błędną drogą kroczył, prawda?

- Jesteś dla mnie jak ojciec, którego nigdy nie miałem - odparł Macy.

Strait zaśmiał się.

- Zgadza się. Jeśli możesz w to uwierzyć, ten chłopak przeniknął do murzyńskiej ekipy narkotykowej w Dystrykcie. Urządził ich tak, żeby byli ścigani za to, co my zrobiliśmy. Jeden z nich, Antoine Peebles, próbował przejąć interesy tego faceta, Westbrooka. A więc Mace uda-

wał, że podoba mu się ten plan, Peebles pomagał nam, kiedy tego potrzebowaliśmy, a potem Mace zabił Peeblesa.

O'Bannon wydawał się dezorientowany.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał.

- Bo chciałem - powiedział Macy, a jego bezlitosne oczy świdrowały O'Bannona. - To było zadanie, które sobie wyznaczyłem. I wypełniłem je doskonale.

Strait zachichotał.

- Potem dopilnowałem, żeby doszło do strzelaniny między HRT i Wolnym Społeczeństwem. Ten człowiek jest nieoceniony. W porządku, Mace, to jest Ed O'Bannon, przyjaciel, o którym ci mówiłem. - Podał O'Bannonowi dokumenty, poklepał go po ramieniu i uściśnął mu dłoń.

- Mówiłem poważnie, doktorze, zrobię dla nas, co trzeba. Jeszcze raz dzięki. I dobrze się baw, ukrywając się przed wymiarem sprawiedliwości.

Strait odwrócił się i wyszedł. Kiedy zamykał za sobą drzwi, usłyszał pierwszy stłumiony strzał, a potem jeszcze jeden. Cholera, ten Macy pracował sprawnie. Wyszkolił chłopaka naprawdę dobrze. Chociaż miał on pewne wady. Rywalizacja Macy'ego z FBI była czasami uciążliwa. Jedno z ustępstw, jakie zrobił, żeby zadowolić chłopaka, było dosyć ryzykowne, ale ogólnie Strait nie mógłby tego przeprowadzić bez Clyde'a Macy'ego.

Strait nie miał nic przeciwko Edowi O'Bannonowi, ale nie dokończone sprawy były nie dokończonymi sprawami. A Nemo Strait nie ufał Edowi O'Bannonowi ani nikomu innemu. W porządku, jeden problem z głowy, teraz zostały jeszcze tylko dwa: Kevin Westbrook i Claire Daniels. Raz uciekli, ale nie będą mieli okazji zrobić tego ponownie. A potem nadejdzie odpowiedni moment, żeby skończyć karierę. Greckie wyspy wydawały się coraz atrakcyjniejsze. Nieźle jak na chłopaka, który dorastał w nędzy i od tego czasu radził sobie w życiu, jak umiał. Ameryka rzeczywiście była krajem wielkich możliwości.

Gdy wsiadał do swojej półciężarówki, zastanawiał się, czy w Grecji są stadniny. Miał nadzieję, że nie.

W wozowni Web otworzył oczy i rozejrzał się. Nie słyszał, żeby Romano się krzątała, a kiedy spojrzął na zegarek, zrozumiał dlaczego. Nie było jeszcze szóstej. Wstał, otworzył okno i odetchnął porannym wietrzykiem. Spał niezwykle głęboko. Wkrótce miał stąd wyjechać i częściowo się z tego cieszył, a częściowo nie.

Głównie jednak myślał o Claire. Jak wiedział z doświadczenia, istniało tylko bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że kobieta jeszcze żyje. Paraliżowała go myśl, że już nigdy jej nie zobaczy.

Wyglądając przez okno, zobaczył, jak Gwen jedzie drogą z rezydencji w odkrytym dżipie. Zatrzymała się na brukowanym dziedzińcu przed

wozownią i wysiadła. Była ubrana do jazdy konnej, w dżinsy, wysokie buty i sweter; długie włosy, przydając jej wdzięku, okalały jej twarz. Nie miała na głowie kasku.

Gdy szła w stronę drzwi, zawołał:

- Czek z czynszem wysłaliśmy pocztą, odwołaj eksmisję.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się i pomachała ręką.

- Pomyślałam, że moglibyśmy się wybrać na ostatnią przejażdżkę. - Popatrzyła na rozjaśniające się niebo. - Zanim osiodłamy konie, będzie najlepsza pora dnia, żeby przemierzać szlaki. Dołączy pan do mnie, panie London? - Posłała mu uśmiech, który wydawał się odpędzać prawie wszystkie troski, jakie miał Web.

Dosiedli swoich wierzchowców, Gwen Barona, a Web mniejszego de-resza o imieniu Huragan. Gwen wyjaśniła, że Boo ma zakażenie w nodze.

- Mam nadzieję, że się wylize.

- Nie martw się, konie mają bardzo silny organizm - odpowiedziała Gwen.

Przebyli spory kawał drogi w ciągu mniej więcej półtorej godziny; podczas jazdy Gwen była w stanie myśleć tylko o tym, że nigdy jeszcze nikogo nie zabiła. Tak, w nocy udawała odważną przy Nemo Straicie, ale czy naprawdę mogłaby to zrobić? Patrzyła na Weba jadącego obok niej i ze wszystkich sił próbowała dostrzec w nim swojego największego wroga, swój najbardziej przerażający koszmar. Ale było to trudne. Przez wiele lat marzyła o zabiciu każdego bez wyjątku członka tego tak zwanego bohaterskiego zespołu agentów federalnych, którzy, jak wszyscy ją zapewniali, byli najlepszymi z najlepszych. Obiecywano, że jej syn i wszyscy inni zakładnicy zostaną przez nich wyprowadzeni żywi; wbijali jej to do głowy, aż wreszcie obawy Gwen osłabły, a jej nadzieje gwałtownie wzrosły. To było tak, jakby komuś powiedziano, że ma raka, ale że jest on całkowicie uleczalny, i ta osoba by w to wierzyła, a wkrótce zamknięto by jej trumnę i zakopano ją w ziemi. Cóż, prawie osiągnęli swój cel, dopuścili tylko do śmierci jej syna. I potem patrzyła, kipiąc gniewem, jak twarz Weba Londona ozdabia gazety, czasopisma, programy telewizyjne, a jego bohaterskie czyny są przedstawiane z przyprawiającymi o mdłości szczegółami, co skończyło się wręczeniem mu medalu przez samego prezydenta. Nie mogła myśleć o jego strasznych ranach. Nie wiedziała o wyczerpujących próbach charakteru, przez które przeszedł, walcząc o powrót do czynnej służby. I tak nic z tego nie miałyby dla niej znaczenia. Mogła myśleć tylko o tym, że Web żyje, a jej syn jest martwy. Też mi bohater.

Tak, widok jej zabitego syna leżącego obok Weba Londona sprawił, że coś w jej mózgu eksplodowało. Nawet pamiętała ten trzask, który wydawał się przebiegać przez wszystkie nerwy w jej ciele, jakby ude-

rzył w nią piorun; nigdy nie była już taka jak przedtem. Od tamtego czasu nie było dnia, żeby nie widziała zakrwawionego ciała swojego syna leżącego na ziemi. Nie mogła też wyrzucić z pamięci obrazu mężczyzn w strojach bojowych wchodzących do budynku, żeby uratować jej syna, a później z jakiegoś powodu wyprowadzających wszystkich zakładników żywych oprócz niego. Popatrzyła znów na Weba i powoli przybrał on w jej oczach czarny odcień, barwę zła. Był ostatnim z tych ludzi. Tak, była zdolna go zabić. I może jej koszmar wreszcie by się skończył.

- Przypuszczam, że wyjedziecie dziś z Romano?

- Na to wygląda.

Gwen uśmiechnęła się i przesunęła ręką po włosach. Trzymała mocno wodze, bo czuła, że jej ręka może zacząć się trząść.

- Spełniście już swój dobry uczynek?

- Coś w tym rodzaju. Jak się czuje Billy?

- Dobrze. Ulega różnym nastrojom, tak jak my wszyscy.

- Ty nie wydajesz mi się osobą o zmiennym usposobieniu. Robisz wrażenie kogoś, kto nigdy się nie poddaje.

- Czasami byłbyś zaskoczony.

- To była świetna impreza wczoraj wieczorem.

- Billy naprawdę umie je urządzać. Bracia Ransome nie byli tymi gośćmi, których się spodziewałam.

- Nie wierzysz chyba, że to ich prawdziwe nazwisko?

- Nie wierzyłam nawet przez sekundę.

- Kiedy ich zobaczyłem, myślałem, że są gejami. To znaczy dopóki ty nie weszłaś do pokoju, bo wtedy ich orientacja seksualna stała się całkiem oczywista.

Gwen zaśmiała się.

- Uznam to za komplement.

Minęli początek dolinki, w której była kaplica Gwen.

- Dzisiaj nie idziesz do kaplicy?

- Dziś nie. - Gwen odwróciła wzrok od przerwy między drzewami. To nie był dobry dzień na modlitwę. Jednak kiedy Web nie patrzył na nią, przeżegnała się. Wybacz mi, Boże, to, co zaraz zrobię. Już bezgłośnie wypowiadając te słowa, tak naprawdę nie wierzyła, że ta modlitwa zostanie wysłuchana.

Dotarli do stromego wzniesienia, którego szczyt porastały drzewa. Nigdy dotąd nie zabrała tu Weba. Może gdzieś w głębi duszy wiedziała, że ten dzień nadejdzie.

Popędziła Barona i pomknęła ku wzniesieniu, a Web i Huragan trzymali się tuż za nimi. Galopowali w górę po zboczu i Web prawie wysuwał się przed Gwen. Kiedy znaleźli się na szczycie, zatrzymali wierz-

chowce i oglądali wiejski krajobraz, a konie gwałtownie wciągały powietrze.

Gwen popatrzyła na Weba ze szczerym podziwem.

- Jestem pod wrażeniem.

- Hej, miałem wspaniałą nauczycielkę.

- Wieża strażnicza jest bardzo blisko. Stamtąd widok jest jeszcze lepszy.

Web nie powiedział jej, że był już tam wysoko z Romano, kiedy sprawdzali, co się dzieje na farmie Ransome'ow.

- Dobry pomysł.

Podjechali do wieży, przywiązali konie do drewnianego słupka i zostawili je, żeby się pały. Gwen zaprowadziła Weba na szczyt wieży i patrzyli, jak słońce wschodzi i w dole ożywają lasy.

- Chyba nie może być lepiej - powiedział.

- Można by tak pomyśleć - rzuciła.

Web oparł się o barierkę sięgającą mu do brzucha i skierował wzrok na Gwen.

- Problemy między tobą i Billym?

- To takie oczywiste?

- Widziałem gorsze sytuacje.

- Naprawdę? A gdybym ci powiedziała, że nie masz cholernego pojęcia, o czym mówisz? — odparła z nagłą złością.

Ton Weba pozostał spokojny.

- Wiesz, Gwen, nigdy tak naprawdę nie rozmawialiśmy.

Unikała jego spojrzenia.

- Właściwie to rozmawiałam z tobą więcej niż z większością ludzi. A ledwie cię znam.

- Może to były tylko pogaduszki. I nie tak trudno mnie poznać.

- Jeszcze nie czuję się przy tobie całkowicie swobodnie, Web.

- Cóż, kończy nam się czas. Myślę, że nasze drogi już nigdy się nie zjedną. Ale to chyba dobrze.

- Sądzę, że tak - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy Billy i ja będziemy w East Winds jeszcze długo.

Web wydawał się zaskoczony.

- Myślałem, że to doskonałe miejsce dla was dwojga. Po co mielibyście się dokądkolwiek przenieść? Może macie swoje problemy, ale tutaj jesteście szczęśliwi. Prawda? To jest życie, jakiego chciałaś, zgadza się?

- Wiele czynników składa się na równanie szczęścia — powiedziała wolno. - Niektóre są bardziej oczywiste niż inne.

- Chyba nie mogę ci tu pomóc. Nie jestem ekspertem w dziedzinie szczęścia, Gwen.

Rzuciła mu spojrzenie pełne ciekawości.

- Ja też nie. - Wpatrywali się w siebie ze skrepowaniem przez dłuższą chwilę.
- Cóż, zasługujesz na to, żeby być szczęśliwa, Gwen.
- Dlaczego? - zapytała szybko. Z jakiegoś powodu naprawdę chciała usłyszeć jego odpowiedź.
- Bo tyle wycierpiałas. To byłoby po prostu sprawiedliwe... to znaczy, jeśli cokolwiek w tym życiu jest sprawiedliwe.
- Czy ty cierpiałeś? - W jej słowach była szorstka kąśliwość, ale pokryła ją szybko życzliwym wyrazem twarzy. Chciała usłyszeć, że cierpiał. Ale na pewno nie mogło się to równać z tym, co ona przeszła.
- Zaliczyłem swoją porcję kiepskich czasów. Moje dzieciństwo niezupełnie było amerykańskim marzeniem. A dorosłość mi tego nie wynagrodziła.
- Zawsze zastanawiałam się, dlaczego ludzie robią to co ty. Dobrzy faceci. - Powiedziała to z całą powagą.
- Robię to dlatego, że trzeba to zrobić, a większość ludzi nie potrafi albo nie chce. Zdecydowanie wolałbym, żeby mój zawód stał się zbędny, ale po prostu nic na to nie wskazuje. - Spuścił oczy. - Nigdy nie miałem okazji ci tego powiedzieć, ale może nie trafi mi się inna. - Zaczerpnął głęboko powietrza. - To, co się zdarzyło w Richmond, to była prawie moja pierwsza akcja jako szturmowca; szturmowcy to ci faceci, którzy wchodzą i wyprowadzają zakładników. - Znów przerwał na chwilę. - Po Waco FBI było naprawdę wystraszone i stało się ultra-konserwatywne w takich sytuacjach. Nie mówię, że to było dobre czy złe, tylko że było inaczej. Czekaliśmy w pobliżu, a negocjatorzy wysłuchiwali wszystkich tych kłamstw przez telefon. Wydawało się, że zawsze ktoś musi umrzeć, zanim pozwolą nam zrobić swoje, i wtedy zawsze trzeba było nadrabiać spóźnienie. Ale takie były nowe zasady i musieliśmy ich przestrzegać. - Pokręcił głową. - Wiedziałem, że coś się szykuje, kiedy „Free” zerwali negocjacje. Czułem to. Byłem wcześniej snajperem przez wiele lat, a kiedy człowiek przez cały ten czas obserwuje rozwój różnych sytuacji, pojawia się u niego szósty zmysł pozwalający przewidzieć, co się stanie. Po prostu tak jest. - Web popatrzył na Gwen. - Nigdy ci o tym nie mówiłem. Chcesz tego słuchać?
- Tak. - Gwen odpowiedziała to tak szybko, że nie miała nawet czasu się nad tym zastanowić.
- Billy wie o niektórych z tych rzeczy. Rozmawialiśmy, kiedy odwiedził mnie w szpitalu.
- Przykro mi, że ja nigdy nie byłam w stanie tego zrobić.
- Nie zaskoczyło mnie to. Właściwie byłem zdumiony, kiedy zobaczyłem Billy'ego. - Wydawało się, że Web potrzebuje kilku chwil, żeby

zebrać myśli. Kiedy się skupiał, Gwen wpatrywała się we wzgórze u stóp Błękitnego Pasma, widoczne w oddali. Teraz, kiedy o tym pomyślała, naprawdę nie chciała tego słuchać, ale nie mogła zmienić decyzji.

- Doszliśmy do drzwi sali gimnastycznej bez problemów - zaczął Web. - Popatrzyłem przez szybę. Twój syn mnie zobaczył. Nawiązaliśmy kontakt wzrokowy.

To wyraźnie ją zaskoczyło.

- Nie wiedziałam o tym.

- Cóż, nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, nawet Billy'emu. Nigdy się nie wydawało, że nadszedł odpowiedni moment.

- Jak wyglądał? - zapytała powoli. Tętno waliło jej w uszach, gdy czekała na odpowiedź.

- Wydawał się przestraszony, Gwen. Ale też uparty, niepokorny. Nie jest to łatwe, kiedy ktoś ma dziesięć lat i otacza go grupa uzbrojonych psychopatów. Chyba teraz widzę, skąd u Davida wzięła się ta odwaga.

- Mów dalej - powiedziała cichym głosem.

- Dałem mu znak, żeby zachował spokój. Pokazałem mu uniesione kciuki, bo nie chciałem, żeby się zdenerwował. Gdyby się przeląkł i zareagował albo coś takiego, prawdopodobnie natychmiast by go zastrzelili.

- I zachował spokój?

Web skinął głową.

- Był bystry. Wiedział, co próbuję zrobić. Świetnie mnie rozumiał, Gwen. Nikt nie mógłby zachować się dzielniej pośród tego wszystkiego, co się tam działo.

Widziała, że Web ma łzy w oczach. Próbowwała coś powiedzieć, ale stwierdziła, że nie może mówić. Te słowa zdawały się wymazywać straszne lata z jej życia.

- Mieliśmy zaraz wejść. Po cichu, bez żadnego ładunku wybuchowego. Widzieliśmy przez szybę, gdzie znajduje się każdy z „Freech”. Po prostu zamierzaliśmy kropnąć ich wszystkich naraz. Nastąpiło odliczanie i wtedy to się stało.

- Co? Co się stało?

- Dźwięk ze środka. To było jak cholerny ptak albo gwizdek, albo alarm czy coś takiego. Był głośny, ostry i nie mógł rozbrzmieć w gorszym momencie. „Free” natychmiast stali się czujni i kiedy wpadliśmy przez drzwi, otworzyli ogień. Nie wiem, dlaczego zastrzelili Davida, ale to on pierwszy upadł.

Gwen nie patrzyła teraz na Weba. Wydawało się, że jej spojrzenie przyciągają wzgórze. Gwizdek?

- Widziałem, jak został trafiony. - Głos Weba wyraźnie drżał. - Widziałem jego twarz. Jego oczy. - Web zamknął powieki i zaczęły spod nich kapać łzy. - Dalej na mnie patrzyły.

Oczy Gwen też były teraz pełne łez, a jednak nadal nie patrzyła na Weba.

- Jak wtedy wyglądał?

Obrócił się i utkwiał w niej wzrok.

- Uważał, że został oszukany - powiedział Web. Dotknął swojej uszkodzonej twarzy. - Moja twarz i te dwie dziury od kul, które mam w ciele, nic z tego nie sprawiło mi więcej bólu niż wyraz twarzy twojego syna. Oszukany - powtórzył.

Gwen trzęsła się teraz tak mocno, że musiała oprzeć się o barierkę, a łzy leciały jej ciurkiem po policzkach. Ale i tak nie była w stanie popatrzeć na Weba. Gwizdek.

- Może to dlatego zламаłem rozkazy i wziąłem udział w ostatnim ataku na „Freech”. - Wpatrzył się w nią. - Kosztowało mnie to pracę, Gwen, zostałem za to wyrzucony z Biura. Ale zrobiłbym to jeszcze raz. Może w taki sposób odpokutowałem za to wszystko. Widzisz, twój syn zasługiwał na coś lepszego niż to, co potrafiłem mu dać. Żyję z tym każdego dnia. I przepraszam, że zawiodłem jego i ciebie. Nie oczekuję przebaczenia, ale po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

- Chyba powinniśmy wracać - odezwała się cicho.

Gwen pierwsza znalazła się na dole i podeszła do Huragana zamiast do Barona. Podniosła przednią nogę konia. Każdy nerw w ciele Gwen płonął, puls nadal walił jak młotem w jej uszach. Ledwo trzymała się na nogach, ale musiała to zrobić, mimo wszystkiego, co właśnie usłyszała, musiała to zrobić. Czekala wystarczająco długo. Zamknęła oczy, a potem je otworzyła.

- Jakiś problem? - zapytał Web.

Nie była w stanie na niego popatrzeć.

- Wydawało mi się, że u Huragana jest coś nie tak z przednią nogą. Ale wygląda na to, że wszystko w porządku. Będę musiała mieć na niego oko.

Sięgnęła w górę i pogłaskała Huragana po szyi, a kiedy Web nie patrzył, wsunęła pod siodło przedmiot, który trzymała w dłoni.

- W porządku, teraz będzie wielka próba dla ciebie - oświadczyła. - Pogałopujemy ostro w dół po tamtym zboczku w stronę drzew, ale potem musisz szybko ściągnąć wodze koniowi, bo ścieżka między drzewami jest zbyt wąska, żeby jechać szybciej niż stępa. Rozumiesz?

- Nie boję się. - Web pogłaskał Huragana po szyi.

- Jestem tego pewna. Jedźmy - powiedziała Gwen nieodwołalnie.

Oboje wskoczyli na siodła i ruszyli ku drzewom.

- Chcesz poprowadzić? - zapytał Web, sadowiąc się w siodle.

- Jedź przodem. Ja chcę patrzeć na nogę Huragana...

Koń wyrwał gwałtownie i Web nie był na to gotowy. Huragan przy-

spieszył i pomknął galopem w dół po zboczu, prosto ku zwartej linii lasu.

-Web! - wrzasnęła Gwen i pojechała za nim, ale delikatnie hamowała Barona i pozostawała w tyle. Zobaczyła, jak jedna stopa Weba traci kontakt ze strzemieniem, a potem prawie spadł on z konia. Wodze wyleciały mu z rąk, ścisnął rozpaczliwie łęk siodła, a odległość między nim a drzewami szybko się zmniejszała. Nie wiedział o tym, ale każdy podskok na siodle wbijał w ciało konia gwoździem z szeroką główką, który włożyła tam Gwen.

Web ani razu się nie obejrzał. Ale gdyby to zrobił, zobaczyłby, że kobieta jest miotana straszliwym konfliktem wewnętrznym. Gwen Canfield tak bardzo pragnęła zobaczyć, jak koń i jeździec zderzają się z drzewami. Chciała zobaczyć, jak Web London umiera na jej oczach, by został pokonany na zawsze. Pragnęła uwolnić się od bólu, który dręczył ją od tak dawna. Po prostu nie mogła go już znieść. Przekraczała granice jej wytrzymałości. Coś musiało ustąpić. Musiała tylko spokojnie poczekać. Zamiast tego popędziła Barona i pognała za Webem. Piętnaście metrów dzieliło Weba od drzew, a Huragan pędził tak, że wydawał się godny swojego imienia. Kiedy do lasu zostało im dwanaście metrów, Gwen zsunęła się trochę na bok swojego konia. Gdy zostało dziesięć, zaczęła wyciągać rękę, trzymając ją pod odpowiednim kątem. Sześć metrów przed nimi wyrastał las i teraz Gwen dzieliła z wyboru los Weba, bo gdyby nie udało jej się zatrzymać Huragana, ona i Baron też uderzyliby w drzewa.

Gdy zostały trzy metry, Gwen zdołała wychylić się wystarczająco mocno, by chwycić wodze Huragana. Ściągnęła je z siłą, która pochodziła z całej udreki tłamszonej w środku przez wszystkie te lata, bo prawie bez pomocy, ledwie półtora metra od ściany drzew, osadziła w miejscu czterystupięćdziesięciokilogramowego konia galopującego na złamanie karku.

Bez tchu popatrzyła na Weba, który po prostu siedział skulony na koniu. W końcu spojrział na nią, ale nic nie powiedział. A jednak Gwen czuła się tak, jakby ciężar zbiorowego cierpienia ludzkości został zdjęty z jej barków. Od dawna wyobrażała sobie, że jest on podobny do wąsonogów na jej duszy, niemożliwych do usunięcia; a jednak teraz zniknął jak piasek zdmuchnięty przez wietrzyk. I zdumiewało ją to, że odrzucenie wreszcie całej nienawiści okazało się aż tak cudownym uczuciem. A jednak okrucieństwo życia nie dało jej jeszcze spokoju, bo teraz nienawiść Gwen została zastąpiona uczuciem jeszcze bardziej niszczącym: poczuciem winy.

Kiedy Gwen wysadzała Weba przy wozowni, była dziwnie milcząca. Próbował jej podziękować za to, że uratowała mu życie, ale nie pozwoliła mu dokończyć i odjechała. W odczuciu Weba bardzo osobliwą kobietą była ta Gwen Canfield. Może winiła siebie za to, co się stało z Huraganem.

A jednak przynajmniej osiągnął cel, powiedział jej w końcu to, co skrywał przez wszystkie te lata. Myślał o tym, żeby pójść do Billy'ego i jemu też powiedzieć, ale może lepiej by było, żeby Billy usłyszał to od Gwen - jeśli ona w ogóle zechce coś powiedzieć mężowi.

Wszedł do środka i zobaczył, że Romano je śniadanie.

- Wyglądasz na zmordowanego - stwierdził Paulie.

- Ostra przejażdżka konna.

- A więc oficjalnie skończyliśmy tutaj, tak? Widzisz, Angie wróciła i jest wkurzona. Będę musiał kiedyś wybrać się do domu i stawić czoło burzy.

- Taak, chyba skończyliśmy tutaj.

- Hej, Web, pościgam się z tobą do Quantico, dowiemy się, ile naprawdę jest wart twój mach.

- Słuchaj, Paulie, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest mand... - Przerwał w pół słowa i Romano popatrzył na niego z ciekawością.

- Co? To nie koniec świata, jeśli zatrzymują cię za nadmierną prędkość. Błyskasz identyfikatorem i puszczają cię. Zawodowa uprzejmość.

Web wyjął swój telefon komórkowy i wystukał numer. Poprosił o połączenie z Percym Batesem, ale go nie było.

- Gdzie jest? Mówi Web London.

Web znał sekretarkę Batesa, June, która rozpoznała teraz jego głos.

- Wiem, że to ty, Web. Tak mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Perce'a nigdzie tam nie ma?

- Prawda jest taka, że wziął parę dni wolnego. Ludzie od kontaktów z mediami wariują. Chcieli cię sprowadzić, żeby mieć jakieś twoje wypowiedzi, ale Perce się nie zgodził. Oglądałeś telewizję albo czytałeś gazety?

- Nie.

- Cóż, ktoś mógłby pomyśleć, że zabiliśmy przez pomyłkę papieża, tyle hałasu ludzie robią z powodu tego, co się stało.

- Cóż, faktycznie zginęło dużo ludzi, June.

- Uzbrojeni ludzie strzelający do innych ryzykują życie, Web - powiedziała, wytrwale popierając działania Biura. - W każdym razie Perce powiedział, że musi wyjechać na parę dni. Wiem, że czuł się okropnie z powodu tego, co cię spotkało.

- Wiem, June, ale może wyjdzie mi to na dobre.

- Mam nadzieję, że tak, naprawdę. Mogę ci jakoś pomóc?

- Niejaki Clyde Macy pracował jako żołnierz dla jednej z lokalnych ekip narkotykowych. W jego teczce widziałem parę mandatów za przekroczenie prędkości. Po prostu chciałem się dowiedzieć, gdzie je dostał i kiedy.

- Będę musiała do kogoś zadzwonić w tej sprawie, ale to powinno zająć tylko kilka minut.

Web dał jej swój numer, żeby mogła oddzwonić. Tak jak obiecała, zrobiła to wkrótce potem. Przekazała mu informacje, Web podziękował jej i rozłączył się. Popatrzył na Romano z osłupieniem.

- Co tam? - zapytał Paulie, przetykając ostatni kęs swojego śniadania, pastrami na żytnim chlebie.

- Clyde Macy dostał trzy mandaty za nadmierną prędkość w ciągu sześciu miesięcy. Prawie stracił prawo jazdy.

- Wielka mi rzecz. Po prostu jeździ za szybko.

- Zgadnij, gdzie dostał wszystkie trzy.

- Gdzie?

- Wszystkie w promieniu półtora kilometra od farmy Southern Belle, jeden mniej niż sto metrów od wjazdu. Wjazd został nawet odnotowany jako punkt orientacyjny w raporcie policjanta z okręgu Fauquier. To dlatego zwróciłem na to uwagę.

- W porządku, chyba nie pojedę dziś do domu, co?

- Pewnie, że pojedziesz. Ale dziś wieczorem uderzamy na Southern Belle.

Spakowali sprzęt i wsiedli do swoich samochodów.

- Powiedziałeś im, że wyjeżdżamy? - Romano wskazał rezydencję.

- Oni wiedzą. - Web spojrzął za siebie na kamienny dom i wyszeptał: - Powodzenia, Gwen.

Gdy zmierzali do głównej bramy, zobaczyli, że zbliża się do nich Nemo w swojej półciężarówce. Zwolnił i zatrzymał się. Web zauważył, że mężczyzna wygląda na bardzo zaskoczonego tym, że go widzi.

- Hej, chłopaki, chcecie wypić po piwie? - zapytał Nemo.

Dach vetty był zsunięty i Romano siedział na oparciu siedzenia.

- Piszę się na to przy następnej okazji - powiedział.

Strait wycelował w niego palec i uśmiechnął się szeroko.

- Masz to u mnie, Delta.

- Dzięki za pomoc, Nemo - odezwał się Web.

- Chyba kończycie działalność.

- Na to wygląda, ale opiekuj się Canfieldami. Kochany Ernie wciąż jest na wolności.

- Będę miał na nich oko.

Gdy Web i Romano ruszyli dalej, Nemo patrzył za nimi z zadumą, a potem utkwiał wzrok w rezydencji, która wznosiła się przed nim. Najwyraźniej kocicy z piekła rodem zabrakło jednak odwagi.

Angie Romano nie była w dobrym nastroju. Miała swoich synów przy sobie przez cały czas, ale wycieczka do krainy zalewisk najwidoczniej nie była aż taka przyjemna. Web chciał ją przyjaźnie uściśnąć, kiedy przyjechał po Romano, ale powstrzymał się, kiedy rzuciła mu wściekłe spojrzenie, jakby zamierzała połamać mu ręce, gdyby spróbował się do niej zbliżyć.

Tak więc najtwardszy członek Grupy Hotel i jedyny niedobitek Grupy Charlie uciekli od rodziny Romano późno w nocy i wsiedli do macha, by przeprowadzić coś, co mogło się okazać ich ostatnią wspólną akcją. Web nie powiedział Romano, że zrezygnował z pracy w Biurze, ale nowina się rozeszła i Romano dowiedział się o tym, kiedy wrócił do domu. Był naprawdę zły na Weba za ukrywanie tego przed nim, ale teraz jeszcze bardziej rozżłościł się na Biuro.

- Dajesz im wszystko, co masz, i tak... tak ci dziękują. Człowieku, po tym prawie mam ochotę pojechać do Kolumbii, żeby pracować dla jakiegoś kartelu. U tamtych facetów przynajmniej wiesz, na czym stoisz.

- Nie przejmuj się tym, Paulie. Do diabła, jeśli wszystko potoczy się dobrze, założę własną agencję ochrony, a ty będziesz mógł zacząć u mnie pracować.

- Taak, a ja mam stanik pod kevlarem.

Mężczyźni byli przygotowani do wyruszenia na wojnę. Zabrali swoje czterdziestki piątki, MP-5, osłony na ciało i nawet karabiny snajperskie kalibru .308, bo nie byli pewni, co znajdą w Southern Belle. Nie mogli wezwać Biura, bo nikogo by tam nie przekonało parę mandatów za przekroczenie prędkości i kilka teorii spiskowych. Ale to, że Web oficjalnie nie pracował już w Biurze, miało pewną zaletę. Czasami uczciwy obywatel mógł penetrować miejsca niedostępne dla gliniarza i robić to, co było zabronione funkcjonariuszowi. Web wahał się, czy zabrać Romano, ale kiedy podzielił się z nim swoimi obawami, Paulie powiedział mu, że jeśli on nie pojedzie, nie pojedzie też Web, bo Romano postrzeli go w miejsce, w które żaden mężczyzna

nie chciałby zostać postrzelony. I Web postanowił nie sprawdzać słowności Romano.

London zatrzymał macha na polnej drodze, która biegła wzdłuż granicy między posiadłościami East Winds i Southern Belle. Gdy szli przez gęsty las, Romano narzekał.

- Od tych cholernych gogli noktowizyjnych już boli mnie głowa. Nienawidzę tego sukinyństwa. Ważą tonę. I nie możesz nawet do nikogo strzelić, kiedy je nałożysz. Więc co jest w nich dobrego, do diabła?

- W takim razie zdejmij to cholerstwo, Paulie, albo przestań narzekać, zanim mnie zaczniesz boleć głową. - Jednak Web zsunął też swoje gogle i rozmasował szyję.

Odgłosy lasu docierały do nich ze wszystkich stron, a Romano powiedział:

- Nie ma snajperów, którzy by osłaniali nasze tyłki. Jestem trochę niespokojny i czuję się samotny, Web.

Web wiedział, że Romano tylko żartuje. Nie było na tej ziemi niczego, co naprawdę budziłoby strach w Paulu Romano, przynajmniej o ile Web wiedział. No, może z wyjątkiem Angie.

- Poradzisz sobie.

- Hej, Web, nie powiedziałeś mi jeszcze, co spodziewasz się znaleźć dziś w nocy.

- Cokolwiek to jest, będzie to coś więcej, niż teraz wiemy. - Pozbawiony dostępu do możliwości Biura Web nie mógł uruchomić maszyny FBI wyszukującej informacje, by wykryła wszystko, co mogła, o Harveyu i Gilesie Ransome'ach. Mógł zadzwonić do Ann Lyle, ale po prostu nie chciał akurat teraz z nią rozmawiać. Ponieważ odszedł z HRT, byłoby to zbyt trudne, bo ona bez wątplenia by się rozkleiła, a wtedy z nim stałoby się to samo.

Web i Romano szli przez las, aż w końcu dostrzegli budynki, które wcześniej widzieli z wieży strażniczej. Web dał znak Romano, żeby poczekał, a sam zaczął się skradać naprzód. Uśmiechnął się, kiedy dotarł na skraj lasu. Dużo się działo w Southern Belle tej nocy. Wielka ciężarówka z opuszczoną pochylnią stała przy jednym z budynków wyglądem przypominających magazyn. Mężczyźni wyładowywali coś z ciężarówki i Web badał wzrokiem każdego z nich, szukając broni, ale nie zobaczył nic takiego. Na podnośniku wózka widłowego wieszono do magazynu wielką skrzynię. Kiedy przesuwane drzwi się otworzyły, Web próbował dojrzeć, co się dzieje w środku, ale nie udało mu się. Widział tylko oślepiające światła, zanim drzwi się zamknęły. Niedaleko magazynu Web zobaczył przyczepę do przewozu koni i pracującego przy niej mężczyznę. Ze swojego miejsca nie widział, czy faktycznie jest w niej koń czy nie.

Przez radiotelefon wezwał Romano na swoje stanowisko. Paulie dołączył do niego po minucie i kucnął obok. Przyjrzał się temu, na co patrzył Web, i szepnął:

- Co o tym sądzisz?

- To może być cokolwiek, od narkotyków po dziupłę, nie wiem.

W tym momencie drzwi budynku się otworzyły i wózek widłowy wyjechał na zewnątrz. I to wtedy usłyszeli krzyk kobiety. Stawał się coraz przenikliwszy. Web i Romano popatrzyli po sobie.

- A może to szajka handlarzy żywym towarem - syknął Romano.

Ustawili swoje MP-5 na ogień automatyczny i wyszli z lasów. Przyciskali kolby karabinów do prawej strony piersi, wyloty luf trzymali mocno palcem wskazującym i środkowym.

Niepostrzeżenie dotarli do boku magazynu. Web zauważył boczne drzwi i wskazał je Romano, a ten skinął głową. Web dawał kolejne sygnały rękami, ruchami palców mówiąc Romano w specjalnym języku szturmowców, jaki ma plan. Przypominało to nieco sposób porozumiewania się miotacza z łapaczem w baseballu. Jednak wielką różnicą było to, że mieli zmierzyć się z czymś o wiele bardziej groźnym niż któryś ze Sluggerów z Louisville.

Web spróbował otworzyć drzwi. O dziwo, nie były zamknięte na klucz. Uchylił je jeszcze troszeczkę. Potem znów usłyszeli przerywany wrzask kobiety, krzyczała, jakby ktoś wbijał jej coś prosto w gardło.

Web i Romano wpadli do środka z bronią gotową do strzału, w ciągu paru sekund ogarnęli wzrokiem zastaną scenę. Kątem oka Web widział Gilesa Ransome'a siedzącego w fotelu.

- FBI, na podłogę, ręce za głowę. Zróbcie to albo, kurwa, umrzecie! - wydarł się. Romano będzie dumny, pomyślał.

Rozległy się wrzaski ze wszystkich części pomieszczenia, gdy ludzie padali na podłogę. Web spostrzegł, że ktoś pędzi z lewej, i skierował tam broń. Romano nacierał prosto przed siebie, a potem się zatrzymał.

Harvey Ransome stał na środku jakiejś zaimprovizowanej sypialni z plikiem kartek w jednej ręce. Na łóżku leżały trzy piękne, chirurgicznie udoskonalone i całkowicie nagie kobiety oraz jeden młody mężczyzna, mocno podniecony.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zawołał Harvey. Kiedy zobaczył Weba, zbladł.

Web i Romano rozglądali się i zauważyli kamery filmowe, rzędy świateł, generatory, pomocników, elektryków, kamerzystów, rekwizyty i umeblowanie rzekomej sypialni, która była jednym z czterech różnych planów. Pozostałe przypominały biuro, wnętrze limuzyny i, jak stwierdził ze zdziwieniem Web, kościół. A więc o to chodziło? Southern Belle sta-

nowiła przykrywkę dla studia, w którym kręcono filmy porno? A wrzaski były okrzykami udawanej ekstazy?

Web opuścił broń, gdy Harvey zbliżył się do niego ze scenariuszem w ręku.

- Co się, do diabła, dzieje, Web?

Web potrząsnął głową, żeby mu się w niej rozjaśniło, i wściekły wpatrywał się w mężczyznę.

- Ty mi powiedz.

- To całkowicie legalny interes. Możecie to sprawdzić. Mamy zezwolenia. - Wskazał ruchem ręki nagich ludzi w wielkim łóżku. - I wszyscy oni są zawodowymi aktorami, pełnoletnimi. Możecie ich skontrolować.

Romano podszedł do łóżka, Web dołączył do niego.

Młode kobiety patrzyły na nich wyzywająco, natomiast mężczyzna próbował się schować pod prześcieradłem. Najbardziej rzucająca się w oczy część jego ciała dawno już się skurczyła.

Kobiety nie starały się zakryć mimo obecności obcych uzbrojonych mężczyzn.

- Wszyscy jesteście tu z własnej i nieprzymuszonej woli? - zapytał Romano.

- Pewnie, cukiereczku - powiedziała aktorka, której piersi były tak wielkie, że prawie zasłaniały jej brzuch. - Hej, chcesz zagrać w tym filmie? Chciałabym ci pokazać, jaka nieprzymuszona potrafię być. - Kiedy Romano się zarumienił, wszystkie kobiety zaczęły się śmiać.

- Masz drugi taki wielki karabin w spodniach? - zapytała inna.

- Web? - odezwał się bezradnie Romano. - Co chcesz tu robić?

Giles dołączył do brata.

- To kwestia pierwszej poprawki, Web. Nie chcecie w to wchodzić. Będziemy się sądzić z wami i z Biurem całymi latami i wygramy.

- Cóż, jeśli to jest takie legalne, to po co ta przykrywka z farmą?

- Musimy myśleć o sąsiadach. Gdyby wiedzieli, co naprawdę robimy, mogliby nam przysporzyć kłopotów. Są bogaci i znają wpływowych ludzi na wysokich stanowiskach, którzy mogliby uprzykrzyć nam życie.

- Chcemy tylko mieć spokój, żeby tworzyć dzieła sztuki - powiedział Harvey.

- Dzieła sztuki? - zapytał Web. Machnął ręką w stronę nagich ciał. - Nazywasz sztuką pieprzenie się na byle jakim planie z napompowanymi lalkami Barbie?

Jedna z kobiet wstała, ukazując się w całej swojej nagiej, silikonowej okazałości. Wyglądała na co najwyżej dwudziestolatkę.

- Do diabła, za kogo się uważasz?

- Nie chcę nikogo urazić, moja pani, ale po prostu nazywam to, co widzę, po imieniu.

- Nie wiesz, do cholery, o czym mówisz.
- Taak, masz rację, i na pewno twoja mamusia jest bardzo z ciebie dumna, prawda? - powiedział Web.

Harvey położył dłoń na jego ramieniu.

- Posłuchaj, Web, to jest legalny interes. Płacimy podatki, robimy wszystko zgodnie z literą prawa. Sprawdź to; nasza rozmowa do niczego nie prowadzi. Mój brat i ja robimy to od trzydziestu lat, przedtem pracowaliśmy w Kalifornii, gdzie firma ma siedzibę.

- Więc dlaczego się tu przenieśliście?

- Zmęczyło nas środowisko LA - odpowiedział Giles. - A to jest taka śliczna okolica.

Romano popatrzył na nagich aktorów.

- Cóż, wątpię, czy oni kiedykolwiek ją oglądają.

- Nie potrzebujemy kłopotów, Web - odezwał się Harvey. - Jak już mówiłem, wygramy w sądzie, ale nie chcemy, żeby to trafiło do sądu. Nikomu nie szkodzimy. I wielu ludzi, czy się do tego przyznaje, czy nie, interesuje się naszymi filmami. I to nie tylko aspołeczni dziwacy, ale też mamusie i tatusiowie żyjący bardzo przykładowo. Wiesz, co mówią: seks jest dobry dla duszy, a patrzenie na seks w wykonaniu zawodowców może być jeszcze lepsze.

- To fantazje, człowieku, wszystko to są fantazje - uzupełnił Giles. - Po prostu dajemy ludziom to, czego chcą.

- W porządku, w porządku, rozumiem. - Nic dziwnego, że dwaj bracia rzucili się na Gwen Canfield. Prawdopodobnie chcieli ją zatrudnić przy swojej następnej produkcji.

- Posłuchaj, czy jest coś, co możemy dla was zrobić? Wiesz, żeby podziękować wam za zachowanie tego w tajemnicy? - zapytał z niepokojem Harvey.

- Żebyśmy się rozumieli, Harv, sprawdzę was. I jeśli kłamięcie albo któryś z tych „aktorów” nie jest pełnoletni, wrócę. A jeśli myślicie o wymknięciu się w tym czasie, to nie próbujcie, bo zostawiamy ludzi na posterunkach.

- W porządku. Wydaje mi się, że to jest uczciwe.

- Och, jest coś, co możecie dla mnie zrobić.

- Po prostu powiedz co to takiego.

- Przestańcie latać swoimi samolotami nad East Winds. To przeszkadza moim przyjaciółom.

Harvey wyciągnął rękę.

- Masz moje słowo.

Web nie uścisnął jego dłoni. Popatrzył na młode kobiety.

- A wam współczuję, moje panie.

Romano i Web wyszli, żegnani śmiechem.

- Jezu - powiedział Romano. - Nazwałbym tę misję nadzwyczajnym sukcesem.

- Zamknij się, Paulie.

Gdy zmierzali z powrotem w stronę lasów, Web zobaczył mężczyznę stojącego obok przyczepy do przewozu koni, tego samego, którego zauważył wcześniej, i podszedł do niego. Facet był ubrany jak parobek. Wydawał się wystraszony, kiedy zobaczył ich karabiny, dopóki Romano nie błysnął odznaką.

- Posłuchajcie, nie potrzebuję żadnych kłopotów-powiedział mężczyzna, który wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. - Chociaż pewnie należy mi się to za najęcie się u tego towarzystwa.

- Zapewne pomaga pan zapewnić przykrywkę.

Mężczyzna popatrzył w stronę magazynu - czyli, jak wiedział teraz Web, dźwiękoszczelnego studia filmowego.

- Wiele rzeczy potrzebuje tutaj przykrywki. Gdyby moja biedna żona nadal z nami była, obdarłaby mnie żywcem ze skóry, ale płacą podwójną stawkę.

- To powinno być panu coś powiedzieć - stwierdził Web.

- Wiem, wiem, ale chyba każdy robi się chciwy, pracuję tutaj od dawna. Myślę, że już zbyt długo.

Web popatrzył na przyczepę. Był w niej koń. Web widział czubek jego łba.

- Jedzie pan dokądś?

- Tak. To będzie długa podróż. Zabieram tego konia na aukcję. Muszę udawać, że prowadzimy tu stadninę. A ten roczniak jest właściwie bardzo ładny.

Web podszedł do przyczepy.

- Naprawdę? Wydaje mi się jakiś mały.

Mężczyzna popatrzył na Weba jak na szaleńca.

- Mały? Ma półtora metra. To nie jest mało jak na roczniaka.

Web zajrzał do środka przyczepy. Jej sufit znajdował się jakieś pół metra nad głową konia. Popatrzył na mężczyznę.

- Czy to jest specjalna przyczepa?

- Specjalna... o co panu chodzi?

- Ojej rozmiary. Czy jest szczególnie duża?

- Nie, to standardowy townsmend doczepiany do zderzaka, dwieście piętnaście centymetrów.

- To jest standardowy townsmend? A ten roczniak ma półtora metra wzrostu? Jest pan pewien?

- Tak pewien jak tego, że tu stoję.

Web oświetlił latarką wnętrze trailera.

- Jeśli to jest standardowa przyczepa, to dlaczego nie ma tam skrzyń

ze sprzętem? - Popatrzył na mężczyznę podejrzliwie i skierował promień latarki na wewnętrzne ściany townsmenda.

Mężczyzna spoglądał tam, gdzie padało światło.

- Cóż, po pierwsze, synu, nigdy nie umieszcza się czegoś takiego tam, gdzie koń może skaleczyć o to nogi. Skaleczona noga może być katastrofą na aukcji.

- Można je czymś obić - odparł Web.

- A po drugie... -Wskazał przód przyczepy, gdzie Web zobaczył dużą przegrodę wypełnioną sprzętem, lekarstwami w butelkach, linami, kocami i tym podobnymi rzeczami. - A po drugie, tam jest dużo miejsca na sprzęt, więc dlaczego ktoś miałby montować coś specjalnego, co mogłoby poharatać nogi koniowi? - Mężczyzna popatrzył na Weba tak, jakby ten był naprawdę obłąkany.

Web nie zwracał na to uwagi, bo w jego głowie zaczynało świtać coś, co, jeśli byłoby prawdą, rzuciłoby całkiem nowe światło na wszystko, co się ostatnio działo. Pogmerał w kieszeni i wyjął kopertę z kilkoma zdjęciami, które dał mu Bates. Wybrał jedno i przytrzymał je przed Romano, przyświecając latarką.

- To facet, któremu przekazałeś dzieciaka tamtej nocy? - zapytał. - Czy to on? Pomyśl, że ma blond włosy ostrzyżone najeża, a nie ogoloną głowę. Wiem, że może trudno go rozpoznać, bo był w okularach przeciwsłonecznych. Ale spróbuj.

Romano przyjrzał się dokładnie zdjęciu, a potem popatrzył ze zdumieniem na Weba.

- Myślę, że to on.

Web natychmiast ruszył biegiem w stronę lasu, a Romano pognął tuż za nim.

- Co, do diabła, w ciebie wstąpiło, Web?

Web nie odpowiedział. Po prostu biegł.

Drzwi podziemnego pomieszczenia otworzyły się i wszedł Nemo Strait. Claire i Kevin byli przykuci osobno kajdankami do wielkich żelaznych skobli tkwiących w ścianie, a ich ramiona i nogi były związane grubymi linami. Strait kazał ich zakneblować, ale nie zasłoniono im oczu.

- Już i tak widziała pani o wiele za dużo, pani doktor - wyjaśnił Claire - ale nie będzie to miało żadnego znaczenia. - Mrożące krew w żyłach znaczenie tych słów było całkowicie jasne.

Teraz za Straitem pojawiła się gromada jego ludzi, podeszli szybko do niej i do Kevina z kocami i linami.

- Pomóżcie nam, pomóżcie nam - próbowała krzyknąć Claire, ale jej głos był ledwie słyszalny z powodu knebla. Walczyła daremnie. Kevin tylko wpatrywał się w milczeniu w tych, którzy go uwięzili, jakby jego przewidywania, że umrze, w końcu miały się sprawdzić.

- Pospieszmy się - powiedział Nemo Strait. - Nie mamy całej nocy, jest dużo do zrobienia.

Gdy mężczyźni wynosili Kevina, Strait czule pogłaskał chłopca po głowie.

Web zajął przez wszystkie okna na tyłach domu Nemo Straita. Jego półciężarówka nie było przed wejściem, ale Web nie chciał ryzykować. Romano sprawdzał boki i front budynku. Spotkali się i Romano pokręcił głową.

- Nic. Dom jest pusty.

- Nie na długo - powiedział Web.

Tylko dwadzieścia sekund zajęło im otworenie sposobem zamka w tylnych drzwiach i znaleźli się w środku. Metodycznie przeszukiwali budynek, aż wreszcie doszli do sypialni Straita.

- Czego dokładnie szukamy, Web?

Web był w garderobie przy sypialni i nie odpowiedział od razu. W końcu wycofał się stamtąd ze starym pudełkiem na buty.

- Tu może być coś na początek.

Usiadł na krześle obok łóżka i zaczął przeglądać stare zdjęcia. Podniósł jedno.

- O, proszę. Pamiętasz, jak Strait mówił, że był strażnikiem w poprawczaku, kiedy wrócił z Wietnamu?

- No i?

- No i zgadnij, kto przebywał w tym samym poprawczaku za wbicie tasaka w głowę swojej babki? Widziałem teczkę, kiedy spotkałem się z Batesem w WFO.

- O kim mówisz?

- O Clydzie Macym. To facet ze zdjęcia, które ci pokazałem, facet, który udawał agenta FBI. Cholera, żałuję, że nie pokazałem ci wcześniej tego zdjęcia. Teraz jestem pewien, że gdybyśmy popatrzyli na daty, okazałoby się, że Macy i Strait byli tam w tym samym czasie.

- Ale Macy był potem w Wolnym Społeczeństwie.

- I może Strait go znalazł i przekonał go, żeby zaczął pracować dla niego.

- Ale powiedziałeś, że Macy był cynglem Westbrooka.

- Macy jest tak naprawdę niedoszłym gliniarzem. Myślę, że był tajniakiem i infiltrował organizację Westbrooka jako członek gangu narkotykowego Straita.

- Gangu narkotykowego Straita!

- Oxycontin. Przyczepy dla koni, doskonały sposób na przewożenie towaru. Przyczepa w Southern Belle pokazuje, jak naprawdę zaplanowane jest wnętrze townsmenda. Strait kazał wyposażyć wóz z East Winds w podwójne dno, które podniosło podłogę tak bardzo, że roczniak o wzroście półtora metra prawie dotykał łbem sufitu. I kazał zamontować skrzynie, żeby móc przetransportować jeszcze więcej narkotyków. A mandaty za przekroczenie prędkości? Macy nie jeździł do Southern Belle, przyjeżdżał tutaj. I na pewno to on dowiedział się, że Toona donosi Cove'owi. Wykorzystał tę informację, żeby zrobić Cove'a i nas, a potem powiedział o kablowaniu Westbrookowi, i ten wyeliminował Toonę.

- Myślisz, że to Macy wpakował kule w budynku „Freech” i doprowadził do masakry?

- I podłożył tam narkotyki i wszystkie inne „dowody”, żebyśmy je znaleźli, bo mu to pasowało. I prawdopodobnie to on ukraść ciężarówkę Silasa. Założę się też, że to on zastrzelił Chrisa Millera obok domu Cove'a. A Strait jest byłym żołnierzem i może to dzięki temu udało mu się dostać te karabiny maszynowe, prawdopodobnie wie też coś o konstruowaniu bomb.

- Ale to znaczy, że obaj byli jakoś zamieszani w uderzenie na HRT. Dlaczego?

Przez cały ten czas Web przeglądał zdjęcia, aż w końcu przestał to robić i wyjął kolejną fotografię.

- Sukinsyn.
- O co chodzi?

Web odwrócił zdjęcie. Był na nim Strait w mundurze w Wietnamie. Obok niego stał mężczyzna, którego Romano nie rozpoznawał, ale Web tak. Chociaż facet na zdjęciu był znacznie młodszy, tak naprawdę nie zmienił się za bardzo.

- Ed O'Bannon. To on był wojskowym psychiatrą, który pomógł Straitowi, kiedy ten uciekł z niewoli.

- Jezu.

- A to znaczy, że być może trzymają gdzieś tutaj Claire, a nawet Kevina. Ta farma byłaby doskonałym miejscem, żeby ich ukryć.

- Ale nadal nie rozumiem, Web, dlaczego Strait, O'Bannon i Macy chcieliby załatwić Grupę Charlie. To nie ma sensu.

Web myślał intensywnie, ale odpowiedź na to pytanie nie przychodziła mu do głowy. Przynajmniej dopóki nie spojrzał w dół i nie zobaczył czegoś. Odłożył pudełko po butach, powoli sięgnął ręką i chwycił ten przedmiot, który częściowo wpadł pod łóżko.

Podniósł bransoletę na kostkę i oświetlił ją. Wiedział już, do kogo ona należy. Zerwał narzutę z łóżka i obejrzał poduszki, przyświecając sobie latarką. Już po paru chwilach znalazł długie jasne włosy.

Popatrzył na Romano z niedowierzaniem.

- Gwen.

Przyczepa stała tyłem przy magazynku basenu. Rampa dla koni była opuszczona i jeden z ludzi Straita wysunął długi kawałek metalu, odsłaniając przestrzeń między pierwszym a drugim dnem przyczepy, która z łatwością mogła zmieścić wielką partię tabletek... albo ciała kobiety i małego chłopca.

Strait nadzorował przeniesienie Claire i Kevina do tej przegrody. Strasznie się szarpali i robili hałas - zbyt wiele hałasu.

- Otwórzcie basen - rozkazał. - Będzie łatwiej, jeśli ich najpierw utopimy. I czyściej niż po zastrzeleniu ich tutaj.

Kiedy pokrywa została odsunięta, mężczyźni częściowo zdjęli liny i koce z Claire i Kevina i zaczęli wlec ich w stronę wody.

To wtedy ktoś zawołał:

- Co, do diabła, robicie?

Strait i jego ludzie obrócili się gwałtownie. Stała tam Gwen z pistoletem w ręku.

- Hej, Gwen, czemu nie śpisz? - zapytał Strait, jakby nic się nie działo.

Popatrzyła na Claire i Kevina.

- Kim oni są, Nemo?

- To tylko dwa problemy, z którymi muszę się uporać, a potem wszyscy będziemy mogli odjechać ku zachodzącemu słońcu.

- Chcesz ich zabić?

- Nie, chcę pozwolić im zeznawać i wsadzić mnie do celi śmierci.

Paru ludzi Straita zaśmiało się po tych słowach. Strait zbliżył się do Gwen, ani na chwilę nie spuszczać jej z oczu.

- Chciałbym ci zadać pytanie, Gwen. Powiedziałaś, że zajmiesz się Londynem. Ale widziałem, jak wyjeżdża! stąd dzisiaj i czułem się całkiem dobrze.

- Zmieniłam zdanie.

- Och, to świetnie, zmieniłaś zdanie. To znaczy, że się spietrałaś. Tak myślałem. Tak naprawdę nie masz dość odwagi, żeby to zrobić. Zabić. To dlatego potrzebujesz facetów takich jak ja, żeby robili to za ciebie.

- Chcę, żebyś zaraz wyjechał. Ty i wszyscy twoi ludzie.

- Cóż, zamierzam to zrobić.

- Ale bez twoich problemów.

Strait uśmiechnął się i jeszcze bardziej przysunął do kobiety.

- Skarbie, wiesz, że nie mogę tego zrobić.

- Dam ci dwanaście godzin przewagi, zanim ich wypuszczę.

- A co potem? Trzeba będzie wyjaśnić dużo rzeczy. A ty weźmiesz na siebie całą winę?

- Nie pozwolę ci ich zabić, Nemo. Wystarczająco wielu ludzi już zginęło. I to moja wina. Miałaś rację, powinnam była odrzucić nienawiść dawno temu, ale za każdym razem, kiedy próbowałam, widziałam tylko mojego syna, martwego.

- Widzisz, problem polega na tym, że jeśli zostawię ich tutaj i zaczynają mówić, gliny nigdy nie przestaną mnie szukać. Ale jeśli ich zabiję, to kiedy zejdem ze sceny, głównie będzie to wszystkich interesowało. A to wielka różnica, bo kiedy osiedlę się gdzieś, chciałbym tam zostać, i nie spędzę emerytury na uciekaniu przed FBI.

Spojrzał na jednego ze swoich ludzi; zachodził on Gwen od tyłu.

Gwen mocno chwyciła pistolet i wycelowała go w głowę Straita.

- Mówię ci po raz ostatni, wyjedź!

- A co z twoją działką za prochy?

- To był twój interes. I nie chcę tej forsy. Wezmę na siebie winę za wszystko. Po prostu wyjedź!

- Cholera, kobieto, co w ciebie wstąpiło, zobaczyłaś Boga czy co?

- Do diabła, spadaj z mojej ziemi, Strait, zaraz!

- Uważaj, Gwen! - wrzasnął Web.

Ten głos zaskoczył wszystkich, ale mężczyzna okrążający Gwen i tak strzelił, nie trafił jej jednak, bo schyliła się po ostrzeżeniu Web. Kula zaryła się za nią.

Snajperski karabin Weba zaszczeakał i martwy mężczyzna wpadł do basenu, a chlorowana woda natychmiast nabrała czerwonego koloru.

Nemo i jego ludzie schronili się za przyczepą i otworzyli ogień, a Gwen zniknęła w krzakach.

Po opuszczeniu domu Straita Web i Romano poszli do centrum jeździeckiego, bo Web chciał coś sprawdzić; rzeczywiście, znalazł ranę na grzbiecie Huragana. Gwen zamierzała go zabić, a potem zmieniła decyzję. Z powodu ich rozmowy? Jeśli tak, to Web żałował, że nie porozmawiał z kobietą wiele lat wcześniej. Nie miał dowodów na to, ale wydawało mu się oczywiste, że Gwen zapewniła sobie pomoc Nemo i jego ludzi, by zemścić się za śmierć swojego syna. Nie wiedział, czy to brak uwagi ze strony Billy'ego Canfielda zaprowadził ją do łóżka Straita.

Potem podążyli w kierunku rezydencji, ale dobiegł ich hałas w okolicy basenu i kiedy tam przybiegli, zdążyli usłyszeć wymianę zdań między Gwen i Straitem, usłyszeli, jak Gwen przyznaje, że zabójstwa to była jej wina, jej zemsta. Teraz brali udział w strzelaninie i nie mieli żadnego sposobu, żeby wezwać posiłki. Wielkim problemem było też to, że Claire i Kevin tkwili w samym środku zamętu.

Strait chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo zawołał:

- Hej, Web, może wyjdiesz? Bo jeśli tego nie zrobisz, poczęstuję kulką kobietę i dzieciaka.

Web i Romano popatrzyli na siebie. Strait nie wiedział, że Paul tam jest. Romano odwrócił się i ruszył w lewo. Web pobiegł w prawo, a potem się zatrzymał.

- Daj spokój, Nemo, nie masz żadnych szans, a kawaleria jest w drodze.

- Zgadza się, jestem zdesperowanym człowiekiem i nie mam żadnej cholerniej rzeczy do stracenia. - Strzelił i kula przemknęła bardzo blisko głowy Claire. Kobieta leżała obok Kevina na brzegu basenu.

- Słuchaj, Nemo - powiedział Web - następne dwa zabójstwa wcale ci nie pomogą.

Strait zaśmiał się.

- Do diabła, Web, ale też w ogóle mi nie zaszkodzą.

- W porządku, Nemo, wyjaśnij mi jedyną sprawę, której nie umiałem rozgryźć - zawołał Web. - Po co była ta zamiana dzieciaków w ulicze?

- Co? Chcesz, żebym obciążał samego siebie?! - wrzasnął w odpowiedzi Strait i roześmiał się znów.

- Rozejrzyj się, Nemo, mam wszystkie dowody, których potrzebuję.

- Więc jeśli zrobię to, co mówisz, wstawisz się za mną u sędziego, tak? - Strait znów się zaśmiał.

- Nie zaszkodziłoby ci to.

- Cóż, Web, w mojej branży człowiek trzyma z różnymi interesującymi gośćmi. Pewien facet miał bardzo sprecyzowane żądania, a to jest taki facet, że trzeba spełniać jego życzenia. To facet, którego trzeba uszczęśliwiać, wiesz, o czym mówię?

- Clyde Macy?

- Nie wymieniam żadnych nazwisk, Web. Nie kabłuję.

- Więc ci pomogę. Macy to niedoszły gliniarz. Aż się rwie do udowodnienia, że jest lepszy. Palił się do tego, żeby ubrać się jak agent FBI, wmaszerować tam i zabrać dzieciaka bezpośrednio z naszych rąk. Tylko po to, żeby sobie pokazać, że może to zrobić.

- Cholera, Web, byłby z ciebie dobry detektyw.

- Ale może ty nie byłeś tego taki pewny. Potrzebowałeś Kevina i nie mogłeś ryzykować, że Macy emu się nie uda i nie odzyska dzieciaka. Najpierw musiałeś posłużyć się Kevinem w tamtej uliczce, żeby rzucić podejrzenie na Wielkiego F, a potem potrzebowałeś chłopaka do wywierania nacisku na niego. A więc zastąpiłeś Kevina tym drugim dzieciakiem. W ten sposób Macy miał okazję zabawić się kosztem Biura, a gdyby mu się nie powiodło, i tak miałeś Kevina. Zgadza się?

- Do diabła, chyba nigdy się nie dowiemy.

- Gdzie jest ten drugi dzieciak?

- Tak jak powiedziałem, chyba nigdy się nie dowiemy.

Radiotelefon Weba zatrzeszczał. Romano był na stanowisku.

- W porządku, jeszcze jedna szansa, Nemo, masz pięć sekund na podanie się.

Web nie zwracał sobie głowy liczeniem do pięciu. Przetawił swój MP-5 na pełny automat i otworzył ogień, zasypując gradem kul przycepę do przewozu koni, za którą schronił się Nemo i jego ludzie.

Strait i pozostali mężczyźni padli plackiem na ziemię, a w tym samym czasie Romano zaszedł ich od tyłu.

Jeden z mężczyzn zobaczył go, odwrócił się, żeby strzelić, i dostał w nagrodę dwie kulki z MP-5 między oczy.

- Broń na ziemię. Natychmiast! - rozkazał Romano.

Web zobaczył to, ale Romano nie, bo stał odwrócony plecami: malutki obłoczek skroplonej pary, który unosił się w powietrzu daleko w lasach. Skroplenie pary spowodowało zimno wzbijające się w górę z lufy karabinu. Był to klasyczny błąd kogoś, kto wiedział trochę o pracy w terenie i snajperskim rzemiośle, ale nie orientował się w drobnych, decydujących szczegółach, które naprawdę się liczyły. Web, kiedy był snajperem, chuchał na lufę, żeby ją rozgrzać i zapobiec skraplaniu się pary.

- Szósta, Romano! - krzyknął.

Ale było za późno. Kula trafiła Romano w podstawę kręgosłupa i siłą uderzenia pocisku o dużej prędkości powaliła go na ziemię.

- Paulie! - wrzasnął Web.

Jeden z ludzi Straita przeturlał się i wycelował w leżącego Romano, ale Web załatwił go z trzysta ósemki. Przycisnął MP-5 do piersi jedną ręką, a drugą wyciągnął jedną ze swoich czterdziestek piątek.

- Romano!

Odetchnął z ulgą, kiedy Romano zaczął się podnosić. Choć kula przebiła pancerz, nie poradziła sobie z Linkiem, trzecią czterdziestką piątką, którą Paulie trzymał z tyłu w specjalnej kaburze.

Następna kula zaryła się niedaleko Weba i ten padł na ziemię, a Romano rzucił się w krzaki. Strait, korzystając z okazji, wybiegł, chwycił Claire i na wpół zaniósł, a na wpół zawlókł ją do półciężarówki sprzęgniętej z przyczepą.

Web podniósł głowę i zobaczył, co Strait próbuje zrobić, więc przestrzelił opony samochodu. Klnąc głośno, Strait pociągnął Claire w ciemność.

Web złapał swój radiotelefon.

- Paulie, Paulie, wszystko w porządku? - Upłynęło kilka niepokojących sekund, a potem Romano odpowiedział. Głos trochę mu drżał, ale był to ten sam drogi Romano.

- Ten, kto mnie trafił, gównie wie o trajektorii kuli. Strzelił za nisko.

- Na szczęście dla ciebie. Zobaczyłem parę skroploną przez lufę dopiero wtedy, kiedy już było za późno. Założę się, że to Macy gdzieś tam jest. Strait ma Claire. Chcę ich dogonić. Kevin Westbrook jest nadal przy basenie.

- Zajmę się tu wszystkim, Web.

- Jesteś pewien?

- Do diabła, to tylko czterech przeciw jednemu. Idź!

Web odwrócił się i popędził za Claire i Straitem.

Romano zgubił swój MP-5, a jego karabin snajperski nie byłby zbyt skuteczny przy tak niewielkich odległościach. Wyciągnął swoje czterdziestki piątki i wzorując się na Webie, potarł jedną z nich na szczęście. Mimo jego zuchowatości taka przewaga liczebna przeciwnika nie dawała mu dużych szans. Mógł załatwić trzech, a i tak zginąć z ręki faceta numer cztery. W dodatku musiał pamiętać o snajperze, który go trafił. Kucnął i zaczął się wolno skradać wzdłuż krzaków, które otaczały basen. Strzelano, ale on nie odpowiadał ogniem, bo kule znacznie chybiały, a płomienie wylotowe mówiły mu, gdzie są przeciwnicy. Szedł i rozglądał się. Za każdym razem, kiedy oddawano strzał, on zaraz to zauważał. Ci faceci byli amatorami, ale nawet amatorzy mieli czasem szczęście, zwłaszcza jeśli przeważali liczebnie. Przycupnął i zobaczył dzieciaka obok basenu. Kevin się nie ruszał i Romano pomyślał, że

może jedna z kul dosięgła celu. Ale wtedy dzieciak uniósł nieznacznie głowę. Romano nałożył gogle noktowizyjne i zobaczył, jaki problem ma chłopiec. Jego nogi nadal były mocno związane.

Romano szedł dalej, zwiększając odległość między sobą a wrogami. Chciał się oddalić, żeby móc użyć swojego karabinu. Luneta noktowizyjna była zamocowana i potrzebował tylko głowy, którą mógłby się zająć. Ograniczyłby liczbę przeciwników do trzech, a może nawet do jednego, i wtedy wkroczyłby ze swoimi pistoletami. Zwyciężyłby w każdym pojedynku jeden na jeden.

Jego plan był podręcznikowy. Czytać ich podpisy u wylotów luf. Nadal się przemieszczać. Znaleźć się za ich plecami. Potem wejść, kropnąć jednego albo dwóch, a pozostali stracą odwagę i się odsłonią, może zacząć uciekać, wtedy użyłby swojego karabinu snajperskiego, poczekałby, aż dotrą do jego strefy zabijania, i wszystko by się skończyło.

- Hej, Romano, wyjdź zaraz, bez broni! - zawołał ktoś.

Romano nie odpowiedział. Próbował ustalić, skąd dobiegł ten głos, aby móc go uciszyć. Sądził, że jest to parobek, którego przewrócił w pierwszym dniu swojego pobytu na farmie, ale nie był tego pewien.

- Romano, mam nadzieję, że mnie słuchasz. Bo masz pięć sekund, żeby wyjść, albo wpakuję dzieciakowi kulkę w głowę.

Romano przybliżył się do miejsca, skąd dobiegał głos, mrużąc pod nosem. Nie chciał dopuścić do zabicia chłopca, ale prawda była taka, że gdyby wyszedł z ukrycia, i on, i Kevin Westbrook by zginęli. Romano nigdy nie podejmował takich gier i teraz jedyny jego plan działania zakładał próbę zabicia ich wszystkich, zanim dotrą do chłopca, co było prawie nierealne.

- Przykro mi, dzieciaku - mrużąc pod nosem, posuwając się naprzód i zajmując stanowisko ogniowe.

Mężczyzna, który się odezwał, rzeczywiście był facetem, którego Romano powalił na ziemię w centrum jeżdżącym. Czołgał się przed siebie na brzuchu z pistoletem w ręku. Zatrzymał się, policzył w myślach do pięciu i znów zawołał:

- Ostatnia szansa, człowieku z HRT! - Poczekał chwilę, wzruszył ramionami, wstał i wycelował prosto w głowę Kevina Westbrooka zza osłaniających go krzaków. Mężczyzna nie był znakomitym strzelcem, ale ta egzekucja nie miała wymagać wielkich umiejętności.

Uszło z niego całe powietrze, gdy jakiś olbrzym wypadł z ukrycia i uderzył go tak mocno, że wylądował mniej więcej dwa metry dalej, na brzegu basenu. Wielki facet podbiegł do chłopca i uniósł go jednym masywnym ramieniem. Potem Francis Westbrook odwrócił się i pognął w noc ze swoim synem, jednocześnie strzelając za siebie z pistoletu trzymanego nad barkiem.

Inny mężczyzna wyskoczył z ukrycia i wycelował w szerokie plecy Westbrooka. Miał już nacisnąć spust, gdy Romano wyszedł zza swojej osłony i go zastrzelił. Nie wiedział, że wielki mężczyzna to Francis Westbrook, ale nie miał zamiaru bezczynnie się przyglądać i pozwolić, by ktokolwiek dostał w plecy. Jedyne problem stanowiło to, że ujawnił swoje stanowisko, i zaraz został trafiony w nogę za to, że był taki miły. Próbował pokuśtykać na bok, ale wkrótce zobaczył mnóstwo wymierzonych w niego pistoletów. Zaciągnięto go na brzeg basenu i stanęli nad nim trzech mężczyźni.

- Cóż, do cholery, ludzie z HRT nie są jednak tacy rewelacyjni - stwierdził jeden. Po tych słowach Romano zaczął się wkurzać.

- Po prostu go zastrzel - powiedział inny. Twarz Romano poczerwieniała i zacisnął pięści.

- Ja mówię, żebyśmy wsadzili jego głowę do wody i utopili sukiny-
na, ładnie i powoli.

Romano spojrział w górę i zobaczył, że zaproponował to facet, którego Westbrook posłał na brzeg basenu, ten sam, którego on powalił w pierwszym dniu swojego pobytu w East Winds. Wielki brzuch parobka wciąż jeszcze falował, kiedy wchłaniał on ogromne ilości powietrza, a z nosa leciała mu krew, bo wylądował twarzą na kamiennej płycie.

- Co ty na to, Romano? - zapytał mężczyzna, szturchając go w bok wysokim butem.

- Dobra myśl - powiedział Romano. Rzucił się zniechęca do przodu, wbił bark w rozedrgany bebecz mężczyzny i obaj znaleźli się w wodzie. Romano zrobił głęboki wdech, a potem wciągnął przeciwnika pod powierzchnię. Dwaj mężczyźni stojący na brzegu basenu zrobili to, czego się spodziewał Romano. Strzelili w wodę. Ale Romano i ich kumpel byli zbyt głęboko, żeby kule mogły wyrządzić im jakąś krzywdę.

Jeden z facetów wpadł na pozornie genialny pomysł. Pobiegł i nacisnął guzik, żeby zasunąć pokrywę basenu. Gdy znieruchomiała ona nad Romano i mężczyzną, z którym nadal walczył, Paulie, bynajmniej nie zaniepokojony, wiedział, że teraz ma sposobność, by przeżyć. Wyjął nóż i poderznął mężczyźnie gardło. Wodę zabarwiła krew. Wtedy Romano chwycił zwłoki za nogi i unióś je, aż poczuł, że głowa mężczyzny uderzyła w pokrywę, jakby wypłynął on gwałtownie na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Natychmiast usłyszał to, czego się spodziewał, strzały w głowę. Opuścił zwłoki, przemieścił się i po chwili powtórnie wydzwignął trupa. Pistolety znów zaczęły strzelać, a kule, wpadając do wody, tworzyły małe rozpędzone strumyki po obu jego bokach. Teraz bez wątplenia myśleli, że obaj są martwi. Romano miał

przynajmniej taką nadzieję; właściwie liczy! na to, bo inaczej by nie przetrwał.

Podciągnął znów zwłoki, a potem je puścił. Wolno opadły na dno basenu, by dołączyć do znajdującego się tam już ciała mężczyzny, którego Web zastrzelił wcześniej. Teraz Romano musiał przeprowadzić najbardziej ryzykowną część swego planu. Usunął z płuc większość powietrza, wynurzył się i celowo zahaczył ramieniem o otwór filtru, jakby utknął tam, kiedy rozwalili mu głowę. Gdy pokrywa się odsuwała, miał nadzieję, że ci faceci nie wiedzą, co zgodnie z prawami fizyki dzieje się w wodzie z ciałami dopiero co zabitych ludzi, mianowicie że toną, a nie unoszą się na powierzchni. Gdyby teraz otworzyli do niego ogień, byłby martwy. Ale nie zrobili tego. Pokrywa powlokła trochę jego ciało i Romano nawet nie drgnął. Jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Kiedy ręce sięgnęły w dół i wydobyły go, nadal się nie ruszał. Położyli go na brzegu basenu twarzą w dół. Czuł ich obecność. A potem to usłyszał. Wszyscy to usłyszeli. Syreny. Ktoś wezwał gliniarzy.

- Spadajmy stąd - rzucił jeden z mężczyzn.

To była ostatnia rzecz, jaką powiedział w swoim życiu. Romano zerwał się gwałtownie i pchnął mężczyznę w sam środek piersi nożami, które wcześniej ukrył w dłoniach. Ostrza weszły aż po rękojeści, przebijając każdemu z nich serce.

Wpatrując się w niego ze zdumieniem, wpadali do wody. Romano wyprostował się, obejrzał pobojowisko, zdarł z siebie koszulę i nałożył opaskę uciskową z gałazki na zranioną nogę, wyłowił z wody Linka, czterdziestkę piątkę, która nie pozwoliła kuli trafić go w plecy, i uniósł zniszczony pistolet.

- O kurde - powiedział.

Web tropił Straita i Claire najlepiej, jak potrafił. Posługiwał się na przemian goglami noktowizyjnymi i własnymi oczami, ale było bardzo ciemno, a nawet gogle potrzebowały trochę światła z otoczenia do prawidłowego działania. Web polegał właściwie bardziej na słuchu niż na wzroku, ale na tej podstawie nie mógł strzelać, bo istniała groźba, że trafi Claire zamiast Straita.

Zbliżył się do małpiarni, zwolnił kroku i w końcu się zatrzymał. Ta rudera wyglądała złowieszczo nawet w ciągu dnia; teraz całkowicie odbierała odwagę. Problemem było to, że jeśli Strait znajdował się w środku, a Web ruszyłby dalej, nie oczyściwszy najpierw budynku, to Strait mógłby go zająć od tyłu.

Web trzymał mocno swój MP-5 i po cichu posuwał się naprzód. Do stał się do budynku od strony południowej i stapał po śmieciach, które zalegały to dawne więzienie dla zwierząt. Snopy księżycowego światła wpadły przez dziury w dachu, gdy chmury odpłynęły dalej. Światło w niesamowity sposób zalało porozbijane klatki i ten widok był ciężką próbą nawet dla zahartowanych nerwów Weba.

Bezgłośnie przejście przez to pomieszczenie było niemożliwe i Web ciągle rzucał spojrzenia na wszystkie strony w nadziei, że zobaczy coś, co da mu tę chwilę, której potrzebował, aby ocalić siebie, uratować życie Claire i zakończyć życie Straita. Mący też gdzieś tam krążył i było to niepokojące, ponieważ ten facet miał jednak pewne umiejętności taktyczne.

Web natychmiast padł na podłogę, kiedy usłyszał skrzypnięcie na lewo od siebie. Nałożył gogle noktowizyjne i zbadął wzrokiem pomieszczenie kratka po kratce. Popatrzył też w górę, bo był tam post. To wtedy rozległ się zduszony krzyk.

Przeturlał się i kula trafiła dokładnie w miejsce, w którym dotąd leżał. Wstał z pistoletem gotowym do strzału. Wydawało się, że to Claire go ostrzegła. Usłyszał szuranie na drugim końcu budynku, a potem tupot nóg uciekającego człowieka. Miał już za nim popędzić, kiedy zobaczył to samo co przy basenie - parę skroploną przez lufę karabinu. Padł na chwilę przed strzałem i kula trafiła w jedną z klatek, a po rykoszecie, nie zrobiwszy mu krzywdy, wbiła się w ścianę.

Cóż, dobrze było o tym wiedzieć - Macy, jeśli to był on, nie miał dość inteligencji, żeby zdać sobie sprawę ze swojego wcześniejszego błędu.

Web omiółtł ogniem z MP-5 tę część pomieszczenia, z której nadleciał pocisk, wzbijając w powietrze śmieci i wywołując grzechotanie pustych klatek. Kiedy musiał przerwać i wkładał świeży magazynek, usłyszał tupot kolejnej oddalającej się pary nóg. Wymknął się na zewnątrz i wznowił pościg, ciesząc się, że pozostawia za sobą małpiarnię.

Miał wrażenie, że zbliża się do kogoś, ale wtedy wyczuł coś z lewej strony i znów rzucił się na ziemię. Kula trzasnęła o drzewo tuż za miejscem, w którym przed chwilą stał.

Strzał z karabinu, nie z pistoletu, ocenił Web. A więc to znów był Macy, a nie Strait. Prawdopodobnie ponownie się przyczaił i osłaniał swojego szefa.

- Niedoszły przeciw prawdziwemu - powiedział cicho Web. - Cóż, pokaż, co potrafisz.

W snajperskich czasach Web trwał w całkowitym bezruchu, kiedy był na służbie. Zasada była taka, że podczas konfrontacji pierwszy mężczyzna, który się poruszył i ujawnił swoje stanowisko, umierał. Dlatego Web umiał leżeć zupełnie nieruchomo, czekając, aż przyjdzie mu ktoś zabić. Umiał spowolnić swoje tętno, a nawet regulować pracę pęcherza, tak że mógł wytrzymać długi czas bez oddawania moczu. Był jak anakonda czatująca w trawie na jaguara. Kiedy ten nadchodził, wąż wyskakiwał zniemacka i jaguar żegnał się z życiem.

Gdy tak leżał, zastanawiał się, jak Macy był w stanie namierzać go tak skutecznie. To sprawiło, że Web zaczął myśleć o sprzęcie, który mógł mieć ze sobą ten facet. Bates dał mu dodatkową informację o ataku na kompleks „Freech”. Dwie kule kalibru .308 zostały wydłubane ze ścian. Jeśli Macy miał broń używaną przez HRT, to może miał też inny sprzęt podobny do tego, którym posługiwał się Web. Web przypomniał sobie zdjęcie Macy'ego w stroju paramilitarnym. Wszystkie te elementy doskonale pasowały do sylwetki niedoszłego agenta.

Web ślizgał się przed siebie na brzuchu, powodując tylko nieznaczny szmer. Chciał coś sprawdzić i najlepszym sposobem na to wydawało się ujawnienie własnego stanowiska.

Kula przeleciała blisko niego.

W porządku, to jest potwierdzenie, pomyślał Web. Ten facet też ma noktowizor.

Nałożył swoje gogle i powiódł spojrzeniem po okolicy. Wtedy to zobaczył; tylko przez moment, ale to wystarczyło. To akurat wystarczyło.

Clyde Macy był zadowolony ze swojej strategii. Wiedział, że członkowie HRT to prawdziwi fachowcy, ale zawsze podejrzewał, że są przece-niani. Wkońcu on znalazł przerwę w ich kręgu przy kompleksie „Freech”. I zastrzelił jednego z nich przy basenie. Nie został na swoim stanowi-sku wystarczająco długo, by zobaczyć, jak Romano się podnosi. Kiedy Strait chwycił Claire i odbiegł, Macy, zawsze wierny zastępca dowód-cy, oddalił się, żeby osłaniać szefa. Strait był dla niego dobry, wziął go pod swoje skrzydła w poprawczaku. A kiedy Macy wyszedł stamtąd i zabłąkał się do świata „Freech”, Strait odszukał go i otworzył mu oczy. „Free” byli amatorami. Klęska w Richmond pokazała mu to. I, jak zauważył Strait, nie płacą ani centa, a w dodatku oczekują, że będzie się ich wspierać finansowo. „I co z tego masz?” - pytał go dobitnie Strait. - „Prawo do przebywania w towarzystwie głupich ludzi”.

Posłuchał rozsądnych rad i od kilku lat pracował u Straita. Obecny interes był najbardziej lukratywny. Dorobili się fortuny na handlu narkotykami, a w dodatku przypadek pozwolił Macy'emu zrobić Wolne Społeczeństwo. To i zastrzelenie drogiego Twana wynagrodzi-ło mu trudy. Teraz, gdy plan polegał na zniknięciu z szybkością, z jaką zbliżały się do nich syreny, Macy'emu został jeszcze jeden cel. Zabicie Londona. To dowiodłoby jego absolutnej wyższości. W pew-nym sensie Macy przygotowywał się przez całe swoje dorosłe życie do tej właśnie chwili.

Nałożył gogle noktowizyjne, włączył je i zbadał wzrokiem obszar, gdzie ostatnio widział Londona. Facet najwyraźniej tracił zimną krew, skoro krążył po lesie w ten sposób. Do tej pory był zbyt pewny siebie i nagle stwierdził, że trafił na przeciwnika, który jest naprawdę lepszy od niego. A teraz nadszedł czas, żeby to zakończyć. Właśnie gdy to pomyślał, zobaczył snop rażącego zielonego światła skierowany w jego stronę. Przez sekundę był oszołomiony, bo nie wiedział co to takiego. A potem zdał sobie sprawę, że musi to być odbłask noktowizora Lon-dona. Wycelował, wypuścił z płuc całe powietrze; jego naprężony palec przesunął się ku spustowi. Całkowicie znieruchomiał. I wtedy strzelił. Kula trafiła w sam środek wiązki i światło zgasło. Dopiero wtedy Macy uświadomił sobie, że jego własny noktowizor, włączony na pełną moc, prawdopodobnie wysyła taką samą wiązkę promieni. Ale trzeba było patrzeć przez swój noktowizor, żeby zobaczyć to światło, a on właśnie załatwił Londona. Był po prostu o ułamek sekundy szybszy i dlatego on żył, a London nie. Często do tego się to sprowadzało.

Zanim Macy zdążył zaczerpnąć powietrza, kula trafiła go prosto w czoło. Przez milisekundę jego umysł nie reagował na fakt, że brakuje

jednej drugiej głowy. Potem karabin wypadł mu z rąk i Clyde Macy runął na ziemię.

Web wstał zza małego ziemnego usypiska oddalonego o mniej więcej trzy kreski na zegarze od miejsca, w którym oparł swoje gogle o pniak i włączył je na pełną moc. Nie potrzebował koniecznie zielonej wiązki wychodzącej z noktowizora Macy'ego. Gdy tylko Macy strzelił do tego, co uznał za głowę Weba, płomień wylotowy przy lufie ujawnił jego stanowisko. Po sekundzie było po wszystkim. Końcowy wynik: zawodowiec - jeden, niedoszły - martwy.

Nie miał czasu na dalsze rozważania o swoim zwycięstwie, bo trzask zarośli pod którymiś pędzącymi stopami kazał mu paść na ziemię i wycelować ze swojej trzysta ósemki. Kiedy dwie osoby wyłoniły się zza drzew i znalazły się w jego strefie zabijania, zawahał się, a potem ukląkł z karabinem wymierzonym prosto w ogromną klatkę piersiową mężczyzny.

- Rzuć broń, Francis!

Westbrook drgnął i rozejrzał się w ciemnościach. Przez lunetę karabinu Web wyraźnie widział, jak olbrzym popycha Kevina za siebie, zastaniając chłopca przed nowym zagrożeniem.

- Mówi Web London, Francis. Rzuć broń. Natychmiast!

- Zostań za mną, Kev - powiedział Westbrook, odsuwając się powoli od miejsca, skąd dobiegał głos Weba.

- Ostatni raz mówię, Francis; broń na ziemię, a potem ty też padnij. Albo upadniesz w inny sposób.

- Zabieram stąd Kevina, człowieczku. Tylko to chcę zrobić. Bez problemów, bez problemów.

Web wycelował w gałąź drzewa trzy metry nad głową Westbrooka. Gdy strzelił, gałąź została przecięta na dwie części i ta odstrzelona upadła za nimi. To był pierwszy strzał ostrzegawczy, jaki Web oddał w swoim życiu, i zastanawiał się, dlaczego w ogóle chciało mu się to zrobić. Kevin wrzasnął, ale Westbrook nic nie powiedział. Po prostu dalej się wycofywał. Potem zrobił coś, co zaskoczyło nawet Weba. Wypuścił z ręki broń, ukląkł i wziął Kevina na barana. Web myślał z początku, że tamten użyje Kevina jako tarczy, ale Westbrook zastaniał swoim ciałem chłopca. I wciąż się oddalał.

- Bez problemów, HRT Chcę po prostu stąd odejść. Mam sprawę do załatwienia.

Web strzelił ponownie, w ziemię na lewo od Westbrooka. Drugie ostrzeżenie. Cholera. Co, do diabła, się z nim dzieło? Załatw tego faceta. Jest kryminalistą. Mordercą.

- Bez problemów - powtórzył Westbrook. - Po prostu odchodzimy, ja i dzieciak.

Web tym razem wycelował w głowę mężczyzny. Wtedy zdał sobie sprawę, że amunicją, którą miał w komorze, nie wolno mu strzelić do Westbrooka, bo kula mogłaby przebić nawet masywne ciało mężczyzny i trafić Kevina. Mógł wycelować w nogi i przewrócić olbrzyma. Zastanawiał się nad tym i szukał jak najlepszego miejsca, kiedy usłyszał Kevina.

- Web, proszę, nie strzelaj do mojego brata. Proszę. On mi tylko pomaga.

Przez lunetę Web widział twarz chłopca przy twarzy ojca. Trzymał się grubej szyi obiema rękami, na jego twarzy malował się strach, łzy płynęły mu po policzkach. Francis Westbrook wydawał się spokojny, jakby był gotowy na śmierć. Web przypomniał sobie wszystkie blizny, które widział na brzuchu mężczyzny. Niewątpliwie czekał on obojętnie na śmierć wiele razy. Miał sto dwadzieścia lat białasów. Palec Weba przesunął się na spust. Gdyby postrzelił faceta w nogę, Kevin mógłby przynajmniej odwiedzać go w więzieniu. To właśnie powinien zrobić. Był gliniarzem. A ten mężczyzna był przestępcą. Tak to się kończyło. Bez wyjątków. Żadne rozważania nie wchodziły w grę. Po prostu strzelaj.

A jednak Web pozwolił tym dwóm umknąć i zniknąć w lasach. Zsunął palec ze spustu.

- Zabierz go z powrotem do jego domu, Francis! - krzyknął. - A potem lepiej uciekaj całą parą, bo będę cię ścigał, ty sukinsynu.

Strait też usłyszał syreny i nie mógł uwierzyć, że tak szybko wszystko diabli wzięli. Normalna rzecz w jego życiu. Przyłożył pistolet do głowy Claire i wyjął jej knebel z ust. Już wcześniej ją rozwiązał, żeby nie musiał jej nieść.

- Obawiam się, że jesteś biletem, bez którego się stąd nie wydostanę, moja pani. A nawet to może nie wystarczyć. Ale nie rób sobie nadziei, jeśli będzie wyglądać na to, że mnie dopadną, zastrzelę cię.

- Dlaczego? - zajęczała bezradnie Claire.

- Bo jestem wkurzony, dlatego. Bo harowałem i nic z tego nie będę miał, dlatego. Teraz chodź. - Ciągnął ją w stronę centrum jezdzieckiego. Stały tam półciężarówki, a w jednej z nich może, tylko może, mógłby stamtąd zwiać. Zbliżali się do centrum od wschodu i kiedy Strait zobaczył dach wielkiej stodoły na siano, nawet się uśmiechnął. Farma była rozległa, a jej topografia skomplikowana, gliniarze nadjechaliby bez wątpienia od frontu, a w tym samym czasie Strait skorzystałby z jakiejś tylnej bramy. Zanimby się zorientowali, co się dzieje, porzuciłby półciężarówkę, dotarłby do małego bezpiecznego domu, który przygotował właśnie na wypadek czegoś takiego, i wtedy po cichu by zniknął, nie ze wszystkimi swoimi pieniędzmi, ale z częścią.

Wspięli się na wzniesienie i ruszyli w dół ku boksom dla koni. Jakiś mężczyzna wyszedł naprzeciw nich z ciemności. Początkowo Strait myślał, że to Macy, ale potem chmury się rozproszyły i światło księżyca ukazało stojącego tam ze strzelbą w ręku Billy'ego Canfielda. Strait natychmiast przytrzymał Claire przed sobą, a pistolet przytknął do jej skroni.

- Zejdź mi z drogi, stary człowieku, nie mam na ciebie czasu.

- Dlaczego, bo gliny jadą? Cholera, pewnie, że jadą, bo ich wezwałem. Strait pokręcił głową, na jego twarzy malowała się nienawiść.

- Dlaczego to zrobisz?

- Nie wiem, co, do diabła, robiłeś na mojej farmie, ale wiem, że sypiałeś z moją żoną. Myślisz chyba, że jestem głupi czy co.

- Cóż, ktoś musiał ją rznąć, Billy, bo ty na pewno tego nie robiłeś, do diabła.

- To moja sprawa! - ryknął Canfield. - Nie twoja.
- Och, oczywiście, że to jest moja sprawa, i powiem ci, że była to cholernie przyjemna sprawa. Nie wiedziałeś, co tracisz, staruszk.

Canfield uniósł strzelbę.

- Taak, no dalej, strzel z tej śrutówki, Billy, to zabijesz też tę miłą panią.

Mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w siebie, aż wreszcie Strait zdał sobie sprawę z własnej przewagi.

Nadal używając Claire jako tarczy, wycelował z pistoletu w Billy'ego i przygotował się do strzału.

- Billy!

Strait zdążył zobaczyć, że Gwen na Baronie pędzi prosto na niego. Wrzasnął, odepchnął Claire i wypalił szybko dwa razy. I wtedy kula trafiła go w głowę, natychmiast powalając go na ziemię.

To Web wypadł z lasów, po chwili zrozumiał, co się dzieje, i strzelił, zabijając Straita. Baron stanął dęba i jego przednie kopyta opadły na ciało Straita.

Web szybko podbiegł do Claire. Nie musiał sprawdzać, czy Strait przypadkiem jeszcze nie oddycha. Wiedział, że mężczyzna nie żyje.

- Wszystko w porządku? - zapytał Claire.

Skinęła głową, a potem usiadła i zaczęła płakać. Web uściśnął ją, popatrzył dalej i zobaczył, że Billy Canfield, powłócząc nogami, podszedł do jakiegoś ciemnego kształtu, a następnie rzucił się na kolana. Web wstał i zbliżył się do niego, okazało się, że to Gwen leży na ziemi, a jej pierś pokrywa plama krwi tam, gdzie przynajmniej jedna z kul wystrzelonych przez Straita dosięgła celu. Popatrzyła na nich obu, oddychając ciężko, z trudem. Web padł na kolana, rozerwał jej bluzkę i zobaczył ranę. Powoli zasłonił jej pierś i popatrzył na nią. Wyraz jego twarzy powiedział jej prawdę.

Chwyciła go za rękę.

- Tak się boję, Web.

Web ukląkł bliżej niej, a Billy siedział w kucki, wpatrując się w umierającą żonę.

- Nie jesteś sama, Gwen. - Żadne inne słowa nie przyszły mu na myśl. Chciał nienawidzić tej kobiety za to, co zrobiła jemu, Teddy'emu Rinerowi i wszystkim pozostałym. Ale nie mógł. I nie tylko dlatego, że uratowała mu życie, a także Claire i Kevinowi. Było tak dlatego, że Web nie wiedział, co by zrobił na miejscu tej kobiety, gdyby tyle wściekłości i nienawiści nagromadziło się w nim z biegiem lat. Może zrobiłby to samo; miał po prostu nadzieję, że nie.

- Nie boję się umierania, Web. Boję się, że nie zobaczę Davida. - Krew ciekła z jej ust i mówiła trochę niewyraźnie, ale Web ją zrozumiał.

Niebo i piekło; o to chodziło? I może nawet nie istniała inna możliwość, czyścić.

Nie mogła już skoncentrować na nich wzroku i Web poczuł, że jej uścisk się rozluźnia.

- David - powiedziała słabym głosem. - David. - Popatrzyła na niebo. - Przebacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłam... - Jej głos stawał się coraz cichszy, aż w końcu zaczęła szlochać.

Web przypuszczał, że kobieta poczołgałaby się do swojej kapliczki, gdyby miała dość siły. Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, cze-
gokolwiek. I wtedy to coś się pojawiło w osobie Paula Romano idące-
go sztywno ku nim. Przyjechał półciązarówką, która była wcześniej
sprzężona z przyczepą stojącą przy basenie, mimo że Web przestrze-
lił jej opony.

Web podbiegi do niego, popatrzył na jego zakrwawioną nogę.

- Wszystko w porządku?

- To tylko zadraśnięcie. Dzięki, że zapytałeś.

- Paulie, możesz wysłuchać ostatniej spowiedzi Gwen?

- Co takiego?

Web wskazał leżącą w trawie kobietę.

- Gwen umiera. Chcę, żebyś wysłuchał jej ostatniej spowiedzi.

Romano cofnął się o krok.

- Zwariowałeś? Czy wyglądam na księdza?

- Ona umiera, Paulie, nie zorientuje się. Wierzy, że pójdzie do pie-
kła i że nie zobaczy swojego syna.

- To ta sama kobieta, która zorganizowała sprzątnięcie Grupy Char-
lie, a ty chcesz, żebym jeszcze przebaczył jej wszystko, co zrobiła?

- Tak, to ważne.

- Nie ma mowy, nie zrobię tego.

- Przestań, Romano, to cię nie zabije.

Romano patrzył przez moment na niebo.

- Skąd wiesz?

- Paulie, proszę, wiem, że nie mam prawa tego wymagać, ale proszę,
nie ma za dużo czasu. Trzeba to zrobić. Bóg zrozumie - dodał swój
ostatni argument.

Mężczyźni wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę, a potem
Romano pokręcił głową, pokuśtykał i ukląkł obok Gwen. Ujął jej dłoń,
zrobił nad kobietą znak krzyża i zapytał ją, czy chce przystąpić do ostat-
niej spowiedzi. Gasnącym głosem powiedziała, że tak.

Potem Romano wstał i odszedł na bok.

Web znów ukląkł przy Gwen. Jej oczy stawały się szkliste, ale przez
krótką chwilę zdołała skupić na nim uwagę i nawet uśmiechnęła się do
niego słabo, jakby chciała mu podziękować, a jednocześnie przy każ-

dym oddechu wypompowywała krew ze swojego ciała. Podobieństwo do rany, która pozbawiła życia jej syna, było uderzające.

Życia rękę Weba jakby z nową siłą i wyszeptła:

- Tak mi przykro, Web, czy możesz mi przebaczyć?

Web popatrzył w piękne oczy, które z każdą sekundą stawały się coraz bardziej zamglone. W tych oczach i w rysach kobiety widział inny obraz, twarz chłopca, który mu zaufał i którego on zawiódł.

- Przebaczam ci - powiedział do umierającej kobiety, mając nadzieję, że gdzieś, w jakiś sposób David Canfield robi to samo dla niego.

Następnie Web cofnął się i zrobił miejsce Billy'emu, a ten ujął rękę żony i ukląkł obok niej. Web patrzył, jak pierś kobiety unosi się i opada coraz bardziej gwałtownie, a potem znieruchomiła, jej ręka stała się bezwładna. Gdy Billy cicho łkał nad ciałem żony, Web pomógł Claire wstać, chwycił Romano pod ramię, żeby ten mógł się na nim wesprzeć, i we trójkę zaczęli się oddalać.

Huk strzału sprawił, że wszyscy drgnęli. Kiedy się odwrócili, Billy właśnie odchodził od ciała Straita, a z lufy unosił się kłębek dymu.

Przez kilka następnych dni tłumy policjantów i agentów FBI krążyły po całej farmie East Winds, zbierając dowody, wkładając zwłoki do worków i próbując wyjaśnić wszystkie zagadki, chociaż to, nawet przy sprzyjających okolicznościach, miało zabrać trochę czasu. Bardzo ponurym wydarzeniem było odnalezienie ciała chłopca, którym w uliczce zastąpiono Kevina, w grobie, głęboko w lasach East Winds. Ustalono, że chłopiec to uciekinier z domu z Ohio, który miał wielkiego pecha, bo w jakiś sposób trafił na Nemo Straita i Clyde'a Macy'ego, a ci niewątpliwie obiecali mu szybki zarobek.

Chodząc po farmie, Web tylko kręcił głową na myśl o tym, jak szybko sielankowe otoczenie zmieniło się w pole bitwy. Bates przerwał urlop i teraz był tutaj i nadzorował wszystko. Romano leżał w szpitalu, gdzie leczono mu zranioną nogę, ale kula nie trafiła ani w kość, ani w żadną ważniejszą tętnicę, i lekarze przewidywali, że ktoś tak sprawny fizycznie szybko wróci do zdrowia. Jednak Web był pewien, że Angie ostro zrugła męża za to, że prawie został zabity. Bez wątpienia jeśli już ktoś miał załatwić Romano, chciała, aby to jej przypadł ten zaszczyt.

Gdy Web szedł podjazdem w stronę rezydencji, zobaczył, jak Bates wychodzi głównymi drzwiami. Billy Canfield stał na werandzie i wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt. Jemu nic nie zostało - pomyślał Web. Bates zauważył Weba i podszedł do niego.

- Cholera, co za bajzel - powiedział Perce.
- Cóż, teraz jest całkiem jasne, że ten bajzel trwał od dawna.
- Właściwie to masz rację. Znaleźliśmy zapiski w domu Straita i złąpaliśmy jego dostawców. Kula, która zabiła Antoine'a Peeblesa, pasuje do pistoletu, który znaleźliśmy przy Macym. Pojawił się też Ed O'Bannon, w śmietniku. Zastrzelono go z tego samego pistoletu. A z karabinu, który miał Macy, kiedy go zastrzeliłeś, zabito sędziego Leadbette'ra i Chrisa Millera.
- Balistyczny sukces. Zdaje się, że po prostu uwielbiasz, kiedy fragmenty zaczynają do siebie pasować?
- Och, i sprawdziliśmy też tę taśmę ze strzelaniny w Richmond, o co nas prosiłeś.

Web rzucił mu spojrzenie.

- Co znaleźliście?

- Miałeś rację, było tam coś słychać. Dzwoniący telefon.

- To nie było brzęczenie. To było bardziej jak...

- Gwizd? Zgadza się. To był telefon komórkowy. Wiesz, możesz ustawić sobie prawie każdą melodyjkę, jaką chcesz. Tamta to był gwizd ptaka. Wcześniej nikt za wiele o tym nie myślał. Nie było tak, że potrzebowaliśmy tego jako dowodu, żeby móc capnąć Erniego Freego.

- Czyj to był telefon?

- Davida Canfielda. Telefon komórkowy, który dała mu matka na wypadek nieprzewidzianych sytuacji.

Web wydawał się zdumiony, a Bates pokiwał głową ze smutkiem.

- To Gwen do niego dzwoniła. Nie odebrał. Prawdopodobnie pomyślała, że tylko w ten sposób może z nim porozmawiać w tej sytuacji. Po prostu wybrała najgorszy moment. Nie wiedziała oczywiście, kiedy HRT tam wejdzie.

- Myślisz, że to dlatego telefony były wspólnym elementem tamtych zabójstw?

- Cóż, nigdy nie będziemy tego wiedzieć na pewno, ale na to wygląda. Może dlatego, że wtedy nie mogła porozmawiać z synem, chciała, aby telefon był ostatnią rzeczą, jaką ci trzej faceci zobaczą w swoim życiu. Zostawiła też pisemne oświadczenie, które oczyszcza z zarzutów Billy'ego. Gwen chyba podejrzewała, że tego nie przeżyje, i okazało się, że miała rację. Potwierdziliśmy niewinność Billy'ego, korzystając z innych źródeł. I udało się nam też zgarnąć kilku ludzi Straita, których nie było na farmie tej nocy. Gadali jak najęci.

- Dobrze. Ten człowiek dość już wycierpiał.

Bates pokręcił głową.

- Ci faceci potwierdzili, że Gwen nie wiedziała o narkotykach. Ale później chyba się dowiedziała i chciała dostać z tego swoją dolę. Boże, a wyglądała tak normalnie.

- Była normalna - rzucił sucho Web. - Ale to, co się stało z jej synem, po prostu zawładnęło jej życiem. - Westchnął głęboko. - Wiesz, mam wszelkie powody, żeby nienawidzić tej kobiety, a jest mi jej tylko żal. Szkoda, że nie mogła żyć dalej. Myślę też, że gdybym uratował jej syna, może nic takiego by się nie zdarzyło. Że może robię o wiele więcej niż dobrego.

- Nie możesz brać na siebie tego ciężaru, Web. To nie byłoby wobec ciebie sprawiedliwe.

- Cóż, życie nie było zbyt sprawiedliwe dla Gwen Canfield, prawda? Web i Bates szli dalej.

- Cóż, jeśli chcesz usłyszeć jakieś dobre wiadomości, to zostałeś

przywrócony do pracy w Biurze i, jeśli o to poprosisz, Buck Winters osobiście cię przeprosi. Liczę na to, że wystąpisz z taką prośbą.

Web pokręcił głową.

- Potrzebuję trochę czasu, żeby o tym pomyśleć, Perce.

- O przeprosinach Bucka?

- O powrocie do Biura.

Bates popatrzył na niego z osłupieniem.

- Chyba żartujesz. Przestań, Web, całe twoje życie kręci się wokół tego.

- Wiem, to jest właśnie problem.

- Cóż, masz tyle czasu, ile potrzebujesz. Po tym wszystkim w Biurze mówi się, że dostaniesz wszystko, czego będziesz chciał.

- Jezu, to naprawdę ładnie z ich strony.

- Jak się czuje Romano?

- Narzeka i marudzi, więc wszystko jest w porządku.

Zatrzymali się i popatrzyli za siebie na rezydencję akurat w momencie, kiedy Billy Canfield odwracał się i wchodził do środka.

Bates wskazał na niego.

- To jest facet, którego naprawdę mi żal. Stracił wszystko.

Web przytaknął skinieniem głowy.

- Pamiętasz, co powiedział na przyjęciu, żeby trzymać swoich wrogów na widoku, tam, gdzie możesz mieć ich na oku przez cały czas? -

Bates pokręcił głową i rozejrzał się. - Cóż, wrogowie otaczali go ze wszystkich stron, a ten biedny facet w ogóle o tym nie wiedział.

- Taak.

- Chcesz ze mną jechać?

- Zostanę tu jeszcze trochę.

Podali sobie ręce.

- Dzięki, Web, za wszystko.

Bates odwrócił się i odszedł, a Web powoli ruszył dalej. Po chwili zatrzymał się, wykręcił na pięcie i popatrzył w kierunku Batesa, a potem na rezydencję. Nagle puścił się biegiem ku domowi z kamienia. Wpadł przez główne drzwi i popędził po schodach na dolny poziom, gdzie od razu skierował się do warsztatu taksyderskiego Billy'ego. Był on zamknięty na klucz. Web z łatwością poradził sobie z zamkiem, wszedł tam i szybko znalazł to, czego szukał. Niosąc mały słoik w jednej ręce, podbiegł do szafki z bronią. Odszukał ukrytą zapadkę, nacisnął ją i drzwi otworzyły się na oścież. Zdjął latarkę ze ściany i wsunął się do środka. Manekin przyglądał mu się badawczo. Web zawiesił latarkę na kołku w ścianie tak, aby oświetlała kukłę. Zdjął manekinowi peruczkę i ostrożnie odkleił bokobrody. Następnie otworzył słoik i starannie posmarował czarną twarz zmywaczem. Farba puszczała szybko. Web pracował dalej bez przerwy, aż w końcu skóra stała się biała, bo

taki pierwotnie miała kolor. Po wykonaniu tych czynności Web zrobił krok w tył. Widział tę twarz tak wiele razy, że rozpoznałby ją nawet wyrwany ze snu, ale te nieliczne sztuczki, które zastosował Canfield, żeby ją zamaskować, doskonale spełniły swoją funkcję. Mężczyzna jednak wprowadził swoją zasadę w życie: trzymał prawdziwego wroga tam, gdzie zawsze mógł go znaleźć.

Web wiedział, że patrzy na Ernesta B. Freego po raz pierwszy od czasu strzelaniny w Richmond.

- Pamiętasz, jak mówiłem ci o tych italiańcach?

Web odwrócił się gwałtownie i zobaczył Billy'ego Canfielda.

- Ci italiańcy - ciągnął Billy - którzy proponowali mi tyle pieniędzy za przewiezienie ich kradzionych towarów?

- Pamiętam.

Canfield wydawał się zamroczony. Nawet nie patrzył na Weba; wbił wzrok w Ernego i Web pomyślał, że może podziwia swoje dzieło.

- Cóż, chociaż powiedziałem ci co innego, przyjąłem jedną z tych propozycji i pracowałem dla nich naprawdę dobrze. Później, po tym, co się stało z moim synem i tak dalej, przyszli do mnie pewnego dnia ze cztery miesiące temu i zaproponowali, że wyświadczą mi przysługę w dowód uznania za wszystkie lata lojalności wobec rodziny.

- Ze uwolnią Ernesta Freego z więzienia i oddadzą go tobie?

- Widzisz, ci italiańcy są mocno związani z rodziną, a po tym, co ten człowiek zrobił mojemu synowi... - Billy przerwał i przetarł oczy. - Gwen prawdopodobnie pokazała ci na farmie mały budynek, w którym był szpital w czasie wojny secesyjnej.

- Tak.

- Cóż, to tam się nim zająłem. Wysłałem Straita i jego ludzi po jakieś konie, a Gwen wsadziłem do samolotu, żeby odwiedziła swoją rodzinę w Kentucky, więc nikt mi nie przeszkadzał w pracy. Użyłem niektórych narzędzi chirurgicznych z czasów wojny secesyjnej. - Podszedł i dotknął ramienia Freego. - Najpierw obciąłem mu język, bo robił strasznie dużo hałasu. Spodziewałem się tego po takim nędznym robaku jak on. Uwielbiają zadawać innym cierpienie, ale sami nie mogą wytrzymać nawet odrobiny bólu. I wiesz, co potem zrobiłem?

- Powiedz mi.

Billy uśmiechnął się z dumą.

- Wypatroszyłem go dokładnie tak samo jak jelenia. Najpierw odciąłem mu jaja. Widzisz, uznałem, że ktoś, kto zrobił coś takiego małemu chłopcu, nie może nazywać siebie mężczyzną, a więc czemu miałby potrzebować jaj? Rozumiesz, dlaczego doszedłem do takiego wniosku?

Web nie odpowiedział i chociaż Billy raczej nie był uzbrojony, ręka Weba przesunęła się w stronę rękojeści pistoletu. Wydawało się, że

Canfield tego nie zauważył, a jeśli zauważył, chyba go to nie obchodziło.

Przechylił głowę i oglądał swoje dzieło pod różnymi kątami.

- Nie jestem wykształconym człowiekiem czy coś takiego, nie czytałem za dużo książek i takich rzeczy, ale to wydawało mi się rodzajem triumfu dobra nad złem, chyba tak to się mówi, że drogi Ernie B. Free będzie siedział zamknięty w małym pokoiku, przez który przechodzili niewolnicy dążący do wolności. Ale on nigdy tego nie dostanie. To znaczy wolności. A ja będę wiedział, gdzie dokładnie ten sukinsyn jest w każdej minucie każdego dnia, i będę go pokazywał ludziom, żeby ich wystraszyć, jakby był jakimś małym dziwolągiem z wesołego miasteczka. - Popatrzył na Weba z miną człowieka, który nie należy już do zdrowych psychicznie. - Czy to nie wydaje ci się właściwe?

Web znów nie odpowiedział.

Billy popatrzył na niego i skinął głową.

- Zrobiłbym to jeszcze raz, wiesz. Zrobiłbym to bez zastanowienia.

- Powiedz mi, Billy, jakie to było uczucie, kiedy zabijałeś człowieka?

Canfield przyglądał mu się uważnie przez bardzo długą chwilę.

- Gówniane.

- Czy to złagodziło ból?

- Ani trochę, do cholery. A teraz nic mi nie zostało. - Przerwał, jego wargi drżały. - Wykluczyłem ją z mojego życia, wiesz. Własną żonę. Popchnąłem ją do łóżka Straita, ignorowałem ją. Wiedziała, że ja wiem i nic nie mówię, i prawdopodobnie to bolało bardziej, niż gdybym ją za to pobił. Akurat kiedy potrzebowała mnie najbardziej, nie było mnie przy niej. Może gdybym był, zdołałaby sobie z tym poradzić.

Web wpatrywał się w niego.

- Może by zdołała, Billy. Ale teraz nigdy się tego nie dowiemy.

Usłyszeli odgłos kroków na schodach i obaj opuścili pokój. Był to Bates. Wyraźnie zaskoczyła go obecność Weba.

- Zapomniałem, że muszę zapytać cię o jeszcze parę rzeczy, Billy. - Bates popatrzył na bladą twarz Weba. - Wszystko w porządku? - Spojrzał na pogrążonego w smutku Billy'ego, a potem znów na Weba. - Co tu się dzieje?

Web popatrzył na Billy'ego, a potem powiedział do Batesa:

- Wszystko gra. Może zadasz Billy'emu te pytania później? Myślę, że on potrzebuje trochę czasu dla siebie. - Web spojrział jeszcze raz na Canfielda, a potem otoczył Batesa ramieniem i poprowadził go na górę po schodach.

Właśnie dotarli do głównego poziomu, kiedy usłyszeli huk. To była ta wymyślna strzelba firmy Churchill.

Web po prostu to wiedział.

Web wpadł do Kevina Westbrooka dwa dni po tym, jak Billy Canfield się zabił. Chłopiec znowu był z Jerome'em i babcią, dzięki swemu ojcu. Web właściwie miał nadzieję, że Francis „Wielki F” Westbrook dobrze do emerytury. Przynajmniej trzymał syna z dala od tego szamba. Babcia, która, jak dowiedział się Web, miała na imię Rosa, była we wspólnym nastroju i zrobiła dla nich wszystkich lunch. Zgodnie z obietnicą Web odniósł zdjęcie Kevina i dał je Rosie, zwrócił Kevinowi szkicowniki, które zabrała kiedyś Claire, i rozmawiał też długo z Jerome'em.

- W ogóle nie widziałem tego faceta - powiedział Jerome o Wielkim F. - W jednej minucie Kevina tu nie było, a teraz jest.

- Kiedy będzie gotowe wielkie ciasteczko? - zapytał Web.

Jerome uśmiechnął się i odparł:

- Jest w piekarniku i zaraz włączę gaz.

Zanim Web wyszedł, Kevin dał mu jeden ze swoich szkiców. Przedstawiał on małego chłopca i wielkiego mężczyznę, którzy stali obok siebie.

- To ty i twój brat? - zapytał Web.

- Nie, to ja i ty - odpowiedział Kevin, a potem uściśnął Weba.

Kiedy Web znalazł się przy swoim samochodzie, przeżył spory szok.

Na przedniej szybie leżała kartka papieru. To, co było na niej napisane, sprawiło, że Web rozejrzał się dokoła, trzymając rękę na rękojeści pistoletu. Ale mężczyzna już dawno zniknął. Popatrzył znów na kartkę. Było tam napisane: „Mam dług. Wielki F”.

Inna dobra wiadomość była taka, że znaleziono Randalla Cove'a. Jakieś dzieciaki bawiące się w lasach natrafiły na niego. Został przyjęty do miejscowego szpitala jako N.N., ponieważ nie miał żadnych dokumentów. Był nieprzytomny przez kilka dni, ale w końcu doszedł do siebie i Biuro zostało powiadomione. Spodziewano się w dodatku, że całkowicie wyleczy się z ran.

Web poszedł go odwiedzić, kiedy Cove'a przewieziono samolotem do Waszyngtonu. Mężczyznę spowijały bandaże, stracił dużo na wadze i nie był w najlepszym nastroju, ale żył. Web zauważył, że to powód do radości, i w odpowiedzi usłyszał jedynie warknięcie.

- Byłem dokładnie tam, gdzie ty teraz jesteś - dodał Web - tyle że mi brakowało połowy twarzy. Tobie jest łatwiej.
- Nic z tego nie wydaje się łatwe. Ani trochę, do cholery.
- Mówią, że rany postrzałowe kształtują silny charakter.
- Więc charakteru starczy mi na resztę życia.
- Web zdążył już rozejrzeć się po pokoju.
- Jak długo tu będziesz?
- Do diabła, nie wiem. Jestem tylko pacjentem. Ale jeśli wbiją we mnie jeszcze jedną igłę, ktoś tutaj oprócz mnie poczuje ból.
- Ja też nie bardzo lubię szpitale.
- Cóż, gdybym nie nałożył kevlaru, byłbym teraz w kostnicy. Mam na piersi dwa sińce, które chyba zostaną na stałe.
- Pierwsza zasada zaangażowania: zawsze pakuj jedną kulę w głowę.
- Cieszę się, że oni nie czytali waszych zasad zaangażowania. A więc rozbiłeś gang od Oxy?
- Powiedziałbym, że my to zrobiliśmy.
- I stuknąłeś Straita?
- Web skinął głową.
- A potem Billy Canfield dodał porcję śrutu. Myślę, że to nie było konieczne, ale prawdopodobnie lepiej się dzięki temu poczuł. Jednak nie o wiele lepiej.
- Cove kiwnął głową.
- Chyba mogę to zrozumieć. - Web wstał, żeby wyjść. - Hej, Web, mam dług wobec ciebie. Naprawdę wielki dług.
- Nie. Nikt nie jest mi winien żadnej choleryjnej rzeczy.
- Hej, twardzielu, to ty przewróciłeś cały domek z kart.
- Wykonywałem swoją pracę. I prawdę mówiąc, zaczynam być nią trochę zmęczony. - Mężczyźni uścisnęli sobie ręce. - Nie denerwuj się, Cove. A kiedy cię stąd wypuszczą, niech Biuro da ci przyjemną, bezpieczną pracę za biurkiem, gdzie jedynymi paskudnymi rzeczami trafiającymi do ciebie będą notatki służbowe.
- Notatki służbowe? To wydaje się dosyć nudne.
- Taak, takie się wydaje, prawda?

Web zatrzymał macha przy krawężniku i podążył chodnikiem. W ten ciepły wieczór Claire Daniels nie była ubrana w swój strój roboczy, tylko w ładną letnią sukienkę i sandały. Obiad był smaczny, wino dobrze komponowało się z posiłkiem, a dyskretne światła zachęcały do działania. Web właściwie nie miał pojęcia, dlaczego tu jest, gdy Claire usiadła naprzeciw niego na kanapie obok chłodnego kominka i podwinęła nogi.

- Otrząsnęłaś się już? - zapytał.

- To chyba nigdy się nie uda. Jeśli chodzi o pracę, to jest świetnie. Myślałam, że ta sprawa z O'Bannonem zniszczy mi praktykę, ale telefon nie przestaje dzwonić.

- Hej, wielu ludzi potrzebuje dobrego guru... przepraszam, psychiatry.

- Właściwie to dałam sobie sporo wolnego.

- Inne rzeczy były ważniejsze?

- Coś w tym rodzaju. Spotkałam się z Romano.

- Wrócił już ze szpitala. Pojechałaś do jego domu?

- Nie. Rozmawialiśmy w moim gabinecie. Przyszedł z Angie. Chyba powiedziała mu, że spotyka się z psychiatrą. Pomagam im poradzić sobie z pewnymi problemami. Powiedzieli, że nie mają nic przeciwko temu, żebyś się o tym dowiedział.

Web wypił łyk wina.

- Cóż, do diabła, pewnie, że każdy ma jakieś problemy, prawda?

- Nie zdziwiłabym się, gdyby Romano odszedł z HRT.

- Zobaczymy.

Przyjrzała mu się.

- A ty odejdziesz z HRT?

- Zobaczymy.

Odstawiła kieliszek z winem.

- Chciałam ci podziękować za uratowanie mi życia, Web. To między innymi z tego powodu zaprosiłam cię na obiad dziś wieczorem.

Próbował uniknąć poważnego nastroju.

- Hej, tym właśnie się zajmuję, ratuję zakładników. - Ale potem wesołość zniknęła z jego twarzy. - Nie ma za co, Claire. Po prostu cieszę się, że tam byłem. - Popatrzył na nią z ciekawością. - Między innymi z tego powodu... A więc jakie są pozostałe?

- Szukasz wskazówek w języku mojego ciała? Czytasz między wierszami? - Nie chciała spojrzeć mu w oczy i Web wyczuwał zdenerwowanie w tym żartobliwym tonie.

- O co chodzi, Claire?

- Wkrótce złożę raport w FBI. Raport opisujący w szczególności to, co moim zdaniem stało się z tobą w tamtej uliczce, kiedy zamarłeś. Chciałam najpierw omówić to z tobą.

Web pochylił się.

- W porządku, słucham cię.

- Myślę, że O'Bannon przekazał ci sugestię hipnotyczną. Rozkaz, rodzaj instrukcji, żebyś nie był w stanie wykonać swojej pracy.

- Ale powiedziałaś, że nie można kazać komuś, kto jest zahipnotyzowany, zrobić czegoś, czego nie chce zrobić albo czego normalnie by nie zrobił.

- Zgadza się, ale zawsze istnieją wyjątki od takich reguł. Jeśli osobę poddawaną hipnozie łączy bardzo silna więź z hipnotyzerem albo ma on ogromny autorytet, to zahipnotyzowana osoba może zrobić coś, co wykracza poza jej normy, nawet skrzywdzić kogoś innego. Racjonalne uzasadnienie może być takie, że zahipnotyzowany uważa, że człowiek, którego szanuje, nie kazałby nikomu zrobić czegoś naprawdę złego. To w istocie sprowadza się do zaufania. A według notatek O'Bannona zdobył on twoje zaufanie.

- Jaki jest związek między moim zaufaniem do niego a tym, że zamarłem? Zrobił mi pranie mózgu? Jak w *Kandydacie z Mandżurii*?

- Pranie mózgu bardzo się różni od hipnozy. Zabiera dużo czasu i jest to bardziej indoktrynacja, w czasie której poprzez pozbawianie snu, tortury fizyczne i manipulowanie umysłem zmieniasz czyjąś osobowość, robisz z niego kogoś całkowicie innego, łamiesz jego wolę, jego ducha, a potem kształtujesz je od nowa, tak jak chcesz. O'Bannon wbudował rozkaz w twoją podświadomość. Po usłyszeniu słów „Niech ich diabli” miała się zacząć reakcja.

To wyrażenie zostało połączone z jakiegoś rodzaju zaworem bezpieczeństwa na wypadek, gdybyś usłyszał je albo coś podobnego gdzie indziej. Myślę, że w twoim przypadku zaworem bezpieczeństwa było usłyszenie wiadomości w bezprzewodowym odbiorniku, kiedy byłeś w tamtej uliczce. Pamiętasz, mówicie, że to właśnie wtedy zamarłeś. W notatkach O'Bannona była spisana ta historia o pistoletach Taser, którą mi też opowiedziałeś. A więc wiedział, że reakcja fizyczna, którą zaprogramował, sparaliżuje cię. Słowa „Niech ich diabli” plus wiadomości radiowe miały spowodować, że znieruchomiejesz, jakbyś został trafiony strzałką z Taseera.

Web pokręcił głową.

- I O'Bannon mógł to wszystko zrobić z moim umysłem?

- Uważam, że jesteś somnambulikiem, Web - powiedziała Claire - osobą bardzo podatną na sugestie pohanotyczne. Ale prawie udało ci się oprzeć temu poleceniu. Jestem pewna, że miałeś nie być w stanie podnieść się i wejść na to podwórko. Przejawiła się wtedy twoja wola, jeśli poczujesz się dzięki temu trochę lepiej. To był prawdopodobnie twój najbardziej niezwykły wyczyn tamtej nocy, większy nawet niż zlikwidowanie karabinów maszynowych.

- I posłużyli się wyrażeniem „Niech ich diabli”, żeby jeszcze bardziej rzucić podejrzenie na Wolne Społeczeństwo, bo to był tytuł ich biuletynu.

- Tak. Kiedy zobaczyłam to w ich witrynie w Internecie, wiele rzeczy zaczęło mieć sens.

- Trudno to wszystko ogarnąć, Claire.

Pochyliła się, opierając ręce na kolanach. Nagle Web poczuł się tak, jakby znów był w jej gabinecie, przetrzymując kolejną sesję.

- Web, chcę ci powiedzieć coś jeszcze, coś nawet bardziej niepokojącego. Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej, ale nie byłam pewna, czy jesteś gotowy sobie z tym poradzić, a po tym wszystkim, co się stało, cóż, chyba zwyczajnie się bałam. W porównaniu z tobą nie jestem zbyt odważna. Tak naprawdę w porównaniu z tobą nikt nie jest odważny.

Zignorował ten komplement i po prostu się w nią wpatrywał.

- Powiedz mi, co to takiego?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Kiedy cię zahipnotyzowałam, dowiedziałam się wielu innych rzeczy poza tym, że twój ojciec został aresztowany podczas przyjęcia z okazji twoich szóstych urodzin. - A potem dodała szybko: - Ale nie mogłam ci wtedy o tym powiedzieć. To byłoby zbyt bolesne.

- Powiedz mi o czym? Nie pamiętam, do cholery, żeby działo się coś jeszcze oprócz tego przyjęcia, a nawet to było trochę zamazane.

- Web, proszę, posłuchaj mnie bardzo uważnie.

Wstał pod wpływem zdenerwowania.

- Powiedziałaś, że będę nad wszystkim panował. Że hipnoza to jest stan wzmożonej świadomości. Cholera, tak powiedziałaś, Claire. Okłamałaś mnie?

- Zwykle tak jest, Web, ale musiałam przeprowadzić to inaczej. Miałam bardzo ważny powód.

- Pozwoliłem ci pobawić się moim umysłem tylko z jednego powodu, moja pani, dlatego, że powiedziałaś, że będę panował nad sytuacją. - Web usiadł i splótł palce, żeby przestały mu się trząść ręce. O czym, do diabła, jej powiedział, kiedy był uśpiony, poza fiaskiem urodzin?

- Czasami, Web, muszę podjąć decyzję o tym, że nie pozwolę, aby pacjent, którego hipnotyzuję, pamiętał, co się zdarzyło. Nie postępuję tak bez zastanowienia, możesz być pewien, że przemyślałam to starannie w twoim przypadku.

Nie mógł jej nie podziwiać. To ona tu rządziła, jeśli chodzi o ton głosu i zachowanie. Nie wiedział, czy nachylić się i ją pocałować, czy może wymierzyć jej policzek.

- Co dokładnie zrobiłaś ze mną, Claire?

- Przekazałam ci sugestię pohipnotyczną. - Spuściła wzrok. - Ta sama technika, którą posłużył się O'Bannon, żebyś zamarł w uliczce. Ja sprawiłam, że nie zapamiętałeś pewnych rzeczy z naszej sesji hipnotycznej.

- Świetnie, Claire, łatwo na mnie oddziaływać, jestem chrzanionym somnambulikiem, więc łatwo namieszać mi w głowie, prawda?

- Web, zrobiłam to, co uważałam za najlepsz...

- Claire, po prostu mi powiedz! - rzucił niecierpliwie Web.

- To dotyczy twojej matki i ojczyma. Właściwie sposobu, w jaki umarł. Twarz Weba zaczerwieniła się na chwilę. Nagle poczuł lęk. Nagle z całego serca jej nienawidził.

- Już ci powiedziałem, w jaki sposób umarł. Spadł ze schodów. To jest w twojej drogocennej teczusce. Przeczytaj jeszcze raz te materiały.

- Zgadza się. Rzeczywiście spadł. Ale nie był sam. Pamiętasz, mówiłaś mi o stosie ubrań leżącym przy wejściu na strych?

Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Nie ma ich, nie ma ich już od dawna.

- To była świetna kryjówka dla przerażonego i maltretowanego chłopca.

- Co takiego? To znaczy dla mnie?

- To był pomysł twojej matki. Ona wiedziała, że Stockton chodzi na górę po swoje narkotyki.

- I co z tego? Ja też wiedziałem. Powiedziałem ci o tym, kiedy nie byłem zahipnotyzowany.

- Powiedziałaś mi też o jakichś zrolowanych kawałkach starego dywanu. - Po czym Claire dodała bardzo cicho: - Że były twarde jak żelazo.

Web wstał i odsunął się od niej jak przestraszone dziecko.

- No dobrze, Claire, to zupełne wariactwo.

- Ona kazała ci to zrobić, Web. W ten sposób pozbyła się maltretującego cię ojczyma.

Web usiadł na podłodze i objął głowę rękoma.

- Nic z tego nie rozumiem, Claire. Nic!

Claire zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Ty go nie zabiłaś, Web. Uderzyłaś go dywanem i wtedy spadł. Ale twoja matka...

- Przestań! - krzyknął. - Po prostu przestań! To największy stek bzdur, jaki słyszałem.

- Web, mówię prawdę. W przeciwnym razie skąd wiedziałabym o tym wszystkim?

- Nie wiem! - wrzasnął. - Nic nie wiem!

Claire uklękła przy nim i ujęła go za rękę.

- Po tym, co dla mnie zrobiłaś, czuję się okropnie z powodu tego wszystkiego. Ale proszę, uwierz mi, że zrobiłam to tylko po to, żeby ci pomóc. To było bardzo trudne także dla mnie. Czy potrafisz to zrozumieć? Czy możesz w to uwierzyć? Czy możesz mi ufać?

Wstał tak gwałtownie, że zaskoczona Claire prawie się przewróciła. Ruszył w stronę drzwi.

- Web, proszę! - zawołała.

Wyszedł na dwór i Claire podążyła za nim, nie wstrzymując już łez.

Web wszedł do macha i zapalił silnik. Claire szła chwiejnie chodnikiem ku niemu.

- Web, nie możemy tego tak zostawić.

Opuścił szybę, popatrzył na nią i napotkał jej badawczy wzrok.

- Wyjeżdżam na jakiś czas, Claire.

Wydawała się zdezorientowana.

- Wyjeżdżasz? Dokąd?

- Chcę zobaczyć się z ojcem. Może przeanalizujesz to, kiedy mnie nie będzie.

Rozpędził macha i odjechał. Na niebie zbierały się burzowe chmury. Było ciemno, głównie ciemno, a jednak parę promieni przebijało się tu i tam. Ale ciemność, głównie ciemność.